PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK PIERWSZY. — TOM II.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1884.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1884.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

Uwagi nad stanem obecnym Francyi przez *Dr. Pawła Popiela* 57

Obecne położenie Ojca św. w Rzymie przez *X. M. Morawskiego* 305

Artykuły naukowe i. literackie.

Niepozytywny pozytywizm francuski przez *Dr. J. Skrochowskiego* 1

Horwaci w Dalmacyi, przez *X. W. Zaborskiego* . . 34, 180

Rozwój wiary przez *X. A. Langera* 80

Wojenne plany Stefana Batorego od r. 1583—1586 przez *X. Stanisława Załęskiego* 345

O miękkich zgłoskach w języku staropolskim przez *Dr. Kalinę* 219, 370

Święty Tomasz z Akwinu i dzisiejsza filozofia przez *X. A. Langera* 161, 329

Z wypraw podbiegunowych przez *M.* 241

Gdzie spoczywają szczęty Stanisława Leszczyńskiego? przez *A. H. Kirkora* 387

Dokumenta.

Listy kardynała di Cômo do O. A. Possewina T. J. z Archiwum watykańskiego. 95, 250, 400

Przegląd piśmiennictwa.

Stronnica.

Józefa Tretiaka Mićkiewicz w Wilnie i Kownie przez *Lud. hr. Dębickiego* 101
Wydawnictwa komisyi archeologicznej petersburgskiej. „Akty otnosiaszczijesia k Istorii zapadnoj Rossii“ przez *Rulikowskiego* 106
Historya Reformacyi w Polsce N. Lubowicza przez *B. Jasieńczyka* 259
Die grossen Welträthsel. Philosophie der Natur. Institutiones philosophiae naturalis secundum principia S. Thomae Aquinatis ks. Pescha T. J. przez *X. Aug. Arndta* 272
Ogniem i mieczem przez *Dr. Skrochowskiego*. . . . 410

Bibliografia. Z dzieł religijnych 120, 276, 427
Z dzieł historycznych. 125, 279, 430
Z dzieł literackich 130, 285
Z dzieł pedagogicznych 435

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Kwiecień.

Z Wiednia: Nowela przemysłowa. — Ustanowienie inspektorów przemysłowych. — Projekt do ustaw o stosunku robotników do fabrykantów, o wypoczynku niedzielnym, o opiece nad pracą kobiet i dzieci, o zabezpieczeniu od nieszczęśliwego wypadku. Krzyk o prawa wyjątkowe. — Semityzm i anti-semityzm. — Konferencya *Aliance Israëlite* 133
Z Hiszpanii: Mnogość stronnictw politycznych. — Karliści prawdziwi i mięszani. — Alfonziści liberalni, fuzyoniści, radykalni. — Trzy odcienia republikanów. — Wojskowy związek republikański Zorylli i jego program. Castelar i „Czarna Ręka“. — Objawy życia katolickiego 145

Stronnica.

Z Krakowa: Zbliżenie się Rosyi do Niemiec i Austryi. Odczyty 153
Wystawa obrazów Matejki i wystawa Przyj. Sztuk pięknych 155

Maj.

Z Petersburga: Artykuł Sołowiewa o „Narodowości i narodowem działaniu Rosyi“ 290
Z Berlina: Rządowe reformy socyalne. — Obecny stan sprawy kościelnej 294
Położenie Ojca św. w Rzymie 305
Z Warszawy: Prasa codzienna 316
Z Krakowa: Z wystawy obrazów 323

Czerwiec.

Sprawa Stolicy św. Encyklika o Masonach — przyjęcie jej przez prasę, rządy i Masonów. — Projekt międzynarodowego związku katolików. Dalsze protesta w sprawie Propagandy. — Ważniejsze artykuły kilku dzienników . . 437
Prasa warszawska. Wiek, Słowo, Przegląd tygodniowy, Prawda, Kraj, Ateneum, Biblioteka Warszawska, Niwa, Rola, Gazeta handlowa, Przegląd katolicki, Tygodnik ilustrowany, Kłosy, Kronika rodzinna, Bluszcz, Kółko rodzinne, Świt 449
Z Górnego Szląska. Przemysł górno-szląski. — Produkcya górnicza i hutnicza. 463

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str.	28	wiersz	11	z góry	*soycologiczne*	czytaj	*socyologiczne*
„	47	przypisek wiersz	5	od dołu	*chełmiński*	„	*chełmski*
„	153	„	9	„	*był*	„	*byt*
„	160	„	12	z góry	*Herucicz*	„	*Herncicz*
„	403	„	29	„	*Weissenburg* (Białogród w Siedmiogrodzie)	„	*Stuhlweisenburg*

Wydawca i redaktor odpowiedzialny X. M. Morawski.

NIEPOZYTYWNY POZYTYWIZM FRANCUSKI.

(*M. Littré et le Positivisme* par *E. Caro* de l'Academie Française. Paris 1883. — *La Science positive et la Metaphysique* par *Louis Liard* prof. de Phil. à la Faculté de lettres, de Bordeaux. Paris 1879.)

I.

We Francyi, w ojczyznie „pozytywizmu“ począwszy od Augusta Comte'a, gdzie pozytywizm, rzec można, stał się dzisiaj „oficyalną religią Trzeciej Republiki“, podnoszą się przeciw jego panowaniu z głębi światłego społeczeństwa i uczonego świata francuskiego, coraz częściej głosy odwiecznej, duchowej samowiedzy ludzkiej i dawnego sumienia narodowego. Jednym z takich głosów jest najnowsza książka p. Caro o pozytywizmie, napisana w przeszłym roku z okazyi śmierci Littré'go, który, jak wiadomo, po zgonie Comte'a, swego mistrza, ster szkoły pozytywistów niejako po nim odziedziczył.

Czy ta szkoła ze swą nazwą we Francyi i po za Francyą dziś tak popularną ma przyszłość? — mianowicie jako szkoła filozoficzna, jako system wiedzy rozwinięty przez Comte'a i dopełniony przez jego ucznia Littré'go. — Czy dzisiejsze powodzenie t. z. pozytywizmu może być tak trwałe, jak jest chwilowo świetne we Francyi w obecnem chwilowem jej położeniu politycznem i społecznem? Czy w ogóle to, co się dziś nazywa filozofią albo umiejętnością „pozytywną“, zdolne jest własną mocą, własnem światłem, powszechną samowiedzę i pierwotne sumienie człowieka, znającego się jako duszę nieśmiertelną w ciele żyjącą a odpowiedzialną za czyny swoje przed Bogiem i ludźmi, przemienić na *nową* samowiedzę nieuznającą w sobie i po za sobą

nic oprócz materyi w ruchu, na *nowe* sumienie nieodpowiedzialne chyba-li tylko przed ślepą siłą i przemocą?... oto pytania, które p. Caro w przedmowie do swej książki „O pozytywizmie“ Littré'go rzuca przed oczy społeczeństwu, jako główny problem XIX-go wieku; bliższe zaś rozważenie tych kwestyj, jest głównem jego pracy zadaniem.

P. Caro jest przedewszystkiem myślicielem i publicystą, poruszającym bieżące sprawy ducha czasu w sposób ostrzegający i otrzeźwiający. Jego liczne publikacye [1], jakoteż długoletnie a świetne i bardzo uczęszczane wykłady w Sorbonne bronią osobowości Boga i człowieka i nieśmiertelności duszy, jako najrealniejszych rzeczywistości i największych skarbów ludzkiej wiedzy, a ostrzegają przeciw modnym teoryom, prądom i pismom, któreby ten prawdziwie życiodajny grunt naszej europejskiej cywilizacyi niebacznie podminować chciały. A że p. Caro włada piękną formą i eleganckim językiem i ma delikatne poczucie klasycznej miary w polemice, biorącej przeciwnika zawsze na seryo, bez wzgardy i nienawiści, choć nie szczędzi mu czasem dowcipnej ironii, więc też pisma i wykłady jego, pomimo chwilowej przewagi prądów przeciwnych jego stanowisku, cieszą się zawsze wielkiem powodzeniem. Zostaną one zawsze cennem świadectwem oddanem prawdzie — prawdzie może nie całej, ale przynajmniej prawdzie naturalnego rozumu ludzkiego, prawdzie filozoficznej, metafizycznej, której pewna część uczonego świata dziś przedewszystkiem wyzbyć się pragnie.

---

[1] *Études Morales sur le temps présent*, (zawierają ciekawe rozdziały: „O religii pozytywistycznej“ i „O bałwochwalstwie humanitarnem“).

Nouvelles Études Morales sur le temps présent (O samobójstwie w stosunku do cywilizacyi, Hygiena moralna, Obyczaje literackie naszych czasów i t. d.).

Le Matérialisme et la Science.

Les Jours D'Épreuves (1870—1871). (Le droit et la force — l'Idée de la Patrie — Les influences litteraires dans la Commune — La fin de la bohème.

Le Pessimisme au Dix-neuvième siecle, (Leopardi, Schopenhauer, Hartmann). Prócz tego wydał także: *La Philosophie de Goethe* — *Essai sur le Mysticisme au XVIII-e siecle* — *La fin du XVIII-e siecle* (Etudes et Portraits).

Tym samym duchem ostrzegającym i otrzeźwiającym natchnione jest i to ostatnie studyum p. Caro nad charakterem i stanowiskiem naukowem Littré'go i nad znaczeniem pozytywizmu. Ale bo też i trudno o wspanialszy przykład, typ mędrca, filozofa XIX-go wieku, jak nim był Littré, mąż żelaznej pracy, w gruncie lepszy od zasad, które głosił, i od mistrza swego, któremu w prostocie serca najgłębszą cześć oddawał. W ciężkich zapasach wypróbował on sam na sobie, experymentem *in anima vili*, jak dalece naturze ludzkiej szczerze, z dobrą wiarą szukającej prawdy, wystarczyć może t. z. pozytywizm, a nauka płynąca obficie z długiego żywota Littré'go, sądzę, że nie powinna być straconą i dla naszego społeczeństwa. Dlatego też, za przykładem i z pomocą książki p. Caro (i kilku innych jeszcze dzieł), ośmielam się zwrócić uwagę publiczności naszej na tę ze wszechmiar bardzo ciekawą i sympatyczną postać Emila Littré'go, a oraz i na piekącą sprawę pozytywizmu.

Długie a ciche życie Littré'go wyczerpuje się całe, rzec można, w licznych książkach, jakie po sobie zostawił w ciągu przeszło sześćdziesięcioletniego zawodu pisarskiego; ma ono jednakże dwie odrębne strony, które zarysują się nam wyraźnie, gdy się z charakterem jego i działalnością, jako uczonego na różnych polach wiedzy i jako adepta szkoły pozytywistycznej Comte'a, bliżej zapoznamy.

Pochodzenie jego i tradycya rodzinna wycisnęły na nim piętno nigdy niezatarte. Ojciec Littré'go był podoficerem artyleryi z czasów Konwentu i jako żołnierz towarzyszył wyprawie do Indyi i walczył z Anglikami. Później był urzędnikiem fiskalnym w Paryżu aż do śmierci. Republikanin czystej wody i z dobrą wiarą zupełną, odznaczał się przytem rzadką siłą woli i zamiłowaniem w pracy, skoro n. p. w dojrzałym już wieku, obok innych zajęć wielu, dopełnia jeszcze swe wykształcenie klasyczne ucząc się greki, a nawet sanskrytu. Brał on ciężkie swe życie na seryo, równie jak i jego żona, pochodząca także z familii mieszczańskiej z relacyami republikańskiemi. Jej portret maluje Sainte-Beuve według zapisków syna, jako postać w zakroju antyku,

w stroju raczej sługi niż damy, jako doskonałą gospodynię i troskliwą matkę całą siłą swej duszy podniosłej, zabarwionej głębokiem poczuciem sprawiedliwości. Odziedziczył po niej to poczucie: *pereat mundus fiat justitia!* syn jej Emil, była też dumną z niego aż do zazdrości.

W tak surowem otoczeniu cnót iście rzymskich, republikańskich, przyszedł na świat Emil Littré dnia 1 lutego 1801 roku, i później brat jego Bartłomiej. Dom nie był zamożny i utrzymywał się li tylko życiem nadzwyczaj obowiązkowem, pracą bez wytchnienia całej rodziny. Była to pierwsza szkoła Emila, „było to, mówi Caro, jakby świeckie seminaryum, gdzie nawet rozrywki przybierały postać nauki i emulacyi bez granic". Dalsze wykształcenie pobierał Emil w liceum *Louis le Grand*, gdzie za kolegów i przyjaciół miał późniejszego oryentalistę Burnouffa i dzisiejszego możnego księgarza, nakładcę Hachètte'a. Wytrwałością nabytą i wypróbowaną w domu, zdobywał sobie w szkole medale i nagrody, a zarazem nabierał coraz większej namiętności i przywyknienia do pracy naukowej. Gruntowna znajomość języków, mianowicie: greki, łaciny, niemieckiego, angielskiego i włoskiego, wyniesiona z liceum, otworzyła mu szerokie pole dla jego nienasyconej żądzy wiedzy książkowej.

Z liceum poszedł Emil na medycynę, przyjąwszy zarazem miejsce sekretarza u hr. Daru, dla zarobku. Ale pomimo kilkoletniej pilnej pracy w szpitalach i klinikach, medycyny nie ukończył, gdyż właśnie, kiedy w r. 1827 miał rozpocząć egzamina medyczne, umarł mu ojciec. Już więc nietylko o siebie lecz i o utrzymanie matki dbać musiał, a w takich okolicznościach narażać ją i siebie na zawsze niepewne losy lekarza praktykującego w Paryżu, nie miał odwagi; zwłaszcza, że nie było funduszów ani na egzamina, ani na początkowe, jak wiemy zawsze kosztowne, urządzenie kancelaryi lekarza ordynującego. A że Littré i do samego zawodu praktycznego nie czuł wiele powołania, bo zawsze więcej w teoryi był rozmiłowany, wolał tymczasem lekcyami i piórem zarabiać na chleb powszedni, a o patent na lekarza się nie ubiegał. Pomimo to, w wolnych chwilach uczęszczał zawsze pilnie na klinikę *Rayer'a* w szpitalu *Charité*, aby bogatych już nabytków wiedzy medycznej w sobie nie zmarnować.

Czasem nawet leczył, ale tylko na wsi w *Mesnil le Roi*, gdzie zwykle z matką spędzał lato, i przy sposobności udzielał pomocy lekarskiej za darmo biednym wieśniakom, o czem w charakterystyczny sposób wyraża się w jednem z pism swoich: „Postępując rozważnie i ostrożnie, byłem niezawodnie pomocnym tym biednym wieśniakom i miałem za to największą nagrodę w ich wdzięczności, której mi ciągłe składali dowody w dobroci swej dla mnie i usłużności. Doświadczyłem przytem sam na sobie, ile medycyna może nabawić strachu, gdy w groźnym wypadku, gdzie chodzi o śmierć lub życie, niepewność diagnozy i sposobu traktowania choroby, obawa, żeby się nie pomylić, ściska za serce, jakby jaki najsroższy wyrzut sumienia. Tak... nie masz żadnego porównania między tem co lekarz może, a tem za co odpowiada; odpowiedzialność ogromna, a wiedza stosunkowo mała“... Wyznanie to Littré'go dowodzi aż nadto, jak nie miał on w sobie nic temperamentu lekarza i to też tłómaczy nam, dlaczego nie próbował nawet przełamać trudności, by nim zostać, choć mocą charakteru swego mógłby był niezawodnie je pokonać. Medycynę jednakże kochał zawsze bardzo jako naukę. „Nie oddałbym za nic w świecie tej części wiedzy medycznej, którą zdobyłem sobie pracą wytrwałą“, pisze sam w przedmowie do książki swego przyjaciela; „dla człowieka, który chce obudzić w sobie współczucie dla całej nędzy ludzkiej, nie ma nic bardziej nauczającego, jak blady trup na stole amfiteatru anatomicznego, albo łoże szpitalu. Tej szkoły nic nie zastąpi. Oddawałem się wielu innym zakresom wiedzy na różnych polach, a nic nie odebrało mi gustu do medycyny“. Zamiłowanie to jednakże odnosiło się, jak już powiedziałem, więcej do teoryi i do historyi medycyny jako nauki, niż do praktyki, i wnet też rozpoczął swą wielką działalność na polu literatury medycznej.

Od r. 1832 publikacye jego w materyach medycznych i odnośnych przyrodniczych sypią się jedna za drugą. Oprócz mniejszych artykułów, które umieszczał w dzienniku *National*, wszedłszy w skład jego redakcyi jako reporter z dziedziny nauk i oprócz tych rozpraw, które pisał później w założonym przez siebie Przeglądzie medycznym *l'Experience* (od r. 1837—1846), rozpoczął także w tym czasie jedną z największych prac swoich: wy-

dawnictwo poprawne i krytyczne tekstu wszystkich dzieł Hippokratesa lub za takowe uchodzących, z własnem tłómaczeniem francuskiem. Wstępny tom I. tego dzieła (z r. 1839), samoistna praca historyczna i krytyczna jest prawdziwem arcydziełem, które odrazu zyskało mu imię wielkiego uczonego. Wydawnictwo to 8-miu sporych tomów ciągnęło się aż do r. 1861[1]. Ale w ciągu tego czasu obdarzył on literaturę medyczną także i tłómaczeniem: *Historyi Naturalnej Pliniusza młodszego* (w r. 1848) i tłómaczeniem najlepszego podówczas podręcznika *Fizyologi Müllera* w dwóch grubych tomach (w r. 1851), które obfitemi notatkami i dopiskami wzbogacił, i wreszcie wspólnie z Karolem Robin wydał w r. 1854 *Słownik Medycyny i Chirurgii,* prawdziwą encyklopedyę nauk medycznych.

Łącząc w sobie gruntowne wykształcenie filologa, historyka i medyka, obdarzony przytem rzadkim zmysłem krytycznym, szanującym przeszłość i umiejącym w nią się wmyśleć, mógł on takiem dziełem, jak przyswojenie literaturze francuskiej i opracowanie całego korpusu dzieł Hippokratesa, niezmiernie się odznaczyć i nauce przysłużyć; zwłaszcza, jeśli się zważy, że to *Corpus Hippocraticum* jest jedną z największych spuścizn naukowych po starożytnym świecie, która śmiało obok korpusu dzieł Platona i Arystotelesa stanąć może, a nawet poniekąd je dopełnia, uprzedzając je historycznie w tej samej epoce i wiele zagadek tłómacząc. Bo Hippokrates nietylko że był wielkim medykiem, lecz był rzec można i wielkim na swój czas filozofem i miał widoczny wpływ na niewiele późniejszą filozofię Platona i Arystotelesa, na co właśnie pierwszy Littré we swym „Wstępie“ zwrócił baczniejszą uwagę.

Nie brakowało też Littré'mu od początku uznania jego cichej pracy i talentu od współczesnych, jakoteż i zachęty. W roku 1839, wkrótce po wydaniu I. tomu Hippokratesa, został wy-

[1] Zupełny tytuł dzieła brzmi: Oeuvres complètes d' Hippocrates. Traduction nouvelle, avec le texte grec en regard, collationné sur les manuscrits et toutes les éditions, accompagnée d'una introduction de commentaire médicaux de variantes et de notes philologiques, na czele piękne motto z Galenusa: Τοῖς τῶν παλαιῶν ἀνδρῶν ὁμιλῆσαι γράμμασι.

brany członkiem akademii *des inscriptions et belles lettres* — a już w r. 1835 redaktor *National'a* p. Armand Carrel napisał list do matki Littré'go, który był mu szczególnie drogi, chował go też przez lat 40 przeszło, zanim go ogłosił jako starzec w swoich „konfessyach literackich, politycznych i filozoficznych". „Pani, pisał Carrel, muszę powinszować doskonałego artykułu, który Emil dał nam dziś rano do *National'a*. Wiem, że i jemu nie mogę zrobić większej przyjemności jak przez Panią, bo skromność jego prędzej mi wybaczy moje pochwały, których nie śmiałbym powiedzieć mu w oczy; a gdy dojdą go one na ręce Pani, sprawiwszy pierwej Pani chwilę macierzyńskiej radości, to już tem samem będą mu miłe. Powiedz mu Pani, że jest on naszym mistrzem, że mnie wstyd nawet zajmować pierwsze stanowisko w dzienniku, podczas gdy on ma drugorzędne; że nie ma w Paryżu drugiego, któryby potrafił napisać taki artykuł o Herszlu.... Ten nasz dobry, skromny Littré, kończy p. Carrel, cichą i niezmordowaną pracą doszedł do takiej nad nami wyższości, że teraz prawie bawiąc się pisze o przedmiotach najrozmaitszych z talentem przynajmniej dorównującym bogactwu jego wiedzy" [1].

W tym samym roku 1835 Littré ożenił się, i za radą swej matki wybrał osobę wykształconą, pełną poświęcenia i — czego się najmniej można było spodziewać, sądząc powierzchownie według tradycyi domowej Littré'go — bardzo pobożną. Dom jego nie był prawowierny, były u rodziców Littré'go republikańskie uprzedzenia przeciw t. z. klerykalizmowi, które i syn odziedziczył. Jednakże pomimo to duch domu był poważny i religijne uczucia były tam w poszanowaniu. Emil znalazł nawet w papierach swego ojca cenny tego dowód i przykład, mianowicie w jednej notatce, gdzie ojciec gorszy się drwinami Woltera i jego naśladowców z religii chrześcijańskiej i ma wyrzuty sumienia, że zaniedbał wychowanie religijne swoich dzieci, za co czuje się odpowiedzialnym [2]. Pomimo to jednakże sam Emil w ostatniem swojem piśmie przed śmiercią [3] przyznaje się, że w pierwszych czasach mło-

[1] Littré: Conservation, Révolution, Positivisme, Remarques 2-e edition str. 201.

[2] Revue de phil. posit. mai-juin 1880.

[3] Littré: *Pour la derniere fois* 1880.

dości „wierzył w Boga, w duszę i jej nieśmiertelność, nabrawszy tych przekonań nietyle z nauki dogmatycznej, ile z wpływu otoczenia, w którem się obracał, i że później dopiero tę wiarę utracił". Na każdy sposób jednak uprzedzenia antireligijne w domu Littré'go nie były tak silne, żeby aż mogły przeszkodzić małżeństwu jego z pobożną katoliczką, jaką była młoda pani Littré całą duszą. I tak zaczął się tu ten długoletni, cichy a wspaniały dramat domowy jakich wiele, nieuchronny między żoną gorąco i szczerze wierzącą, a mężem z przekonania niedowiarkiem. Wzajemna miłość małżonków nie dała jednakże nigdy dramatowi temu zmienić się w tragedyę. On kochając i ceniąc cnotliwą żonę nad życie, tolerował jej religijność, tolerował nawet chrześcijańskie wychowanie córki, „aby matce łez nie wycisnąć". Ona zaś kochając w nim najlepszego męża i ojca, była mu aniołem opiekuńczym i razem z córką osładzając mu jego prawdziwie tytaniczną pracę, a czasem nawet ją wspomagając, rozumiała dobrze, że tu nic innego nie poradzi, jak kochać, modlić się i... czekać...

Ale nie uprzedzajmy wypadków. Powyżej wymienione wielkie wydawnictwa Littré'go, licząc do tego jeszcze mnóstwo mniejszych artykułów w *National'u* i w *l'Experience,* mogłyby wyczerpać całą działalność pisarską zwykłego uczonego. U Littré'go był to zaledwie początek, była to jedna dopiero strona jego autorskiego widnokręgu.

II.

W r. 1840, gdy wśród ciężkich przejść w życiu, a zwłaszcza po stracie brata swego Bartłomieja[1], Emil Littré był niepocieszony i szukał rozrywki w książkach poza zwykłym torem swoich studyów, jeden z przyjaciół jego pożyczył mu do czytania „System filozofii pozytywnej". I tak wówczas po pierwszy raz zetknął się Littré z pismami Augusta Comte'a, których plan ukazał się był już w r. 1826 a pierwsze tomy w r. 1830. A gdy Comte dowiedział się, że Littré jego książki czyta (co wówczas jeszcze rzadko się trafiało), przysłał mu w darze komplet dzieł swo-

[1] Bartłomiej Littré był także medykiem, przypadkiem zatruł się przy sekcyi jadem trupim, wskutek czego umarł.

ich i stąd wywiązała się wzajemna znajomość, później przyjaźń, ze strony Littré'go nawet więcej niż przyjaźń. „Pan Comte nie zawiódł się na grzeczności, jaką mi zrobił", pisze Littré w przedmowie do jednej z późniejszych prac swoich o filozofii pozytywnej, „książka jego podbiła mię, stoczyłem walkę między dawnemi przekonaniami mojemi a tą nową doktryną, która tem pewniejszy odniosła nad niemi tryumf, ile że pokazując mi moją przeszłość *jako stan przejściowy*, nie kazała z nią zrywać zupełnie ani stawać w sprzeczności ze samym sobą, tylko oświecała mi moje dawniejsze opinie nowem światłem, rozszerzając mi je i dalej je we mnie rozwijając. Odtąd stałem się uczniem „filozofii pozytywnej" [1]. A wnet nietylko był uczniem lecz i jednym z głównych apostołów pozytywizmu.

Pierwszą propagandę nowej doktryny rozpoczął Littré w dzienniku *National*, bo chociaż redaktorowie jego nie byli zwolennikami pozytywizmu, owszem wyznawali, jak sam Littré przyznał, odmienne kierunki filozoficzne, pozwalali mu jednak pisać w dzienniku o pozytywizmie kiedy i jak mu się podobało; dosyć że od r. 1844 *National* miał stałą rubrykę dla filozofii pozytywnej, redagowaną przez Littré'go. Przeważnie ze zbioru tych artykułów z *National'a* złożył Littré pierwsze obszerniejsze książki swoje o pozytywizmie, mianowicie: *L'Analyse raisonnée du cours de Philosophie Positive* z r. 1845. *Application de la Philosophie Positive au gouvernement des societés* z r. 1849. *Conservation. Revolution et Positivisme* z r. 1850.

Czemże podbiła sobie książka Comte'a uczony umysł Littré'go? Przedewszystkiem ową sławną *legendą historyozoficzną* (która także wiele i polskich umysłów oczarowała), jakoby ludzkość przebyła już i wyczerpała dwa kierunki, dwa zasoby, dwa stany swego umysłu: stan dziecinny, religijny, i stan młodzieńczy, metafizyczny, a weszła teraz we wiek męskiej dojrzałości, czyli w stan umiejętności i filozofii pozytywnej, w którym bez religii, bez teologii, jakoteż bez metafizyki obejść się może i powinna, zastępując je naukami pozytywnemi. „Starożytność pogańska zaludniwszy świat cały bogami, jakoteż i monoteistyczne

[1] Littré: Auguste Comte et la philosophie positive, préface, z r. 1863.

średnie wieki były umysłowo w stanie dziecinnym, teologicznym". Wieki spekulacyj filozoficznych od Descartes'a aż do Hegla, to stan młodzieńczy, metafizyczny umysłu ludzkiego; „dziś zaś, mówi Comte, duch ludzki jest w stanie pozytywnym, poznawszy niemożliwość nabrania pojęć absolutnych, wyrzeka się poszukiwań nad początkiem i przeznaczeniem świata, jakoteż rezygnuje z poznania wnętrznych przyczyn zjawisk, aby zająć się wyłącznie odkryciami faktycznych praw rządzących zjawiskami, odkryciami (za pomocą obserwacyi i dobrze użytego rozumowania) ich wzajemnych ze sobą związków nieodmiennych, ich po sobie następstwa i ze sobą podobieństwa" [1]. Czas już, żeby umysł ludzki w swej wielkiej pracy rozumowej (dans son grand travail intellectuelle) wyzwolił się z pod panowania „złudnych wytworów czystej wyobraźni" (des fictions de l'imagination pure), jakiemi są wszystkie wyobrażenia religijne, teologiczne, i z pod panowania „czysto oderwanych pojęć własnego rozumu, niemniej bezpłodnych i błahych" (des simples entitèes mètaphysiques non moin sterils et puerils), a spoczął w poznaniu „rzeczywistości przedmiotowej, sprawdzić się dającej" (de la réalité objective et vérifiable) — oto hasło nowej szkoły, które wahającemu się Littré'mu przedewszystkiem przypadło do smaku. „Trzeba, żeby nowa klasa uczonych, przygotowana przez odpowiednie wychowanie, nieoddająca się szczegółowej uprawie żadnej specyalności nauk przyrodniczych, zajęła się wyłącznie rozważeniem rozmaitych umiejętności pozytywnych w ich aktualnym stanie, aby określić ściśle ducha i granice każdej z nich i odkryć ich wzajemny do siebie stosunek i łączność ich ze sobą, i sprowadzić, o ile to możliwem, wszystkie zasady im właściwe do małej liczby zasad wspólnych, zostając przytem zawsze wiernymi fundamentalnym zasadom metody pozytywnej" [2]; oto program, oto zadanie nowej filozofii pozytywnej, które uniwersalny a niewierzący umysł Littré'go, obyty na różnych polach nauki, szczególnie podbić i zachwycić musiało.

Że dążność do syntezy ostatnich wyników rozlicznych nauk przyrodniczych w jednę filozofię natury, jest rzeczywiście jednem

[1] Aug. Comte. Cours de phil. pos. pre leçon.
[2] Aug. Comte. Philos. posit. 58-e leçon.

z żywotnych zadań filozofii XIX. wieku, że poprzednie (przed Comte'm, metafizyczne spekulacye w duchu transcendentalnego idealizmu Kanta, Fichtego, Schellinga i Hegla, były niekoniecznie wydarzonemi próbami syntezy wiedzy ludzkiej, i mogły zniechęcić trzeźwiejsze umysły do metafizyki nieliczącej się jak należy z prawami zdrowego rozsądku i ze zdobyczami poszczególnych nauk pozytywnych, że nareszcie filozofia powinna „być wierną fundamentalnym zasadom metody pozytywnej", t. j. powinna opierać swoje rozumowania i wnioski na faktach rzeczywistych, a przedewszystkiem na tem, co wiemy wprost jako najpewniejszą rzeczywistość — temu wszystkiemu myślę, że dziś już nikt nie zaprzeczy i pod tymi względami wszyscy jesteśmy dzisiaj pozytywistami. Ale nie trzeba o tem zapominać, że różne są metafizyki na świecie jak i różne są religie. To też żeby dzisiejszej pracy nad rozwiązaniem zadania syntezy nauk, według ścisłej metody filozofowania, miały w czemkolwiek przeszkadzać zdrowe przekonania i pozytywne dogmaty religijne, teologiczne, albo ścisłe zasady metafizyczne, żeby wszelka teologia i metafizyka miały być niby zamierzchłemi już, dziecinnemi lub młodzieńczemi fikcyami nie licującemi z dojrzałym męskim wiekiem i pozytywnym stanem umiejętności — i nareszcie, żeby filozofia w ogóle, w całości wzięta mogła kiedykolwiek w praktyce być uprawianą trwale i skutecznie z pominięciem zupełnem i umyślnem ignorowaniem wszelkiej teologii i metafizyki, jak tego właśnie chce t. z. pozytywizm Comte'a a za nim i Littre'go, — takim wcale niepozytywnym, lecz przeciwnie iście negatywnym dogmatom nowej szkoły t. z. pozytywizmu wręcz sprzeciwia się prawda dziejowa płynąca z rzeczywistej natury ludzkiej i zawarta w historyi rozwoju wszech nauk ludzkich i filozofii. Bo przecież od Thalesa począwszy aż do Comte'a i Littré'go, wszystkie ważniejsze epoki rozwoju nauk i filozofii, czy to starożytność grecka, czyli średnie wieki, czy też era nowożytna, miały zawsze razem równocześnie uprawianą stronę *teologiczno-religijną*, stronę *metafizyczną* i stronę *pozytywną* swojej wiedzy (jeśli tak ma być nazwaną coraz głębsza znajomość przyrody). Te trzy kierunki, czyli trzy „stany" albo właściwiej trzy działy wiedzy ludzkiej, teologiczny, metafizyczny i pozytywny, jakkolwiek różne od siebie, wcale nie wykluczają się nawzajem z biegiem czasu, lecz owszem mieszczą się razem w naukowej

jaźni ludzkiej i dopełniają się wzajemnie, mając każdy w sobie coś niezbicie pozytywnego i razem dopiero przez myślące indywidua doprowadzają ludzkość do pełni jej wiedzy, do pełni jej nauk i filozofii na każdy czas, na każdą epokę jej rozwoju.

Już Thales ἀρχηγὸς φιλοσοφίας, inicyator, naczelnik filozofii, jak go nazwał Arystoteles [1], mędrzec „dziecinnej starożytności", jak mniemał Comte, już Thales we filozofii swojej, gdy mówił: πάντα πλήρη θεῶν [2], „wszystko pełne jest Bogów", był *teologiem* — a gdy mówił, że „wszystko na świecie jest z wody" [3], i usiłował wszystko co widział w koło siebie, sprowadzić myślą swoją do jednego początku, czyli pierwiastku (ἀρχή, στοιχεῖον), był metafizykiem, a gdy dowodził „że kąty trójkąta równają się dwom prostym", albo „że kąt wpisany w półkole jest zawsze kątem prostym [4], lub gdy przepowiadał na kilka lat naprzód zaćmienie słońca na podstawie egipskiej [5] wiedzy astronomicznej, był pozytywistą w znaczeniu jak je rozumieją sam Comte i Littré, bo uprawiał matematykę i astronomię, a więc główne części filozofii pozytywnej według Comte'a, a uprawiał je nie na żarty i na swój wiek nie po dziecinnemu, skoro zostały po nim teoremy geometryczne, które weszły później w skład geometryi Euklidesa, których do dziś dnia jeszcze uczą się nasi chłopcy w szkołach, i skoro wyrachował naprzód dzień zaćmienia słońca [6].

A co tu pokazałem na Thalesie, tem lepiej jeszcze daje się stwierdzić na całej szkole Pythagorasa i na filozofii Platona i Arystotelesa; mianowicie: że starożytność obok wielu błędów przekazała nam także i wielkie zasoby prawdziwej wiedzy i to zarówno *teologicznej*, *metafizycznej* jak i *pozytywnej* przyrodniczej. W teologii doszła ona prawie do czystego monoteizmu u Platona i Arystotelesa; w metafizyce, wytworzyła ją i ugruntowała przez Arystotelesa na podstawach niespożytych, do których ludz-

[1] Metaph. Lib. I. cap. 3.

[2] Aristot. de anima Lib. I. cap. 5.

[3] Aristot. Metaph. Lib. cap. 3.

[4] Procli Diadochi in primum Euclidis elementarum librum commentari 1870.

[5] Moritz Kantor Geschichte der Mathematik.

[6] Herodot. Lib. I. cap. 74. Kantor Gesch. d. Math. — P. A. Hansen. Abh. der k. Sachs. Ges. d. Wiss. Leipzig 1864, obliczył to zaćmienie księżyca wstecz na 28 maja r. 585 po Chr.

kość zawsze powraca *mutatis mutandis* w różnych epokach wyższej cywilizacyi. A i w naukach zwanych pozytywnemi: w astronomii, w matematyce, we fizyce, w zoologii, fizyologii i t. d. nie można lekceważyć spuścizny starożytności, bo zostawiła nam ona wiele nabytków, które na każdy sposób ważnością swoją dalej odbiegły od poprzedniej na tych polach europejskiej ignorancyi, aniżeli nowożytne świetne postępy i zdobycze naszej wiedzy przyrodniczej prześcignęły medycynę Hippokratesa albo fizykę i zoologię Arystotelesa lub system astronomii Pythagorejczyków i Ptolomeusza [1].

A jeżeli starożytność była już poniekąd pozytywną w *metafizyce*, odsłoniwszy nam główne pryncypia ludzkiej myśli i wiedzy, jeśli do pewnego stopnia była ona pozytywną już i w *naukach ścisłych*, bo rzuciła niejedną podwalinę, na których te nauki dalej skutecznie rozwijać się mogły, to w naszej erze chrześcijańskiej prócz tego jeszcze i *powszechna religia* ludzkości stała

[1] Jako illustracya do tego faktu, jak bliską nieraz była starożytność od tych odkryć, któremi najbardziej chlubią się nowsze czasy, i jak odrodzenie starożytności właśnie je wywoływały, niech posłuży ustęp z listu Kopernika do papieża Pawła III.: Reperi apud Ciceronem primum Hicetam scripsisse terram moveri. . . . Inde igitur occasionem nactus, coepi et ego de terrae mobilitate cogitare (Copern. Revolut. coelest. Praef. Gassendi, Vita Copern. p. 287). Odnośny ustęp z Cicerona (Aeol. l. IV. cap. 32.) brzmi: „Hicetas Syracusius, ut ait Theofrastus, coelum, solem, stellas, supera denique omnia stare censet, neque praeter terram rem ullam in mundo moveri, *quae quum circum axem se summa celeritate convertat et torqueat, eadem effici omnia, quasi stante terra coelum moveatur*. Także Laërtius (lib. VIII. cap. 7.) pisze, iż Philolaos i Hiketas pythagorejczycy sądzili, że ziemia obraca się w koło (τὴν γῆν κινεῖσθαι κατὰ κύκλον), a to samo potwierdza Plutarch, (de placitis Philos. lib. III. cap. 132) i dodaje że i Ekfantus (Pythagorejczyk) i Herakleides uczeń Platona twierdzą, że ziemia obraca się około swego środka (περὶ τὸ ἴδιον αὐτῆς κέντρον.) Najjaśniej zaś i najwyraźniej rozwinął teoryę obrotu ziemi koło swej osi i koło słońca, które stoi w miejscu i jest właściwie κέντρον świata a nie ziemia, Aristarchos z Samos, a więc z ojczyzny Pythagorasa pochodzący i za Pythagorejczyka uchodzący (około 250 l. przed Chr.), jak świadczy o tem Plutarch (de fac. in orb. lun. i Quaest. Plut. VII. i de Placitis philos. l. II. cap. 24.) zob. *Pythagore et la philosophie pythagoricienne par A. Ed. Chaignet, Paris 1874.* Tom II. str. 143. Z tego wszystkiego pokazuje się, że szkoła pythagorejska w astronomii była bliższą prawdy, aniżeli później panujący system Ptolomeusza, i że Kopernik filozofom starożytnym zawdzięcza pierwszą pobudkę do swego wielkiego odkrycia.

się pozytywną. Zyskawszy bowiem oparcie na dawnych pozytywnych faktach historycznych pozytywnego objawienia Starego zakonu, zatwierdzonego na nowo w swej pozytywności i dopełnionego przez Tego, który przyszedł na świat, „aby dać świadectwo prawdzie“ ugruntowaną została religia nasza przez Najpozytywniejszą, bo Boską osobę Chrystusa i przez Kościół Jego, także pozytywny (d'une realité objective et vérifiable), bo widomy, faktyczny i w każdej chwili sprawdzić się dający obserwacyą, ścisłem badaniem jego dziejów i experymentem prześladowania jako: rzeczywisty, powszechny i niezwyciężony!

I gdzież tu miejsce dzisiaj na ową historyozoficzną legendę, t. z. pozytywistów o tych dwóch niby przejściowych stanach wiedzy ludzkości jako teologicznej i metafizycznej i o trzecim stanie, który ma być wyłącznie naukowo-pozytywnym, i dopiero dzisiaj na gruzach teologii i metafizyki sam jeden ma zapanować? Skoro pokazuje się z dziejów ludzkości, gdy się spoglądnie na ich całość z wysokości chrześcijańskiej filozofii i cywilizacyi i gdy się uwzględni wszystkie główne czynniki i momenta jej rozwoju umysłowego, ludzkość w każdej chwili wyższej kultury umysłowej zawsze jest w posiadaniu jakiejś pozytywnej wiedzy równocześnie teologicznej, metafizycznej i fizycznej, i skoro od czasu ery pozytywnego chrześcijaństwa, tem bardziej jeszcze, chociaż stanie kto na gruncie teologicznym, bynajmniej mu to nie zawadzi, żeby prócz tego i w metafizyce i w naukach ścisłych, jeśli stosownie się wykształci, także miał wiedzę pozytywną a jeśli jest genialnym robił nawet i odkrycia jak wierzący Kopernik, Kepler, Ampère albo Secchi. I ten jest dzisiaj pozytywizm wiedzy ludzkiej pełny i zupełny! jeśli łączy w sobie wszystko, co w religii, w metafizyce i innych wszystkich naukach jest pozytywnego.

Jeżeli zaś Comte a za nim Littré i innych wielu, pozytywność wiedzy naszej przyznają li tylko na polu nauk przyrodniczych i matematycznych, a zaś sferę wiedzy teologicznej i metafizycznej mienią być polem „zupełnej ignorancyi“, „absolutnej niewiadomości“, mówiąc, „że o tych sferach nie można niczego ani twierdzić, ani też zaprzeczać, tylko trzeba uznać je raz na zawsze za nieznane i do poznania niepodobne“, to stanowisko takie, oparte na podwójnej negacyi, wypada nazwać raczej *negaty-*

wizmem niż *pozytywizmem*. A gdy do tego się zważy, że pierwsze zasady wiedzy ludzkiej, na których cała umiejętność ludzka polega, a więc także i fizyka i matematyka, są metafizyczne i że gdybyśmy je usunęli jako niewiadome, to i fizyka i matematyka przestałyby być wiedzą pewną, pozytywną, natenczas przychodzimy do przekonania, że t. z. pozytywizm Comte'a i Littré'go chyba dlatego nazywa się pozytywizmem, że właściwie, idąc do gruntu, nie znajdziesz w nim nic pozytywnego... Zresztą, stanowisko zajęte przez pozytywizm dzisiejszy wobec teologii i metafizyki, nie może nawet pochlubić się zaletą nowości.

Będzie temu przeszło dwadzieścia trzy wieki, jak Protagoras czytał w Atenach na rynku publicznie pismo swoje „o bogach", które zaczynało się od słów następujących: „O bogach nic nie wiem (οὐκ ἔχω εἰδέναι), ani czy są, ani czy ich nie ma; niejasność przedmiotu i krótkość życia stoją na zawadzie, aby o tem wiedzieć coś pewnego"[1].

Starszy zaś od Protagorasa Gorgiasz jeszcze głębiej rozumował, gdy mówił: „Ponieważ ci, co o początkach wszechrzeczy rozprawiają, dochodzą do sprzecznych ze sobą zdań, i tak: jedni twierdzą, że wszystko jest jednością a nie mnogością[2], inni zaś że wszystko jest mnogością a nie ma wcale jednej istności (absolutnej)[3], jedni mówią, że co jest nie mogło nie mieć początku, a inni, że co raz jest, zawsze być musiało a przeto nie ma początku; więc właściwie o niczem takiem nie można pewnie powiedzieć że jest (οὐκ εἶναι οὐδέν), bo jeśli co jest (Gorgiasz mówi tu o istności absolutnej), nie może przez nas być poznanem (ἀγνωστὸν εἶναι, skoro wpadamy w sprzeczności myśląc o tem), a choćby nawet było coś, i mogło być znanem, to my nie mamy na to słów, aby to komu odsłonić (οὐδηλώον ἄλλοις"[4]). Więc oczywiście najlepiej nic o tem nie myśleć i nic nie twierdzić, chyba tyle że: οὐκ εἶναι οὐδέν.

Littré zaś w duchu Comte'a odzywa się tak[5]: Nie znając ani

[1] Diog. Laert. Lib. IX. cap. 8.

[2] Eleaci.

[3] Leucippus i Demokryt.

[4] Gorgias: περὶ τοῦ μὴ ὄντος (O tem co nie jest) cyt. *Sextus Emp.* Math. VII.

[5] W artykule *Transrationalisme* w Revue de philos. postive 1880 Janvier.

początku ani końca wszechrzeczy, nie ma miejsca dla nas ani na negacyę czegoś po za tym początkiem i po za tym końcem, ani też na afirmacyę... Doktryna pozytywna rozwiązuje najwyższą kwestyę o wszechmądrości Bożej w tym sensie, *że przyznaje się co do tego do zupełnej niewiadomości,* która pociąga za sobą koniecznie takie stanowisko, że jeśli się nie zaprzecza wszechmądrości Bożej, bynajmniej się też jej nie zatwierdza, pozostając w zupełnej neutralności między negacyą i afirmacyą". Dotąd mówi Littré zupełnie jakby drugi Protagoras: O Bogu nic nie wiem, ani czy jest, ani czy Go nie ma... „Ale", pisze on dalej w tym samym artykule, „nie trzeba tak pojmować tej neutralności filozofa pozytywnego, jakoby on zajęty rzeczami najbliższemi, zostawiał wolność myślenia co się podoba o najpierwszych przyczynach. Nie, nie pozostawia on pod tym względem żadnej wolności, bo ogłasza wyraźnie pierwsze przyczyny jako nieznane i do poznania niepodobne. Brak afirmacyi i brak negacyi są tu od siebie nieoddzielne, i nie można dowolnie nie uwzględniać braku afirmacyi, aby przywiązać się do braku ich negacyi (t. j. przypuszczać że są). Nie można naraz dwom panom służyć, t. j. razem oddawać się wiedzy o rzeczach względnych i wiedzy o rzeczach bezwzględnych i przypuszczać jakąś znajomość rzeczy tam, gdzie ściśle biorąc, jesteśmy li tylko w stanie zupełnej niewiadomości". Tu już wyraźnie przechyla się Littré od skeptycyzmu Protagorasa aż do Gorgiaszowego nihilizmu metafizycznego, bo jeśli nie wolno filozofowi „pozytywnemu", nawet choćby z pewnem powątpiewaniem, przypuszczać, że po za rzeczami względnemi jest coś absolutnego, że mogą być jakieś „najpierwsze przyczyny", to czemże różni się takie stanowisko pozytywisty od prostej negacyi Gorgiasza: οὐκ εἶναι οὐδὲν?

W starożytności Protagorasa i Gorgiasza, jako też im podobnych mędrców, nazywano po prostu Sofistami; dzisiaj czasy się zmieniły i ci, co tak samo jak Gorgiasz i Protagoras nic *nie twierdzą* i nic *nie stawiają,* nazywają się „Pozytywistami".

Ale mniejsza o nazwę, zostawmy ją jej losowi a rozważmy lepiej rzecz samą, zastanówmy się nieco bliżej nad samą zasadą pozytywizmu, czy jak to nazwać, sformułowaną powyżej przez Littré'go w duchu Comte'a jako: „nieoddzielność braku afirmacyi od braku

negacyi w kwestyach metafizycznych, i jako zupełną co do nich neutralność między twierdzeniem a przeczeniem czegokolwiek o najpierwszych przyczynach, o których mamy być w stanie zupełnej niewiadomości". Gdzież jest akrobata, choćby nie wiem jak zręczny w sztuce dyalektycznej ekwilibrystyki, coby się na tak chwiejnem stanowisku utrzymać zdołał? Równowaga między brakiem twierdzenia a brakiem przeczenia w kwestyach najwyższych przyczyn jest z natury rzeczy dla umysłu ludzkiego równowagą tak niestałą, tak fikcyjną, iż każdy pozytywista z tej cienkiej linki rzekomej neutralności między twierdzeniem a przeczeniem, rzuconej w powietrze a nie przytwierdzonej do niczego stałego, pomimo woli spadać musi to w negacyę, to w afirmacyę tego właśnie co wydaje mu się *zupełnie niewiadomem i nieznanem*, a co w rzeczy samej jest tak jemu jak i wszystkim ludziom, li tylko *nie w zupełności wiadomem, niezupełnie znanem*, i który to stan *wiedzy niezupełnej* od stanu *zupełnej niewiadomości* tak dalece jest różny, jak byt od nicości. Branie *wiedzy niezupełnej* za *zupełną niewiadomość*, oto konik, na którym swego czasu jeździli sofiści greccy z wielkiem powodzeniem, bałamucąc umysły młodzieży, jak to czytać można we wdzięcznych dyalogach Platona mistrza niedoścignionego w wykrywaniu dyalektycznych koziołków i niekonsekwencyi sofistycznego myślenia, — i oto jest także główny błąd pozytywizmu Comte'a i Littré'go, który prowadzi ich również do ciągłych sofistycznych niekonsekwencyi. Gdyż wbrew powszechnemu faktowi pewnej, choć niedoskonałej i niezupełnej wiedzy ludzkiej o rzeczach najwyższych, metafizycznych, i w obec koniecznego w umysłach ludzkich postulatu znajomości przyczyn wszech rzeczy jako najrealniejszych rzeczywistości, uprawiać filozofię, szukać prawdy, a żyć tak, jakoby się o najpierwszych przyczynach zgoła nic nie wiedziało, niczego wiedzieć nie mogło — jest po prostu niepodobieństwem.

Niepodobna bowiem myśleć i działać konsekwentnie, ignorując jednę z pierwszych zasad metafizyki, stare *principium contradictionis*, według którego *nic nie może razem być i nie być*, i płynącą z niego jednę z pierwszych zasad logiki, która nie dozwala nam żadną miarą jednej i tej samej rzeczy razem twierdzić i zaprzeczać, razem cośkolwiek wiedzieć a równocześnie tego sa-

mego nie wiedzieć i nie uznawać. I dlatego też filozofia Comte'a i Littré'go była rzec można szeregiem ciągłych niekonsekwencyi. A że były to umysły uniwersalne, (którym nie było obcem nic ludzkiego), dążące do objęcia wszystkich głównych zagadnień ludzkiej nauki i ludzkiego życia, więc też pole do sprzeczności i przeciwieństw było niezmiernie szerokie, wobec czego my poprzestać musimy li tylko na lekkiem dotknięciu kilku przykładów najdrastyczniejszych.

Po ogłoszeniu „kursu filozofii pozytywnej", będącego jakoby wiernem odbiciem „pozytywnego stanu wiedzy ludzkiej", w którym „rozum ludzki poznaje li tylko same fenomena rządzone tkwiącemi w nich prawami ogólnemi, od których nic uzyskać nie można, ani modlitwą, ani czcią religijną", August Comte w kilkanaście lat później (w r. 1854) ogłasza jako depełnienie swej filozofii: *Système de politique positive, ou Traité de sociologie instituant la religion de l'humanite*, a w następnych latach wydaje prócz tego „kalendarz pozytywistyczny i katechizm pozytywistyczny" i puszcza w świat ów sławny „list do cesarza Mikołaja" jako „predestynowanego opiekuna i protektora polityki i filozofii pozytywnej" a w końcu rozpoczyna dzieło: *Synthèse subjective*, które mu śmierć przerwała. Otóż wszystkie te publikacye, nie licują wcale z poprzednim kursem filoz. pozytywnej. Przeciwnie cała ta *seconda maniera* „subjektywnego pozytywizmu" Comte'a stoi w jaskrawej sprzeczności z poprzednim jego obiektywnym pozytywizmem niczego nie adorującym, skoro każe on teraz czcić „wielkiego Fetysza": ziemię i przestrzeń: *Le grand milieu* i „całość" *le Grand Être*, co wszystko razem nazwał trójcą pozytywną w analogii z Trójcą św. katolicką, a prócz tego kazał czcić ludzkość, a szczególniej kobiecie boską cześć oddawać, a siebie uważał także za godnego czci arcykapłana (Grand Prêtre) nowej religii pozytywnej ludzkości, wydawał listy pasterskie (breves), dawał śluby i udzielał innych sakramentów kultu nowej sekty tak, że Huxley mógł nazwać ten ostatni pozytywizm Comte'a (later Comtisme) „katolicyzmem pozbawionym chrześcijaństwa". Była to zresztą naturalna reakcya, słuszny choć tragiczny bo już nierozumny odwet duszy Comte'a krępowanej za długo sprzecznemi z naturą człowieka więzami zimnej

neutralności w rzeczach metafizycznych. Nieubłagana logika faktów psychologicznych pomściła się i upomniała się tu w straszliwy sposób o pognębione swe prawa.

Littré ze zgrozą i z ubolewaniem kochającego ucznia, odwraca oczy od tej „epoki pathologicznej“ swego mistrza i pisze przeciw tym aberracyom: „Rozumiem teologię przemawiającą w imię objawienia, ale któż może uwierzyć, że ziemia, ten „Wielki Fetysz“ ma swą wolę i dobre intencye dla ludzkości na niej się wychowującej... Comte w tej epoce uznaje, że rozum ludzki nie może obejść się bez wiary w jakieś wyższe potęgi woli niezawisłej i wkraczającej w bieg wypadków świata... ależ to śmierć pozytywizmu tego, który zapewnił, że rozum ludzki z natury swej nie jest ani teologiczny ani metafizyczny, gdyż to są tylko przejściowe jego stany. Jeśli tak, to już lepiej było wrócić do poprzedniego stanu teologicznego, bo przecież nie można mieć nadziei, żeby te mizerne fikcye wyobraźni mogły zastąpić teologią wyłonioną z głębi dziejów, uświęconą wiekami i wielkością instytucyi swego kultu“ [1].

Po tem tak fatalnem dla szkoły pozytywnej zboczeniu umysłowem jej mistrza, Littré stał się głównym rzecznikiem dawniejszego pozytywizmu Comte'a, i choć zerwał z nim samym osobiste stosunki i nie szczędził mu ostrej krytyki, warując swoje odrębne stanowisko we wielu kwestyach, niemniej przeto *prima maniera* filozofii pozyt. Comte'a była dlań ideałem, którego bronił przez wiele lat, licznemi pismami [2]. I tak jeszcze w r. 1863. w książce potępiającej ostatni fetyszyzm mistrza, pomimo to pisze Littré: „Dzisiaj gdy od 20 lat przeszło jestem wyznawcą filozofii pozytywnej, zaufanie jakie ona we mnie wzbudza, owoc długich i wielokrotnych rozmyślań, nie zostało nigdy zawiedzione. Zajęty przedmiotami bardzo rozmaitymi, historyą, językiem, filozofią, medycyną, erudycyą, posługiwałem się tą filozofią jakby narzędziem, które mi zakreśla granice początek i koniec każdej

[1] Auguste Comte et la Philos. posit. (p. 562—564).

[2] Paroles de philos. posit. (1859). Fragments de philos. posit. et de sociologie contemporaine 1876. Prócz tego założył Littré z p. Wyrouboff'em: La Revue de phil. Posit. w r. 1867, które to pismo w grudniu zeszłego roku przestało wychodzić.

kwestyi i ona to właśnie chroni mię od niebezpieczeństwa popadnięcia w sprzeczności ze samym sobą, w tę chorobę dzisiejszych umysłów". Jeszcze więc nie czuje tego Littré wcale, że zaród tej „choroby dzisiejszych umysłów" miał w sobie w najwyższym stopniu. Gdyż właśnie aitiologia tej tak powszechnej dzisiaj epidemii niekonsekwencyi w myślach, uczy nas, że główną jej przyczyną jest dzisiejsza atmosfera naukowa przepełniona miazmami czy bakteryami nowego pozytywizmu, który jak nie uchronił Comte'a od najsroższych sprzeczności ze samym sobą, tak też popychał w nie i Littré'go.

Jako palladium bezstronności czyli t. z. objektywności filozofii pozytywnej, i jako ubezpieczenie od niekonsekwencyi uważał Littré takie usposobienie umysłu, aby w rzeczach religi i metafizyki jako zupełnie nieznanych, niczego nie twierdzić i niczego nie zaprzeczać. Lecz pomimo wmówionej w siebie absolutnej niewiadomości w kwestyach „początków i przyczyn wszech rzeczy" pomimo rzekomego zamknięcia się w sferze li tylko samych faktów, które mogą być sprawdzone experymentem, li samych „praw dowiedzionych", nareszcie pomimo wielokrotnych zapewnień, „że prawdziwy pozytywista nie jest i nie może być ani materyalistą ani spirytualistą", Littré rozwija sam (w art. Paroles de phil. posit.) materyalistyczne hipotezy kosmograficzne. A prócz tego mówi on: „Świat jako całość ma swe przyczyny, które nazywamy *prawami*. Immanencya tych praw w świecie, oto co nam tłómaczy świat przez przyczyny, które w nim są zawarte. Ta *immanencya* jest wprost nieskończona, gdyż pominąwszy typy i postacie indywidualne, stawia nas ona w bezpośredni związek z wiecznemi motorami świata nieograniczonego i odsłania naszej myśli zadziwionej i zachwyconej światy noszone przez przepaście, przestrzeni i życie niesione przez odmęty czasu i t. d." ...

Czyliż to nie jest metafizyka i to metafizyka chyba ciemniejsza od wielu potępionych przez pozytywizm Comte'a i Littré'go? Czyż Littré niczego tu nie twierdzi, albo może niczego nie zaprzecza w kwestyi początku świata, skoro twierdzi wyraźnie, że świat sam w sobie ma swe przyczyny, a więc tem samem zaprzecza, żeby ją mógł mieć po za sobą? A przytem owa „nieskończona immanencya" i owe „przepaście przestrzeni dźwigające

świat i odmęty czasu niosące życie", czyż nie są to „istności metafizyczne" *(des entitées metaphysiques)* najgorszego gatunku godne przestarzałych spekulacyi, które z każdej dowolnej abstrakcyi naszego rozumu, robiły przyczyny wszech rzeczy? A przecież pozytywizm miał się wyrzec raz na zawsze wszelkich „istności metafizycznych", jak chrześcijanin wyrzeka się złego ducha i wszelkich spraw jego!

A dusza? wszak to także „nieznajoma" o której prawowierny pozytywista nie powinien wiedzieć czy ona jest czyli jej niema i czem ona jest, jeśli jest w rzeczywistości. Tymczasem w przedmowie Littré'go do książki p. Leblais: *Materialisme et spiritualisme*, mówi on między innemi, że myśl ma się tak do substancyi nerwowej, jak ciężkość do materyi w ogóle. „Tak samo jak fizyk poznaje że materya cięży, fizyolog stwierdza, że substancya nerwowa myśli, i ani jeden ani drugi nie może mieć pretensyi do wytłomaczenia, dlaczego pierwsza ciąży a druga myśli". Ale skąd może mieć pretensyę fizyolog do tej wiadomości, że w ogóle substancya nerwowa myśli tak samo jak materya ciąży? skąd można wiedzieć, że substancya nerwowa: znane nam połączenie znanych pierwiastków chemicznych w białkowatą szarą i białą masę włókien i komórek, zdolna jest sama przez się nietylko ciążyć i drgać i t. d., lecz także i czuć i myśleć i być tego świadomą, skoro tego experymentem nikt jeszcze nie dowiódł i nikt nie dowiedzie? Przez jakież igrzysko losów pozytywista, który nie ma być ani materyalistą ani spirytualistą, gdyż jego obchodzą przecież li tylko „fakta dowiedzione", znajduje się nagle tak łatwo na arbitralnem i naukowo bardzo podejrzanem stanowisku dogmatycznego materyalizmu Vogta, Moleschotta i Büchnera? Takich przykładów przytoczyć dałoby się bardzo wiele; powyższe wystarczą, żeby nam pokazać, iż nawet tak sumienny i sprawiedliwy mąż jak Littré, z dobrą wiarą w objektywność swoją filozofujący na stanowisku sławionej przez pozytywistów bezwzględnej neutralności w rzeczach metafizyki utrzymać się nie był w stanie. Gdyż jak w polityce tak i we filozofii absolutna neutralność jest tylko czczem słowem, bo w praktyce filozoficzna neutralność wychodzi na to samo co w polityce t. z. system nieinterwencyi, który w rzeczy samej jest najszkodliwszą interwencyą. To też zdrowy

instynkt mieli Ateńczycy, gdy w rozterkach politycznych zakazywali obywatelom być neutralnemi, i gdy Protagorasa po owym sławnym odczycie „O bogach“ wypędzili z miasta.

Już w samym tym pierwszym akcie, gdy sobie kto raz powie: „o Bogu, o duszy, nic nie wiemy i nie możemy wiedzieć, ani czy są, ani czy ich nie ma“, tkwi koniecznie, choćby pomimowoli to przeświadczenie, że skoro zupełnie nie wiem czy są, to jużciż nie będę się modlił: „Boże, jeżeli jesteś, zbaw moją duszę, jeżeli ją mam“, lecz mogę sobie z czystem sumieniem tak żyć i tak pisać, jakby ani Boga ani duszy wcale nie było, co w praktyce nie różni się niczem od prostej negacyi, a co w gruncie jest nawet niebezpieczniejszem i dalej idącem od prostej indywidualnej negacyi, za którą odpowiedzialność bierze każdy sam na siebie; bo w tej niby neutralności, w rzeczach religii i metafizyki, ukryta jest zawsze ta nieprzyjazna dla całej ludzkości, sofistyczna dążność do zgnębienia i przytłumienia we wszystkich umysłach w ogóle ich naturalnego popędu do prawd religii i metafizyki.

Ale to szczęście, że ten popęd przyrodzony, zwłaszcza w człowieku prawym i sumiennym, choć obałamuconym doktryną, nie tak łatwo daje się przytłumić. Najlepszy przykład tego mamy na Littré'm, bo nietylko w stronę negacyi łamał on swą doktrynerską neutralność, lecz lgnął także czasem i do afirmacyi. Wykraczając przeciw pierwszej tezie t. z. pozytywizmu: „jakoby umysł ludzki po za fizycznemi zjawiskami i prawami nic więcej nie poznawał“, i zapominając o swej nieoddzielności braku negacyi od braku afirmacyi, puszcza się on po za te granice i pisze: „To co jest po za faktami i prawami, czy to materyalnie... czy to intellektualnie... jest niedostępne umysłowi ludzkiemu, *ale niedostępne nie znaczy nieistniejące.* Niezmierność materyalna czy intellektualna trzyma się węzłem nierozerwalnym z naszą wiedzą, i przez ten węzeł staje się *pojęciem tak pozytywnem, jak inne:* Chcę powiedzieć, że ta „Niezmierność“ uderza nas podwójnym charakterem: swoją *rzeczywistością* i *niedostępnością.* Jest to ocean, który uderza o brzegi naszej wiedzy, a nie mamy nań łodzi ani żagla, ale jasny widok jego (la claire vision) jest równie zbawienny jak straszny“.

A więc jest przecie coś „po za faktami i prawami fizycz-

nemi", co uderza nasz umysł ludzki nie jako *nicość*, lecz jako *rzeczywistość* i o czem, jak sam Littré powiada, mamy „pojęcie pozytywne". A więc nasza „wiedza pozytywna nie wyczerpuje się całkowicie we wiedzy samych tylko faktów i praw fizycznych", skoro i to co jest po za niemi, znane nam jest jako *rzeczywistość niedostępna*, jak mówi Littré, ale niemniej przeto *pozytywna*, nie do przebycia jak ocean dla tych, co nie mają „łodzi ani żagla", ale przecież niezupełnie dla nas niewiadoma, skoro mamy o niej „pojęcie pozytywne", jako czegoś istniejącego w porządku „rzeczywistości". A choć prawda, że Littré wyraża to swoje „pojęcie pozytywne" pozafizycznej istności, czegoś *au delà des faits et des lois* w słowach bardzo nieokreślonych i niepozytywnych, jako „niezmierność bądź materyalną, bądź intellektualną", to jednak i w tem już kryje się wyraźnie u niego poznanie, intuicya, „une claire vision", a więc i uznanie czegoś Absolutnego, czegoś Metafizycznego, czegoś „strasznego a zbawiennego", co jak sam mówi: „trzyma się z naszą wiedzą (zwykłą, relatywną), węzłem nierozerwalnym".

A jeżeli tak jest, to natenczas jakżeż kazać człowiekowi: „nie będziesz dwom panom naraz służył, temu co relatywne i temu co absolutne"? skoro tak jedno jak drugie, jak sam Littré przyznaje, „związane ze sobą węzłem nierozerwalnym", tak w porządku rzeczywistości jak i w przyrodzonych prawach naszej wiedzy, o ile ta jest prawdziwem odbiciem i zatwierdzeniem pozytywnej rzeczywistości.

I właśnie dlatego, że nie możemy wiedzieć, ani rozumieć tego, co jest względne bez związku nierozerwalnego z intuicyą tego, co jest niezmierne, nieskończone, a więc bezwzględne, jakoteż i przez to, że znamy tak jedno jak drugie w porządku rzeczywistego istnienia, napróżno mówić myśli ludzkiej: „zamknij się w rzeczach względnych, fizycznych, nie tykaj bezwględnych, metafizycznych przyczyn wszech rzeczy, bo to są sfery dla ciebie niedostępne, ty właściwie nic o nich nie wiesz, nic wiedzieć nie możesz". Otóż wiem! odkrzyknie prędzej czy później, w lepszej chwili natchnienia, biedna myśl ludzka spętana, wiem przynajmniej tyle, *że one są*, te niebiańskie sfery! że one są *rzeczywistością pozytywną* a niezmierną, większą i potężniejszą od wszyst-

kiego, co pomyśleć mogę! A jeśli poza faktami i prawami przyrody (au delà des faits et des loix) jest jakaś *rzeczywistość nadprzyrodzona*, to jakżeż z nią się nie liczyć? jakżeż nie rwać się do niej? Kiedy chociaż nie mamy „łodzi ni żagla“, to mamy przecież za to pojęć, myśli naszych o niej lotne skrzydła, które niosą nas aż tam, gdzie graniczą „Stwórca i natura!“ bez względu nawet na to czyli tego chcemy lub nie chcemy.

To też każdy co w te modne dziś a zimne kajdany *neutralności* wobec rzeczy najwyższych myśli swe zakuć spróbuje — a przecież pomimo to szczerze prawdy szuka — sam, dopóki całkiem „myśli nie popsuł, mowy nie umorzył“, sam dobrowolne więzy na sobie targać będzie całe życie, jak owi mędrcy zachodu, Comte i Littré, w ciągłych paroksyzmach negacyi lub afirmacyi.

Ale Littré, był to umysł zbyt *pozytywny*, żeby cały mógł się był zgubić w „pozytywizmie“, żeby całą potęgę swej pracy zużył w obronie interesów i błahych koncepcyi nowej szkoły. Jakkolwiek obfita jego działalność pisarska na tem polu, była ona, jak i poprzednia dziennikarska i publicystyczna w rzeczach medycyny, tylko jedną i to nie największą częścią jego zajęć.

III.

„Jestem z tych umysłów niespokojnych, jakby oczarowanych (nauką) i nienasyconych, chciałbym być jak w domu, na różnych polach wiedzy, i jak pięknie powiedział Moliére *„obtenir des clartés de tont“*. Razem chciwy i skąpy, nie puszczałem tego, co raz trzymałem w ręku, i tak jeszcze zajęty byłem Hippokratesem, gdy już przedsięwziąłem wydawnictwo mego słownika. A co się nie roiło w mojej głowie ! Gdyby starość moja nie była tak chorowitą, byłbym z kilkoma współpracownikami rozpoczął jeszcze wydawnictwo *Historyi Powszechnej*, której cały plan już miałem gotowy“ [1]. Tak pisze Littré sam o sobie, w pogadance *„Comment j'ai fait mon Dictiotnaire“* (Paris 1880) nad grobem

[1] Plan do Historyi Powszechnej był nawet przedmiotem wykładu Littre'go w Bordeaux 1-go lutego 1871 r., podczas wojny prusko-francuskiej.

już stojąc, i ten jego słownik języka francuskiego, to największe dzieło jakie ten „skąpy a chciwy“ i w pracy niezmordowany uczony po sobie zostawił.

Od dawna już, obok innych zajęć wielu, uprawiał Littré filologię, nietylko grecką, lecz i staro-francuską. Owocem jego studyów nad starym językiem i literaturą francuską, były liczne artykuły umieszczane w *Journal des Savants* i w *Debatach w Revue des Deux Mondes*, które zebrane później w kilka tomów wydał jako osobne książki: *L'Histoire de la langue française, Litterature et Histoire, Les Barbares et le Moyen Age* (w r. 1875) i *Études et Glanures* (1880). Przetłómaczył on także „Piekło“ Dantego w języku *d'oil* z XIV wieku, wydane w r. 1879. Te właśnie prace Littré'go rozsypywane po różnych pismach, wcześnie zwróciły nań uwagę dawnego kolegi jego z liceum a już możnego wydawcę paryskiego Hachette'a, tak że już w r. 1846 namawiał go tenże do podjęcia się pracy nad słownikiem języka francuskiego, etymologicznym i historycznym. Dwanaście lat zeszło Littré'mu na pracach przygotowawczych do tego dzieła (od r. 1846—1858), trzynaście lat ciężkiej pracy, po kilkanaście godzin dziennie, kosztowało go wydawnictwo „słownika“, którego druk rozpoczęty w r. 1858, ukończył się wreszcie w r. 1871. Co za wspaniały przykład wytrwałości! Z naiwną radością obliczył Littré, po skończeniu dzieła, że gdyby jego czterotomowy słownik, (o trzech kolumnach na każdej stronnicy), złożono w jednę kolumnę i rozciągnięto w jedno pasmo, wyniosłoby ono przeszło 37 kilometrów. A trudno o coś bardziej nauczającego i razem podnoszącego jak artykuł Littré'go: „Jak zrobiłem mój słownik“, pamiętnik z 25-ciu lat życia, pośród prawdziwie ascetycznej pracy, wspomaganej przez dwóch tylko, później trzech najętych współpracowników i przez najpilniejszych dwóch dobrowolnych pomocników przez żonę i córkę, pośród ciągłej walki z niedoborem pieniężnym, któremu od czasu do czasu zapobiegać musiał Hachette zaliczkami naprzód. Littré przedstawia nam się tu w całej mocy i prostocie swego charakteru jakby wódz jaki, który stoczył zwycięzko długą i uciążliwą, ćwierćwiekową kampanię, dowodzącą nam jasno: że t. z. *deutscher Fleiss i deutsche Gründlichkeit* nie są wcale wyłącznym monopolem niemieckiego

narodu. Niezmierna przysługa, jaką oddał Littré literaturze francuskiej swoim słownikiem, nie została bez nagrody. „Mało wymagałem od społeczeństwa, ono zaś wynagrodziło mię ponad wszelką moją nadzieję i ambicyę; oddaję mu to świadectwo w chwili starości mojej, gdy już niczego nie pragnę i do niczego nie dążę". [1] Rzeczywiście różne zaszczyty sypały się teraz na głowę starca spracowanego, został członkiem akademii, deputowanym, później senatorem, a najbardziej cieszyło go to, że wszystkie godności, jakich dostąpił, pochodziły z wolnego wyboru. Lecz wszystko to jest niczem w porównaniu z tą moralną korzyścią, jaką odniósł Littré przez swój „słownik", a którą dopiero może w chwili śmierci swojej on sam należycie ocenić potrafił.

Jedynem nieszczęściem Littré'go był jego *pozytywizm*, a szczególnie to, że po śmierci Comte'a, on właśnie uczciwą firmę swego imienia wielkiego uczonego dawał całej francuskiej szkole pozytywistów, którzy tę firmę do swoich celów zręcznie wyzyskiwać umieli. To właśnie rzucało cień na zasłużoną ze wszech miar sławę Littré'go i ściągało nań mnóstwo słusznych napaści i koniecznych nieprzyjemności, jak np. taki fakt, że zasiadający w akademii, najbardziej wolnomyślny biskup Dupanloup, pomimo największego szacunku dla osoby Littré'go, zmuszony był szanowny od wieków przybytek nauki opuścić, gdy wszedł doń główny przedstawiciel na zewnątrz ateistycznej filozofii. Firmą pozytywizmu *pro foro externo* pozostał Littré do końca, lecz jakże odmienny jest jego pozytywizm ostatniej epoki życia po wydaniu słownika, od jego przekonań z lat i prac poprzednich!

Liczne a szczere wyznania Littré'go po różnych pismach, zwłaszcza z ostatniej epoki jego życia, tłómaczą nam aż nadto dobrze tę wielką choć powolną przemianę jego przekonań, samą naturą jego umysłu i sumiennego charakteru. „Mój umysł nie był z tych, pisze Littré, co od razu jasno widzą w niespodzianych okolicznościach, nie było bardziej bezbronnego jak ja wobec trudności nagłych, jeśli nie miałem dosyć czasu do przestudyowania ich i do przygotowania się na ich odparcie. Dlatego też lata

[1] Literature et Histoire, préface p. 3.

mej nauki były zawsze długie ale były dla mnie konieczne, a byłbym dziś niewdzięczny gdybym skarżył się na nie jako na czas stracony“ [1]. „Jestto ogólnym błędem mego rozumu, że niczego nie wiem przez intuicyą, jakoby *a priori*, i że jestem zmuszony uczyć się wszystkiego mocą oświadczeń drogo okupionych i niezmordowanych usiłowań“ [2]. Dla umysłu z jednej strony tak powolnego, lubiącego postępować tylko krok za krokiem, a z drugiej strony tak żądnego wiedzy całkowitej i „jasności we wszystkiem“, zetknięcie się przypadkowe (w r. 1840) z doktryną Comte'a, z tą niby syntezą wszech nauk opartą na samej indukcyi z faktów fizycznych, było w pierwszej chwili rewelacyą, do której od razu przylgnął. Gdyż jak sam mówi: „nie mogąc, pomimo usiłowań często powtarzanych, zgodzić się na żaden z panujących systemów filozofii teologicznej i metafizycznej, a z drugiej strony znając siebie, że o własnych siłach nie potrafię wznieść się do punktu widzenia tak uniwersalnego, żeby mi to zastąpiło potrzebę metafizyki i teologii, byłbym z natury mego umysłu pozostał chyba w zupełnej negacyi, gdyby nie Comte“ [3]. System filozofii pozytywnej Comte'a, który Littré poznał i zrozumiał lepiej niż inne panujące doktryny, był więc dlań w ówczesnych okolicznościach, pierwszem zaspokojeniem jego głodu szerszej syntezy wiedzy, tej gorączki pragnienia wyższego filozoficznego punktu widzenia rzeczy jaka go trawiła, lecz zarazem spadł na niego ten „system“ jako „trudność nagła i niespodziana“, wobec jakich był on, jak sam przyznaje, zawsze z początku „bezbronnym“, bo „umysł jego nie był z tych, co odrazu jasno widzą“. I tak dopiero gdy miał „dosyć czasu do przestudyowania“ wszystkiego przez pryzmat doktryny Comte'a, mocą doświadczeń „drogo okupionych i niezmordowanych wysiłków“ przychodził powoli do przekonania, jak sam przyznaje (w r. 1878), „że z początku we wielu kwestyach: „je ne jurais alorsque par la parole du maitre“, juravit in verba magistri! i że „chcąc aby słowa mistrza mógł uważać za prawdę, zadawał gwałt faktom pozytywnym i zamykał oczy na oczywiste ich znamiona“. Nic tak nie wytrzeźwia umysłu jak długoletnia

[1] Conservation, Revolution, Positivisme 2-e ed. p. 492.
[2] Études et Glannores p. 425.
[3] Aug. Comte et le posit.

praca w jednym wytkniętym kierunku do praktycznego celu. Dla Littré'go takiem właśnie otrzeźwieniem, była praca nad słownikiem, to też gdy po ukończeniu wielkiego dzieła z wielkiem powodzeniem, jakoteż po ciężkich klęskach Francyi, jakby zimną wodą oblany zaglądnął do swoich prac dawniejszych pisanych w pierwszej gorączce wiary w pozytywizm, przykre opanowały go uczucia. Mianowicie artykuł jego z r. 1850: *Conservation, Revolution, Positivisme* [1], w którym Littré z ducha doktryny pozytywizmu wyprowadzał praktyczne konsekwencye dla społeczeństw i narodów i stawiał soycologiczne i polityczne horoskopy na przyszłość, która w rzeczywistości, w jego oczach zupełnie innemi jak myślał poszła drogami, mianowicie ta książka o konserwatyzmie, rewolucyi i pozytywizmie z wielką wiarą w nieomylność pozytywizmu napisana, stała się dlań srogim wyrzutem sumienia, do tego stopnia, że aż postanowił zrobić drugą jej edycyę, dodając w notach własną, ostrą krytykę do wszystkich jej rozdziałów. I to właśnie, jak słusznie podnosi p. Caro, zasługuje u Littré'go na największe uznanie, że szukał on prawdy zawsze szczerze, choćby miał sam osobiście cierpieć na tem, że ją znalazł, i był z tych rzadkich dzisiaj ludzi, którzy bardziej kochają prawdę, niż siebie samego i którzy miłości własnej nie przekładają ponad miłość prawdy samej i gotowi są zawsze śmiało i poprostu powiedzieć to przykre słowo: „pomyliłem się", gdy doszli do tego przeświadczenia. Littré dowodził w r. 1850 jako to w epoce „pozytywnej", w którą Europa właśnie weszła, „solidarność ustaliła się między narodami, która z czasem będzie coraz jeszcze większą... Niemcy, Anglicy, Włosi, Francuzi, Hiszpanie będą coraz lepiej się rozumieli i coraz mniej do tego sposobni, żeby ze sobą wojować, Już dzisiaj (w epoce 48-roku) w Europie mamy tylko porażki polityczne, nie ma klęsk militarnych. Tylko partye polityczne są ze sobą w rozterce na całym zachodzie, ale nie narody". A jeszcze i w r. 1869 ogłaszał Littré, że doktryna pozytywizmu „chroni go od niebezpieczeństwa popadnięcia w sprzeczności ze samym sobą, od tej powszechnej choroby współczesnych umysłów" i zapewniał, że „bieg rzeczy tego świata nie mniej jak i doświadczenia osobiste

[1] Conservation, Revolution, Positivisme 2-ed. p. 480.

nietylko że nie stają w poprzek z doktryną pozytywizmu, lecz przeciwnie wszystko co się dzieje nowego w *nauce i w polityce*, wszystko na nowo ją popiera i utwierdza na polu umysłowem i społecznem“ [1]. Ale po długich latach pracy, narodowych klęsk i znoju, w r. 1878, Littré choć już stary, lecz przejęty zasadą, „że i starzec, jeśli nie jest uparty w swoich przekonaniach, może się jeszcze uczyć (jest *redressable* jak się wyraża) tak samo jak i człowiek młody i nie powinien zasklepiać się w swoich przesądach, które go dawniej olśniewały“ [2], ten sam Littré, zawsze prawdy chciwy, pospiesza z wyznaniem, że powyższe nieszczęsne utopie jego o wiecznym pokoju na zachodzie, „te nieszczęsne stronnice, są w ciągłej sprzeczności z wypadkami rzeczywistemi, jakie po nich nastąpiły“, i że „wieje z nich pewność siebie, która dzisiaj, nawet po tylu latach, boleść mi sprawia jako zaślepienie, na które chyba tylko wzruszyć ramionami“. „Zaledwie wyprorokowałem w moim dziecinnym entuzyazmie (choć miał już wtedy lat 50, tak wielki był wpływ nań niepozytywnego pozytywizmu), że nie będzie już więcej w Europie wielkich klęsk militarnych, które odtąd zastąpić mają tylko drobne wewnętrzne starcia polityczne, a oto przyszła wojna krymska, i wojny austryackie we Włoszech i w Niemczech, i klęski francuskie pod Sedanem i Metzem a świeża jeszcze klęska Turcyi pod Bałkanami, a czyż i na tem koniec będzie?“... „Pomyliłem się! woła starzec nad grobem, ale nie to mię straszy, bo *errare humanum*, ale co mięsza moje pojęcia, to właśnie ta *pewność* z jaką pamiętam wówczas przekonany byłem o ewidencyi praw pozytywnej socyologii, ta ufność w jej kryteryum, któremu kłam zadały wszystkie późniejsze wypadki“. Pozytywizm przynajmniej na polu praktycznem zbankrutował zupełnie w opinii samego Littre'go, i choć późno, ale nigdy za późno, przychodzi on do przekonania, że socyologia pozytywistyczna nie jest umiejętnością taką jak fizyka lub astronomia, bo przedmiot jej, dzieje ludzkości, są przedmiotem najbardziej skomplikowanym, gdyż przeważną rolę grają w nich czynniki

[1] Auguste Comte et le Positivisme.

[2] Experience retrospective au sujet de notre plus récente histoire.

osobiste woli i zdolności mężów stanu dyplomatów, wodzów, dziennikarzy, królów, cesarzów, ministrów i reprezentantów narodu. Oni to prowadzą *politykę empiryczną* na podstawie czy to intuicyi geniuszu, czy ustalonej rutyny i decydują o sprawach i kierują wypadkami, a polityka teoretyczna, czyli nowa umiejętność: socyologia, nie może przewidywać tych wypadków i przypadłości, lecz może tylko co najwięcej zakreślać najogólniejsze linie demarkacyjne społecznego rozwoju ludzkości.

Jakkolwiek tylko w jednej części doktryny pozytywizmu rozczarował się Littré, trwając zresztą dalej w negatywnem usposobieniu swojem względem metafizyki i religii objawionej, to jednakże gdy raz naocznie przekonał się, jak mało polegać można na własnem li tylko osobistem przeświadczeniu o pewności i ewidencyi czysto subjektywnych kryteryów swojej wiedzy, względniejszym był w tej ostatniej epoce swego życia dla tradycyjnych przekonań ludzkości, a zwłaszcza dla katolicyzmu.

Przedewszystkiem nie chciał on, aby *pozytywizm* był synonimem z *rewolucyą*, rewolucyą zaś nazywał „sumę wszystkich tendencyi, które gwałtownemi środkami atakują i burzą przeszłość w jej przekonaniach (dans ses croyances) i instytucyach“ [1]. Za źródło rewolucyi, uważał zaś rosnącą walkę między wiedzą pozytywną a wiarą teologiczną; ta walka, według niego, pociąga za sobą niebezpieczeństwo anarchii, która jest według niego nieuniknionem następstwem panowania formułek czysto racyonalnych i kombinacyi czysto subjektywnych, po za wszelką tradycyą i doświadczeniem; spekulacye czysto racyonalistyczne, nic dziwnego mówi on, że są pociągające dla garstki myślicieli, ale gdy przekonania kilku uczonych narzucają się wszystkim jako prawa, rozkładają społeczeństwo, rozrywają nagle węzły łączące je z łańcuchem poprzednich pokoleń“. — Komuna paryska, na której orgie patrzył Littré własnemi oczyma, wpoiła weń nienawiść do rewolucyi i do zbrojnego socyalizmu klasy roboczej, w którym pierwej razem z Comte'm widział zbawienie i wielką przyszłość Francyi. Głębsze zaś studya historyczne nauczyły go szanować Kościół katolicki jako odwieczną instytucyę, która wypielęgno-

[1] Remarques Paris 1879 p. 103.

wała i wychowała europejską cywilizacyę. Uważał on wprawdzie missyę Kościoła już za skończoną, i za niezgodną z dzisiejszym stanem europejskiego społeczeństwa, nie abdykował on jeszcze zupełnie ze swego stanowiska „pozytywisty“ górującego po nad wszystkiem swoją rzekomą objektywnością. Jednakowoż gdy szło o niezawisłość Kościoła od państwa, o wolność szkół katolickich i współobywateli zakonników, Littré, choć nie można go było posądzić o sympatyę do Jezuitów, jako senator, prawodawca, nie wahał się stanąć po stronie uciemiężonych, idąc za głosem sumienia: *pereat mundus, fiat justitia!* wpojonem mu jeszcze przez matkę. Przeciwny był wszelkim wyjątkowym i gwałtownym środkom represyjnym, tłómacząc postępowanie swoje wymownym artykułem w „Revue de Philosophie Positive“ r. 1879 p. t. *Le Catholicisme selon suffrage universel en France,* gdzie przestrzega: „że przekonania religijne nie dadzą się stłumić doczesnem prześladowaniem, bo nic bardziej nie podnosi ich ducha, jak groźba ciągle obecna ze strony zawziętego nieprzyjaciela“. Także i w mowach swoich, w debatach nad wychowaniem publicznem, w senacie radził republikanom, „aby więcej liczyli się z Katolicyzmem większości narodu i ochraniali interesa religijne, które bądź co bądź są ważnym tradycyjnym czynnikiem narodowego rozwoju“.

Littré nie wypierał się tego, owszem sam głosił że należy do „sekty pozytywistów“, jednakowoż nie było w nim wcale sekciarskiej nienawiści do chrześcijaństwa. Ostatnie jego pismo przed śmiercią; artykuł w jego *Revue: „Pour la dernière fois“* z r. 1880, rodzaj testamentu filozoficznego, jest najlepszym tego dowodem. Zajmuje go szczególnie teraz ta *„ewidencya“* w rzeczach dogmatów teologii, jaką mają ludzie wierzący, jest ona dlań problemem psychicznym, godnym zastanowienia. Czytuje więc Littré w tych ostatnich latach życia swego dzieła pani Craven, z ciekawością studyuje historye różnych nawróceń na łono Kościoła, mianowicie żywot dawnego kolegi swego ze szkół, *Piotra Olivaint* Jezuity i męczennika komuny według książki Ojca Karola Clair (z r. 1878) i bije czołem przed bohaterstwem męczeństwa za wiarę. Dowiadujemy się również z tego „testamentu“ filozofa, że wiele „dusz pobożnych“ zajmowało się i jego losem po śmierci, „zdawało im się, pisze, że skoro nie pogardzam zupełnie chrześcijaństwem,

(n'étant point un contempteur absolu du christianisme), lecz owszem z naciskiem uznaję jego wielkość i jego dobrodziejstwa, muszę więc znajdować się w mem sercu struny, które wiarą zadrgać mogą. Uważano i to już za początek wiary u mnie, że niemam dla niej uczuć nieprzyjaznych, ani też pogardy, widząc jak i dzisiaj jest ona tylu wiernych pociechą".

Zapewnia wprawdzie Littré „dusze pobożne".... „że nie mają co liczyć na cudowny skutek Łaski Bożej", w jego duszy na wskróś przejętej negatywną, jak mówi *ewidencyą* względem dogmatów wiary, jednakowoż pomimo to imponuje mu „spokój duszy wierzących". „Ten spokój duszy, mówi, jest rzeczywiście skarbem wielkim dla tych, co go posiadają, godnym aby go każdy uszanował, i ja go też szanuję..." bo prawdę mówi Leibnitz, „że to nie mała rzecz być zadowolonym z Boga i ze świata", ... „lecz nie żałuję"; zapewnia, czy wmawia w siebie, „że jestem poza sferą wiary, nie mogąc odkryć w sobie żadnego jej pragnienia", chociaż przyznaje, „że nie jest mu niemiłem słuchać o tych starodawnych rzeczach, które jakoby szeptały dość po cichu wyrzucając mu: czemuś nas opuścił"?

Obok pozytywistycznego *non credo* jestto na każdy sposób ciekawe wyznanie Littré'go w ostatnim jego głosie do świata. A było później widać tych „podszeptów i wyrzutów" w czystem zresztą sumieniu jego coraz więcej w ostatnich miesiącach przed śmiercią, musiały one, te „cichy głosy" nabierać coraz większej siły, zwłaszcza gdy i zewnątrz przyjmowały jakoby dotykalną postać przez usta kochających i wierzących: żony i córki, skoro nie zawiodły się „dusze pobożne" licząc na cudowny skutek Łaski Bożej w mężu „dobrej woli", w duszy szczerze prawdy łaknącej. Bo wnet dowiedział się świat o fakcie dokonanym że Littré zakończył długą pielgrzymkę na ziemi, jako prawy syn Kościoła, opatrzony Ostatnią Pociechą wierzących.

Wobec dziejowej walki, która się dziś we Francyi rozgrywa, i w której brutalnie tryumfuje pozytywizm w życie i w politykę wcielony, żywot i cicha praca takiego spokojnego myśliciela, na niewinną sielankę wyglądają.

Jednak w tej na pozór niewinnej teoryi neutralności, względem negacyi i affirmacyi Boga tkwi zaczątek, z którego logiką zasad i faktów doszła Francya aż do dzisiejszego katechizmu rządowego dla dzieci ze znanym początkiem:

— Czy jest Bóg?

— Ani tego nie twierdzę, ani temu nie przeczę. Nie mogąc Boga widzieć, pojąć, ani go zrozumieć — wcale się nim nie zajmuję [1].

Chcąc uchronić nasze dzieci od takiego katechizmu, strzeżmy nasze społeczeństwo od takich teoryi!

Dr. Ignacy Skrochowski.

---

[1] Oui, nous voulons l'enfant sans Dieu, pour avoir un citoyen sans Dieu et un soldat sans Dieu... A tout prix nons voulons sortir de lá, et vraiment l'expérience vaut la peine d'être tentée (l'Aumonerie militaire par Th. de Caër).

HORWACI W DALMACYI.

(Ciąg dalszy.)

---

3. Kilka słów o piśmie liturgicznem słowiańskiem, zwanem głagolicą. — Spory między duchowieństwem włoskiem i horwackiem o język liturgiczny w X-ym w. — Jan III. arcyb. splécki i Grzegórz bisk. niński. — Cały opis tych przejść mieści się w kodeksie większym Archidyakona, stąd nie zasługuje na wiarogodność. — Listy Papieża do Tomisława i arcyb. splęckiego są podrobione. — Papież ani nie potępiał, ani nie zakazał używania języka słowiańskiego w liturgii. — Spory liturgiczne w XI-ym w. — Nie jest prawdą, jak twierdzi Archidyakon, iż w XI-ym w. Horwaci zaprzestali używania języka słowiańskiego w liturgii — dowody. — Wierutnie kłamliwa bajka o Wulfie znajduje wiarę u pisarzy złej woli. — Odprawa zbyt łatwowiernym przeciwnikom liturgii i zbyt gorliwym jej stronnikom: 1) Papieże nigdy nie potępiali ani nie zakazywali liturgii słowiańskiej; przeciwnie Stolica św. zawsze okazywała się dla niej przychylną — dowody. 2) Żadne Synody, nawet dyecezalne, złożone z Włochów, nie zakazywały tejże liturgii; przeciwnie Synod splécki poczynił rozporządzenia mające na celu podniesienie liturgii słowiańskiej — dowody. 3) Upadek głagolicy nie nastąpił wskutek wrzekomego prześladowania. — Ostatni król horwacki Zwonimir.

W wieku IX-ym Horwaci przyjęli w liturgii rzymskiej język słowiański, pisany *głagolicą*. Zanim przystąpimy do opisu sporów, jakie z tego powodu powstały w Dalmacyi, kilka słów należy powiedzieć o tym języku i piśmie.

Pierwsze przekłady Pisma św. dokonane zostały prawdopodobnie w Panonii na język, jakim podówczas tamtejszy lud mówił; ten język stał się językiem liturgicznym. Kiedy inne ludy słowiańskie wraz z przyjęciem wiary chrześcijańskiej przyjmowały obrządek słowiański, pierwotny język liturgiczny ulegał nie-

którym zmianom, jakie narzecza krajowe wymagały: stąd w pierwszych zaraz czasach powstały właściwości bułgarskie, horwackie, ruskie i serbskie. Pismo też języka liturgicznego nie było jednakowe, używano *głagolicy i cyrylicy;* które z nich było pierwszem a zatem i starszem? Długa walka, tocząca się między pierwszorzędnymi uczonymi, nie można powiedzieć że się już skończyła, ale dzisiejszy stan wiedzy pierworodność głagolicy przyznaje, a św. Cyryla uznaje za jej rodzica. Język liturgiczny horwacki był pisany głagolicą, bułgarski głagolicą i cyrylicą, inne cyrylicą tylko. Zabytki tedy piśmienne głagolickie odnoszą się do języka staro-horwackiego i staro-bułgarskiego; wszystko co zostało w języku staro-horwackim było pisane *głagolicą kanciastą* i odnosi się do *obrządku zachodniego*, zabytki zaś języka staro-bułgarskiego, pisane pierwotnie *głagolicą okrągłą*, następnie *cyrylicą*, tyczą się *obrządku wschodniego.*

Przystępujemy obecnie do wyjaśnienia niesnasek między duchowieństwem czysto-dalmackiem a horwackiem. Dopóki żył biskup niński Teodozy, nie wspominają kronikarze o żadnych zajściach, ale jego następcy Alfredowi wytoczył już był arcybiskup splécki proces o jakąś donacyą; Mącimir (Mutimir) dekretem wydanym w Biaczu 892 r. rozstrzygnął spór na korzyść arcybiskupa. Trzecim z kolei biskupem nińskim był Grzegórz (r. 900), za jego czasów zaszły wielkie zatargi z metropolią; w Horwacyi panował wówczas Tomisław, arcybiskupem spléckim był Jan III. (914—940). Grzegórz, jako biskup horwacki, miał juryzdykcyę nad wszystkimi Horwatami, a że ci ostatni byli już gęsto osiedleni w dyecezyach podległych innym biskupom, stąd konieczne zajścia; nadto, kapłani horwaccy używali w obrządku zachodnim języka słowiańskiego, to powiększało zamęt i rodziło w ludności włoskiej miast nadbrzeżnych i w biskupach tejże narodowości niezadowolenie. Spór, jaki wówczas wynikł, mieści się w „kodeksie większym“ Archidyakona spléckiego; z tego można wnosić *a priori*, iż opis na zaufanie nie zasługuje; rozbiór zaś tych wrzekomych dokumentów daje pewność że są podrobione, przynajmniej w części. Oto przebieg sprawy. Arcybiskup splécki miał zanieść skargę do Rzymu na biskupa horwackiego, iż kapłani jego używają języka słowiańskiego w liturgii. Papież Jan X.

wysyła jeden list do arcybiskupa, drugi do Tomisława, w których potępia i zakazuje używania tego języka. Następnie zbiera się Synod w Splécie, wydaje różne postanowienia, między innemi zakazuje swym biskupom wyświęcania głagolitów na kapłanów, stawia im trudności w odprawianiu nabożeństwa w kościołach czysto łacińskich, wreszcie dozwala swym biskupom, aby, tak względem kościołów głagolickich jako i wiernych należących do tego obrządku, a w ich dyecezyach zamieszkałych, spełniali obowiązki pasterskie [1].

Biskup niński Grzegórz opiera się tym postanowieniom i odwołuje się do Stolicy św. Papież nakazuje tak arcybiskupowi spléckiemu, jak i biskupowi nińskiemu stawić się w Rzymie. Żaden z nich tam nie jedzie. Umyślnie wysłany legat Madalbert zjeżdża do Splétu, zgromadza biskupów, bada rzecz, opisuje całą sprawę, a w tym opisie *niema żadnej wzmianki o języku słowiańskim.*

Z całego przebiegu tej sprawy widoczną jest rzeczą, że listy Papieża do arcybiskupa i Tomisława są **zmyślone**. Nie mógł Papież wydać postanowień *przed* zbadaniem sprawy, jeżeli nawet *po* zbadaniu, po przesłaniu aktów Soboru, na którym dwaj jego legaci mieli zasiadać, *nie potępił* i *nie zakazał* używania języka słowiańskiego. Dalej, w mniemanym liście papieskim czytamy: „ad Methodii doctrinam confugiunt, quem in nullo volumine inter sacros auctores comperimus". Otóż, nie minęło jeszcze pół wieku od bulli Jana VIII-go potwierdzającej i pochwalającej działal-

[1] Dekreta synodu spléckiego z 15-stu składają się paragrafów, z tych 10 i 12-ty odnoszą się do obrządku rzymsko-słowiańskiego: X. Ut nullus Episcopus nostrae provinciae audeat in quolibet gradu Slavinica linqua promovere; tamen in clericatu, et monachatu Deo deservire. Nec in sua Ecclesia sinat eum missas facere; praeter si necessitatem sacerdotum haberet, per supplicationem a Romano Pontifice licentiam ei sacerdotalis ministerii tribuat.

XII. Quod si Rex et Proceres Chrobatorum omnes dioeceses Episcoporum infra limites nostrae Metropolitanae suo cupiunt vindicare Pontifici, nullus ex nostris per omnem provinciam eorum neque regenerationes faciat, neque Ecclesias vel Presbyteros consecret, tum in suis sedibus commorantibus pro miae (?) opus. Quisquis ad nos accesserit consecrari, regenerari, Chrisma sibi dari poposcerit, absque scrupulo omni per totam provinciam ipsa tribuant. . .

ność św. Metodego; jakże Papież mógł tego niewiedzieć, jakże również mógł być nieświadom tego, co się podówczas w Czechach, Bułgarii i na Rusi działo, za sprawą uczniów Metodego. Nadto, kiedy legat Madalbert wracał z Bułgarii, zatrzymał się w Splecie, zwołał tam Synod, zbadał rzecz, napisał sprawozdanie i powiózł z sobą do Rzymu. Następca Jana X-go, Leon VI. w liście do arcybiskupa spléckiego i biskupów dalmackich (r. 928) potwierdza przedłożone sprawozdanie, ale tyczyło się ono *tylko* granic dyecezyi i *słowem nawet nie wspominało spornego języka*[1].

Nakoniec między listami Jana X-go do Tomisława i arcybiskupa splćckiego, a kanonami synodalnymi *zupełna jest sprzeczność,* tak, iż nawzajem siebie wykluczają; albo jedne albo drugie muszą być podrobione. I tak, z jednej strony, jakkolwiek Papież zachęca tylko Tomisława do obrządku czysto-łacińskiego[2], arcybiskupowi spléckiemu *nakazuje*[3], aby zaniechano odprawiania nabożeństwa w języku słowiańskim; z drugiej zaś strony ani jeden kanon synodalny nie mówi o tem nakazie, Synod jest wprawdzie nieprzychylnym obrządkowi, ale go *nie zakazuje*, jakby miał do tego prawo i obowiązek. Które tedy dokumenta mamy przyjąć za wierzytelne? Widzieliśmy wyżej, że listy nie zasługują na wiarogodność, w aktach zaś synodalnych, niema nic takiego, coby im wiarę odejmowało. Mogli biskupi dalmaccy wydać postanowienie utrudniające obrządek słowiański; temu dziwić się nie można. Jako biskupi winni byli czuwać nad nieskazitelnością nauki i uży-

---

[1] ... Sve je to potvrdio god. 928 Lav VI., nasljednik Ivana X. Neima spomena o tom, da bi papa potvrdio onu ustanovu sbog hrvatske službe božje. A i kako bi pobjedonosni Tomislav dopustio, da mu se razvali crkva hrvatska radi pohlebe popova latinskih, da se raztjeraju toliki samostanci, koji su po reguli hrvatskoj i školu i crkvu i prosvjetu narodnu uzveličali. Spljetski sabor učinio je samo atentat na hrvatsku službu božju, a ona se je i nadalje po svoj zemlji hrvatskoj uzdržala.

(Pov. hrv. Tade Smičiklas. Dio prvi, u Zagrebu 1882, str. 226).

[2] ... „Quis etenim specialis filius sanctae Romanae Ecclesiae, sicut vos estis, in barbara, seu Slavonica lingua Deo sacrificium offerre delectatur?“...

[3] ... „Ita ut secundum mores Romanae Ecclesiae Slavinorum terra ministerium Sacrificii peragant, in Latina scilicet lingua, non autem in extranea, quia“...

wać środków do jej zachowania, ale w środkach, jako ludzie, pomylić się mogli; niechęć ku szczepowi słowiańskiemu mogła była przekroczyć granice roztropnej gorliwości i wzniecić przykre zatargi [1]. I na Morawach działo się coś podobnego, doznał tam Metody ciężkich zniewag od niewcześnie gorliwych i nienawistnie usposobionych biskupów. Ale tak tu, jak i tam Papieże stanęli w obronie niesprawiedliwie uciskanych Słowian. W Dalmacyi nie potwierdzili uroszczeń niechętnych biskupów, na Morawach, klątwą zagrożeni biskupi niemieccy uwolnili Metodego z więzienia, a Papież znakomitym listem potwierdził i pochwalił postępowanie arcybiskupa morawskiego.

Cały wiek nie słychać o prześladowaniu obrządku słowiańskiego, dopiero pod rokiem 1059 zapisuje kronikarz, a zawsze jeden, *jedyny* i tenże sam Tomasz Archidyakon, iż Synod zebrany w Splécie, wydał ponownie dekret zabraniający używania języka słowiańskiego w liturgii, a dekret tą razą tak był skuteczny, że wszystkie kościoły Słowian pozamykano i kapłani horwaccy zaprzestali spełniania swoich czynności [2].

---

[1] Jak jest trudno, przy najlepszych nawet chęciach, wydawać bezstronny sąd o rzeczach, może służyć Farlati. Dobry i gorliwy kapłan i zakonnik, ogromny erudyta, krytyk na swoje czasy pierwszorzędny, mimo to, zajmując się tą sprawą, staje po stronie arcybiskupa spléckiego, przyznaje dokumentom wierzytelność i daje za przegraną Horwatom. Papież, mówi, pozwolił wprawdzie Morawianom używać języka słowiańskiego, bo byli barbarzyńcami, nie znali łacińskiego, ale nie mógł pozwolić Horwatom dalmackim, którzy pewnie dobrze znali łacinę, gdyż Karol W. zaprowadzał wszędzie szkoły. Dowód byłby słaby nawet wtedy, gdyby przypuszczenie było prawdziwe, ale sam Farlati zbija je w innem miejscu: „In hac et superioribus Epistolis Pontificiis, itemque in Actis et Decretis Concilii utriusque Spalatensis vidistis, optime lector, quanta sit facta labes et depravatio! Pleraque barbarismis et soloecismis inquinata, multa incondito loquendi genere expressa, non pauca praepostere inversa, quaedam addita, quaedam detracta, nonnulla luxata... Nolim vero in librarios culpam omnem conferas tantae labis, ac depravationis; sed nonnulla ex parte referendum esse existimo ad barbariem et inscitiam hujus saeculi, quae fere omnem et bonarum artium et latinitatis sensum extinxerat; vix ut tantum studii litteris daretur, quantum ad cultus divini officii quoquo modo praestanda satis esse videbatur... (T. III., p. 107).

[2] „Fuerat siquidem tempore Domini Alexandri Papae et Joannis

Pierwsza nasza odpowiedź jest ta: Quod gratis asseritur, gratis rejicitur. *Żadne akta synodalne nie istnieją, żadna bulla ani list papieski, albo kogokolwiek, żaden inny kronikarz o tem nie wspomina* — gratis rejicitur.

Przypatrzmy się bliżej tekstowi Tomasza. Mówi najprzód, że Synod miał się zebrać za Aleksandra II-go, otóż jeżeli to nastąpiło w r. 1059, to nie Aleksander, ale Mikołaj II-gi był naówczas Papieżem; omyłka ta zresztą małej jest wagi, ale jak można przypisywać synodowi spléckiemu, iż Metodego nazwał heretykiem, tego w żaden sposób zrozumieć nie można. Nie można także zrozumieć, a tem samem uwierzyć, żeby kapłani horwaccy zaprzestali sprawować swoich czynności, a to dla wielu powodów.

Najprzód tych kapłanów horwackich musiała już być znaczna liczba, jeżeli w tym samym właśnie czasie, uznano potrzebę powiększenia liczby *dyecezyj horwackich*. Horwacya bywała czasami państwem dość znacznem, jeżeli za Porfirogenity mogła była wystawić 100.000 piechoty, 60.000 jazdy, 80 okrętów większych o 40 wioślarzach, 100 mniejszych o 20 i 10 wioślarzach; a jeżeli była tak potężną kiedyś, to tembardziej za Kriesimira. Otóż wypadek tak ważny jak odstępstwo całego wielkiego kraju, byłby znanym w Rzymie, korzystaliby z niego w Carogrodzie, kronikarze weneccy, greccy i niemieccy byliby coś o nim napomknęli, tymczasem *nigdzie żadnej wzmianki*. A to stać się miało za Kriesimira!

---

decessoris Laurentii supradicti a Domino Maynardo quondam Pomposiano Abbate, et postea Episcopo Cardinali quaedam Synodus omnium Praelatorum Dalmatiae et Croatiae multum solemniter celebrata, in qua multa fuerunt conscripta Capitula: inter quae siquidem hoc firmatum est et statutum, ut nullus de caetero in lingua Sclavonica praesumeret divina mysteria celebrare, nisi tantum in Latina et Graeca; nec aliquis ejusdem linguae promoveretur ad sacros Ordines. Dicebant enim Gothicas litteras a quodam *Methodio haeretico* fuisse repertas, qui multa contra catholicae fidei normam in eadem sclavonica lingua mentiendo conscripsit; quam obrem divino judicio repentina dicitur morte fuisse peremtus. Denique cum hoc statutum fuisset synodali sententia, promulgatum, et Apostolica auctoritate confirmatum, *omnes Sacerdotes Sclavorum* magno sunt moerore confecti; *omnes quippe eorum Ecclesiae clausae fuerunt. Ipsi a consuetis officiis siluerunt*“ (cap. XVI., pag. 552 et seq.).

Piotr I. Kriesimir, albo jak inni go zowią, Kreszimir Piotr IV. Wielki, był możnym władzcą, a przytem Horwatem do szpiku kości[1]. Dwór swój urządził po królewsku, lecz nie na sposób cudzoziemski, jak to później czynili władzcy bułgarscy i serbscy, ale po horwacku. Jego dworzanie, w łacińskich nawet listach, noszą urzędowe nazwy horwackie: *djed horwacki, vinotok, peharnik, volar, vratar, szczytonosza*... Dla swych Horwatów ustanowił dwie nowe stolice biskupie w Białogrodzie i Kninie[2], a były to dyecezye zupełnie horwackie, tak, że biskup kniński, pełniący zarazem obowiązki kanclerza państwa, zwał się *biskupem horwackim*. Zakładał i uposażał klasztory, mianowicie Benedyktynek i Benedyktynów: i tak w pobliżu Białogrodu uposażył monastyr żeński, którego ksienią była *Dobrica*, w Zadarze zaś monastyr wystawiony przez swą siostrę, a przynajmniej krewną, *Czikę* (Cicha), założył Benedyktynów Rogowskich i darował im wyspę Żirje, był dobrodziejem Benedyktynów spléckich i innych. Otóż jeżeli się wie, a wiedzieć się powinno, że Benedyktyni horwaccy byli obrządku słowiańskiego, że reguły ich były pisane głagolicą po horwacku, że klasztor Rogowski dotąd jest słynnym z przechowywania najstarszych pamiątek historycznych pisanych głagolicą, że jak sam p. Jagić[3] przyznaje, zakonnikom horwackim

---

[1] Ob. Büdinger.

[2] *Białogród*, rzymska Blandona, dawniej Alba maris, obecnie (po włos.) Zara vecchia, (po horw.) Beograd albo Biograd, leży na południu od Zadaru. W r. 1059 Kriesimir ustanowił tam stolicę biskupią dla Horwatów. Wenecyanie obrócili miasto w gruzy r. 1125, stolica biskupia przeniesioną została do Skradinu. Dzisiaj Beograd jest małą wioską, mającą 150 domów i 700 mieszkańców. Niektórzy historycy mieszają Beograd z Nowigradem, leżącym na północy od Zadaru, gdzie zamordowaną została w r. 1387 spokrewniona z Piastowiczami, nieszczęśliwa wdowa po Ludwiku węgierskim i polskim.

Knin dawniej Tinninium albo Tenen, nad Kerkiem. Mocna niegdyś twierdza i stolica biskupia, założona w r. 1050 przez Kriesimira, w r. 1688 złączoną i przeniesioną została do Szibeniku.

[3] ...„Ova se radnja neosn vašě ni na kakvoj školskoj nauci, van što bi jedan „pop“ naučio drugoga ili bi iz rana uzeo djače u službu te ga izučio knjigu čitati i pisati; a najviše pomogoše manastiri, zadušbine hrvatskich kraljeva i kraljica, koji su uz velike nepogode i navaljivanja s neustrašenim postojanstvom održali, da upravo oni jedini i spasli slovjensku liturgiju u Dalmaciji“.

zawdzięcza głagolica swój byt i wzrost — jakim sposobem uwierzyć można, że w tym właśnie czasie zniesiony został język liturgiczny słowiański, a nadto, że wszyscy kapłani tego obrządku zaniechali swych czynności kapłańskich! Nakoniec z tego samego czasu, z r. 1062, mamy list Aleksandra II-go do metropolity duklańsko-barskiego, w którym poleca jego pieczy *monastyry słowiańskie*. Czyż podobną jest rzeczą, aby Papież znosił w metropolii spléckiej obrządek słowiański, a w sąsiadującej z nią duklańskiej, nietylko go utrzymywał, lecz szczególnej polecał opiece, zwłaszcza, że w tym czasie obydwie metropolie zostawały prawdopodobnie pod władzą Kriesimira, który z tego powodu pisał się „królem Horwacyi i Dalmacyi".

Stąd, z jednej strony, nie jest rzeczą prawdopodobną, aby pod Kriesimirem język słowiański został zaniechany w liturgii, niema również *żadnych danych historycznych*, któreby wskazywały, iż ten język za jego następców został wyrugowany; z drugiej zaś, ponieważ historya nie podaje wzmianki co do późniejszego wprowadzenia języka słowiańskiego do liturgii, a język ten, według świadectw historycznych[1] był upowszechniony w XVIII. w.

(Hist. knjiž. nar. Hrvat. i Serbs. V., Iagić. U Zagrebu, 1867, str. 122).

[1] Nie posiadamy danych statystycznych o stanie liturgii słowiańskiej przed w. XVIII., wiemy tylko, iż za Synodu spléckiego w r. 1688 na 36 parafii, znajdujących się w tej dyecezyi, 28 było głagolickich; wiemy nadto, że Wenecyanie we wszystkich swych posiadłościach horwackich usiłowali wykorzenić język słowiański, lecz skutek nie odpowiedział ich oczekiwaniu. Assemani (Kal. IV., p. 409) i Kopitar (Glagol. Cloz. p. XVII) wymieniają kraje i miejscowości, które w w. XVIII. zachowały liturgią słowiańską. W patryarchacie akwilejskim, w Istryi, na Pomorzu, w dyec. pulskiej i poreckiej największa część kapłanów odprawiała mszę św. w języku słowiańskim. W dyec. seńsko-modruskiej nietylko po parafiach, ale po kolegiatach i w samej katedrze tego tylko używano języka. W dyecezyi spléckiej (wedł. Paštrića), było 40 głagoliaszów. W *dyec. niń-kiej*, z wyjątkiem klasztorów OO. Franciszkanów, *wszyscy* proboszczowie używali języka słowiańskiego. W dyec. szybenickiej nietylko kościoły parafialne ale i Franciszkanie trzymali się głagolicy. Na Rabie, Osorze i Kérku, z wyjątkiem katedry i kolegiat, we wszystkich innych kościołach odprawiało się nabożeństwo po słowiańsku. W dyec. zadarskiej było 36 proboszczów głagoliaszów.

w całej Horwacyi: możemy tedy słusznie twierdzić, że wiadomości podane przez Archidyakona są nieprawdziwe, a wszystkie ubolewania i skargi zbyt gorliwych przyjaciół i opiekunów Słowian niesłuszne są, pozbawione podstawy i dobrej wiary.

Na mocy powyższych dowodów możemy śmiało powiedzieć, iż nie już *gratis*, ale *rationabiliter rejicitur* to, co gratis, bez najmniejszej podstawy było utrzymywane.

Nie dość na tem. Archidyakon zapisawszy w swej kronice urojone Synody i ich postanowienia, przywodzi w dalszym ciągu zdarzenie, bardzo szczegółowo opisane, o niejakim Wulfie, Wilku czy Wuku i o starym Cededzie. Oto historya w streszczeniu. Ten Wuk, kapłan horwacki zawiózł był starca Cededę, który niegdyś miał być także kapłanem, do Rzymu, aby go tam wyświęcono na biskupa. Na posłuchaniu Papież wyrwał Cededzie kilka włosów z brody (sic), resztę kazał ogolić, lecz na biskupa nie chciał wyświęcić. Cededa nie umiał po łacinie, czy też po włosku, nie zrozumiał co Papież powiedział, a przewrotny Wuk wytłumaczył Cededzie, że wyrwanie włosów znaczyło konsekracyą biskupią. Cededa naturalnie uwierzył i powróciwszy do kraju, z radością od wszystkich przyjęty, począł nietylko sprawiać obowiązki kapłańskie ale i biskupie, wyświęcał księży, konsekrował kościoły i t. d. Papież uwiadomiony o tych zgorszeniach wysłał legata, który wyklął Cededę, a Wuka skazał na kary cielesne i na wieżę. Uparty Cededa zakończył życie śmiercią Judaszową, a Wuk gdy się wyprzysiągł obrządku słowiańskiego, został wypuszczony na wolność. Wszystko przyprowadzono do porządku i koniec położono obrządkowi słowiańskiemu [1].

O innych dyecezyach dalmackich niema danych statystycznych, ale rzeczą jest znaną, iż używały liturgii słowiańskiej, mianowicie zaś Dubrownik.

[1] To się dziać miało na wyspie Kérku, którą byli podówczas dzierżyli Wenecyanie. Se non é vero, ben trovato. Wenecyanie zdolni byli do wymyślenia podobnych bajek. Liturgia słowiańska nie była im na rękę, utrzymywała ducha narodowego, obudzała nadzieje, których urzeczywistnienia nie chcieli dopuścić. Należało italianizować a zacząć od liturgii. Nie szło im o czystość obrządku, nie byli oni tak skrupulatni, a w środkach zwykle nie przebierali. Obiecali pomoc krzyżowcom w r. 1203 ale pod warunkiem, że zdo-

Wdzięczni jesteśmy kronikarzowi za umieszczenie tego opisu, albowiem choć się byli znaleźli dość łatwowierni i wierzyli mu na słowo, gdy prawił o synodach spléckich, po przeczytaniu tego opisu zmuszeni są zawołać z Assemanem: *„Od początku do końca wszystko w tem opowiadaniu Archidyakona wierutną jest bajką. Jestem przekonany, że wszystkie niedorzeczności o Słowianach, były wymysłem łacińskich Dalmatów“* [1].

---

będą dla nich Zadar. Wyklął ich za to Inocenty III., ani myśleli starać się o zdjęcie klątwy. Zrabowali św. Sofią, wyklął ich patryarcha, nie oddali jednak uwiezionego obrazu Matki Boskiej. Kiedy sobie w r. 1406 kupili Dalmacyą od Władysława Drackiego, zaczęli na dobre w niej gospodarować. Bianchi (Zara Christiana) przytacza rozporządzenie arcybiskupa Vallaresso z r. 1460, które w tłómaczeniu horwackiem X. Milinowića przytaczamy: „Ustanovljujemo i zapoviedamo da odsle nikakav svećenik glagolaš (de littera sclava) nema zahtjevati u ikakvoj crkvi grada Zadra ovršivati svečanost Mise, bez osobitoga dozvoljenja, osim samo u crkvi s. Trojstva (s. Donata) i u crkvi sv. Marije, i to kada su oproštenja, ili ako bi pozvani bili da reku Misu za dušu kakva pokojnika, a to u oni dan samo u koji je pokojnik pokopan i u crkvi u kojoj se pokopaje. Razumje se pako po sebi, ako bi koji svećenik glagoljaš u družtvo našega sbora uvršćen bio, isti svećenik dok je u našemu sboru, nespada pod spomenutu zabranu“.

Niedawno jeszcze, w przeszłem stuleciu (1744) wenecki biskup z Puli (Pola) wyrobił sobie u Inkwizycyi weneckiej potępienie i zakaz niektórych obrzędów słowiańskich, ale ponieważ te miejscowości leżały w granicach Austryi, musiał zatem odnieść się do nuncyusza wiedeńskiego. Sprawa poszła do Rzymu a skończyła się tem, że kardynał Paulucci wezwał zbyt gorliwego biskupa, aby zaniechał wprowadzania nowych zwyczajów i pozostawił wszystko jak dawniej, gdyż św. Kongregacya obrzędów uznała, iż w tych modlitwach i obrzędach nie ma nic zabobonnego (Vet. Mon. Slav. Merid. Theiner, t. II., CCC).

[1] „Quis Slavus, sive latini, sive graeci ritus homo, ad hanc sancto Methodio impactam calumniam non exhorrescat? Nonne Joannes VIII. Papa post diligentem inquisitionem, Methodii doctrinam ab errore immunem probaverat, eique usum Slavici sermonis in liturgia divinisque officiis concesserat? Nonne idem Joannes Papa non Methodium, sed Cyrillum Slavicarum litterarum inventorem disertim affirmarat?... Nonne Presbyteri Slavi in Dalmatia et Croatia, jam inde ab anno 997, sub Venetorum ditione constituti, reputandi sunt in rebus divinis fuisse adeo ignari, ut pro Episcopali consecratione sufficere existimarent, quod Romanus Pontifex aliquos pilos de barba electi manu sua demeret: quemadmodum auctor istius

Jednakże, rzecz godna zastanowienia, znajduje się wielka liczba pisarzy, nawet poważnych, którzy te niedorzeczności w dziełach swoich przytaczają, a często zupełnie od rzeczy. P. Drinow w historyi bułgarskiej przywodzi *in extenso* bajkę o Wulfie, p. Jagić we filologii umieszcza *in extenso* tę samą bajkę; inni podobnież. Czy ją uważają za prawdziwą, trudno przypuścić, o niewiadomość pomawiać ich nie można; lecz czy ich dobra wola jest w prostym stosunku do ich wiedzy, to inne pytanie. Poczciwa sprawa poczciwym sposobem bronioną być winna; gorliwi Slawofilowie idąc ręka w rękę z najzagorzalszymi Slawofobami złą usługę oddają poczciwej swej sprawie.

Cała rzecz o prześladowaniu da się streścić jak następuje:

1. *Stolica św. nie prześladowała nigdy, ani nie zakazywała obrządku słowiańskiego w Dalmacyi.* Co więcej, Papieże opiekowali się tym obrządkiem i o ile okoliczności pozwalały, przychodzili mu w pomoc. Aleksander II. w r. 1062 zaleca metropolicie duklańskiemu monastyry słowiańskie. Aleksander III. w r. 1177 chętnie przysłuchuje się nabożeństwu słowiańskiemu w Zadarze [1].

---

fabulae de Ceddeda fatuo sene et Vulfo vaferrimo Presbytero comminiscitur? Aut qui fieri potest, ut Ceddeda tam crassae ignorantiae accusetur, qui postea dicitur Ecclesias consecrasse, Clericos ordinasse, et alia episcopalia ministeria exercuisse?

Itaque a primo ad ultimum, in hac Archidiaconi narratione caeteroqui fabulosissima... Quidquid secus de Slavis illis refertur, a Dalmatis latinae linguae cultoribus confictum esse crediderim (Kal. Eccl. Univ. Assemani. Romae 1755, tom 4, pag. 386, 387).

P. Smiciklos mówi o tej bajce: „Samo ovoj mržnji imademo zahvaliti jednu *čudnu*, *smiešnu* i *glupu*, ali za samu medjusebnu mržnju veoma značajnu, pripoviest“ (tom. I., str. 285).

[1] ... „Et quoniam nondum quisquam Romanus Pontifex civitatem ipsam intraverat: de novo ipsius Papae adventu facta, ut in Clero et populo illius loci communis laetitia, et ineffabilis exultatio collaudantium et benedicentium Dominum, qui modernis temporibus, per famulum suum Alexandrum, successorem beati Petri, Jadertinam civitatem dignatus est visitare. Itaque praeparato sibi de romano more albo caballo, processionaliter duxerunt eum per mediam civitatem ad beatae Anastasiae majorem ecclesiam, in qua ipsa virgo et martyr honorifice tumulata quiescit, *immensis laudibus et cantico altissime resonantibus in eorum Sclavica lingua.* Post quartum vero diem exivit Jadera, et *per Sclavorum insulas* et maritimas Istriae civitates“... (Annal. Eccl. Baron. t. XII., p. 856, 857).

Inocenty IV. rozwiązuje w r. 1248 trudności biskupowi seńskiemu pod względem obrządku słowiańskiego[1]; tenże Papież podobną daje odpowiedź w r. 1252 biskupowi kreczkiemu (krčkomu). Za sprawą Urbana VIII. i Inocentego X. zajęto się poprawą ksiąg liturgicznych horwackich i nakładem Propagandy wydrukowano w Rzymie głagolicą i językiem staro-horwackim mszał (służebnik) i brewiarz (czasosłow), rytuał zaś (Trebnik) po horwacku, łacińskiemi czcionkami[2]. Ojciec św. Leon XIII. polecił czci całego

---

[1] ... „Porrecta nobis tua petitio continebat, quod in Slavonia est littera specialis, quam illius terrae Clerici se habere a B. Hieronymo asserentes eam observant in Divinis officiis celebrandis. Unde ut illis efficiaris conformis, et terrae consuetudinem, in qua existis Episcopus, imiteris, celebrandi Divina secundum dictam litteram a Nobis suppliciter licentiam postulasti. Nos igitur attendentes, quod sermo rei, et non res est sermoni subjecta, licentiam tibi in illis dumtaxat partibus, ubi de consuetudine observantur praemissa, dum modo sententia ex ipsius varietate litterae non laedatur, auctoritate praesentium concedimus postulatam“ (Annal Eccl. Raynaldus, ad an. 1248, num. 52).

[2] Pierwszy *mszał głagolicki* drukowany był w Wenecyi r. 1483, następnie w latach 1507, 1528 i 1561 tamże; w roku 1531 drukowany był mszał w Rjece. Skutkiem czasu i przepisywań, wiele błędów wcisnęło się do ksiąg cerkiewnych, Urban VIII. wysadził kom syę do ich przejrzenia i poprawienia. W roku 1631, nakładem Propagandy, wydano mszał poprawiony. W przedmowie do tego wydania, Papież umieścił znakomity swój list „Ecclesia Catholica“, który wskazuje jego pieczołowitość o obrządek słowiański. „Ecclesia Catholica, cui, divina favente clementia, nullo meritorum nostrorum suffragio, praesidemus, sicuti un est, ita requirit nostrae pastoralis vigilantiae sollicitudo, ut Christifideles idipsum non solum sapiant, sed etiam, quantum possibile est, omnes etiam unamines uno ore in orationibus et sacrificiis honorificent Deum. Quum itaque, sicut accepimus, Missale idiomate Slavonico a fel. rec. Joanne VIII. Praedecessore nostro concessum, a centum circiter annis typis editum non fuerit, atque inde acciderit, ut Slavorum Ecclesiae Missalium inopia adeo laboraverint, ut plerisque in locis, nec Sacerdotes sacrosanctum Missae Sacrificium offerre, nec populi Ecclesiae praecepto de illo audiendo satisfacere commode potuerint. Nos Missalium inopiae hujusmodi ad divini nominis laudem et gloriam, animarumque Christifidelium illarum partium salutem occurrere volentes, Venerabilibus Fratribus nostris S. R. E. Cardinalibus negotio Fidei in universum Orbem propagandae praepositis injunximus, ut quamplura Missalia Slavonico conscripta idiomate, a Provincia Dalmatiae Romam jussu nostro afferri, iisque per nonnullos linguae Slavonicae

świata katolickiego SS. Apostołów słowiańskich Cyryla i Metodego; obecnie zaś wyznaczył komisyę, złożoną z uczonych Słowian, do zbadania tak obrzędów, jak i ksiąg liturgicznych tegoż języka.

---

peritos, juxta emendationes a fel. etiam rec. Pio V. et Clemente VIII. Romanis Pontificibus, similiter Praedecessoribus nostris, factas et eorum litteris Apostolicis approbatas, correctis, Missale quod Romano prorsus conforme esset, componi illudque praefato idiomate Slavonico, ad usum et commodum eorundem Christifidelium Ecclesiarum, locorum et provinciarum, ubi hactenus praefato idiomate celebratum fuit, imprimi curarent. Quae omnia quum praefati Cardinales diligenter praestiterint, eadem per praefatos Cardinales et pie et accurate in praemissa ordinata et gesta approbantes, ac praefatum Missale antiquum abrogantes; motu proprio, et ex certa nostra scientia ac matura deliberatione nostris, deque Apostolicae potestatis plenitudine, antiquorum Missalium Slavonici idiomatis tam impressorum, quam manuscriptorum usum, tenore praesentium, sub indignationis nostrae, ac aliis arbitrii nostri, imo iis etiam poenis, quae eorundem Pii et Clementis Praedecessorum nostrorum litteris continentur, tenore praesentium, penitus et omnino interdicimus".

Drugie wydanie mszału było w r. 1688, trzecie w r. 1706, czwarte poprawione przez Mateusza Karamana, późniejszego arcybiskupa zadarskiego, wyszło w r. 1741. Aprobatę do tego wydania dali Rusini „Nimirum Procurator Generalis Monachorum S. Basilii Ruthenorum Max. Zwodski et Ces. Stebnowski, uterque Alumnus Collegii Graecorum S. Athanasii de Urbe: nec non duo Monachi Rutheni Inoc. Pichowicz et Sivester Rudicki (?) nunc Luceoriensis Episcopus".

Mszał ten jakkolwiek poprawiony, według zdania filologów horwackich poprawnym nazwanym być nie może.

Z *brewiarzem głagolickim* więcej było trudności. Przepisywane urywki z brewiarza horwackiego zebrał X. Mikołaj Brožić z Omiszlu (wyspa Krk) i wydał w Wenecyi w r. 1561, pod tytułem: „Časoslov hrvatski". Wydanie zostało wkrótce wyczerpane, nadto należało w nim poczynić poprawki w myśl soboru trydenckiego i według buli św. Piusa V. O. Rafał Lewakowić, Franciszkanin, następnie arcybiskup ochrydzki, z polecenia Ojca św., przygotował do druku brewiarz horwacki, który aprobowali OO. Bazylianie: „Datum Romae in Collegio Graeco ad aedes S. Athanasii die 24 augusti 1635 Josaphat Issakowicz Mon. Ord. S. Bas. Mag. Philippus Borowicz Mon. Ord. S. B. M. Kongregacya propagandy nie uznała go jeszcze za odpowiedny i poleciła bawiącemu naówczas w Rzymie X. Metodemu Terleckiemu, biskupowi chełmińskiemu i bełzkiemu przejrzenie tej pracy. Biskup chełmiński w liście który się znajduje przy rękopisie tegoż brewiarza w Rzymie (Cod. Vat. MSS, 6471) opisuje swój współudział:

„Ego Methodius Terlecki, Episcopus Chelmensis et Belcensis, dum anno infrascripto, (id est a creatione mundi 7151, a nativitate

2. *Niema dostatecznych dowodów historycznych, któreby stwierdzały, że Sobory dalmackie prześladowały i zakazywały obrządek słowiański.* Przeciwnie mamy wierzytelne akta synodu spléckiego, który nietylko przychylnie i z całą ojcowską opieką zajmuje się

Christi 1643. Ind. XI. die 16 Sept.) pro gravissimis negotiis totius Russiae, nonnulisque meae dioecesis, imprimis vero, quae opportuna atque pernecessaria, arbitratus sum, pro sanctissima unione in Russia, et aliis Slavonicae nationis Provinciis conservanda et promovenda, apud Sedem Apostolicam sumno studio laborarem, atque in dies expeditionem eorundem pro voto praestolarer; Emi et Rmi Dni Cardinales Sacrae Congreg. de Prop. Fide instantiam apud me fecerunt, ut juxta eorundem decretum sub die 1 Sept. anni praesentis 1643 editum, vocato R. P. Raphaele Croato Ord. Minor. de Observantia, ad impressionem Breviarli Illyrici deputato, Psalterium in eodem Breviario imprimendum, cum memorato R. P. Raphaële, ad vulgatam Translationem, quantum phrasis Illyricae linguae pateretur, de verbo ad verbum accommodarem. Itaque quo in causa tam pia eorum voluntati morem gererem, sepositis quibuscumque privatis negotiis et occupationibus, accersiri curavi illico praefatum R. P. Raphaëlem, afferreque plura vetustorum Illyricae linguae Breviariorum manuscripta et impressa exemplaria, atque Autographum, quod idem R. P. Raphaël ad Vulgatae editionis sensum paraverat, adhibitis etiam antiquissimis, quibus ab ipso suo exordio Ruthena, et cuncta Slavonica usa est et utitur Ecclesia, Codicibus: post divinum imploratum auxilium, diligentissime insimul contulimus ipsius R. P. Raphaëlis Autographum supradictum cum antiquis Breviarii Illyrici Psalteriis, Latina Vulgata semper prae oculis existente, atque an conformis esset examinavimus. Ita factum est, ut sollicita adhibita cura, tale redditum est Psalterium, quale a supradicta S. Congregatione expeteretur, hoc est, ad amussim Vulgatae Translationi concordans. Nam explosis nonnullis vulgaris sermonis Dalmatici vocabulis, quae scriptorum licentia in vetusta Illyrica Breviaria intrusa fuerant, quaeque R. P. Raphaël suae Translationi inseruerat, pura quae incorruptis apud habebantur Slavonica, eorum loco reposuimus; punctuationemque, et periodos, atque initia versuum singulorum, quum longe aliter in Illyricis leguntur, ubique juxta Vulgatam accommodavimus: ita, ut divina opitulante gratia, Psalterium ipsum per nos revisum, atque, ut dictum est, a peregrinis Dalmaticis vocibus purgatum, concordet in praesens in omnibus et per omnia cum desiderato Psalterio novissimi Breviarii moderni SS. D. N. Papae Urbani VIII. Vulgatae editionis. Neque est, ut eam ob causam Illyrici Breviarii impressio, summopere necessaria et ab Illyricanae Ecclesiae Presbyteris quotidie expetita, diutius differatur".

Brewiarz ten wyszedł z druku w r. 1648 z przedmową Ino-

obrządkiem słowiańskim, ale nadto, według brzmienia słów, zadaje kłam wszystkim, którzy z niewiadomości lub złej woli synodowi spléckiemu przypisywali prześladowanie. Oto jak się wyraża synod splécki zebrany w r. 1688 pod przewodnictwem arcybiskupa Stefana Kosmy: „*Quoniam peculiari et speciosissimo Sanctae Matris Ecclesiae privilegio, in idiomate Illyrico sacra habetur Liturgia, maxima habenda est ratio ejusdem idiomatis probe addiscendi et docendi*“ [1].

---

centego X.; drugie wydanie nastąpiło za Inocentego XI. w r. 1688: obydwa pod tytułem: „Breviarium Romanum Slavonico idiomate, jussu SS. D. N. Innocentii X. (Innocentii XI.) editum Romae typis et impensis Sac. Congregationis de Propaganda Fide. MDCXLVIII. (MDCLXXXVIII)“.

Ostatnie wydanie z „Czasosłowa“ horwackiego nastąpiło w r. 1791 w Rzymie pod tytułem: *Breviarium romanorum slavonico idiomate, seu liber praecationum quotidianarum litteris Hieronymianis vulgo Glagoliticis.*

Zarzucano i zarzucają biskupowi Terleckiemu, iż nie poprawił, ale popsuł język liturgiczny w brewiarzu; jako Rusin poumieszczał wiele wyrazów i wyrażeń właściwych językowi liturgicznemu, jakiego używano na Rusi, nie uwzględniając staro-horwackiego języka.

Pierwszy *Trebnik* wydany był przez X. Brożića w r. 1561 w Wenecyi wraz ze mszałem i brewiarzem pod tytułem: *Breviarum una cum Missae Canone, nec non Missa pro Defunctis atque Rituali;* drukowany był głagolicą i językiem staro horwackim. Ponieważ znaczna już wówczas część kapłanów nie rozumiała tego języka, ani nie znała głagolicy, należało zaradzić potrzebie wydania „Trebnika“ językiem nowożytnym horwackim i głoskami łacińskiemi.

Z polecenia Urbana VIII. wydał *Rytuał horwacki* Jezuita, O. Bartłomiej Kaszić w r. 1640 pod tytułem: Ritual Rimski istomaczen Slovinski po Bartolomeu Kasziću Popu Bogosloveu od Družbe Jesusowe Penitenciru Apostolskomu. U Rimu. Iz Vtiestenice Stef. Skupa od Razplodyencya S. Viere. 1640, pp. 82 i 450.

[1] „Eodem anno (1688) habita fuit Synodus dioecesana Spalatensis ab Ill. R. D. P. D. Stephano Cosmo Archiepiscopo, alias Salonitano, Primatae Dalmatiae, ac totius Croatiae, cujus Constitutiones Synodales impressae postmodum fuere Patavii anno 1690. Peculiare ibi extat caput XXIV. de *Clero Illyrico,* atque haec de eodem inter caetera leguntur: *Cum inter triginta sex Parochias foraneas hujusce dioecesis, octo tantum sint Latinorum, caeterae Illyricorum, aliqua ex dictis repetemus, plura adjungemus. Sfortia Ponzonius bon men. Praedecessor noster anno 1620 Constitutiones eidem Clero praescripsit libello contentas, quas confirmamus...* Deinde post multa salubriter statuta circa eorum habitum et mores, sequentia

3. Wreszcie znaczna liczba rękopisów głagolickich z wieków XV., XIV., XIII., XII., a nawet podobno z XI. i X., jak p. Jagić przyznaje [1], odnoszących się przeważnie do obrządków cerkiewnych, dowodzi, iż obrządek słowiański nietylko nie przestał istnieć, ale rzeczywiście się rozwijał. Wiek XV. był złotym wiekiem dla głagolicy, ale też zarazem ostatnim jej istnienia; wynalezienie druku cios śmiertelny zadało głagolicy. Księgi horwackie odtąd, z wyjątkiem cerkiewnych, drukowano z początku gotyką jak gdzieindziej, wreszcie literami łacińskiemi.

Na tem kończymy odprawę tak wrzekomym przyjaciołom głagolicy, jak i rzeczywistym jej nieprzyjaciołom; sądzimy jednakże, iż dla uzupełnienia rzeczy o liturgii słowiańskiej, należy tu podać stan jej dzisiejszy.

Przewroty społeczne w zeszłym wieku, wojny za Napoleona, ćwiertowanie krajów horwackich i przerzucanie ich pod różnych władzców przyczyniły się do podkopania liturgii słowiańskiej więcej, aniżeli dawne wrogie usposobienie Włochów; a nietylko ilość

---

adjiciuntur num. 12, videlicet: „*Quoniam peculiari et speciosissimo Sanctae Matris Ecclesiae privilegio, in idiomate Illyrico sacra habetur Liturgia, maxima habenda est ratio ejusdem idiomatis probe addiscendi et docendi.* Clerici noverint *Azbukidarium,* atque a peritis Sacerdotibus erudiantur, qui in eam praecipue curam incumbent, ut Illyricum Litterale, quo Missale, et Breviarum conscripta sunt, *perfecte calleant, alioquin sciant, se ad Ordines non promovendos, quum apud Illiricos eadem sit ratio Illyrici idiomatis litteralis, quae apud nosLatini.* Nihil addant, aut detrahant in Missa, et quando Epistolam et Evangelium interpretabuntur, id non ex proprio sensu et arbitratu, sed ex Missali, quod vocant *Schiavetto,* efficiant. Sex Sacerdotes peritiores in Provincia Politii deputentur, qui alios Sacerdotes in perfecta Missalis et Breviarii, eō in sacrarum functionum administratione observent, examinent, et corrigant“... (Obser. ad Card. Joan. Bona Reg. Liturg. lib. I., cap. IX. de variis Ritibus Eccl. orient., §. IV. Quae gentes lingua illyrica Missas agant. Aug. Taurin. 1747, tom I., p. 152).

[1] „Golema je množina glagolskich rukopisah ove dobe: tko bi ih kadar bio posakupiti, kako su kojekuda razvučeni po knjižnicach, manastirih, crkvah i zaklonitih městih, divio bi se toti bogatstvu glagolske književnosti koli revnosti „hrvatskich popovah“. Ima ih pri crkvach i manastirih po Dalmaciji i na ostrvih, imenito Krku, zatim u knjižnicach Rimskih, u Beču, Pragu, Zadru i u Zagrebu“. (Prim. star. jer. dio II., str. XVI).

parafii, zachowujących obrządek słowiański, w porównaniu z wiekiem XVIII-ym, zmniejszyła się, ale nadto taki nastąpił zamęt w całej liturgii, iż dziś niewiadomo, gdzie i kto używa we mszy św. języka słowiańskiego, gorzej jeszcze, wiadomo jest powszechnie, iż każdy prawie proboszcz urabia liturgię na swoją rękę. Największa część kapłanów, tak w Dalmacyi jak i w innych ziemiach horwackich, przy odprawianiu mszy „cichych“ używa mszałów łacińskich, inni, zwani Głagolasi, posługują się mszałami głagolickimi, wielu jednak z nich, dla ułatwienia sobie czytania, nadpisuje nad głagolicą wymawianie głoskami łacińskiemi. Właściwy zamęt panuje we mszach „śpiewanych“. Wszyscy kapłani w dyec. zagrzebskiej, w innych zaś dyecezyach w znacznej mniejszości odprawiają msze św. jedynie w języku łacińskim; ogół kapłanów przy mszy śpiewanej używa mszału łacińskiego i księgi słowiańskiej: wszystko co się czyta, odmawiają z mszału łacińskiego, z księgi słowiańskiej zaś to, co należy śpiewać. Ta księga nie jest wszędzie jednakowa: jedni trzymają się starego mszału głagolickiego, inni „mszału horwackiego“ [1], inni wreszcie *Piśtularа* [2]. Język we mszale głagolickim jest staro-horwacki, we mszale

[1] „Mszał horwacki“ językiem nowo-horwackim wyszedł w Riece r. 1824.

[2] Pisztularem nazywają zbiór Listów (Epistolae) i Ewangelij we mszy św. czytanych. W r. 1495 O. Bernardyn ze Splétu, Franciszkanin z prow. św. Hieronima, wydał w Wenecyi pierwszy Pisztular, językiem nowo-horwackim a czcionkami gockiemi, pod tytułem: *Evangelia et Epistolae cum praefationibus et benedictionibus per anni circulum. In lingua illyrica feliciter expliciunt. Emendata et diligenter correcta per fratrem Bernardinum Spalatensem. Anno D. 1495, die XII. Martii*“. Inne wydania tego Pisztolaru były w r. 1586 i 1596, w Wenecyi również. Ponieważ narzecze czakawskie, jakiem była pisana ta księga, nie było dostatecznie zrozumiałe dla ludu w Bośni, przeto Franciszkanin O. Jan Bandulowić wydał ten Pisztular w narzeczu bośniackiem w r. 1613 w Wenecyi pod tytułem: *Piśtule i Evangelja priko svego godišta.* Pisztular O. Bauduloviča miał 10 wydań, mianowicie w latach: 1626, 1640, 1665, 1682, 1699, 1718, 1739, 1749, ostatnie było w r. 1773. Dla Dubrowniczan O. Bartłomiej Kaszić, Jezuita, wydał: *Piśtule i Evangelja za svetkovine u godištu, u Rimu 1641,* wraz z tytułem łacińskim, Evangelia et Epistolae ex Missali novo Romano in linguam Ragusinam translata pro Urbe et Ditione Ragusina, per Bartholomaeum Kassich Pres. Soc. Jesu. Romae, typis Bernardini Tani, 1841, fol.

horwackim przeważa nowożytna „ikawczyna“, Pisztular pisany jest narzeczem czakawsko-sztokawskim. Co więcej, jedni kapłani śpiewają po słowiańsku tylko Epistołę i Ewangelię, inni nadto „Orationes“ i Praefacie, wielu wszystko, co należy przy mszy śpiewać [1].

Wreście O. Piotr Knežević z Knina, Franciszkanin z prow. Najśw. Odkupiciela, wydał: *Pištule i Evangelja preko svega godišta, na novo iztumačena, po razlogu Misala dvora rimskoga, s priložkom razlikih blagosova; načina krštenja male djece iz rituala rimskoga. U Mletcih. 1773.* Ostatnie wydanie jest weneckie z r. 1838; ten Pisztular w ogólnem jest użyciu między Horwatami.

[1] Z powodów przytoczonych (ob. dop. str. 39), nie można mieć dzisiaj szczegółowych a dokładnych wiadomości o stanie liturgii słowiańskiej wśród Horwatów. X. M. Nilles T. J. napróżno się starał o wyświecenie tej rzeczy, i pobieżne tylko podał o niej wiadomości (Kalend. manuale. Oeniponte. Vol. I., p. XXIV i XXV); o wiele dokładniejsze umieścił O. Milinowić w „Katoličke Dalmacije“ w r. 1880, opierając się na Ginzelu, Tkalczić — Tisućnica i własnych zapiskach: w braku lepszych materyałów podajemy je tu, po systematyczniejszem ich zestawieniu.

I. Msza św., w języku *staro-horwackim* z mszałów *głagolickich* odprawia się:

1. Dyecez. Kérkska. Z wyjątkiem miasta Kérka, wszystkie kościoły parafialne i trzy franciszkańskie, zachowały stary obrządek.

2. Dyecez. Splécka. W r. 1857 w 61 parafiach odprawiano jeszcze mszę św. z mszałów głagolickich; wszystkich głagoliaszów liczono wówczas 98, obecnie liczba ta zeszła do połowy.

3. Dyec. Szybenicka liczy dwie tylko parafie głagolickie.

4. Archidyec. Zadarska. W r. 1863 było 46 parafij głagolickich, dziś nie liczy tyle.

O innych dyecezyach nie ma wiadomości.

II. Msze św. w języku częścią *łacińskim*, częścią *nowo-horwackim*.

Z nader małym wyjątkiem, istnieje dziś zwyczaj w całej Horwacyi używania języka nowo-horwackiego przy odprawianiu uroczystych mszy śpiewanych; mówimy w całej Horwacyi, a więc nietylko w sześciu dyecezyach wchodzących w skład Dalmacyi, ale nadto w dyec. Kérskiej, Senńsko-Modruskiej, Pulskiej i Diakowackiej. (Biskup Strossmayer wprowadził na nowo ten obrządek, zniesiony przez jego poprzednika Raffai). Kanon czyta się po łacinie, reszta narzeczem ludowem; niektórzy kapłani kanon czytają z mszału głagolickiego, resztę śpiewają w nowo-horwackim języku.

III. *Sakramenta i inne obrzędy kościelne* nie wszyscy kapłani spełniają jednakowo. Przy rozdawaniu komunii św., większość używa języka horwackiego, wielu toż samo czyni przy rozgrzeszaniu, z wyjątkiem zasadniczej formuły. Przy chrzcie pytania są zadawane

Te śpiewy kapłańskie w różnych narzeczach ludowych nie były nigdy potwierdzone przez Stolicę św., są nadużyciem, sprawiają zamieszanie i wywołują zgorszenie. Gorszą się znający język horwacki, gdy słyszą kapłanów w dyec. Seńskiej śpiewających: „po sve vike vika“, zamiast „po sve vieki vieka“; gorszą się i słusznie, umiejący po łacinie, gdy z mszału horwackiego śpiewa kapłan „naslidowanje svetoga evangjelja“, co właściwie znaczy „imitatio“, nie zaś „sliedeće iz sv. evangjelja“ coby dopiero wyrażało łacińskie „sequentia“.

Duchowieństwo horwackie rozumie dobrze ten opłakany stan liturgii słowiańskiej, w ostatnich czasach powstał poważny wniosek przerobienia wszystkich ksiąg liturgicznych, tak, aby odtąd odprawiano nabożeństwo ze mszałów drukowanych czcionkami łacińskiemi, lecz językiem staro-horwackim; lud niechby sobie śpiewał w swojem narzeczu. Naturalnie, że miłośnicy głagolicy są temu przeciwni, wdali się w spór również świeccy literaci; jest nadzieja, że komisya wysadzona obecnie w Rzymie zaradzi niedogodnościom i położy koniec rozdwojeniu [1].

---

rodzicom chrzestnym w narzeczu miejscowem; niektórzy zbyt gorliwi łacinnicy zadają je po łacinie i w tym języku każą powtarzać za sobą odpowiedzi: tak samo przy ostatniem oleju św. pomazaniu i przy ślubie. W niektórych miejscowościach nabożeństwo Wielkiego Tygodnia odprawia się po horwacku a również i officium za zmarłych. Lud podczas mszy św. śpiewa wogóle w swojem narzeczu, w parafiach jednak głagolickich pieśni w języku staro-horwackim przeważają.

[1] Przeciwnicy głagolicy wykazują trudności w jej pisaniu i czytaniu: „Głagolica, mówią, jest zawikłanej budowy, potrzeba pięciu a często dziesięciu pociągów pióra do napisania jednej litery. W czytaniu łacińskiego pisma, oko idzie za szeregiem liter w poziomym tylko kierunku, w czytaniu zaś głagolicy, oko musi biegać w zygzak, z dołu do góry, z góry na dół, aby należycie zbadać i rozróżnić głoskę... Litery łacińskie powstają z 1—3 kresek, albo z jednej prostej i dwu krzywych, lub nakoniec z jednej prostej i jednej krzywej; głoski zaś głagolickie kanciaste składają się z 1—10 prostych kresek, z dwu prostych i jednej krzywej, nareszcie z pięciu prostych i dwu krzywych. Ze względu na różne ułożenie kresek między sobą mamy: w abecadle łacińskim 22 prostopadłych, 9 poziomych, 7 skośnych; w głagolicy zaś 78 prostopadłych, 38 poziomych i 7 skośnych liter. Liter składających się z jednej kreski prostopadłej jest w łacińskim abecadle 5, w głagolicy 1; liter z dwu

Niedługo cieszyła się Horwacya dalmacka samobytem. Branimir, Mącimir, Tomisław i Kriesimir połączywszy pod swe panowanie północną i południową Horwacyą byli dość potężnymi do oparcia się przemocy Greków, Niemców i Wenecyan. Za następcy już Kriesimira W. południowa Horwacya odłączyła się i miała swego osobnego władzcę Michała, którego Grzegórz VII. nazywa „królem Słowian“ [1]. Prawdopodobnie panował on w Skadarze, jak i jego następca, którego krzyżowcy odwiedzili tamże, w kilkanaście lat potem. Po krótkiem panowaniu Slawicy (Slawiszy)[2], objął rządy nad Horwacyą północną Zwonimir z tytułem

---

kresek równoległych jest 3 w obydwu alfabetach; liter złożonych z 3 równoległych jest w łacińskim alfabecie tylko 1, w głagolicy 9; ani jednej nie znajdujemy litery w łacińskim abecadle, którąby się składała z 4-ech równoległych, a w głagolicy jest ich 5; w łacińskim alfabecie jest 6 liter z kółkiem (oczkiem), w głagolicy zaś 11. (Przy końcu podajemy podobiznę pisma głagolickiego).

(Wyjątek z odcinku „Katoliczka Dalmacija“ p. t. Alle Osservazioni per l'alfabeto glagolito del Rev. C. A. Parczić can. di S. Girol. a Roma, risposta del sac. Giov. Danilo.)

W tych sporach dzisiejszych czynny biorą udział filologowie, historycy i pisarze horwaccy, a ogólnie słowiańscy. Tym panom nie idzie wprawdzie o dobro religii, owszem, przy lada sposobności robią wycieczki przeciwko temu, co jest najświętszem dla ich wierzących braci; ale tu chodzi o głagolicę, pamiątki archeologiczne, historyczne, rzecz zbyt wielkiej wagi. A przytem, jak nie korzystać z tak dobrej sposobności! jak nie uderzyć na Kościół, który miał być wrzekomą przyczyną jej upadku. Jednakże ciekawą jest rzeczą co ci panowie odpowiedzieliby na pytanie, które w naturalny sposób się nasuwa. Dlaczego historycy, filologowie, poeci i t. d. od czterech wieków zaprzestali pisać i drukować głagolicą? Dlaczego dziś jeszcze, p. Jagić znakomity filolog horwacki i miłośnik głagolicy pisze i drukuje tyle rzeczy po horwacku, rosyjsku, niemiecku, trzema różnemi pismami, a głagolicą kilka zaledwie starych przedruków!

[1] Gregorius Episcopus, servus servorum Dei, Michaeli Sclavorum Regi salutem et Apostolicam benedictionem (Inter Greg. Epist. XII., lib. V.).

[2] P. Tadeusz Smiciklas oddał przysługę krajowi swemu napisaniem historyi Horwacyi, ale byłby się lepiej przysłużył swej sprawie, gdyby był się nie wdawał w wycieczki, które ani nie były do rzeczy, ani nie są prawdziwe, ani też żadnej korzyści nie mogą przynieść katolickiej Horwacyi. I tak z powodu Slawicy, który miał zginąć od jakiegoś „Comes Amicus“, p. Szmiciklas *domyśla się,*

Bana. Wstępując w ślady pierwszych książąt horwackich, którzy następcom św. Piotra oddali swe państwo w opiekę [1], ponowił Zwonimir ich przyrzeczenia i zobowiązał się do płacenia Świętopietrza. Grzegórz VII., któremu leżało na sercu zbawienie chrześcijaństwa, wobec zagrożonego Turkami Byzancyum zwrócił zwrok swój na walecznych Horwatów i dzielnego ich władzcę Zwonimira. Rzucić 150.000 Horwatów nad Bosfor, położyć kres bezsilnemu państwu greckiemu, a zarazem tamę dalszemu postępowi muzułmańskiej potęgi, taka była myśl wielkiego Papieża. Tymczasem przesyła Grzegórz VII. Zwonimirowi insygnia królewskie przez swego legata Gebizona, który też dopełnił koronacyi d. 9. paźd. 1076 r. w kościele solińskim św. Piotra. Zwonimir znał zamiary Ojca św., godził się na nie i począł się gotować do wielkiej wyprawy; niesnaski domowe, drobne zawiści i niechęci żupanów, które Papież napróżno starał się uśmierzyć, doprowadziły w końcu do otwartego buntu i zamordowania pierwszego i ostatniego króla horwackiego [2]. Rzecz godna zastanowienia, kronikarz kładzie w usta umierającego Zwonimira przekleństwo na Horwatów: „aby odtąd nie mieli już nigdy Pana swego języka“;

---

bez żadnych podstaw, że to był Normand podburzony od Grzegorza VII., i ni stąd ni z owąd, dalejże za protestanckimi pisarzami pamfletów historycznych powtarzać rzeczy oklepane, przestarzałe i kłamliwe. Jako historykowi nie wolno jest p. Smiciklasowi nie znać wielkiej postaci Hildebranda; jako katolikowi, nie wolno mu uwłaczać pamięci świętego Grzegorza; wreście, nie wolno mu jako Horwatowi, brać stronę rozpustnego, okrutnego i wiarołomnego Henryka a lekceważyć męża, który narodowi jego szczytne gotował posłannictwo.

[1] Wyjątek z roz. 31. Porfirogenity: Chrobati siquidem post acceptum baptismum... wyżej zamieszczony.

[2] „... da on išće izvesti njih iz domow njih, iz žen i ditce njih, i s papom ter s cesarom odtimati mista, gdi je Bog propet i gdi je greb njegov... I ne inako, nere kako psi na suke lajuci kada idu, tako oni na dobroga kralja Zvonimira, komu ne daše ni progovoriti, nere z bukom i oružjem počeše sići njega, i tilo njegovo raniti, i krv prolivati svoga dobroga kralja i gospodina, koji, ležeći u krvi izranjen velicimi bolizni, prokle nevirne Hrvate i ostatak njih Bogom i Svetimi njegovimi, i sobom, i nedostojnom smrtju njegovom i da bi veće nigdar neimali gospodina od svoga jazika, nego vazda tuju jaziku podložni bili“... (Popa Dukljanina. Czernczić. str. 34, 35).

od ośmiu wieków nieubłaganie spełnia się to przekleństwo na narodzie horwackim.

Po śmierci Zwonimira Dalmacya przymorska stała się łupem Węgrów i Wenecyan[1]; Horwacya posawska dostała się koronie

[1] Dalmacya dzisiejsza z wyjątkiem Dubrownika, pogranicze kroackie (bisk. seńskie), część Istryi (bisk. Kérkskie), nadto część Bośni, Zagórza i Zenty należały do państwa Zwonimirowego.

Ludność dzisiejszej Dalmacyii według urzędowej stastyki z końca roku 1880, wynosiła 485.208, z tej liczby na katolików przypada 396 836, na prawosławnych 78 714; Włochów było 27 305, Horwatów 369 531. Te liczby nie zgadzają się z poszczególowymi szematyzmami dyecezyi; szematyzmy te wprawdzie są późniejsze (1882—1883), różnica jednak zbyt jest wielka. I tak w dyecezyach katolickich było:

Archidyec. zadarska. . . .	64 650
Dyec. dubrownicka. . . .	60 183
„ hvarska	47 687
„ kotorska	11 867
„ splecko-makar. . . .	153 704
„ szybenicka.	77 290
Razem katolików	415 381

W dyecezyach prawosławnych:

Dyec. dalmacka	63 319
„ kotorsko-dubrow. . .	26 415
Razem	89 734

Wyłączywszy Włochów, przypadłoby na Horwatów 388 076.

Obecnie Dalmacya należy do tej części państwa austryackiego, która się zowie Cislitawią; posiada pewną autonomią, rządzoną jest przez namiestnika rezydującego w Zadarze, gdzie zbiera się również corocznie sejm obradujący nad sprawami wewnętrznemi. Językami urzędowymi w sejmie i rządzie, są włoski i horwacki, prawa i rozporządzenia wydają się w obu językach, posłowie w sejmie mówią tym językiem, do jakiej narodowości należą. Roku 1883 na 35 posłów, pięciu tylko odpowiedziało przy ślubowaniu *prometto,* inni *obećajem*; dwadzieścia kilka lat temu używano w sejmie jedynie tylko języka włoskiego. Sejm dzieli się na trzy stronnictwa: 1. narodowe czyli horwackie, 2. serbskie i 3. autonomiczne. Stronnictwo autonomiczne jest zarazem rządowem; składają je Włochy i mała ilość Słowian jeszcze nieodwłoszonych: pomimo silnego poparcia słabo tego roku było reprezentowane. Stronnictwo horwackie, najliczniejsze, dąży do trójjednego królestwa Horwacyi, Slawonii i Dalmacyi; na tegorocznym sejmie żądało połączenia z Bośnią, zaprowadzenia jednego języka urzędowego (horwackiego) i cywilnego

św. Szczepana. Po za Welebitem i Dynarami, w granicach metropolii duklańsko-barskiej powstały dwa większe państwa niezależne, serbskie i bośniackie, nadto kilka mniejszych; ponieważ one utworzyły się z krajów, które niejednokrotnie z Dalmacyą złączone bywały, a w wielu z nich nawet pierwiastek horwacki przemaga, dla uzupełnienia i wyrobienia sobie zdrowych poglądów na obecny stan rzeczy, przebieżymy treściwie dzieje Horwacyi, Serbii, Bośnii, Zenty, Czarnogóry i Dubrownika. (Dok. nast.)

X. W. Zaborski.

---

namiestnika (dotąd był zawsze wojskowy); stronnictwo to w przeciwstawieniu tylko do serbskiego jest katolickiem, ale nie posiada prawdziwie katolickich zasad. Stronnictwo serbskie z nierozwiniętym jeszcze jasno i jawnie programem, łączy się czasami z horwackiem, czasami z autonomicznem, wedle potrzeby. Najwybitniejszemi postaciami w tegoczesnym sejmie byli Horwaci: X. Pawlinowić i p. Klaić; w stronnictwie serbskiem pp. Bakotić i Bjelanowić.

„Ojcze nasz“ pismem głagolickiem.

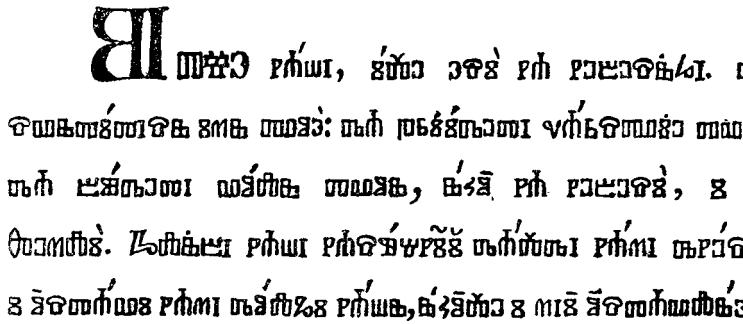

UWAGI
nad stanem obecnym Francyi.

Wjeżdżając do stolicy Francyi, nie można się oprzeć szczególniejszemu wrażeniu; miasto, które przez tyle lat stanowiło punkt ciężkości cywilizowanego świata, które swój język, obyczaj i mody aż do dnia dzisiejszego całej niemal Europie narzucić potrafiło, stolica kraju, którego polityka przez dwa wieki nowożytnej historyi na szali ważyła i z którego wyszedł ruch społeczny, wstrząsający do tej chwili posadami nowożytnego społeczeństwa, najobojętniejszego nawet zaciekawić musi. Dodajmy do tego straszne nieszczęścia i klęski tego narodu, któren, jakby jeszcze nie dosyć było zewnętrznych porażek, iście obłąkaną dłonią własne wnętrzności szarpie, a będziemy mieli obraz może smutny i straszny, ale w każdym razie wielce ciekawy i zastanowienia godny. Kto nie dla samej rozrywki lub zabawy do Paryża jedzie, tego musi zaciekawić, jak też ten kraj wygląda po Sedanie i komunie, po niezliczonych błędach politycznych i wyuzdaniu najgorszych żywiołów społecznych, po jakich zewnętrznych znakach można dopatrzeć uszczuplenia znaczenia politycznego, upadku godności narodowej i miłości ojczyzny.

Francya od końca drugiego cesarstwa przedstawia bardzo ciekawy, a może jedyny w historyi widok. Że w czasach nadzwyczajnych zaburzeń rządy wielkich krajów dostawały się chwilowo w ręce niezdolne i zbrodnicze, tego historya przedstawia nam kilkakrotne przykłady. Trwało to dłużej lub krócej, ale ze-

wnętrzne okoliczności przewrotowi takiemu towarzyszące, tłómaczyły dostatecznie tak nienormalne zjawisko; ale żeby kraj wielki, bogaty, do niedawna tak potężny, wśród względnego pokoju dał się przez kilkanaście lat rządzić przez szajkę nikczemników, u których niewiadomo co więcej potępiać, czy nieudolność polityczną, czy brudny egoizm, czy cynizm ambicyi osobistej bez żadnego względu na dobro kraju, czy wreszcie skandaliczną przeszłość, tego chyba drugiego przykładu niema w historyi, i zaiste patrząc na to, trudno sobie z tego zdać sprawę. O ile mnie na to stać, będę się starał to uczynić, a jeżeli uwagi niniejsze mogą mieć jakąś wartość, to chyba tę, że nie zasłyszane, ani wyczytane, ale na osobistej polegające obserwacyi.

Przedewszystkiem pamiętać należy, że to nie przelewki, że Francya stoi nad brzegiem przepaści, że co chwila ryzykuje byt lub niebyt kraju, a mimo to na konsekwentną akcyą polityczną, na poświęcenie względów osobistych lub względów stronnictwa zdobyć się nie może i z otwartemi oczyma leci do zguby. Powtóre Rzeczpospolita we Francyi, jestto czysta illuzya, a rządy takowej przeznaczone *ad usum delphini*, dla publiczności czytającej dzienniki. Faktem niewątpliwym we Francyi są rządy osobiste, nieodpowiedzialne, i w tem największe niebezpieczeństwo. Ma się rozumieć, że w każdej jakiejkolwiekbądź formie rządu, osobistość przeważną odgrywa rolę, że w najliberalniejszej konstytucyi, otwierającej na roścież wrota wszelkim żywiołom społecznym, władza powoli skupia się w rękach mających najwięcej rozumu i woli; mimo to jednak władza ta miarkowaną jest prawem, tradycyą, względami na obyczaj i wiarę i są zawsze pewne granice, których bez obrażenia sumienia narodowego i utracenia swego wpływu przekroczyć nie może; otóż tego regulatora władzy w obecnych rządach Francyi brak zupełny; a jakim sposobem to się mogło wytworzyć, to nam tłómaczy poprzednia historya tego kraju.

I.

Jak w każdym narodzie, tak i we francuskim są pewne wybitne cechy, za któremi śledzić i zawsze w rozmaitych epo-

kach jego historyi odszukać można. Od czasów Cezara i Oktawiusza, potem Ludwika XI. i Burbonów, aż do Napoleona i do naszych czasów, mężowie stanu i rządy francuskie okazywały wielką zręczność, a naród dziwnie łatwe naginanie się do centralizacyi. Co Ludwik XI. uczynił we Francyi, to nietylko zawdzięcza swej przebiegłości politycznej ale nadto i szerokiemu sumieniu niecofającemu się przed żadnym środkiem; miał bowiem koło siebie polityków równie zręcznych, a co do sumienia, to mężowie stanu średniowieczni posiadali chyba najelastyczniejsze. Zawdzięcza on nadzwyczajny swych zabiegów skutek, którym na sto przynajmniej lat inne rządy europejskie wyprzedził, zarazem bardzo łatwemu i giętkiemu materyałowi, jaki znalazł pod ręką. Zastanawia nas bezwzględność, z jaką Ludwik XIV. wszystkie soki kraju ku własnej osobie skierować potrafił; dziwi nas łatwość w organizacyi rządów rewolucyjnych; podziwiamy geniusz Napoleona, który na zgliszczach i pożodze potrafił tworzyć zarazem: armię, sądownictwo, finanse i szkoły. Podziwiamy słusznie, ale pamiętać przytem należy, że naród francuski dziwnie do tego rodzaju rządów się nadawał i byle mu cień organizacyi politycznej pokazać, z łatwością lazł pod jarzmo, byle nie obce. Im większym był despotą ten, który nim rządził, tem powolniejsze znajdywał narzędzie, a naród pod silną dłonią do tem większych czynów był zdolnym. I dziwna rzecz — ten żywioł tak niesforny, tak pochopny do wyszydzania wszelkiej zwierzchności i powagi, w gruncie bez władzy absolutnej obyć się niemoże; dopiero pod obuchem takowej, ślepo na rozkaz pójdzie, i wtedy właśnie nadzwyczajne przymioty jego na jaw wychodzą; a dzieje się to nie w skutek jakiegoś niewolniczego, gnuśnego usposobienia — cała historya Francyi byłaby żywym przeciwko temu dowodem, ale przez to, że naród, póki nie ujrzy odrazu swego chwilowego zadania i działania ujętego w ścisłą całość, do żadnego dzieła nie jest ani skłonny ani zdolny, a póki trwa taki peryod przejściowy w jego historyi, najlepsze swe siły na wewnętrznych swarach lub idyotycznych zaprawdę porywach politycznych marnować będzie. Wszystko to zaś jest wynikiem centralizacyi, do której naród z natury był skłonnym, a która w ciągu kilkowiekowej polityki przeszła w jego krew i kości. Ani srogie walki potężnych Ludwiką XI.

rywalów, ani porywy stanów jeneralnych, ani tak liczne rewolucye, albo wyborne dzieła pisarzów politycznych przeciwnej szkoły prądu tego przełamać nie zdołały, a zgasły rok temu bohater Rzeczypospolitej rządził Francyą tak samo despotycznie, jak Ludwik XIV. lub Napoleon. Naturalna skłonność poparta wiekową polityką i szkołą wyrodziła ten zmysł i potrzebę centralizacyi, bez której rodowity Francuz sobie rządów wyobrazić wcale nie może. Zaś to wszystko nie jest wynikiem i robotą rewolucyi, albo pierwszego mocarstwa, ale istniało od dawna, tylko może nie w tak ścisłe ujęte formy, tego po pismach Tocquevilla i Taine'a, dowodzić chyba już nie potrzeba. Jakiekolwiek stronnictwo we Francyi do władzy przyjdzie, jaką będzie forma rządu, która się ostatecznie utrzyma, system i sposób rządzenia pozostanie ten sam. Dlatego też, jeżeli w każdym narodzie arcyważną jest kwestyą, w czyich rękach władza spoczywa i jaką jest ożywiona wolą i myślą, to we Francyi staje się kwestyą żywota, niemal istnienia państwa, bo w skutek tych długich tradycyi centralizacyi siła oddziaływania przeciwko z góry nadanemu kierunkowi jest mniejszą, aniżeli gdziekolwiekbądź. Jeżeli więc kierunek ten będzie złym, czy to w skutek nieudolności politycznej, czy złej woli, czy braku zasad, cały kraj do zguby prowadzić będzie, a to, co się dzisiaj w oczach naszych dzieje, jest, jak sądzimy, dostatecznym tego dowodem. Dlatego też powiedzieliśmy na wstępie, że obecne rządy Francyi nie są żadnymi względami krępowane: idą na przebój, wbrew instynktowi i woli, wbrew wierze i wyznaniu ogromnej większości mieszkańców, wbrew zdrowemu rozsądkowi, lub najprostszym zasadom sztuki rządzenia, — ale idą, i niema siły społecznej, dość odważnej i silnej, by przeciwko temu wystąpiła. Centralizacya bowiem wszystko pochłonęła, a z tego przewrotu równowagi sił społecznych wypadła zguba prawdziwej wolności.

Zastanowienia przy tem godne, że ci sami ludzie, co przeciw tej absorbcyi sił indywidualnych przez machinę rządową wyrzekają, i słusznie, te same stronnictwa, czy legitymistów, czy bonapartystów, czy orleanistów, albo umiarkowanych republikanów, które w ciągłej ze sobą są waśni, a to tylko w opozycyi, wziętej jako zasada, zgadzają się, niechby którekolwiek z nich przy-

szło do władzy, w ten sam, nie w inny sposób rządzić będzie. Ma się rozumieć, że skutki takich rządów będą zupełnie odmienne, o ile piastując władzę, będą uczciwsze i rozumniejsze, ale sposób rządzenia pozostanie ten sam. Należy tedy życzyć Francyi, by się jak najprędzej z więzów tych wewnętrznych wyzwolić mogła, by ster władzy mógł przejść w ręce uczciwsze, a mianowicie zdolniejsze; w powodzeniu bowiem politycznem, przy dzisiejszym stanie rzeczy, rozum, przezorność i konsekwencya, więcej dużo na szali ważą, aniżeli uczciwość. Czy się we Francyi takie żywioły znajdą, zanim jeszcze gorsze zaburzenia wewnętrzne albo wypadki polityki zagranicznej kraju nie zaskoczą i do ostatniej przyprowadzą zguby, tego przesądzać nie śmiemy ale wypowiadamy tu głębokie przekonanie, że republikańska forma rządów jest dla Francyi, wobec jej historycznego ukształtowania, nierozumną i niewłaściwą, i że do sławy dawniejszej i znaczenia, tylko pod rządami monarchicznymi powrócić może. W tym jednym punkcie stronnictwo legitymistów, co do reszty z rozumu politycznego obrane, najzupełniej ma słuszność, jak mają również słuszność, inne monarchiczne w narodzie stronnictwa. Ponieważ atoli, one do zgody pomiędzy sobą dojść nie mogły, a każde na swoją rękę politykę prowadzi, ponieważ od lat wielu na żadnego polityka się nie zdobyły, a młodzież swoją w niewłaściwy wychowują sposób, zabiegi ich pozostają zupełnie jałowe i bezowocne.

Z tym zmysłem centralizacyi nietylko każdemu politykowi, ale i każdemu co chce słuszny o tym narodzie sąd wydawać, jako z faktem bardzo ważnym liczyć się należy, bo łatwo się można przekonać, jak dalece pomieniona dążność, nietylko w życiu politycznem, ale tak samo administracyjnem społecznem i ekonomicznem wzięła górę. Ma się rozumieć, że pobieżne uwagi nie wystarczą, by sobie takie wyrobić przekonanie; potrzebna do tego nietylko znajomość Paryża, ale dokładne obeznanie się z prowincyą w rozmaitych częściach kraju, jak niemniej obcowanie z rozmaitemi, tak co do stanu, jak do zajęcia i powołania, warstwami społeczeństwa.

Absorbcya ekonomiczna i umysłowa całego kraju na korzyść Paryża sięga niemal końca wieków średnich; już dobrze bowiem

przed Ludwikiem XIV. w pełnym była toku, a za jego rządu, jak i jego następców, prowincya bodaj czy nie miała jeszcze mniejszego jak dzisiaj znaczenia, z tej prostej przyczyny, że tak potężne obecnie żywioły handlowe, finansowe i przemysłowe, które i na prowincyi rozwijać się mogą, albo nie istniały wcale, albo ginęły wówczas wobec blasku szlachectwa i życia dworskiego. Paryż jednakże pochłania tak samo dzisiaj wszystkie żywotne soki kraju. Niedługi pobyt w którem z większych miast prowincyonalnych wystarczy, by się dowodnie o tem przekonać. Miasta jak Lyon, Marsylia, Lille, Bordeaux lub Nantes, mogące tak co do świetności pozoru, jak do ludności, iść o lepsze z niejedną stolicą państw europejskich, tak bogate, że my w naszym biednym kraju, nie mamy o tem ani wyobrażenia, mają poziom umysłowy, naukowy, towarzyski, tak niski, że życie w takiem mieście dla kogoś, co z miejscowemi nie jest związany sprawami, staje się po prostu nieznośnem. Wszak nietrudno w niejednem mieście niemieckiem albo włoskiem, nie mówiąc już wcale o północnych, mniejszem o wiele od wymienionych, spotkać się z wcale przyzwoitym teatrem, doskonałą muzyką, bardzo przyjemnym salonem, lub niepospolitym zastępem artystów i uczonych; ale nie życzyłbym nikomu podobnych rozkoszy zakosztować w mieście prowincyonalnem Francyi. Są w nich wspaniałe budowle, podziwienia godne roboty publiczne, w niektórych bogate muzea, a nawet towarzystwo uczone, ale to wszystko na poziom umysłowy mieszkańców żadnego niemal nie wywiera wpływu. Żyją paryskimi dziennikami i nowinkami, wzdychają za Paryżem i nudzą się okropnie; obojętni zresztą na wszystko, prócz na dobrobyt materyalny, rzeczywiście bezprzykładny, do czego jeszcze później wrócimy. Żaden poeta, uczony lub artysta, żaden doktor lub adwokat, żaden mianowicie autor, ba nawet duchowny na wierzch nie wypłynie, zanim sankcyi swej sławy w Paryżu nie otrzyma, a jak go tenże pochwyci w swe szpony, już go nigdy nie opuści.

Ale zajrzeć do wewnętrznego rządowo administracyjnego życia takiego miasta, jak tam machina rządowa do ostatnich szczegółów funkcyonuje, jak prefekt z całym zastępem swych urzędników jest wszechwładnym, jak mało życia autonomicznego, a jeżeli jest, jak tam wszystko na centralistyczną modłę jest

urządzone! Tak samo się dzieje w świecie handlowym i przemysłowym, tak samo w życiu ulicznem, bo nie ma kawiarni lub restauracyi, niema ogrodu publicznego, teatru lub caffé chantant, czy to w Breście, Marsylii, Dunkierce, Korsyce lub Algierze, któryby nie małpował Paryża. W wielkich przedsięwzięciach przemysłowych Francyi, w instytucyach finansowych, w domach handlowych, które nas ogromem swoim zadziwiają, a w rzeczy samej wszelki drobny przemysł i kapitał rujnują, a socyalizmowi jakby naumyślnie drogę torują, panuje żelazna dyscyplina i centralizacya do najdrobniejszych doprowadzona szczegółów. Żelazna ta dyscyplina jeszcze jest zahartowaną bardziej w świecie urzędowo biurokratycznym. Często wystawiamy sobie Francuzów jako dobrodusznych, łatwych w pożyciu, do poufałości skłonnych; i tak jest rzeczywiście, ale tylko po za granicami, do których zajęciem, powołaniem, lub zarządem należą; w obrębie takowych staje się Francuz szorstkim, napuszonym, często niegrzecznym. Wystarczy posłuchać, jak mer rozmawia ze swym pisarzem gminnym, szef jakiego biura z podwładnemi, adwokat z dependentem, by się o tem przekonać; co zaś do prefekta lub ministra, ci z niższymi urzędnikami w poniżający po prostu obchodzą się sposób, a mimo to nikt nie mruknie. Najwięcej może cudzoziemca razić, że ta centralizacya ze wszystkimi swymi skutkami nawet w duchowieństwie się zagnieździła. Szczególniej Polaka, przywykłego do łagodnego, ojcowskiego obchodzenia się pasterza z podwładnem mu duchowieństwem, musi razić, że biskupi niższe duchowieństwo traktują jak urzędników. Słyszałem rozkazy wydawane kanonikom przez biskupa w tonie, który mnie wprawił w zadziwienie, gdyż nie działo się to w gniewie, albo w skutek nieposłuszeństwa, ale tak z chwalebnego zwyczaju. Że ten duch centralizmu, tak przeciwny organizacyi naszego Kościoła, do duchowieństwa francuskiego wsiąknął, stało się skutkiem gallikanizmu, z wpływu którego duchowieństwo francuskie do dziś dnia się w zupełności nie otrząsło. W skutek przewrotnej zasady swojej trzymając raczej z rządem, aniżeli z głową Kościoła, przejął formy i systemat rządu, a mimo wyłamania się z pod tego wpływu, do czego straszne w ciągu rewolucyi prześladowanie księży i religii najskuteczniej się przyczyniło, naleciałość ta pozostała, i to mi tłó-

maczy dlaczego wpływ duchowieństwa na ludność, nie jest w stosunku do jego cnót i gorliwości w sprawie Kościoła i społeczeństwa. Wszystkich tych przymiotów duchowieństwu francuskiemu odmówić niepodobna, ale w końcu i lud prosty spostrzeże, iż hierarchia duchowna świeckie przybiera formy, a wtedy dziwić się nie można, że księży równie jak prostych urzędników uważać będzie. Jestto wprawdzie strona czysto zewnętrzna, a duchowieństwo francuskie zanadto dało dowodów i gorliwości i poświęcenia i przywiązania do Stolicy Apostolskiej, by je o brak życia duchownego pomawiać można, jednakże zewnętrzne formy na ogół zawsze wielki wpływ wywierać zwykły.

Rzeczywiście zaś wobec ubóstwa i nędznego uposażenia duchowieństwa dziwić się wypada, że większego wpływu na lud prosty nie wywiera, a jednakże zdarzyło mi się widzieć kilkakrotnie we wsiach, że mimo gorliwego księdza, kościół w niedzielę zupełnie był pustym. Że się do takiej bezbożności przyczynia rząd, sekta i straszna zaprawdę literatura litografowana, językiem ludowym pisana, na której czytanie włosy mi na głowie stawały, to więcej jak pewne; musi być jednakże jakaś i w samem duchowieństwie wina, że jego zabiegi i wysokie cnoty nie są lepszem uwieńczone skutkiem, a nie mogę sobie tego inaczej jak z powyżej wymienionych powodów wytłómaczyć.

W życiu prywatnem ta dążność do centralizacyi przybrała postać pewnej jednostajności, sprawiającej, że w kraju obszernym, dość znaczne mającym klimatyczne różnice, a w skutek rozległości wybrzeży i szerokiego handlu będącym wystawionym na rozmaite ościenne wpływy, mimo to zwyczaje życia powszedniego są, można powiedzieć, identyczne. Począwszy od takich fraszek, jak, że np. doktor i adwokat nie mogą inaczej chodzić, jak w czarnym stroju i białym krawacie, że najdrobniejszy szczegół urządzenia domowego wszędzie jest ten sam, aż do najważniejszych zadań życia prywatnego i rodzinnego, wszystko na jednę odbywać się musi modłę, i nikomu na myśl nie przyjdzie, by na jotę od zwyczajów tych odstąpić można. Kto jeden dom francuski poznał, zna je wszystkie. Różnica stanów, majątku, albo zajęcia, żadnego wpływu na te zwyczaje nie ma i będzie się tylko odnosić to do większej lub mniejszej obfitości lub zasobu, ale można się

naocznie przekonać, że obiad chłopa czy markiza, wyrobnika czy bankiera z tych samych dań mniej więcej składać się będzie; każdy musi mieć wino i deser, kawę i wódkę po kawie, bo bez tego żyć niemoże; niech będzie w jak najgorszym gatunku, ale być musi.

II.

Te ostatnie uwagi, aczkolwiek błahe, z poważnemi poruszonemi tu sprawami na pozór nie licujące, naprowadzają nas naturalną drogą na kwestyę bardzo ważną, od której przyszłość kraju tego zależeć będzie, a mianowicie zmateryalizowanie społeczeństwa francuskiego. Sądząc o tem, nie należy się zanadto pessymistycznie zapatrywać, a mianowicie nie trzeba zewnętrznego dobrobytu uważać jako znak wyłączny materyalizmu i chęci używania, boć dobrobyt i wygody życia są zarazem wynikiem pracowitości i bardzo starej cywilizacyi, a wreszcie pamiętać wypada, że nie jedno społeczeństwo francuskie materyalizmem jest zarażone, ale, że większa część cywilizowanego świata na tę samą zaniemogła społeczną chorobę. Najzdrowszem pod tym względem jest może jeszcze społeczeństwo naszego kraju, ale na całym zachodzie pieniądz, dobrobyt, komfort i chęć używania, stały się głównym, często jedynym celem zabiegliwości ludzkiej. Z drugiej strony przyznać należy, że ten rak społeczny nigdzie w tak rażący nie wystąpił sposób, jak właśnie w społeczeństwie francuskiem. Możnaby na to rozmaite przytoczyć powody, pomiędzy innymi, że nigdzie szlachta nie porzuciła tak wcześnie swych obowiązków, zachowując wszystkie przywileje, a zatem z góry poszedł przykład używania bez pracy; że nigdzie bezbożność w urzędowy, że tak się wyrażę, nie wystąpiła sposób, jak się to stało kilkakrotnie w porewolucyjnej narodu francuskiego historyi, jak się to mianowicie dzieje jeszcze dzisiaj; wreszcie, że w żadnym kraju prawodawstwo tak radykalnych i gwałtownych zmian nie przeprowadziło. To też kodeks, bezbożność i zepsucie obyczajów, wreszcie naturalne bogactwa kraju połączone z wielką pracowitością narodu i szybko wzrastającemi potrzebami, złożyły się na wytworzenie obecnego, zastraszającego naprawdę stanu.

Kodeks cywilny zaprowadzając równy podział majątku, i pozbawiając ojca rodziny wolności rozporządzania swem mieniem, zrobił nagły przewrót moralny i ekonomiczny. Rodzina musiała ucierpieć, raz przez ukrócenie powagi ojcowskiej, powtóre, przez wskazanie dzieciom tych praw i obrachowanie tych udziałów, jakie mogą mieć do majątku rodziców, a nad ciężkiemi moralnemi tego wkroczenia ustawą w dziedzinę życia rodzinnego skutkami, długo się tu rozwodzić nie potrzeba, gdyż same w oczy biją. Ekonomicznie musiał kodeks doprowadzić do bezgranicznego podziału majątku, a w szczególności ziemi. Ten ekonomicznie ujemny rezultat w konsekwencyi wytworzył chęć utrzymania w całości majątku, albo o ile możności ograniczenia podziału takowego, co znów naprowadziło na pokusę i tendencyę, by jak najmniej mieć dzieci. Tak się też stało, i bezpłodność małżeństw, albo raczej ograniczenie takowej stało się we Francyi ogólnym systemem, który co jeszcze gorsze, niższe zwłaszcza klasy i lud wiejski ogarnął. Straszne moralne i obyczajowe skutki tego stanu rzeczy, wręcz przeciwnego naturze, przepisom kościelnym i celowi małżeństwa, dają się łatwo przewidzieć, a wielcy politycy i ekonomiści francuscy, rozprawiający z taką naiwnością o zdobyczach rewolucyi, nie widzą, że niepłodność małżeństw jest najpewniejszą cechą narodów upadających, i że w końcu ma ona znaczenie polityczne i wojskowe; mniejszy bowiem przyrost ludności we Francyi w stosunku do ościennych krajów, musi doprowadzić do zmniejszenia siły zbrojnej. Byle mało mieć dzieci, mało kłopotu z wychowaniem takowych, a łatwiej je wyposażyć oto rozumowanie episiera, a nawet chłopa francuskiego; rodziny legitymistów stanowią po większej części chlubny pod tym względem wyjątek. Że małżeństwo jest sztuką ciągłego poświęcenia, że na szczęście jakie daje ojcostwo, ciężko zapracować trzeba, o tem większość pamiętać nie chce, jak również zapomina, że wystarczy raz przypuścić, iż dziecko jest ciężarem, a rodzice do wszelkiej zbrodni będą zdolni, czego systematyczne zagładzanie niemowląt przez najęte mamki i głośne swego czasu z tego powodu procesa, aż nadto smutnym i drastycznym są dowodem.

Bezbożne rządy, urzędowe prześladowanie Kościoła i religii, niszczenie wszelkich zakładów z poświęcenia i miłości bliźniego

wyrosłych są drugim żywiołem prowadzącym teraz do materyalizmu; i jeżeli się czemu dziwić wypada, to zaślepieniu i zaciekłości z jaką rządy te kwiaty najwyższej cywilizacyi depczą nogami bez względu, chociażby na materyalne tylko straty, jakie kraj w skutek tego ponosi. Obowiązek, poświęcenie, zaparcie się ciche, są to pojęcia tak ściśle związane z wiarą w Boga osobistego, nieśmiertelność duszy i przyszłą odpowiedzialność za postępowanie człowieka na tej ziemi, że odjęcie takowych nie może tylko prostą drogą prowadzić do najgrubszego materyalizmu. Punkt honoru, duma narodowa i wzgląd na opinią i sławę, jednostki co najwięcej do poświęcenia prowadzą; ogół potrzebuje czegoś silniejszego, ważniejszego, niezmiennego, boć wiadomo jak licznym punkt honoru, stosownie do czasów i obyczajów, podlega modyfikacyom. Ogółowi potrzeba wiary. Odjąć mu takową, znaczy wskazać mu obecne życie jako cel jedyny; a zatem o ile możności najwygodniejsze urządzenie takowego, używanie i przygarnianie do swej osoby jak najwięcej darów przyrody, zaspakajanie wszystkich w najszerszej mierze potrzeb, zachcianek i pozyskanie wszelkich ku temu środków. Zdobycie tego wszystkiego zowie się szczęściem, brak pomienionych warunków nieszczęściem na tej ziemi. A nie w tem leży główne materyalizmu niebezpieczeństwo, żeby w środkach celem pozyskania majątku nie przebierać, choć i to ostatnie niemałe; leży owszem w tem, że i przy najuczciwszem zarobkowaniu człowiek mający ten jedyny cel na widoku, traci poczucie i potrzebę wszelkich względów, z przyrobieniem majątku i polepszeniem bytu materyalnego, niemających styczności. Dlatego też komfort, jak nowsze społeczeństwo, a francuskie mianowicie, go pojmuje, stokroć jest niebezpieczniejszym od najwyuzdańszych nawet zbytków, w które narody w rozmaitych czasach popadały. Taki zbytek jak rzymski z czasu Cezarów, zbytek w czasie odrodzenia we Włoszech, lub w dworskiem życiu Francyi za czasów Burbonów panujący, z natury rzeczy tylko nielicznej klasie ludności był dostępnym. Niewiele bowiem fizycznych natur się znajduje do zniesienia go zdolnych, a jeszcze mniej fortun takowemu odpowiadających; tego rodzaju zbytek wielce jest rażącym, zanadto w oczy bije i w skutek tego łatwo wywołuje krytykę i potępienie, a w końcu samym uczestnikom

takowego bardzo się prędko sprzykrzy. Ale spokojny materyalizm, miłość nieporządna dobrobytu i komfortu rozciąga się o wiele szerzej, całe społeczeństwo objąć zdoła, a ponieważ drobne cnoty prywatne, jak oszczędność, porządek i pracowitość, doskonale się z nim zgodzić mogą, nie przedstawia na pozór nic zdrożnego, i ulegających temu prądowi w zupełnem spokoju sumienia pozostawia; nie przekraczając zaś miary, za cel i zajęcie całego życia wystarczyć może. Ten spokojny materyalizm naprawdę serce wysusza, duszę gubi, obniża moralny poziom, nie pewnej klasy, ale całego narodu, a w polityce brak miłości ojczyzny i upadek godności narodowej za sobą prowadzi. W takim stanie znajduje się, zaprzeczyć temu niepodobna, większa część społeczeństwa francuskiego i wiele objawów publicznego życia tego narodu, jemu właśnie przypisać trzeba. Wszystko jest zmateryalizowane, wysoka szlachta, o ile takowa jeszcze istnieje, i burżoazya (ta oczywiście najbardziej) i lud wiejski. Ileż mi się razy dało słyszeć od chłopów i fermierów, że byle hektolitr pszenicy był po 25 fr., a wino po pewnej cenie, obojętnie im zupełnie, kto i jak nimi rządzi, byle nie księża; ile razy widzieliśmy w Izbach, lub w polityce kraju, że handlowe, przemysłowe, finansowe względy brały górę nad wymogami patryotyzmu i godności narodu! Tych ostatnich w życiu narodu niezbędnych żywiołów jest niestety bardzo mało i pod tym względem naród francuski stanowczo niżej od innych stoi. Są stronnictwa, nie ma patryotyzmu, jest katolicyzm, zdolny wprawdzie do poświęceń majątkowych, niezdolny do poświęcenia życia, osoby lub stanowiska, jak tego gładkie i łatwe rozpędzenie klasztorów jest dowodem; w rodzinach są majątki, niemasz karności, wszystko brnie z dnia na dzień, a hasło: „Francya jest bogatą“ wystarcza do zaspokojenia wszelkich obaw. I dziwić się tutaj, że wobec tego stanu socyalizm niebezpieczne robi postępy. Socyalizm, w zasadzie swojej przewrotny, w środkach i celu bezrozumny, mimo to ze swego stanowiska zupełną ma słuszność, jeżeli klasy nieposiadające przeciw posiadającym szereguje i podburza. Jeżeli jedni opływając w dobrobyt i dostatki, chociażby i własną zarobione pracą, nie posuwają się ani do sprawy publicznej, ani do miłości bliźniego, dbając tylko o policyę i żandarma, któreby ich osoby i mienie zabezpieczały,

a na resztę obojętni, to wybuchy socyalistów przeciw takiemu społeczeństwu łatwo wytłumaczyć się dają. Uczucie sprawiedliwości chrześcijańskiej leży bowiem w głębi ludu, a, że takowego przywódzcy socyalizmu do swych celów nadużywają, to tylko wina stronnictwa tych pseudokonserwatystów, ukrywających najbezczelniejszy egoizm pod płaszczykiem rzekomo zdrowych zasad społecznych. Wobec sprawiedliwości chrześcijańskiej zupełnie jest obojętnem, czy majątek przez przodków przekazanym, czy własną pracą zdobytym został, w ostatnim bowiem wypadku bez zezwolenia i błogosławieństwa Bożego nie byłby urósł; boć wielu pracuje, a często owoców pracy nie zbiera; sam fakt zaś posiadania pociąga za sobą te same zawsze obowiązki. Jeżeli klasy posiadające nie wykażą, że się do obowiązków tych poczuwają, słuszna tedy rzecz by srogo za to pokutowały.

Wobec tych danych nawet szczęśliwe warunki i prawdziwe przymioty narodu na niekorzyść jego się obracają. Naturalne bogactwo Francyi, wyborny klimat, szerokie wybrzeża, ogromne zasoby ekonomiczne starą nagromadzone cywilizacyą, są bez pytania dodatnimi czynnikami do wytworzenia pomyślnego stanu politycznego i społecznego, a pracowitość mieszkańców wszystkie te warunki jeszcze potęguje niemal bez miary. Otóż ta praca, uważana przez większość jako środek do późniejszego spokojnego używania, traci przez to moralną wartość i pozbywa się wszelkiej zasługi. Pod tym względem Francuzi przedstawiają rzeczywiście dziwną sprzeczność, której dopiero po dłuższej obserwacyi dopatrzeć się można, a której u innych narodów się nie spotyka.

Wiadomo, że Francuz nadzwyczajnie jest pracowitym. Pracę ma łatwą, rozsądnie rozłożoną, rzadko kiedy jest zapracowany, a nigdy sobie potrzebnego do utrzymania sił spoczynku nie odmawia. Do tego w ogóle wstają bardzo rano i więcej w dzień, niż późnym wieczorem pracują; a nie dzieje się to tylko w klasie rolników i rzemieślników, którym sposób zajęcia nakazuje pewne godziny, wiadomo bowiem z życia wielu uczonych, artystów, posłów, że prawie zawsze rankiem najwięcej są zajęci. Przy zmyśle przeważnie praktycznym większości, łatwo zrozumieć, że praca skierowana do materyalnego bytu jest korzystną i stosunkowo szybkie przynosi owoce. Można się też spotkać co chwila

z bardzo usilną, zaciętą pracą, prawdziwie wzorową oszczędnością i skromnością potrzeb; i nigdzie z pewnością majątek prywatny tak szybko nie przyrasta. Zdawałoby się, że dla człowieka od młodu, do takiej wdrożonego pracy, stanie się ona, zwłaszcza jeżeli mu się powiodło, niezbędną potrzebą, tak, że póki siły służą, bez silnego zajęcia żyć nie będzie w stanie. Dzieje się tymczasem całkiem przeciwnie. Francuz rozpoczynający karyerę, powiada sobie, że potrzebuje takiego a takiego dochodu. Zaczyna pracować iście niezmordowanie, a jak szybko, jak mądrze, jak wesoło, to prawdziwa przyjemność patrzeć. Miałem często bardzo zręczność przypatrywać się pracy techników, inżynierów, najrozmaitszych fabrykantów i rzemieślników i pojąć nie mogłem jak w chwili najważniejszych i trudnych obliczeń sypały się w warsztacie lub pracowni żarty i dowcipki, jak śpiewano i pogwizdywano, a nigdy się nie omylili. Otóż ten sam Francuz, jeżeli po kilkunastoletniej pracy doszedł do zamierzonego celu i tyle uzbierał grosza, ile mu do wygodnego życia potrzeba, zwija nagle całą czynność, kupuje papiery procentowe, staje się rentierem i z życia bardzo czynnego przechodzi do zupełnego próżniactwa. Można po mniejszych zwłaszcza miastach prowincyi spotkać mnóstwo takich ludzi, którymby wiek i siły na długą jeszcze pozwalały pracę, dla których, co dziwniejsza, praca dobrą jest znajomą, bo zapomocą jej do majątku doszli, a mimo to, są absolutnie nieczynni. Życie kawiarniane, powolne i cierpliwe podnoszenie komfortu domowego, lub ogrodnictwo na maleńkich kawałkach ziemi, oto ich całe zajęcie i zabiegi, a ponieważ mają po większej części nieliczne bardzo rodziny, a skromne stosunkowo potrzeby, mogą się z całym spokojem temu swego rodzaju *dolce far niente* oddawać, które własną zdobyli pracą. Dodajmy do tego obojętność religijną, a łatwo zrozumieć, że takiego człowieka, prócz wiadomości giełdowych, lub ceny codziennych potrzeb życia mało co obchodzić będzie; że patryotyzm dla niego mrzonką jest czystą, i chyba tylko przez tak nędzną pobudkę jak próżność narodowa, jako tako utrzymywanym być może.

W ogóle mało gdzie zdarzyło mi się spotkać tak błędnych i sprzecznych o patryotyzmie pojęć jak we Francyi. Niechęć albo pogarda obcego żywiołu, lub niegodna obawa przed ta-

kowem, jak się to obecnie w obec Niemców dzieje, instynktowna miłość języka, przytem ślepe i namiętne przywiązanie do kierunku lub stronnictwa politycznego: oto są podstawy patryotyzmu we Francyi. Że miłość ojczyzny jest twardym obowiązkiem idącym zaraz po obowiązkach religijnych i jak najściślej z nimi związany; że dlatego jesteśmy surowo do miłości ojczyzny obowiązani, bo fakt przynależności do pewnego narodu nie jest skutkiem wypadku, ale wyroku Opatrzności i zadanie nasze powinniśmy spełniać tam, gdzie nas tenże wybór postawił; o tem nie pamiętają i pamiętać nie chcą. Rzecz prosta, że obecne wychowanie do zbawiennego pod względem tym zwrotu doprowadzić nie może. Tworzenie batalionów szkolnych, towarzystwa gimnastyczne, albo obłędne iście frazesy Wiktora Hugo, nic tu nie poradzą, i póki trwa obecny system wychowania, lepszego powodzenia Francuzów spodziewać się nie można.

III.

Naprowadza nas to na ostatnią kwestyę, którą w tem krótkiem sprawozdaniu chcielibyśmy jeszcze poruszyć, i względem której raz jeszcze do sprawy centralizacyi powrócić nam wypada.

Jeżeli system centralizacyi niekorzystnie, jak to wyżej przytoczyliśmy, na duchowieństwo francuskie wpłynął, to tak samo a raczej dużo zgubniej musiał wpływać na wychowanie publiczne, nieposiadające tak potężnego regulatora i oparcia, jakiem jest sprawa Kościoła dla duchowieństwa katolickiego. Nie wchodzimy tutaj w kwestyę, jak dalece zagarnięcie całego wychowania publicznego przez państwo, z wykluczeniem tak ważnych wpływów rodziny i domu lub samoistnych instytucyi, jest zgubnem; przekraczałoby to bowiem zakres artykułu dziennikarskiego. Chodzi nam tylko o wykazanie, jak dalece kierunek centralistyczny dla rozwoju umysłowego jest fatalnym. Jeżeli gdzie potrzeba wolności, to właśnie w rozwoju duchowym i umysłowym, czyli w wychowaniu i wykształceniu, a to z powodu nieskończonej rozmaitości, jaka w charakterach, usposobieniach i zdolnościach umysłowych pomiędzy ludźmi istnieje. Równie jak uczciwi i rozsądni rodzice powinni badać charakter i usposobienie

owych dzieci i stosownie do tego metodę wychowania modyfikować, tak samo i ci, w których ręku piecza nad wychowaniem publicznem spoczywa, powinni szerokie mieć poglądy na różnice jakie się w społeczeństwie, w skutek narodowych skłonności, tradycyi, obyczajów, pochodzenia i tak dalej wytworzyły. Teorya w kwestyi wychowania jest rzeczą nader niebezpieczną, a bezwzględne stósowanie takowej, wszędzie ryzykowne, staje się tutaj wprost szkodliwem. Co innego bowiem są kardynalne zasady wiary i moralności, które będąc zawsze i wszędzie te same, za podstawę wszelkiej roboty społecznej służyć winny, co innego metoda ich stosowania. Rozumna wolność, sumienne rozważanie, jak i gdzie władza państwa wkraczać może, przy ciągłej uwadze na naturę człowieka jako istoty społecznej, oto są zasady, które częścią wychowania, do władzy świeckiej należącą, kierować mają. Jednolity kierunek, z góry ułożona formułka, krępowanie umysłów i naginanie takowych do pewnych obmyślanych celów, chociażby władza w najuczeńszych spoczywała rękach, do niczego dobrego nigdy nie doprowadziły. Skutkiem takiego systemu, bywały zawsze niemal w dziedzinie duchowej reakcya i niebezpieczne wybryki, w dziedzinie umysłowej zamarcie i skostnienie nauki, która do swego rozwoju i życia wielkiej dozy rozumnej wolności potrzebuje.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę stronę czysto umysłową, stronę *wykształcenia* w wychowaniu publicznem we Francyi, to takowa najzupełniej jest zcentralizowana. Datuje się to od dawnych czasów i z absorbcyą kraju przez stolicę w ścisłym pozostaje związku. Uniwersytet paryski używał swego czasu powszechnej w świecie cywilizowanym sławy; wpłynął znakomicie, więcej może niż jakikolwiek tego rodzaju zakład, na nadanie społeczeństwu pewnych kierunków, mianowicie w dziedzinie teologii i filozofii; ale wpływ jego nie popadał w jednostajność w skutek tego, że uniwersytet ten należał do świata, że się w nim gromadziły umysłowe żywioły z najrozmaitszych stref i krajów, które z natury rzeczy, chociaż mimo jego woli, na sposób jego rozwoju wpływać musiały. Kiedy jednakże w miarę powstania wielu szkół wyższych na zachodzie Europy, napływ obcych żywiołów do paryskiego uniwersytetu znakomicie się zmiejszył, po-

został on dla swego kraju nietykalną i wyłączną niemal powagą. Dziwna bowiem okoliczność, że był to jedyny uniwersytet, na jaki się kraj zdobyć potrafił. Wobec uniwersytetów, jakie się w wiekach średnich i czasach odrodzenia we Włoszech, w Niemczech, w Hollandyi potworzyły, na Francyę Paryż został jedynym. Każden z tych zakładów miał swoje instytucye, swoją historyą, zastęp swoich uczonych, a mianowicie autonomiczne rządy. Że te wszystkie ogniska, z których na wszystkie strony światło promieniowało, do rozwoju nauk i cywilizacyi niepospolicie się przyczyniły, zaprzeczyć nie można. Nie jesteśmy bynajmniej rzecznikami czasów odrodzenia, wiedząc dobrze, jak ciemne dla społeczeństwa europejskiego zawierało strony, ale to pewna, że wolność naukowego badania, uchronienie nauki od rutyny, pedantyzmu i powagi szkoły, uniwersytetom średniowiecznym zawdzięczać należy. Inaczej się stało we Francyi. Ponieważ prócz szkół specyalnych, jak n. p. szkoła lekarska w Montpelier, prawnicza w Tuluzie, inne uniwersytety, w prawdziwem słowa tego znaczeniu, nie powstały; całe życie naukowe i umysłowe we Francyi w jednym rosło kierunku, a od czasów Richelieugo i Ludwika XIV. w uniwersytecie paryskim i akademii francuskiej się skoncentrowało; prawda, że się przy tem język w jedyny w swym rodzaju sposób ukształcił, prawda, że specyalne gałęzie na tem zyskały, ale nauka, jako taka, a mianowicie system nauczania stanowczo szwank poniosły, i to właśnie posłużyło do wynalezienia absolutnych w sprawie wychowania teoryj. Korzystały z tego rewolucye i Napoleon I., którzy zastawszy materyał gotowy, wychowanie ostatecznie zcentralizowali. Dzisiaj uniwersytetu paryskiego już wcale nie ma; są tylko pojedyncze wydziały bez organicznego ze sobą związku; l'université to znaczy cały system wychowania. Wszystko się tu dzieje na jednę modłę i formułkę, nie ma o tem mowy, by ciała naukowe, jak się to dzieje w Niemczech, na mianowanie swych członków wpływały; nie istnieje żadna instytucya, któraby chociaż doradczy głos w sprawie wychowania miała; programata, system nauk, egzamina, wszystko idzie z góry i w najściślejsze ujęte jest karby. Takich książeczek na przykład, zawierających wszystkie wiadomości do zdania egzaminu bakałarskiego (osobne na egzamin *ès sciences*, osobne *ès lettres*

potrzebne, w żadnym nie ma kraju. Wszystko się dzieje szablonowo, że tak powiem rzemieślniczo, wszystko wyłącznie do praktycznego skierowane celu. Naród mniej zdolny, mniej sposobny, musiałby pod takim systemem jeszcze więcej ucierpieć, ale jeżeli są jeszcze we Francyi prawdziwi uczeni, dzisiaj jest ich o wiele mniej jak w Niemczech, Włoszech lub Anglii, to nauki swej z pewnością nie ludziom świeckim swego kraju zawdzięczają, ale licznym zakładom duchownym, trudniącym się kształceniem i wychowywaniem młodzieży, które niespożytą w społeczeństwie francuskiem położyły zasługę, i do niedawna, w części przynajmniej paraliżowały skutki zgubnego systematu wychowania świeckiego. Ile kraj na zniesieniu i gwałtownem bezprawnem zniweczeniu wszystkich tych zakładów ucierpi, to niedaleka okaże przyszłość; materyalne zaś straty z nadmiernego obciążenia budżetu wychowania publicznego już dziś obliczyć można.

Skutki tego wszystkiego bardzo są zgubne. Nauka bowiem, pierwotna mianowicie i średnia, z dobrą metodą kształcenia, jak się takowa wieloletniem wyrobiła doświadczeniem, bynajmniej nie dąży do przysposabiania i ćwiczenia ludzi w zawodach praktycznych, które dopiero po dojściu do pewnego wieku w życiu człowieka rysować się poczynają. Celem jej owszem jest zbadanie umysłu, rozpoznawanie i ćwiczenie zdolności, najgłówniejszym rozwijanie rozsądku. System nauk francuski do praktycznych przeważnie skierowany celów, pociągnął za sobą jednostronność, a w połączeniu z wielką dozą próżności narodowej i z lekceważeniem wszystkiego co obce, zadziwiającą często ignorancyą, z której Francuzi powszechnie są znani. Skutkiem tego w naukach specyalnych niezmiernie są biegli, do praktycznych zawodów zdatni, ale ludzi gruntownie, wszechstronnie wykształconych procent bardzo mały. To też widzimy, że raz po raz następujące po sobie ministerya składają się wyłącznie prawie z adwokatów, przemysłowców, lub przyrodników, a jak się polityka w takie dostanie ręce, to już bardzo źle. Dlatego też przy pierwszej zmianie rządu, chociażby na lepsze, niewiadomo na prawdę, czy się znajdą ludzie zdolni do kierowania sprawą publiczną. Ubóstwo to umysłowe ukazało się dowodnie w ciągu

krótkiej władzy legitymistów po komunie i podczas rządów Mac-Mahona, a dzisiaj z pewnością nie byłoby lepiej.

Jeżeli władzy państwowej chodziło o zawładnięcie nauką i systemem wykształcenia, tem bardziej musiała się starać o zagarnięcie pod swój wpływ wychowania w ścisłem znaczeniu.

Nie poszło to w tym razie równie łatwo, bo Kościół, dbały o społeczeństwo w każdym kraju, za pomocą swych organów, bronił jak mógł wolności wychowania, starając się o utrzymanie tego wpływu duchowego, jaki mu się z natury rzeczy w szkole należy, w czem dopomagały mu żywioły rodzinne, widzące z przerażeniem, jak prawdziwą truciznę w młode wpajają pokolenia. Zwyciężyły w końcu przewrotne żywioły, kierujące obecnie nawą państwową Francyi i dzisiaj, po raz już nie wiem który od czasu rewolucyi, wykluczono urzędownie z wychowania publicznego wszelki wpływ duchowny, ale może radykalniej niż kiedykolwiek. Przysłużył się w tym względzie swej ojczyźnie znany, jeśli nie *de jure,* to w każdym razie *de facto,* dyktator Rzeczypospolitej Gambetta, wyrzekając pamiętne słowa: *„le cléricalisme voilà l'ennemi!“* Od tego czasu namiętnie zaczęto prześladować religię i duchowieństwo, a prześladowanie to musiało się koniecznie odbić na szkołach.

Po skasowaniu zgromadzeń zakonnych wychowaniem młodzieży się trudniących, po rozpędzeniu „braci nauki chrześcijanskiej“, po całym kraju rozrzuconych, a tak niezmierne pod względem nauki elementarnej społeczeństwu francuskiemu oddających korzyści, wykreślono z wykładów katechizm, zabroniono wspólnej modlitwy, wyrzucono z komnat wizerunki Zbawiciela i ŚŚ. Pańskich; nie mówiąc już o wielu innych projektach równie błędnych jak zbrodniczych.

Broni się przeciwko temu wszystkiemu społeczeństwo jak tylko może, i są pod tym względem bardzo szlachetne usiłowania, tak ze strony świeckiej jak duchownej, które jednakże z trudnością tylko potędze władzy oprzeć się potrafią, a ucisk tejże do najdalszych sięga zakątków, i jak po wsiach, po większej części od woli mera zależy, czy rozporządzenia rządowe z całą ścisłością są wykonywane. Widziałem n. p. na własne oczy, jak wiejskie Siostrzyczki, trudniące się wychowaniem dziatwy, same w nie-

dzielę do kościoła nie chodziły, i wysławszy dzieci na nabożeństwo, zaraz po ich powrocie wykłady rozpoczynały, by tylko się módz utrzymać i dać dowód, że pełnią rozporządzenia rządowe względem obowiązkowych kursów niedzielnych.

Jak długo stan ten potrwa, przesądzać nie można, ale to pewne, że obecne pokolenie pod tymi rządami i takim systemem wychowane, nie może wydać ani dobrych chrześcijan, ani miłujących kraj obywateli, a jeszcze mniej polityków, lub mężów stanu, i że się krajowi jeszcze przez długie lata, ciężko w znaki dawać będzie.

IV.

Oto jest obecny stan kraju i narodu francuskiego, o ile takowy w krótkiem sprawozdaniu przedstawić potrafiliśmy. Mimo to wszystko, nie sądzimy by kraj był nieuleczalny, bo wiele narodów i gorsze potrafiło przetrwać chwile, a potężne organizmy polityczne nie tak prędko znów się rozpadają. Należy przy tem mieć nadzieję, że dawne dziejowe zasługi i moralne zasoby, starą nagromadzone cywilizacyą, pozwolą Francyi przetrwać te burze. Obok bowiem wielu ciemnych stron, któreśmy tutaj wykazali, przedstawia społeczeństwo francuskie jeszcze wiele warunków dodatnich i bardzo rzetelne i piękne przymioty narodowe, które na zakończenie dla dopełnienia obrazu zestawiamy.

Trzy są mianowicie przyczyny, dla których sądzimy, że społeczeństwo to, prędzej czy później, z upadku obecnego podźwignąć się zdoła. Po pierwsze: może się mylimy, ale nam się wydaje, że zbliża się chwila, w której się reszta kraju z pod przewagi Paryża wyłamywać pocznie. Paryż staje się coraz bardziej miastem kosmopolitycznem, sami Francuzi to przyznają, a chociaż teraz jak i dawniej do Paryża ciągną, czują że im tam grunt z pod nóg się usuwa. Nadzwyczajny napływ cudzoziemców we wszystkich warstwach społeczeństwa, począwszy od najbogatszych do najuboższych, sprawia, że Francuzi w życiu paryskiem niejako drugorzędną odgrywają rolę. Zakażenie języka obcym żargonem, małpowanie cudzych zwyczajów, są już pewnymi choć nieznacznymi przeobrażenia tego znakami. Prócz tego rozwija się w świecie paryskim tak szczególnego rodzaju idyotyzm, takie

odsuwanie i poświęcanie wszystkich ważniejszych spraw dla codziennej zabawy i rozkoszy zmysłowej, że się już zaczynają wielu ludziom na prowincyi oczy otwierać. Jak widzą, że w samym Paryżu, w większej części dzienników, wobec całej grozy położenia zewnętrznego i wewnętrznego, sukcesa albo szkandale teatralne, najmizerniejsze plotki, albo najpodlejsze oszczerstwa, dużo więcej miejsca i uwagi zajmują, aniżeli ważne sprawy społeczne i polityczne, to większość kraju może w końcu dojdzie do przekonania, że ta przewaga stolicy jest prawdziwie zgubą i przestaną ją zasilać wszystkimi żywotnymi sokami narodu. Takie przeobrażenie, oczywiście tylko powoli i bezwiednie niejako, miejsce mieć może, ale znając dobrze prowincye Francyi, zdaje mi się, że są na to pewne symptomata.

Powtóre pozostaje wolność. Zapewne, że kraj cierpi pod obuchem despotyzmu i centralizacyi, ale kiedy już w skutek naturalnej skłonności i biegu wypadków, taką sobie dążność wyrobił, bardzo długiego potrzeba będzie czasu, by na inne nawrócił tory, a tymczasem mężowie stanu z danego materyału i położenia najlepszą dla kraju swego politykę wysnuwać winni. Z tem wszystkiem jednakże kraj nie jest pod obcem jarzmem, pozostała wolność polityczna, a póki takowa istnieje, o przyszłości jego zwątpić nie ma powodu, a należy przypuścić, że większość narodu wiary w siebie nie utraciła, i że się z tej matni błędnej polityki wewnętrznej i zewnętrznej wydobyć zdoła. Gdzie nie ma trucizny obcego jarzma, tam zawsze otwarta jest jakaś sfera działania dla ludzi uczciwych i dobrej woli. Korzystają też z tego we Francyi, i rozwijają bardzo zbawienną czynność, jak to widzieliśmy nie dawno w zakładaniu katolickich uniwersytetów, i szkół t. z. wolnych *(écoles libres)*, do których nawet ludzie innych przekonań, dla uchowania młodzieży od systematycznego zatruwania, dzieci swoje dość licznie posyłają. Obok klas używających, albo tylko w widokach materyalnego dobrobytu pracujących, znajdują się jeszcze w narodzie liczne warstwy, bardzo gorliwe i poświęcone, tylko że takowe będąc w obecnej chwili po za obrębem ruchu politycznego, bardzo mało wpływu wywierać mogą i tylko jako dodatni żywioł w narodzie istnieją, a sferę działania swego na polu bardzo wielkiej i podziwienia godnej dobroczynności pu-

blicznej ograniczają. Jeżeli to wszystko pójdzie razem z Kościołem, a rząd wyrzeknie się swej nienawiści do wiary i duchowieństwa, jeżeli powrócą do tradycyi katolickiej, z którą już z powodu zdrowej polityki nigdy zrywać nie należało, a będą mieli odwagę zajrzeć w rany własnego łona i na takowe skutecznego lekarstwa szukać w podźwignięciu wiary, wolności, i rodziny, natenczas wszelka jest nadzieja, że Francya wyjdzie ze stanu chaotycznego i peryodycznych wstrząśnień, w której mimo wielu świetnych kart swojej historyi, raz po raz od czasu rewolucyi popada.

W końcu musimy jeszcze zwrócić uwagę, na znakomity przymiot społeczeństwa francuskiego, a mianowicie, że przeciętna uczciwość w narodzie jest jeszcze bardzo wielka. Nadzwyczajny rozwój przemysłu francuskiego, ogromny wywóz i poszukiwanie francuskich wyrobów na rynkach zagranicznych, nietylko pracowitości, technicznej znajomości, lub dobremu smakowi przypisać należy; głównym powodem jest sumienność w handlu i w przemyśle, dużo większa aniżeli w Niemczech. Używając materyałów surowych w najlepszym gatunku i nie szczędząc takowych, mają wyroby rzetelniejsze, odpowiadające swą wartością cenie za takowe żądanej. O tej uczciwości narodu, można się między klasami pracującemi w najrozmaitszych gałęziach przemysłu, handlu i gospodarstwa rolnego, mianowicie w klasie służby domowej łatwo przekonać, a chęć wyzyskiwania, chociaż i tam niepomierna, jest stanowczo mniejszą, aniżeli w innych narodach Zachodu. W każdym razie, historya ekonomiczna i finansowa francuska, nie przedstawia nam nigdzie tak niegodziwych i zbrodniczych planów, jakie Anglia w kolonialnej swej polityce prowadziła i prowadzi.

Należy się wreszcie uznać, że grunt narodu pozostał rycerskim, szlachetnym, do poświęcenia skłonnym; jeszcze dzisiaj stoi na czele zakładów i usiłowań misyjnych; pod względem dobroczynności nikomu się nie daje wyprzedzić, a dobroczynność tę po za granice swego kraju rozciąga. Sympatyczne głosy jakie się w polityce francuskiej, w sprawie uciśnionych narodów, w ciągu bieżącego stulecia odzywały, jeżeli nie osiągnęły praktycznych skutków, to w każdym razie były

uczciwe i szczere. Trudno więc przypuścić, by naród, który tak w polityce jak w cywilizacyi jedno z pierwszych miejsc zajmował, mógł być już bliskim ostatecznego upadku. Jednakże zastanowienia godnym jest szybki rozkład tego społeczeństwa i prawdziwa niemoc polityczna, która go od pewnego czasu opanowała. Powody tego wszystkiego wyłuszczyliśmy tu w krótkości; w końcu zwracamy uwagę, że główna obawa o przyszłość Francyi, leży nie w obecnym stanie narodu, ale w tem, że straszne klęski, przez które w ostatnich latach przeszła, do opamiętania się jej nie doprowadziły, i że na prawdę sądząc o jej działaniu, nasuwają się mimowoli słowa pisma św.: *„Quem Deus perdere vult dementat“*. Może też obecne, jak się zdaje, bardzo poważne przesilanie ekonomiczne i finansowe Francyi otworzy im przecie oczy, a naród się przekona, że same bogactwa i materyalny dobrobyt, do utrzymania państwa na stopie pierwszorzędnej potęgi nie wystarcza.

* * *

Przedstawiając ten smutny obraz dzisiejszego społeczeństwa francuskiego, staraliśmy się trzymać w granicach najbardziej objektywnej obserwacyi, nie dodając ani nie ujmując w niczem, i podając tylko wynik spostrzeżeń na miejscu uczynionych.

Niemniej dalekimi jesteśmy od myśli, aby wobec nieszczęść naszego własnego kraju, z pewnem zadowoleniem się rozwodzić nad ranami społecznemi wyższego i potężniejszego od nas narodu. Jeżeli nie mamy powodu do ślepej, czy politycznej, czy społecznej dla narodu francuskiego sympatyi, jak to dawniej u nas bywało, to jeszcze mniejby była usprawiedliwioną nieszlachetna satysfakcya, że przecież nie my jedni, w historyi naszej szwank ponieśliśmy. Upadek szlachetnego narodu, tak samo jak zacnego człowieka, jest zawsze widokiem smutnym, a nieszczęściem dla ludzkości.

Po klęskach r. 70, powiedział ktoś bardzo rozumnie i pięknie, że w Europie zimno będzie bez Francyi. Żeby ostateczny upadek tego narodu nie był szczęściem dla społeczeństw europejskich, nie ma wątpliwości, i dlatego kończąc ten artykuł, życzymy Francyi i wyrażamy nadzieję, że się przecież ocknie i wróci do swego dawnego stanowiska starszej córy Kościoła.

Dr. Paweł Popiel.

ROZWÓJ WIARY.

(Ciąg dalszy.)

Wiara według pojęcia katolickiego: św. Paweł — Sobór Watykański — nasza zawisłość od Boga, jako wiecznej prawdy, jest podstawą obowiązku wierzenia. — Wiara jest aktem rozumu, nie woli, ani serca. — Udział woli i uczucia w akcie wiary. — Pobudka wiary. — Łaska wiary i zakres działania tej łaski. — Wiara katolicka. — Zakończenie.

Poznaliśmy zapatrywania o wierze najpierwszych myślicieli, przywódzców wiedzy ludzkiej, dawnej jak i nowoczesnej oświaty. Gdy zaś razem zbierzemy mądrość tylu głów uczonych, jaki się nam przedstawi obraz pojęcia wiary? *Non erat conveniens testimonium eorum*, nie zgadzali się nigdy i jeszcze się nie zgadzają w tak ważnym przedmiocie. A te ciągłe sprzeczności w opisie i pojęciu wiary, czy mogą być znamieniem prawdy? Z pewnością nie; bo jak mówi św, Wincenty liryneński: „jedna jest prawda, błędu zaś rozmaite wyjście“, *veritas una, erroris autem non unus est exitus.*

Przejdźmy do drugiej strony, do owych wielkich geniuszów, nieznanych najczęściej, albo lekceważonych, których wydał i wychował Kościół katolicki i uważmy, czy i oni w opisaniu wiary i jej istoty w podobne wikłają się sprzeczności, czy może i sam Kościół w nauce swej o wierze w głębokich stąpa ciemnościach! Przeciwnie, co zdrowy rozum ludzki o wierze sobie wyobraża, jak już na początku tego rozdziału dowiedliśmy; to samo ogłosił nie tak dawno temu, wyrokiem uroczystym Sobór Watykański (1870 r.), powtarzając tylko to, czego się Kościół po wszystkie wieki zawsze trzymał i w swych szkołach bronił, czego Ojcowie święci z właściwą sobie jasnością nowo ochrzczonych wiernych

nauczali, a co już św. Paweł zawarł w owych krótkich a treściwych słowach: „Wiara jest gruntem rzeczy, których się spodziewamy, wywodem (albo przekonaniem) rzeczy niewidzianych“[1] Żeby się o tem przekonać, rozważmy nieco dokładniej słowa te św. Pawła, któremi on zaraz w początkach chrześcijaństwa określił wiarę, i porównajmy z tem naukę Kościoła, jaką on w 19 wieków później na Soborze Watykańskim ogłosił. Jest ona tylko umiejętnem wyłuszczeniem owych krótkich a wzniosłych słów Apostoła, a jedno i drugie potwierdzeniem tego, co już z rozumu o wierze wiedzieć możemy. Nad słowami temi zastanawia się także i św. Tomasz i mówi o nich, że dają należyte określenie wiary, a wszelkie inne, jakie z wiekami powstały, są tylko jego omówieniami[2], i na innem miejscu nazywa to określenie najzupełniejszem, chociaż bez ściśle filozoficznej postaci, mającem jednak wszystkie do tego potrzebne pierwiastki[3]. W słowach tych uważa Apostoł wiarę najprzód odnośnie do ostatniego celu człowieka i pod tym względem nazywa ją: substantiam sperandarum rerum, gruntem i niejako treścią tych rzeczy, których się spodziewamy. Wiara bowiem odsłania nam te dobra niebieskie, które są przedmiotem naszej nadziei i gorących pragnień w czasie tej ziemskiej pielgrzymki, ale też i wiara nas usposabia, nadprzyrodzonej dostarczając siły do osiągnięcia tej błogiej posiadłości. Ona jest nawet początkiem owego życia, które w wiecznem oglądaniu Boga, znajdzie swe uzupełnienie, jak brzask poranny jest początkiem białego dnia. Odnośnie do jej przedmiotu, nazywa Apostoł wiarę „wywodem o rzeczach niewidzianych“, że podobnie jak wywody najbardziej loiczne, tak albo jeszcze i więcej przekonywuje ona rozum niezachwianą pewnością o prawdzie Boskiego Objawienia.

Z tego wynika, że gdy wiara jest przekonaniem, jest tem samem aktem rozumu, a nie woli lub uczucia. Akt ten zaś rozumu, nie jest tylko mniemaniem, które jeszcze nie wyklucza całkiem wątpliwości i obawy pomylenia się, ale jest przyjęciem

[1] Fides est sperandarum substantia rerum, argumentum non apparentium. Hebr. XI. 1.

[2] Summa th. 2. 2. q. 4. a. 1.

[3] Quaest. disp. de fide q. 14. a. 2.

prawdy z niezachwianą pewnością, jak to już przedtem powiedziano. Lecz zarazem, ponieważ przedmiotem tego przekonania są rzeczy niewidziane, o których Objawienie Boże i świadectwo jego opowiadaczy daje nam wiadomość, nie można twierdzić, że wiara jest wiedzą w ścisłem tego słowa znaczeniu. Nakoniec czynność jej odbywa się nietylko siłami przyrodzonemi duszy, ale i łaska Boska ma w niej pewny udział, i dlatego jest wiara także cnotą nadprzyrodzoną. Gdy więc słowom św. Pawła damy postać orzeczenia loicznego, tak z św. Tomaszem określimy wiarę: „Wiara jest cnotą, czyli usposobieniem umysłu nadprzyrodzonem, od Boga wlanem, przez którą zaczyna się w nas żywot wieczny, i która nakłania rozum do przyjęcia dobrowolnego za prawdziwe rzeczy, których nie widzi, a które Bóg objawił i przez Kościół swój do wierzenia podaje [1].

Czy Sobór Watykański inną ogłasza naukę o wierze? „Ponieważ człowiek jest całkiem zależny od Boga Pana i Stworzyciela swego, tak zaczyna swą naukę Sobór, i rozum jego stworzony ma być zupełnie podległy prawdzie niestworzonej, słuszna więc tedy jest rzecz, abyśmy Bogu objawiającemu doskonałą rozumu i woli uległość, przez wiarę w hołdzie złożyli“ [2].

Moralna konieczność wiary i tej konieczności przyczyna jest tu zawarta. Skąd obowiązek dla człowieka poddania swych najzacniejszych władz pod powagę Boską? Odpowiedź nietrudna. P. Bóg jest stworzycielem człowieka, a dlatego Panem nieograniczonym wszystkich jego władz i czynów, ma więc prawo domagać się od stworzenia swego wszelkiej uległości. Wszak i ziemscy panowie żądają nieraz wielkiej uległości rozumu i woli od sług swoich, chociaż im tych władz duchowych nie dali.

Za jak wielką Kościół tę prawdę uważa wynika i z tego, że jej przeciwników z łona swego wyklucza: „Gdyby ktoś rzekł,

---

[1] Summa 2. 2. q. 4. a. 1.

[2] Quum homo a Deo tanquam Creatore et Domino suo totus dependeat, et ratio creata increatae Veritati penitus subjecta sit, plenum revelanti Deo intellectus et votuntatis obsequium fidei praestare tenemur. Decr. de fide c. 3.

że rozum ludzki tak jest niezależny, iż wiara nie może mu być od Boga nakazaną, niech będzie wyklęty“ [1].

Domaga się Pan Bóg naszej wiary, nie jak zwyczajny świadek lub dokładny opowiadacz, którzy żądają aby ich słowom wierzono; ani też jako nauczyciel, który na podstawie większej swej umiejętności, domaga się wiary od ucznia swego: żadnym z tych sposobów nie domaga się P. Bóg wiary naszej. W tych razach bowiem zwykle nie ma żadnego grzechu jeśli nie wierzysz, bo też zazwyczaj nie ma tam naruszenia niczyjego wyraźnego prawa; ale jeśli Bogu nie wierzysz, niewiara ta bez grzechu pozostać nie może, jest bowiem naruszeniem prawa, jakie ma stwórca nad stworzeniem swojem i właśnie na mocy tego prawa domaga się P. Bóg wiary, jako pan i właściciel najzupełniejszy naszego umysłu, któremuśmy doskonałe winni posłuszeństwo [2].

Może się jednak wydać komuś to prawo najwyższej władzy Boga nad nami niewystarczającem, aby przez to samo wiara już była czynem nietylko słusznym ale i rozumnym. Wyobraźmy sobie sługę, któryby wierzył panu swemu we wszystkiem dlatego tylko, że jest jego panem: czyby on roztropnie postępował? Czyby taka wiara nie była dlań źródłem wielu błędów? Czyż pan mimo swego prawa nad sługą nie może się mylić, albo też chcieć sługę oszukać? Wszak to prawo nie obdarza go jeszcze nieomylnością i prawdomównością, własnościami, które jedynie czynią kogoś godnym, żeby mu wierzono. Gdy bowiem wiara jest przyjęciem za prawdę twierdzenia czyjegoś dla tej przyczyny, że ani się pomylił, ani mnie chce omylić, więc temu tylko rozumnie wierzyć można, kto na takie o sobie wyobrażenie zasługuje. I dlatego Sobór głosząc obowiązek wierzenia nie bez przyczyny odwołuje się do P.Boga, nietylko jako do Stworzy-

[1] Si quis dixerit, rationem humanam ita independentem esse, ut fides ei a Deo imperari non possit, anathema sit. Can. 1.

[2] Dlatego tak często wiara nazywa się w Piśmie św. posłuszeństwem: „Przez którego wzięliśmy łaskę i apostolstwo ku posłuszeństwu wiary, między wszystkimi narody dla imienia jego“ Do Rzym. 1. 5. Dodaje Pismo św. te słowa: „Na ten cel jesteśmy posłani, abyśmy wszystkich skłonili do posłuszeństwa wiary. Porówn. do Gal. 5. 7. Kor. 10. 5. Rzym. 16. 26. 10. 16. 21.

ciela, ale i jako do Prawdy niestworzonej, czyli nieskończonej, do Prawdy „pierwszej“, według wyrażenia się św. Tomasza i Scholastyków. Jakiem bowiem prawem, mdłe światełko naszego rozumu śmiałoby gardzić słońcem odwiecznej Prawdy, gdyby go ono swymi promieniami do większego chciało podnieść blasku, większą napełnić jasnością! Gdy więc objawienie Boskie chce rozum nasz wzbogacić nowemi prawdami, choćby nie zupełnie dlań przystępnemi, czy odrzucenie tegoż Objawienia nie byłoby i wielką niedorzecznością i wielką zarazem bezbożnością? Jednakowoż jest jeszcze głębszy powód obowiązku wierzenia P. Bogu, a który także z powyższych słów Soboru da się wyprowadzić.

Jako najwyższy Pan może nam P. Bóg stworzeniom swoim, wyznaczyć jakieś szczególne zadanie do wypełnieuia w ciągu tego żywota śmiertelnego, i odpowiednie przepisywać środki i wytknąć drogę, którąbyśmy iść mieli. To prawo przysłuża mu jako naszemu Panu. Skąd zaś może stworzenie tak to zadanie, jak i drogę doń wiodącą poznać? chyba, że mu P. Bóg w swej nieskończonej łaskawości sam to objawić raczy. A w takim razie, czy może być wolno stworzeniu nie chcieć poznać ani tego przeznaczenia swego, ani środków doń potrzebnych? Byłoby to buntem przeciw najwyższej władzy Pana naszego i Boga, jaką ma nad nami [1].

Najgłębsza zatem przyczyna obowiązku wiary wynika z zawisłości zupełnej, w jakiej zostajemy wobec Boga, jako Prawdy przedwiecznej.

Po tych słowach niejako wstępnych Soboru Watykańskiego, następuje samo opisanie wiary w ten sposób: „O tej zaś wierze będącej początkiem zbawienia ludzkiego, wyznaje Kościół katolicki, że jest cnotą nadprzyrodzoną, mocą której, pod wpływem łaski Bożej uprzedzającej i wzmacniającej wierzymy, że prawdą jest, co P. Bóg objawił; a wierzymy to nie dlatego, że naturalnem światłem rozumu pojmujemy wewnętrzną rzeczy prawdziwość, ale tylko ze względu na powagę objawiającego Boga, który ani sam się omylić, ani też nas w błąd wprowadzić nie może. Wiara

[1] Pisze o tem św. Tomasz Sum. 2. 2. q. 2. a. 3.

bowiem jest jak świadczy Apostoł, gruntem rzeczy tych, których się spodziewamy, przekonaniem o rzeczach niewidzianych [1].

Mamy tu wszystkie części składowe pełnego pojęcia wiary i jej istoty. Najprzód widzimy, iż wiara jest przyjęciem Boskiego objawienia i uznanie jego prawdziwości, jest przystaniem na słowo Boże jako na zupełną i niewątpliwą prawdę. Na mocy zaś tego twierdzimy znowu, że jest ona istotnie czynem rozumu, a nie woli, a tem mniej uczucia. Rozumu bowiem przedmiotem właściwym jest prawda, on jedynie rozstrzyga co jest prawdą a co błędem; woli zaś przedmiot własny jest dobro, ona nie sądzi o nim ale go chce. Prawdy wola nawet nie widzi, jest bowiem władzą ciemną (facultas caeca jak się wyrażają dawniejsi filozofowie), potrzebującą światła innej władzy dla zbliżenia się do przedmiotu swych żądań i pragnień.

Mniej jeszcze słusznie można uważać wiarę za czynność uczucia, które z prawdą jeszcze mniej ma styczności jak wola. Wszak nieraz rodzą się w nas uczucia z rzeczy niemających żadnej prawdy w sobie, z czystych marzeń, co najwięcej pod wpływem byle jakiego przedmiotu, który nas przyjemnie lub nieprzyjemnie dotyka.

Właściwie uczucia są owocem tej władzy, którą przywykliśmy nazywać sercem, a którą Scholastycy nazywali *appetitus concupiscibilis et irascibilis; concupiscibilis* o ile rodzi uczucia miłości i nienawiści, tęsknoty i wstrętu, uciechy i smutku; irascibilis, o ile jest siedliskiem uczuć, nadziei i rozpaczy, bojaźni i odwagi a w końcu gniewu [2]. Wszystkie inne skłonności i poruszenia serca naszego, jakieby jeszcze wymienić można, są tylko odcieniami dopiero wyliczonych. Powierzchowny nawet rzut oka wystarczy aby się przekonać, że poznaniem one nie są, choć z niego wypływają i często wielki nań wpływ wywierają. Błądzą

[1] Hanc voro fidem, quae humanae salutis initium est, Ecclesia catholica profitetur, virtutem esse supernaturalem, quae Dei aspirante gratia, ab eo revelata vera esse credimus, non propter intrinsecam rerum veritatem naturali lumine rationis perspectam, sed propter auctoritatem ipsius Dei revelantis, qui nec falli nec fallere potest. Est enim fides, testante Apostolo, sperandarum substantia rerum, argumentum non apparentium.

[2] St. Thom. Sum. 1. 2. q. 23. a. 4.

więc filozofowie, którzy wiarę woli albo uczuciu przypisują, gdy ona jest aktem poznawania.

Taka jest też nauka św. Tomasza, którą on na wielu miejscach dzieł swoich wykłada, krótko a jasno jak zawsze. Zdolności mówi on, poznajemy z ich czynów, te zaś z przedmiotów; zatem i wiara będąc zdolnością duszy, ma być oznaczona przez swoje akty i ich odnośne przedmioty. Aktem zaś wiary jest wierzyć, co znowu jest aktem rozumu, gdyż przedmiotem wierzenia jest prawda, która odnosi się do rozumu [1].

Wszakże i woli potrzeba przyznać wielki udział w akcie wiary: tak i dawniej Kościół katolicki zawsze nauczał, tak i w tej najnowszej definicyi Soboru Watykańskiego wiarę nazwał cnotą. W pojęciu zaś kościelnem cnoty dwa zawierają momenta: nadnaturalne uzdolnienie naszego ducha do działania, i jakość uczynków z tego uzdolnienia pochodzących, mocą której należy im się nagroda żywota wiecznego. Ale nikt nie nagradza tego, co nie jest dobrowolnem; zatem idzie, że nie ma tam cnoty, gdzie nie sięga wpływ wolnej woli. Rozum bowiem sam przez się bez połączenia z wolą nie może być przedmiotem cnoty, jak to wykłada św. Tomasz [2]. Czy przyszła kiedy komu myśl nazwania największych geniuszów ludźmi cnotliwymi dlatego tylko, że może cały zakres wiedzy ludzkiej posiedli?

Lecz określmy dokładniej ten udział woli we wierze. Św. Tomasz oznacza go krótko w ten sposób: „wierzyć jest aktem rozumu, który jednak wola do tego nakłania“ [3]. Dla lepszego zrozumienia tej rzeczy, trzeba nam zwrócić uwagę na przedmiot wiary.

Są to prawdy, których własnem doświadczeniem ani dociec, ani odkryć, ani samą siłą rozumu pojąć nie zdołamy. Rzeczy bowiem, do których się te prawdy odnoszą, nie objawiają swej rzeczywistości ani zmysłom naszym, ani rozumowi; są dla nas zakryte, niedostępnie odległe, jak się wyraża Apostoł, są to rzeczy n i e-

---

[1] 2. 2. q. 4. a. 1. ad 2.
[2] Sum. 1. 2. q. 56. a. 3. 2. 2. q. 47. a. 4.
[3] Sum. 2. 2. q. 2. a. 1. ad 2.

widziane[1] Takie zaś jest przyrodzenie rozumu, że sam z siebie nie nakłania się do przyjęcia czegoś za prawdę tylko wtedy, gdy widoczna przedmiotu prawdziwość (evidentia intrinscea) z taką się mu objawia jasnością i taką go napełnia pewnością, że mu żadnej nie zostawia wątpliwości, i wszelką tak rozsądną jak i nierozsądną obawę pomylenia się wyklucza. W przeciwnym razie, kiedy tej doskonałej pewności nie ma, rozum nie czuje się koniecznie nakłonionym do przyjęcia tej prawdy i wstrzymuje się od wydania sądu; dopiero wmieszanie się woli w czynność rozumu, rzecz rozstrzyga.

Gdy bowiem wola upatruje jakie dobro dla siebie w przyjęciu tej rzeczy nie całkiem oczywistej, wtenczas skłania rozum do uznania go za prawdę; i odwrotnie, kiedy w tem coś złego upatruje, powoduje rozum do zaprzeczenia. Widoczna rzecz, że wpływ ten woli na rozum może być słuszny i roztropny, ale też i bardzo lekkomyślny; do rozumu zaś należy o tem sądzić. Jeżeli bowiem wątpliwość, która jeszcze zostaje, jest błahą, jeżeli obawa pomylenia się wcale nie jest ugruntowaną, czyż wtedy wola nie dobrze robi, jeśli taką przeszkodę do przyjęcia prawdy odrzuca i rozum doń nakłania? Gdyby zaś wątpliwość była słuszna, powody przemawiające za prawdziwością tej rzeczy za słabe i więcej pozoru niż treści mające, a obawa błędu nie dość uchylona, wtedy wola skłaniająca rozum do twierdzenia, postępowałaby bardzo nieroztropnie, choćby w tem i jaką własną korzyść widziała.

Gdybyśmy przywykli zastanawiać się uważnie nad jakością sądów naszych o wielu rzeczach, możebyśmy nieraz mogli byli odkryć ten mylny wpływ woli, który jest ostatecznie przyczyną wszystkich naszych obłędów. Temu też wpływowi musimy przypisać wiele dziwnych zjawisk, jak kiedy kto zmienia wiarę dla lada fraszki, lub kiedy dwa stronnictwa trzymają się upornie mniemań wręcz przeciwnych, które w żaden sposób prawdziwemi być nie mogą.

Otóż zwracając się do aktu wiary, łatwo nam będzie zrozumieć, jakie w nim wola może mieć znaczenie.

---

[1] Że wiara może się rozciągać i na przedmioty, o których także rzeczywistą możemy mieć wiedzę, o tem później.

Przedmiotem wiary, jak powiedzieliśmy, są rzeczy niewidziane. Wprawdzie mają one na sobie znamię Objawienia Bożego i musimy przypuścić z prorokiem, że *testimonia Dei credibilia facta sunt nimis*, że więc i opowiadacze jego jak najbardziej wiarogodnymi być muszą; to wszystko jednak nie wyklucza jakiejś, choć nierozsądnej obawy pomylenia się, i możności powątpiewania czy Bóg objawił, czy to nie ludzie nas oszukują. Zawsze bowiem takie pośrednie Objawienie będzie pozbawione widocznej pewności i co do samego faktu Objawienia i co do jego treści czyli prawd objawionych.

Stąd wynika, że rozum nie może sam przez się stanowczo orzec: to jest słowo Boże, to sam P. Bóg objawić raczył. Do wydania takiego sądu potrzebuje on koniecznie pomocy woli, która zawsze tam jest czynną, gdzie chodzi o osiągnienie jakiegoś dobra człowiekowi potrzebnego lub pożytecznego. Wola bowiem jest tym szafarzem powszechnym, co potrzeby całego naszego jestestwa opatruje.

Otóż dobra i pobożna wola widzi właśnie w tem praktycznem uznaniu najwyższego zwierzchnictwa Bożego nad władzami duszy człowieka, jego najwyższe dobro i najwyższą doskonałość, oraz widzi nieocenione korzyści dla zbawienia wiecznego zawarte w słowie Bożem. Kiedy więc przedstawia się jej Objawienie Boże z wyraźnem piętnem swego niebiańskiego pochodzenia, znajduje się ona wtedy wobec najpożądańszego przedmiotu swego.

Działa tu jeszcze na wolę i uczucie pewnego zapału do wiary. Jakież bowiem uczucie czci, wdzięczności, miłości nie obudzi się w duszy, gdy widzi jak Pan Nieskończonego Majestatu zniża się do tego stopnia, że zostaje jej nauczycielem i to w rzeczach, których wiadomość jest tak dalece do żywota wiecznego potrzebna. Z uczuć tych wytwarza się to usposobienie, które teologowie nazywają *pius credulitatis affectus*. Pod jego wpływem wola wzmaga się w siłę i wcale już nie chce zważać na ową bezpodstawną bojaźń względem faktu Objawienia. Wówczas i rozum nie ma już trudności w powiedzeniu sobie: bez wątpienia P. Bóg to objawił! Po czem zaraz dalszy krok następuje: więc musi to być prawdą, co od P. Boga jako Prawdy Przedwiecznej wyszło; a ten wniosek jest dopiero rzeczywistym i właściwym

aktem wiary. Udział ten woli w akcie wiary jest głównym powodem wolności tego aktu, a co za tem idzie, jego moralnej wartości i zasługi przed Bogiem.

Rozbierając dalej słowa Soboru, znajdziemy w nich drugi warunek, jaki się koniecznie w pojęciu wiary religijnej mieścić musi. Gdy wiara jest hołdem i ofiarą uczynioną majestatowi Bożemu z władz człowieka najzacniejszych, czy wynika z tego, że ma być ślepą i niewolniczą? Z tego cośmy powiedzieli o wpływie woli wynika, że to nie służba niewolnicza ale dobrowolna, lecz czy także jest rozumną, jak to przepisuje św. Paweł: *rationabile obsequium vestrum?* Gdybyśmy chcieli wierzyć niektórym filozofom, między którymi już widzieliśmy jest i Trentowski, tobyśmy tego przymiotu w chrześcijańskiej wierze nie znaleźli. Wiara jest ślepą, jest to jej przymiot konieczny; tak głoszą ci panowie. Pewnego rodzaju ślepoty nie można wierze odmówić, gdyż przedmiotem jej są „rzeczy niewidziane", wobec których w istocie w ciemnościach zostaje; nie jest ona jednak ślepą w rozumieniu tem, że wszystko bez krytyki za prawdę przyjmuje, co jej kto bądź, w imieniu Bożem do wierzenia podaje. Taka wiara nierozumna nie mogłaby być przyjemną Bogu, ani przynieść Mu czci należytej. Na czem więc ma zależeć to oświecenie wiedzy i co tu rozum będzie miał do czynienia? Naturalnie, nie może on się domagać rozumienia na wskróś wszystkich prawd objawionych i chcieć tylko pod tym warunkiem je uznać, gdyż w takim razie jak już wyżej powiedziano, nie byłaby to wiara ale wiedza. Co jednak rozum koniecznie potrzebuje wiedzieć, żeby wiara nie była ślepą czyli nierozumną, ale rozumną i oświeconą, to przyczyny i powody, dla których ma podane sobie rzeczy za szczerą prawdę uznać.

Dwa zaś są takie powody czyli podstawy we wierze religijnej. Najprzód, że P. Bóg nie może się omylić, bo jest nieskończoną Mądrością i prawdą najwyższą, od której wszelka inna prawda swą prawdziwość bierze, i że nas także nie chce omylić ani też nawet może, bo jest nieskończoną Świętością, której się wszelkie kłamstwo jak najbardziej sprzeciwia. Prawdę tę wstępną do wiary łatwo przyjąć każdemu rozumowi, który ma należyte pojęcie o Istocie Najwyższej, dającej nam swe Objawienie.

Druga jednak podstawa wiary rozumnej wymaga więcej zachodu i pracy umysłowej. Nie każdemu bowiem zarówno łatwo przekonać się o tem, że co nam podają ludzie jako prawdę od Boga objawioną, jest nią rzeczywiście; a jednak tego koniecznie potrzeba, aby wiara była „służbą rozumną". Sam tedy fakt Boskiego Objawienia, musi być dowiedziony każdemu garnącemu się do wiary, oraz Boskie posłannictwo tych, którzy Ewangielią opowiadają.

Cała ta nauka zawiera się w powyższych słowach Soboru: „a wierzymy nie dlatego, że naturalnem światłem rozumu pojmujemy wewnętrzną rzeczy prawdziwość, ale tylko ze względu na powagę objawiającego Boga, który ani sam się omylić, ani nas też w błąd wprowadzić nie może".

Nie jest to jednak już wszystko, czego nas Sobór o wierze naucza. Gdy wiarę nazywa cnotą, która w duszy powstaje wskutek wpływu łaski Boskiej, odsłania nam przez to nową stronę, którejśmy się dotychczas jeszcze nie przyglądali.

Wiara nie jest dziełem czysto ludzkiem i myliłby się, ktoby jej istotę zasadzał tylko na harmonijnem współdziałaniu trzech władz duszy. Dla dokładnego jej zrozumienia, potrzeba koniecznie uwzględnić w niej także pierwiastek Boży, który dopiero czyni ją wiarą katolicką i cnotą nadprzyrodzoną, bez której nie można podobać się Bogu i być zbawionym.

Żywiołem tym nadprzyrodzonym, przewyższającym wszystkie wymogi i potrzeby natury ludzkiej a nawet całego stworzenia, jest bezpośrednie działanie Boskie na każdą duszę, wskutek którego zostaje ona obdarzona nowemi, doskonalszemi i wznioślejszemi siłami, któremi uczestniczy w życiu samego P. Boga. Siły te są w nas zarodem i źródłem nowych czynności, na pozór nie różniących się od podobnych aktów naturalnych, które jednakowoż i co do istoty swej wewnętrznej i co do następstw możliwych, niezmiernie je przewyższają. Według nauki zatem Soboru, akt wiary dokonywuje się wprawdzie przyrodzonemi władzami duszy, ale wzmocnionemi wyraźną i bespośrednią pomocą łaski Bożej, która nietylko daje skłonność i skorość do tego aktu, ale samą też zdolność doń i możność [1].

[1] Św. Tomasz Sum. 1. 2. q. 62. a. 1.

Jakoż działanie Boże przy akcie wiary, nie ogranicza się na wlaniu w duszę tej możności i zdolności, lecz idzie dalej i sam też akt w całości do bytu powołuje. Łaska tak zwana uprzedzająca *(praeveniens)*, oświeca rozum, żeby mógł poznać piękność wiary, jej konieczność i pożytek tak dla życia doczesnego, jak wiecznego, i wzmacnia także wolę do chętnego przyjęcia tak wielkiego dobra na przekor trudnościom, jakieby powstać mogły.

Dalszy jeszcze krok tego działania Bożego stanowi łaska współdziałająca *(adjuvans et concomitans)*, która przyczynia się skutecznie do dokonania każdego aktu, tak rozumu jak woli; wskutek czego akt wiary jest nadprzyrodzony w najpełniejszem tego słowa znaczeniu.

Z tej ostatniej jego własności rodzi się jako dalszy wynik ta najwyższa pewność wiary, z której Trentowski tak bardzo szydzi, podobno właśnie dlatego, że całej tej sprawy nie rozumie. Mówiąc o tej pewności Ojcowie święci i szkoły katolickie wszystkich czasów wyraźnie oświadczają, że wiara powinna być dla nas pewniejszą, niż wszelka ludzka wiedza, czy to z doświadczenia wywiedziona, czy na jakimkolwiek rozumowaniu oparta. Ta pewność przekonania *(firmitas adhaesionis)* siedzi w rozumie, ale powstaje z woli wzmocnionej łaską Bożą i skłaniającej rozum do silnego przystania na prawdę objawioną, że prędzej gotów wątpić o prawdziwości świadectwa zmysłów lub wywodów rozumnych, jak o tem, co jest przedmiotem wiary chrześcijańskiej. Albowiem daleko bardziej sprzeciwia się błąd i omylenie się Mądrości i Prawdziwości Bożej, jak zmysłom i rozumowi ludzkiemu. Pewność wszelkich innych wiadomości, jest owocem tylko czynników przyrodzonych, wiara zaś czerpie tę pewność z podwójnego źródła, bo z przyrodzonego i nadprzyrodzonego[1].

Pozostaje nam do rozważenia jeden jeszcze moment pojęcia wiary ze stanowiska katolickiego uważanej. Znajomą jest rzeczą, że P. Bóg przemawiając dawniej do narodu żydowskiego przez proroków, na końcu przemówił do wszystkich ludzi przez Syna swego, i od tego czasu już ustało dalsze objawienie nowych

[1] Św. Tom. 2. 2. q. 4. a. 8.

prawd religijnych. Zachodzi więc pytanie, gdzie szukać Objawienia Chrystusowego i czy możemy mieć jakąś pewność, że jeśli te znajdziemy, znajdziemy je w stanie pierwotnej czystości i całości. Innemi słowy, komu ten skarb został powierzony i czy takiemu, który ma potrzebne przymioty do jego strzeżenia i udzielenia należytego wszystkim, którzy chcą z niego korzystać dla dobra swej duszy? Oto jak naucza o tem Sobór Watykański: „Mamy zaś wierzyć wiarą boską a katolicką we wszystko to, co się zawiera w Piśmie św. i w podaniu ustnem, i co Kościół jako Objawienie Boże do wierzenia podaje, czy to w formie uroczystego wyroku, czy zwyczajnym i powszechnym sposobem nauczania“[1].

Ważną zasadę życia chrześcijańskiego podaje nam tu Sobór. Co mamy wierzyć? Tylko to, co jest zawarte w Piśmie św. i tradycyi, jednak sami nie mamy potrzeby, wydobywania z tych źródeł przedmiotu wiary naszej (bobyśmy jej i nie wydobyli), jest to zadaniem Kościoła nauczającego. Jemu to Chrystus Pan powierzył cały depozyt Objawienia, jak jest zawarte w Piśmie św. i Tradycyi i odnośnych dokumentach i monumentach. Jemu też przykazał opowiadać tę swą naukę w przeciągu wieków wszystkim narodom i strzedz jej przed zakałem błędu; a dla umożebnienia tego zadania dał mu Pan Jezus Ducha Prawdy, by z nim pozostał aż do skończenia świata. Podwójny ten obowiązek wypełnia Kościół, jak to Sobór wyszczególnia, albo przez uroczyste orzeczenie (udogmatyzowanie) tego co trzeba wierzeć, albo zwyczajnym trybem nauczając przez usta uwierzytelnionych swoich posłanników.

Nie zawadzi w końcu zwrócić jeszcze uwagę czytelnika na te dwa słowa, których używa Sobór w dopiero co rozważanym ustępie: *fide divina et catholica.* Oprócz teologów, mało komu będzie znane ich znaczenie, a jednakowoż rzecz sama w życiu potocznem nieraz bywa rozbierana. Czy wszystko to, co jest zawarte w Piśmie św. i w podaniu ustnem, jest też przez Kościół do wierzenia podane? Odpowiedź na to pytanie określa jeszcze

[1] „Porro fide divina et catholica ea omnia credenda sunt, quae in verbo Dei scripto vel tradito continentur, et ab Ecclesia sive solemni judicio, sive ordinario et universali magisterio tanquam divinitus revelata credenda proponuntur“.

bliżej stosunek Kościoła do depozytu Objawienia. Obowiązkiem Kościoła nietylko dać poznać całemu rodzajowi ludzkiemu ten depozyt i chować go w pierwotnej nieskazitelności, ale do niego też należy, jak już napomknięto, wybierać z tego skarbu rzeczy nowe i stare. Nie wszystko bowiem co się zawiera w monumentach wiary było i jest od Kościoła swym dzieciom odrazu do wierzenia podane, czyli nie wszystko było i dotychczas nie jest jeszcze przedmiotem wiary katolickiej *(fides catholica)*, jest jednak wszystko zawsze przedmiotem wiary boskiej *(fides divina)*, czyli wiary odnoszącej się do tego wszystkiego, co P. Bóg objawić raczył[1].

Jasną więc jest rzeczą, że wiara Boska więcej zawiera prawd objawionych, jak wiara katolicka; skąd wynika, że Kościół może ogłaszać nowe dogmata, jak to w naszych czasach widzieliśmy względem dogmatu o niepokalanem Poczęciu Najśw. Panny i dogmatu o nieomylności Papieża w zakresie wiary i obyczajów. Nowość jednak ogłoszonych dogmatów nie tak się ma rozumieć, jak gdyby takowe dawniej nie były wcale objawione i dopiero teraz je PBóg światu udzielił, ale że Kościół dla ważnych powodów dopiero teraz obowiązuje wszystkich wiernych pod utratą zbawienia do ich przyjęcia, podczas gdy dawniej można było bez grzechu niewiary o tych samych prawdach powątpiewać a nawet je odrzucać.

Te krótkie objaśnienia niech wystarczą dla wykazania czem jest wiara według pojęcia nauki katolickiej. Umiejętne wyłuszczenie wszystkich pierwiastków, jakie się w tem pojęciu mieszczą, będzie przedmiotem dalszych badań. Jako tymczasowy dowód prawdziwości postawionego pojęcia wiary podaję myśl, która się nasuwa sama przez się przy zakończeniu obecnego rozważania.

Pytaliśmy się naprzód zdrowego rozsądku o to, co znaczy wierzyć. Pierwiastki, które wykazała analiza tego pojęcia, odnaleźliśmy w pojęciu, jakie o wierze podaje Apostoł; w końcu

---

[1] Rozróżniają teologowie obie te wiary także ze względu na wierzącego czyli podmiot wiary. Fides zatem divina subjective jest sam akt wiary we wszystko, co P. Bóg rzeczywiście objawił, chociaż Kościół św. tego artykułem wiary nie ogłosił; — fides zaś divina catholica subjective sumpta, jest akt wiary we wszystko co Kościół św. jako od Boga objawione do wierzenia podaje.

nauka Soboru Watykańskiego stwierdza to samo. A nie jest nową ta nauka, nie wymyślił jej Sobór, ale tylko ogłosił, co od Apostołów zacząwszy aż dotychczas Kościół katolicki o wierze rozumiał. I szkoły katolickie ze swoimi mistrzami śś. Tomaszem i Bonawenturą na czele, nie innej się trzymały nauki i nie innej zawsze broniły. Mamy tu więc zupełną jednomyślność ciągnącą się przez 19 wieków, a jeżeli tu i owdzie znajdzie się jaka różnica między doktorami katolickimi w nauce o wierze, to z pewnością nie chodzi tam o samo pojęcie, jeno tylko o sposób tłumaczenia pojedynczych jego pierwiastków. Kościół bowiem nie skuwa rozumu w kajdany, zostawia mu najobszerniejsze pole w jego dociekaniach naukowych, czuwa tylko nad tem, aby tłumaczenie ludzkie nie wykrzywiło Prawdy Bożej [1].

Z drugiej znów strony widzimy filozofów, którzy więcej lub mniej od nauki Kościoła katolickiego odstępują. Czy znaleźliśmy u nich tę jedność i zgodę w objaśnianiu i pojmowaniu istoty wiary? Wcale nie. Znaleźliśmy przeciwnie największą rozmaitość i różnorodność, tak, że byłoby niemożebnem wyliczyć wszystkie odcienie, jakie się znajdują w ich określeniach wiary.

Ponieważ znamieniem prawdy jest jedność, błąd zaś w tysiącznych kierunkach od niej się oddala, albo się jej przeciwstawia, stąd z góry można być pewnym, że różnorakie to wytłumaczenie pojęcia wiary przez filozofów jest wynikiem błędu, tłumaczenie zaś, które zawsze to samo utrzymuje się przez tyle wieków w Kościele i szkołach katolickich, nosi na sobie piętna niezachwianej prawdy. (C. d. n.)

X. A. Langer.

---

[1] Zob. św. Tom. QQ. disp. de Verit. 14. Sum. 2. 2. qu. 1. ss. Bonav. in 3 Sent. dist. 23—25. Joan. a s. Th. in 2. 2. q. 1. Suarez tract. de fide, Card. de Lugo tract. de fide, Greg. de Valentia in s. Th. 2. 2. q. 1. (tom 3). Tanner tomo 3. disp. I. Gotti theol. schol. dogm. t. 2. tract. 9 de fide; między teologami teraźniejszymi: Card. J. B. Franzelin tract. de trad. et script appendix de habitu rationis ad fidem. Perrone de Virtutibus theologicis, de virt. etc: Denzinger: Religioese Erkenntniss 1. 2. str. 465 nn. Kleutgen Theologie der Vorzeit letzter Band str. 215. Beilagen 3. Heft. str. 49. C. V. Schäzler Neue Untersuchungen uiber das Dogma von der Gnade kap. 3.

DOKUMENTA.

Listy kardynała de Côme do O. Antoniego Possewina T. J.

(Ciąg dalszy).

XII.

11 di dicembre 1582.

Molto Reverendo in Christo Padre. Ho ricevute alcune lettere di V. R. scritte in viaggio, et l'ultime sono di Vienna, de li 16 del passato, a le quali farò breve risposta poichè io posso sperare che lei sarà arrivato in Polonia, ove questa va indrizzata. Nostro Signore ha inteso volentieri la grata audienza che le ha dato la Maestà de l'Imperatore et il desiderio che ha mostrato, che si accelerasse il viaggio a fine di

11 grud. 1582.

Wielebny Ojcze. Otrzymałem niektóre listy W. T. pisane w podróży, ostatnie są z Wiednia z 16 zeszłego miesiąca, na które krótko odpowiem, bo mam nadzieję, że W. T. już przyjechałeś do Polski, dokąd list ten wyślę [1]. Ojciec św. rad słyszał o życzliwem posłuchaniu, jakiego Ci udzielił J. Ces. Mość, i o objawionem przezeń życzeniu, ażeby przyspieszając podróż, doprowadzić do skutku ową sprawę, na której mu tak zależy [2]. Co

[1] Po zawarciu pokoju z Rosyą w jamie zapolskiej 1582 r., całe staranie Grzegorza XIII. zwrócone było do skojarzenia zgody między panami chrześcijańskimi: „Spokój na zachodzie, wojna na wschodzie“ z Turcyą, oto dewiza dwuletniej epoki 1582—84. Pacyfikacyjną misyą powierzył Grzegorz XIII. znów Possewinowi. Na pierwszym planie było pogodzenie cesarza Rudolfa II. z Batorym o miasta i powiaty Szathmar i Nemeth, które cesarz oderwał od Siedmiogrodów i do krajów swych koronnych wcielił, i dlatego spotykamy Possewina w Krakowie, Pradze, Wiedniu, Węgrzech i Siedmiogrodzie w miarę, jak przebieg tej nader drażliwej sprawy jego obecności wymagał.

[2] Spór o Szathmar i Nemeth.

dar forma al negotio che le è tanto a core; sopra del quale Sua Santità ha veduto ancora quel che V. R. ha passato col Vescovo Cujaviense Ambasciatore, et la confidenza che ha mostrato in lei, da la quale si può sperar non poco gioramento.

Quel che ha detto S. M. Cesarea a V. R. del nuovo Calendario è calumnia et inventione de maligni, perchè sta benissimo et non v'è errore alcuno, si come io ho avvertito Mons. di Verulli, perchè ne chiarisca la Maestà sua, et la levi di questa impressione.

Il S. Cardinale Madruzzo arrivò quà sano et con buona ciera tre dì sono, et hieri per ordine di Nostro Signore fece una bella relazione in concistorio de la sua legatione, et hora di mano in mano darà conto privato de' negotii, tra quali a quello de qual V. R. tocca in queste sue lettere ultime et preme a l'Imperatore.

Havendo il Padre Campano scritto quà alcuni particolari quali appartengono a li seminarii che si hanno da fare, se li è risposto, che da V. R. haverà la risolutione. Però saranno insieme et indirizzeranno il tutto a laude et gloria di Dio. M' incresce bene che in Praga la peste habbi trattato così male

do tej sprawy Ojciec św. przeglądnął jeszcze to, co W. T. mówiłeś (może „parlato") z biskupem kujawskim posłem [1], i zaufanie jakie ci okazał, niemałej pomocy można się od niego spodziewać.

To co J. Ces. Mość powiedział W. T. o nowym kalendarzu, jest oszczerstwem i wymysłem złych ludzi, jest on albowiem zupełnie dobrym i niema w nim żadnego błędu, tak jak zawiadomiłem o tem nuncyusza Vercelli [2], aby objaśnił w tym względzie J. Ces. Mość i odjął mu to wrażenie.

Kardynał Madruzzo przyjechał tu zdrów i dobrze wygląda; wczoraj na rozkaz Ojca św. zdał obszerną relacyę w konsystorzu ze swego poselstwa, a teraz stopniowo będzie prywatnie zdawał wyjaśnienia ze spraw, między któremi znajduje się i tá, o której W. T. wspominasz w ostatnim liście, a na której tak bardzo zależy cesarzowi [3].

Ojcu Campano [4], który pisał tu o różnych szczegółach przyszłego urządzenia seminaryów, odpowiedziano, że otrzyma decyzyę od W. T. Będziecie zresztą razem i pokierujecie wszystko ku chwale Bożej. Bardzo żałuję, że w Pradze morowa zaraza tak dotknęła Collegium i biednych studentów. Bóg

---

[1] Rozrażewski Hieronim od r. 1581 bisk. kujawski, poseł króla Batorego do Stanów rzeszy i cesarza Rudolfa II.

[2] Nuncyusz papieski w Wiedniu.

[3] Kard. Madruzzi, protektor Niemiec.

[4] Prowincyał Jezuitów polskich. Mowa tu o urządzeniu seminaryów papieskich w Brunsberdze i Wilnie.

quelli del Collegio et li scholari poveri. Dio Nostro Signore conservi la R. V. et habbi ne la sua santa protettione. — Di Roma.

niech zachowa W. T. i ma Cię w świętej swej opiece. Rzym.

XIII.

15 di genaro 1583.

Molto Reverendo in Christo Padre. Mi sono grandemente rallegrato del' arrivo a salvamento in Polonia di V. R. et che dopo haver condotti i Moscoviti là con buona pace, se ne sia liberata, facendoli anco usar la charità et liberalità, che scriva per la sua di VII. del passato; et tutto ciò è stato di piacere et satisfattione a Nostro Signore. Circa il componer la differenza con la Maestà del Imperatore, Sua Santità ha havuta molto accetto la prontezza de la Maestà del Re in rimettersi al Suo arbitrio; ma spera che ciò non sarà di bisogno, intendendosi dal Nunzio Cesareo che non si era lontano dal trovar mezzo buono per l'accommodamento, senza interporre altra più longa tardanza, il che quando succede, Sua Santità l' haverà carissimo per veder quanto prima questi si grandi et buoni Principi in pace et unione per il servitio publico, et beneficio loro particolare, et de' suoi popoli.

Poichè il Re ha sentito cosi bene l' andata di V. R. in

15 stycznia 1583.

Wielebny Ojcze. Ucieszył mię bardzo szczęśliwy przyjazd W. T. do Polski i że odprowadziwszy tamże posłów moskiewskich w pokoju, oswobodziłeś się od nich, wyświadczając im jeszcze uprzejmość i hojność, o czem piszesz w liście z 7 zeszłego miesiąca; wszystko to było po myśli i ku zadowoleniu Ojca św. [1]. Co do załatwienia nieporozumień z J. Ces. Mością bardzo się Ojcu św. podobała gotowość J. C. Mości zdania się na jego sąd; ale spodziewa się, że nie będzie tego potrzeba, gdyż od posła cesarskiego dowiedzieliśmy się, że już blisko było do wynalezienia środka porozumienia się bez dalszej zwłoki, co gdy nastąpi najmilej będzie Ojcu św. ujrzeć tych dwóch monarchów w pokoju zjednoczonych ze sobą ku pożytkowi społecznemu, jakoteż ku ich własnemu i ludów im poddanych dobru.

Skoro król tak dobrze przyjął wiadomość o podróży W.

[1] Posłowie Iwana gr. opuścili Rzym 6. paźdz. 1582 i pod opieką Possewina stanęli z końcem listopada t. r. w Warszawie. Tu ich pożegnał Possewin i udarowawszy sowicie, wyprawił do Moskwy, dokąd 8. stycz. 1583 r. przybyli.

Transilvania dobbiamo sperar, che Dio benedetto voglia cavar qualche buon frutto di questa sua fatica, et che Sua Maestà, la manderà ben espedita, come ha dato intentione. Ch' è quanto m'occorre di rispondere a la sua, con offerirmi a V. R. di buon core et pregarle dal Signore ogni assistenza di favore et gratia. — Di Roma.

T. do Siedmiogrodu [1], należy się spodziewać, że Pan Bóg zechce dobrym skutkiem uwieńczyć ten trud W. T. i że JKM. opatrzy Cię dobrze na drogę, jak to miał zamiar uczynić [2]. Oto wszystko co miałem odpowiedzieć na list W. T. pozdrawiając zarazem serdecznie W. T., i prosząc dla niej Boga o wszelką pomoc i łaskę. Rzym.

XIV.

5 di febraro 1583.

Molto reverendo in Christo Padre. Nostro Signore ha con piacer inteso de la lettera di V. R. de li XIII. del passato il buon ordine che lei lasciava per condurre gli operarii in Livonia: et quanto ai damari raccolti per gli Inglesi, cioè li ducento Ungheri dati da la Serma Regina et gli altri trecento fiorini di Vilna. V. R. se ne valerà a conto della sua provisione, chè Sua Santità se n' è contentata; et di qui se ne rimetterà la medesima somma al Collegio Remense degl' Inglesi.

Si è inteso l' officio, che V. R. ha fatto col S. Andrea Bat-

5 lutego 1583.

Wielebny Ojcze. Ojciec św. z zadowoleniem dowiedział się z listu W. T. z 13 zeszłego miesiąca o dobrem rozporządzeniu, które W. T. zostawiłeś dla prowadzenia misyonarzy do Inflant [3]; co do pieniędzy zebranych dla katolików angielskich t. j. 200 dukatów od Najjaśniejszej Królowy [4] i 300 złr. z Wilna. W. T. użyje ich na rachunek swej pensyi, gdyż na to Ojciec św. chętnie przystaje, a stąd tę samę sumę odeśle się do angielskiego collegium w Reims [5].

Dowiedzieliśmy się o sprawie, którą W. T. przeprowadziłeś z J.

[1] Wiadomy spór o Szathmar i Nemeth. Batory przyjął rozjemstwo Papieża oświadczając, że nie chce *ciere primus turbas inter Christianos*.

[2] W celu ostatecznego urządzenia papieskiego kolegium w Klausenburgu.

[3] Wskutek tych rozporządzeń Possewina, przybył d. 2. marca 1583 do Rygi prowincyał polski O. Campano z sześciu niemieckimi Jezuitami; w czerwcu t. r. otwarto tam kolegium. Dnia 19 marca przybyli Jezuici do Dorpatu, a 24 marca zajęli w posiadanie kościół i klasztor św. Katarzyny. (Wielewicki str. 12, 13).

[4] Anny Jagiellonki.

[5] Wychowywali się tam, jak wspomniano wyżej, w kolegium papieskiem pod kierunkiem Jezuitów przyszli kapłani i misyonarze dla katolików Anglii.

tori perchè ritorni ai primi pensieri, il quanto speri d'havergli giovato. Dio Signore nostro sia quello, che inspiri lui al meglio, e a V. R. conceda piena gratia et prosperità. — Di Roma.

Andrzejem Batorym, aby wrócił do dawnych myśli [1] i o tem jako W. T. spodziewasz się, że go wspomógł. Bóg niech go natchnie a W. T. niech udzieli pełnej łaski i pomyślności. Rzym.

XV.

12 febraro 1583.

Molto reverendo in Christo Padre. Hebbi le lettere di Pultovia di... et risposi la settimana passata. In questa ho ricevuto l'altre due su di 23 dicembre e del primo del' anno: da le quali et da le scritture mandate con esse, si è inteso che habbino operato i suoi ricordi, col. S. Andrea Battori, et la contentezza, che ha mostrato di sentirne la Maestà del Re, con quel che disegna di far de la persona di lui, e Nostro Siggnore ha sentito tutto con molta consolatione et n' aspetta l' effetto.

Di poi si è visto quel che V. R. ha scritto al nominato Vescovo di Venda; et per la lettera di Mons. Arcivescovo di Gnesna in risposta della mia, s' è intesa la nova risolutione sua circa il Collegio; et di esso Arcivescovo si terrà sempre qual conto, che conviene per ogni rispetto.

12 lutego 1583.

Wielebny Ojcze. Otrzymałem listy z Półtuska z dnia... i odpowiedziałem w zeszłym tygodniu. W tym tygodniu otrzymałem dwa inne listy z 23 grudnia i z 1 stycznia. Z listów tych i niemniej jak z załączonego do nich pisma dowiedzieliśmy się o tem, jak poskutkowały przestrogi W. T. uczynione księciu J. Andrzejowi Batoremu, i zadowoleniu jakie z tego powodu okazał J. K. Mość jakoteż o tem, co J. K. M. zamierza z nim uczynić [2]. Ojciec św. wysłuchał to wszystko z wielką pociechą i spodziewa się dobrego skutku.

Później widzieliśmy to co W. T. pisałeś do biskupa nominata wendeńskiego [3], a z listu J. E. arcybiskupa gnieznieńskiego w odpowiedzi na mój, dowiedzieliśmy się o nowem jego rozporządzeniu co do kolegium; dla tegoż arcybiskupa będziemy zawsze mieć względy ze wszech miar mu należne [4].

---

[1] T. j. aby poświęcił się stanowi duchownemu i dla teologicznych studyów udał się do Rzymu, co też w listopadzie t. r. nastąpiło.

[2] Król postanowił wysłać Andrzeja z sekretarzem Hozyusza ks. Reszką do Rzymu na studya, przeznaczając mu karyerę duchowną.

[3] Nidecki Jędrzej.

[4] Prymas Karnkowski przyjmował uroczyście Possewina w gru-

Ho havuta la scrittura sopra quel negotio fastidioso; del quale non posso dir altro, se non che Sua Santità fa consultare qual, che si possa fare per dar satisfatione al Re, et al S. Cancelliere, et tutto quello che si potrà fare senza espressa offensione di Dio et della conscienza si farà di buonissima voglia: ma più oltre non credessimo che quei Signori dovessero volerlo nè desiderarlo.

Nostro Signore manda a V. R. et a la sua Compagnia la piena benedittione, che ha desiderata, per li viaggi, che ha da fare, et io offerendomele di buon core, prego Dio Signor nostro, che l'habbia di continuo nela santa protettione sua. Di Roma.

Otrzymałem list o owej kłopotliwej sprawie [1], o której nic innego nie mogę powiedzieć, jak że Ojciec św. kazał zobaczyć co będzie można uczynić, by zadowolnić króla i kanclerza, a wszystko co będzie można uczynić bez wyraźnej obrazy bożej i sumienia, uczyni się bardzo chętnie. A nie zdaje się nam, żeby ci panowie mogli chcieć albo pragnąć czegoś, co ten zakres przechodzi.

Ojciec św. udziela W. T. i towarzyszom błogosławieństwa, o które prosiłeś na przyszłą podróż; ja zaś oddając się całem sercem W. T. proszę Boga, aby Cię miał we swej świętej opiece. — Rzym.

(C. d. n.)

---

dniu 1582 w Łowiczu i polecił mu gorąco sprawę założenia seminaryum i kolegium jezuickiego w Kaliszu.

[1] Projektowana wojna z w. księciem Moskwy.

Przegląd piśmiennictwa.

JÓZEF TRETIAK: **„Mickiewicz w Wilnie i w Kownie“**. Życie i poezya. Tomów 3. Lwów, Gubrynowicz i Schmidt.

Naodwrót słów Schillera, że co odradza się w poezyi ginąć musi w życiu — poezya i poeci, gdy ich epoka mija, wywołują rój pisarzy zbierających skrzętnie pokłosia na ich niwach. W Niemczech ten ruch biograficzno-krytyczny dochodzi do niesłychanych rozmiarów. Sam Goethe stworzył już całą bibliotekę życiorysów i komentarzów, zawiązały się osobne stowarzyszenia i powstały pisma czasowe zajmujące się wyłącznie duchową jego spuścizną, a corocznie wychodzi osobny tom podający jedynie bibliografią tej goethowskiej literatury.

U nas jeden tylko Słowacki znalazł dotąd biografa, krytyka i komentatora w Małeckim. O Mickiewiczu panowało długo milczenie, nad oddaloną mogiłą wieszcza kilku druchów trąciło o lutnie — krytycy i biografowie nie śmieli się do tej mogiły zbliżyć. Kilku przyjaciół młodości Ant. Edw. Odyniec i Ignacy Domejko pierwsi przerwali ciszę, darząc nas wspomnieniami pełnemi uroku, bo z cechą najbardziej autentycznego świadectwa. Krytyka rozbierała wspaniałości Pana Tadeusza (Hugo Zathej) lub innych utworów, ale nikt nie odważył się spojrzeć w twarz tego geniuszu i odtworzyć tę postać olbrzymią w ogólnych rysach.

Dopiero kiedy podniesiono projekt wzniesienia pomnika dla hetmana poetów polskich w Krakowie, pisarze młodszej generacyi rozpoczęli poszukiwania biograficzne i studya analityczne. Od dwóch lat nie można wziąć w rękę jednego z czasopism literackiej treści, aby się w niem nie spotkać z rozczłonkowanym na

kawałki żywotem, z rozbieranemi po strofce utworami Mickiewicza. Jest w tym ruchu mickiewiczowskim odbicie goethowskiego komentatorstwa w Niemczech, jak w ogóle w obecnej chwili znać zwiększony u nas wpływ niemieckiego piśmiennictwa i niemieckiej naukowej metody. Nie wszystko co publikują o Mickiewiczu ma równą wartość, ale zbiorowy ten ruch nie minie bez korzystnego wpływu i zostawi po sobie, jeśli niewyczerpujące jeszcze dzieło, to przynajmniej nagromadzi do niego materyały.

P. Tretiak wyprzedził innych pracowników ogłoszeniem w całości obszerniejszego studyum, obejmującego pierwszą młodość poety, i pierwszą fazę jego twórczości. Autor nie szuka miejsca, gdzie stała kolebka Adama, gdzie on ujrzał świat, o co niedawno toczyły się spory, jak o miejsce urodzenia Homera, bo choć ta epoka tak blizka, pewności nie ma, czy twórca Pana Tadeusza urodził się w Nowogródku, gdzie ojciec jego był adwokatem, czy na folwarku Zaosie, który dzierżawił.

Nie przestępuje też p. Tretiak progów rodzicielskiego domu, ale zaczyna swe studya od chwili, kiedy w r. 1815 z Nowogródka do Wilna toczyła się na drodze duża bryka żydowska wioząca studenta do szkoły. Od tej daty aż do opuszczenia kraju, a raczej wywiezienia do Rosyi upłynęło lat ośm, lat „górnych i chmurnych“ mówi poeta, choć one były najbardziej promieniste, w całym jego żywocie.

Tu przypada epoka jego studjów, dalej życie uniwersyteckie z całym porywem związku filomatów, pierwsze próby skrzydeł do lotu, pierwsze kreacye i pierwszy grom w miłości do Maryli, ale ten grom był burzą majową, która wstrząsnęła tylko tą bujną naturą i pobudziła wzrost tylu kwiatów.

Tę epokę najpoetyczniejszą przedstawia p. Tretiak z wielką ścisłością i dokładnością w części biograficznej kompilując ożywiście ze znanych źródeł, w części zaś krytycznej podając rezultaty z porównawczych studyów. Pod względem biograficznym praca p. Tretiaka jest wyczerpującą, sumiennie obrobioną, reasumującą to wszystko, co mogło bezpośrednio lub pośrednio dorzucić jakieś światełko na ten okres życia poety. Nie powiemy jednak, aby ułożył się z tego portret Mickiewicza z wileńskiej i kowieńskiej epoki, któryby do nas tak przemawiał,

jak ów piękny portret reprodukowany na czele pierwszej edycyi Dziadów, gdzie poeta wsparty na skale ma we wzroku i postawie całą potęgę geniuszu. Wańkowicz malował młodego Mickiewicza z natury, z długoletniego pożycia opisywał Odyniec swego mistrza i przyjaciela w „Wspomnieniach młodości“ i w „Listach z zagranicy“. Tej siły, tej wyrazistości nie może mieć żadna reprodukcya w lat sześćdziesiąt zdejmowana według opowiadań innych. Sądzimy nawet, że autor nie miał tego zamiaru. On chciał wyjaśnić to, co jest niepewnem, sprawdzić co prawdopodobnem, stwierdzić co oczywistem; zadanie to zaś podjął umiejętnie i skrzętnie, zwertował wszystkie współczesne pamiętniki, porównywał jedne daty z innemi, aby oznaczyć genezę każdego wiersza i każdy fakt z życia — p. Tretiak składał mozaikę, nie odlewał posągu.

Za zaletę nawet poczytać można autorowi tę wstrzemięźliwość, iż nigdzie nie puścił wodzy fantazyi i intuicyi, że w czci dla poety zachowuje miarę i takt, niedomyślając się więcej, niż to, na co miał niewątpliwe świadectwa.

A jednak ten rys biograficzny nie jest bez życia i kolorytu. Styl prosty i jasny jak poprawny rysunek, połączony ze zdolnością cieniowania. Niektóre rozdziały budzą żywy interes mnogością faktów, które jeśli były znane, to tu są zestawione w nowem świetle. Poznajemy tu społeczność uniwersytecką w Wilnie, każdego profesora z osobna i wielu kolegów Adama, i poznajemy społeczność obywatelską na Litwie. Do bardzo zajmujących ustępów zaliczyć trzeba rozdział mówiący o szubrawcach, którzy pod tą nazwą hulaszczą ukrywali wyższą wartość i głębiej sięgające poglądy i cele. Walczą oni z masoneryą wileńską, karcą w *Wiadomościach* wybryki i nałogi obyczajowe, mają pomiędzy sobą ludzi naukowych, samych nawet profesorów — zgoła niejednym rysem przypominają *mutatis mutandis* naszych Stańczyków. Szubrawcy stają się też przedsłannikami filomatów, którzy znów organizują filaretów.

Przedmiotowem, ściśle źródłowem przedstawieniem tych związków studenckich, p. Tretiak usunął do reszty podejrzenia niektórych pisarzy, jakoby źródło tego bractwa płynęło z jakiegoś sekciarstwa, wiodło do konspiracyi politycznej i miało tę samą naturę, co *Tugendbund* niemiecki.

Religijność tej młodzieży, a zwłaszcza jej przywódzcy Tomasza Zana, cały duch chrześcijański wiejący z tego ogniska wyklucza wszelkie przypuszczenie o pokrewieństwie z masoneryą. Linia atoli graniczna między związkiem pobudzającym miłość ojczyzny a konspiracyą polityczną, w ogóle trudna do naznaczenia, niedziw że znikła w oczach Nowosilcowa i jego pomocników.

Niezmiernie zajmującemi są także ustępy przedstawiające ów dramat miłosny między młodym studentem uniwersyteckim a córką możnego szlachcica Maryą Wereszczakówną. Natura tego stosunku czysto marzycielska zostawiła mnogie ślady w twórczości Mickiewicza. Jeśli w Dziadach Maryla tem dla Mickiewicza czem Beatryxa dla Danta, jeśli wszystkie poezye i epizody erotyczne, tak pełne woni w pismach Adama, zapełnione jej postacią, to i w Zosi i w opisie Soplicowa, poznajemy tę bohdankę i reminiscencye z dworu pana Wereszczaki. Nawet ten szczegół białej sukienki zawieszonej w pokoju, a którą Tadeusz najpierw zobaczył, wysnuwszy z niej cały obraz idealny, jest ściśle historycznym, z pierwszej bytności Adama w dworze nad Switezią.

Tam gdzie autor mówi o ludziach i książkach, które mogły wpłynąć na wykształcenie i kierunek młodego poety, zarzucilibyśmy mu zbytnią ostrożność. Słuszna, że wskazuje tutaj wpływ profesora Borowskiego w Wilnie i wpływ pism Brodzińskiego, że wymienia dzieła pani Staël o Niemczech, Fryderyka Schlegla i Bouterweka, jako pierwsze potrącenie na nowe tory. Ale na tem z pewnością w tej epoce studyów wileńskich i profesorskiej praktyki w gimnazyum kowieńskiem Mickiewicz się nie zatrzymał, geniusz jego miał szeroki podkład naukowy, po za natchnieniem była tam gruntowna erudycya, wiadomości bardzo rozległe i wszystko przemyślane, przetopione że tak powiemy w ogniu geniuszu.

Nie potrzebujemy się tu powoływać na świadectwo Odyńca i innych, co go bliżej znali, na ten podziw, jaki wzbudził w Puszkinie otwierając mu dopiero szerokie horyzonty nauki — ślad tej nauki wszechstronnej zapisany w dziełach, zwłaszcza w Kursie literatury słowiańskiej. Biografowi nie godziło się tutaj stawiać hipotez, a danych o tem co studyował, co zbadał Mickiewicz, znalazł mało. Ale to pewna, że te wileńsko-kowieńskie lata, były

nietylko górne i chmurne, ale były poświęcone pracy naukowej, bo dały Mickiewiczowi podwalinę umiejętną na całe życie.

A ze zdobywaniem wiedzy szło tu w parze zdobywanie najwyższych prawd. O religijności i moralności Mickiewicza wspomina w wielu miejscach p. Tretiak — ale nie dość zdaniem naszem uwidocznia tę najważniejszą, najgłębszą stronę poety. Zrozumiał i wytłómaczył ją wybornie Lucyan Siemieński w swojem studyum: „Religijność i mistyka Adama Mickiewicza".

P. Tretiak sumiennie korzystał ze wszystkich znanych świadectw i dostępnych źródeł, poważną swą pracę byłby atoli podniósł o kilka stopni wyżej, gdyby był sięgnął do jednego jeszcze źródła, które z ducha poety płynie, gdyby do faktów i szczegółów zebranych był przyłożył jeszcze miarę samego Mickiewicza.

Metoda analityczna ma wielkie zalety ścisłości i gruntowności, ale nie zawadzi czasem uzupełnić ją syntezą zwłaszcza, gdy się ma do czynienia z geniuszem, którego naturą jest syntetyczność.

Od dat i obrazów życia przechodzi autor do pism i poezyi w miarę jak one się pojawiały; tu rozsnuł nam całą równiankę kwiatów od pierwiosnku aż do tych badyli i chwastów, jakiemi w szale uwieńczył się Gustaw. W rozbiorze tych pierwocin twórczości Mickiewicza poszedł p. Tretiak metodą bardzo właściwą, bo przedewszystkiem wykazującą daty każdego utworu, a dalej wpływy, wzory i okoliczności, jakie mogły oddziałać na poetę; o wiele zaś mniej sądów i wyroków, które w rzeczach sztuki i poezyi miewają dwa niebezpieczeństwa: superlatywów w pochwałach i nie zawsze dość umotywowanej krytyki. Nie popadł p. Tretiak w ten często powtarzający się błąd stawiania kategoryi i stopniowania w rzeczach piękna, ale raczej to stopniowanie w doskonałości formy wywiódł z chronologicznego porządku, w jakim szły te utwory.

Dzieło p. Tretiaka łączy ścisłość i gruntowność z zaletami literackiemi, na które często pisarze dzisiejsi nie dość zwracają uwagi.

L. D.

Wydawnictwa komisyi archeologicznej petersburgskiej [1]. *Akty otnosiaszczijesia k Istorii zapadnoj Rossii* (akty tyczące się dziejów zachodniej Rosyi) zebrane i wydane przez petersburgską archeograficzną komisyą.

Tom I. obejmuje akty od 1340 do 1506 włącznie. Redaktor główny, członek czynny archeograficznéj kommisyi Protejerej dworu Mości Jan Grigorowicz. str. 375. St. Petersburg 1846 (in 4-to).

Ważniejsze akty w tym tomie zawarte są: a) Statut wiślicki Kazimierza W; b) Statuty krakowski i wartski Władysława Ja-

---

[1] Sądzimy, że nieobojętną będzie dla szerszego koła badaczy przeszłości naszej dziejowej i dla czytającej publiczności wiadomość, o wydawnictwach dawnych aktów, mających bezpośrednią i pośrednią styczność z naszemi dziejami, przez komisye na ten cel ustanowione w Petersburgu, Wilnie i Kijowie. Między któremi: wydawnictwa komisyi petersburgskiej, od których wiadomość tę rozpoczynamy, tem się jeszcze odznaczają, że redaktorowie z małym wyjątkiem, nie rządzili się osobistemi narodowemi lub kastowemi namiętnościami, ale ściśle się trzymali wskazówek im danych przez założyciela tej komisyi cesarza Mikołaja, aby w wydawnictwie „pilnie przestrzegano prawdy". Myśl wyswobodzenia dziejów Rosyi z ciasnego kółka relacyi, częstokroć fałszywych i namiętnych, dawnych kronikarzy, latopisców i dziejopisarzów i rzucenia dla nich nowej podstawy w aktach dawnych, w których się jak gdyby skrystalizowała cała przeszłość narodowa, powstała w 1829 roku. Z rozkazu więc cesarza Mikołaja petersburgska akademia nauk wysłała z grona swojego ekspedycyą archeograficzną, dla przejrzenia archiwów Cesarstwa rosyjskiego. Ekspedycya przez pięć lat przeglądała archiwa w różnych miejscach kraju, i wyniosła z nich spore plony historycznych aktów, mających związek z dziejami, prawodawstwem i bytem ekonomicznym Wielkorosyi. Na tem atoli ograniczyła się działalność ekspedycyi, z woli bowiem najwyższej nie wolno jej było przekraczać granic Wielkorosyi, i dlatego archiwa zachodniego kraju, pozostały nieprzejrzanemi.

Dopiero, gdy ekspedycya ukończyła swoją działalność i dla wydania jej plonów, ustanowioną została komisya archeograficzna przy ministerium oświecenia publicznego w 1834 roku, za pierwsze swoje zadanie ta ostatnia uważała, zbadanie i przejrzenie archiwów i bibliotek zachodniego kraju. Czynnie się wprawdzie wzięła do wydawnictwa zebranych przez ekspedycyą aktów, które uzupełniła aktami wyjętymi z miejscowych petersburgskich archiwów i bibliotek; i wydała je w pięciu tomach pod tytułem: Aktów istoriczeskich, nie obojętnych i dla naszych dziejów z powodu stosunków politycznych i handlowych między Polską i Rosyą — lecz głównie obejmujących akty tyczące się Wielkorosyi. Ale jednocześnie spełniając myśl swoją

giełły w 1420 i 1423 r.; c) Sudiebnik, nadany Litwinom przez Kazimierza Jagiellończyka 1468; d) Uniwersał Witołda, jako wielkiego księcia litewskiego, oddzielający metropolią kijowską od moskiewskiej i naznaczający metropolitą kijowskim Gregora Cemiwlaka w 1415 r; e) Przywileje wielkich książąt i królów polskich, gwarantujące całość i nietykalność praw Kościoła *litewsko-*

---

starała się uzyskać pozwolenie cesarskie, na przejrzenie archiwów zachodniego kraju i otrzymawszy takowe, wydała zalecenie do wszystkich władz, aby jej dostawiły wszystkie stare dokumenta, które w tamecznych bibliotekach i archiwach, znajdować się mogły. Stało się to i w krótkim czasie zebrała się znaczna kolekcya aktów, zwiększona nowymi jeszcze zabytkami pisemnymi, tyczącemi się faktów dziejowych, dawnego prawodawstwa i administracyi, pomienionej części kraju, które sama komisya wykryła w bibliotekach i archiwach miejscowych, obu stolic, Petersburga i Moskwy.

Tym sposobem weszły do zbiorów komisyi i następnie wydane zostały akta: a) administracyi duchownej z archiwów dyecezyi ruskich: mohilewskiej, połockiej i mińskiej, tudzież z bibliotek kijowskiej akademi i duchownej, do których włączyć należy i akta zabrane z archiwum wileńskiej rzymsko-katolickiej kapituły; b) administracyi świeckiej, z archiwów: białostockiego rządu obwodowego i pozostałego po byłym trybunale wileńskim, gubernialnych rządów: czernichowskiego, charkowskiego i podolskiego; skarbowych i cywilnych sądowniczych Izb kijowskich, czernichowskich i witebskich: magistratów miejskich brzeskiego, bielskiego, wieliskiego, orszańskiego, grodzieńskiego, kowieńskiego, krzemienieckiego, lidzkiego i rosławskiego, pozostałych po dawnych magdeburgiach: kijowskiej, czernihowskiej, mohilewskiej, ołyckiej i perejoasławskiej. Do nich dołączone zostały odpisy z tych aktów, które komisya sama wykryła; w bibliotekach: cesarskich ermitażnej i publicznej, rumiańcowskiego muzeum i departamentu generalnego sztabu i warchiwach: głównego moskiewskiego archiwum ministerstw spraw zagranicznych i sprawiedliwości, byłego grecko-unickiego metropolitalnego, zachowanego przy najświętszym synodzie — litewskiej metryki, znajdującej się przy III. departamencie rządzącego senatu i departamentu oświecenia narodowego (oddział edukacyjnych funduszów). Do tej kategoryi zaliczyć należy — akta nabyte w Szwecyi przez korespodenta komisyi Sołowjewa, z których wiele bardzo należało niegdyś do tajnego archiwum królów polskich, do archiwum smoleńskiego, do tuszyńskiego Samozwańca i innych. Zagraniczni korespondenci Szafarzyk i Zubrzycki, wzbogacili zbiory komisyi aktami z archiwów lwowskiego, bełzkiego, halickiego i przemyskiego, a jeden z członków komisyi darował własny rękopism p. t. Biełoruskij archiw drewnich aktow.

ruskiego; f) Poselstwa, traktaty, przymierza, rozejmy między królami polskimi i hospodarami mołdawskimi, wielkimi książętami twerskimi, rzeczpospolitą nowogrodzką i pskowską, królami węgierskimi, ordą krymską i zawołzską, z kawalerami mieczowymi i z wielkim księciem moskiewskim i t. d.

Tom II. zawierający akty tyczące się panowania Zygmunta I. t. j. od roku 1506 po 1544 włącznie. Redaktor Jan Grigorowicz. str. 405. St. Petersburg (in 4-to).

Znajduje się w nim dwieście trzydzieści cztery aktów, z których do ważniejszych zaliczamy: a) Uchwała sejmu wileńskiego w 1507 r. nakazująca ogólny popis ludności, zwołanie wojska i rozkład serebszczyzny z powodu zbliżającej się wojny z Moskwą; b) Odezwa od Rady litewskiej do metropolity kijowskiego Józefa, aby się starał o wzmocnienie Mińska, dla obrony w razie gdyby Rosyanie na Litwę wkroczyli, i żeby przybył do Wilna, dla doprowadzenia do przysięgi na wierność królowi, członków Rady; c) Uchwała Rady litewskiej i poselstwo od niej do króla z prośbą, aby nie dozwolił przejazdu posłom papieskim jadącym z koroną dla wielkiego księcia moskiewskiego i żeby lepiej, się starał o uzyskanie korony dla syna swego Zygmunta Augusta, na króla litewskiego, a gdy ją otrzyma, dla zabezpieczenia po śmierci króla korony polskiej dla syna radzą, żeby Mazowsza nie oddawał koronie polskiej, ale żeby je uważał za spadek swój osobisty, to w takim razie Polacy zmuszeni będą do oddania korony polskiej Zygmuntowi Augustowi; d) Przywileje na swobody różnym ziemiom, miastom i osobom prywatnym i nadania dóbr szlachcie i duchowieństwu litewsko-ruskiemu, fundacye nowych monasterów, wznowienia starych: mežyhorskiego i peczarskiego obrządku wschodniego i stosunki dyplomatyczne z rozmaitemi sąsiedniemi państwami a mianowicie z w. Kstwem Moskwy, w których ważny przyczynek do dziejów naszych stanowią listy i poselstwa królewskie do w. księcia moskiewskiego i jego na nie odpowiedzi.

Tom III. obejmuje panowanie Zygmunta Augusta, Henryka i Stefana Batorego t. j. od r. 1544 po 1588. Redaktor Jan Grigorowicz. str. 317. St. Petersburg (in. 4-to).

Tom ten, oprócz wielu aktów tej treści co i w tomach po-

przedzających, zawiera wiele hramot patryarchów konstantynopolitańskiego, jerozolimskiego i antiocheńskiego, widać z nich rozstrój i upadek moralny duchowieństwa litewsko-ruskiego a razem, choć mglisto, ale się już dają dostrzedz, te dwa prądy w niem, które zaraz w początku panowania Zygmunta III. się ujawnią: jeden dążący do unii z Kościołem zachodnim, drugi, na którego czele stanie tłumnie duchowieństwo przybywające z Grecyi i krajów wschodnich, starający się nietylko niedopuścić do unii religijnej, ale wyszukujący materyały palne w narodzie, żeby rozerwać unią polityczną tych ziem z łacińską polską.

Tom IV. zawiera wyłącznie akty do panowania Zygmunta III. od 1588 do 1632 r. Redaktor Jan Grigorowicz. str. VIII. i 529. Aktów 234 St. Petersburg 1851 (in 4-to).

Do ważniejszych aktów objętych tym tomem należą: a) Umowa króla Zygmunta III. z moskiewskimi bojarami na początku 1610 r.; b) Korespondecye tegoż króla z moskiewską bojarską dumą i liczny zbiór dotąd zupełnie nieznanych przywilejów, czyli hramot tegoż króla, na dobra, godności, urzęda, dożywotne pensye, wiernym sobie bojarom, dworianom, bojarskim dzieciom moskiewskim, służebnym cudzoziemcom i innym, wydanych w ciągu dwóch lat od 1610 do 1612 r.; c) Układy posłów polskich z moskiewskimi na zjazdach w Moskwie i Smoleńsku w 1608, 1610 i 1615 latach, Hramoty patryarchów konstantynopolitańskiego Jeremiasza i jerozolimskiego Teofana w 1588, 1589, 1590 i 1620, z których pierwszy mniema że przez bractwa i zfanatyzowanie mieszczaństwa ocali upadającą cerkiew i zniszczy unią religijną i polityczną — drugi, gdy po dwudziestu kilku leciech istnienia bractw, nie widzi aby one wstrzymały rozwój unii religijnej, a polityczna bodaj czy nie więcej coraz się ścieśniała, wyświęca samowolnie, bez wiedzy królewskiej, metropolitę i biskupów i punktu oparcia w walce z latynizmem szuka i znajduje w kozakach: d) Materyały do dziejów unii religijnej od 1592 do 1614.

Tom V. obejmuje akty od 1633 do 1699 t. j. panowanie królów Władysława IV, Jana Kazimierza, Michała Jana Sobieskiego i jeden rok z panowania Augusta II.; str. VII. i 288. Redaktorem w części był wyżej pomieniony Protojerej Jan Grigorowicz a po jego

śmierci, sztucki sowietnik Tarnawa Boriczewski. St. Petersburg 1855 (in 4-to).

Tom ten zawiera akty tyczące się poselstw od królów polskich do carów moskiewskich, uniwersały hetmanów kozackich od Chmielnickiego do Mazepy włącznie i przywileje na dobra i użytki dla monasterów dyzunickich wydane przez królów polskich i przez hetmanów kozackich.

2) *Gramoty kasajuszczejesia do snoszenii siewierozapadnoj Rossii s Rigoju i Ganzejskimi gorodami w XII., XIII., i XIV. wieku* (Akty tyczące się stosunków północno-zochodniej Rosyi z Rygą i hanzeatyckiemi miastami w XII., XIII. i XIV. wieku) z ośmio litografowanemi podobiznami. Redaktorowie A. A. Kunik i M. A. Korkunow. St. Petersburg 1857 r. (in. folio).

W Rygskiem miejskiem archiwum, wykryte zostały stare dokumenta w oryginałach lub starych kopiach, tyczące się stosunków inflantskich z wielkim Nowogrodem i ogólnie z pogranicznemi ruskiemi i litewskiemi ziemiami od XIII. do początku XVII. wieku. W niniejszem dziele komisya wydała wszystkie te dokumenta, wraz z drugimi z tejże epoki pisanymi, po łacinie i po niemiecku; przyczem uznała za rzecz niezbędną niektóre z dawnych aktów ruskich odlitografować, jako ważne materyały dla ojczystej paleografii i filologii. Dla naszych dziejów ważne tu się znajdują dokumenta z XIII wieku: hramoty Gardena księcia litewskiego, Izasława księcia połockiego i Teodora Rościsławowicza księcia smoleńskiego. Z pierwszej ćwierci XIV. w. hramota nieznanego w dziejach Jakoba episkopa połockiego i jego czełobitnia nieznanemu także w dziejach Michałowi Konstantynowiczowi kniaziowi witebskiemu. Od 1323 r. znajdujemy akty tyczące się Gedymina, z których widać stopniowy wzrost jego potęgi, rozszerzania się jego państwa i stosunki jego z teutońskimi i mieczowymi rycerzami. Ogólnie zaś wiele aktów z XIII. i XIV. w. rzuca nam światło na stosunki Hanzy z Nowogrodem W. i Połockiem, z czego możemy widzieć, jak wielkie Połock miał znaczenie pod względem handlowym, w owej porze. Akty XV. wieku odsłaniają nam stosunki dość ożywione między Rygą i Połockiem, które na początku XVI. wieku słabną a nakoniec ograniczają się tylko i głównie do spraw rygskiej prawosławnej cerkwi, powie-

rzonej pieczy episkopów połockich. Stosunki handlowe miast hanzeatyckich i inflantskich w XVI. wieku, zwracają się ku wzrastającemu, państwu moskiewskiemu.

3). *Dniewnik Lublinskawo sejma 1569 goda ili sojedinenije welikawo knižestwa litowskawo s korolestwom polskim* (Diarjusz sejmu lubelskiego 1569 r., albo unia wielkiego księstwa litewskiego królestwem polskiem). Redaktor M. O. Kojałowicz. St. Petersburg 1860 r. (in 4-to).

4). Documents servant à eclaircir l'histoire des provinces occidentales de la Russie ainsi que leurs rapports avec la Russie et la Pologne. Redaktor M. O. Kojałowicz. St. Petersburg 1865.

5. *Akty otsnasiaszczijasia k istorii južnoj i zapadnoj Rossii* (Akty tyczące się historyi południowej i zachodniej Rosyi).

Tom I. obejmuje dokumenta od 1361 po 1598 r. włącznie. Redaktor członek komisyi archeograficznej Mikołaj Kostamarow. St. Petersburg 1863 r. (in 4-to).

Dokumenta te składają się z przywilejów książąt lennych wielkiego księstwa litewskiego, z nadań przez w. ks. litewskich i królów polskich dóbr, z prawem dziedzicznem, dożywotniem lub lennem. Z rozmaitych aktów prywatnych, jako to przedaży, zamiany, zastawy, darowizn i działów dóbr między właścicielami. Następnie liczne są akty tyczące się bytu i urządzenia cerkwi i monasterów obrządku wchodniego, i obok tego pięć przywilejów dla Kościoła katolickiego. Instrukcya królewska, Ławrynowi Wojnie, pisarzowi swemu, jadącemu w roli komisarza królewskiego na sejm w Brześciu 1566 roku, z podpisem ręki królewskiej, i akty dość liczne tyczące się stosunków z Moskwą, wojny w Inflantach za Zygmunta Augusta i wojny z Moskwą za Stefana Batorego.

Tom II. obejmuje dokumenta od str. 1 do 7 od 1599 po 1637 r. od str. zaś 101—271 zawierają się dokumenta od 1266 r. po 1608 włącznie. Redaktor Mikołaj Kostomarow. St. Petersburg. 1865 r. (in 4-to).

Do ważniejszych dokumentów zaliczamy: a) Hramotę czyli przywilej Lwa księcia halickiego dwom braciom wezwanym przez niego z Litwy: Tuteniowi i Montsiekowi na sioło Dobioniewicze

we włości przemyślskiej; b) Cztery akty z XIV. wieku tyczące się Haliczyzny. Oprócz tego znajduje się wiele dokumentów tyczących się unii religijnej brzeskiej, zarządu kościoła wschodniego przed i po unii, stosunków patryarchów wschodnich z Rusią w końcu XVI. wieku, zarządu dóbr i monasteru kościoła wschodniego przed i po unii, kłótni, sporów między dyzunitami i unitami, odmiany kalendarza, cerkiewnych bractw, oświaty na Rusi i Litwie, udzielnych księstw, łączenia się ich z Polską i Litwą, uchwał sejmowych, stanu ekonomicznego kraju, praw i obowiązków służebnych mieszkańców, kozactwa, Magdeburgii po miastach, handlu i przemysłu w dobrach hospodarskich czyli królewskich i zarządu ich, w których wykazane jest położenie żydów w nich mieszkających a zajmujących się przemysłem i handlem, obyczajów i życia domowego, praw osobistych jednostki, prawa własności, stosunków zewnętrznych z Moskwą za panowania Iwana III. następnie z czasów panowania Zygmunta Augusta, Zygmunta III. i Władysława IV., zniszczeń przez Tatarów i stosunków z nimi dyplomatycznych, nakoniec pisma treści religijno-polemicznej; a) cztery posłania czyli upominalne listy mnicha z góry Athos rodem z Haliczyzny Iwana z Wiszni (nazywają go i Wiszniewskim), któremi stara się podtrzymać upadający Kościół wschodni na Rusi, charakteryzując w ciemnych barwach całą ówczesną hierarchią kościelną, metropolitę i wszystkich biskupów, którzy do unii przystąpili; b) Pismo hierodiakona pieczarskiego monasteru z końca XVI lub z początku XVII. wieku, wykazujące trzydzieści cztery herezyi, które od Kościoła katolickiego weszły do kościoła wschodniego na Rusi.

Tom III. obejmuje dokumenta wyjęte z byłego małorosyjskiego prykazu i z moskiewskiego głównego archiwum ministerstwa spraw zagranicznych od 1638 do 1657 r. Redaktorowie Mikołaj Kostomarow i literat Pantalejmon Aleksandrowicz Kulisz; str. 604; St. Petersburg 1861 (in 4-to.)

Jest to period dziejów kozactwa od 1638 do 1657, to jest do śmierci Chmielnickiego; dawniejszych dokumentów od roku 1638 w archiwach moskiewskich nie znaleziono.

Dokumenty, które tu znajdujemy, wykazują nam stosunki

w owym periodzie kleru, a mianowicie mnichów i metropolitów z Moskwą. Wyjaśniają nam stosunki Chmielnickiego z Moskwą przed i po poddaniu się jego w Perejasławiu. Stosunki jego z sąsiedniemi państwami, Węgrami, Austryą, Turcyą, Tatarami i innemi. Znajdujemy wiele nieznanych szczegółów do wojen jego z Polską, a mianowicie do zbaraskiego oblężenia i bitwy pod Zborowem, klęski kozackiej pod Beresteczkiem, nieporozumień Moskwy z Polską z powodu myłek w tytułach carskich i ksiąg wydanych w języku polskim, uwłaczających majestatowi carskiemu. O samozwańcach Akundinowie i Łubie i nakoniec wykazujące nam stosunki ekonomiczne kraju w owym periodzie.

Tom IV zawiera dokumenta od 1657 do 1659 r. wyjęte z głównego moskiewskiego archiwum spraw cudzoziemskich. Redaktor Mikołaj Kostomarow, str. 276. St. Petersburg 1863 (in 4-to).

Obejmuje krótki period z dziejów kozactwa przy hetmaństwie Wyhowskiego. Składa się z hramot carskich, pism i uniwersałów hetmańskich, sprawozdań czyli statejnych spisków wojewodów, posłów i gońców posyłanych do Kozaków; pism prywatnych Kozaków i innych, odpowiedzi wojewodów pogranicznych na zapytania carskie w rozmaitych kwestyach kozackich, indygacyi czyli doprosów ściąganych w poselskiej izbie z posłów kozackich lub z pojedynczych osób, jakimkolwiek sposobem się na Ukrainie chwilowo znajdujących, nietylko w sprawach Kozaków ale i w sprawach sąsiednich krajów, czołobitni kozackich i t. d.

Tom V. Dokumenta wyjęte z spraw pozostałych w byłym małorosyjskim prykazie od 1659 r. po 1665. Redaktor M. Kostomarow, str. VIII. i 395. St. Petersburg 1865 r. (in 4-to).

Obejmują one dzieje Ukrainy: zrzucenie z hetmaństwa Wyhowskiego, pochód Wasyla Szeremetjewa z następcą Wyhowskiego Chmielnickim przeciw Polakom, porażka ich przez Polaków pod Słobodyszczami, Cudnowem i wynikłe w skutek tego niepokoje na Zadnieprzu, z powodu współ-zawodnictwa pretendentów do hetmaństwa: Samka, Zołtarenka i Brzuchowieckiego — kończą się one nieżyńską czyli tak zwaną czarną radą, tamci padli pod mieczem kata, a Brzuchowiecki został hetmanem. Wtargnienie

wojsk polskich z królem Janem Kazimierzem na Zadnieprze i wojna z Moskwą.

Tom VI. zawiera akta od 1665 do 1668 włącznie, wyjęte z archiwum pozostałego po byłym małorosyjskim prykazie. Redaktor M. Kostomarow, str. IV. i 279. St. Petersburg 1869 r. (in 4-to).

Wszystkie się one tyczą hetmaństwa Brzuchowieckiego po lewej stronie Dniepru i hetmaństwa naprzód Opary, a następnie Doroszenki po prawej czyli polskiej stronie Dniepru, tudzież zdrady i buntu Brzuchowieckiego przeciwko Moskwie. Do ważniejszych co do treści zaliczamy: opisanie przyjęcia Brzuchowieckiego w Moskwie i pobytu jego na dworze carskim, następnie sprawozdanie, czyli *statejnych spisok* diaka Erostrata Frołowa o stanie i usposobieniu ducha mieszkańców i kozaków na Zadnieprzu i o stosunkach Brzuchowieckiego z Metodym tytularnym biskupem mścisławskim, administratorem metropolii kijowskiej i faworytem carskim. Sprawozdanie o buncie kozackim w Perejasławiu, w którym zamordowany został przez swoich podkomendnych, pułkownik kozacki wierny Moskwie Jermołeńko, i raport posła carskiego Tiapkina o układach z Doroszeńką.

Tom VII. składa się z 230 aktów, z których pierwszych 124 odnoszą się wyłącznie do wypadków na Zadnieprzu w ciągu 1668 r. Druga część t. j. 120 aktów, obejmują period dziejów kozackich od śmierci Chmielnickiego do wiosny 1663 r. Pierwsze wyjęte są z moskiewskiego archiwum ministerstwa spraw zagranicznych, drugie z archiwum moskiewskiego ministerstwa sprawiedliwości. Redaktor M. Kostomarow, str. VI. i 398 St. Petersburg 1872 r. (in 4-to).

Dokumenta z pierwszej części tyczą się jedne buntu Brzuchowieckiego, drugie malują nam stan umysłów i usposobienie do tego buntu ogólnie, we wszystkich mieszkańcach w tak zwanej Małorosyi czyli na Zadnieprzu. Inne znowu wykazują nam: konszachty Kozaków z Tatarami, koszta na utrzymanie wojsk moskiewskich w Małorosyi, stan ducha w kozactwie właściwem na Zaporożu, lub dostarczają źródeł do biografii osób przeważną rolę w dziejach kozactwa odgrywających, jak: Doroszeńka hetmana po prawej stronie Dniepru, Metodego Felimonowicza biskupa mścisławskiego i sprawcy metropolii kijowskiej, Łazara Baranowicza

arcybiskupa czernichowskiego i Inocentego Giziela archimandryty pieczarskiego. W drugiej części rozwijają nam dokumenta cały przebieg sprawy między następcą Chmielnickiego na hetmaństwie kozackiem, Janem Wyhowskim i Puszkareńką pułkownikiem połtawskim, który z całym swym pułkiem nie chciał uznać Wyhowskiego swoim zwierzchnikiem, czernił go w raportach swoich do cara aż się skończyło, że car osobną hramotą nakazał mu posłuszeństwo dla Wyhowskiego. Dalej wyjaśniają nam postępowanie Wyhowskiego, bunt jego przeciw carowi, zdradę i wojnę z wojskami carskiemi. Raporty wojewodów pogranicznych i miejscowych, z których daje się widzieć stan umysłów nietylko kozackich, ale i innych mieszkańców z czasu buntu Wyhowskiego. Wiadomość o zarządzie wojewodów w Małorosyi i kosztach, które mieszkańcy ponoszą, na utrzymanie wojsk carskich. Trzy dokumenta wykazują nam pokuszenia Kozaków do osiedlenia się na Białej Rusi w celu rozszerzenia granic Mało-Rosyi i energiczne środki, do jakich wojewodowie moskiewscy uciekli się, aby do tego nie dopuścić. Bardzo ważny tak zwany *statejny spisok* czyli sprawozdanie carskiego posła Ładyżeńskiego wykazujący stan umysłów na Ukrainie w chwili, kiedy Jerzy Chmielnicki złożył hetmaństwo i został mnichem, a buławę wziął Tetera, na Zadnieprzu zaś hetmanem został Samko, a koszowym hetmanem na Zaporożu Brzuchowiecki. Metody zaś biskup mścisławski i sprawca metropolii był przedstawicielem władzy carskiej na Zadnieprzu i u szczytu łaski carskiej.

Tom VIII. dzieli się także na dwie części: w pierwszej jest dokumentów 111 odnoszą się wszystkie do krótkiego periodu między 20 listopada 1668 i połową lipca 1669 r. Druga część jest uzupełnieniem aktów wydanych w uprzednich tomach z epoki dziejów kozackich od 18 sierpnia 1648 r. po 22 stycznia 1657 roku. W obu częściach wszystkie ważniejsze dokumenta wyjęte zostały z dzieł mało-rosyjskiego prykazu, przechowanych w archiwum moskiewskiem ministerstwa sprawiedliwości i z archiwum małorosyjskich spraw znajdującego się przy archiwum ministerstwa spraw zagranicznych. Redaktor M. Kostomarow, str. 400, St. Petersburg 1875 r. (in 4-to).

W pierwszej części dokumenta tyczą się głównie Piotra Doroszeńki, jego zamiarów zostania hetmanem po obu stronach

Dniepru — stosunków jego z rządem moskiewskim, z hetmanem zadnieprskim Demianem Mnohohriesznym, z Zaporozcami i z ich koszowym atamanem Suchowiejeńką i nakoniec z Tatarami i Turkami. Następnie znajdujemy tam dokumenta odnoszące się do hetmana zadnieprskiego Demiana Mnohohriesznego i jego stosunków z rządem carskim, z pogranicznymi i miejscowymi wojewodami moskiewskimi i z Doroszeńką. Obok nich ważny przyczynek do dziejów stanowią akty świadczące o wpływie na sprawy Kozaków i ich usposobień dla rządu moskiewskiego duchowieństwa jako, to: metropolity Tupalskiego, arcybiskupa czernichowskiego Łazara Baranowicza, archimandryty Inocentego Giziela, niczyńskiego protopopa Adamowicza i innych. Kilka dokumentów jest dopełnieniem poprzednio wydanych odnośnie do buntu Brzuchowieckiego i traktatu andruszowskiego, i ciekawe bardzo sprawozdanie czyli *statejnyj spisok* i liczne raporty szlachcica Teofila Bobrowicza agenta carskiego na Zadnieprzu, którego zadaniem było porozumienie się z Doroszenką w chwili, kiedy ten ostatni po trupie Brzuchowieckiego chwilowo objął był hetmaństwo obu stron Dniepru, a wojska carskie pod dowództwem Romadanowskiego wyjść musiały z Zadnieprza. Dalej znajdujemy dokumenta tyczące się Rady Głuchowskiej, powtórnego wyboru na hetmana Demiana Mnohohriesznego i poddania się z nim pułków czernichowskiego i starodubowskiego carowi, a wszystko to za staraniem Łazara Baranowicza arcybiskupa czernichowskiego. Relacye o korsuńskiej radzie na której Doroszeńko „z całą ziemią kozacką od Sanu i Wisły po Putywl i Don“ poddał się sułtanowi tureckiemu. Traktacye o oddanie Kijowa Polsce na mocy rozejmu andruszowskiego.

Druga część zawiera dokumenta uzupełniające wiadomości: co do wojen Chmielnickiego z Polakami, stosunków tureckich z Moskwą i Kozakami, stosunków Chmielnieckiego i Kozaków z carskim rządem.

Tom IX. zawiera akta od 1668 r. tyczące się hetmaństwa Demiana Mnohohriesznego do upadku jego w czerwcu 1672 r. w którym Iwan Samujłowicz został wybrany hetmanem. Redaktor M. Kostomarow, str. 987, 21, aktów 182. St. Petersburg 1878 (in 4-to).

Akta w tym tomie zawarte, dostarczają nam źródeł dziejowych: a) do walki Doroszeńki już hołdownika tureckiego z Chaneńkim hetmanem przez króla polskiego mianowanym; b) do zabiegów Doroszeńki, żeby jakiemikolwiek drogami zagarnąć pod swą władzę Zadnieprze; stąd wojny jednych Kozaków z drugimi; c) korespondencye Doroszeńki z dworami carskim i polskim; f) bardzo ciekawe nowe szczegóły tyczące się upadku Mnohohriesznego, obioru Samujłowicza na hetmana pod Konotopem, stosunków kozackich z Turcyą i Tatarami; g) do życia Afanasya patryarchy konstantynopolitańskiego zmarłego w Łubnie w powrocie z Moskwy i zaliczonego w poczet świętych; h) do życia: Piotra Doroszeńki Demiana Mnohohriesznego i Scierka koszowego zaporoskiego, i nakoniec i) do dziejów kościoła wschodniego pod rządem kozackim, oporu ze strony duchowieństwa miejscowego przeciw uznaniu patryarchy moskiewskiego za głowę kościoła swego, czego życzył sobie car Aleksy Michajłowicz.

Tom X. jest uzupełnieniem tomu III. i wyłącznie obejmuje traktacye Chmielnickiego z Moskwą o poddanie się w latach 1653 i 1654. Redaktor członek komisyi archeograficznej G. O. Karpow, stronice podzielone na dwie szpalty, 838 szpalt St. Petersburg (in 4-to).

Z treści swej tom ten zawiera akta najwięcej ważne dla naszych dziejów:

1) z 1653 r. d. 22 czerwca, hramota cara Aleksieja Michajłowicza do hetmana Chmielnickiego, jako odpowiedź na groźbę tego ostatniego, że jeżeli car nie przyjmie w poddaństwo swoje wojska zaporoskiego, to on zmuszony będzie poddać się sułtanowi tureckiemu; 2) 1653 r. d. 1 paździer. uchwała ziemskiego soboru w Moskwie, tycząca się wypowiedzenia wojny Janowi Kazimierzowi i przyjęcia w poddaństwo hetmana Chmielnieckiego i całego wojska zaporoskiego z grodami, miastami i wszystkiemi ich ziemiami 3) roku 1653 od 6 września po 31 grudnia, listy i raporty posłów carskich, stolnika Radijona Matwiejowicza Stresznewa i diaka Marteniusza Bredichina do Chmielnieckiego wysłanych, którzy mieli mu objawić, że car przyjmuje go z Kozakami i ze wszystkimi grodami i ziemiami w swoje poddaństwo; pism tych jest dwadzieścia trzy, z których najważniejszy jest raport

czyli *statejnyj spisok*, w którym dzień po dniu zapisane są ich czynności, rozmowy z naczelnikami i z prostymi Kozakami; z niego widać rozstrój i rozpustę w kozactwie tak, że już panowanie Chmielnickiego stało w owej dobie na bardzo kruchych podstawach. 4) pisma od października 1653 r. do maja 1654 tyczące się poselstwa bojarzyna Wasila Buturlina, okolniczego Iwana Alferiewa, dumnego diaka Larjona Łopuchina, dla przeprowadzenia przysięgi Janowi Aleksiejowi Michajłowiczowi, hetmana Chmielnickiego z całem wojskiem zaporoskiem i wszystkimi mieszkańcami Mało-Rosyi. 5) spis wszystkich przyprowadzonych do przysięgi w styczniu 1654 r. 6) pisma posła carskiego stolnika Fiedora Połtewa od 9 lutego do 19 marca 1654 r. wysłanego do hetmana Chmielnickiego i całego wojska zaporoskiego, tudzież do Kossowa metropolity z uwiadomieniem o szczęśliwem przyjściu na świat Aleksieja Aleksiejowicza carewicza, dokumentów 11. 7) akta tyczące się pierwszych wojewodow carskich kijowskich bojarów kniazia Fiedora Kurakina, kniazia Fiedora Wołkońskiego i diaka Andreja Nemirowa dokumentów 13. 8) od 17 lutego do 27 marca 1654 r., akta tyczące się poselstwa kozaków do cara, wojskowego sędziego Samujły Bohdanowa i perejasławskiego pułkownika Pawła Tetery, przybyłych do Moskwy z czołobitnią i prośbą do cara o potwierdzenie praw nadanych przez królów polskich wszystkim mieszkańcom Małorosyi duchownego i świeckiego stanu 9) akta poselstwa miasta Perejasławia z prośbą do cara o potwierdzenie praw nadanych im przez Zygmunta III. i Władysława IV. 10) hramoty cara do Bohdana Chmielnickiego i czołobitnia tegoż Chmielnickiego do cara przesłana przez gońca Wasyla Litwinenko, w której się tłumaczy dla czego nie może sam osobiście przyjechać do Moskwy. 11) akta od 21 marca do 14 kwietnia 1654 r. tyczące się poselstwa Fiedora Horkuszy wysłanego przez Chmielnickiego do cara, razem dokumentów 14. Wysłany on był z prośbą do cara, żeby dawne przywileje prędzej zatwierdził i wypuścił posłów kozackich Teterę i Bohdanowa z Moskwy. Do tej samej prośby dołączył: uniwersał króla Jana Kazimierza, do wojska zaporoskiego, żeby odstąpiło od zdrajcy Chmielnickiego i niepoddawało się Moskwie. Uniwersał Janusza Radziwiłła do wszystkich mieszkańców Małorosyi, aby pozostali

wiernymi królowi i pismo szlachcica ruskiego Pawła Oleksicza do pułkownika bracławskiego Bohuna (który niechciał się poddać carowi) zachęcającego do wytrwałości i obiecujące mu hetmaństwo i inne łaski królewskie. 12) akta od 13 kwietnia do 2 czerwca 1654 r. tyczące się poselstwa diaka Tomiły Perfirjowa, wysłanego przez cara do Chmielnickiego, dla wywiedzenia się, czy rzeczywiście Stefan Hospodar mołdawski chce się doddać carowi i jakie są stosunki między Kozakami i Tatarami. 13) od 25 maja do 16 lipca 1654 r. dokumentów 13, tyczące się poselstwa mieszczan kijowskich do cara o potwierdzenie praw nadanych im przez królów polskich. 14) akta poselstwa poddiaka Hrehorego Starkowa, wysłanego przez cara do Chmielnickiego od 4 do 21 czerwca, tyczące się wojny z Polską. 15) akta poselstwa carskiego Timafieja Spasitelowa i Piotra Protasjewa od maja do sierpnia 1654 r. także tyczące się wojny z Polską, dokmentów 16. 16) akta od 26 lipca do 11 sierpnia (dokumentów 21), tyczące się poselstwa duchowieństwa małorosyjskjego do cara pod Smolcńskiem przebywającego, z prośbą o potwierdzenie wszystkich praw nadanych duchowieństwu przez wielkich książąt litewskich i królów polskich, tudzież o wydanie potwierdzających hramot na dawniej nadane dobra cerkwiom i monasterom 17) akta tyczące się poselstwa greka Iwana Taflary od 6 do 25 września 1654 r. wysłanego przez Chmielnickiogo do cara z donosami o zdradzieckich zamysłach metropolity i duchowieństwa małorosyjskiego i 18) dodatek zawierający spis przysięgających na wierność carowi: szlachty, kozaków i mieszczan, z pułków białocerkiewskiego i nieżyńskiego nie zamieszczonych pod N. 5.

(C. d. n.)

Rulikowski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

DYALOGI czyli ROZMOWY HISTORYCZNE zawierające opisy życia osób świątobliwością znamienitych i o nieśmiertelności duszy, napisane przez św. Grzegorza Wielkiego, Papieża doktora Kościoła w. VI. z oryginału łacińskiego wiernie przełożone przez *ks. Ludwika Feliksa Karczewskiego,* kanonika kollegiaty św. Anny. Kraków 1884. Cena 2 złr. 50 kr.

Z licznych pism św. Grzegorza W. najpopularniejszemi bez wątpienia, jeśli nie najcenniejszemi były zawsze jego *dyalogi*, w których opowiadając życie i cuda, świętobliwych mężów zamieszkujących przeważnie ziemię włoską, kładzie główny nacisk na udowodnienie z rozmaitych objawień się po śmierci nieśmiertelności duszy. W wieku zeszłym usiłowali nzedowiarkowie wszystkie te objawienia potępić ryczałtem i podać w śmieszność; wiek nasz, w którym spirytyzm tak szerokie zapuścił korzenie właśnie w sercach, gdzie prawdziwa wiara wygasła, musi i powinien być w tej mierze wyrozumialszy. Epoka w której Grzegorz św. pisał swe dyalogi, wymagała też bardziej dotykalnego wdania się ręki Bożej w sprawy ludzkie; cuda, objawienia działać musiały silniej na nieokrzesane umysły Longobardów, Wizygotów lub Swewów, jak najbardziej uczone wymowne rozprawy. Grzegorz św., którego Bóg obdarzył szczególną łaską czynienia cudów, wiedział dobrze, czego się ma w tym względzie trzymać. Czytając dyalogi t. j. rozmowy prowadzone między św. Grzegorzem a powiernikiem jego Piotrem, przenosimy się w dalekie te czasy szczerej wiary, owiewa nas inne jakieś tchnienie pełne prostoty i głębokiego nabożeństwa. Dla tych to głównie zalet *dyalogi* miały od najdawniejszych czasów i mają dziś jeszcze wartość i sławę. Na język grecki tłómaczył je papież św. Zachary-asz, na język saksoński polecił je przełożyć Alfred W., ukazał się nawet przekład arabski, nie mówiąc już o tłómaczeniach na nowożytne języki europejskie.

W języku polskim pierwszym jest przekład obecny, chociaż już przed 300 laty, Skarga na tle dyalogów Grzegorza W. przytaczając nieraz całe ustępy dosłownie, osnuł kilka żywotów Świętych pańskich. Przekład ks. Karczewskiego jest wierny, miejscami nawet za nadto ścisły i stąd niejasny n. p. str. 96 „przyzwawszy jego pana przez córkę z sobą spokrewnionego“ w całości jednak poprawny i udatny. Na końcu obszernej przedmowy, w której zapoznajemy się z życiem i dziełami Grzegorza W. spotykamy się z zachętą do innych jeszcze przekładów najcelniejszych ojców Kościoła. Istotnie, literatura nasza bardzo uboga w tym względzie a za każdą nową

pracę w tym kierunku szczere należy się uznanie i wdzięczność.

S. Z.

Kazania na temat pieśni kościelnych rozłożone na niektóre uroczystości kościelne, opracował *ks. Leon Pastor*, proboszcz w Radymnie. Tomik I. Przemyśl 1884. str. 203.

Jeśli pieśń gminna „stoi na straży — jak mówi poeta — narodowego pamiątek Kościoła„, jeśli jest „arką przymierza między dawnemi i młodszemi laty“: to z niemniejszą słusznością powiedzieć można, że pieśni religijne, najpopularniejsze a najwznioślejsze, stoją poniekąd na straży pamiątek naszej wiary, że są „arką przymierza między dawnymi a młodszymi stany“, że w nich lud składa „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“. Ale jeśli pieśni kościelne tak drogie sercu ludu i tak pouczające, mają wywrzeć cały wpływ, jaki wywrzeć mogą, należy wytłómaczyć ich znaczenie ludowi, zwrócić uwagi na kryjące się w nich nauki i napomnienia. To właśnie wytłómaczenie pieśni kościelnych podjął ks. Pastor w swych kazaniach, a podjął szczęśliwie, bo z uczuciem i popularnie. W wyszłym pierwszym tomiku zawiera się jedynaście kazań na temat różnych pieśni, jak n. p. na temat kolędy: „Bóg się rodzi, moc truchleje“ i innych powszechnie znanych i używanych. Kazania te zwrócone są głównie do ludu; jedno tylko obrobione na tle pieśni ułożonej przez O. Antoniewicza, „O Ty przedwieczny“ ma na celu okazanie istnienia Boga z istnienia zjawisk świata stworzonego i wymaga (jak ostrzega sam autor), bardziej wykształconych słuchaczy. Dlatego właśnie i w tym tylko jednym kazaniu razi nieco styl zbyt poufały i wyrażenia mniej właściwe, niezastósowane do auditoryum, jakie sobie w myśli czytelnik przedstawia. Dowód istnienia Boga z celowości wszystkich rzeczy i porządku między niemi panującego przeprowadzony dobrze choć krótko; za to mniej jasno przedstawia się dowód z „prawa ruchu“ i bodaj czy dla trudności, które łatwoby się mogły nasunąć w umysłach słuchaczy choćby wykształconych, ale nie filozofów, nie lepiejby było dowodu tego zupełnie nie dotykać. Niepotrzebnie także umieścił autor notę w kazaniu *o miłości i skrusze doskonałej*. Zdaniem autora „mówić ludowi że trzeba kochać Boga dla tego, *że on sam w sobie jest najwyższym dobrem* znaczy tyle, co utrudniać mu a prawie uniemożliwić wzbudzenie aktu miłości“ gdyż miłość doskonała nie jest tylko wtenczas gdy Boga *qua summum bonum in se kochamy*“ (Nr 92) bez względu na jego dobroć ku nam ale także dla tego *quia nobis bonus est*. Tymczasem sobór trydencki (de justificatione cap. 6) powiada: *illumque (Deum) tamquam omnis justitiae fontem diligere incipiunt*, to znaczy nawracający się grzesznicy „gdy Boga jako źródło wszelkiej doskonałości czyli sprawiedliwości miłować poczynają“ dając tem wyraźnie do zrozumienia, że niedosyć jest zeznać się grzesznym, bać się sądów bożych, zaufać miłosierdziu bożemu dla zasług Chrystusa Pana, ale że nadto potrzeba miłować Boga jako najwyższą doskonałość, która jest źró-

dłem każdej innej sprawiedliwości czyli świętości. Lud nasz terminologii teologicznej *de amore Dei amicicitiae et concupiscentiae* nie zrozumie, ale to ma pojęcie o Bogu że jest czemsi nieskończenie doskonałem, świętem. A jeżeli każda miłość ludzka opierać się powinna na szacunku i czci, to tem bardziej doskonała miłość Boża opierać się musi na uwielbieniu Jego doskonałości. Ksawery święty wołał *o Deus amem te* nawet wtenczas *etiamsi aeterno cremar igne* — a więc nie dla tego, że im z tą miłością dobrze było, ale że Bóg sam w sobie doskonały. Zresztą kwestya to scholastyczna, nie można zbyć ją krótko w jednej nocie.

Autor zapowiedział dalszy ciąg kazań na tle pieśni pobożnych. Nie będą one bez korzyści, wolelibyśmy jednak — przyznamy to otwarcie — aby wykład ten podany był nie w formie kazań dla kaznodziei, którzy na innych wzorach kształcić się powinni, ale w formie *Czytań ludowych* na wzór *Czytań świątecznych* ks. Antoniewicza — w tysiącach egzemplarzy rozchwytałby je nasz lud a rozczytywał się w nich pilnie, bo znajomość pieśni zaostrzyłaby ochotę czytania. Czy ta myśl nie dałaby się jeszcze wykonać?

S. Z.

Psallite sapienter. Erklärung der Psalmen im Geiste des betrachtenden Gebethes und der Liturgie dem Clerus und dem Volk gewidmet, vom *dr. Maurus Volter* O. S. B. Abt. v. Beuron und Emaus. Vierter Band. Freiburg. Herder 1883. 8. S. 624. m. 6.

Od lat kilku zamieszkali w najstarszym klasztorze benedyktyńskim Emaus w Pradze zreformowani Benedyktyni. Obok bogomyślności oddają się w myśl swojej reguły nauce i sztukom pięknym. Opat tego klasztoru jest autorem obszernego dzieła pełnego erudycyi i głębokiej ascetycznej pobożności. Tytuł dzieła: *Psalite sapienter*, śpiewajcie psalmy mądrze, dowodzi, że celem autora była nietylko naukowa egsegeza, ale uwydatnienie w nich tych szczytnych religijnych myśli i uczuć, które ożywiały psalmistę pańskiego. Tom czwarty tę ma nad inne wyższość, że objaśniane w nim psalmy najczęściej w brewiarzu czyli pacierzach kapłańskich powtarzane. Tom piąty, który niebawem opuści prasę, zawiera komentarze do ostatnich 30 psalmów. Rzecz jasna, że nietylko księża i zakonne osoby do odmawiania brewiarza powołaniem swem obowiązane, ale każdy nawet niechrześcijański ale głębszy umysł znajdzie w dziele uczonego a pobożnego benedyktyna, obfity a pożywny pokarm.

H. A.

Handbuch der katholischen Liturgik von *dr. V. Thalhofer*. I. Bd. Freiburg. Herder 1883. str. 330. m. 4.

W obszernym wstępie str. 1—147 podaje autor pojęcie, znaczenie, podział, źródła i dokładną literaturę liturgiki. Następnie (od str. 148—232) rozprawia o liturgii w ogólności a szczegółowo o teoryi kultu katolickiego, którego naturalną podstawę stwierdza w sposób tak wymowny, że przekonać musi nawet nieprzyjaciół kościoła. Kult katolicki przedstawia się (str. 232—262), jako

wspólna modlitwa głowy i członków i jest najlepszą odpowiedzią na luterskie napaści i na t. zw. mszę prywatną. Pragniemy rychłego ukończenia tego dzieła wielce pożytecznego nietylko dla kleru, zwłaszcza dla księży katechetów, ale i dla świeckich katolików, którzy dla nieznajomości rzeczy nie raz jeden w liturgii św. widzą tylko przestarzałe wiekowi naszemu nieodpowiedne formy nabożeństwa, lekceważą je i zaniedbują. *H. A.*

PRAWO MAŁŻEŃSKIE KATOLICKIE z uwzględnieniem prawa cywilnego obowiązującego w Austryi, Prusach i w Królestwie Polskiem, napisał *ks. Dr. J. Pelczar*, Kraków, 1882. str. 687. CXXXIX.

Prawdziwą sprawia mi przyjemność donieść o wyjściu z druku od dawna upragnionego dzieła, którem ubogą dotąd w tym dziale literaturę polską wzbogacił znany autor „Życia duchownego“, „Ziemi św.“ i trzechtomowej biografii „Piusa IX“.

Wobec dokonanego niemal powszechnie faktu bezwyznaniowości państwa i grasujących w społeczeństwie pojęć liberalnych potrzebna jest kapłanowi wiedza o istocie, konstytucyi, stanowisku społecznem Kościoła, i o jego prawach nieprzedawnionych, jakie mu Chrystus Pan nadał. Jedną cząstkę tejże umiejętności opracował szan. autor w zwyż przytoczonem dziele, w którem na czysto kanonicznych zasadach oparty, uwzględnia nietylko austryackie, ale i pruskie i rosyjskie prawodawstwo i przedstawia wyczerpująco prawa małżeńskie kościoła wschodniego. Przy czem zużytkował troskliwie i z mrówczą pracą, wszystkie wyborowe dzieła starszych i nowszych kanonistów i prawników przeplatając zasady prawne historycznym tychże rozwojem, co niezmiernie ułatwia spamiętanie i zastosowanie pewników prawnych do pojedynczych wypadków.

Plan całego dzieła jednolity łączy ogrom rozprószonego materyału w jednę harmonijną całość, a spis rzeczy (str. CXXI), i alfabetyczny spis przedmiotów (str. CXXXIV) ułatwiają przegląd dając jasny na całość pogląd. Przedmiot opracowany jest w 11 rozdziałach, do których dodane są formularze (str. XXXII), a od str. XLVI. Konstytucye i Instrukcye Stolicy Apostolskiej tyczące się małżeństwa, który to zbiór jest nieoszacowaną autora zasługą a ogromną korzyść przynosi kapłanom pozbawionym na parafii bibliotek i specyalnych w tej gałęzi dzieł lub prac źródłowych. Treści dzieła podawać nie myślę, gdyż napis sam poucza, że autor mówi o małżeństwie w ogólności, o zaręczynach, o egzaminie przedślubnym, o zapowiedziach, o przeszkodach małżeńskich kanonicznych i cywilnych, które razem zestawia i różnicę wykazuje; o zawarciu, konwalidacyi i rozłączeniu małżeństwa, a wreszcie o postępowaniu sądowem, który to rozdział na wskróś praktyczny, ułatwi członkom sądu małżeńskiego duchownego i proboszczom ową żmudną pracę, która dla braku dziełka o temże postępowaniu wyczerpująco traktującego, na wiele trudów ich narażała.

Tak dobry towar sam się poleca; podnieść jednak muszę treściwe a jędrne i potoczyste wy-

słowienie i przedstawienie rzeczy, czystość języka, głęboką wiedzę, i pracę poważną, a nie po dyletancku przedsięwziętą. Dalej, ponieważ ustawodawstwo austryackie małżeńskie obowiązujące przed konkordatem z dnia 18 sierpnia 1885 jest uwzględnione (str. 23), czytelnik pozna ogromną różnicę, jaka zachodziła między owem a później przez konkordat zaprowadzonem ustawodawstwem. Ponieważ zaś później przez prawo z dnia 25 maja 1868. Konkordat, o ile się odnosił do spraw małżeńskich katolików, został ze strony państwa zniesiony, a władza sądownicza nad małżeństwami katolików przekazana urzędom świeckim, dzieło to i dlatego jeszcze jest wielkiej dla czytelnika wartości, albowiem przedstawia ono najnowsze prawodawstwo i rozporządzenia rządowe i poucza, jak ma postąpić proboszcz w wypadku kolizyi prawa kościelnego i cywilnego (str. 41). Wielką korzyść przyniesie nauka o małżeństwach zawieranych przez wojskowych (str. XXV) i o małżeństwach z konieczności (str. 38).

Pozwolimy atoli sobie zwrócić uwagę i na niektóre braki. Tak lepszem by było mojem zdaniem wyrażenie (str. 9) „porządne złączenie“, jak małżeństwo zowie Karnkowski, aniżeli „prawowity związek“. Określenie małżeństwa jest jak sądzę niejasne i niedostateczne.

Na str. 211 nie wyraził autor swego zapatrywania, czyli się przechyla do twierdzenia, Schmalzgrubera, ks. 4. n. 45; św. Alfonsa, VI, 470 i Benedykta XIV. de synodo dioec. ks. 8. r. 13, że pokrewieństwo w I. stopniu linii ubocznej wypływa z prawa nadanego czy z prawa przyrodzonego (str. 299), chociaż na to zgadzają się przeważnie teologowie, z których Van-Espen, J. E. U. par. 2 tit. 13. cap. 9. n. 10: „*Merito hoc impedimentum non soli iuri positivo, sed naturali adscribendum*“ czytelnikom zaś rozchodzi się o sąd autora, który gruntownie pewną rzecz opracowuje.

Należało też dodać na str. 300. al. 3., iż nietylko „druga strona“, ale wogóle nikt inny oprócz strony pokrzywdzonej nie może wnieść zaskarzenia o unieważnienie małżeństwa. Na str. 366 wspomina autor o zatargach A. B. Dunina z rządem pruskim, a wieleby przedmiot zyskał, gdyby przytoczono treść okólnika tegoż prymasa wydanego do duchowieństwa archid. Gniezn. Poznań. z dnia 30 stycznia 1838 i z 27 lutego 1838; i podano prawidła postępowania w sprawach małżeństw mieszanych w księstwie Poznańskiem, które zebrał X. Edward Likowski. Spodziewaliśmy się, iż szan. autor przytoczy nam orzeczenie najwyższego trybunału państw z r. 1877 i orzeczenie ministerstwa spraw wewn. z 22 października 1879 co do tak zwanych „małżeństw siedmiogrodzkich“; nadto, iż przytoczy orzeczenie najwyższego trybunału państw. w Wiedniu z dnia 8 czerwca 1881, według którego święcenia wyższe są i obecnie przeszkodą małżeństwo unieważniającą.

Nie zgadzam się z zapatrywaniem autora, jakoby biskup władzy nadzwyczajnej nie mógł używać w nagłej potrzebie i pro foro externo (str. 427 6) i dalej, jakoby z adopcyi niezupełnej według prawa austryackiego nie powstawała przeszkoda do zawarcia małżeństwa.

Kończąc, dziękuję szan. autorowi w imieniu bardzo wielu, za żmudną pracę jego, która jako na źródłach oparta; szczegółowo opracowana i przedmiot wyczerpująca na długo pozostanie w rękach młodzieży kształcącej się i starszych kapłanów; i może zachęci innych, aby pole literatury naszej odłogiem leżące pilniej uprawiali i stanęli tam, gdzie chlubna przeszłość nam stać nakazuje.

Ks. dr. Kopyciński.

O tem cennem dziele umieścimy niebawem szerszą recenzyą. (Przyp. Red).

Z dzieł historycznych.

Donau Bulgarien und der Balkan. Historisch-geographisch-ethnographische Reisestudien aus den Jahren 1860—1879, in 3 Bänden. Zweite Auflage mit sehr zahlreichen Illustrationen in Texte von *F. Kanitz*. Leipzig. Rengers'che Buchhandlung 1882.

Dzieło to godne polecenia jako owoc poważnych studyów autora, który przez kilka lat zwiedzał pilnie wszystkie miejscowości krajów naddunajskich, rozpatrywał się we wszelkich stosunkach życia społecznego Bulgarów badał i rozpoznawał z zamiłowaniem ich zwyczaje i obyczaje, a umiał systematycznie w jednej organicznej całości zestawić wszelkie spostrzeżenia swoje. W czasach odrodzenia Słowian południowych, między którymi Bulgarzy wybitne zajmują stanowisko, to obszerne i umiejętnie opracowane dzieło, zasługuje na szczególną uwagę, i jako jedno z najlepszych w swoim rodzaju dzieł źródłowych uważane być może.

Przyczynek do dziejów Pawła z Przemankowa *Ulanowski B.* Kraków 1883 str. 28 (Osobne odbicie z Rozpraw Akademii Umiejętności t. XVII.

Przekleństwo kilkunastu pokoleń cięży na następcy błogosławionego Prandoty. Wobec strasznych zbrodni przypisywanych biskupowi Pawłowi przez Długosza — nikt się nie poważył choćby słówko wyrzec na jego usprawiedliwienie. W jedynej monografii o Pawle z Przemankowa, napisanej przez zasłużonego badacza A. hr. Przeździeckiego, dobrane są najciemniejsze barwy do skreślenia tej postaci, jakby stworzonej na to, aby szatanowi a nie Bogu służyła. Minęło kilkanaście lat od ukazania się pracy Przeździeckiego. Znalazły się źródła rzucające nowe światło na ówczesne stosunki, zmieniła się także metoda badania, która rozporządza znacznym zasobem środków prowadzących do wykrycia prawdy, i nie ufa już bezwarunkowo źródłom, które ręką ludzką kreślone, niemogą rościć pretensyi do nieomylności. Praca pana Ulanowskiego jest pierwszą miną, podłożoną pod posąg Pawła ręką Długosza okuty i zapowiedzią lepszej o tym biskupie opinii dziejowej.

Autor nie zamierzył przedsta-

wić dziejów Pawła z Przemankowa, które jak słusznie zauważył, tylko w związku z dziejami Polski w owym czasie dadzą się dokładnie opracować; chce on tylko rozprawką swą przeszkodzić, aby błąd *o dwukrotnem uwięzieniu* Pawła w roku 1271 i 1283)[1] w opracowaniach historycznych i w dziełach literackich nie został powtórzony.

Udowodnił on w sposób zupełnie przekonywujący, że wszystkie szczegóły o karogodnych czynach biskupa i o uwięzieniu jego, podane przez Długosza p. r. 1271 pochodzą z katalogu biskupów krakowskich (kod. IV) i z Rocznika świętokrzyskiego. Ponieważ źródła te (wydane niedawno w trzecim tomie *Pomników dziejowych Polski*) niepodają daty tego zajścia, w Roczniku zaś kapitulnym znalazł Długosz p. r. 1271. zapiskę o nieporozumieniach zaszłych między biskupem a Bolesławem, połączył takową z opowiadaniem obu powyższych źródeł.

Nie można Długoszowi czynić zarzutu, że kombinacye te w złej myśli stworzył: przeciwnie — uprawniała go do takiego przedstawienia ta okoliczność, że tak w katalogu biskupów krakowskich jak i w Roczniku świętokrzyskim wymieniony jest wyraźnie Bolesław jako sprawca tego zamachu. Za pomocą analizy obu tych źródeł stara się autor wyjaśnić w jaki sposób wydarzenie to przeniesionem zostało w czasy Bolesława. Rocznik kapitulny i Traski, bulla papieża Marcina IV. z r. 1283 i dwa dokumenta Leszka z r. 1284 i 1286 służą autorowi jako materyał dowodowy. Rezultaty tej analizy są następujące: 1) Wiadomości i szczegóły, które z katalogu biskupów krak. do życia Pawła z Przemankowa czerpiemy, nietylko, że są niedokładne, ale nawet w części fałszywe, i o tyle tylko do użytku historycznego przydatne o ile możemy je pogodzić je z źródłami mającemi niewątpliwą wartość. 2) Odnośny ustęp w Roczniku świętokrzyskim powstał z trzech źródeł: a) z Rocznika krótkiego, b) z zapiski (nieznanej), w której fakt uwięzienia Pawła pod właściwą umieszczony był datą, c) z tradycyi o rodzie Toporczyków. 3) Autor katalogu korzystał z Rocznika swiętokrzyskiego.

Cały ten jednak wywód autora musimy uznać tylko jako hipotezę wprawdzie misternie zbudowaną, ale na kruchych podstawach. Gdyby bowiem możebnem było, że fakt uwięzienia Pawła przeszedł do Rocznika świętokrzyskiego z zapiski, która p. r. 1283 o tem zdarzeniu wspominała, gdyby także możliwem było przypuszczenie, że autor katalogu bezpośrednio korzystał z Rocznika świętokrzyskiego, w takim razie niepotrzebowalibyśmy już żadnych więcej dowodów, że data uwięzienia biskupa, podana przez Długosza jest fałszywa. Jakże bowiem pogodzić datę owej nieznanej zapiski z twierdzeniem, że Bolesław był sprawcą zamachu, który w r. 1279 umarł, o czem wszystkie prawie wspominały roczniki, co też i autorowi tej zapiski musiałoby być wiadomem. Na bezpo-

[1] Rok 1289, w którym Paweł znowu był uwięziony nie wchodzi w zakres rozprawki p. Ulanowskiego.

średnie korzystanie autora katalogu z Rocznika także się trudno w zupełności godzić, bo różnica w szczegółach opowiedzianych w obu tych źródłach większa jest, aniżeli ich zgodność. Dr Kętrzyński przytacza w rozprawie o Roczniku świętokrzyskim kilka ustępów, które wprost odwrotny mają dowodzić stosunek obu tych źródeł t. j. że autor Rocznika czerpał z katalogu. Ale i na ten wynik zgodzić się niemożemy bo znajdujemy tyle faktów w katalogu, które się także w roczniku przechowały, a jednak zupełnie inaczej są przedstawione (n. p. najazd Tatarów z r. 1241). Na podstawie jednego a nawet kilku zgodnych faktów w dwóch źródłach się znajdujących, niemożna jeszcze stanowczo orzekać o wzajemnem ich stosunku do siebie, tem mniej o bezpośredniej zależności; co najwięcej można tylko przypuszczać, że niektóre wiadomości w obu przechowane pomnikach z wspólnego pochodzą źródła. Ani rocznik świętokrzyski, ani katalog sam przez się nie może posłużyć do wyjaśnienia kwestyi czasu, w którym Paweł z Przemankowa został uwięziony.

Jeśli jednak szczegóły w źródłach tych zawarte, porównamy z źródłami współczesnemi, których wiarogodność żadnej nie ulega wątpliwości, musimy wspólnie z autorem przyjść do przekonania, że się nie tylko do r. 1283 odnosić mogą. — Musimy zwrócić jeszcze uwagę na jedną okoliczność pominiętą przez autora. Kombinując wiadomości Rocznika kapitulnego (że ugoda zawartą została w r. 1241 in Quadragesima) z wiadomościami Rocznika świętokrzyskiego, (że miesiąc cały więziono biskupa) oznacza Długosz dokładnie czas trwania niewoli biskupiej tj. od 22 stycznia do 22 lutego, w tym bowiem dniu przypadała w r. 1271 niedziela „Quadragesima". Że jednak kombinacya ta jest mylna, dowodzi dokument wydany 3 lutego 1271 r. przez biskupa w Krakowie wobec kapituły (Piekosiński: kod. kat. str. 93); jesto zdaje mi się nowy dowód, że między zapiską w Roczniku kapitulnym i świętokrzyskim niemożna żadnego przypuszczać związku.

Jakkolwiek więc w niektórych szczegółach dotyczących interpretacyi źródeł, niemożemy autorowi przyznać słuszności — nie odmawiamy mu jednak zasługi, że usunął raz na zawsze jednę fałszywą datę z dziejów naszych i udowodnił, że podstawa na jakiej się Długosz oparł, bardzo jest krucha. — Zdrajcą pozostał jednak Paweł z Przemankowa i po pracy p. Ulanowskiego, który niechce być sędzią czynów biskupa i poprzestaje tylko na osiągniętym rezultacie. Nie czynimy z tego powodu autorowi żadnego zarzutu, chociaż przekonani jesteśmy, że na podstawie współczesnych źródeł wykazać można, iż nie był biskup Paweł tak czarnym jak go Długosz odmalował.

Dr Semkowicz.

Sborník Velehradsky. Red. *Josef Vykydal*, děkan a farař Velehradě. Roč. I. 1880 v Brně; Roč. II 1881 v Praze; Roč III, 1883 v Praze.

Welehrad był gniazdem Mojmirowiczów morawskich. Rościsław zabezpieczywszy miasto silnymi murami przed napadem Niemców, sprowadził do kraju swego Cy-

ryla i Metodego, którzy znając język mieszkańców i świątobliwy wiodąc żywot pociągali do wiary Chrystusowej pogańskich jeszcze Słowian. Święci Apostołowie słowiańscy, wedle podania, obrali sobie Welehrad za punkt środkowy swej działalności, stąd robili wycieczki do pobratymczych plemion czeskich, polskich i ruskich. Na Welehradzie miał panować zdradziecki Świętopełk, tutaj miał być ochrzczony książę czeski Borzywoj i żona jego św. Ludmiła od metropolity morawskiego S. Metodego (Dr. Herm. Jireček. Slov. pravo), który stąd również d. 6 kwietnia 885 roku przeniósł się do błogosławionej wieczności. Roku 906 Madiary zburzyli Welehrad i koniec położyli państwu morawskiemu. W r. 1189 margrabia morawski Władysław Jindřich założył na dawnym Welehradzie klasztor Cystersów i hojnie go uposażył, brat jego Przemysław Otokar, król czeski, zatwierdził przywileje klasztoru w r. 1202 i 1228. Zamożne opactwo istniało pięć wieków, Józef II. jak gdzieindziej tak i tu przyłożył swą rękę, Cystersi istnieć przestali, klasztor i kościół poszły w ruinę, chociaż ostatni opat Filip, według oryginalnego wykazu (ob. V. Brandl. Sam. arch. str. 306) w samej gotówce zostawił 147.041 złr. oprócz drogocennych sprzętów kościelnych oprócz licznego inwentarza, pełnych spichrzów i piwnic, samego wina zostało 12.800 wiader. Co się z tem wszystkiem stało? co się stało z biblioteką? Dr. Fran. Krysztufek poucza nas: „Drogocenne rękopisy sprzedawano na wagę, do obwijania sera. Całe biblioteki sprzedawano za bezcen; złote i srebrne naczynia przechodziły w ręce żydowskie. Cały wóz książek, pochodzących z bibliotek klasztornych za złoty lub dwa sprzedawano. To sam słyszałem od tych, którzy całymi wozami te książki kupowali“. Skrzętny zbieracz starożytności węgierskich, Mikołaj Jankowicz, który cały swój zbiór odstąpił do muzeum narodowego za 300.000 złr. przyznał się hr. Majlathowi, iż największą i najcenniejszą jego część nabył od żydów, a pochodziła ze skasowanych klasztorów. (Czas. kat. duch. 1874, str. 179—180). Jakich dopuszczali się nadużyć komisarze rządowi można wnosić ze zdarzenia, które podaje X. J. Vychodil (Sbor. Veleh. A. II, str. 59). Działo się to w Wiedniu: o kilka kroków od pałacu cesarskiego stał klasztor Königskloster, skasowane go; cesarz Józef kazał sobie przedstawić stan majątku poklasztornego i z wielkiem zdziwieniem ujrzał, iż cały majątek tak ruchomy jak nieruchomy oceniony został na 36000 złr. wtenczas, kiedy on w swem ręku posiadał pokwitowanie złotnika wiedeńskiego Holbeina, z otrzymanych, kilku dni przed zamknięciem, 50000 złr. za dostawioną monstrancyą!

Proboszczem w Welehradzie został w r. 1785 Konrad Vesely, na utrzymanie swoje dostawał 40 krajcarów dziennie; na owe czasy sam mógł się utrzymać, ale nie było utrzymać z czego ani budynków klasztornych ani kościoła. Fundusz religijny nie był hojnym w udzielaniu pomocy, łatano tylko biedę, całość groziła zupełnym upadkiem. Lud okoliczny odbywał jeszcze po staremu piel-

grzymki do miejsca, skąd jego ojcowie otrzymywali pierwsze światło wiary, ale brak duchowieństwa nie mógł zaradzić potrzebie wiernych; proboszcz, wikary i kilku OO. Franciszkanów, którzy z Hradyszcza węgierskiego chętnie z pomocą przybywali, jakie usługi oddać mogli kilku dziesiątkom tysięcy pątników ze wszech stron napływających! A były jeszcze inne przeszkody. Cesarz Józef II uważał za stosowne patentem z dnia 22 sierpnia 1784 przepisać porządek nabożeństwa dla Morawy. Wszystko było tam drobiazgowo wyszczególnione: kiedy ma być kazanie, ile mszy św. z błogosławieństwem, jakie mają być odmawiane litanie, jakim sposobem ma się odbywać procesya na Boże Ciało i t. d. „Wszystkie nabożeństwa, modlitwy, kazania, (mówi Dr Krysztůfek w Czas. kat. duch. 1874 r. str. 123—124) które nie były wymienione w powyższym patencie były zakazane, żaden biskup ani kapłan nie śmiał wprowadzać albo zapowiadać innego nabożeństwa. W dalszych rozporządzeniach zniesiono wszystkie procesye, z wyjątkiem na św. Marka, na Boże Ciało i jeszcze w dwa inne dni uroczyste. Wolno było biskupowi urządzać procesye i nabożeństwa błagalne o deszcz i urodzaj, ale za każdym razem musiał zawiadomić i żądać na to osobnego pozwolenia władzy administracyjnej. Surowo zakazanem było noszenie obrazów na procesyach, a również podawanie relikwij do całowania...“ Same prawa majowe „żelaznego kanclerza“ blędną wobec tych i im podobnych przepisów „zakrystiana“, są one jednak drogą pamiątką dla centralistów wiedeńskich i dopóki ci ostatni byli przy władzy, w imię liberalizmu z całą, wytrwałoscią je utrzymywali.

Nadszedł nareszcie czas, iż Morawianie zaczęli myśleć o sobie. W r. 1860 X. Molitor proboszcz welehradzki wydał w „Hłasie“ odezwę o składki na przyozdobienie świątyni. Ofiary popłynęły obficie; bogaci i ubodzy brali w nich udział. Kapłani związani w stowarzyszenie pod nazwą „Koruny Solańskiej“ przyrzekli odprawiać corocznie pewną liczbę mszy św. za dobrodziejów: panie morawskie Belcredi-Nosticowa, Kaunic-Thunowa, Antonina Prażakowa, Bożena Helceletowa... w „Maticy Velehradzkiej“, założonej w Bernie, zobowiązały się do zbierania darów, Czesi zamierzali postawić ołtarz Ś. Wacława, Polacy zaś Ś. Wojciecha, wreszcie postanowiono obchodzić uroczyście tysiącoletnią pamiątkę założenia przez SS. Apostołów Słowiańskich, stolicy biskupiej w Welehradzie.

W czerwcu r. 1863 zaczęli napływać do Welehradu pątnicy słowiańscy z różnych krajów, właściwa jednak uroczystość zaczęła się dopiero 5 lipca i trwała przez całą oktawę. Morawianie, Czesi, Słowacy, Ślązacy, Słoweńcy, Horwaci, Łużyczanie, zwyczajnie kompaniami, mającemi na czele swych kapłanów, tłumnie brali w tym obchodzie udział. Polacy zawikłani podówczas w nieszczęścia domowe, nie stanęli obok swych braci. Ślązacy jedynie, pobożnością swoją, godnie ich tam przedstawiali. Bywały dnie, w których Welehrad liczył duchownych na setki jedności, a na setki tysięcy pątników; ludy, których dziejo-

we wypadki rozproszyły po brzegach Wisły, Wagi, Odry, Łaby, Mołdawy, Sawy, Drawy, Dunaju i Adryatyku, skupione i zjednoczone około ołtarza welehradzkiego dawały świadectwo jedności szczepowej, budziły nadzieję przyszłej spójni. Wiekowy rozbrat uwidoczniał się dopiero podczas kazań, podzieleni na grupy słuchali nauk w macierzystych narzeczach. Polskie kazanie miał X. Źmijka, kapłan frysztacki; ogłoszone ono było drukiem w Opawie pod tytułem: „Mowa na tysiącoletnią rocznicę zaprowadzenia chrześcijaństwa do ziem słowiańskich, miana w Welehradzie d. 5 lipca 1863 r. do pątników śląsko-polskich". W tymże samym czasie obchodzono tę uroczystość po różnych miastach Moraw, Czech, Horwacyi a nawet u Słoweńców.

Rok 1863 był nową erą dla Welehradu; pierwsza słowiańska stolica biskupia, jak była niegdyś ogniskiem promieniejącem wiarę chrześcijańską na sąsiednie plemiona, tak teraz postanowiła być ogniskiem skupiającem nienormalnie rozstrzelone jej promienie: sprowadzić je na mogiłę Ś. Metodego, ogrzać ciepłem, które tli w prawdziwym Zniczu, uwzględniając dziejowy rozwój każdego z nich, zespolić ich miłością bratnią, bez zbijania w bezkształtną masę — oto co zamierzał X. Vydykal wydawaniem „Sbornika Velehradzkiego". Autorowie tak duchowni jak świeccy, pośpieszyli umieścić w tem piśmie wszystko co się dało zebrać o ŚŚ. Apostołach Słowiańskich, pod względem historycznym, dogmatycznym, liturgicznym i archeologicznym, aby oznajomić braci Słowian z przedmiotem i przygotować ich do obchodu w r. 1885 tysiącznej rocznicy śmierci S. Metodego. Oddawna robią się zabiegi i przygotowania w tym kierunku, wiemy że i u nas poczyniono już niejakie kroki, jest nadzieja, że miejsce, które nam wyznaczono na Welehradzie, tą razą nie będzie opróżnione, lecz wartoby żebyśmy tam nie przybyli z próżnemi rękoma. Dobrzeby było, abyśmy do materyałów nagromadzonych przez innych braci Słowian, dołożyli i swój własny; mają prawo żądać od nas tego inni Słowianie, ciąży nadto na nas święty dziejowy obowiązek. Czy są jakie pomniki historyczne i gdzie, po ŚŚ. Apostołach na naszej ziemi?; chętnie przyjmiemy i umieścimy w piśmie naszem wszystko, co się odnosi do tego przedmiotu, tembardziej, że to może stanowić zarazem potrzebny materyał do wyjaśnienia pierwotnych dziejów wiary chrześcijańskiej u nas, brak którego, niepozwolił dotąd odsłonić wiekowego ich całunu. *W. Z.*

Z dzieł literackich.

Dzieła wszystkie *Jana Kochanowskiego*. Wydanie pomnikowe. Tom pierwszy. W Warszawie w drukarni J. Ungra 1884 in 4⁰ str. 382.

Warszawa tym razem uprze-

dziła akademicki Kraków podjęciem wydania pomnikowego dzieł Jana Kochanowskiego. Zawiązał się tam już od roku komitet pod przewodnictwem hr. Konstantego Przeździeckiego, w którego skład weszli prof. Józef Przyborowski, Ludwik Jenike, Adam Krysicki, Roman Plenkiewicz i Tadeusz Włoszek. Niebawem objawiła się ofiarność pieniężna kilkunastu możniejszych mecenasów i ofiarność pracy wielu filologów i znawców literatury, co do opracowania poszczególnych dzieł Kochanowskiego z porównania różnych wydań. Pierwszy tom pomnikowego wydania ukazał się już przed paru miesiącami. Na czele zdobi go portret poety z Czarnolesia według przechowanego w Zwoleniu jedynego znanego wizerunku. Przedmowa podpisana przez członków komitetu jest naukowym programem wydawnictwa: dzieła poety zapełnią trzy tomy, a czwarty obejmować będzie szereg naukowych rozpraw, podających rezultaty zbiorowych badań nad językiem, formą wiersza, bogactwem słów i t. p. wielkiego poety złotego wieku.

Zadziwia nas nieco, że wydawcy w przedmowie i przypisach przyjęli pisownię używaną dawniej przez Lelewela a rozwiniętą przez znanego filologa Malinowskiego, że piszą podwójne *i* tam, gdzie gla ogółu piszących i dla wzorowych autorów wystarczało wybornie krótkie *i*.

„Psałterz Dawidów“ przekładania Jana Kochanowskiego słusznie pierwsze zajął miejsce w pomnikowem wydaniu. Nigdzie bogatszym nie jest język Kochanowskiego, ani wznioślejszym polot jego myśli. We wszystkiem innem jest on dzieckiem wieku, wychowańcem włoskiego odrodzenia, naśladowcą poetów humanistów. Wszędzie przebija pewna siła indywidualna i często pierwiastki rodzinne; humor szlachecki, polskie uczucie, sielankowość i rzewność — ale zarówno w trenach, jak w pieśniach i żywotnych fraszkach, w satyrze i odprawie posłów greckich— Kochanowski jest poetą nieprzechodzącym po za formy szkoły i epoki. W jednych tylko Psalmach Dawidowych wyzwolił się z ducha wieku, pieśń wyrywa się w górę do Boga jak strzelają linie i łuki gotyku. Dlatego, choć dziś już wiele rzeczy Kochanowskiego zrozumieją i ocenią należycie tylko uczeni, — to Psalmy pozostają żywą modlitwą w ustach ogółu, której żadne inne tłómaczenie nie zastąpi. Jak „Żywoty Świętych Pańskich“ Skargi pozostaną na zawsze w kościele niezrównanym pomnikiem literatury i języka polskiego, tak równorzędnym mu arcydziełem jest Psałterz Dawidowy Kochanowskiego.

Wydawcy dodali kilka Psalmów z muzyką słynnego Gomółki, przełożoną na dzisiejszy klucz przez Aleksandra Polińskiego — między innymi znajdujemy tutaj ten wspaniały psalm *super flumina Babilonis* i ów psalm pokutny: *Domine clamavi ad te, exaudi me.*

Po Psalmach następują pieśni Dawida; zastępuje tu Horacy, którego mamy tutaj albo tłumaczenia albo naśladownictwa, ale w jednych i w drugich indywidualność naszego poety niezatarta, wybłyska co chwila pewną działalnością i zwrotem do spraw własnego narodu.

Każda pieśń zaopatrzona szeregiem przypisków, dających objaśnienia językowe lub objaśnienia samej treści. Zewnętrzność typograficzna niezostawia nic do życzenia.

Zgoła sądząc z pierwszego tomu wydanie dzieł Jana Kochanowskiego zasługuje ze wszech miar na nazwę „wydania pomnikowego".

W związku z tą pomnikową publikacyą stoi odezwa komitetu, który z łona Akademii się zorganizował i ułożył program zjazdu imienia Jana Kochanowskiego. Na jak szeroką skalę rozwija się dziś badanie literatury złotego wieku najlepiej dowodzą naznaczone tezy, które będą przedmiotem wykładów i literackiej dyskusyi. Odezwę tę ogłosiły dzienniki, więc jej nie powtarzamy.

L. D.

SPRAWOZDANIE z czynności Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego z roku 1883. Poznań 1884, str. 55 i 115.

Sprawozdanie niniejsze zaznajamiając nas bliżej z szlachetną a wytrwałą pracą Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wielkopolsce przejmuje prawdziwą pociechą, zwłaszcza jeżeli się zważy na szczupłe środki jakimi rozrządza. W ciągu ubiegłego roku zwrócił Zarząd główne starania na dopełnienia katalogu biblioteki. Wydano drukowany katalog dubletów (1200 dzieł) i przedsięwzięto sporządzić i wydrukować dokładny spis rękopisów. Biblioteka wzrosła w pierwszem półroczu o 995 dzieł z darów prywatnych, w drugiem półroczu o 924 dzieł. Oprócz tego przybyło do zbiorów wiele rycin, numizmatów, przedmiotów archeologicznych i pamiątkowych. Wydział historyczno-literacki odbył roku przeszłego piętnaście posiedzeń pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa Stanisława Koźmiana; wydział przyrodniczy odbył posiedzeń dziesięć; wydział lekarski posiedzeń dziewięć.

Do sprawozdania dołączony jest odczyt prezesa Towarzystwa „O Zbytku" a w drugiej odrębnej części „Spis map geograficznych w zbiorach Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego" ułożony przez E. Callier. Różnych map całej Polski dawniejszych i nowszych posiada Towarzystwo 118 oprócz wielu map pojedynczych prowincyj polskich, planów miast i bitew razem około 180. Map krajów obcych i atlasów jest 200.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Z Wiednia. Kwestya socyalna, która świeżo we Francyi, w Anglii i w Niemczech wszystkie inne kwestye z porządku dziennego wyparła i baczną na się zwróciła uwagę wszystkich mężów stanu, przeszła u nas w Austryi w ostatnich dniach w skutek ważnego oświadczenia hr. Taaffego w nowe stadyum. W części ostatniej swojego przemówienia o urządzeniach wyjątkowych rzekł hr. Taaffe: „Te postanowienia... są konieczne, jeżeli mamy zabezpieczyć spokojnego obywatela od bezrządu, mordu i pożogi, jeżeli mu mamy zapewnić bezpieczeństwo osobiste. Rząd jednak nie ma wcale zamiaru postanowieniami temi leczyć społeczeństwo z socyalizmu. Do tego celu obmyśla rząd zupełnie inne środki, pracując teraz wiele nad kwestyą robotniczą i wszystkiem, co z nią stoi w związku. Ważnym w tym kierunku projektem rządu jest przedłożona już Wys. Izbie ustawa o zabezpieczeniu robotników dotkniętych kalectwem (Unfalls-Versicherung-Gesetz). Niech mi będzie wolno zakończyć prośbą o przyjęcie tej ustawy".

Oświadczenie to przynosi zaszczyt ministrowi, który postawił sobie za program pogodzenie narodowości.

Do niedawnego czasu tylko konserwatyści katolicy, w dobrem rozumieniu obowiązków, jakie na nich wkłada moralność chrześcijańska, dążyli do gruntownej reformy istniejących stosunków społecznych. Nie wspominamy o usiłowaniach demokratów socyalnych, gdyż ci rekrutują się prawie wyłącznie z najniższych warstw ludności, pozbawionych prawa wyboru i wszelkiego wpływu politycznego.

Drobni rękodzielnicy i chłopi zanieśli także do rządu wołanie o ratunek od ruiny, nad której brzegiem postawiła ich gospodarka liberalnych rządów; domagali się oni uregulowania i zapewnienia gospodarskich stosunków; wyprawiali deputacye i adresy do cesarza, rządu i parlamentu; rząd uznał, że te prośby są uzasadnione, przyrzekł pomoc, ale na obietnicy się skończyło.

Stan rzemieślniczy cieszył się dawniej w Austryi znośnym dobrobytem; ale odkąd uchwalono wolność zarobkowania, odkąd wielkich kapitalistów przedsiębiorstwa fabryczne wzrosły do rozmiarów niebywałych, odtąd konkurencya prywatnych rzemieślników, nie połączonych z sobą żadną spójnią, stała się wprost niemożliwą i potrzeba było przynieść mu szybką pomoc, jeżeli ten stan tyle ważny w organizmie społecznem nie miał stać się proletaryatem. To też coraz usilniej domagał się on tej pomocy, na licznych zgromadzeniach, wotując petycye do rządu o ograniczenie i zniesienie wszystkich tych wolności, któremi liberalizm pozbawił rzemieślników chleba. Rezultatem tych zabiegów i wołań była nowela przemysłowa zeszłej jeszcze zimy przez radę państwa uchwalona, a w jesieni wprowadzona w życie.

Nowela ta miała przedewszystkiem na celu zaprowadzić zbawienne ograniczenia t. z. wolnej konkurencyi, dla obrony rzemieślników, oraz obmyśleć środki połączenia ich działań dla wspólnej korzyści. Rękodzielnikom wielką przynosili szkodę ci, co rozporządzając wielkimi kapitałami i korzystając z kredytu zakładali wielkie warsztaty, nie znając sami rzemiosła, a w warsztatach tych utrzymywali wielką ilość robotników pod nadzorem przyjętych na ten cel majstrów. Płacili ich bardzo skąpo, a tylko tak długo, jak długo przedsiębiorstwo przynosiło zyski, skoro te ustawały, rozpuszczali swoich robotników, a brali się do innego przedsiębiorstwa. Tym sposobem niektórzy kapitaliści byli z kolei przedsiębiorcami warsztatów szewskich, krawieckich, stolarskich itd., z każdego przedsiębiorstwa wielkie ciągnęli zyski, a wielką ilość zdolnych i wyćwiczonych rzemieślników każdego fachu przyprawiali o kij żebraczy. Mając bowiem na swe usługi kapitał i kredyt, mogli łatwo w swych warsztatach zaprowadzić wszelkie możliwe ulepszenia i maszyny, a tem samem wyrabiany w nich towar oddawać za cenę niższą, jedno i drugie dla pry-

watnych rękodzielników było rzeczą wprost niepodobną. Cierpiał na tem i sam przemysł i rękodzieła, wielcy bowiem fabrykanci mało się troszczyli o jakość wyrabianego w ich fabrykach towaru; chodziło im głównie o ilość, gdyż tylko wielkie masy sprzedanego towaru przynosiły zysk obfity, a w dodatku pracujących u siebie rzemieślników płacili gorzej, jak przemysłowcy prywatni. Taki stan rzeczy groził ruiną samodzielnemu rękodzielnictwu miast i miasteczek, a przecież właśnie ci ludzie dostarczyć powinni skarbowi państwa sporo dochodowego podatku, armii zaś znacznego kontyngensu wojowników. Natomiast wytwarzali fabrykanci kapitaliści wielką ilość rzemieślników, którzy ani nie płacili podatków, ani powinności wojskowej zadosyćuczynić nie byli w stanie, a widząc i czując się być wyzyskiwanymi bez litości, niewolnikami prawie swoich chlebodawców, popadali w stan nerwowego rozdrażnienia, niezadowolenia, i tak wyrabiał się z nich powoli niebezpieczny żywioł w państwie. Temu złemu ma tedy zaradzić paragraf ustawy przemysłowej żądający, aby każdy rękodzielnik, każdy przedsiębiorca wielkiegn warsztatu czyli fabryki, wykazał się uzdolnieniem do prowadzenia swego rzemiosła. Kto chce prowadzić samodzielnie pewne rzemiosło, musi wykazać, że się go jako uczeń u majstra, albo jako kilkoletni uczeń szkoły przemysłowej dostatecznie wyuczył i kilka lat jako czeladnik pracował, że przeto posiada uzdolnienie do prowadzenia tego rzemiosła i do uczenia innych tegoż; przepis ten jednak, tak zresztą rozumny i zbawienny nie dotyczy obecnie istniejących wielkich przedsiębiorców kapitalistów, zapobiega złemu na przyszłość daj Boże by skutecznie; bo cóż łatwiejszego w praktyce jak go ominąć zmianą firmy, albo zasłonieniem swego przedsiębiorstwa nazwiskiem patentowanego rękodzielnika, któremu się za to pożyczenie swej nazwy dobrze zapłaci. Nowela przemysłowa ustanawia dalej, żeby rękodzielnicy tego samego lub podobnego zawodu, czyli fachu, albo też mieszkający w jednym okręgu łączyli się w stowarzyszenia, na kształt dawnych cechów, obierali sobie przewodniczącego, jak dawniej cechmistrza i sędziów polubownych którzyby ich spory załatwiali, aby odbywali narady wspólne, i zakładali magazyny surowych materyałów. Czeladnicy mają głos doradczy w stowarzyszeniu, zresztą stanowisko ich nie jest bliżej

określone. O facnowem wykształceniu terminatorów, decyduje stowarzyszenie, ono też oznacza, albo ogranicza liczbę uczniów, których jeden majster albo przedsiębiorca warsztatu przyjąć może. Dotychczas bowiem bywało nierzadko, że majstrowie przyjmowali bardzo niewielu czeladników, sporą za to liczbę uczniów, których licho opłacając, a potężnie wyzyskując, odprawiali bez litości, skoro ci zostali czeladnikami; mnożył się więc tym sposobem już i tak znaczny zastęp rzemieślników bez zajęcia, materyał gotowy dla socyalistycznej kultury.

Pomimo pewnych słabych stron i braków [1], ma jednak nowela przemysłowa wiele dobrego i stosownego, a wartość jej praktyczna wzmaga się jeszcze przez wpływ, jaki ona na drobnych ręko-

---

[1] Nowela przemysłowa nosi na sobie cechę bezwyznaniowości, z wielką szkodą dla rzemieślników, zwłaszcza po małych miastach, gdzie żydowstwa mnogo jak n. p. w Galicyi. Szkoda to podwójna. Raz, że stowarzyszenie nie może dać swoim członkom skutecznej moralnej opieki i pomocy. Bo i na czem że się ta opieka oprze, na jakim pewniku, czy prawdzie moralnej? Katolicy, inowiercy, żydzi i bezwyznaniowcy, wszystko to razem łączy się i brata wspólnym węzłem materyalnej korzyści i niczem więcej; nie masz wspólnych nabożeństw i praktyk religijnych, nie masz nauki czy kazania, nie masz słowem żadnego kitu religijno-moralnego, któryby te różnorodne żywioły spoił, zlał i zasymilował. I z tej to przeważnie racyi dawna instytucya cechów była nierównie wyższą od tej dzisiejszej noweli przemysłowej. Ona brała w opiekę nietylko rzemiosło jako takie, ale rzemieślnika jako człowieka, obywatela, chrześcijanina, zaprawiała go do pobożności, czuwała nad jego moralnością, sposobiąc równocześnie i kształcąc fachowo w jego rzemiośle; materyalna jej działalność była tem skuteczniejszą, że opierała się na chrześcijańskim pierwiastku bojaźni Bożej i moralnej cnoty, a siłę swoją czerpała z Kościoła. Wprowadzenie do stowarzyszeń elementu żydowskiego, nietylko pod względem moralnym nie może być zbawienne, ale łatwo zada ostatni cios stanowi rękodzielniczemu w małych miastach tam, gdzie jak w Galicyi i na Bukowinie, żydzi rzemieślnicy (krawcy, zwłaszcza blacharze, rzeźnicy) przewyższają liczebnie chrześcijańskich rękodzielników. Wybory i uchwały bowiem przeprowadzają się większością głosów, łatwo więc w takich warunkach stać się może, że do wydziału stowarzyszenia wejdą sami żydzi, a wtenczas jaki los spotka chrześcijan-rękodzielników? Wszak już dzisiaj nietylko w miasteczkach, ale i w większych miastach rozwielmożnienie się elementu żydowskiego uważane jest powszechnie za przyczynę ruiny mieszczaństwa, a zwłaszcza drobnych rzemieślników; cóż dopiero, gdy żydzi u steru rzemiosł zasiędą? (*Przyp. Red.*)

dzielników wywiera, którzy nie stoją już więcej bezradnie, jako ofiary wobec potężnego kapitału, lecz w związku ustawą przepisanym znajdują siłę i moc do skutecznej obrony zagrożonego swego stanowiska.

Zasługą to jest austryackich konserwatystów, a przedewszystkiem referenta przemysłowej komisyi hr. Egberta Belcredi, że pierwotny projekt rządowy do ustawy przemysłowej, który zupełnie według liberalnego szablonu ułożony żadnemu z panujących braków nie zaradzał, zmieniony został i na odpowiedniejszą celowi, chociaż nie na zupełnie doskonałą ustawę, przerobiony. Zawiązywanie się przemysłowych stowarzyszeń, cechów nowego stroju, postępuje tedy od jesieni; za radą komitetu wiedeńskiego związku przemysłowego i z własnego rozumu oświadczyli się rękodzielnicy po największej części za fachowemi stowarzyszeniami, w których skład wchodzą rękodzielnicy tego samego, lub też podobnego zawodu, i prawie tylko tam, gdzie liczba rękodzielników jest za szczupłą, aby utworzyć mogła osobne stowarzyszenie, zakładają się mniej korzystne towarzystwa kumulatywne kilku rzemiosł razem. Organizacya tych stowarzyszeń napotkała na ukryty, ale wytrwały opór niektórych ultra liberalnych urzędników powiatowych, oraz liberalnych izb handlowych, przejętych wstrętem do jakiejkolwiek zmiany istniejących stosunków ekonomicznych, którym po największej części swe bogactwo zawdzięczają.

W związku z tą nowelą stoi ustawa o ustanowieniu inspektorów przemysłowych, których obowiązkiem jest zwiedzać dokładnie wszelkie fabryki i warsztaty, nawoływać przedsiębiorców i majstrów do usunięcia wszelkich niedostatków, a o wszystkiem uwiadamiać centralnego inspektora, przydzielonego ministerstwu handlu. Od stycznia zamianowano 10 inspektorów przemysłowych, przydzielając im na okręgi ich działalności, po największej części całe kraje koronne. Z góry już przesądzić można, że w takich warunkach inspektorowie zadaniu swemu odpowiedzieć nie są w stanie; wcześniej lub później liczba ich musi być pomnożoną. Utrudnia ich działanie jeszcze inna okoliczność.

W Austryi nie istnieją dotąd prawne przepisy normujące stosunek fabrykantów do robotników, jak to w innych krajach

ma miejsce, inspektorzy tedy nie mają dostatecznego punktu oparcia, na podstawie którego mogliby zażądać w danym razie usunięcia złego i takowe przeprowadzić. Trudność tę usuwa do pewnego przynajmniej stopnia projekt rządowy rozciągający opiekę prawa nad pracą kobiet i dzieci, zmodyfikowany przez konserwatywnych członków komisyi przemysłowej a szczególnie przez referenta tejże hr. E. Belcredi, według najlepszych ustaw o robotnikach istniejących na zachodzie. Projekt ten ogranicza dzienną pracę na 10 godzin, niedziele i święta przeznacza na wypoczynek, dzieci niżej lat 14 nie dozwala obarczać rzemieślniczą pracą, rozciąga opiekę nad robotnicami i nieletnimi robotnikami, zabrania wreszcie pracy fabrycznej kobietom ciężarnym 6 tygodni przed i tyleż po połogu. Te wnioski wywołały największe niezadowolenie w lewicy, która licząc w swych szeregach poważną liczbę przemysłowców na wielką skalę, o ograniczeniu tak zwanej wolności pracy, tego dogmatu liberalizmu, z łatwo zrozumiałych przyczyn nic słyszeć nie chciała. Wszak ta właśnie wolność pracy, na podstawie której więzili robotnika po kilkanaście godzin dziennie w fabrykach, dozwalała im w wielu gałęziach przemysłu produkować towar taniej, jak to miejsce miało w krajach, gdzie prawo bierze robotnika w obronę przed wyzyskiwaniem fabrykanta; mniemali więc, że tą drogą wyjdą zwycięsko z walki konkurencyjnej na zawsze. Nie domyślali się snać, że owe państwa, które swych robotników już otoczyły opieką prawa, sprzykrzą sobie wreszcie to ustawiczne zalewanie swych targów taniej wyrobionym towarem austryackim i zażądają, jak to już uczyniła Francya przez wygórowane cła, ochronną położyć tamę współzawodnictwu Austryi, a dokażą tego tem łatwiej, że system wolnego handlu uznany powszechnie za szkodliwy, wyszedł już z mody. Ponieważ handel na wschodzie ustawicznie się zmniejsza, częścią z powodu zubożenia owych krajów, a bardziej jeszcze w skutek niewłaściwego postępowania kupców eksportujących towar, przeto niezadługo przemysł austryacki ograniczyć się będzie musiał na swoje naturalne granice, na kraj własny, którego liczni mieszkańcy mogliby go z łatwością podtrzymać, gdyby nie to, że wyzyskiwani przez wielki kapitał, środków do kupowania towaru dosyć nie mają. Gdyby rolnik i wyrobnik, rzemieślnik i robotnik

fabryczny — prawie więc 80% naszej ludności — otrzymywał płacę wystarczającą, aby się mógł odpowiednio ubrać, po prostu ale porządnie i ciepło, zdrowo mieszkać, na czystej pościeli, zamiast jak dotąd na barłogu sypiać, gdyby mógł prostą, ale pożywną strawą się karmić, to przemysł jak i gospodarstwo wiejskie miałoby dosyć odbytu, i otworzyłoby się im zyskowniejsze, a przedewszystkiem pewniejsze pole, jak kiedykolwiek zagranicą mieć je można było.

Dowiedzioną nadto przez lekarzy i ludzi zawodowych jest rzeczą, że dobrze odżywiony, nie przeciążony pracą robotnik nietylko co do jakości, ale także co do ilości o wiele więcej dostarczy towaru, aniżeli ten, co po kilkanaście godzin dziennie pracując, ostatkami sił goni, i pracę raczej spycha, jak wykończa. Na ankiecie przemysłowej, podczas zeszłorocznej sesyi parlamentarnej, oświadczyli przemysłowcy, którzy u siebie 10-cio godzinną dzienną pracę zaprowadzili, że odtąd robotnicy ich w krótszym czasie więcej materyału i lepiej wyrobili, jak przedtem, gdy czas roboczy kilkanaście godzin dziennie wynosił. Ograniczenie tedy t. z. „wolności pracy“, ma równie na oku rzetelne korzyści przedsiębiorcy przemysłowego, jak i pożytek robotników.

Konieczności wypoczynku niedzielnego z religijnego stanowiska nie potrzeba wykazywać; wszak to jest przykazanie od Boga samego z naciskiem nam dane: pamiętaj, abyś dzień św. święcił. Pracując w niedzielę, nie może robotnik uczęszczać do Kościoła, przystępować do św. sakramentów, słuchać kazań o boskich prawdach i o swych obowiązkach. Zaiste, praca niedzielna jest jednym z najdzielniejszych środków odchrześcijanienia klasy pracującej; nic też dziwnego, że już część jej wcale znaczna, chełpi się bezwyznaniowością i głosi kult ateizmu. Niemniej jednak ze stanowiska zdrowotnego należy jak najbardziej potępić pracę niedzielną; dla organizmu, który cały tydzień pracował, wypoczynek niezbędnie jest potrzebny; niedziela pozwala robotnikowi odetchnąć świeżem powietrzem wraz z rodziną i nowych sił zaczerpnąć; niedziela zbliża męża do rodziny, której przez większą część tygodnia pracując w fabryce, nie widział, daje mu czas i sposobność do wypełnienia obowiązku wychowania swych dzieci.

Co się zaś opieki nad pracą kobiet i dzieci dotyczy, to ta, pominąwszy boskie przykazania sprawiedliwości i miłości bliźniego, już ze względu na siłę militarną państwa jest niezbędną; w skutek bowiem zawczesnej i bezmiernej pracy niedorostka wstrzymuje się prawidłowy rozwój jego organizmu a nierzadko zaszczepia się i zaród przyszłej choroby lub niedołęstwa. Przeciążanie pracą robotnic, które są, albo staną się matkami przyszłych obrońców ojczyzny, zadaje jeszcze większy cios armii państwa. Dowodem tego przerażająco niski i coraz niższy procent młodzieży zdolnej do służby wojskowej w dzielnicach zamieszkanych przez robotników, a szczególnie tam, gdzie nielitościwe wyzyskiwanie robotnika praktykuje się na wielką skalę. Wzmiankowana wyżej przemysłowa ankieta rady państwa w swem referacie, również jak inna prywatna ankieta w miesięczniku dla chrześcijańskiej reformy społecznej [1] wykazały dowodnie, że stan robotników w wielu gałęziach przemysłu jest istotnie przerażającym, że szczególnie w przędzalniach, w kopalniach, w hutach szklannych, w fabrykach porcelany i skór, tak niską jest dzienna płaca robotnika, że zaledwie zdoła go uchronić od śmierci głodowej; że w niektórych fabrykach robotnik pracować musi po 16, 18, a nawet 20 godzin dziennie, w innych 24, ba nawet 36 godzin w jednym ciągu, aby mógł następnie krótko wypocząć na brudnym barłogu. Takie stosunki są wprost do niezniesienia w cywilizowanem społeczeństwie.

Czwartym nader ważnym projektem rządowym, wniesionym na obrady w radzie państwa, jest ustawa o zabezpieczeniu od nieszczęśliwego przypadku. Któż nie wie, że pracując w fabrykach lub kopalniach, często przez nieuwagę własną lub cudzą, często w skutek przypadkowego nieszczęścia, setki robotników stają się kalekami, zupełnie albo częściowo niezdolni do pracy, skazani wlec życie w nędzy, kończyć je głodową śmiercią. Podatek gminny na utrzymanie kalek przeznaczony nie wystarcza, jałmużną należy ratować biedaka, a jeżeli jest on ojcem rodziny, to nędza przybiera straszne zaiste rozmiary. Oprócz tego nie zga-

[1] *Monatschrift für christliche Social-Reform.* Artykuł barona von Vogelsang: *Die materiele Lage des Arbeiterstandes in Oesterreich.*

dza się to ze sprawiedliwością, aby gminy utrzymywały kalekę, który do kalectwa doszedł pracą na korzyść fabrykantów obcych gminie. Otóż wzmiankowany projekt rządowy wskrzesza zakłady ubezpieczenia pod opieką państwa, dla każdego okręgu izby handlowej, w którychby wszyscy robotnicy fabryk, kopalni, hut itd., a których roczny dochód nie przechodzi sumy 800 złr., ubezpieczeni być musieli. Różne gałęzie przemysłu podzielone zostaną na klasy, stosownie do zagrażającego przy nich niebezpieczeństwa, tak, że opłata za ubezpieczenie robotników, których zatrudnienie połączone jest z większem niebezpieczeństwem zdrowia i życia, większą wnosić będą wkładkę. Przedsiębiorca ponosi 75% opłaty od ubezpieczenia, a robotnik 25%, ale w tym tylko razie, gdy przeciętny dzienny dochód jego przynajmniej na 1 złr. obliczyć można, w razie bowiem przeciwnym, całą opłatę asekuracyjną od swych robotników pokrywa przedsiębiorca lub właściciel. Renta, którą należy wypłacać nieszczęściem dotkniętemu, poczyna się z upływem 4 tygodni po nieszczęśliwym wypadku, tymczasem przedsiębiorca ponosi koszta choroby, chyba że je opłaca gmina, albo kasa dla chorych. W razie zupełnej nieudolności do pracy, wynosi renta 60%; w razie częściowej, nie wyżej jak 50% rocznego zarobku dotkniętego nieszczęściem robotnika. W razie śmierci otrzymują wdowa i rodzina, którą dotąd przed nieszczęściem dotknięty żywił i utrzymywał, skromną rentę. Pod nadzorem rządu zostający wydział składa się w trzech równych częściach z osób zaufanych u rządu, z właścicieli przemysłowych i z robotników. Wprowadzenie robotników do wydziału zaspakaja w części usprawiedliwione ich dążenie do polityczno-ekonomicznej samodzielności i odwraca ich od nader zgubnych kierunków agitacyi pokątnej, socyalnej.

Wypadki ostatnich czasów zbyt wyraźnie dowiodły, że socyalne prądy nurtują coraz silniej, że kierunek ten szerzy się wśród austryackich klas roboczych. Liczne wyroki przeciw robotnikom za rozszerzanie pism podburzających, przeciw monarchicznej formie rządu i przeciw instytucyom państwowym i społecznym; proces Mesterlingerów, który okazał do jakiego stopnia duchowo ograniczone, lecz w gruncie poczciwe umysły obałamucić się dają socyalno-rewolucyjnym teoryom;

krwawe zbiegowiska przeszłoroczne, a nawet bezecne mordy we Florisdorf, których sprawcy zagorzałymi są zwolennikami tych zgubnych doktryn, wszystko to aż nadto dowodzi, że już najwyższy czas zaradzić szerzącemu się zwątpieniu, skuteczniejszymi środkami jak dotychczas pozostawiano, ruch, czujność i energia policyi, która pomimo nadludzkich prawie wysileń nie zdusiła złego, ściągnęła tylko na siebie zawziętą nienawiść robotników objawiającą się w listownych pogróżkach, ba nawet w mordach, a wreszcie oświadczyć była zmuszoną, że w zwykłym zakresie poruczonej sobie władzy, nie jest w stanie utrzymać porządku; niechże więc rząd użyje wyjątkowych środków, które też w nocy z ostatniego stycznia do 1 lutego weszły w życie. Wolność osobista poręczona konstytucyą, tajemnica listów, wolność prasy, związków i zgromadzeń została zawieszoną w stolicy i kilku bliskich powiatach, a czynność sądów przysięgłych ograniczoną do zbrodni i występków niemających związku z politycznemi dążnościami.

Na podstawie tych orzeczeń wydalono z okręgu policyjnego Wiednia i Korneuburgu, w ciągu dni ośmiu kilkaset podejrzanych o socyalizm robotników, nie troszcząc się o ich środki do życia, ani o los pozostałych rodzin. Znaczna część tych poniewolnych wychodźców schroniła się w Peszcie, gdzie socyalizm austryacki zdaje się mieć chwilowe ognisko.

Większość rady państwa, a szczególniej konserwatywni, chociaż nie zupełnie przekonani o konieczności wyjątkowych rozporządzeń, jednak zgodzili się na nie, za to lewica podniosła krzyk oburzenia o wrzekomo naruszoną wolność i nawoływała do walnej wyprawy na obecny gabinet, aby na jego ruinie swój własny wydźwignąć. Chęć obalenia dzisiejszego pojednawczego ministeryum, a przynajmniej ponękania jego, jest przyczyną wszelkiej opozycyi lewicy przeciw ustawom socyalnym. Przeszkodzenie konserwatywnym dążeniom rządu jest dla niej ważniejszem, niż wszystkie językowe i szkolne kwestye, a jeżeli o nich bez końca rozprawiała, to było to w gruncie rzeczy niczem więcej, jak tylko dobrze wyrachowaną polityką obstrukcyjną. Sprawiedliwość jednak nakazuje wyznać, że w obozie liberalnym są także zacne wyjątki, pragnące socyalnej reformy i do niej dążące. Wymienimy

tu tylko Richtera, który wniósł wniosek o ograniczeniu egzekucyi i Dr. Rosera, który dzielnie za reformami występuje.

W ogóle mówiąc w obozie liberalnym dokonuje się oczywisty rozdział umysłów. Ci, którzy dość rozumu i bezinteresowności posiadają aby ruch obecnego czasu, to coraz silniejsze dążenie do socyalnej sprawiedliwości, pojąć i odczuć, odłączają się od owych zwolenników liberalizmu, którzy albo materyalnych korzyści, jakich im tenże dostarczył i jeszcze dostarcza, wolności wyzyskiwania ludu zapomocą kapitałów, nie chcą porzucić, albo są za nadto ograniczeni, aby z tego chaosu ze wszech stron wynurzających się idei i planów, wydobyć prawdę na ich dnie spoczywającą. U ludu jednak i w produkujących stanach, świadomość ekonomicznej niepewności w skutek zniesienia wszelkich społecznych i ekonomicznych zapór, jest zbyt żywotną, dążenie do zapewnienia zagrożonego utrzymania życia zbyt naglące, aby jeszcze znajdować upodobanie w czczej frazeologii liberalizmu. Wśród stanu mieszczańskiego, małomieszczańskiego, jak go liberalna prasa pogardliwie nazywa, traci liberalizm coraz więcej podstawy, konserwatywne idee przyjmują się tam o tyle przynajmniej o ile stoją w ścisłym związku z upragnioną reformą socyalną; nawet antysemityzm, który licznych znajduje zwolenników, jest w gruncie rzeczy, tylko rodzajem przejścia do konserwatyzmu, do chrześcijańskich zapatrywań.

Na pozór zdaje się to być nieprawdopodobnem, kto jednak zna skłonność mniej wykształconych klas do personifikacyi idei, ten zrozumie, że pod straszydłem żyda rozumieją one właściwie liberalny kapitalizm, będący powodem ich ekonomicznej ruiny. Jakkolwiek antysemityzm w Austryi zachodniej coraz bardziej się szerzy, jednak jej spokojniejsza, łagodniejsza ludność nigdy nie da się porwać do tak niegodnych czynów przeciw żydom, jakie n. p. zeszłego roku miały miejsce na Węgrzech.

Antysemityzm jest złem, lecz jak wiele złych rzeczy ma on także coś dobrego w sobie, mianowicie to, że u ludności, która pod wpływem niechrześcijańskiej szkoły, pod wpływem bezkarności, jaką się długi czas cieszyło wyszydzanie religii, była już bliską niewiary, rozbudziła się znowu skłonność do chrześcijaństwa i uznanie jego prawdy i konieczności, a niejeden mieszcza-

nin, który się jeszcze przed kilku laty wstydził uchodzić za wierzącego katolika, teraz choć przez antagonizm żydowski wykonuje praktyki religijne, aby wkrótce jako wierny z przekonania chrześcijanin, z wyższych pobudek poddać się rozkazom Boga i jego Kościoła.

Socyalno-konserwatywny ruch drobnych przemysłowców na południowej stronie Dunaju ożywia się znacznie, a w Wiedniu, gdzie ma siedzibę równie roztropny, jak zdolny przewodnik jego, mechanik E. Schneider, przybiera znaczne rozmiary. Antysemickie dążności grają i tutaj ważną rolę, a pomimo, że tak wielką jest liczba i tak stanowcze usiłowania drobnych przemysłowców, to jednak nie udało się im uzyskać w izbach handlowych reprezentacyi swoich interesów i wszystkie ich usiłowania w tej mierze podczas przeszłorocznych wyborów rozbiły się o solidarność wielkich przemysłowców i kupców, którzy nie przebierając w środkach, głosy wielkiej części mniej rozważnych i mniej doświadczonych drobnych przemysłowców pozyskać sobie potrafili.

W ostatnich dniach października r. z. odbyła się w Wiedniu całkiem tajna konferencya międzynarodowej *Aliance israëlite;* mogę podać niektóre jej uchwały, tyczące się Galicyi. Już r. z. na tajnym zjeździe międzynarodowym w Koblencyi, na którą przybyli żydowscy delegaci z Francyi, Anglii, Prus i Austryi, omawiano potrzebę zreformowania żydów wschodniej Europy, i podniesienia ich na wyższy stopień oświaty. Na październikowej konferencyi we Wiedniu zgodzono się na to, że galicyjscy żydzi najwięcej potrzebują oświaty, a delegat austryackiej *Aliance israëlite*, przedstawił ich moralno-socyalne stosunki w nader ujemnem acz rzeczywistem świetle wskazując na tysiące żydowskich dzieci, które wyrastają bez żadnej nauki.

Postanowiono więc zakładać w Galicyi jak najwięcej żydowskich szkół ludowych, popierać wyższe nauki, powiększyć wśród nich przemysłowe i rolnicze wykształcenie i tym sposobem utworzyć z nich średnią klasę, poważny stan mieszczański. Przy znanem uzdolnieniu rasy semickiej wykonanie tego programu mogłoby do szczętu zniszczyć resztki chrześcijańskiego małomieszczaństwa.

Wpływ starowierczych talmudowych rabinów przedstawiono

na owej konferencyi jako nadzwyczaj zgubny; aby go sparaliżować, postanowiono ułożyć nową żydowską etykę, której zredagowanie powierzono na konferencyi koblenckiej Dr. Lazarusowi z Berlina, ma ona być kodeksem zreformowanej żydowskiej nauki, opierającym się na teoryi ewolucyjnej, której jak wiadomo, hołdują materyaliści, upstrzonej wyimkami z Biblii i talmudu. Opozycyi starowiernych galicyjskich rabinów, zdaniem konferencyi, nie należy się obawiać: „Panowie ci, powiedział delegat austryackiej aliansy izraelickiej, nabyli aż nadto przykrego doświadczenia w skutek ostatnich zajść wywołanych klątwami“. Być to może, dla tych jednak, którzy się onym setkom tysięcy galicyjskiego żydowstwa z bliska przypatrzyli, ta projektowana reforma zapomocą nowej etyki żydowskiej pod egidą Rotszyldów, Wormsów, Guttmannów, Kohnów, Mocattych itd. wydać się musi nader wątpliwą, ba nawet wprost niemożebną.

Br. von Vogelsang.

Z Hiszpanii. Każecie sobie podać dokładny obraz stronnictw, które dzielą Hiszpanię, skreślić stan jej życia religijnego, politycznego, naukowego. Zadanie niełatwe, i wybaczycie, jeśli nie zupełnie uczynię mu zadość. Jeśli gdzie, to w Hiszpanii, a zwłaszcza dzisiaj, trudno wyliczyć wszystkie owe odcienia najróżniejszych rozszerzających się zdań, opinii i stronnictw, od ściśle monarchicznego karlizmu, aż do nihilistycznej „Czarnej Ręki“, i przyznać się muszę bez ogródki, że gdyby mi nie dopomógł pewien Hiszpan wtajemniczony we wszystkie najskrytsze zakątki polityki swego kraju, nigdybym temu nie dał rady.

Wspomniałem o Karlistach. Z daleka zdawaćby się mogło, że dziś ledwie już słabe szczątki Karlistów istnieją w Hiszpanii. Do pozornego tego wrażenia przyczynia się zwłaszcza zupełna nieobecność Karlistów w parlamencie, dokąd rząd wszelką drogę im zagrodził. Nie można jednak wątpić, że prowincye północne do dziś dnia zawsze są oddane Don Carlosowi, i że lud i największa część niższego duchowieństwa w całej Hiszpanii spogląda na Don Carlosa, jako na przyszłego zbawcę Hiszpanii. W ostatnim wszakże czasie przyszło między „tradycyonalistami“ (jak nazywają się Karliści) do jawnego rozdziału na „Karlistów prawdzi-

wych“ i „Mieszańców“ (Mestizos), jak ich pogardliwie przeciwnicy nazywają. Pewna część Karlistów wypowiedziała posłuszeństwo naczelnikowi swej partyi D. Candido Nocedal, byłemu ministrowi za rządów Izabelli, a który jest niejako namiestnikiem uwierzytelnionym D. Carlosa w Hiszpanii. Nocedal trzymał się poprzednio zasad liberalnych, ale natychmiast po ukazaniu się Syllabusa, odwołał publicznie w Kortezach dawne swe zapatrywania i odtąd stał się najgorliwszym katolikiem i karlistą. Pod jego redakcyą wychodzi w Madrycie urzędowy niejako dziennik prawowiernych Karlistów „El siglo futuro“ (Wiek przyszły). Dziennik ten wychodzi codziennie w dwóch wydaniach i jest normą, wedle której kieruje się czterdzieści karlistowskich gazet i przeglądów. Walencya, Katalonia, Kastylia i Sewilia mają osobne codzienne organa, redagowane w duchu karlistowskim. Pomiędzy temi gazetami odznacza się zwłaszcza „La revista popular“, której redaktorem jest odznaczony przez obecnie panującego Papieża Sarda y Salvany.

„Mieszańcy“ zwolna ale ustawicznie oddalają się coraz bardziej od „prawowiernych“ Karlistów i można już przewidzieć chwilę, w której zrzuciwszy zupełnie maskę, połączą się otwarcie z Alfonsistami. D. Carlos ułatwił im niemało to złączenie, wyrzekając się ich w publicznym manifeście, w którym nazwał ich „rebellizantami“ i „wstydem ojczyzny“. Z łona tej partyi pochodzi dzisiejszy minister oświaty Markiz Pidal y Mon, dawny żołnierz w wojsku karlistowskiem i autor książki „O prawach Karola VIII“. Najgłówniejszem dziełem tego stronnictwa, a przynajmniej najgłośniejszem było założenie stowarzyszenia „La Union catolica“, którego celem miało być bronienie katolicyzmu w Hiszpanii. Stowarzyszenie to zawiązane w Madrycie, nie zdołało zapuścić głębokich korzeni, a od chwili, w której arcybiskup toletański, kardynał Moreno, wyraził stanowcze życzenie, aby stowarzyszenie nie zajmowało się zupełnie sprawami politycznemi, chyli się ono zwolna do upadku. Organem stowarzyszenia jest dziennik „la Union“. Kardynał Moreno nie życząc sobie, aby księża umieszczali swe artykuły w tym dzienniku, a z drugiej strony nie chcąc sobie zbyt zrazić członków Unii katolickiej — (najbardziej wpływowymi są: hrabia Arguëlles i dziennikarze: La

Hoz i Carulla — zakazał wszystkim księżom swej dyecezyi pisać do jakiegobądź dziennika. Drugi organ Unii „La Fé“ („Wiara“), podtrzymuje głównie walkę przeciw Nocedalowi, uznając w nim prawowitego przedstawiciela D. Carlosa w Hiszpanii. Założenie „Unii katolickiej“ miało cel piękny, ale dzisiaj wyznać należy, że celu tego nie dopięło. „Unia“ rozdwoiła katolików hiszpańskich, którzy miasto walczyć ze wspólnym wrogiem niewiarą i socyalizmem, zacięcie między sobą się szarpią. Główni przewódzcy „Unii“ użyli jej za rodzaj pomostu do osiągnięcia dostojeństw i urzędów państwowych: Pidal został ministrem, a hr. Arguëlles otrzyma lada dzień nominacyę na senatora.

Ojciec święty chcąc zapobiedz dalszemu rozdwojeniu między katolikami hiszpańskimi, napomniał biskupów hiszpańskich, aby spraw Kościoła nie mieszali z zapatrywaniami się stronnictw, a starając się o wzrost wiary, odłożyli na bok wszelką politykę.

Oprócz tej skrajnej prawicy rządowej, Alfonsiści dzielą się na trzy główne odcienia: na umiarkowanych liberałów, fuzyonistów i partyę lewicy (isquierdistas). Trzy te odcienia przychodzą kolejno co parę miesięcy do rządów i w zasadzie zgadzają się na zupełne odłączenie państwa od Kościoła. Obecnie stoją u steru umiarkowani liberali, czyli jak sami się nazywają „konserwatorzy“. Głową ich jest prezes gabinetu Cánovas de Castillo, „Cavour hiszpański“ jak go zowią i nie bez słuszności dzienniki karlistowskie. Cánovas wprowadził właściwie Alfonsa na tron i kazał mu się nazwać „katolickim jak jego przodkowie, a liberalnym jak wiek obecny“. Rozumiejąc dobrze, że Alfons tak długo nie może być pewnym na „katolickim“ tronie, dopóki nie otrzyma poparcia, a przynajmniej uznania z Rzymu, Cánovas wyjednał obietnicami konkordatu przybycie Nuncyusza i w pierwszych swych mowach w parlamencie (1875) rozwinął zasady tak katolickie, że nie powstydziłby się ich minister z czasów Ferdynanda i Izabelli. Przyznał on wtedy uroczyście Kościołowi prawo do wszystkich zabranych mu majątków i zaległości, a kiedy r. 1876 katolicy urządzili pielgrzymkę do Rzymu, rozkazał ambasadorowi Cárdenas, aby wespół z pielgrzymami stanął przed Ojcem św. W ten sposób sypiąc obietnicami, których nie spełnia, i ustępu-

jąc w niektórych rzeczach zewnętrznych, Cánovas de Castillo zwolna ale wytrwale pracuje nad przerobieniem Hiszpanii na kraj liberalny, któryby „mógł stanąć na równi z innymi krajami Europy". Widocznie Cánovas wziął sobie za wzór i ideał księcia Bismarka. Oficerowie pruscy mają mustrować armię hiszpańską; komisarze policyi, za pierwszego jego ministerstwa, musieli dozorować kazania głoszone w kościołach, a ostatnie rozporządzenia rządowe na korzyść protestantów przypominają w miniaturze pruską walkę kulturną.

Partya lewicy była u steru rządu w przedostatniem ministeryum zebranem pod prezydenturą Herrery. Gabinet ten zawdzięczał swe istnienie przejściu wpływowego demokraty D. Martos'a i Montero Rios do monarchistów i zaszłym w skutek tego zmianom w parlamencie. Głowa lewicy Sarrano (książe de la Torre), były prezydent rzeczpospolitej hiszpańskiej nie może zapomnieć dawnej swej godności i w duszy wzdycha za rzecząpospolitą. Tymczasem stronnictwo to stawia w swym programacie głosowanie powszechne, śluby cywilne i rewizyę konstytucyi. Konserwatorzy nie mają trudności co do ślubów cywilnych, które zresztą prawnie już są dozwolone, ale nie chcą się zgodzić na głosowanie powszechne i rewizyę konstytucyi. Zbyt jawne przechylenie się lewicy do rzeczypospolitej spowodowało w połowie stycznia b. r. upadek gabinetu Herrery, który, jak wypowiedział Cánovas zaraz po objęciu teki ministeryalnej, nie mógł utrzymać się wobec „zagranicznej krucyaty" wymierzonej przeciw demagogii. Istotnie, nikomu to dziś nie tajno, że gabinet Cánovasa winien swe istnienie odwiedzinom księcia pruskiego. Jak długo ten gabinet się utrzyma wobec 1600 komitetów, które pracują na prowincyi pod wpływem i w duchu Sarrana? Dziś zawcześnie odpowiedzieć na to pytanie.

Pomiędzy „Isquierdistami" a „Konserwatorami" stoi w pośrodku trzecia partya t. z. „Fuzyoniści". Pragną oni ogładzić zbyt ostro występujące zasady Isquierdistów, a następnie z nimi się złączyć, na pozór dla popierania monarchii, w gruncie dla przygotowania liberalnej Rzeczpospolitej, do której wszyscy w swym czasie należeli. Naczelnik tej partyi Sagasta nie kryje się zresztą zbytecznie z właściwymi swymi zamiarami; za ministerstwa Her-

rery obiecał lewicy (we wrześniu 1883) popierać ją we wszystkiem i w skutek tej obietnicy obrany został prezesem izby poselskiej.

Stronnictwo otwarcie republikańskie dzieli się podobnież jak Alfonsiści na trzy główne odcienia. Najskromniejsi w swych wymaganiach protestują tylko przeciw „uniżaniu się u stóp tronu“, i pragnęliby tylko Rzeczypospolitej w rodzaju francuskiej za czasów Thiersa lub Mac-Mahona. Głową tej partyi jest Zorilla, dawny żołnierz, opierający swe nadzieje na wojskowem „pronunciamento“. W tym celu zawiązał on „wojskowy związek republikański“ odkryty w jesieni przeszłego roku i który nie mało krwi napsuł madryckim ministrom. Zasadnicze prawa tego związku, do którego w niektórych miastach przystąpiły całe garnizony, cechują najlepiej smutny stan, w jakim się dziś Hiszpanja znajduje, i dla tego nie waham się dosłownie je tu podać wedle „La Gaceta Universal“:

Art. 1. Do związku mogą być przyjęci wojskowi i zajęci przy telegrafach, pocztach i kolejach.

Art. 2. Z przyczyny samej natury i trudności prac, które podejmujemy, związkowi zachowają w tajemnicy przed wszystkimi cywilnymi wszystko, co tylko do związku odnosić się może, zachowując możność porozumienia się samym najwyższym naczelnikom, aby tak uniknąć niebezpieczeństw wskazanych przez doświadczenie.

3. W dzień rewolucyi, kiedy wojsko stanie już na swych stanowiskach, zbrata się ono z ludem, przestrzegając przy tem winnej karności.

4. Prace związku rozciągać się mają aż do sierżantów.

5. Każdy związkowy począwszy od dnia przystąpienia, otrzyma „dwa urzędy“, jeżeli zachowa dane przyrzeczenia, nie licząc w to łask, które w oznaczonym dniu armia otrzyma.

6. Każdy związkowy otrzyma numer odpowiedni dniu jego przyjęcia i tym numerem podpisywać będzie wszystkie pisma odnoszące się do związku.

7. Każdy związkowy bez różnicy będzie posłuszny rozkazom junty, za pośrednictwem naczelnika mającego stanąć na czele ruchu. Naczelnik ten pokazać ma każdemu związkowemu kartkę

odpowiadającą numerem kolorem tej, którą każdemu na wstępie dano, a jeśli nie wypełni tego warunku, nikt nie powinien słuchać jego rozkazów, choćby się wymawiał zgubą kartki, lub w jakibądź inny sposób.

8. Kartka wymieniona ma pozostać w ręku naczelnika, lub być przechowaną w miejscu bezpiecznem przez sekretarza junty.

9. Związkowy zdawać powinien juncie ścisłą sprawę ze wszystkiego, coby mogło szkodzić związkowi, uwiadamiać o osobach podejrzanych i przedstawić dowody ich zdrady. Usługi te będą należycie wynadgrodzone.

10. Związkowy, któryby sprzeniewierzył się swym obietnicom, poniesie w swym czasie karę przynależną zdrajcom; powinien więc najprzód dokładnie się zastanowić nad tem, co go czeka i namyślić się, czy mu starczy energii do wypełnienia swych obietnic.

Zasady fundamentalne związku. 1. Związkowy bierze na siebie obowiązek popierać pracami swemi rewolucyę. — 2. Zgodzić się bezwzględnie na wypełnienie woli ludu, objawionej po dopełnieniu rewolucyi przez głosowanie powszechne. — 3. Poważać i popierać sejm wynikły z tego głosowania; poważać też i popierać rząd przez ten sejm wybrany. — 4. Zgoda między należącymi do związku. Nie dozwalać aby do ministeryum wojny, dostawali się ludzie nie dość znani ze swych republikańskich przekonań i nienależący do naszego związku. — 5. Reorganizacya armii przedsięwziętą w tym duchu, aby armia stała się podporą i obroną rzeczypospolitej, i aby nie dozwoliła zaginąć nabytym wolnościom. — 6. Reforma oparta na podstawie obowiązkowej służby wojennej dla wszystkich bez wyjątku, zniesienie dualizmu, reforma sztabu głównego i artyleryi. — 7. Awans regularny we wszystkich korpusach i oddziałach, nie dozwalając na żadne przywileje i wyjątki. — 8. Zachowanie najściślejszej tajemnicy, wzajemna protekcya, bezwarunkowe posłuszeństwo rozkazom junty, odnoszącym się do uczynionych przyrzeczeń. — 9. Wypędzenie z armii wszystkich przeciwników rzeczypospolitej i zmuszenie do wypędzenia tych, którzy na to zasługują. — 10. Zdrajca, który odmówiłby posłuszeństwa w chwili próby lub walki, zostanie wy-

rzucony z armii i stawiony przed radę wojenną. — 11. Rozkaz chwycenia za broń, wydany będzie 24 godzin naprzód.

Czytając te ustawy i zasadnicze prawa związku wojskowego, wierzyć się prawie nie chce, że założyciel jego Zorrilla należy jeszcze do najbardziej umiarkowanych republikanów. Naprzeciw nim, choć naturalnie w wielu punktach zgodni, stoją „Radykali“, którzy kupią się około dawnego prezydenta hiszpańskiej Czerwonej Rzeczypospolitej z r. 1873. Castelara. Marzeniem Castelara i jego partyi, jest podzielenie Hiszpanii na kilkadziesiąt kantonów, z których każdy miałby pewną niezawisłość. Obdarzony imponującą, azyatycką wymową, Castelar ściąga na swe mowy w Kortezach niezmierną liczbę słuchaczy i właśnie tą swoją wymową najbardziej jest straszny. Wprost i bez ogródki ciska on rękawicę Kościołowi i państwu i nie tai bynajmniej swej nienawiści tak dla pierwszego, jak i dla drugiego.

Od Castelara krok jeden do socyalistów i nihilistów hiszpańskich. „Czarna Ręka“, która roku zeszłego rozpoczęła szerzyć spustoszenie w Hiszpanii, przycichła na chwilę widząc, że zwraca na się powszechną uwagę, ale od pewnego czasu znowu spotykamy w dziennikach straszne opisy jej zemsty i systematycznych rabunków. Dopiero w lutym roku przeszłego pochwycono papiery, z których dowiedziano się o istnieniu i celach tego antisocyalnego stowarzyszenia. Pokazało się, że „Czarna Ręka“ była jedną z odnóg Internacyonału, liczącą 49.000 członków, którzy dzielili się na 100 federacyj i 800 sekcyj z naczelnym zarządem w Genewie. W przeciągu dwóch miesięcy (od stycznia do marca 1883) wniesiono 356 spraw kryminalnych, odnoszących się do „Czarnej Ręki“ przed trybunał w Xerez, a minister spraw wewnętrznych musiał wyznać publicznie, że „złe to grasuje nietylko w Andaluzyi, ale i w innych prowincyach“.

Wszedłszy raz na ślady tajnego sprzysiężenia, mógł rząd tem łatwiej czynić dalsze odkrycia, że każden z członków „Czarnej Ręki“, winien był zawsze nosić przy sobie kopię regulaminu. Wedle tego regulaminu, jednym z najgłówniejszych obowiązków związkowych, było wzniecać i podsycać niezgodę między właścicielami a robotnikami. „Palenie archiwów, mówił regulamin, i karanie mieszczan w osobach ich i majątkach, wykonanem ma

być przy najbliższej sposobności. — Komissya wykonawcza obmyśli sposób nakładania kontrybucyj wojennych na korporacye i bogaczy. — Ponieważ wszelka własność pochodząca z pracy cudzej, z rent i procentów, jest własnością źle nabytą, jedynie zaś prawowitą własnością jest to, co zyskujemy pracą osobistą, korzystną i produktywną: przeto bogacze wyjęci są z pod wszelkiego prawa.

Po pierwszych uwięzieniach, zarząd „Czarnej Ręki“ rozesłał emisaryuszów z rozkazami nowych bezprawi. W wielu posiadłościach spustoszono po barbarzyńsku bogate winnice a organ Sagasty „La Iberia“ ubolewał, że robotnicy opętani jakąś wyższą siłą, czytają gromadnie po publicznych placach „La Revista social“, miasto szukać zarobku, któryby z pewnością znaleźli. Ale jakże się dziwić mnożącym się zbrodniom, kiedy owe 49.000 stowarzyszonych, nie należą, wedle swego statutu „do żadnej sekty politycznej, ani religiinej?“.

Taki, w głównych swych zarysach, przedstawia nam się obraz stronnictw i frakcyi dzielących w tej chwili Hiszpanią. Obecnie znajduje się ona w pozornym spokoju, ale jak długo spokój ten potrwa? Z jednej strony Karliści czekają pory do odwetu, z drugiej rewolucya czyha tylko na sposobną chwilę, aby przeprowadzić tu podziemne swe plany przeciw tronowi i ołtarzowi. Tron broni się słabo i półśrodkami. Za to dzięki Bogu, gorąca katolicka wiara nie wygasła między ludem i prawdziwą kastylijską szlachtą. Missye głoszone przez Franciszkanów, Kapucynów, Jezuitów ściągają tysiączne tłumy, które starym zwyczajem nie wstydzą się odbywać pokut publicznych. W czasie jubileuszu św. Franciszka z Assyżu (w październiku 1882) w jednej tylko ze świątyń słynących cudami nie daleko Barcinony, przystąpiło jednego dnia 50.000 osób do komunii św. Wolni mularze zgryść nie mogą tych trymfów wiary, ale ani petardy ich w Alicante, ani w San Sebastian nie odstraszyły wiernych od tłumnego uczęszczania do kościołów. Ufni w tę dobrą wolę katolików, biskupi używając swej władzy, zabraniają nieraz złych gazet, które wogóle mówiąc, upadają pod klątwą i bez śladu nikną. Jeden przykład wystarczy. Dnia 9. stycznia b. r. arcybiskup z Burgos obłożył cenzurami kościelnemi dziennik „La

Voz de El Orden Publico“ (Głos porządku publicznego). Tegoż samego dnia dziennik ten donosił, że przestaje wychodzić, pomiędzy innemi przyczynami dlatego, „że żaden z zecerów w Burgous nie chciał dalej dla niego pracować“.

Takie fakta pocieszają i dowodzą, że Hiszpania, choć ma rządy dla Kościoła obojętne lub wrogie, krajem katolickim być nie przestała. Ale dzisiaj dość na tem. Może kiedyś później dopełnię tego szkicu stosunków religijnych i politycznych w Hiszpanii i napomknę o życiu naukowem, które i tutaj płynie coraz szerszym i obfitszym strumieniem.

Z Krakowa. — 16 marca. — *W sferze politycznej* najżywiej obchodziło tu umysły zbliżenie się Rossyi do Niemiec i Austryi. Tłumaczono je sobie rozmaicie, i po największej części nie różowe wyprowadzano wnioski. Tymczasem bieg wypadków daje coraz więcej słuszność poglądowi, któryśmy już 4-go lut. kreślili pod tytułem „Sojusz monarchiczny, przeciwko socyalistycznej anarchii“ (w zesz. marcowym). Pomijając poboczne względy bieżącej polityki i nie roztrząsając ewentualnych następstw, skonstatować możemy, że to zbliżenie się Rossyi do państw środkowej Europy jest tylko jednem z ogniw tego związku na szersze rozmiary zamierzonego. Wynika to z mnóstwa wiadomości i artykułów umieszczanych temi czasy w *Moniteur de Rome*, Germanii, *N. D. Alg. Zeitung* i nawet w *Czasie*.

W końcu, oto co pisze świeżo *La Gazette diplomatique*, w art. pod tyt. „Trzy północne dwory“. „Nie masz prawie kraju, gdzieby mniej albo więcej nie nurtowały skrycie socyalistyczne knowania. Fakt ten budząc w rozmaitych rządach słuszną o własny był obawę, połączył je węzłem solidarności, z której właśnie wynika obecna ich względem siebie sytuacya. Mając do walczenia z wspólnym wrogiem, który już wyłomy w ich twierdzy robi, czują one potrzebę skupienia się i połączenia sił dla oporu, zamiast rozpraszania tych sił w nieroztropnych między sobą starciach, z których ostatecznie chyba przeciwnicy konserwatywnych zasad korzyść odniosą.

„Wynikiem tego zwrotu był rozkaz wydany od rządów do pism publicznych, by nadal wstrzymywały się od drażniącej po-

lemiki międzynarodowej. Ta zaś zmiana frontu otworzyła gabinetom pole do zobopólnego porozumienia się, jakie nakazuje im poczucie osobistego bezpieczeństwa. Tym właśnie względom, raczej niż czemu innemu przypisać należy zachowanie się cesarza Aleksandra III. i jego doradzców wobec Niemiec a zwłaszcza wobec Austryi. Bez wątpienia, gdyby nie ta groźba bliskiego niebezpieczeństwa, niebyłyby się tak gładko zatarły rozmaite przykre wspomnienia, jakie rozbudziła walka o wpływ na półwyspie Bałkańskim".

Idzie się więc dalej w tym kierunku; tylko z żalem zauważyć musimy, że żadnego kroku stanowczego ku zgodzie z Kościołem w tym miesiącu zapisać nie możemy; chociaż wszyscy, mniej albo więcej świadomie czują, że te właśnie kroki najpewniej prowadziłyby do celu. Ale tyle innych rzeczy, prócz celu, ma się na względzie!...

Odczyty. Wielki post jest tu tym razem, jak zwykle, czasem umysłowej biesiady. Raz poraz uczone posiedzenia, rozprawy, odczyty, w których miasto bierze żywy udział. W chwili, kiedy to piszemy wykształcona publiczność ciśnie się na wykłady pana Tarnowskiego o powieści „Ogniem i mieczem", która niebywałym sposobem cały kraj zelektryzowała.

Przegląd nasz nie zajmuje się w ogóle literaturą belletrystyczną, ale dzieło p. Sienkiewicza jest czemś więcej, niż powieścią, wrażenie jakie ono na społeczeństwie wywarło, jest czemś więcej niż zaciekawienie i estetyczna przyjemność. Jestto wyjątkowe w literaturze naszej zjawisko; a jak o takiem, powinniśmy i zamierzamy podać o niem obszerniejsze sprawozdanie.

Przed tygodniem (11-go marca) sala ratuszowa przepełniona była publicznością słuchającą z najżywszem zajęciem odczytu O. Kalinki „O sprawie Unii na sejmie czteroletnim". Prelegent czytał poprostu ustęp z drugiej części swego monumentalnego dzieła, którą do druku gotuje, ale czytał tak, jak podobno nikt w Polsce nie czyta: bez deklamacyi, bez podniesienia głosu, a jednak z takiem życiem, swobodą, naturalnością, z taką rozmaitością — powiem nawet plastycznością intonacyi, że się odsłuchać nie było można. Każdy fakt, każdy szczegół przesuwał się z odpowiedniem uwydatnieniem, każda niemal osoba w tym dra-

macie dziejowym innym głosem mówiła. Rozkoszą byłoby słuchać, gdyby nie górował nad tem uczuciem estetycznem smutek i żal na wspomnienie wielkich naszych grzechów historycznych, które mowca z nieubłaganą krytyką wywoływał i sumienie narodu niemi obarczał. Auditorium, w głuchem milczeniu i zamyśleniu prawie pokutniczem, przypominało słuchaczów w „Kazaniu Skargi“ Matejki, i mimowoli narzucało się zestawienie tej prawdy wyłuszczonej po karze Bożej, z prawdą wypowiedzianą przed tą karą.

Co się tyczy treści, już z pierwszej części „historyi sejmu czteroletniego“ wiadomo jak znakomity Autor panuje nad tym przedmiotem. Zaznaczymy tylko, że jak nam się zdaje, sąd o zakonie bazyliańskim mógłby być mniej surowym, zważywszy tyle innych dowodów prawdziwego poświęcenia i szczerego szukania chwały Bożej, jakie ten zakon dawał, aż do chwili swego upadku. Śmierć zaś niekoniecznie z wnętrznej musi pochodzić choroby, bo i przy zdrowiu pod zabójczym ciosem umrzeć można. Może też inne błędy narodu, które mowca najsłuszniej karcił, dałyby się choć w części na dwie strony podzielić. Jakkolwiekbądź, są to podrzędne zastrzeżenia osobistego zapatrywania; w każdym zaś razie odczyt ten był Skargowskiem kazaniem dla kraju; i zwłaszcza dzisiaj, kiedy między polskim a ruskim żywiołem nie bez trudu układają się stosunki, na czas przyszło przypomnieć nam, z historyą naszych win, obowiązek cierpliwości i miłości bratniej.

Dziś (16-go marca) ma być walne zebranie Towarzystwa św. Łukasza, o którem także winniśmy i chcemy wkrótce Czytelnikom naszym coś więcej powiedzieć. Na przyszły tydzień zaś zapowiedziane są odczyty O. Pawlickiego „o Pozytywizmie“.

Wreszcie, dla kompletu tej uczty umysłowej, otwarta jest Wystawa obrazów Matejki. — Tu ustępuję pióra hr. Dębickiemu.

X. M. Morawski.

Wystawa obrazów Matejki i wystawa Przyj. Sztuk pięknych. Imię Matejki, wszędzie ściąga tłumy, czy w Wiedniu, w Paryżu, czy w Rzymie; to też w rodzinnem mieście, ukazanie się nowego dzieła z pracowni mistrza, największej Krakowa dziś chwały, staje

się radosnym wypadkiem. Jednym z objawów tej czci tak dobrze zasłużonej nietylko dziełami wielkiego artysty, ale także czynami najzacniejszego obywatela, jest ta staranność, aby wszystko, co z pod tego potężnego wyjdzie pędzla, ukazało się w najbardziej estetycznem otoczeniu. I tym razem urządzono śliczny przybytek dla obrazów Matejki. Jedną z mniejszych sal w Sukiennicach, pokryto od góry do dołu wspaniałemi makatami i staremi materyami fałdującemi się wśród tkanin w malowniczą draperją.

Na takiem tle na dwóch przeciwległych ścianach zawieszono dwa obrazy nierówne rozmiarami, różne bardzo stylem i tonem, z dwóch odmiennych epok kreacyi mistrza, ale związane z sobą, jakby nicią mistyczną, dalekiem pokrewieństwem przedmiotów: tam X. Piotr Skarga wobec króla, senatorów i posłów, gdy Rzeczpospolita stała jeszcze u szczytu potęgi, gromi i przepowiada upadek i rozdarcie, tu Wernyhora, ukraiński wróżbista, w otoczeniu typów ludowych, rozsnuwa straszne obrazy wojen, rzezi, pożogi i klęsk bez liku, i dostrzega gdzieś w oddali znaki, które mają poprzedać jutrzenkę...

Tamto historya, to legenda; tam zakonnik, wysłannik Boży, zapowiada gniew Pana, jeśli nieodwróci go skrucha i poprawa; tu ludowy czarodziej wróży nie z natchnienia nadludzkiego lecz z daru jasnowidzenia. To też i w sposobie przedstawienia tych dwóch postaci i tych dwóch chwil jest tak olbrzymi przedział, tak odmiennych artysta użył środków dla wypowiedzenia swych myśli, i jakby z umysłu nadał dwom obrazom tak różny charakter, że trudno zrozumieć, iż wyszły z pod tego samego pędzla.

Któż niezna kazania Skargi? Był to drugi po Rejtanie tryumf młodego artysty, a jeśli przedmiotem wystawy to i wykonaniem nieustępujący pierwszemu. To pewna, że ze wszystkich obrazów Matejki ten jest najbardziej harmonijny, najbardziej stylowy. Harmonia zaś ta polega nietylko na zgodnym tonie barw, na spokojnym układzie osób, ich ugrupowaniu i całym planie obrazu klasycznie zarysowanym, ale głównie na tem, że jest harmonią wewnętrzną. Akcya tu czysto duchowa, ale czuć jak te słowa płynące z ust kapłana przenikają obecnych, poruszają do głębi

sumienia i można te piorunujące słowa odczytać z każdego oblicza słuchających, choć na każdem innem odbijają się uczuciem.

Wernyhora jest antitezą Skargi, tak pod względem duchowym jak i stylowym. Mimowoli nasuwa się tu jedna definicya tych przeciwieństw: obraz przedstawiający trzy stany, majestat królewski, senatorską wspaniałość i posłów szlacheckich dostojność ma charakter wysoce arystokratyczny, owa zaś grupa ludowa cisnąca się w koło wróżbisty ma w sobie siłę ale zarazem i brutalność chłopską.

Nietylko na twarzach i postawach występuje ta różnica, ale przeprowadził ją malarz konsekwentnie nawet w tonacyach barw i tam fałdują się aksamity przetykane złotem o kolorach łagodnych, cieniowanych, dobieranych choć pełnych połysku, a gdy karmazyn lub purpura to znać, że z szaty królewskiej lub senatorskiej, tu czerwona także rzucona płachta, ale czerwoność tu krzycząca, jarmarczna z chłopskiego odzienia. Jak w tych przyborach, tak w całym tonie i nastroju obrazu na jednem płótnie sama dostojność, na drugim siła i pewna dzikość.

Prawdziwy znawca przyzna olbrzymią potęgę tej kreacyi, powie *ex ungue leonem*, nawet znajdzie porównanie między Wernyhorą a jakąś postacią z Sądu ostatecznego Michała Anioła; ale znawca postawi także wiele pytań i zarzutów.

Taką zagadką będzie dlań olbrzymia tarcza księżyca zawieszona tuż za głową Wernyhory a będąca w rażącej sprzeczności ze światłem dziennem rozlanem na całej grupie. Grupa zawieszona na spadzistości kurhanu wydaje się być kłębem figur o gwałtownych ruchach i niezawsze łatwych do zrozumienia skróceniach. Razi zwłaszcza delikatniejsze uczucie estetyczne, złowroga, zmysłowa i wstrętna postać mnachy w czarnem ubraniu i wysokiem pokryciu głowy z wyciągniętemi naprzód rękoma ku nożom i kosom rozrzuconym poniżej, znać, że je kiedyś będzie święcić dla Gontów i Żelezniaków. Symbolika historyczna spotkała się tu z realizmem zbyt wstrętnej brzydoty i pospolitości.

Lecz zaraz po przeciwnej stronie obrazu młode pachołę wiejskie chwyta za ryngraf rycerski z Matką Boską i zdaje się zapowiadać, że za innem natchnieniem przyszłe pójdą pokolenia. Głowa Wernyhory, wzniesione w górę ręce, wyraz oczu miota-

jących pioruny niewiele ma równych sobie, nietylko w kreacyach Matejki, ale w całem malarstwie świata. W oblicze natchnionego wróżbity wpatruje się z zachwytem z jednej strony klęcząca młodyca niepospolitej piękności, za nią dziewoja i kozak równie urodziwy, z drugiej zaś strony ów starosta Suchodolski, który spisywał słowa przepowiedzi.

Wrażenie z całego obrazu straszne, wstrząsające do głębi, zdolne budzić ze snu widmami złej i dobrej wróżby. Ta groza atoli byłaby jeszcze silniejszą, jeszcze bardziej przejmującą, gdyby nad obrazem roztaczały się cienie nocy i igrały tylko promienie księżyca.

Zagadka jasności dziennej na pierwszym planie z tą bladą twarzą księżyca i latającemi nietoperzami, brak głębi powietrznej stanowią błędy obrazu, który potęgą myśli i wyrazitelnością nietylko nieustępuje innym dziełom mistrza, ale pierwszorzędne wśród nich zajmuje miejsce.

Wystawę uzupełniają trzy portrety: chłopczyk na koniu jadący przez piękne gaje i dwa portrety panienek.

Portrety Matejki nie zawsze cieszą się powodzeniem u tych co szukają tylko fotograficznego obznajmienia osób, są one zawsze podobne, ale zwykle przerastają typ portretowany. Malarz historyczny przywykł podnosić typy, które umieszcza na swych płótnach, do wyższej potęgi, on zwykł brać z twarzy i postaci ludzkiej tylko zewnętrzną, że tak powiemy omowę, a wlewa w nią namiętności, uczucia i ideały czerpane z własnego ducha. Okrom tego dramaturg pędzla, Szekspir polski, jak go nazwano, pojmuje pojedyncze postacie tylko w ruchu, w akcyi, w związku z innymi, monolog jakim winien być z natury swej portret, stoi poniżej skali jego twórczości. Patrząc na wielkie obrazy Matejki zdawałoby się, że gdyby je na części rozebrać, każda głowa i każda figura z osobna byłaby arcydziełem sama przez się. Odwrotnie zaś w portretach naszego mistrza bywa zwykle taki nadmiar życia i ruchu, że za ciasno im w ramach, że czynią wrażenie epizodu oderwanego z wielkiego dramatu. Tym razem jednak w tych portretach młodzieńczych jest skończoność, spokój, wdzięk i wszystkie warunki dokładności portretowego fachu, te dwa portrety chłopczyka na koniu i papienki z ptaszkiem, to

to nie dramata, ale poemata, natchnione ojcowską miłością.

Salę z obrazami Matejki oddziela przedsionek, w którym jeszcze stoi namiot z wystawy Sobieskiego, od wystawy Towarzystwa sztuk pięknych. Rzućmy i tam okiem.

Niestety! mierność tu przeważa, ale mierność tem gorsza, że pewna siebie, że niecofając się przed wielkimi tematami historyi, w rodzajowem malarstwie szuka czysto nadzwyczajności i wpada w exageracye, a gdy sięga w sferę malarstwa religijnego, popełnia herezye. Mówimy o ogóle nie o wyjątkach, które się po nad tym poziomem niezmiernie wznoszą.

„Bitwa pod Orszą“ Krzesza, młodego artysty zwiastującego bystry talent, dowiodła tylko, że źle jest zbyt się spieszyć, aby stanąć u ostatecznej mety, jakiem jest obraz historyczny tych rozmiarów i tego znaczenia. Niezrozumiałość i chaotyczność, która pomieszała szyki wojujące, dowodzi, że młody malarz nie zdołał opanować przedmiotu.

Nie mniej zbytni pośpiech ośmielilibyśmy się zarzucić artyście, tak ustalonego imienia i tak świetnej przeszłości, jakim jest p. Juliusz Kossak. Ten co wydał tyle pieścidełek artystycznych, jak tysiące jego drobniejszych akwarel, portretów ludzi i koni; ten co akwarelę podniósł do malarstwa historycznego i stworzył dzieła pierwszorzędnej wartości jak *Rewera* i *Mohort* i tyle innych, nie powinien wypuszczać ze swej pracowni i opatrywać swoim podpisem rzeczy tak błahych i niewykończonych, jak owa akwarela dorobiona do poematu na temat historyczny *Hasło* i *Odzew*.

Znać z układu i rysunku, jakieby to mogły być śliczne, gdyby artysta poświęcił był trochę więcej czasu i tę scenę z Kościuszką, ks. Józefem i Dąbrowskim na wzgórku wawelskim istotnie wymalował.

Prym na wystawie trzymały dwa obrazy Malczewskiego jeden wzięty z Anhelego, drugi jeszcze piękniejszy „z kopalni“. Wszyscy się tu zatrzymują i nikt nie odchodzi bez łzy w oku. Młody ten artysta, który w ostatnich czasach niezmierny zrobił postęp, zdołał rzucić pomost pomiędzy poetycznością i idealizmem Grotgera a wymaganiami malarstwa obecnego i dzisiejszej reali-

stycznej szkoły. Dosięgnął on niemal wyżyny pierwszego, nie biorąc rozbratu z drugim kierunkiem.

Genre na wystawie przeważa, obfitość niezmierna i rozmaitość tematów wielkich, ale bardzo mało rzeczy takich, o których patrzący myśli: „gdyby mnie stać było jakżebym chętnie obraz ten kupił i zawiesił go w salonie lub w gabinecie do pracy".

Ta chętka bierze widza przed akwarelami *Fałata*, który nie ma może tej delikatności i tej bogatej pomysłowości, jaka odznacza utwory Kossaka, ale prześcignął go w wyrazistości, w tle kolorytu i śmiałości rysunku. Do zdolniejszych malarzy rodzajowych należy p. *Herucicz*, jeden z najlepszych uczniów, jakich w ostatnich czasach wydała szkoła dyrektora Matejki. Wystawił on obraz wielkich rozmiarów, może za wielkich na przedmiot i rodzaj p. t. „Sobotki". Płótno to nie jest bez zalet i wartości, ale nie naznacza postępu od obrazu „Wyświecona"; owszem grzeszy pewną konwencyonalnością, malowaniem scen ludzkich z opowiadania, z wyobraźni a bez wpatrywania się bezpośrednio, bez studyów *in natura*. Rzecz dzieje się na Ukrainie, a znać, że artysta nie opuścił murów Krakowa i mało wyglądał po za pracownię.

O Claude Lorrain opowiadają biografowie, że całe dnie spędzał na wycieczkach artystycznych w głąb lasów i po nad ruczaje, podsłuchując tajników przyrody. Tak samo jak naturę, trzeba badać lud, który z nią ma niejedną wspólność, a zwłaszcza tę, że jak przyroda tak i lud ma mnóstwo tajemnic i właściwości, których szukać trzeba.

Umie ich szukać młody, jeszcze nie dość rutynowany malarz p. Artur Wielogłowski. Gdy przedstawia konie pasące się w łące, lub jeźdźców wśród pięknej poręby, założyć się można, że zanim obraz zaczął malować, ołówkiem schwycił jego przedmiot w chwili, gdy go zastanowił swą malowniczością.

L. D.

Druk ukończony d. 20 marca 1884.

ŚW. TOMASZ Z AKWINU
i dzisiejsza filozofia.

Od kilkudziesięciu lat dolatują nas wciąż te same głosy: „Papiestwo już się przeżyło, Kościół katolicki rozkłada się i trupieszeje“. A przecież to samo papiestwo dziś nierównie świetniejsze odnosi tryumfy, jak wówczas gdy jaśniało blaskiem świeckiej królewskości i majestatem! Zaiste, cóż w tem dziwnego, że w czasach kiedy potężni władcy tego świata, tłumiąc nieraz gniew swój bezsilny, schylali swe głowy przed Stolicą Piotrową, że wtenczas wszystkich oczy i serca zwracały się ku Rzymowi, a jedno słowo następcy księcia Apostołów wstrząsało całym światem? Ale to rzecz zadziwiająca, że dzisiaj to samo się dzieje, chociaż książęta i królowie usunęli się z pod pasterskiej laski rzymskiego biskupa, chociaż Papież odarty z swej ziemskiej korony, stał się jeńcem w własnem mieście i państwie. Jak niegdyś w katakumbach pod Klemensem, Kalikstem i Urbanem papiestwo równie potężne i może potężniejsze rozwinęło życie jak pod Bonifacym, sędzią rzymskich cesarzów, lub Piusem V., który cały świat katolicki uzbroił przeciw zwycięskim Osmanom, tak też i dzisiaj oddycha ono tem samem życiem, tą samą niespożytą siłą, chociaż mury Watykanu stały się więzieniem Namiestników Chrystusowych, którym, kto wie czy niezadługo nie przyjdzie pójść na wygnanie, lub zstąpić powtórnie do katakumb. Owszem, tem piękniejsze są tryumfy dni naszych, że zdobyte na polu powagi duchowej i moralnej godności. Gdzież dziś znaleźć władców świata, którzyby swą siłą moralną mogli stanąć na równi z Piusem IX. lub Leonem XIII.? A jednak tamci królują na potężnych tronach, ci zaś wyzuci z ziemskiej swej władzy, tamci oto-

czyć się muszą krociowemi armiami, aby nakazać swej władzy posłuch i poszanowanie, tym, nie potrzebną jest przemoc materyalna, bo milijony serc katolickich ochoczo i z radością hołd czci i wierności u stóp ich składają.

Nie zamierzam tu bynajmniej kreślić obrazu moralnych zwycięstw papiestwa, i tryumfami tymi udowadniać niespożytości jego sił żywotnych. Wspomnę tylko o jednym znaku, po którym poznać możemy, ażali w sercu papiestwa bije jeszcze tętno życia z dawną siłą. Bóg-człowiek budując Kościół swój na opoce, którą był książe apostołów, dał mu Ducha prawdy, a Duch ten po wszystkie dni aż do końca wieków miał mu odsłaniać wszelkie tajniki prawdy, miał wiarę jego niezłomną uczynić, tak aby on tą siłą własnej wiary mógł braci swoich utwierdzać i wzmacniać. Ten duch prawdy jest właśnie źródłem i pierwiastkiem życiowym, który Piotra zmartwychwstającego w swych następcach, napełnia życiem prawdy. A to życie, z nadziemską mocą i płodnością krąży nieustannie w żyłach Piotrowych następców; ono krąży w nich dzisiaj, i krążyć będzie dopóty, dopóki nie dopełnią się czasy, dopóki lata i wieki nie utoną w morzu wieczności. Czyż dzisiaj niema w papiestwie znamion tego życia Boskiego? Owszem, każdy znajdzie je tam z łatwością.

Rzućmy tylko okiem choćby na chwilę na dzisiejszy nasz świat, a trudno nie dostrzedz tego, jak olbrzymi, wezbrany potok zalewa go powodzią błędów i fałszu! Ileż to szerzy się dzisiaj odmiennych poglądów i zdań o najdonioślejszych, najgłówniejszych zagadnieniach i zasadach moralnego i duchowego życia, o czasie i wieczności, o duszy i Bogu, o rodzinie i państwie, o prawie i obowiązku, o honorze i moralności, o cywilizacyi i oświacie i umysłowej ciemnocie. A przecież wszystkie te sprzeczne z sobą, wzajemnie obalające się zdania razem wzięte, nie mogą w żaden sposób być prawdą. Do tej prawdy, tylko jedno z nich wszystkich może rościć sobie słuszne, uzasadnione prawo, wszystkie zaś inne są mylne, są fałszem. Któż więc zdobędzie się na to, by prądowi temu przeciwstawić nieprzebytą zaporę, kto się ośmieli zatrzymać go w biegu i jeśli to podobna, popchnąć w przeciwnym kierunku? Samo tylko papiestwo opiera się falom tego prądu, by dusze ocalić od zguby. Gdzież szukać

źródła podobnej odwagi? odwagi, która sprowadza na Kościół i jego Papieży szyderstwo, urąganie, ucisk i tysiączne straty? Źródłem jej — to ów prąd wnętrzny, to ów powiew Ducha Bożego, który Kościół swój życiem prawdy zasila. A kędy to życie nie płynie, tam milczą też usta, choć przewrotne teorye strasznem spustoszeniem znaczą swoje ślady. Bo tylko Boska prawda zdolną jest przewrotność ludzką wyzwać do walki.

Widzieliśmy jak Pius IX. stanął przed światem, trzymając w ręku długi spis teoryj i zasad, któremi świat się chlubił, które nazywał najświetniejszą zdobyczą swojej mądrości — Papież stanął z całym szeregiem tych „świetnych zdobyczy“ przed ludźmi, by im powiedzieć: wszystko to jest błędem! A błędem niosącym zagładę dla rodzin i państw, dla praw i obyczajów, dla życia doczesnego i dla wieczności! (Syllabus z dnia 8 grudnia 1864). Ale nie dość na tem. Tę tamę wystawioną przeciw błędnym teoryom trzeba było jeszcze wzmocnić i rozszerzyć. Namiestnik Chrystusowy zwołuje więc robotników ze wszystkich stron świata, by na Soborze Watykańskim dokonać rozpoczętego dzieła. Jednak podobało się Bogu przerwać tę pracę przed jej ukończeniem, snać dumny świat niewart był tego dobrodziejstwa, które od wielu nieszczęść ochronić go miało.

Ale Papież spełnia swe posłannictwo nawet mimo przerwy Watykańskiego Soboru. Świat otrzymał był owe teorye potępione przez Piusa IX. z ust swych najsłynniejszych najbardziej podziwianych mistrzów. Jeśli więc i ci błądzą, za czyjąż iść nauką, kogóż słuchać należy? Na to pytanie koniecznie się nam nasuwające odpowiada Leon XIII. (List okólny „Aeterni Patris“ 4 sierp. 1879): Idźcie za Tomaszem z Akwinu, oparci na jego zasadach. One z upływem wieków nie straciły swojej wartości, one z walk i zamętów wyniosły zwycięski sztandar prawdy; one najlepszym są środkiem, by najtwardszych nawet apostatów przekonać i pozyskać na nowo, one podają broń najpewniejszą, by katolicyzm przeciw wszelkim zasłonić napaściom, one są w stanie Kościołowi i społeczeństwu ludzkiemu pokój dziś tak wielce zamącony przywrócić i ustalić, one postęp naukowy najkrótszym i najbezpieczniejszym poprowadzą torem.

Ale czy te nadzieje, jakie najwyższy Nauczyciel naszej

wiary pokłada w nauce Anielskiego Doktora, nie są nazbyt wygórowane? Czy ta nauka podaje nam pewną rękojmię, na której oprzeć byśmy się mogli z niewzruszoną ufnością? Jako dzieci katolickiego Kościoła z góry już uznać powinniśmy, że rada udzielona nam przez najwyższą Głowę Kościoła w celu zachowania nienaruszonej całości wiary św., na prawdzie opierać się musi. Nasze więc roztrząsanie, choć rozumowe, winno ściśle się łączyć z uczuciem szacunku i uznaniem własnej niższości, z jakiem uczeń pyta swego mistrza o przyczyny, które mu naukę jego światłem niewątpliwej prawdy zdołają rozjaśnić. W ten to sposób zamierzamy roztrząsać słowa Namiestnika Chrystusowego, polecające nam św. Tomasza, jako mistrza i kierownika na polu filozofii. W kraju naszym nietyle się dotąd zajmowano w pismach publicznych tą Encykliką, tuszę więc sobie, że praca ta nie będzie zbyteczną.

Na trzy punkta zamierzam głównie zwrócić uwagę czytelników:

1) Na słowa papieskie poddane ścisłej analizie.

2) Na filozofią nowożytną, na przyczyny jej upadku i ostateczny rezultat, do którego doszła.

3) Na system św. Tomasza, jako środek odbudowania filozofii *ab imis fundamentis*.

Oto treść i cały przebieg niniejszego rozbioru.

I.

Wstęp papieskiej Encykliki przedstawia nam najwyższego pasterza chrześcijaństwa, jako czujnego strażnika, który w poczuciu swego posłannictwa stoi na wskazanym posterunku, a patrząc z wysokości swego stanowiska na dusze jego pieczy powierzone, widzi co im zaszkodzić, a co pomódz może. Wzrok jego obejmuje cały świat, przenika całe społeczeństwo ludzkie i jasno poznaje, o ile z obecnego stanu pomyślnie wróżyć można o zbawieniu dusz ludzkich. *Custos quid de nocte?* Jak daleko wzrok sięgnąć może, widzi on na ziemskim padole olbrzymi ciężar nieszczęść i nędzy, pod któremi jęczą nietylko jednostki, ale ludzkość cała, a nad jej głową wisi chmura brzemienna w jeszcze dotkliwsze klęski, jeszcze sroższe nieszczęścia! Gdzież źródło

całej tej niedoli? Nie gdzieindziej jak w fałszywych pojęciach o Bogu i człowieku, jak w teoryach, które powstały i wyszły ze szkół filozoficznych, i jako trujący rozczyn wszystkie warstwy społeczeństwa na wskróś przeniknęły. Człowiek bowiem zwykł postępować według prawidła swych pojęć rozumowych. Jeśli pojęcia te są dobre, to i postępowanie jego dobre, jeśli zaś pojęcia one są złe, toć i postępowanie stosujące się do ich normy, dobrem być nie może. Rzecz to bezwątpienia niezmiernej doniosłości: bo chcąc powstrzymać tę powódź nieszczęść, obejmującą całą ludzkość, potrzeba obok ufności w pomoc Bożą, własny też umysł z błędów otrząść i skłonić go ku poznaniu prawdy: tego zaś tylko prawdziwa filozofia dokonać jest w stanie. W słowach tych zawiera się myśl, którą Ojciec św. postawił jako punkt wyjścia w swojej odezwie: prawdziwa filozofia jest ze strony ludzi odpowiednim środkiem, aby się oprzeć skutecznie prądowi złego, które falami nieszczęść zalewa i pustoszy ziemię. Oto według Encykliki, dowód tego twierdzenia:

Prawdziwa filozofia wielorakie przynosi korzyści; ponieważ zaś właśnie w tych korzyściach leży owa siła zdolna oprzeć się prądowi nieszczęść zalewającemu społeczeństwo, a zatem też prawdziwa filozofia jest (ze strony ludzi) środkiem odpowiednim do zamierzonego celu.

Ale gdzież są te wielorakie korzyści, te owoce prawdziwej filozofii, w których się kryje zaród tak potężnej siły?

Najgłówniejszą korzyść przyznaną filozofii nawet przez Ojców Kościoła, widzimy w tem, że ona jest dla rozumu szkołą kształcącą i przysposabiającą go do przyjęcia Boskiej wiary. Ileż to zdań i zasad wywnioskowała filozofia nawet w przedchrześcijańskich jeszcze czasach, których jasny, wykończony obraz spotykamy na kartach ksiąg ewangielicznych? Czyliż sam ten stosunek pokrewieństwa nie zachęci badacza prawdy do wstąpienia na drogę wiary, aby w jej świetle głębiej poznał i jaśniej zrozumiał filozoficzne swoje twierdzenia?

Lecz nie dość na tem. Filozof z ogromu i piękności stworzonej przyrody wznieść się może do poznania jej Stwórcy — i to nietylko do poznania jego istnienia w ogólności, ale też właściwych Jemu przymiotów. Przedewszystkiem poznać on może Jego mą-

drość wszystko przenikającą, Jego sprawiedliwość bez skazy, Jego niezawodną wiarogodność. Również filozofia może wykazać, że wszystkie te cudowne znamiona, które Chrystus wycisnął na swej Ewangelii, któremi odszczególnił jej głosicieli, które położył na czole oblubienicy swojej, katolickiego Kościoła, są niezaprzeczonem świadectwem boskiego posłannictwa *(divinae legationis irrefragabile testimonium)*.

Dalej, jakżeż wiele wiara ma do zawdzięczenia filozoficznej wiedzy! Cały olbrzymi skład prawd wiary ujęła dopiero rutyna filozoficznych rozumowań, w jednolitą naukową całość, którą teologią nazywamy. Filozofia podała nam możność nietylko uzasadnienia prawd objawionych właściwymi im dowodami, ale nawet możność głębszego choć nie zupełnie doskonałego ich zrozumienia. Wreszcie filozofia oddaje nam w ręce bogaty zapas oręża na obronę wiary, czego dowodem przykłady Ojców śś. i świadectwo samego Kościoła.

Oto korzyści filozofii jakie przedstawia Encyklika. Wyliczając takowe wykazaliśmy już temsamem i część powyższego twierdzenia, t. j.: że w korzyściach odniesionych z filozofii tkwi potęga zdolna powstrzymać klęski, ludzkość przygniatające. Już na wstępie swego listu Papież z pewnym naciskiem zwraca naszą uwagę na to, że główne źródło wszelkiego zła wypływa z przewrotnych teoryi o rzeczach Boskich i ludzkich. A właśnie zdrowa filozofia wyjaśnia mylne pojęcia i prostuje przewrotne teorye. Najprzód bowiem udowadnia ona istnienie Boga, udowadnia Jego przymioty j. t. Boską wszechwiedzę, nieskażoną sprawiedliwość, niezawodną wiarogodność, które to prawdy na całe moralne usposobienie i życie człowieka stanowczo wpłynąć muszą. Ona, ukazuje nam Boga, jako Stwórcę, nas zaś jako stworzenia, Jego jako Pana, nas jako bezwarunkową Jego własność. Powtóre filozofia przynosi dla wiary bezpośrednie także korzyści, o których już wyżej wspomnieliśmy; a w świetle wiary daleko wyraźniej i dokładniej poznajemy nasze obowiązki względem Boga i bliźnich, uczymy się też w Nim bliźniego upatrywać, i jaka nagroda przypadnie nam w udziale za spełnienie obowiązków, a jaka kara nas czeka za pogwałcenie takowych. Wszystko to dziwnie potężny wpływ wywiera na całe nasze życie, lecz oczywiście tylko wtedy, gdy

prawdy te przyjmujemy z gorącem i niewzruszonem przekonaniem o istotnej ich wiarogodności. Do wyrobienia zaś takiego przekonania, nie mało pomocną jest jako ludzki środek, zdrowa filozofia.

Tak więc prawdziwa filozofia odpowiednim jest środkiem, ażeby fali klęsk obecnych położyć tamę. Teraz zachodzi tylko pytanie, gdzie można znaleźć taką prawdziwą, zdrową filozofią? Pytanie to znajdujemy w drugim punkcie papieskiej Encykliki.

1°. Ojciec św. wskazuje szczególne znamię, po którem zdrową i prawdziwą filozofią poznać można. 2°. Znamię to jasno i niezawodnie uwydatnia się na jednej tylko scholastycznej filozofii. 3°. Najznamienitszym jej przedstawicielem jest św. Tomasz z Akwinu. Taką jest treść pasterskiego listu w dalszym swym przebiegu.

Jakaż jest zapytamy, ta szczególna cecha prawdziwej filozofii? Oto — jej pokorne poddanie się pod światło wiary. Niema w tem bynajmniej nic uwłaczającego dla rozumu, a zatem też ani dla filozofii, wystąpić w roli uczennicy wobec prawd Boskich. Bo prawdy wiary nie są niczem innem, tylko objawieniem Bożej Mądrości. Filozof zatem w zaciekaniach swoich nie powinien zbyt śmiało przekraczać granic zakreślonych Objawieniem, lecz raczej niem się kierować. Jeśli w rozumowych badaniach swoich dochodzi do wniosków sprzeciwiających się objawionej Mądrości Bożej, natenczas winien powiedzieć sobie: Niezawodnie zbłądziłem, albo nielogicznie wnioskując, albo też opierając się na zasadach, które mylnie za prawdziwe uważałem. Tak więc Mądrość Boża zawarta w Objawieniu, będzie kryteryum i ostatecznym rezultatem filozoficznych badań. Jeśli się uda rozumowi dojść do tego rezultatu, pokornie dziękować winien Bogu za tak obfite światło jemu udzielone; jeśli zaś nie osiągnie tego rezultatu, wówczas pozostaje mu tylko uznać własną swą niemoc wobec prawd objawionych i uchylić czoła przed niemi, by w dalszych badaniach pewniejszym mógł postępować krokiem. Jeśli więc wiara odrzuca wrzekome zdobycze nowej filozofii, nie można tego nazwać wrogiem targnięciem się na prawo rozumu, ale raczej przyjacielską przysługą, którą wiara istotnie wyświadcza rozumowi, powstrzymując

go od wstąpienia na zawiłe ścieszki fałszu i błędów, a sprowadzając go na proste tory prawdy.

Dlatego też mówi Sobór Watykański: *Fides rationem ab erroribus liberat ac tuetur eamque multiplici cognitione instruit* (Constit. dogm. de Fide cath. c. 4.). Jak cennym jest wpływ wiary na filozofią, o tem przekonuje nas Ojciec św. historyą tejże filozofii. Iluż to najgrubszym błędom podlegały najwznioślejsze umysły starożytności? A nawet te promyki prawdy, których orli ich wzrok dostrzedz potrafił, z jakimże wahaniem, z jaką niepewnością światu objawiali! Bo blask wiary nie przyświecał im jeszcze na drodze badań rozumowych. Przeciwnie zaś jak chyżym polotem wzbijała się filozofia przy wschodzącej zorzy! Ze wszech stron posypały się pociski na nową naukę Ukrzyżowanego: poganie powstali przeciw niej z całą potęgą ludzkiej wiedzy, z całym arsenałem dyalektycznej broni; a widząc bezsilność swej filozofii, jęli się szyderstw i sarkazmu. Ta sama umiejętność ludzka była bronią w ręku herezyarchów, a zarazem miarą, według której sądzili o prawdach dogmatycznych. Wtedy Bóg wzbudził przeciw tym nieprzyjacielskim zastępom mężów olbrzymiego ducha, którzy wychowani w klasycznych szkołach starożytności, mieli w swej walce podjętej za wiarę, świecką też posługiwać się filozofią. Tymi obrońcami wiary byli to Ojcowie i Doktorowie katolickiego Kościoła. W ich ręku filozofia Platona, w której się po większej części pierwotnie kształcili, stała się filozofią chrześcijańską. Nie jakoby teorye Platońskie miały być normą i podstawą dogmatów chrześcijańskich, ale owszem, chrześcijańskie dogmata były probierzem roztrzygającym o wartości filozofii Platona. Stosownie do wymagań prawd objawionych, Ojcowie Kościoła poprawili jej błędy, uzupełnili niedostatki, potwierdzili dowodami to, co w niej było chwiejnem lub wątpliwem i rozszerzyli ją odpowiednio do potrzeb Chrystyanizmu. Pracą takich ludzi, jak Justyn, Quadratus, Aristides, Hermias i Athenagoros, polotem i głębokością wiedzy wielkich mistrzów Aleksandryjskiej szkoły, Klemensa i Originesa, bystrością Tertuljana, wzniosłą wymową Laktancyusza, potęgą geniuszu Atanazego, Grzegorza z Nazyansu, Grzegorza z Nissy, Augustyna i tylu innych aż do Damascena, Boecyusza i Anzelma, wyrosła na gruncie filozofii starożytnej nowa, chrześcijańska filozofia,

która wzniosła się daleko wyżej od swej poprzedniczki, tak szerokością swego zakresu, jakoteż czystością nauki, dokładnem uzasadnieniem najważniejszych kwestyj i zupełną pewnością swych twierdzeń i poglądów. Tak tedy zależność filozofii od wiary, w niczem nie poniżyła pierwszej, lecz owszem wzbogaciła ją nowym skarbem prawd, jaśniejszem światłem zapatrywań, czystszem i pewniejszem źródłem dowodów.

Teraz nie trudno już odpowiedzieć na drugie pytanie: czy filozofia scholastyczna istotnie posiada cechę, o której mowa, i czy ta cecha daleko widoczniej w niej się uwydatnia aniżeli we wszystkich innych filozoficznych systemach. Scholastyczna filozofia, jak mawiał Sykstus V. i jak dziś mówi Leon XIII., jestto owa pierwotna chrześcijańska filozofia Ojców Kościoła, ujęta w umiejętną, systematyczną całość. I rzeczywiście, wszystko co tylko Ojcowie św. czy dla wyjaśnienia prawd chrześcijańskich, czy dla ich potwierdzenia, czy wreszcie dla odparcia stawianych zarzutów, zaczerpnęli ze źródeł filozofii, to wszystko Scholastycy połączyli w jeden całkowity system, gdzie każde pojedńcze ogniwo najdokładniej obrobione, łączy się z następnem, każda wątpliwość rozstrzygnięta, każda myśl ciemniejsza wyświecona, każda dwuznaczność poddana ścisłemu odróżnieniu, każda niedokładność w wyrażeniach lub pojęciach, określona jasną, dokładną definicyą; gdzie wreszcie każdą zdobytą już prawdę otaczają szańce silnych dowodów, a w czem rozum ludzki pewności osiągnąć nie zdołał, tam ma przynajmniej wskazane powody prawdopodobieństwa. A jak całą filozofią Ojców Kościoła przenika na wskróś światło wiary, tak i we filozofii scholastycznej wszędzie się z niem spotykamy. Gdybyśmy choć pobieżnie tylko zajrzeli do dzieł dawnych filozofów, przekonalibyśmy się naocznie, jak ścisła spójnia wiązała filozofią z wiarą. Że zaś tem znamieniem, tak wybitnie cechującem filozofią scholastyczną, żaden z dzisiejszych filozoficznych systemów poszczycić się nie może, fakt to tak oczywisty, iż Ojciec św. w kilku tylko słowach o nim napomknął. Znamię to nazywa on *proprium et singulare scholasticorum theologorum*. I czyliż tak nie jest rzeczywiście? Wszak dzisiejsza filozofia za chlubę sobie poczytuje swą niezawisłość od wiary, pyszni się swą pełnoletnością, do której doszedłszy, strząsła

z siebie pęta wiary, zerwała nić wiążącą ją z Kościołem. Nawet katoliccy myśliciele, chcąc filozofią podźwignąć z jej poniżenia, nie zawsze kierowali się światłem wiary w swych zapatrywaniach. Takie niefortunne porywy widzimy n. p. w szkołach Hermesa i Günthera.

Przystąpmy teraz do trzeciego punktu Encykliki papieskiej: *Inter Doctores scholasticos omnium princeps et magister longe eminet Thomas Aquinas.*

Zalety wyróżniające go od innych, to dziwna rozległość wiedzy i ten ład zdumiewający tak w całej jego teoryi, jak w najdrobniejszych jej cząstkach i odłamach. Do szczególnych też jego przymiotów policzyć należy gruntowną, niezachwianą pewność zasad, na których opiera dochodzenie prawdy, siłę w rozumowaniu i dowodach, jasność w wyrażaniu się o przedmiotach najoderwańszych i najmniej dostępnych. Doktor Anielski sprowadzając swe badania aż do najpierwszych, zasadniczych pewników, otworzył następnym pokoleniom niewyczerpane kopalnie drogocennych skarbów prawdy. Mocą tych zasadniczych pewników, on sam jeden tylko walcząc przeciw wszystkim, pokonał stanowczo błędy wieków ubiegłych, i pozostawił niezwyciężoną broń nawet przeciw tym fałszywym teoryom, które później dopiero kiełkować poczęły. Te są wewnętrzne zalety nauki św. Tomasza, wyszczególnione w Encyklice Leona XIII.

Rzeczywiście też, przebiegając myślą ów długi szereg dawnych Scholastyków i szukając w ich gronie mężów, którychby się godziło stawić obok Anielskiego Doktora, znajdujemy pięć tylko imion prawdziwie znakomitych: Piotra Lombarda, Aleksandra z Hales, Alberta W., Bonawenturę i Scota. Lecz obok tych monumentalnych postaci, bez porównania wyżej stoi Tomasz z Akwinu. Najniższy stopień jego piedestału stanowi Piotr Lombardo. W dziełach Piotra właściwa filozofia wobec teologii zbyt podrzędną gra rolę, a systematyczny układ całości zaledwie w głównych rzucony zarysach. Słowem, u niego podobnie jak w pismach Ojców Kościoła spotkać się można z wszystkiemi kwestyami filozoficznemi ale brak w nich porządku, brak systematycznego całokształtu: jestto tylko szkic, który wykończyć miała ręka św. Tomasza.

Aleksander Halensis (tak zwany od klasztoru Franciszkanów

w Hales, w angielskiem hrabstwie Glocester) otrzymał na akademii paryskiej zaszczytny tytuł Doktora niepokonalnego, *Doctor irrefragabilis*. Genialny jego umysł przyswoił sobie wszystkie skarby filozoficznej i teologicznej wiedzy w przeszłości zdobyte, ale przekształcił je i opracował wedle nowych wzorów. Właśnie podówczas zaczęto na Zachodzie za pośrednictwem hiszpańskich Maurów, zaznajamiać się bliżej z pismami Arystotelesa, a przekład ich w języku arabskim zastąpiono pierwotnym tekstem greckim. Aleksander w szkole Arystotelesa, choć nie wzbogacił swego umysłu nowym materyałem wiedzy, poznał jednak tam wykończoną metodę układu systematycznego i znalazł doskonały wzór ścisłej argumentacyi. Zdobycze te umiał on zręcznie spożytkować. Atoli filozoficzne jego prace podały tylko fundament do przyszłej budowy, mimo, że olbrzymie głazy tego fundamentu prawdziwie po mistrzowsku były obrobione. Przerwaną pracę Aleksandra podejmuje mistrz nowy, Albert W.. Dotychczas filozofią w szkołach chrześcijańskich traktowano w połączeniu z teologią tak, że cała wiedza filozoficzna znajdowała swe zastosowanie przy uzasadnieniu kwestyj teologicznych oraz głównych punktów oparcia dla prawd objawionych. Albert W. udoskonalił i zreformował ten system. Rozdzielił on te dwie najwyższe dziedziny ludzkiej wiedzy i każdą z osobna rozwinął i opracował. Wprawdzie w dziale filozoficznym występuje on po największej części jako naśladowca Stagiryty, ale za to w teologii kreśli przeważnie własne filozoficzne poglądy. Z szczególniesjszem zamiłowaniem zastanawia się on nad naturą i wszystkiemi jej zjawiskami, i stąd to pochodzi chlubny jego przydomek: *doctor universalis*.

Aleksander z Hales i Albert W. to dwa ostatnie stopnie składające się na piedestał dla Tomasza z Akwinu. Anielski Doktor lubo nie o wiele rozszerzył widnokrąg dotychczasowej filozofii, wszechstronnością jednak przewyższył swych mistrzów, a bystry jego wzrok nie pomija żadnego jestestwa, któregoby najdalszych przyczyn i najwyższych celów nie usiłował do głębi przeniknąć. W badaniach swoich dosięgnął on niezawodnie najwyższego szczytu duchowej, racyonalno-spekulatywnej wiedzy. Przed nim jej obręb w nierównie ciaśniejszych zamykał się ramach, po nim nie rozszerzył się wcale, owszem zaciemnił się i zdrobniał.

Nasz wiek, mimo nabytków wiedzy i tylu nowych płodów umiejętności, nie domyśla się nawet, jakie mnóstwo, już nie drobnostkowych zagadnień, ale najważniejszych kwestyj, jasno i wyczerpująco rozwiązanych, kryje się w pismach św. Tomasza. Stąd też, jak mówi Leon XIII., jego pisma są zbiorem praw zasadniczych, według których wszystkie filozoficzne teorye, czy to dawne, czy dzisiejsze sądem prawdy ocenić możemy. Lecz Tomasz św. nietylko na tym punkcie przeszedł swoich mistrzów. Ma on niepospolity, szczegółowy jakiś dar porządku i jasności tak w całym systemie jak i w rozkładzie pojedynczych kwestyj, które na wzór Arystotelesa jasno i zwięźle rozstrzyga. Najprzód określa najdokładniej kwestyą sporną o którą chodzi; następnie stawia racye *pro* i *contra,* dowodami kwestyą stanowczo rozstrzyga, a wreszcie, opierając się na tych dowodach, rozwiązuje poprzednie zarzuty. Opracowanie takie kwestyi dziwną jest nacechowane zwięzłością. Trudno tam dopatrzeć się zbytecznego wyrazu, lecz niemniej trudno znaleźć choćby tylko jednę niezapełnioną lukę.

A jednak, co bardziej jeszcze zadziwia, lakonizm ten łączy się z taką jasnością wykładu, że zrozumienie go, nawet początkującym żadnej nie sprawia trudności. Te właśnie przymioty zjednały św. Tomaszowi chlubne miano Anioła szkoły. Do takiej doskonałości nie wzniósł się nawet seraficki Doktor (Doctor seraphicus), św. Bonawentura, a tem mniej jeszcze Doktor subtelny (Doctor subtilis) Duns Scotus. Ten ostatni, obdarzony rzadką przenikliwością i bystrością umysłu, prawdziwy mistrz w sztuce destrukcyjnej, w krytyce przeczącej, staje się niedołężnym tam, gdzie idzie o dodatnie uzasadnienie własnych swych twierdzeń; podobnie jak obcą mu jest wszelka droga pośrednia między destrukcyjną krytyką zdań innych a obroną własnych opinii, tak też w samejże argumentacyi owa *aurea via* jest dla niego krainą nieznaną. W najsubtelniejszych dystynkcyach, w drobnostkowem zaciekaniu się i analizie, w łamanych sztukach akrobatycznej dyalektyki wytęża całą bystrość myśli, niejako popisuje się nią. Tomasz św. przeciwnie, nigdy ani na krok nie zbacza ze złotej drogi środkowej. Z tej też przyczyny zajmuje on najwyższe stanowisko w całym owym zastępie filozoficznych znakomitości.

Że te zalety wyszczególniające Anielskiego Doktora opie-

rają się na rzeczywistej podstawie, a nie były tylko jakiemś przywidzeniem opinii spółczesnej, która nie mając zmysłu rzetelnej oceny, chciałaby niezasłużonym uczcić go hołdem, o tem świadczy cześć i szacunek oddawany jego zasługom nieustannie przez sześć wieków następnych.

Czyliż to rzecz możebna, aby to kilkowiekowe uznanie było tylko jakąś modną opinią a nie wyrazem istotnej przedmiotowej wartości? Prawda, wydarza się niekiedy, że mowcy, artyści, poeci, uczeni nawet, a najczęściej filozofowie wchodzą w modę. Napróżno badawczy zmysł sumiennego krytyka szuka w nich wartości, by mógł usprawiedliwić i uzasadnić ten zapał powszechny. Darmo — poszukiwania jego kończą się zwykle na niczem, nic w nich wielkiego i pochwały godnego nie znajduje, choć ich wielkością i talentem się zachwyca. Atoli chwilowe takie oczarowanie publiczności, to tylko szał jednodniowy, to ogień płonącej słomy, co prędko wybucha, lecz gaśnie jeszcze prędzej. Nieubłagany sąd historyi zrywa ten nimbus z czoła modnego mędrca, a dźwięk jego sławy nie doleci już nawet do najbliższego pokolenia. Nie taki wieniec zdobył sobie Tomasz z Akwinu. U stóp jego leżą świadectwa składane przez sześćset lat! Prawie wszystkie dawne i późniejsze zakony obierają go mistrzem i kierownikiem swej kształcącej się młodzieży. Oprócz braci św. Tomasza t. j. zakonu św. Dominika, Karmelici i Benedyktyni, Augustyanie i Jezuici i tyle późniejszych kongregacyj w jego kształcą się szkole. Najsłynniejsze w dziejach uniwersytety, dopóki nie wygasła w nich wiara, głosiły przez całe wieki z filozoficznych swych katedr naukę Anielskiego Doktora. Papieże, którym jako stróżom prawd Boskich przysługuje niezaprzeczone prawo sądu nad świecką filozofią o ile ta wkracza w granice prawd objawionych, wyrażają się z najwyższem uwielbieniem o dziełach św. Tomasza, system jego zowią nauką, od której odstępując, nie podobna nie narazić się na niebezpieczeństwo zawikłania się w błędy. *Ita ut nusquam qui eam tenuerint inveniatur a veritatis tramite defecisse et qui eam impugnaverit, semper fuerit de veritate suspectus* (Innocentius VI. Sermo de S. Thoma). Stolica Apostolska trzykrotną aprobatą zaszczyciła św. Tomasza. Najprzód przy jego kanonizacyi, gdzie Papież orzekł uroczyście,

że nauka Tomasz z Akwinu nie zawiera ani jednego błędu przeciwnego ogłoszonym dogmatom wiary, lecz owszem zgadza się z nią najzupełniej. Powtóre przy ogłoszeniu go Doktorem Kościoła. W tym akcie uroczystym, Stolica Apostolska przedstawia Tomasza św. nie jako mędrca, którego systemu trzymać się można bez niebezpieczeństwa dla wiary, ale jako mistrza, który wśród ciemnych chodników wiary światłem mądrości swojej pewnym krokiem prowadzi. Trzecia aprobata Kościoła — to właśnie okólnik, któremu tę pracę poświęcamy. Od czasów Ojców Kościoła żaden z jego doktorów nie może się poszczycić poparciem swej nauki tak gorącem, tak częstem, i w tak chlubnych wyrazach, w jakich Kościół zawsze zalecał naukę św. Tomasza [1]. Nic więc dziwnego, że Leon XIII. pragnąc wskazać synom katolickiego Kościoła bezpieczną gwiazdę przewodnią, któraby im przyświecała na drodze filozoficznych badań, wybrał z całego szeregu wielkich geniuszów nauki, jednego tylko Tomasza z Akwinu. Trafność tego wyboru potwierdza i jawnie uznaje cały Kościół katolicki — nie osobnym wprawdzie dekretem, ale stałym oddawna datującym się zwyczajem. Na soborach: lyońskim, wiedeńskim, florenckim, trydenckim i watykańskim, nauka św. Tomasza była normą, według której wydawano sąd o błędach odstępstwa, herezyach i racyonalizmie. Sobór trydencki obok pisma św. i dekretaliów papieskich kazał położyć na ołtarzu summę św. Tomasza, aby do niej uciekać się po radę, z niej czerpać dowody, w niej szukać rozwiązania trudności.

Wreszcie powołuje się Leon XIII na pochwały, których ś. Tomaszowi nie szczędzą sami nawet heretycy. Między nimi wyrobiło się to przekonanie, że gdyby można było zniszczyć pisma i usunąć naukę ś. Tomasza, nietrudno byłoby podkopać i zburzyć katolicki Kościół. Płonna to wprawdzie nadzieja, ale świadectwo nie bez prawdziwej wartości. *Inanis quidem spes, sed testimonium non inane.*

Temi słowy zamyka Papież teoretyczną część Encykliki, przechodząc od praktycznego zastósowania udowodnionej kon-

[1] Dominikańskie Bullarium przytacza około 30 listów papieskich gorąco polecających system św. Tomasza.

kluzyi. Tu zwraca się on do biskupów (do nich to bowiem odnosi się całe to pismo) ze skargą, że ta dawna filozofia, która już tyle błogich wydała owoców, dziś ze szkodą ludzkości traci powszechny szacunek, a na jej miejsce wstępuje inna, siejąca dokoła tylko niepewność, zwątpienie i błędy. Niestety, mówi dalej Namiestnik Chrystusowy, nowa ta filozofia znajduje niekiedy przystęp i do katolickich uczonych, którzy wolą raczej całkiem się wyrzec drogiej spuścizny dawnych mędrców, aniżeli wzbogacać ją nowemi zdobyczami. Dla tego z pochwałą i uznaniem odzywa się on do uczonych i biskupów, którzy w ostatniej połowie naszego stulecia dokładali wszelkich starań, aby filozoficzne studya wprowadzić na tory wytknięte przez ś. Tomasza. W końcu zachęca ponownie wszystkich biskupów, aby uczącej się młodzieży otwierali owe źródła, z których płynie najczystsza woda filozoficznej wiedzy. Oto przyczyny gorącej jego odezwy. Czasy nasze, czasy wzrastającej niewiary, wymagają od sług Kościoła wystąpienia w pełnej zbroi naukowej wiedzy, aby roztropnie i umiejętnie bronić sprawy religijnej. Ludzi, którzy lekceważąc prawdy objawione własnego tylko rozumu chcą słuchać, takich ludzi trzeba pozyskać dla wiary, wykazać im Boski jej początek i zgodność z rozumem. Pokój i szczęście ludzkości zawisłe od zdrowych zasad, od zasad prawdziwej wiary.

Wszystkim umiejętnościom potrzeba nowej dźwigni, wyższego polotu, barw, piękniejszych i czystszych. Potrzeby te dałyby się zaspokoić zwrotem filozoficznych dążności do najwznioślejszego wzoru, do nauki Tomasza z Akwinu. On sam powinien być mistrzem ludzkości a nie scholastyczna filozofia w ogóle, aby się komu nie zdawało, że znów powstać i panoszyć się mają wszystkie jej subtelne kwestye i płytkie a bezcelowe rozprawy, wszystkie przesadzone dyalektyczne szermierki, wszystkie dziwaczne pojęcia niezgodne z rezultatami ścisłych nauk dzisiejszych. Z samych więc dzieł ś. Tomasza, czerpać należy, lub przynajmniej z dzieł, które w jego duchu pisane jego też myśli wiernie odzwierciedlają; nie zaś z owych źródeł nieczystych co w swych własnych mętach okazują nam mądrość Anielskiego Doktora, skażoną naleciałościami obcych żywiołów. — Ostatnie słowa Encykliki są wyrazem nadziei, że przy gorącym współ-

udziale sił naszych, sam Bóg też pospieszy z pomocą i błogosławieństwem. W tym celu idąc w ślady ś. Tomasza, wszyscy jednomyślnie kornemi modły wzywać powinniśmy Tego, który jest dawcą wszelkiego światła, aby wierne swe dzieci napełnił duchem prawdy i wiedzy, aby oświecił ich umysł do zrozumienia prawdziwej mądrości. W modlitwach tych wsparciem i pomocą niech nam będzie Najśw. Marya Panna, Stolica Mądrości i patronka Kościoła i oblubieniec Jej ś. Józef, niech tem wsparciem będą owi wielcy Apostołowie Piotr i Paweł, którzy niegdyś sami cały świat starożytny stoczony trądem błędów, odświeżyli rosą prawdy nadprzyrodzonej, rozpogodzili światłem Boskiej mądrości.

Taka jest treść i tendencya papieskiej Encykliki. Zanim przypatrzymy się bliżej jej doniosłości, niech nam będzie wolno już z góry odpowiedzieć na niektóre zarzuty. Nieraz i u nas spotkać się można ze zdaniem tylekrotnie powtarzanem w liberalnych dziennikach włoskich, że okólnik Leona XIII, to świeży przykład, dowodzący jak Papieże, wiedzeni żądzą absolutnej władzy, przywłaszczają sobie prawo mięszania się do tego co jest po za obrębem ich kompetencyi. Wszak Papież nawet według pojęć katolickich jest stróżem tylko samego Objawienia. Do tej zaś kategoryi nie zalicza się filozofia; ta bowiem nie na Objawieniu ale na rozumie się opiera. A więc Papież o filozofią troszczyć się niepowinien. Co więcej, okólnik jego wkracza w prawa przysługujące samemu tylko rządowi. Filozofia bowiem, to jeden z wydziałów szkół publicznych, a tam prócz państwa nikt inny żadnych zmian zaprowadzać nie ma prawa. Tymczasem zjawia się list papieski, polecający biskupom zmienienie studyów według danych wskazówek, jak gdyby biskupi mieli jakąś władzę po nad najwyższem zwierzchnictwem państwowem.

Słówkiem odpowiem na obydwa zarzuty.

Papież jako stróż wiary ma istotne prawo i obowiązek, ostrzegać wiernych przed wszelką doktryną, która uwłacza wierze i wrogo przeciw niej występuje. Że zaś właśnie filozofia tak często stawia teorye zasadniczo niezgodne z dogmatami wiary i wprost przeciw nim wymierzone, więc oczywiście ten, którego pieczy powierzony jest skarb wiary, musi mieć prawo i możność

oddziaływania na te teorye, musi mieć prawo do krytycznego sądu o takich doktrynach, które choć w samym tylko rozumie uzasadnienia szukają, jednak tak ściśle wiążą się z dogmatami wiary, że prawdziwość jednych, od prawdziwości drugich bezwzględnie zawisłą być musi. Jakim np. sposobem mógłby Kościół obronić wiarę w osobowego Boga, Stworzyciela świata, gdyby mu nie wolno było potępić panteizmu, który z tą wiarą w jawnej stoi sprzeczności? Kościół więc czuwając nad całością wiary ma tem samem prawo rozciągać swą pieczę i na filozoficzne doktryny o ile te wchodzą w związek z prawdami objawianemi. Istną bowiem niedorzecznością przypuścić, żeby to, co prawdą jest w porządku wiary, mogło być błędem w porządku filozofii. Prawda jest tylko jedna, a ta prawda jeśli tylko przystępną jest dla rozumu, stanowi przedmiot wiedzy zarówno Boskiej jak ludzkiej. Dla tego też Kościół prawnie postępuje, owszem spełnia wówczas cząstkę swego posłannictwa gdy przemawia do wiernych: Wśród prac i badań waszych kierujcie się tą a nie inną nauką, bo w niej żadne niebezpieczeństwo wierze nie zagraża. Tę samą przestrogę powtórzyć może Kościół ze względu na drugi zakres swego nauczycielskiego urzędu. Papież jest stróżem nietylko prawdziwej wiary ale i prawdziwej moralności. A prawo moralne również jest przedmiotem badawczych usiłowań rozumu. Przykazania podane na kamiennych tablicach na górze Synaj, wyryte już były ręką tego samego prawodawcy na duchowych tablicach ludzkiego rozumu. Prawo moralne nadane Objawieniem to tylko czystsze i przejrzystsze określenie praw wrodzonych, a sprzeczności między niemi nie ma żadnej, ani być nie może. Jeżeli zatem filozofia szerzy doktryny obalające kodeks prawa objawionego, to niezawodnie doktrynom takim prawda obcą być musi, a urząd nauczycielski, którego zadaniem jest czuwać nad czystością i nietykalnością moralnych zasad, może i powinien filozofią taką potępić, jako mistrzynię kłamstwa. Słusznie więc i z tego względu ten sam najwyższy urząd nauczycielski ma prawo powiedzieć swym uczniom: Jeśli moralnych powinności człowieka rozumem dochodzić pragniecie, niech na tej drodze kierownikiem i mistrzem waszym będzie ten, którego ja wam wskazuję; w jego naukach znajdziecie jasne i głęboko rozwinięte pojęcia, znajdziecie zasady

przepisom moralności Bożej w niczem nie uwłaczające ani szkodliwe.

W takim tylko duchu przemawia w Encyklice Leon XIII. prawem swej najwyższej nauczycielskiej powagi w rzeczach wiary i obyczajów. Niesłusznie więc partya liberalna obwinia go o wyjście poza obręb swej władzy.

Mniej jeszcze uzasadnione jest drugie oskarżenie o uzurpacyą praw zwierzchnictwa nad szkołami, będących, jak sądzą, wyłącznym przywilejem najwyższego majestatu państwa. Bynajmniej nie zamierzamy tu zastanawiać się nad legalną słusznością tego prawa, które rząd sobie przywłaszczyć usiłuje, na razie nie ma potrzeby rozbierania tej kwestyi. Stolica ś. ze zwykłą sobie roztropnością zawsze we wszystkich swoich rozporządzeniach, rachuje się ze stanem obecnym, chociażby ten stan nieopierał się na gruncie uprawnionym. Tak też i tutaj. Rozporządzenie wydane do biskupów jest prostą tylko zachętą i wezwaniem ich, aby w obrębie swych dyecezyj, o ile to w obecnych stosunkach będzie możliwem, skutecznie na to wpłynęli, żeby kształcącą się młodzież zapoznać z nauką ś. Tomasza, a pod jej puklerzem łatwiej uchronić młode umysły od wpływu przewrotnych teoryj, które i wiarę ich zachwiać i moralność podkopać są w stanie. Papież zachęcając biskupów do takiego postępowania, określa tylko nieco dokładniej to, czego sam już urząd pasterski od nich się domaga. Jako najwyżsi pasterze w poruczonych sobie dyecezyach, mają oni ścisły obowiązek chronić serca swych wiernych przed zatrutem nasieniem błędów. A czyliż młodzież poświęcająca się naukom w szkołach rządowych, nie należy do liczby tych wiernych? Owszem, młodzież ta to część jej najważniejsza, to rdzeń każdego społeczeństwa; od warunków publicznego wychowania młodzieży zawisło szczęście lub zguba wielu pokoleń. A zatem Papież w swojej Encyklice nie uwłacza przywilejom rządowym, tylko spełnia święty swój obowiązek.

Nie możemy pominąć jeszcze jednej, ważnej okoliczności. Odezwa papieska, lubo bezpośrednio wystósowaną jest do biskupów, nietylko ich dotyczy, ale i tych wszystkich, którzy jakikolwiek mają udział w zarządzie szkół publicznych, a szczerze pragnąc zostać dziećmi katolickiego Kościoła, nie zaparli się

zwierzchnictwa Papieża nad sobą. Ale nawet i tacy, co odłączywszy się od Kościoła, nie uznają Boskiego początku i nauczycielskiej jego powagi, nie powinni z lekceważeniem pomijać zasad i poglądów zawartych w papieskiej Encyklice lecz owszem z uwagą zastanowić się nad nimi. Bo zapatrując się nawet z naturalnego tylko stanowiska, nauczycielski urząd Kościoła przedstawia się nam jako zjawisko tak potężne, tak wyjątkowe, że podobnego doń nie znajdzie na ziemi. Ta najwyższa władza już od dziewiętnastu wieków spełnia bez przerwy swe posłannictwo. Nauka ustami jego głoszona od początku aż po dzień dzisiejszy zawsze jest ta sama. Stulecia przesuwające się kolejno, nie nadwerężyły jej w niczem. A przecież ta nauka pod strażą Kościoła nie pozostała martwą tylko mumią, bez ruchu i życia, lecz rosła jak żywy organizm, który wnętrzną swą siłą kształtuje się i rozrasta, nie zmieniając swojej istoty. Ten wzrost ustawiczny, ten coraz doskonalszy rozwój prawd objawionych, co jak pączki wystawione na promienie słońca pełnym strzelają kwiatem, to właśnie dzieło nauczycielstwa Kościoła. Gdzie znajdziem na ziemi podobną instytucyą?! Jeśli więc taka powaga występuje i uroczyście zapewnia, że dla dobra społeczeństwa ludzkiego potrzeba zmienić kierunek w jednym z działów naukowych, że potrzeba się jąć innego systemu i za innym pójść mistrzem, naonczas zapewnienia takiego ani lekceważyć, ani tem mniej z jawną pogardą odrzucać się nie godzi. Postępek taki byłby w każdym razie, co najmniej nierozumnym.

A zatem Encyklika „Aeterni Patris“ nie wdziera się w państwowe przywileje, tylko zbawienną daję przestrogę, którą i rządy świeckie na uwagę wziąśćby powinny dla szczęścia ludzkości, dla dobra swoich poddanych. (C. d. n.)

X. A. Langer.

HORWACI W DALMACYI.

(Dokończenie.)

4. Przebieg dziejów horwackich począwszy od Zwonimira po czasy dzisiejsze. — Horwaci złączyli się z Węgrami, ale z nimi się nie zlali. — Horwaci, na mocy przywilejów otrzymanych od królów węgierskich, począwszy od Kolomana, mają prawo do samorządu; w skutek zaś swej wierności dla korony, mają prawo do jej opieki przeciwko Madziarom. — Węgrzy dążą do zmadziaryzowania Horwatów, Horwaci zaś do trójjedynego królestwa Horwacyi, Sławonii i Dalmacyi w niezależności od Węgier. — Streszczenie dziejów Serbii. — Stosunki Serbów ze Stolicą św. — Błędne mniemanie, jakoby bitwa na Kosowem polu spowodowała upadek państwa serbskiego. — Katolicka dynastya Balszów panuje nad Zetą i Pomorzem w Skadarze. — Balszowie wymierają, Skadar dostaje się naprzód Wenecyanom, potem Turkom. — Knez Crnojewić utrzymuje się nad Zetą w Cetynii. — Władykowie rządzą w Czarnejgórze. — Daniło zrzeka się władzy duchownej, zachowuje polityczną i zakłada dynastyą, która obecnie panuje w wolnem księstwie Czarnogórskiem. — Bośnia wraz z Horwacyą dostaje się do korony św. Szczepana. — Bośnią rządzą banowie w zależności od królów węgierskich. — Ban Kulin i Bogumilcy. — Ród Kotromaniców, z którego pochodziła Elżbieta, matka naszej Jadwigi. — Ban Twerdko korzysta z zamieszek domowych w Węgrzech i ogłasza się „królem Bośnii“, koronuje się również na „Króla Serbii“. — Tomasz Ostojowicz powraca z bogumilstwa na katolicyzm. — Zgromadza wielki wiec Słowian południowych, którzy w Konjicy, pod przewodnictwem legata papieskiego obradują. — Stosunki Ostojowicza ze Stolicą św. — Ogłasza wielką wyprawę przeciw Turkom. — Ginie z ręki skrytobójczej. — Krótkie panowanie Szczepana Tomaszewicza; ścięty przez Turków. — Syn i córka Tomasza Ostojowicza poturczyli się; żona jego Katarzyna umiera w Rzymie zapisawszy testamentem królestwo Bośniackie Stolicy św. — Ziemia zachełmska, chełmska, humska, Zagórze, ziemia św. Sawy albo Hercegowina w części zależnie, w części niezależnie rządzoną była przez różnych książąt, którzy prawie wszyscy zarażeni byli sektą bogumilską; ostatni z Kosaczów Władysław sturczywszy się, wydał

kraj w ręce Mahometa. — Szlachta bośniacka i hercegowińska poturczyła się. — Rzeczpospolita dubrownicka. — Dubrownik był największym grodem w południowej Słowiańszczyźnie, pod względem znaczenia politycznego, zarządu wewnętrznego, handlu, dobrobytu i wpływu na sąsiednie państwa; pod względem ogłady i oświaty nazywany jest „Atenami Słowiańskiemi". — Dubrownik jest ojczyzną wielu znakomitych mężów sławy europejskiej; stosunki Gundulića i Boszkowića do naszego kraju. — Zakończenie.

Wraz ze śmiercią Zwonimira straciła Horwacya dalmacka samobyt, ale nie straciła narodowości; złączyła się z państwem św. Szczepana, lecz z niem się nie zlała. Upłynęło już lat osiemset od czasu, kiedy legat Namiestnika Chrystusowego zdobił koroną czoło ostatniego jej króla w stołecznym grodzie horwackim, zaginęła korona, niestało grodu, a oto żyjące dziś pokolenie wskazując na szereg mogił ojców swych Jelaczićów, Zrińskich, Frankopanów, Szubićów, Swaczićów, Nalepićów..., spadkobierców i prawych dziedziców potęgi i ziemi Zwonimira, Krieszimira, Porgi, w moc świętego prawa „ojcowizny" dopomina się swej schedy. Zmieniły się okoliczności, punkt ciążenia i zjednoczenia z nad Adryatyku przeniósł się nad Sawę, a choć od wschodu Welebit i Dynary ścieśniły na teraz dawne państwo Zwonimirowe, wzmógł się za to i rozwielmożnił ród i duch Horwatów nad Sawą, Kupą i Drawą.

Dzieje Dalmacyi w czasach pozwonimirowskich należą do historyi Horwacyi posawskiej, stąd nie możemy ich podawać nie wspominając coś o tej ostatniej. Oprócz względów szczepowych, które słuszne zajęcie w nas budzić powinny, żywe przebudzenie życia narodowego w tym kraju, niedawno zaszłe tam wypadki, naprężone obecnie stosunki, spodziewane zajścia w przyszłości, nadto, błędne wiadomości, z jakiemi spotkać się można w peryodycznych pismach naszych o Horwacyi, są dla nas powodem, iż trzymając się ram i przedmiotu z góry określonego, podamy tu, w miniaturowym obrazku, przebieg dziejowy tego narodu. W tem krótkiem streszczeniu chcemy zaznaczyć rodową i dziejową jedność Horwatów, zasiadających dziś na sejmie zagrzebskim, z Horwatami dalmackimi, wskazać nieprzerwane pasmo życia narodowego, uwydatnić zasadnicze rysy i wykazać wiekowe ich walki i dążności; tym sposobem dokładniej zrozumiemy po-

łożenie ich obecne, snadniej i prawdopodobniej wnioskować będziemy w stanie o ich przyszłości.

W pierwszych zaraz czasach osiedlenia swego w Dalmacyi część Horwatów zajęła Panonią posawską, gdzie zostawali pod władzą banów w Sisku i Śrémie ; w Istryi również mieli osobnego bana. Mało co wiemy o dziejach odnoszących się do pierwszych kilku wieków ich tam pobytu. Jaki był ich stosunek do Abarów, niewiadomo; pewną jednak jest rzeczą, iż ulegali potężnej władzy Karola W. jak i ich bracia w Dalmacyi. Za panowania Ludwika Pobożnego wzrósł w siłę Ludewit, ban dolnej Panonii, i gdyby nie zawiść Borny dalmackiego, a ogólnie, gdyby nie ten brak charakterystyczny spójni plemiennej u ludów słowiańskich, byłby mógł Ludewit utworzyć państwo dość silne do oparcia się Frankom i Bawarom z jednej strony, a z drugiej Grekom, Bułgarom i wreszcie Madziarom. W IX-ym w. historya wspomina Pribinę i Kocela, książąt horwackich, którzy jakiś czas niezależnie panowali między Sawą i Drawą; na dworze księcia Błockiego przebywał św. Metody. Z początkiem X-go stulecia Madziarzy zalewają Panonią; z końcem XI-go św. Władysław, król węgierski, a brat żony Zwonimirowej, odziedzicza spadek po siostrze, zajmuje część Dalmacyi, posiadał już Horwacyą posawską i założył biskupstwo w Zagrzebiu (1091).

Następca Władysławów Koloman koronuje się w Biogradzie (nad Adryatykiem) koroną Zwonimirową (1102) i łączy pod swem berłem wszystkich Horwatów: odtąd Węgrzy i Horwaci, zjednoczeni w koronie św. Szczepana, pod władzą panujących z różnych domów, dzielą złą i dobrą dolę państwa, lecz w wewnętrznych swych stosunkach a czasem i w zewnętrznych kierują się własnemi potrzebami i dążnościami.

Ustrój społeczny w obydwu krajach był federacyjny: na czele panów węgierskich stał palatyn, ban zaś między Horwatami. Bywał Ban Dalmacyi, Ban Horwacyi (Zagrzeb), Ban Sławonii, Ban Bośnii; czasami godności te były łączone, czasami na jakiś czas zawieszane, stosownie do woli królewskiej i okoliczności — odnosi się to szczególniej do Dalmacyi.

Cesarze bizantyjscy rościli sobie prawo do miast nadbrzeżnych adryatyckich, uzyskali niektóre z nich za Karola W., nie

utrzymali się w nich, lecz nie stracili nadziei, ani nie zaniechali zabiegów; zagrożeni jednak w innych swych dzielnicach, odstąpili praw swych Wenecyi. Mletczanie, jak ich zowią Horwaci, od dawna pożądliwem okiem spoglądali na mnogie wyspy i otoki z licznemi i nader dogodnemi przystaniami; rzeczpospolita rozumiała dobrze, iż nie może być „Panią mórz", nie będąc Panią Dalmacyi, stąd krwawe boje przez długie wieki. Od Karola W. do Ludwika W. nie żałowała Wenecya krwi i dukatów, by posiąść te ziemie; w środkach zaś, jak wiadomo, nie przebierała: palili i burzyli wszystko czem zawładnąć, albo przyczem utrzymać się nie mogli. Zmuszeni przez Ludwika (pokojem turyńskim z r. 1381) do zrzeczenia się tytułu książąt dalmackich, dzierżyli jednak dalej niektóre posiadłości, a w r. 1404 kupili sobie za sto tysięcy dukatów od króla horwackiego Władysława, syna Karola Drackiego (małego), prawa jego do Dalmacyi. Do roku 1797 Dalmacya zostawała w ręku Wenecyan, którzy się z nią po macoszemu obchodzili. Budowali zamki i twierdze obronne, lecz wywracali porządek moralny: systematycznie starali się o wynarodowienie Horwatów i o wyzyskanie ziemi na swą wyłączną korzyść, a po czterowiekowym ucisku zostawili gruzy, spustoszenie i nienawiść plemienną tak głęboką, iż gdyby Horwaci mieli dziś wybór między niewolą turecką i włoską, na pierwszą raczej pisaćby się gotowi. W r. 1805 Dalmacya przeszła pod zarząd francuski. Francuzi krótko bardzo dzierżyli Dalmacyą (1805—1815), ale roztropna i światła administracya Danduli zostawiła wybitne ślady swej pieczołowitości o dobro kraju i niestartą pamięć wdzięczności w sercach Horwatów. Szkoły, drogi, podniesienie rolnictwa, przemysłu, handlu, zabezpieczenie mienia, wymiar sprawiedliwości, wszystko to, po dziś dzień jeszcze zawdzięcza Dalmacya dobroczynnym wpływom rządu francuskiego. Pokój wiedeński przyznał Dalmacyą Austryi i odtąd jako jedna z prowincyi przedlitawskich, należy do korony habsburgskiej.

Horwaci we właściwej Horwacyi[1] i Sławonii dzielili dalej

[1] Horwaci nazywają swą ojczyznę „Hrvatska" Horwatska, t. j. ziemia horwacka, podobnie jak i my ziemię polską zowiemy Polska. Inne kraje nazywają również: Czeska, Polska, Ruska, Niemska, Ugarska, Turska...

losy korony węgierskiej. Po wygaśnieniu domu arpadskiego w osobie Andrzeja Wenecyanina, Horwaci koronowali w Zagrzebiu (1300) na króla horwacko-węgierskiego Karola Roberta. Długie panowanie Karola i syna jego Ludwika nie przedstawia nic szczególnego w historyi horwackiej, dopiero po śmierci tego ostatniego nastały zamieszki domowe i trwały kilka dziesiątek lat. Przeciwko stronnictwu Maryi, córki Ludwika, na którego czele stał palatyn Mikołaj Gorjanski (Gara), wystąpili: Paweł Horwat, biskup zagrzebski, ban horwacki Jan Horwat, prior wrański Jan Paliżna i Szczepan Twerdko, król bośniacki; popierali oni kandydaturę Karola Drackiego, którego ogłosili królem i koronowali w Stołecznem Białogrodzie (Stul-weissenburg). Miasto się łączyć przeciw wspólnemu wrogowi, który zalewał południową Słowiańszczyznę, mordowali się wzajemnie panowie węgiersko-horwaccy i rozlewali krew chrześcijańską. Z namowy królowej Elżbiety pada Karol Dracki pod ciosami Forgacza i Gorjanskiego (1386), a oni sami giną niebawem w zasadce przygotowanej przez Jana Horwata. Elżbieta Kotromanićówna, matka królowej Maryi, zaduszona jest w Nowigradzie w oczach własnej córki, z rozkazu Jana Paliżny. Jan Horwat schwytany ginie okrutną śmiercią z wyroku Zygmunta, głowy trzydziestu dwu panów horwackich padają w Budzie pod mieczem kata, wreszcie śmierć zabiera najgłówniejszych sprawców rozterek: Pawła Horwata, Jana Paliżnę i Twerdka; spokój jednak nie jest przywrócony. Stronnictwo neapolitańskie koronuje Władysława (5 sierp. 1403) w Zadarze, inni uznają Zygmunta królem. Po Zygmuncie nowe zamieszki: jedni trzymają z żoną jego Elżbietą, inni są za Władysławem Jagiellończykiem. Klęska warneńska wywołuje nowych pretendentów: Władysław Pogrobowiec służy obcym i swoim za narzędzie do wznowienia wojny domowej. Fryderyk niemiecki i książęta Celscy nie dozwalają Huniadowi użycia wszystkich sił do pogromu Turków. Maciej Korwin wojuje z Czechami i Polską, zamiast łączyć się z nimi przeciw głównemu wrogowi chrześcijaństwa, który grabi, pali i zabiera prowincye horwackie. Jagiellończykowie, Władysław[1] i syn jego Ludwik nie mają dosyć

[1] Kroniki węgierskie opowiadają, iż Władysław słabego był

środków do przywrócenia pokoju wewnątrz, ani do oparcia się na zewnątrz potędze muzułmańskiej. Korona św. Szczepana przedstawiała w owej epoce, a i długo jeszcze potem, rozstrój, jaki panował za najgorszych czasów Rzeczypospolitej polskiej. Panowie węgierscy i horwaccy w swych ogromnych posiadłościach byli niezależnymi prawie [1], nie rozumieli jedności państwa, ani też dbali o jego całość: nie płacili podatków, trzymali stronę tego, który im więcej obiecywał, lekkomyślnie przerzucali się na przeciwną stronę. Niepłatne wojsko zaciężne dopuszczało się nadużyć i odmawiało posłuszeństwa, skarb stał pustkami, król Ludwik w takim bywał niedostatku, iż jak donosi papieżowi legat Burgio „nie ma czasem co jeść... butów nie ma". Kiedy w miesiącu lipcu r. 1525 postanowiono zgromadzić wiec w Hatwan, król nie miał o czem odbyć tej podróży i dopiero tenże legat Burgio przyszedł z pomocą, posyłając mu cztery tysiące złotych. W takim stanie rzeczy nic dziwnego, iż państwo węgierskie stawało się łupem Muzułmanów, pomimo bohaterskiej odwagi chrześcijan, pomimo rozlania szlachetnej krwi Jagiellończyków pod Warną i Mohaczem.

Ludwik nie zostawił następcy. Jedno stronnictwo koronowało Jana Zapolskiego (11 list. 1526 r.) w Stołecznem Białogrodzie, drugie ogłosiło królem w Pożunie (15 grud. 1526 r.) Ferdynanda austryackiego, ożenionego z siostrą Ludwika; było więc dwu królów naraz, a Turcy zagospodarowali się już na dobre w Sławonii. Zapolski pobity od Ferdynanda śle posłów do Wenecyi

---

charakteru, rządził nim samowładnie kanclerz, biskup Tomasz Bakacz; na wszystko co kanclerz przedstawiał, król miał odpowiadać „dobrze": Na svaku stvar rekao bi kralj: „dobrze" kako ga je majka Poljakinja naučila (Smicz. D. I., str. 678).

[1] Smiciklas wymienia główne rody, które w XVI. w. dzieliły się Horwacyą: Pomiędzy Werbasem i Uną byli Blagajscy i Keglewići, na północno-zachodniej stronie Uny, Frankopani Terżaccy, większa część okolic Liki i Kérbawy znajdowała się w ręku Karłowiców, na pomorzu panowali Frankopani Ozalscy, pomiędzy Uną i Kupą możny ród Zrińskich, ziemie między Sawą i Kupą należały do biskupów i kapituły zagrzebskiej, w Moslawinie rządzili Erdedzi, na Posawiu Zapolscy i Kaniżajowie, na Podrawiu Morowići i Banowići, środek Sławonii zajmowali Prodanićowie (Nadażdija), w Zagórzu Draszkowiciowie i Baćani.

i Francyi; do Polski posyła mnicha, Jerzego Utjeszenića, który tam rozległe zawiązał był stosunki podczas swego przełożeństwa w klasztorze Częstochowskim; do Turcyi Hieronima Łaskiego. Łaski okrył nasz kraj i swe imię sromotą; sprowadził tłuszcze muzułmańskie na chrześcijan. Z poręki Solimana i pod bagnetami janczarów panował Zapolski w Budzie, lecz syn jego małoletni Jan Zygmunt, pomimo zabiegów Utjeszenića, biskupa już podówczas, nie objął po nim dziedzictwa, całą Sławonią i część Węgier między Dunajem i Cisą wraz z miastem Budą przyłączył Soliman do swych posiadłości.

Zapolski nie był pierwszym zdrajcą swego kraju, ani też ostatnim: przed nim i po nim cały szereg panów węgierskich, wiedzionych żądzą panowania i nienawiścią ku katolicyzmowi, stąpał tymi wstrętnymi śladami. Rakoczowie, Boczkaj [1], Bethlen, Tököly, wszyscy kalwini, łączyli się ze swymi współwyznawcami w Siedmiogrodzie, podburzali skalwinionych Słowaków w północnych Węgrzech i pod buńczukiem stawali naprzeciw bratnich szeregów. To nam tłómaczy, dlaczego stolica Węgier nie brała udziału w dwusetnej rocznicy odsieczy wiedeńskiej — nie w chorągwiach bowiem chrześcijańskich, lecz w tłuszczy muzułmańskiej znajdował się Tököly ze swymi Madziarami w wojnie r. 1683.

Podczas gdy wschodnia część korony św. Szczepana wystawiona była na ciągłe powtarzające się rokosze, zachodnia jej część i południowa, Horwacya, broniła się, choć często bezskutecznie, przeciw napadom Turków, lecz stała wiernie przy koronie. Horwacya była zawsze szczerze katolicką, wszelkie „nowinki“ genewskie czy wirtembergskie stanowczo odrzucała [2], a ponie-

---

[1] Podczas rokoszu węgierskiego w r. 1848 i 49, Madziarzy wystawili nowy pułk huzarów i dali mu nazwę „Boczkaj“. Otóż, jakkolwiek należy przyznać, że stare pułki huzarskie dzielnie się biły, ci Boczkaje nie przysporzyli sławy imieniowi, które nosili. Pierwszy świst kuli rozpraszał ich na wszystkie strony, nie dotrzymali placu w żadnej utarczce; bywało, iż jeden kozak (sic) pędził przed sobą całą chmarę Boczkajów! Z tego powodu Polacy, którzy zapewne raz ostatni po stronie Madziarów walczyli, ucharakteryzowali ich nazwę, przemienili *b* w *p* i wołali na nich „Poczkaj“!

[2] Nie mogący być podejrzanym o klerykalizm horwacki historyk Smiciklas pisze (Pov. Hrv. D.o II., str. 110): „Hrvatski stališi

waż prawowierny dom Habsburgów dawał jej, pod tym względem, wszelkie rękojmie, stąd wynikło jej przywiązanie do dynastyi.

Jeden tylko znalazł się wyjątek w ich dziejach, raz jeden zapomnieli Horwaci co są winni Bogu i swemu monarsze, i ciężko ten raz odpokutowali: głowy ostatnich przedstawicieli dwu najstarszych i najznakomitszych rodów horwackich, Piotra Zrińskiego i Franciszka Frankopana, padły w Wiedniu pod mieczem kata 30 kwiet. 1671 r. Surowa sprawiedliwość została wymierzona; zapomniano jednak o najdostojniejszym przywileju królewskim, o prawie łaski: nie wzięto w rachubę, że ci buntownicy sprzysięgali się byli wprawdzie z Turkiem, ale oni sami, a przez wiele wieków przodkowie ich, mężną piersią zasłaniali kraj i tron przed wrogami, że chwilowo obałamuceni poddali się na łaskę i niełaskę i mieli przyrzeczone przebaczenie. Stąd dziwić się nie można, że mają żal Horwaci po dziś dzień; skrajni uznają ich za męczenników narodowych, a sejm tegoroczny zagrzebski postanowił przeprowadzenie ich kości i uroczyste pochowanie.

Do XVIII-go niemal wieku nie było właściwie między Horwatami poczucia narodowości. Byli banowie horwaccy, były wielkie rody, szlachta i lud byli Horwatami, lecz ich narodowość nie miała cech wybitnych. Język sejmowy, prawniczy, dyplomatyczny, naukowy był łaciński; wykształceńsi mówili i pisali po

---

odbijahu najodlučnije novu vjeru (protestancką) sa zemljišta svoga. Kada se je početkom sedamnaestoga vieka Ugarska sbog slobode protestantske vjere najviše uzrujala i Stiepana Bočkaja za kralja izabrala, a kašnje se i austrijski stališi ugarskim pridružili i savez učinili pod zaštitom kraljeva brata Matije i Hrvate u savez pozvali, Hrvati pristaju uz savez za slobodu svoju, ali u isti čas „za dobro domovine svoje složnim glasom svega kraljevstva na obranu prave stare svoje vjere“, pozivlju red Isusovaca u svoj glavni grad Zagreb, a protestante neka tjeraju biskup i ban iz cieloga kraljevstva. Kada su Ugri navaljivali da i Hrvati dadu slobode protestanstvu, sjajno prosvjedova ban Tomo Erdedi. Izvukavši mać iz korice zaprieti Magjarom: „Ovim mačem izkoreniti ćemo tu kugu, ako stupi na vrata naša; još imademo tri rieke, Savu, Dravu i Kupu, jednu ćemo dati piti novim gostom — i volim s cielim kraljevstvom odtrgnut se od krune ugarske, nego li da pod mojom vladom bude ta kuga u našoj zemlji“.

włosku, w ognisku domowem przechowywał się język horwacki. Rodziny madziarskie, posiadłszy majątki w Horwacyi, przyjmowały zwyczaje i mowę miejscowego ludu, rodziny również horwackie łatwo się madziaryzowały w Węgrzech; zdarzało się często, iż w jednej i tej samej rodzinie jeden brat był Horwatem a drugi Węgrem: wyżej wspomniany Piotr Zriński pisywał dzieła po horwacku, brat jego rodzony, ban Mikołaj Zrini, zalicza się w piśmiennictwie węgierskiem do lepszych pisarzy. Narodowość obudziła się w Horwacyi pod naciskiem innoplemiennym.

Dopóki wszechwładną była potęga Osmanów, dopóki rok rocznie hordy ich łupiły ziemie horwackie, dozwalano Horwatom bronić się jak się im podobało; każdy z panów horwackich, by się zasłonić przed najazdem, radził sobie jak mógł i rozumiał: budował twierdze, osadzał je swemi załogami, trzymał wojsko, wymierzał sprawiedliwość, kował pieniądze i robił wycieczki w kraje pohańców na własną rękę. Wraz z pogromem Kara Mustafy upadła potęga turecka: dzielny książe Lotaryngski i waleczny książe Eugeniusz dokonali świetnie poczętego dzieła Jana III. Dunaj i Sawa stały się granicami Turcyi, a i te granice przekraczali nieraz wodzowie Habsburgów. Przywrócony ład na zewnątrz umożebnił wprowadzenie go wewnątrz; należało rozumnie skojarzyć różnorodne żywioły, zespolić z sobą liczne kraje i kraiki, i uwzględniając historyczne i etnograficzne stosunki, nadać państwu jednolitość kierunku. To zasadnicze zadanie władzy nie zawsze należycie było pojmowane, a nadto, jeszcze mniej roztropnie wprowadzane w życie. Mało oględni i krótkowidzący wykonawcy woli królewskiej poświęcali często wrzekomemu dobru ogółu słuszne wymagania poszczególnych krajów, tym sposobem koniecznie wywoływali przeciwdziałanie odporne i miasto usuwania, przysparzali państwu trudności. W porządku fizycznym parcie wywarte na ciało stałe wyrabia w niem działanie sił molekularnych, skutkiem którego albo rozpada się ono na cząstki nie mające z sobą więcej spójni, albo wywołuje napięcie, które w pewnych okolicznościach nietylko udaremni usiłowanie ciała cisnącego, lecz nadto odpycha je z równąż siłą. Każda karta historyi świadczy o istnieniu w porządku moralnym prawa stwierdzonego w porządku fizycznym. Germanizacyjne zachcianki

gabinetu wiedeńskiego wywołały w Węgrzech i Horwacyi poczucie narodowości: skupili się Horwaci około swego bana, około palatyna Węgrzy, dla skuteczniejszego oddziaływania ścieśnili luźne dotąd związki między Budą i Zagrzebiem.

Sejm (sabor) horwacki zwoływany przez bana zgromadzał się w Zagrzebiu. Radzili o podatkach i o sile zbrojnej, sądzili spory, stanowili prawa, które przedstawiali królowi do potwierdzenia. Horwaci wysyłali dwu posłów (nuncija, stališi) do sejmu węgierskiego, zajmowali oni tam pierwsze miejsce po komisarzach koronnych. Na sejmie węgierskim rozpatrywano najprzód wnioski od korony, przyjmowano je lub odrzucano; następnie posłowie węgierscy stawiali przedłożenia, które czasem odnosiły się do całej korony św. Szczepana, a więc i do Horwacyi — wreście Horwaci zabierali głos w swych sprawach. Często się zdarzało, iż prawo ogólne, które przeszło w sejmie węgierskim, o ile dotyczyło Horwacyi, odrzuconem było przez sejm zagrzebski, jeżeli nie licowało z jej potrzebami, a to wedle zasady wypowiedzianej przez bana Erdeda:

Regnum regno non praescribit leges.

Dla zabezpieczenia się przeciw centralistycznym dążeniom wiedeńskim ściślejsze nastąpiły związki między Węgrami i Horwacyą: postanowiono w r. 1625, aby Horwaci mieli udział w wyborze palatyna; z obawy jednak zlania się z Węgrami, posłowie horwaccy prosili króla (1655), aby w swych listach nie używał wyrażenia „Węgry i podległe im kraje“, lecz tylko „Węgry i królestwo Horwackie, Sławońskie i Dalmackie“.

Wstąpił na tron Józef II. Despotyczny „Filozof“ sądził, iż wystarczy kaprys w połączeniu z siłą do przetworzenia społeczeństw; wydał tedy wojnę Kościołowi i narodowościom. Kasował klasztory, zabierał dobra duchowne, zabraniał znoszenia się z Rzymem, naznaczył termin trzechletni urzędnikom do nauczenia się po niemiecku, koronę św. Szczepana kazał z Pożuna przenieść do Wiednia, protestanta Balasza, najgorszych obyczajów człowieka, postawił za bana w katolickiej Horwacyi[1]. Przyznał wprawdzie przed śmiercią, iż cały system jego był błędny,

[1] Porów. Pov. Hrv. Smicz. Dio II., str. 359 i nast.

wiele rzeczy odwołał, ale złego nie mógł naprawić. Skarb obdłużony, waśnie narodowe, niechęć ku koronie, a ogólnie ku wszystkiemu co niemieckie, zachwianie wiary w warstwach przodujących, biurokratyzm i indyferentyzm w duchowieństwie — oto rany, które następcy jego, w sto lat jeszcze po nim, zabliźnić usiłują.

Wobec tego niwelującego systemu roztropność nakazywała Horwatom ściślejsze zjednoczenie z Węgrami, lecz unikając jednego niebezpieczeństwa narazili się na drugie — musieli teraz bronić się przeciw zmadziaryzowaniu.

Za Józefa II., wbrew właśnie jego dążeniom, wielki krok uczynili Węgry naprzód w rozwinięciu swej narodowości, język węgierski z ogniska domowego przeszedł do książki, szkoły, urzędu, a niebawem i do sejmu. Językiem sejmowym bywał dotąd łaciński, ale już za Leopolda II. rozprawy na sejmie węgierskim (1791) toczyły się po węgiersku, pomimo *veto* posłów horwackich. Po uszczupleniu Horwacyi, przez odpadnięcie jej południowo-zachodnich prowincyi pod zarząd francuski, do tak zwanego „królestwa iliryjskiego“, wzmogły się roszczenia madziarskie, zaczęto w szkołach horwackich wykładać język węgierski (1802); na tem Madziarowie nie poprzestali. Na sejmie w Budzie w r. 1825 postawiono wniosek, aby w całej koronie św. Szczepana zaprowadzony został język węgierski, jako urzędowy. Posłowie horwaccy odrzucili wniosek: „nasze królestwa, mówili oni, są stowarzyszone (regna socia), zjednoczenie zawarowano umowami i takim spojono związkiem, iż oprócz praw wspólnych, Horwacya ma nadto swoje osobne prawa i przywileje potwierdzone od królów“. Tą razą ujęła się Izba Panów za Horwatami, prawo nie przeszło, Horwaci jednak zmuszeni byli do zaprowadzenia języka węgierskiego w swych szkołach, jako przedmiotu obowiązującego.

W miarę ucisku madziarskiego, wzrastał opór, rozbudzało się narodowe poczucie horwackie. Występuje Jan Draszkowić, Horwat starego rodu i wielkiego mienia; w dziele, które wydał w Karłowcu [1] przypomina swym rodakom nieprzedawnione ich

[1] „Dissertacija iliti razgovor darovan gospodi poklisarom za-

prawa, kreśli cały program polityczny. Horwacya, Sławonia, Dalmacya wraz z pograniczem czyli krainą horwacką i Rjeką stanowi oddzielne królestwo połączone tylko dobrowolną umową, od króla potwierdzoną, z królestwem węgierskiem. Królestwo horwackie, na mocy tej umowy i przywilejów, ma prawo do bana, któryby był namiestnikiem królewskim, ma prawo do używania swego rodowego języka i urządzenia się wewnątrz wedle potrzeb, jakie sejm miejscowy uzna za stosowne. Nowe życie wstępuje w Horwatów. Cały zastęp młodzieży rzuca się do pióra, Ludwik Gaj im przewodniczy: wydają czasopisma i przewodniki naukowe, Maciej Smodek zaczyna miewać wykłady po horwacku, we wszechnicy zagrzebskiej (1832). Madziarzy nie dają za wygraną. Sejm węgierski postanawia w r. 1835: aby w szkołach horwackich zaprowadzony został wyłącznie język węgierski, w tym jedynie języku mają być wszystkie wykłady, urzędnicy horwaccy w przeciągu lat dziesięciu mają nauczyć się po madziarsku. Sejm horwacki odrzucił to prawo, odwołał się do cesarza Ferdynanda, który tej zachcianki madziarskiej nie potwierdził. Ponawiają Węgry swe żądania w r. 1840, bez żadnego również skutku — coraz silniejszy opór wzmaga się w Horwacyi przeciw Węgrom. Na sejmie horwackim w r. 1843 poseł Jan Kukuljewić po raz pierwszy przemawia po horwacku; tegoż roku na sejmie węgierskim w Pożunie Węgrzy nie dozwolili Horwatom mówić po łacinie, posłowie horwaccy opuścili Izbę. Wzięli się Węgrzy na sposób, w samym sejmie horwackim wytworzyli sobie stronnictwo przychylne: jeden z jego członków, Josipowić, żupan Turopolski, przemawiał na sejmie zagrzebskim w r. 1847 po węgiersku; lecz za to „stronnictwo narodowe“ zażądało zupełnego oderwania się od Węgier. Nadszedł rok 1848. Węgrzy korzystali z zamieszek domowych; z jednej strony zamierzali uczynić się zupełnie niezawisłymi od Wiednia, a z drugiej, w imię wolności, chcieli nałożyć pęta na Słowian. Po długiem wahaniu dwór wiedeński postanowił wreszcie krok stanowczy: banem Horwacyi miano-

konskim i budućem zakonotvorcem kraljevinah naših za buduću dietu Ungarsku odaslanem držan po jednom starom domorodcu kraljevinah ovih. U Karlovcu“.

wany został Józef Jelaczić, głową serbskiego narodu patryarcha Józef Rajaczić. W Węgrzech przyszło do otwartego rokoszu. Rozporządzenie cesarskie z d. 4 marca 1849 r. oddzieliło Horwacyą, Sławonią i Pomorze od Węgier. Znane są ogólnie następne wypadki: pokuszenia centralistyczne najprzód, a potem dualizm państwowy. Sejm horwacki, który w r. 1861 postanowił był (§. 42), że wszelki związek między Horwacyą i Węgrami zerwany został, w skutek ponawianych żądań korony zgodził się w r. 1868 na *modus vivendi* z Węgrami [1], lecz, jak wypadki z r. z. wskazały, nie był on długotrwałym. Przy lada sposobności występują stare dążności Węgrów i Horwatów: Węgrzy chcą zmadziaryzować Horwatów, Horwaci dążą do trójjedynego królestwa Horwacyi, Sławonii i Dalmacyi, w zupełnej od Węgier niezawisłości. Jakkolwiek niezaprzeczone ma przed sobą trudności gabinet wiedeński, ufać należy, iż nie wyda kilku milionów Horwatów [2] na pastwę Węgrom; pamiętać on będzie, iż w złej i do-

---

[1] Ugoda została zawartą na lat 10, w r. 1878 przedłużono ją na taki sam przeciąg czasu, w r. 1888 przestanie być obowiązującą. Dzisiaj, pomimo silnej opozycyi, większość sejmu chce być legalną i spełnić zobowiązania, lecz nie ulega wątpliwości, iż ta sama większość nie potwierdzi ugody ponownie, po skończonym terminie.

[2] Horwatów, wedle ostatnich szematyzmów dyecezyalnych, liczy się:

W	Archidyec.	Zagrzebskiej	978 240
„	Dyec.	Diakowackiej	193 042
„	„	Seńsko-Modruskiej	279 064
„	„	Križewackiej (Unici).	19 000
„	„	Tryjestko-Poreckiej	301 000
„	„	Kerkskiej	50 000
„	Archidyec.	Zadarskiej	65 600
„	Dyec.	Szybenickiej	80 000
„	„	Spléckiej	157 600
„	„	Dubrownickiej	60 200
„	„	Hwarskiej	48 500
„	„	Kotorskiej	24 000
„	Archid.	Werho-bosańskiej	118 200
„	Dyec.	Trebińskiej	10 600
„	„	Mostarskiej	60 300
„	„	Banialuckiej	33 800
		Razem	2 479 146

brej dobie Horwaci wiernie stawali przy koronie, tak przeciw separatystycznym dążnościom Węgrów, jak niemniej przeciw rewolucyjnym i innym zachciankom samejże stolicy państwa.

Państwo serbskie w XII-ym powstało wieku; złożone ono było z różnych księstw niezależnych, które tak swą nazwą, jak i dynastyą panujących wyróżniały się od nowo powstałego państwa Nemanjowiczów[1]. Stary Nemanja został około roku 1165 „Wielkim Żupanem Raszkim“. Z jakiej rodziny pochodził Nemanja, nie jest dobrze wiadomo. Nazwisko nie jest słowiańskie, jak nie są słowiańskiemi inne jeszcze nazwiska Nemanjowiczów, Bela, Urosz, Szczepan; nie są również słowiańskiemi nazwiska krajów, w których panowali: Rasza, Zenta, Zeta. Umarł mnichem na górze Athos[2], gdzie wraz z swym synem Rastkiem albo Sawą wybudował monastyr serbski Chilandar. Syn jego Wuk (Wułk, Wilk) dostał Zentę, papież Inocenty III. w liście swoim z dnia 2 stycz. 1199 r. mianuje go królem Dalmacyi i Dukli[3]. Średni syn Szczepan odziedziczył po ojcu resztę ziem i panował jako „Wielki żupan serbski“. Sawa wyświęcony na biskupa w r. 1219

Od tej ogólnej liczby katolików należy odjąć 27 tysięcy Włochów w Dalmacyi i około 180 tysięcy Słoweńców znajdujących się w dyec. Triest. Porec., razem 200 000

Horwatów pozostanie 2 279 146

[1] P. Wilowski w obszernem dziele o Serbach (str. 334) pod tytułem: „Die Serben von Theodor Ritter Stefanowić Wilowski. Wien. 1884“ całą historyą państwa serbskiego na kilku kartkach pomieścił. Jakkolwiek celem autora było opisanie losu Serbów, którzy w skutek podboju tureckiego wyszli ze swego rodzinnego kraju i szukali przytułku w Węgrzech, Dalmacyi, Bośni i Hercegowinie, jednakże, streszczając zbytnie dzieje pierwotnej ich ojczyzny, nie wywiązał się dostatecznie ze swego zadania, tem bardziej, iż całe to streszczenie, wyjęte z jakiejś podejrzanej wartości encyklopedyi, jest raczej pamfletem, aniżeli krytycznem zestawieniem zdarzeń dzisiejszych.

[2] Ramię wschodnie półwyspu Chalcydyckiego zowie się Hagion Oros; Kserkses kanałem na 1200 metr. długim oddzielił go od lądu. Na tym półwyspie wznosi się góra Athos na 2066 m. nad poziom morza. W IV-ym podobno wieku założony tam został pierwszy klasztor, obecnie ma ich tam być 20, kościołów i kaplic 935 a mnichów około 6000.

[3] Vet. monum. Slav. merid. Theiner.

czy też 1221, prawdopodobnie przez patryarchę carogrodzkiego Gerwazego [1] wystarał się od Honoriusza III. tytuł królewski dla brata Szczepana i następnego roku koronował go w Peczu (Pek, Ipek) [2].

Następcami Szczepana byli jego synowie: Radosław, Władysław [3], Urosz; kolejno panowali po sobie, jeden drugiego strą-

---

[1] Utrzymują jedni (Quienus), iż był wyświęcony przez Arseniusza, inni (Domician podrobiony) że przez Hermana, lecz mylnie jedni i drudzy. Herman został patryarchą nicejskim w r. 1226, Arseniusz zaś w r. 1255.

[2] Rzecz nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tak stary Nemánja jak i jego synowie, jakkolwiek obrządku wschodniego, zostawali w jedności z Rzymem. Szczepan Nemanowicz, wielki żupan serbski, zaświadcza to w liście swym do Inocentego III: „Nos autem semper consideramus in vestigia sancte Romane Ecclesie, sicut bone memorie pater meus, et preceptum sancte Romane Ecclesie semper custodire, et in proximo legatos nostros sellemus transmittere ad sanctitatem vestram“... (Vet. monum. Slav. merid. Theiner). Król Wuk zgromadził synod w swej metropolii pod przewodnictwem legatów papieskich. Arcybiskup Sawa wysłał biskupa Metodego do Honoriusza III. z prośbą o koronę dla brata. Szczepan Nemanowicz, zwany „pierwowenczany“, był koronowany królem, według obrządku rzymskiego. Twierdzenie, jakoby Szczepan koronowany był po raz wtóry, wedle obrządku wschodniego, nie jest oparte na żadnym dowodzie historycznym i przez dzisiejszych krytyków uważane jest za śmieszną bajkę (Ob. Starine, Kniga VII., str. 55 Zagrzeb). Tamże znajduje się list, który Szczepan pisał już po koronacyi do Honoriusza: „Sanctissimo patri et Domino Honorio, romane sedis, ecclesie universali pontifici, Stephanus Dei gratia totius Servie, Dioclie, Tribunie, Dalmatie atque Chlumie rex coronatus inclinationem summe fidelitatis constantia. Quemadmodum omnes Christiani diligunt vos et honorant, et pro patre et domino relinent: ita nos desideramus sancte romane ecclesie et vestri fidelem filium nominari, affectans quod benedictio et confirmatio Dei et vestra sit, si placet, super coronam et terram nostram semper manifeste“...

[3] Władysław podpisywał się: „Stefan Władysław, kral wsiech raszkich zieml i pomorskich“ (Monum. serb. Mikl.).

Władysław był pierwszym z władców serbskich, który bił pieniądze, z bośniackich zaś Szczepan Kotromanić (1290—1313); najstarsze pieniądze słowiańskie na południu pochodzą od cara bułgarskiego Jasienia I. (1180—1196).

Moneta ówczesna zastępowała, do pewnego stopnia, dzisiejsze pieniądze papierowe; inna była wartość wewnętrzna, a inna, naturalnie większa, wartość nominalna. Bicie tych pieniędzy było rzeczą korzystną, dlatego nietylko carowie i kralowie bili pieniądze, ale

cając z tronu. Rozszerzali granice swoje głównie ku Wschodowi, a w tym czasie utracili księstwo zachełmskie, gdzie niezależnie panował Andrzej [1].

Urosz I., zwany wielkim, pomyślnie wojował z Mongołami, ale nie mógł dać rady synowi swemu Dragutinowi, który podniósł bunt przeciw ojcu i wypędził go z kraju. Stary Urosz umarł na wygnaniu w Draczu r. 1272. Nie cieszył się długiem panowaniem Dragutin; brat jego Milutyn odebrał mu tron w trzy lata potem. Milutyn śmiałym i szczęśliwym był wojownikiem, zabrał Prilip, przeniósł stolicę z Raszy [2] do Prizrenu, ale prowadził na-

---

knezowie i wojewodowie, mający jaką taką niezależność. Znajdujemy monety: Wukaszyna, Marka kraljewicza, Andrzeja Wukaszynowicza, Lazara, Szczepana Lazarowicza, Jerzego Brankowicza, Lazara Juriewicza, Szczepana Juriewicza, Balszów, Oliwera, Kostadina, Mikołaja Altomanowicza, Żupana Ropy, Żupana Riga, Jakóba, Dmitara Wukaszynowicza, Żupana Branki, Wlatki Szczepanowicza (z Zagórza), Mikołaja Ujlaka, Hrwoi i innych.

Pieniądze bito ze srebra, mało z miedzi, ze złota zaś kilka zaledwie pozostało sztuk. Rudy srebrne znajdowały się w Bośni, Serbii i Bułgaryi. Mennice były w Warnie, Nowymbrdzie, Bréskowie, Rudniku, Smederewie, Prizrenie, Skopii, Stezanie, Ulczynie, Kotorze i Dubrowniku.

Na monetach bułgarskich położony jest napis w słowiańskim języku: car, car bugarom, car bugarom i grkom, car bugarom i makedonom. Michał II. Asien dawał napisy łacińskie, Jan Szyszman umieszczał nad wizerunkiem Matki Boskiej litery greckie: M—Θ.

Monety serbskie mają napisy łacińskie i słowiańskie; bośniackie tylko łacińskie, czasami jednak wyrazy skrócone słowiańskie IC—XC.

W całej południowej Słowiańszczyznie rachowano na perpery a bito grosze, półgrosze i ćwierćgrosze czyli maliuszni. Z jednego funta srebra bito w Dubrowniku (1337) 168 sztuk, czasem (1452) sztuk 270. Funt nie był również stałym; rzymsko-bizantyjski miał 328,32 gramów, serbski zaś, za Duszana 288 gr. tylko.

Perpera (ὑπέρπυρον) była monetą teoryczną i zawierała w sobie 12 groszy, a ponieważ te ostatnie w różnych czasach miały różne wartości, stąd i wartość perpery była również niestałą. W XV-ym wieku dukat wenecki wart był $3^1/_3$ perpery, czyli 40 groszy.

[1] Roku 1249 „Andrej weli-knez chełmski“ ze swoimi synami „żupanem Bogdanem i żupanem Radosławem“ zawiera przymierze z Dubrowniczanami (Ibid.).

[2] Ziemią raszką, Raszą albo Rasą, nazywał się kraj znany

der rozpustne życie. Trzy żony swoje oddalił a ożenił się z czwartą siedmioletnią córką cesarza Andronika. Mikołaj IV. częstymi upominał go listami, zachęcał również Helenę, która rządziła Pomorzem, aby syna na dobrą zwróciła drogę. W r. 1291 musiało nastąpić przyrzeczenie, albowiem papież w liście z dnia 15 marca t. r. przyjmuje w obronę i opiekę królestwo serbskie [1]. Na żądanie Milutyna posyła Klemens V. w r. 1308 legatów do Serbii, wraz z listem, w którym znajdowały się warunki ugody [2]. Porozumienie nie przyszło do skutku, nie widział na razie korzyści dla siebie [3], lecz wnet wiarołomny Milutyn doznał ciężkiej ręki sprawiedliwości. Syn jego nieślubny podniósł bunt, powstali knezowie Zenccy i Albańscy [4], wtargnął

---

dziś pod nazwą „Starej Serbii“ czyli paszaliku Nowo-Bazarskiego. Dzisiejszy Nowy-Bazar, stolica paszaliku, położony jest nad rzeczką Raszką i stoi na miejscu dawnej Rasy, stolicy państwa Nemaniowiczów.

[1] „Nicolaus Episcopus etc. Carissimo in Christo filio Stephano Regi Servie illustri etc. Quanto devotiori studio sacrosanctam Romanam Ecclesiam revereris, quanto propensiori affectu consurgis ad nostra et ipsius Ecclesie beneplacita prosequenda, tanto circa tuum et Regni tui statutum prosperum i postremum conservandum libentius apostolici presidia favoris apponimus, tuis providendi utilitatibus et indemnitatibus precavendo: ut igitur nostri manum auxilii tua serenitas sibi sentiat in suis oportunitatibus favorabiliter adiutricem, personam tuam et Regnum tuum cum Civitatibus, Castris, Terris, Villis et bonis aliis, que impresentiarum iuste et rationabiliter possides, sub beati Petri et nostra protectione suscipimus, et presentis scripti patrocinio communimus, statuentes, ut ea omnia integra permaneant et quieta, nec quisquam in hiis te perturbare presumat, aut quomodolibet molestare. Nulli ergo... Datum apud Urbem veterem, Idibus Martii, Pontificatus nostri Anno Quarto“ (Vet. mon. hist. Hung. Theiner. Vol. I., pag. 375).

[2] Apud Raynald. an. 1308, n. 26.

[3] „Misit (Clemens V.) nuncios ad regem Rassiae, qui ad obedientiam Romanae Ecclesiae promiserat se venturum, quia Veneti cum Carolo sine terra concordaverunt Imperium accipere Constantinopolitanum. Videns autem tractatus non procedere, papales nuncios vacuos remisit“ (Ptol. Luc. hist. Eccl. lib. 24, cap. 39).

[4] Jan XXII. pisze 17 czerw. 1318 roku list do: „Mentulo Musatio Comiti Clissanie, Andree Musatio regni Albanie Marescalo, Teodoro Musatio Prothosevastoni, Guillelmo Bleniste Prothosevastoni, Guillelmo Aranite Protholegaturo, Caloiohanni Bleniste Comiti, Paulo Materango, ceterisque baronibus Regni Albanie et Bladislao Gonome

do Serbii król węgierski. Syna pobił i kazał oślepić, panowie albańscy wybili się na wolność, a Karol Robert zabrał banat baczwański; utrzymują nawet, iż Milutyn uznał się jego lennikiem [1]. W r. 1321 panował w Serbii syn jego, z nieprawego łoża, któremu dano przydomek Deczański. Bez tych przydomków nie możnaby się rozpoznać w historyi serbskiej. Każdy prawie syn zowie się Urosz, a po wstąpieniu na tron przybiera nazwisko Szczepana; Urosz ma syna Urosza, Szczepan panuje po Szczepanie, stąd wiele bałamuctwa w kronikarzach piszących o rzeczach serbskich.

Deczan zawiązał stosunki z papieżem Janem XXII. w r. 1323 z powodu zamierzonego małżeństwa z córką księcia Tarentu; małżeństwo do skutku nie przyszło. Wojował szczęśliwie z Bułgarami i przyłączył część Macedonii do swego państwa. Żądny panowania syn jego Urosz, zwany Duszanem, zbuntował się przeciw niemu, pobił jego wojska, wziął samego do niewoli i w r. 1336 kazał go udusić.

Szczepan Duszan, Silny, zwycięstwami i zdobyczami swemi podniósł Serbię do wysokiej potęgi i wielkości. Bułgarya, Macedonia, Albania, Tesalia i część Grecyi uznały go swoim panem; zwysięsko rozprawił się z Ludwikiem węgierskim, po kilkakroć przepędził zgraje Turków, których Kantakuzen sprowadził do swej obrony, i przeniósł stolicę państwa do Skopii (Skopla, Uskiup). W r. 1346 zebrał wielki wiec złożony z duchownych i panów serbskich, przywołał również patryarchę ochrydzkiego i bułgarskiego. Nazwał się „Carem Serbskim, Bułgarskim i Greckim“ [2], Iwaniszkę mianował niezależnym patryarchą serbskim, ogłosił słynny „Zakonnik“, dwór swój urządził na wzór cesarzy bizan-

Dioclee et maritime Albanie Comiti“ pochwala ich wiarę i zamiar wydostania się z tyrańskiwa „illius regis perfidi Racie (Vet. mon. hist. Hung. Theiner).

[1] „Victus Urosius, Carolum Regem ut supremum Dominum cognoscere coactus est, et ejurato schismate, Romanam religionem amplecti, eodem, ut videtur, anno 1320“ (Kal. Un. Assem. t. V., p. 53).

[2] Duszan pisał się: Стефань вь Христа Бога благовѣрны царь и самодрьжьць Грьбле(мь) и Грькомь и Бльгаромь и Ярбанасѡмь. (1348).

tyjskich. Jednym zamachem zerwał z Rzymem i Carogrodem. Patryarcha wschodni wyklął „cara, naród, patryarchę i sobór skoplański“ [1]; papież polecił opiece Ludwika węgierskiego katolików serbskich. Duszan nosił się z myślą przeniesienia stolicy do Konstantynopola, należało zabezpieczyć się od Węgrów, wszedł w układy z Rzymem. W r. 1354 wysyła posłów do papieża [2]. Inocenty VI. pisze do Duszana, żony jego Heleny, syna Urosza, patryarchy Iwaniszki i do panów serbskich [3]. Przybyli legaci papiescy do Serbii, ale śmierć Duszana (1355) przerwała układy [4].

Syn Duszana, dziewietnastoletni Urosz panował pod opieką Wukaszyna albo Włkaszyna, który miał pochodzić z nieprawego łoża od Nemaniów, piastował on wielką godność Logofeta i zarzą-

---

[1] Ljubić, Opis jugosl. nov str. 80.

[2] „Bossidarium Judicem generalem, Nestegium Cephaliam Serenum, Damianum de Cataro... ipsas litteras regias aurea bulla munitas“ (Vet. mon. hist Hung. Theiner).

[3] „Deano Sevascotratori Serbie, Gayico magno logotete, Oliverio Despoto, Prelubo Cesari, Grulbo de Cataro, Palmanoro Teutonico (dowódzcy zaciężnych rajtarów)“ (Vet. mon. Hung. Theiner).

[4] Tak Milutyn jako i Duszan musieli się liczyć, w Albanii i na Pomorzu, ze swymi poddanymi, którzy byli przywiązani do religii katolickiej. Kotor (Cattaro) należał wprawdzie do Serbii, lecz rządził się autonomicznie. Duszan myślący o zawojowaniu Carogrodu, dbał o dobre stosunki z Kotorzanami, liczył na ich pomoc w wyprawie morskiej, zwłaszcza, kiedy Wenecya stanowczo jej odmówiła. Stąd, kiedy we wschodniej Serbii ogłaszano „Zakonnik“, okładano grzywnami i karami katolików, w Kotorze religia katolicka od samego Duszana doznawała łask i względów. Dworzanin jego funduje kościół i klasztór dominikański. „In Dei nomine Amen. Anno Domini 1344, Indict. XII., die 12 Octobris. Nos Nicolaus Bucchia Comes Camerarius Excellentissimi Domini Regis Raxiae, ob reverentiam et devotionem, quam gerimus et habuimus Ordini Fratrum Praedicatorum, et pro salute animae nostrae, in remedio peccatorum nostrorum... Ego Gentilio Ser Gentilitii de Imperiali auctoritate, et nunc Com. Cath. Jur. Not. his omnibus interfui, rogatus scribere, scripsi et publicavi“ (Far. t. IV., p. 446).

W r. 1331 podarował Duszan medal srebrny do kościoła św. Tryfona, drugi podobny po ogłoszeniu się carem; w r. 1351 potwierdził dawne przywileje Kotorzanom i przysądził im majątek nieprawnie przywłaszczony przez patryarchę Joaniszkę. Syn Duszanów wielkim był czcicielem św. Tryfona, patrona Kotoru, nadał przywileje i drogie dary do kościoła, ku jego czci zbudowanego (Conf. Farl. t. VI., p. 449).

dzał Prilipem i częścią Macedonii. Po śmierci Duszana rozprzęgła się całość państwa serbskiego. Węgrzy zabrali Maczwę, Białogród i Zwornik, ban bośniacki Usorę, Balszycowie panowali niezależnie na Zencie i Przymorzu, Jan Uglesza i Gojko samowładnie rządzili w ziemi bułgarskiej i greckiej, Lazar zaś w Srémskiem. Grecy wraz z Turkami najechali dzierżawy serbskie, pobił ich Wukaszyn w r. 1357 pod Płowdiwem (Filipopolis). Niebawem wszczęły się waśnie między panami serbskimi, których ofiarą padł Urosz (1367), ostatni z Nemaniowiczów, zamordowany przez Wukaszyna. Wukaszyn ogłosił się królem „kral Włkaszyn“, lecz po przegranej bitwie z Turkami w r. 1371 pod Czrnomeną (nad Marycą) zamordowany został przez jednego ze swych poddanych, Mikołaja Harsewića.

Lazar, niewiadomego pochodzenia (jedni utrzymują, że był synem nieślubnym Duszana, inni zaś synem Grebalanowicza), zajął Pryszczynę, Nowe-Brdo, Zachełmskie, zgromadził swych sprzymierzeńców w r. 1377 do Prizrenu i wobec wysłannika patryarchy carogrodzkiego mianował się: „Samoderżcem serbskim i podunajskim“, a podpisywał się: „Gospodin Serblem i Podunawju, kneź Lazar“; tytuł króla Serbii wziął był Twerdko, ban bośniacki w r. 1376.

Turcy na dobre już gospodarowali po dawnych ziemiach bizantyjskich. Bułgarya była już rozbita i rozkawałkowana. Szyszman trzymał się jeszcze w Térnawie, Straszymir w Widyniu, Jasień w Priesławiu. Murat pobił i shołdował sobie Szyszmana bułgarskiego, wziął Nisz w r. 1386 i zobowiązał Lazara do haraczu. Wkrótce i haracz nie pomógł, w r. 1389 stanął Murat na Kosowem polu. Z jednej strony Lazar, Twerdko bośniacki, Miłosz Obilicz i drugi zięć Wuk Brankowicz, z drugiej Murat i sturczony Marko kraljewicz (Wukaszynowicz). Murat, Obilicz, Lazar padają w boju, Wuk Brankowicz zdradza, Turcy zwyciężcami. Milica, żona Lazarowa, zawiera pokój z Bajazetem, daje mu córkę Miliewę do haremu[1], synów Szczepana i Wuka

[1] Bułgarzy dali już byli przykład. W r. 1364 pobity Szyszman przez Murata, chcąc się utrzymać przy kawałku ziemi, dał mu córkę swą Maryą do haremu (Drinow).

na zakładników, obowiązuje się płacić haracz. Szczepan i Wuk biją się w szeregach tureckich z Timurem (1402), dostają się na polach angorskich do niewoli, uchodzą do Konstantynopola, gdzie cesarz obdarza Szczepana tytułem despoty.

Szczepan Lazarowicz pobiwszy brata swego Wuka, umiera w r. 1427 bezpotomnie, ziemie swoje oddaje Jerzemu Brankowiczowi, synowi Wuka, zdrajcy z Kosowego pola.

Jerzy mieszkał w Smederewie nad Dunajem, gdzie ziemie jego leżały, pisał się „despot“ albo „Gospodin w Smederewie i Rudniku“, płacił haracz Amuratowi, dał mu córkę Marę do haremu (1436), lecz wszystko na próżno; Amurat obległ i wziął szturmem stolicę w 1438 r., zabrał do niewoli i kazał oślepić synów jego Grzegorza i Szczepana. Despota uszedł na Węgry, następnie do Dalmacyi, brał udział w zwycięstwach Huniadego i Władysława w 1442 i 1443 i najwięcej skorzystał z pokoju Segedyńskiego, który mu synów i ziemie powrócił. Najwięcej skorzystał, a najniewdzięczniej odpłacił się swym dobrodziejom; nieodrodnym się okazał synem swego ojca. Nietylko nie poszedł pod Warnę, ale donosił Amuratowi o ruchu wojsk węgiersko-polskich i przeszkodził Skanderbegowi do połączenia się z Władysławem; nie poprzestał na tem. W r. 1448 trzymał z Amuratem przeciw Węgrom, a po nieszczęśliwej bitwie na Kosowem polu, kazał schwytać Huniadego, trzymał go w więzieniu, skąd go dopiero za opłatą wypuścił. Lecz i sami Turcy zdrajcami pogardzają, Mahomet II. odesłał mu Marę[1] a obległ Smederewo r. 1453, obronił go Huniad, obronili jeszcze Białogród św. Jan Kapistran i Huniad w r. 1456 po raz ostatni, bo w tymże roku umarł Brankowicz.

Lazar, syn Jerzego, aby się utrzymać przy dziedzictwie, wypędził braci, a matkę otruł, sam umarł w r. 1458. Żona jego

[1] Dziwne to były czasy i stosunki. Mara, córka despoty Jerzego, pozostająca w haremie Amurata, uważa się za chrześcijankę, listy swoje zaczyna od położenia krzyża, potwierdza donacye dla monastyru Chilandarskiego i św. Pawła na Górze św., zostaje w przyjacielskich stosunkach z Dubrowniczanami, како нашимь братїамь, a podpisuje się: Сосатана цара Амбрата царица Мара. Дъщи Гюргиа деспота.

„Grkinja Helena“ poddała się Stolicy św., wezwała Macieja Korwina do obrony i wydała córkę swą za Szczepana Tomaszewicza Bośniackiego; wszystko już było za późno, jad zbyt głęboko wkorzenił się w serce tego ludu: kiedy w następnym roku zbliżał się sułtan do Smederewa wyszli naprzeciw najznakomitsi mieszkańcy i przyjęli go jako oswobodziciela[1]. Przyjęli Mahometa i mahometanizm. Wszyscy panowie serbscy sturczyli się; spahowie z nich powstali, byli najgorętszymi zwolennikami iślamu i największymi ciemiężcami braci swych chrześcijan.

Kończąc streszczenie historyi serbskiej uważamy za stosowne zwrócić uwagę na zdanie, powszechnie dziś przyjęte, a jednak zupełnie błędne, iż nieszczęśliwa klęska Serbów na Kosowem polu spowodowała upadek państwa serbskiego. Pieśni ludowe, nie zaś rzeczywiste wypadki, były i są powodem tego mniemania; stwierdza ono poetyczny polot niektórych historyków, ale nie licuje z wynikiem badań historycznych. Śmierć Lazara i przegrana na Kosowem polu osłabiła Serbów, dozwoliła Turkom wedrzeć się bardziej w serce południowej Słowiańszczyzny, lecz nie była jeszcze upadkiem państwa serbskiego. Lazar nie był „królem serbskim“, co więcej nie był nawet n i e z a l e ż n y m „Gospodinem Serblem i Podunawju“, opłacał bowiem haracz Turkom. W bitwie na Kosowem polu brał udział właściwy król Serbii, a pomimo przegranej, nie przestał ani on, ani jego następcy, nosić tego tytułu. Potęga państwa serbskiego zakończyła się wraz z życiem Duszana, państwo jednak serbskie istniało dalej, choć w zmienionych warunkach. Po Duszanie panował syn jego Urosz, następnie Wukaszyn; w r. 1376 Twerdko bośniacki

---

[1] „Ali ves pravoslavni narod se je vzdignil proti tej daritwi (vso deželo postaviti pod višo oblast papeževo), in ko se je sultan s svojo vojsko bližal, so mu najznamenitnejši državljani naproti šli, ter se njegovi obrambi izročili.

... Kar je srbskih plemenitašev prestopilo k mohamedanski veri, postali so spahi, t. j. sultanovi bojniki in so dobili od njega obširna ziemljišča“ (Slovanstvo. J. Majciger, Plet. in Raić. v Ljubljani, str. 270).

„Когда прибылъ въ Сербію папскій легатъ съ цѣлью провозгласить тамъ главенство папы, бояре и народъ поспѣшили призвать турокъ...“ (Березинъ Хор. I. стр. 288).

przyjął nietylko tytuł „króla serbskiego“, lecz tak duchowieństwo jak i szlachta serbska, jak to zobaczymy później, uważali go za prawego dziedzica państwa serbskiego. Następcy Twerdki dzierżyli ten sam tytuł; ostatnim królem serbskim był ostatni król bośniacki Szczepan Tomaszewicz, ścięty przez Turków r. 1463: stąd wynika, iż państwo serbskie trwało jeszcze lat 74 po bitwie Kosowskiej. Przegrana pod Kosowem nie zmieniła bardzo stanu rzeczy w ziemiach, które były zostawały pod władzą Lazarową: naprzód Milica a następnie syn jej Szczepan Lazarowicz, rządzili niemi; po bezpotomnem zejściu Lazarowiczów przeszły po kądzieli w dom Brankowiczów [1].

---

[1] Podajemy tu niektóre dane statystyczne o Serbach; różne źródła różną ilość Serbów podają: dokładne liczby nie są podobne w warunkach, w jakich obecnie Serbi się znajdują, rozrzuceni po Austryi, Węgrzech, Serbii i Turcyi, przez jednych statystów zaliczani są do innych plemion, drudzy znowu Horwatów i Bułgarów poczytują między Serbami.

Według szematyzmów prawosławnych, Serbów było w r. 1882:

W Archidyec. Karłowieckiej (Karłowce, Karlowitz)	140 195
W Dyec. Karłowackiej (Karłowac, Karlstadt)	244 907
W Dyec. Pakrackiej	107 722
W Dalmacyi	78 714
W Dyec. Nowosadskiej	122 662
„ Budskiej	19 471
„ Temeszwarskiej	160 214
„ Werszackiej	147 024
W Bośni i Hercegowinie (w dyec. Serajewskiej, Mostarskiej i Zwornickiej)	571 756
W Czarnogórze	236 000
W król. Serbskiem (w dyec. Białogrodzkiej, Szabackiej, Negotyńskiej, Użyckiej i Niszskiej)	1 600 000
Razem	3 428 665

Liczba ta jest za wielka: dyec. Negotyńska zamieszkała jest w większej części przez Rumunów, którzy będąc prawosławnymi, zaliczeni są do Serbów, nadto liczby w dyec. Karłowieckiej i Karłowackiej są za wielkie. Według obliczeń, znajdujących się w szematyzmach biskupów katolickich, w Horwacyi, Sławonii, Dalmacyi i w pasie Pogranicznym znajduje się Serbów:

W Archid. Zagrzebskiej	101 117
W Dyec. Diakowackiej	149 354
„ Seńskiej	118 870
W Dalmacyi	78 714
Razem	448 055

Podczas gdy to się dzieje na granicach wschodnich Serbii, na zachodnich, w Skadarze, panują Balszowie nad Zetą i Pomorzem. Pochodzenie Balszów albo Baoszów nie jest znane, prawdopodobnie pochodzą z rodziny albańskiej zesłowiańszczonej. Po raz pierwszy spotykamy się w historyi z tem nazwiskiem w r. 1304. Królowa Helena wysyła list do księcia dubrownickiego przez Balszyca [1].

Po śmierci Duszana Balszowie rządzą niezależnie. Balsza I. umiera w Skadarze w r. 1360. W r. 1369 d. 29 stycz. Stracimir żupan Zenty, wraz z braćmi Jerzym i Balszą czynią wyznanie wiary w ręce biskupów Suacinensis i Drivasto, dominikanina Piotra i szlachetnie urodzonego Perności, obywatela Olgunu [2]. Następcą Balszy był syn jego Jerzy, potem drugi syn Balsza II., który umarł w r. 1385, a panował na „Zecie, Kaninie i Walonie“. Jerzy Stracymirowicz, wnuk Balszy I., rządził Zetą i Pomorzem, r. 1392 dostał się do niewoli Turków, którzy za okup żądali oddania Skadaru. Żona jego wydała miasto w ręce tureckie, lecz wypuszczony Jerzy uderzył na Skadar i odebrał go napowrót; widząc jednak niemożebność utrzymania się przy nim, wobec potęgi tureckiej, odstąpił go Wenecyanom za roczny czynsz tysiąca dukatów. Syn jego Balsza III. przez całe życie walczył z Wenecyanami, którzy byli przywłaszczyli sobie jego ziemie: Budwę, Bar i Ulczyn (Olgun); umarł bez potomstwa męskiego w r. 1421. Wenecyanie płacili jakiś czas 2000 dukatów Turkom haraczu, wreszcie w r. 1479 wydali im Skadar; w kilka lat potem Turcy zabrali Dracz, a w sto lat (1571) Bar i Ulczyn.

Tymczasem według danych, wyżej położonych, liczba ta wynosi 571 538. Jagicz, który wszystkich Mahometan bośniackich zaliczał do narodowości serbskiej, podaje ogólną liczbę Serbów na 3 194 512. W tak zwanej Starej Serbii, około Prizrenu, Pryszczyny, Nowego Bazaru, znajduje się kilkanaście tysięcy Serbo-Bułgarów, w znacznej części katolików; nadto 20 000, może więcej, tejże narodowości, którzy zaliczeni urzędowo do Mahometan, noszą nazwiska tureckie, lecz skrycie wyznają chrześcijanizm.

[1] Jelena kralica pisze: „Liubeznomu mi synu i kumu kralestwa mi knezu dubrowczkomu“. List posłany z Baru przez Bolsich (Monum. serb. Mikl. 1858).

[2] Vet. mon. Slav. merid. Theiner p. 261.

W północnej Zecie trzymali się jeszcze Serbi pod Crnojevićami, posiłkowali Skanderbega i Wenecyan w wojnach z Turkami. Ostatni Crnojević przesiedlił się do Wenecyi (1516 r.) i zostawił rządy władyce Wawiłowi. Odtąd Czarnogórcy rządzeni byli przez władyków, z rodziny Nieguszów aż do r. 1851. Turcy wdzierali się niejednokrotnie do środka kraju, zabierali nawet Cetynią, ale wówczas cała ludność wynosiła się na niedostępne szczyty i Turcy wracali do swych twierdz. Jednakże przy końcu XVII. w. znaczna część Serbów czarnogórskich przeszła była na iślamizm, i dzięki dopiero środkom okrutnym wprawdzie ale skutecznym pozbył się słynny Niegusz tej plagi. W r. 1851 Daniło odłączył władzę świecką od duchownej, ożenił się i wydał: „Zakonik Daniła I., kniazia i gospodara slobodne Crne Gore i Brdach“. Pozostała jeszcze Bośnia.

Kraj na południe Sawy, między Wrbasem, Bosną i Driną, zajmowany od VII-go w., a może i wcześniej, przez różne plemiona słowiańskie, rządzony był banami i żupanami, którzy czasem niezależnie, częściej jednak pod zwierzchnią władzą wielkich żupanów horwackich lub królów duklańskich zostawali. Po zajęciu Horwacyi przez Węgrów, Bośnia również pod ich dostała się panowanie [1].

Od czasu do czasu kronikarze wspominają o banie bośniackim; w XII-ym wieku nabył większego rozgłosu ban Kulin, miał bowiem zatargi, jako bogumilec [2] tak ze swym

---

[1] Bela Ślepy tytułował się: „Rex Rhamae“, tytuł ten pozostał do dziś dnia w koronie św. Szczepana. Rama jest małą rzeczką w pobliżu granicy Bośnii i Hercogowiny.

[2] Sekta Bogumiłów albo Bogumilców powstała w Bułgaryi, a wzięła nazwę od „popa Bogomila“, który żył za czasu cara Piotra, syna Szymonowego, między 927 i 968 rokiem. Krzewiła się ona bardzo prędko. Z Bułgaryi przeszła do Rasy, Serbii, Bośni, Dalmacyi, stamtąd na Zachód. Znaną była pod różnemi nazwami: katarska, patareńska, pawliczańska, albigeńska i waldeńska. Sekciarzy zwano we Francyi, Bugarami, Bugrami, a dla ich złego życia wyraz francuski bougre jest przydomkiem najohydniejszym. Zasady sekty oparte były na manicheizmie. Nauka ich da się sprowadzić do kilku głównych punktów: 1) Dwa są początki, dobry i zły, 2) odrzucają cały Stary Testament, 3) odrzucają Sakramenta, cześć świętych i obrazów, 4) nie przyznają żadnej władzy ducho-

władzcą królem węgierskim, jakoteż ze Stolicą św. Jednym z jego następców był Szczepan II. Kotromanić, ożeniony z Elżbietą Piastowiczówną, córką Kazimierza, księcia na Gniewkowie. Nawrócił się z bogumilstwa i w r. 1340 złożył wyznanie wiary w ręce Gerarda, legata papieskiego. O córkę jedynaczkę dobijał się Duszan dla syna swego, ale dostał odkosza; chcąc zatrzeć wstyd swój zemstą, wtargnął z wojskiem do Bośnii, ale pobity, musiał wracać. Elżbieta Kotromanićówna bawiła na dworze krewnej swej Elżbiety węgierskiej, siostry Kazimierza W., tam ją poznał Ludwik i za małżonkę pojął (1353).

Po śmierci Szczepana II., który nie zostawił potomstwa męskiego, banem został brataniec jego Twerdko Władysławowicz. W ciągu długoletniego panowania swego Twerdko postawił Bośnią w rzędzie państw niezależnych, skupił pod swą władzę wiele ziem tak horwackich jako serbskich, i po śmierci Urosza Duszanowicza, jako spadkobierca po kądzieli, koronował się w Mileszewie r. 1376 na króla Serbii i Bośni, podpisywał się: „Stefan Twerdko milostiu Božiom kral Serblem i Bosnie i Primoriu“. Posiłkował Lazara w bitwie na Kosowem polu i brał czynny udział w niesnaskach, jakie wynikły w Węgrzech po śmierci Ludwika, trzymał z Janem Horwatem i Janem Paliżną przeciw Maryi i Zygmuntowi. Te nieszczęśliwe wojny domowe były na rękę Turkom, którzy w tym czasie zgnietli do reszty Bułgarów, zajęli Rasę i zbliżali się do państwa duklańskiego.

Śmierć Twerdka (1391) wywołała nieporozumienia i dobijanie się o tron wśród wojewodów bośniackich. Przez lat kilka panował Dabisza, potem syn jego Ostoja. Za życia jeszcze Ostoi, możny ban horwacki Herwoja, sprzymierzeniec Władysława Dackiego, ogłosił królem nieślubnego syna Twerdki. Podczas gdy Twerdko Twerdkowicz trzymał się w północnej Bośni, w po-

---

wnej, 5) nie czynią krzyża, 6) nabożeństwo zależy na postach i modlitwie „Ojcze nasz“. Bogumilcy rozpowszechnili się najliczniej w Bułgaryi i Bośni. Bazyli II. Bułgaroktonos był na nich prawdziwą rózgą Bożą, ale dopiero Turcy w obu tych krajach koniec jej położyli, wszyscy bowiem Bogumilcy sturczyli się.

ludniowej rządził Ostoja, a potem syn jego z nieprawego łoża Tomasz Ostojowicz.

Królowie bośniaccy chętnem widzieli okiem pobratymca swego Warneńczyka na królestwie węgierskiem. Złożył mu hołd Twerdko Twerdkowicz w Budzie w r. 1440, wraz z despotą Brankowiczem; w r. 1444 Tomasz Ostojowicz przybył do Szegedinu, prosząc o pomoc przeciw Turkom. Wobec już odbytej i na nowo gotującej się wyprawy na Bisurmana, uderzony był Tomasz duchem poświęcenia krzyżowców, którzy z dalekich stron Europy zbiegali się pod sztandar Chrystusowy; tam musi być prawda i stamtąd zresztą jedyna pomoc i zbawienie jego kraju. Zawiązał stosunki z papieżem. W r. 1446 przyjął chrzest i pojął za małżonkę Katarzynę, córkę Kosacza, wojewody zachełmskiego, nawróconą również z bogumilstwa. Nadto, należało położyć kres sekcie, która niszczyła wiarę, obyczaje, podkopywała wszelką powagę, rozstrajała społeczeństwo; należało ściślej zjednoczyć kraj z Rzymem, którego głosu słuchała jeszcze Europa. Zwołuje tedy wielki wiec słowiański do Konjicy, na którym zasiadało duchowieństwo serbskie i bośniackie, książęta i wojewodowie. Od czasu Duszana nie pamiętano takiego zebrania, a od niepamiętnych czasów nie widziano, aby patryarcha serbski, metropolici i biskupi obrządku wschodniego, w jedności i zgodzie obradowali pod przewodnictwem legata papieskiego[1]. Postanowie-

[1] „Nos Stephanus Thomas Dei gratia Rasciae, Serviae, Bosnensium sive Illyricorum, Primordiae, partium Dalmatiae et Croatiae rex, memoriae mandamus, vigore praesentium significantes omnibus, quibus expedit. Convenientibus nobis in pago nostro Cogniz in generali nostra congregatione, fidelibus nostris universis Praelatis, Baronibus, Vaivodis ac proceribus, electisque omnium Comitatuum regni nostri nobilibus, quibuscumque tractantibus de his, quae ad utilitatem et tranquillitatem regni sunt respicientia; iidem antedicti proceres inter alias eorum laudabiles ordinationes exhibuerunt, et praesentaverunt certos articulos, nempe infrascriptos, humiliter supplicantes, ut eosdem articulos confirmare dignaremur: quorum quidem articulis talis est Primus, ne Manichaei nova templa construerent, nec vetera collabentia restaurarent.

Secundus. Bona data ecclesiis non auferantur. Tertius. Si quis extracto gladio occiderit hominem, regali judicio tradatur in carcerem, ac omnia sua bona dividantur in duas partes; una regali fisco vindicetur, et alia filiis, seu cognatis, vel parentibus jugulati.

nia wiecu wzmacniały jedność państwa i czyniły je sposobniejszem do wystąpienia przeciw groźnej potędze Turków. Papież ze swej strony dostarczył pomocy materyalnej i duchownej: część świętopietrza przeznaczył na potrzeby wojenne, ogłosił łaski duchowne dla wszystkich, którzy w tej świętej wojnie przeciw nie-

---

Quartus. Quod consiliarii, secretarii, Vaivodae, et Comites sedis regiae post adhibitionem solemniter regi praestent juramentum.

Quintus. Quod Herzegh Sancti Sabbae sit intelligimus, nisi per regem Rasciae, Bosnae, seu Illyriae eligatur, et post electionem praestet juramentum regiae majestati. Si autem non prestito juramento officium exercere praesumat, eum majestas regia puniat.

Sextus. Quod incestuosi, et corruptores consanguineorum suorum poena capitali puniantur.

Septimus. Proditores castrorum, vel suorum dominorum, poena infidelitatis; pari modo cusores falsarii monetarum. In cujus rei memoriam firmitatemque perpetuam constitutiones ipsas in praesentem libellum conscriptas et positas de Dominorum Praelatorum, Vaivodarum, et nobilium, ac totius regni voluntate et consilio, communis nostri sigilli appensione communiri fecimus.

Datum Cognitii per manus Reverendi Patris in Christo Domini Villemiri Vladmirovich Episcopi Cresoviensis, et Narentinarum Ecclesiarum Grecanici ritus, aulae nostrae Secretarii, Graecanicarum litterarum ac legum doctoris dilecti et fidelis nostri, anno Salvatoris 1446, in festo S. Joannis Baptistae, regni nostri tertio.

Praesentibus Venerabilibus in Christo Patribus Dominis, Thoma Episcopo Farensi, Apostolicae Sedis Legato, — Theophano Diocleae, seu Pecchinae Patriarcha nostri regni Rasciae Graecani ritus, Maximo Serviae Metropolitano Graecani ritus, Joanne Mozuae Metropolitano graecani ritus, Theodoro Paugna Metropolitano, ceterisque Dominis et Vladicis nostri regni de ritu Graecorum. Item Reverendis in Christo ac clarissimis Patribus ordinis S. Francisci; Eugenio Summa partium nostri regni Rasciae Nuncio, et Commissario Apostolico, ac generali Inquisitore.

Michaële Jadrensi Vicario Bosnae Fratrum praedicti ordinis: Item spectabilibus ac magnificis Stephano Herzegh S. Sabbae cum filiis suis; Radivojo carissimo nostro fratre, et Bano Jaize; Radivojo Vladmirovich Comite et Judice curiae nostrae; Stephano Vladcovich consiliario nostro, ac Usorae Bano; Joanne Covacich Vaivoda partium nostrarum Dalmatiae; Petro Paulocich Vaivoda Glasinci et dapiferarum nostrorum magistro; Paulo Cubretich Vaivoda Zuorniki magistro pincernarum; Nicolao Altomanovich Vaivoda Vagliavi et Praefecto partium regni Serviae; Vellemiro Jamometovich Vaivoda et Praefecto regni nostri Rasciae et aliis quampluribus regni nostri Vaivodis, Vaivodatus tenentibus et honores" (Il. Sac. Farl. t. IV., p. 68).

wiernym walczyć będą [1]. Po upadku Konstantynopola, gdy Turcy całą siłą zamyślali zgnieść resztki chrześcijaństwa na półwyspie bałkańskim, Tomasz wysyła Testę [2] do panów zachodnich o pomoc. Zachęcony zwycięstwami Skanderbega, odmawia płacenia

---

[1] „Stephano Thomae regi Bosnae illustri Nicolaus V. Debita ex charitate recensentes, quod tu in bello, quod contra Teucros et haereticos Manichaeos pro tua defensione geris ad reprimendum illorum saevitiam, et aliorum Christi nominis hostium, in partibus illis, et plurimos labores et sumptus subire dignosceris; ac propterea personam tuam de thesauro sacrosanctae Romanae et universalis Ecclesiae, et pretiosi sanguinis Domini Nostri Jesu Christi, et Apostolorum et Martyrum ditare, et spiritualium gratiarum muneribus confovere cupientes, ut omnibus proficiat ad salutem, et defensionem hujusmodi ferventius persequaris, quae exinde majoris retributionis merita te et ipsas personas speraveris adepturos; de omnipotentis Dei misericordia, ac beatorum Petri et Pauli Apostolorum ejus auctoritate confisi, tibi ac eisdem personis tam clericis, quam laicis vere poenitentibus, et confessis, qui in tuo exercitu fuerint pro hujusmodi defensione et hostium illius debellatione, plenam omnium peccatorum remissionem concedimus per praesentes, pariter et indulgemus. Dat. Romae apud S. Petr. Anno Incarn. Dom. 1450. Id. Junii, Pontif. nostri anno IV.“ (Illyr. Sac. Far. t. IV., p. 71).

[2] „Nos Stephanus Thomas D. g. rex Bosnae etc. univ. et singulis has litteras inspecturis notum facimus et manifestum, quomodo egregium ac strenuum militem Nicolaum Jacobi Testa fidelem ac dilectum oratorem pro nostris certis factis et negotiis arduissimis ad Reverendissimum in Christo Patrem ac Dominum D. Calistum 3. D. Provid. sacros. et universae Rom. Ecclesiae summum Pontificem D. N. clementissimum, et ad Serenissimum et Illustrissimum Principem D. Alfonsum D. g. inclitum regem Aragonum etc. et ad Serenissimum et Excellentissimum Principem simili D. g. Ducem Mediolani, atque ad Illustrissimum et gloriosissimum Principem D... eadam Dei gratia Ducem Burgundiae; et fratres et amicos nostros honorandissimos; ad ceterosque nonnullos Principes, et Communitates Christi fideles mittimus. Quapropter vos omnes praed. requirentes rogamus instantissime, quatenus tum intuitu summi Dei, a quo cuncta dona procedunt, cujus rem nunc acturi sumus, tum ob eam legem divinam, quae proximos diligere jubet, eumdem Nicolaum fidel. dil. nostrum recommissum habeatis, omnem sibi favorem possibilem, ubi, quando, et quoties opus fuerit, animo benigno afficere velitis; nec aliquem ex vestris subjectis sibi aliquam molestiam inferre permittatis, offerentes ad paria et his majora beneplacita. Datum sub castro nostro regali Bobovaz, in oppido Sutischae die 24 Julii. A. D. 1457“ (Illyr. Sac. Farlat. t. IV., p. 72).

haraczu i w walce na śmierć chce położyć koniec najazdom. Rozsyła tedy wici do panów bośniackich i serbskich, naznacza zbornym punktem Kosowe pole[1]; tam ma się rozstrzygnąć wie-

[1] „In nomine sanctae et individuae Trinitatis Stephanus Tomassevich Dei gratia Rasciae, Serviae, Bosnensium, seu Illyricorum, Primordie, seu Maritimae, partiumque Dalmatiae et Corbatiae rex etc. Universis nostris fidelibus dominis, praelatis, baronibus, magnatibus, comitibus, vaivodis, vice comitibus, generalibus, tribunis, centurionibus, nobilibus, juratis, civibus, et alterius cujuscumque status et conditionis sub nostra ditione constitutis, et existentibus, salutem et gratiam nostram. Notum judicamus unicuique pio Christiano, quo vulnere sauciata sit Christianitas hac nostra tempestate a perfidis illis Mahumetanis, quapropter meditatio cordis nostri assidua ad id summopere invigilat et intendit, ut hostes Christi nominis, quibus tot insidiis atque damnis lacessita est fides nostra, et jam vicinum Mahumetum eorum Imperatorem, qui infidelium et paganorum coadunatione multiplicata ruinam et exterminium firma intentione minatur, procul a nostrae regionis finibus ut arceamus, ne pedes pagani ad nostra limina ponantur, neve hoc regnum ex improvisa paganorum invasione et regnicolarum inadvertentia in lacrymabilem casum involvatur, penitus dirimatur, quemadmodum superioribus temporibus et in proximis diebus evolutis exemplari intuitu aliis nationibus per eundem Imperatorem Turcarum illatum fore jam experti sumus; et quis Christi fidelis et fervidus ortodoxae fidei amator lacrymas continere poterit considerando urbis Constantinopolitanae direptionem? Eja propter praenominati fideles nostri barones, praelati, nobiles, voivodae, et proceres regni, in primis, et nominati Stephanus Cossarich noster, fideles Herceg S. Sabbae cum filiis et vexillis. Radivoi Jablanovich charissimus patruus noster Banus Jaicze etc. Stephanus Stanich voivoda Primordiae, seu Maritimae cum vexillo. Momcillus Thomanovich Usorae Banus cum vexillis. Petrus Kovacich voivoda Pounga. Vuk Greblianovich Comes Liuna, et voivoda Prustii cum vexillis. Radivoi Vladmirovich comes et judex curiae nostrae cum vexillo. Voivoda Micinovich cum vexillo. Paulus Cubretich voivoda Zuornich et Mazuae cum filiis et vexillo. Voivoda Joannes Scatich, cum vexillo. Vladislaus Vuchich voivoda, praefectus Rasciae cum filiis, et vexillis. Deijam Altomanovich praefectus Serviae, et super mineralia referendariorum nostrorum magister cum vexillis. Vuksa Veselicich voivoda novi Castri prope Ragusium et praefectus partium maritimarum cum vexillo. Marcomir Brancovich voivoda Podrinija, ac tribunorum nostrorum supremus magister cum tribunis ac centurionibus electis nobis hominibus singulorum comitatuum ejusdem regni nostri in campo Cossovino hoc mense Junio congregati super eo generaliter huic draconi occurrere debemus, ne venenum suum super nos evomat etc. Datis Pristinae die 3. Junii 1459.

kowy spór — krzyżli czy też półksiężyc ma objąć panowanie. Próżne zabiegi. Państwo roztoczone już było bogumilstwem; niewiara i odszczepieństwo odwracało się od krzyża, wyciągało ręce ku chorągwi Mahometa. Mało który z książąt stanął na oznaczonem miejscu. Niebronione Smederewo dostało się w ręce Mahometa, Tomasz myślał już tylko o obronie Bośni, lecz niebawem we dwa lata potem, bratobójcza ręka zadała mu cios morderczy. Miał z Katarzyny syna Zygmunta i córkę Katarzynę, obydwoje jeszcze małoletni, władzę objął syn jego nieślubny Szczepan Tomaszewicz w r. 1461.

Dni nowego króla i jego królestwa były już policzone. W r. 1463 Mahomet II. z wielkiem wojskiem wkroczył do Bośni. Odezwy Piusa II. nie znalazły odgłosu, zjazd w Mantui spełzł na niczem, Europa zakłócona wewnętrznemi niezgodami nie zdobyła się na krzyżowców. Tatarskie zagony, pożogi krzyżackie nie dozwoliły Kazimierzowi wstąpić w ślady brata swego Warneńczyka. Pośpieszyła jeszcze Wenecya, pośpieszył Maciej Korwin, ale już było zapóźno dla Bośni. Mahomet wziął Bobowac i Jajce, obsaczył Tomasza w Kluczu. Poddał się król bośniacki pod warunkiem zachowania życia i wolności. Zdrajca Turczyn nie dotrzymał słowa, w przytomności sułtana, szeik jego Ali Bestami ściął głowę królewską 10 lipca 1463 r. W dziesięć lat po wzięciu Carogrodu padła ostatnia twierdza słowiańska i głowa ostatniego króla południowej Słowiańszczyzny. Zachełmskie księstwo dostało się w moc turecką. Jeszcze w r. 1453 pisał się już Kosacz „milošću božjom i gospodara velikogo gospodina cara emir-sultana Mehmed-bega herceg od sw. Save“. Syn jego Władysław wydał kraj w ręce Turków.

Turcy byli zwycięscami, dopięli swego Bogumilcy; trzydzieści tysięcy szlachty bośniackiej przysięgło bronić chorągwi Mahometa[1]. A to dopiero początek, niebawem na krocie liczyć

Hujus epistolae apographon in conventu S. Spiritus Foinicae Fratrum Min. provinciae Bosnae Argentinae in ipso regno adhuc incorruptum conservatur. Testor ego Fr. Marianus Lecusich provinciae supralatae secretarius“ (Illyr. Sac. Farl. t. IV., p. 72).

[1] „Trideset hiljada bosanskich plemenića prisegoše uz zastavu prorokovu, da joj mačem služe“ (Hr. pov. Smicz. dio I., str. 632).

się będą wyznawcy iślamu; poturczą się wszyscy Bogumilcy. Niegodni kapłani Chrystusowi [1] zostaną mołami, kościoły ich zamienią się w meczety; Franciszkanie tylko zostaną wiernymi i do końca dotrwają [2].

Katarzyna, żona króla Tomasza Ostojewicza, schroniła się do Rzymu, gdzie wspaniałomyślnie podejmowana przez papieży, zakończyła życie w r. 1478. Ponieważ dzieci jej, Zygmunt i Katarzyna, przyjęły iślamizm, przekazuje Stolicy św. swe prawa na królestwo bośniackie [3], jak to była już dawniej uczyniła ze Serbią żona despoty Jerzego.

Po dziś dzień jeszcze pomiędzy Mahometanami bośniackimi znajdują się nazwy starych rodów: Babić, Bosnić, Rajković, Bakarović, Filipović, Kopczić, Köprilić, Kulinović, Sokołović, Tvrtkowić, Widaić, Złatarović, Ždralović; ... jedni z nich znani są w dziejach horwackich, inni, jak Sokołowiciowie, Köpriliciowie smutną sławę osiągnęli po swem odstępstwie, jako baszowie tureccy.

[1] „Idem Pontifex (Eug. IV.)... Inquisitorem adversus haereticam pravitatem constituit, et simul in Presbyteros rectoresque ecclesiarum sacrilego concubinatu pollutos inquirendi..." (Illyr. Sacr. Far. t. IV., p. 70).

[2] „Samo red franjevaca, jer neugledan što živi od milostinje, spasi si svoj obstanak, da i nadalje dieli utiehu kršćansku" (Smicz. jak wyżej).

[3] „In nomine Sanctae et individuae Trinitatis Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen. Anno inc. Dom. 1478 Ind. XI. die vero 20, mensis Octobris. Pontificatus SS. Patris et Domini nostri Domini Sixti divina providentia Papae IV. In mei Notarii et testium infrascriptorum et subscriptorum ad omnia et singula infrascripta vocatorum specialiter et rogatorum praesentia, Illustrissima Domina Catherina quondam Ducis Stephani filia, Regina Bosnae, nunc in Alma Urbe in Regione Pineae in domo suae solitae habitationis prope Ecclesiam S. Marci de Urbe constituta, aegra corpore, sana tamen et compos mente. Et infra. Volens, quod, licet per immanissimum Christianae religionis hostem Turcum retroactis temporibus de facto, et per tyrannidem praedicto Regno Bosnae pulsa et spoliata sit, propterea tamen jus praefati non amisit, nec amittit, quod spectat ad eam, propter incapacitatem et inhabilitatem filiorum suorum legitimorum et naturalium, et Illustrissimi Regis Thome Regni Bosnae, ex professione Mahometanae sectae contractum; habensque fiduciam in Domino, qui nullum violentum sinit esse perpetuum, quod praedictum Regnum aliquando de manu tyrannica excidet, et evertetur ab ea, et Christianae subjicietur ditioni; volens propterea incolis Regni praedicti et Regno consulere, ne ad manus veniat

Wypada wspomnieć jeszcze o jednej miejscowości, która do żadnego z wymienionych państw słowiańskich nie należała, choć wszystkie chciały ją posiadać; mała rzeczpospolita tak zręcznie umiała ze swymi pretendentami wychodzić, iż nie tracąc ich

---

aliquorum nullum habentium jus in Regno, sed suum juridicum et legitimum habeat Regem; praefata Regina ex praemissis, et quibusdam aliis rationabilibus causis animum suum moventibus, ac memor munificentiae, gratiarum, et beneficiorum, a S. R. E. et Apostolica Sede, a fel. me. Paulo PP. II. et SSmo. D. N. Sixto PP. IV. collatorum, qui eam gratissima hospitalitate sunt semper prosecuti, subveniendo eidem secundum Regiam dignitatem condigno annuali stipendio et provisione sufficienti pro suis necessitatibus: in praedicto Regno Bosnae cum omnibus et singulis juribus etc. ac utili et directo ejusdem dominio Sacrosanctam Romanam Ecclesiam et Sedem Apostolicam ac praedictum SSmum Dominum Nostrum Dominum Sixtum divina providentia Papam IV. et suos successores canonice electos et intrantes, universales haeredes ac successores instituit. Rogavitque, et rogat per solemne fideicommissum dictam Sedem Apostolicam, ac praedictum Sanctissimum Dominum Nostrum, et praedictos successores, ejusdemque praedictae Sedis Apostolicae fidei commisit, et committit, et ita voluit et ordinavit, quod filio suo et praedicti Regis Thomae legitimo et naturali Sigismundo, si (quod Deus per infiinitam suam permittat clementiam) ex Mahometanorum vomitu, in quo degit de praesenti, ad veram Christi fidem realiter, et cum effectu revertatur, praedictum Regnum, et Regni jura, dominia et jurisdictiones absque detractione Legis Tribellianicae plene restituat, et investiat, quantum in praedicta Sede Apostolica fuerit. Si vero dictus Sigismundus ejus filius ad christianam fidem non venerit, ut praefertur, tunc illo casu dicta Illustrissima Domina Regina voluit dictum fideicommissum esse nullum, irritum et inane, nulliusque roboris vel momenti, ac sanctum non fuisset; sed in tali casu iterum rogavit et rogat dictam Sedem Apostolicam, et Sanctissimum Dominum nostrum et suos successores praefatos, et ejus ac praedictorum fidei comittit, quod, si filia ejus Catherina, quae similiter de praesenti Mahometanorum vomitum sequitur, revertatur realiter et cum effectu ad Sanctam Christianam fidem, eidem filiae suae modo et forma praemissis Regnum praedictum intergraliter restituant, quantum fuerit in eisdem; Ambobus autem et Filio et Filia praenominatis in perfida Mahometana secta perseverantibus, dictum fideicommissum praedicta Regina voluit similiter esse nullum, irritum, et inane modo quo supra est praemissum: et interim dictam Sedem Apostolicam posse plene et libere de praedicto Regno, ejus juribus, et titulo disponere ad suam voluntatem et beneplacitum, tamquam de re, patrimonio, haereditatae, ac bonis suis propriis, quibusvis contradictionibus non obstantibus etc." (Wyjątek z Arch. Wat. Assemani, kal. Eccl. univ. t. V., p. 95 et sequ.).

przyjaźni i szacunku, przez wiele wieków zachowała swe niezawisłe stanowisko — chcemy mówić o Dubrowniku.

„Z wieku mu i godności“ to wspomnienie należy. Najstarszy gród słowiański, miasto palm, „Słowiańska Wenecya“, „Ateny słowiańskie“ chlubną mają kartę w dziejach południowej Słowiańszczyzny.

Potomkowie Kadmusa czy Achilesa założyli byli Epidaurus (Captat, Ragusa vecchia); w VI. w. wypędzeni przez Słowian z miasta w gruzy obróconego, schronili się na półwysep, broniony od lądu niedostępnemi skałami i bagnami, i tam założyli nową osadę zwaną Raguza. Niebawem osadnicy greccy i rzymscy z innych miast nadbrzeżnych, uchodząc przed barbarzyńcami, powiększyli ich liczbę. Zasłonięci od lądu, bronieni od morza greckimi statkami, ocaleli wśród ogólnego przewrotu. Słowianie posiadłszy cały kraj okoliczny, porzucili wojenne rzemiosło, zajęli się rolnictwem, poczęli wchodzić w przyjazne z Raguzą stosunki, a wreszcie osiedlać się w samem mieście; od lasu dębowego, który od strony lądu okalał miasto, dali mu nazwę Dubrownika. W X. w. żywioł słowiański był już tam liczny, w XII. przemagał; na dokumencie przymierza zawartego w r. 1253 z Jasieniem bułgarskim, wszystkie prawie nazwiska są już słowiańskie[1]: a podczas gdy już cała południowa Słowiańszczyzna jęczała w jarzmie tureckiem, kiedy Wenecyanie starali się o wynarodowienie ludu w Dalmacyi, Dubrownik pozostał słowiańskim, sercem, mową i pismem, czystość i cały wdzięk języka horwackiego przechował się w Dubrowniku. Wiek XV., XVI. i połowa XVII. złotemi głoskami są zapisane w dziejach wolnego miasta; stało ono wtenczas na najwyższym szczeblu swego rozwoju. Posiadało 55 000 mieszkańców, 30 kościołów i klasztorów, liczną marynarkę, bogate składy towarów całego świata; umysłowem wykształceniem dorównywało najoświeceńszym miastom Italii. Żadne nawet miasto nie wydało stosunkowo tylu uczonych we wszystkich gałęziach wiedzy: teolodzy, historycy, poeci, literaci, matematycy mieli tu swych przedstawicieli, z któ-

[1] Czrewik, Gamik, Kolenda, Krusik, Zrezowik... Rodzina Kolendów była i jest jeszcze w Halickiem i na Białej Rusi.

rych wielu cieszyło się sławą europejską. Z tego uczonego pocztu wspomniemy tu o dwu mężach, bliżej nas obchodzących. Jeden z najznakomitszych poetów, Jan Gundulić zostawił epopeę słowiańską „Osman“; opisuje w niej czyny wojenne Władysława Warneńczyka i Słowian, którzy pod jego znakami służyli: w całym poemacie czuć się daje ciepło krwi bratniej [1]. Znakomitością europejską, w całem tego słowa znaczeniu jest O. Roger Józef Boszkowić (Bošković) Jezuita, urodzony r. 1711 w Dubrowniku. Astronom, fizyk, filozof pierwszorzędny, a przytem poeta; dzieła jego stanowią niespożytą sławę Dubrownika. Wśród głębokich swych prac naukowych, przewrotów europejskich i przykrych przejść osobistych znalazł jeszcze czas myśleć o kraju, z którym łączyły go związki pokrewne; zajmował się Polską, był w niej i o niej zostawił w swych pismach wspomnienie [2].

---

[1] Osman drukowany był po raz pierwszy w r. 1826. Wartoby przyswoić naszemu piśmiennictwu cały ten poemat; aby mieć jakieś o nim pojęcie, przytaczamy tu z niego kilka wierszy. (Wydanie Zagrzebskiej Akademii Umiejętności z r. 1877).

Vladislave, poljačkoga,
Slavna kralja, slavni sinu
Čim tva puni slava mnoga.
Swego svieta veličinu.
. . . . . .
Tko vojvodi i vitezu
Chodkieviću da odoli?
Radovilskom ko li knezu,
bojnom slavom ki se oholi?
Koji miri da ne padu,
ban Zborowski ke nastupi?
Ku li tvrgju i ogradu
da Zamojški ne razlupi?
. . . . . .

[2] Stanislai I. Poloniae Regis Lotharingiae ac Barri Ducis et inter Arcades Euthimii Aliphiraci, dum ejus effigies in publico Arcadum coetu erigeretur, Apotheosis auctore P. Rogerio Josepho Boscovich Soc. Jesu inter Arcades Numenio Anigmeo. Romae ex Typog. Gen. Salomoni, 1753, 8⁰, p. 13.

— Essais politiques sur la Pologne. Paris. 1764, 12⁰.

— Giornale di un viaggio da Constantinopoli in Polonia dell' Abate Ruggiero Giuseppe Boscovich... Bassano 1758. Wydanie francuskie z r. 1762 w Lozannie.

— Clar. viri Rog. Jos. Boscovich, Academiarum regiae scien-

Dubrownik rządził się z początku gminowładnie, na odgłos dzwonu zbierał się lud na wiec, wybierał księcia, urzędników, naradzał się i rozstrzygał ważniejsze sprawy. W XIII-ym wieku urządziła się Rzeczpospolita na wzór weneckiej; na wiecu zasiadała szlachta (vlastele, plemića). Dopóki Dubrownik zostawał pod opieką Wenecyi, księciem mógł być tylko Wenecyanin; od r. 1358 krajowiec tylko był wybieralnym i wybieranym. Aby się utrzymać przy swych swobodach i zapewnić wolne kupczenie, opłacał się Dubrownik sąsiadom i niesąsiadom, przyjaciołom i nieprzyjaciołom. Płaciło miasto Węgrom 500 dukatów, królowi serbskiemu 2050 perperów, bośniackiemu 500 perperów, Wenecyi 100 dukatów, Doży weneckiemu 12 yperperów, ale najwięcej Turkom; na początku zadowolili się 500 dukatami, a niebawem 15 tysięcy jeszcze im było za mało. Ale za to swobodny mieli handel nietylko na całym półwyspie, ale w Węgrzech, Włoszech, Małej Azyi, Egipcie. Zręczni i odważni marynarze w XI-ym w. przewozili na swych statkach Normandów, w XII-ym krzyżowców, między 1584—1654 r. trzysta statków dubrownickich służyło pod rozkazami admirałów hiszpańskich, wielu Dubrowniczan uczęstniczyło w wyprawie Kolumba.

Carowie i kralowie bułgarscy, serbscy, bośniaccy, knezowie i wojewodowie zency, zachełmscy, albańscy, żupani horwaccy w ciągłych zostawali stosunkach z Dubrownikiem. W nieprzyjaznej dobie w Dubrowniku szukali schronienia, tam składali swe kapitały i kosztowności, tam też w potrzebie zaciągali pożyczki. Dawali kupcy dubrowniccy dukaty, ale brali w zastaw ziemie i kopalnie; kopalnie złota, srebra i ołowiu na półwyspie bałkańskim znalazły się w rękach Dubrowniczan.

Zewnętrzne i wewnętrzne warunki sprzyjały rozwojowi miasta. Na zewnątrz południowe niebo, zdrowe powietrze, rozkoszne położenie, przepyszne otoki z palmową roślinnością; na wewnątrz ład, zasobność, swoboda: wszystko wróżyło coraz lepszą przy-

---

tiarum londinensis ac parisinae membri... Trigonometria Sphaerica... Mariae Theresiae Augustae honoribus dicata a Perill. D. D. Fr. Ser. Deyma, Fr. X. Wiesiołowski, Ad. Skarbek Borkowski, J. B. Czarnecki, dum idem... publicum tentamen subirent. Leopoli, a. 1780, typ. Piller.

szłość. Lecz niema nic stałego na tym świecie. Trzęsienie ziemi, które na kilka zawodów nawiedziło miasto (1481, 1482, 1520, 1631), zachwiało jego pomyślność, a najstraszniejsze w r. 1667 obróciło miasto w gruzy. Od tego czasu miasto, jakkolwiek jeszcze odbudowane, nie wróciło do dawnej świetności, a ostatni cios zadali mu Francuzi. Rewolucyoniści francuscy w imię wolności nałożyli naprzód milion liwrów haraczu, a następnie zagrabili miasto i położyli koniec ostatniemu wolnemu miastu słowiańskiemu; w r. 1814 dostało się Austryi. Miasto coraz więcej upada, w r. 1800 liczyło jeszcze 15 000 mieszkańców, dziś niema i połowy.

Dubrownik ma za patrona św. Błażeja (sv. Vlah). Za dobrych czasów chorągiew św. Błażeja powiewała na zamku książęcym, głównym rynku, na basztach i w porcie; flagą i herbem dubrownickim był wizerunek św. Błażeja. Święto opiekuna miasta było zarazem uroczystością narodową. Zjeżdżali i napływali Horwaci z najdalszych stron na ten obchód, banici nawet i wychodźcy, trzy dni przed i tyleż po uroczystości, bezkarnie mogli przebywać w mieście. Przy odgłosie dzwonów licznych świątyń, huku dział, obnoszono procesyonalnie w złotej trumience około miasta relikwie świętego. I dziś jeszcze, nie tak wprawdzie ludnie, nie z takiem przepychem ale z całą serdecznością i pobożnością słowiańską odbywa się corocznie pochód ludu, przyodzianego w strojne ubiory o nadobnych barwach i kroju narodowym.

Dzieje wielkiego półwyspu po zajęciu go od Turków, mało są znane. Od czasu do czasu tylko dochodziły echa gwałtów i bezprawi azyatyckich najezdców, lecz wnet zamierały wśród egoizmu i rozterek Europy. Ojcowie chrześcijaństwa nie opuścili jednak rąk wzniesionych ku niebu, nie zaniechali przytem środków ludzkich. Grzegórz, Inocenty, Eugeniusz, wielki Sykstus V., święty Pius V., wielki i święty Pius IX., wszyscy papieże, ilu ich było, stosownie do czasu i okoliczności, słowem i złotem, armatą i modlitwą stawiali zapory pogaństwu. Na ich głos powstawali bohaterowie i wojownicy chrześcijańscy. Po Warneńczyku,

Huniadzie, Skanderbegu, będzie jeszcze Eugeniusz, będzie Jan z pod Lepanto i Jan z pod Wiednia. Własnemi ciałami uścielą tamę przeciw najezdnikom męczennicy pod Cecorą, zwycięzcy pod Chocimem z tułowów bisurmańskich wzniesą wał obronny. Ukrócą, złamią, ale nie obalą. Nie na placu boju potęga mahometańska miała być skruszoną. Głęboko tkwiły korzenie iślamu, bujne a złowrogie puszczały pędy, ale ręka Opatrzności w samem ziarnie ukryła zaród śmierci, który, w czasie Jej tylko wiadomym, miał rozszerzyć zgniliznę i strupieszałość. Zaczęły występować niechybne przesłanki ostatniej niemocy, lecz tyle rzeczy zmieniło się w Europie! Reformacya, encyklopedyści i rewolucya sprawiły przewroty w pojęciach. Bóg, prawo, sprawiedliwość zostały zastąpione w języku międzynarodowym, równowagą, faktami dokonanymi, siłą przed prawem. Stąd gdy nad Bosforem wyrzeczono słowo „chory“, dyplomacya w wielkim znalazła się kłopocie. Po tylu leciech zapomniano czy i jakie ludy znajdowały się w jasyrze tureckim, rozchodziło się o spadek znaczny i ważny, kto miał go odziedziczyć? Wszyscy mieli nań pożądliwe oko, ale nikt nie miał prawa do słusznych wymagań. Nieznano prawego spadkobiercy! Historycznie winienby należeć do Greków, ale Grecy nie istnieją. Istnieje wprawdzie od półwieku państewko, które wyrwano ze szpon tureckich, ale to tylko parodia dawnej Grecyi. Najbieglejsi heleniści i najprzychylniejsi helenofile w rzadkich jedynie typach niewiast, stary ród Greków odnaleść tylko usiłują. W prowincyach półwyspu bałkańskiego znajdują się potomki dawnych bizantyńców, którym najblizsi ich sąsiedzi dają nazwę „Reki“, sami zowią się po staremu „Romei“, ale ich liczba nie stoi w mierze z ich przebiegłością i uroszczeniami; o innych ludach nie umiano jeszcze zdać sobie sprawy. Do ostatnich prawie czasów nieznane były dostatecznie kraje wchodzące w skład państwa, noszącego nazwę Turcyi europejskiej. Prace Szafarzyka, Koeppen'a, Lejean'a; pomiary i badania inżynierii austryackiej i rosyjskiej, idącej wślad zwycięskich wojsk w ostatniej wojnie wschodniej, pokój w San-Stefano i traktat berliński ustaliły dopiero lepiej tak geograficzne jak i etnograficzne wiadomości. Przed rokiem 1878 Turcya liczyła 12 miljonów mieszkańców, wraz z Bułgaryą i Serbią; w tej liczbie właściwych Osmanli

było tylko półtora miljona, z poturczonymi zaś Słowianami i Albańczykami zaledwie półczwarta: samych Bułgarów było pięć razy więcej aniżeli Romeów czyli Greków. Półwysep bałkański, który przed tysiącem lat był już historycznie słowiańskim, jest nim tedy dziś również, w części politycznie, w części etnograficznie. Horwaci dalmaccy podają dłoń bratnią posawskim, Serbi są wolni, Bułgarzy rządzą się samodzielnie, ale nie wszyscy. Krocie Słowian dźwigają jeszcze pęta niewoli w planinach Szarskich, nad Wardarem i Marycą; stare siedziby kralów i carów, stolice patryarchów i rodzinne miasto Apostołów słowiańskich znajdują się w rękach niewiernych: wreszcie stary gród Konstantyna osłonięty jest ciągle złowrogim całunem nocnym, powiewa nad nim dwurożny księżyc Mahometa. To co było i pozostało słowiańskiem, pomimo wiekowych ucisków i znęcań iślamu, słowiańskiem pozostanie, a w bliskiej przyszłości, jest nadzieja, samoistnem; ale „Perła Wschodu“, „Nowy Rzym“, „Klucz do panowania nad światem“, gród, który miał odzierżyć Zwonimir ze swymi Horwatami, o który dobijali się Krumowie i Borysowicze bułgarscy i Nemanjowicze serbscy czyim będzie udziałem i kiedy?

„Nieogarnione są sądy Jego i niedościgłe drogi Jego.... On odmienia czasy i wieki, przenosi królestwa i stanowi.... bo wszystko co jest na niebie i ziemi Twoje jest, Twoje Panie królestwo i Tyś jest nadewszystkimi książęty“.

Któż jest mocen dać dzisiaj inną odpowiedź!

X. W. Zaborski.

O MIĘKKICH ZGŁOSKACH

w języku staropolskim.

Według praw fizyologicznych możebne jest niezliczone mnóstwo odcieni samogłoskowych, które się między *u* — *i* jako ostatniemi krańcami na linii samogłoskowej mieszczą [1]. Od stosunku, w jakim oba główne czynniki t. j. artykulacya warg i języka przy wygłoszeniu dźwięków samogłoskowych na podstawie *u* — *i* do siebie stoją, zależeć także będzie odcień wygłoszonego dźwięku. Jeżeli więc pomiędzy temi czynnikami n. p. taki zachodzi stosunek, że artykulacya języka, potrzebna do dźwięku *i*, łączy się z artykulacyą warg dla głosu *u*, lub dla innych dźwięków, które w rzędzie między *u* — *a* i *a* — *i* się mieszczą, wówczas dźwięki, leżące między temi kończynami, jak *o* między *u* — *a*, *e* między *a* — *i*, otrzymują odpowiedni odcień głosowy, zostający w odnośnym stosunku do artykulacyi, jaka na ich wygłoszenie się składała, t. j. głosów *i* + *u*, *i* + *o*, *i* + *a*, *i* + *e*. Te w ten sposób wytworzone dźwięki znane są w gramatyce polskiej i gdzieindziej pod nazwą jotowanych, o niestosowności którego oznaczenia łatwo z powyższego przekonać się można.

Ten sam proces odbywa się tylko w odwrotny sposób przy połączeniu spółgłoski z samogłoskowym dźwiękiem. Przy wymowie bowiem spółgłoski z samogłoską po sobie, artykulacya spółgłoski upodobnia się artykulacyi samogłoski w sposób jak najbardziej zbliżony, by uniknąć przejściowych pauz, jakie pomiędzy jedną a drugą są konieczne [2]. Przy połączeniu więc jakiej-

[1] Sievers, Grundzüge der Lautphysiologie, Leipz. 1876, §. 7.
[2] Sievers, str. 104.

kolwiek spółgłoski z artykulacyą dla głosu *i*, układa się artykulacya narzędzi głosowych w ten sposób, że przednia część języka podnosi się ku podniebieniu, podczas gdy wargi składają się na kształt lekkiej szczerby. Wygłoszona tak miękka spółgłoska jak pol. *ń*, *ś*, *l* i t. p., jest jednotliwą i jako taka dowolnie, jak każdy inny trwały dźwięk (Dauerlaut), w wymowie przedłużać się może[1]. O egzystencyi więc *joty* w ich składzie mowy być nie może tak samo. jak u powyższych miękkich samogłosek. Ton, który w postaci szelestu, zbliżonego do powiewnego *j*, niekiedy zwłaszcza przy zwiększonej sile ekspiracyi towarzyszy chwilowym dźwiękom, powstaje tylko wtenczas, kiedy odstęp pomiędzy chwilowym dźwiękiem (spółgłoską) a samogłoską jest za długi a ekspiracya nie ułożoną należycie. Stosuje się on naturalnie do poprzedzającej spółgłoski i odpowiednio do tego, czy ona jest jasną (media) czy nie, jest on także jaśniejszym lub głuchym (tonlos)[2]. Jeżeli żaś dźwięki przy połączeniu wzajemnem w oddalonym zanadto do siebie zostają stosunku pod względem miejsca ich artykulacyi, jak to n. p. przy gardłowych spółgłoskach i podniebiennem *i* zachodzi, natenczas żeby zbliżyć je do siebie, potrzebna jest także zmiana ich artykulacyi, co w ten sposób się dzieje, że artykulacya z miejsca tylnej części języka przenosi się do twardego podniebienia t. j. do miejsca zbliżonego do artykulacyi *i*, przez co gardłowe dźwięki stają się podniebiennymi.

Wywód ten fizyologiczny objaśnia nam ważną właściwość języka polskiego i innych słowiańskich, polegającą na tak zwanych miękkich, lub pieszczonych spółgłoskach, które w ścisłym stoją stosunku z miękkiemi lub pieszczonemi samogłoskami. Miklosich a za nim i inni sławiści nie przyjmują miękkich dźwięków, w języku starosłowiańskim oprócz płynnych *l*, *r*, *n*[3]. Zamiast miękkich samogłosek występują u Miklosicha jotowane (praejotirte) po drugich samogłoskach i na początku wyrazu i jerowane (praejerirte) po spółgłoskach. Funkcya jednakowoż tych

[1] Sievers str. 105; porówn. Julius Hoffory, Phonetische Streitfragen w Kuhn's Zeitschrift f. vergl. Sprachforsch. T. 23, str. 525 nast.

[2] Sievers str. 106.

[3] Vrgl. Gram. I², str. 204; tegoż: Altslovenische Formenlehre in Paradigmen, Wien 1874, str. XVIII. nast.

samogłosek nie jest fonetyczna tylko etymologiczna, w których miękki dźwięk, poprzedzający samogłoskę, zastępuje pełniejszy pierwotnie tej samej kategoryi (ь—н), lub też, jak wśród ścieku dwu samogłosek, wywija się według praw fizyologicznych jako osobny odgłos z poprzedzającego. Widocznie przyczyniła się do tego mniemania wymowa niektórych dzisiejszych języków słowiańskich, w których się łączą spółgłoski z samogłoskami bez bliższego oddziaływania na siebie, jakby w sposób obojętny lub też połączenie to odbywa się tylko na podstawie pokrewieństwa fonetycznej wartości, w których to razach słyszeć się daje rzeczywiście pewien oddźwięk powiewającego szelestu, będącego tylko rezultatem dłuższego odstępu między zlaniem się spółgłoski z samogłoską. Ten oddźwięk wzięli następcy św. Cyryla, uzupełniając abecadło jego, za samoistny dźwięk i odpowiednio do tego zaprowadzili w abecadle słowiańskiem cztery nowe znaki piśmienne: ѩ, ѥ, ѭ, ѫ, których pierwotnie w niem nie było[1]. Okoliczność ta w połączeniu z stanem ortograficznym starosłowiańskich zabytków, w których tak zwane jotowane samogłoski zastępują się przez znaki piśmienne dla czystych samogłosek i na odwrót czyste przez jotowane, tłómaczy nam naturę fizyologiczną odnośnych dźwięków i rzuca światło na układ obydwu alfabetów i ich stosunek wzajemny. Pomięszanie znaków piśmiennych dla pewnych dźwięków tylko wówczas jest możebnem, jeżeli istniały w języku odpowiednie brzmienia, których niedokładne oznaczenie przez znak piśmienny w fizyologicznej naturze samego dźwięku mieć mogło źródło. Pozostawiając rozbiór tej kwestyi do innej sposobności, zadowolniam się obecnie zaznaczeniem tylko faktu, opartego na rzeczywistym stanie ortografii najstarszych zabytków piśmiennych słowiańskich, w których oprócz miękkich samogłosek *e i*, także miękkie (jotowane) *a o u* napotykamy. Miękkość dźwięków tych albo wcale się nie wyrażała w piśmie, albo oznaczano ją, lub to na nich samych w rozmaity sposób, jak za pomocą znaku, służącego dla *joty*, albo też punktu nad samogłoską, lub

[1] Zob. Hattala: Mnich Chrabr w Časopis česk. mus. 1858, str. 117 i Výsledky historického jazykozpytu a mluvnice ruská, tamże 1864, str. 233.

też odmienną postacią graficzną, albo miękkość ich odbijała się na poprzedzających spółgłoskach bez względu na ich fizyologiczną naturę, które z niemi razem tworzyły miękkie zgłoski.

Proces ten, który w życiu innych języków słowiańskich przerwany został, przetrwał w języku polskim aż do obecnej chwili, i z tego względu może rzucić niejedno światło na podobne zjawisko, jakie w najstarszej epoce innych siostrzyc słowiańskich napotykamy. W ustroju bowiem języków podobnie jak w dziedzinie przyrody nowsze utwory powstawają na podstawie starszych, których istota ulega tylko przemianie, stosując się do prawideł, jakie zmienione warunki wytwarzają. Jeżeli zaś starszy utwór ustępuje miejsca młodszemu, to pomiędzy ich wyłącznem użyciem w języku nie może zachodzić żadna przerwa, przeciwnie tylko na podstawie jak największego zbliżenia się wzajemnego, zmiana ta ich roli jest możebną. Stan taki przejściowy przedstawia nam z jednej strony resztki zamierającego życia języka w pewnej dobie, z drugiej strony obejmuje on te czynniki, które koniecznie prowadzą do nowych formacyi. Jeżeli więc w dzisiejszym języku polskim miękkość zgłosek, posunięta do tak wysokiego stopnia, w porównaniu z dawniejszym stanem językowym, proces ten przedstawia nam jako ciągle działający i to na niekorzyść swoją, wówczas postępując na tej samej drodze wstecz, musimy przypuścić, że i w innych słow. językach proces ten w podobnym rozwijał się kierunku, t. j., że epokę dzisiejszą twardych zgłosek poprzedzała epoka, w której jak w polskim języku lub ruskim niektóre dźwięki samogłoskowe wymawiały się miękko, tworząc z poprzedniemi spółgłoskami miękkie kombinacye dźwiękowe.

Co się tyczy zaś formalnego oznaczenia miękkości brzmień staropolskiego języka, panuje już w najstarszym jego zabytku, Psałterzu Floryańskim, ten sam stosunek, jak w innych starosłowiańskich zabytkach, zasadzający się na tem, że miękkość dźwięku albo całkowicie się nie oznacza, albo wyraża się na poprzedzającej spółgłosce (powiewnej) za pomocą stereotypowego *z*, lub też szczególnie przy innych spółgłoskach przez dodanie głosek *i*, *y* do miękkiego samogłoskowego brzmienia. Tak np. zaraz w pierwszym psalmie na początku czytamy: blogoslawoni, ne, po

radze, spadnena, sedzal, wola, we dne, watr, zeme, poganstwo, prosznoscz, nebesech, me itd. Sposób ten pisania ciągnie się prawie przez całą pierwszą część psałterza, pod koniec której dopiero występuje *y* jako znak miękczący: cyalo [1], syemǫ [2], pyal [3], syano [4], pyacz [5], czyalo [6], syerczu [7], pyekla [8], lyata, zyele [9], syromota [10], sywat, symara, sywatloscz [11], lub też funkcyą tę pełni samogłoska *i* jak: piasek [12], piacz [13], nebiosa [14]. Sposób ten pisania, który w Psałterzu Fl. w głównych zarysach już jest reprezentowany, ciągnie się przez wszystkie zabytki staropolskie, więcej tylko lub mniej konsekwentnie przeprowadzony. Mając więc tylko jeden z powyższych sposobów oznaczenia brzmień w jakim zabytku wyłącznie zastósowany, niewłaściwem byłoby na podstawie jego osnować prawidła fonologiczne o stanie języka żyjącego w odnośnej epoce, gdyż możnaby łatwo popaść w błąd, w który każda zbyt ograniczona podstawa operacyi przy naukowem badaniu wprowadza.

Z drugiej strony byłoby niemniej fałszywem, chcieć dzisiejszy stan języka brać za normę, do której stósowałoby się objawy jego przeszłości, jakie pod rozmaitemi postaciami rozrzucone w różnych napotykamy zabytkach. Kierując się bowiem tą zasadą, musielibyśmy ograniczyć łączność miękkich (pieszczonych) spółgłosek z odnośnemi miękkiemi samogłoskami tylko na pewne kategorye gramatyczne i to jeszcze wśród nich robić pewne zastrzeżenia co do kwalifikacyi miękczenia odnośnych spółgłosek przed odnośnemi samogłoskami, jak gdyby w mechaniźmie językowym było rzeczywiście poczucie pewnych dystynkcyi a nie konieczność, oparta na prawach fizyologicznych. Tak według prawideł dzisiejszego książkowego języka, wymiana zębowych *t, d* i syczących *s, z* na odpowiednie miękkie, odbywa się przed miękkiemi samogłoskami *(i, e, ę)* — miękczenie pierwszego stopnia, podczas gdy gardłowe ulegają miękczeniu tegoż stopnia tylko przed *i* i to tylko w deklinacyi, a *k g* jeszcze przed *ê* (ѣ), podczas gdy *ch* cieszy się większą swobodą, t. j. nie stósuje się wcale do tego prawa. Przed jotowanemi zaś samogłoskami prze-

[1] W ps. 55. [2] Ps. 68. [3] Ps. 70. [4] Ps. 71. [5] Ps. 74. [6] Ps. 83. [7] Ps. 84. [8] Ps. 85. [9] Ps. 89. [10] Ps. 88. [11] Ps. 89. [12] Ps. 77. [13] Ps. 81. [14] Ps. 88. zob. Nehring: Iter Florianense str. 45.

chodzą zębowe *t, d* i syczące *s, z,* w *c, dz,* i *sz, ż,* podczas gdy gardłowe mogą jeszcze oprócz tego i przed miękkiemi *e* i *ę* a przed *i* i *ê* (ѣ) tylko w etymologii lub konjugacyi zamienić się na odpowiednie podniebienne-miękczenie drugiego stopnia [1].

Prawidła takie opierają się tylko na dystynkcyach formalnych pod względem akustycznej wartości brzmień, a nie na ich rzeczywistej naturze fizyologicznej i funkcyi, jaką pełnią w organizmie językowym. Dlatego też samorodny język ludowy nie stósuje się do tych subtelności, a także język staropolski okazuje w tym względzie większą normalność, gdyż opartą na naturalnem prawie jego budowy. Nie wchodząc więc w takie rozgatunkowanie dźwięków, zadowalniam się na wykazaniu ich funkcyi, jaką według fizyologicznej natury przybierają w połączeniu wzajemnem a tylko dla lepszej przejrzystości, zestawiam spółgłoski podług ich artykulacyi a samogłoski podług kategoryi gramatycznych, w których się znachodzą.

I. Zębowe spółgłoski *t, d* przechodzą w stp. języku tak przed miękkiemi samogłoskami (*i, e, ę*) jako też jotowanemi (*ja, je, jo, ju, ję, ją*) bez względu na kategorye gramatyczne w odpowiednie im miękkie *ć, dź,* tworząc z niemi miękkie zgłoski *ći, će, ćę, ća, ćo, ću, ćą* i *dźi, dźe, dźę, dźa, dźo, dźu, dźą.*

a) W środku wyrazów przed miękkiemi *i, e, ę*: wyczyǫ́-szczǫ́ǫ́-wycięzcą [2], stsł. vitęzь. sciǫ́sczie-scięscie [3], stsł. štęstije. rycyerze-rycierze [4], czesk. rytíř z niem. Ritter; ryczyerzow [5]. Podobnie czytać należy: ricerzymy-rycierzmi [6]. sczyepanowa-sciepanowa [7], czesk. Štěpan, Stephanus.

---

[1] Zob. Małecki Gram. §. 59—67 i Gram. hist. porówn. §. 66—72.

[2] (*Bl. Szar.*) Biblia królowej Zofii. Lwów 1871. — 37.

[3] (*Modl. Wacł.*) Modlitwy Wacława. Zabytek jęz. pols. wyd. przez L. Malinowskiego. Kraków 1875. 48a, 68b. Dalej: Ag. Agenda latino et vulgari sermone polonico illuminata incipit. Kraków 1514. Zawarta tam powieść o Urbanie papieżu str. 68a.

[4] (*Żyw. Bł.*) Żywot ś. Błażeja. Bibl. Ossol. 1864. 194.

[5] (*M. Roż.*) Pr. książ. Mazow. tłom. przez Mac. z Rożana 1450. Wyd. A. Piliński nakł. bibl. kornickiej. 1877.—19.

[6] (*Stsł.*) Pr. pol. Kaź. Wiel. i Wład. Jag. tłum. Swiętosława z Wocieszyna 1449 wyd. tenże 22.

[7] (*Dod.*) Dodatki do piśmien. polskiego wydanego przez W. A. Maciejowskiego u S. Orgelbranda 38.

Zamiast stsł. ь używa się w języku polskim *e*, które będąc miękkiem, podobny wpływ wywierało na poprzedzające spółgłoski: cyescz-ciesć [1], stsł. тьстъ; czyeszcz [2]; cieść [3]. Przymiotnik od tego utworzony: czczyowy-ćciowy [4]. sczeblo-ścebło [5], stsł. стьблo. rosczirkv-roscirku [6], z czem porównać można w Mikl. lex. rastrêkati irritare, naprowadzające na rastrъk, pol. rosterk-cierk. Nawet *w* rozdzielające poprzedzającą zębową spółgłoskę od następnej miękkiej samogłoski, nie chroni jej od zmiękczenia: poczywyrdzicz-poćwirdzić [7], stsł. тврьдити; vczywyrdzoni [8]; uczwierdzion [9]; sczwyrdzy [10]; poczwyrsona z czeskiego-poćwirzona zamiast poćwirdzona [11]. dzwyrze-dźwirze [12], stsł. дврь. zwiema zamiast dźwiema [13], jeżeli nie jest to prostym błędem.

Podobna przemiana nastąpiła zębowego *t* przed następną miękką zgłoską w *czrzos-trzos* [14], które może jako *czrzos* lub też *ćrzos* być czytane i stoi wówczas w ścisłym związku z *trêsъkъ* lorum, które w postaci *terasъkъ* i *terêsъhъ* w staroruskich zachodzi zabytkach [15]. Jednakowoż ze względu na ros. *čerezъ* zdaje się być prawdopodobniejszem, że dzisiejsza polska forma z nagłosowem *t: trzos* powstała przez disimilacyą z *czrzos* w ten sam sposób, jak np. *trzoda* z *ćrzoda*, *czrzoda*, stsł. črêda, porówn. lit. kérdžus, got. hairda; *trzewik* z *ćrzewik*, *czrzewik*, stsł. črêvij itd., których nagłosowe *cz* powstało mimo następującego *r* w stsł. języku przed miękką zgłoską z pierwotnego *k*. Nie ulega wątpliwości, że pol. *trzos* i *trzosła*, stsł. črêsla, w ścisłym stoją związku z *trzewo*, stsł. črêvo, chociaż trudno jest odszukać pokrewnych im form w innych językach indoeuropejskich. Równy zachodzi stosunek pomiędzy stpolską formą *oczrzedzy*, *oczrzedzą*.[16], ros. očeredь, a stsł. črêda vices, które z Fickiem w Kuhn's Ztschft f. vrgl. Sprachf. XX, 167 z prus. kērda czas, stgniem. herta, trzeba zestawić a oddzielić od stsł. črêda grex, pol. trzoda, got. hairda, skr. śardhas.

[1] Bl. Szar. 321 a. [2] Bl. Szar. 64 a. [3] (*Sekl.*) *Testamentu novvego czesc piervvsza*. Królewiec 1551. 245. [4] Bl. Szar. 34 b. [5] Psałterz Floryański 91 a. [6] Stsł. 32. [7] Stsł. 67. [8] M. Roż. 2; 22. [9] (*St. M.*) Statuta Mazowieckie z 1531—1543. wyd. w Warszawie 1858. 233. [10] Ps. Fl. 60 a. [11] Ps. Fl. 67 a. [12] Bl. Szar. 8 a. [13] Bielskiego kronika (Blsk.) 9 b. [14] (*St. W.*) Statut Wiślicki w tłómacz. z r. 1460. 44. [15] Zob. Miklosich lex. [16] Stsł. 23.

Przy połączeniu sufiksów z pierwiastkami dla utworzenia tematów wyrazowych obowiązują te same prawidła, jak w zgłoskach rdzennych. Język stpolski zachował w tym względzie w wielu razach zadziwiające poczucie pierwotnego znaczenia funkcyi wielu przyrostków, które z biegiem czasu zatarte zostało pod wpływem rozwielmożniającej się analogii. Tak przed sufiksem - *in*, stsł. - *inъ*, przemienia się poprzedzające tematowe *d* regularnie w *dź* w *gospodzin* [1], stsł. gospodinъ, podobnie jak: yedzynaczkę [2]; pojedzinkiem [3], które odpowiadają stsł. jedinъ. Dzisiejsze formy: jedynaczka, pojedynkiem, mają już w stsł. jedьn-swe analogiczne z twardem *d*. Ten sam stosunek napotykamy w złożonych wyrazach, których pierwsza część kończy się na *i*: Wlodzyslawowy-Włodzisławowi [4]; Wlodzyslawa [5]; Ladzyslaw [6]. Spiczigniew-Spycigniew [7], stsł. spyti [8].

Miękczenie tematowego zakończenia na zębową spółgłoskę odbywa się podobnie jak w rdzennych zgłoskach, chociaż rozdziela je od miękkiej następnej samogłoski powiewna lub płynna spółgłoska jak: łacwiey [9], łacwi [10], polędzwicą [11]. W *wszyciek*, które począwszy od Bl. Szar. aż do końca XVI. wieku jest w użyciu, można przyjąć sufiks — ьk, stsł. — ьkъ, albo też wymiana ta nastąpiła przed *e* = stsł. ѣ, jak gdyby przed pierwotnem, tak samo jak np. odzeidz-odzejdź, odejdź [12], stsł. otiti zam. otъ-iti. W formie obywaciele [13], zamiast dzisiejszej obywatel, mamy regularnie zastósowane prawidło głosowe, które dotychczas np. w *nauczy-ciel* itp. się zachowało.

---

[1] Ps. Fl. 2 a. [2] (*Ps. Puł.*) Psałterz Puławski. 68 b. [3] (*R. Zw.*) Zwierzyniec Reya z r. 1562. 79. [4] Stsł. 60, 70, 72. [5] (*Ks. Ust.*) Księgi ustaw pols. i maz. 1449—1541. 156. [6] (*Chw.*) Chwalczewskiego kronika pols. z r. 1549. I. 65. i (*Grg.*) Gieorgiewitsa: Rozmowa z Turczynem o wierze z r. 1548, A 2. [7] Blsk. 143. [8] Porówn. Miklosich: Die Bildung der slav. Personennamen w Denkschrift. d. k. Akad. d. Wiss. phil. hist. Cl. Wien 1860. X. str. 313. [9] (*Sien.*) Marcin Siennik. Księgi o lekarstwach z r. 1563. 32. [10] (*Gr. Porz.*) Porządek sądów i spraw miejskich według pr. Maydebur. Lazarus Andreae impressit. LIX. (Groicki) 37. [11] (*Tw. Pasq.*) Nadobna Pasqualina Sam. Twardowskiego z r. 1701. 67. Por. stsł. lędwija lumbi, najeźnika w wyd. warsz. z r. 1778 Dzieł Naruszewicza IV. 185, stsł. jazdьnikъ. [12] (*Łask.*) Łaskiego statuta Wiśl. z r. 1506. 122. [13] (*Lub.*) Lubelczyka Psałterz z r. 1558. N. 1 b.

Przy połączeniu sufiksu *n* za pomocą spójki *e* z tematami słownemi, zakończonemi na zębową spółgłoskę, lub na samogłoskę *i* z poprzedzającą zębową spółgłoską, czyli przy słowach należących do I. 1 i IV. kl., przemieniały się zębowe spółgłoski tematowe przed następnem *en* i *ien* w imiesłowie biernym czasu przeszłego w *ć*, *dź*: czcien od słowa czyść, stsł. čьt-, tr. bezok. čisti [1]. gedzyeno-jedzieno, sznyedzyena, sznyedzyona [2], stsł. jasti, jad-ą. obsiedzion [3]. zbodzionej [4]. oczyszczyon-oczyscion [5], wyczyscіona [6], stsł. čisti-ti. vczсiona-uczciona [7], stsł. čьstiti, čьtiti itd. [8] Miękczenie to pozostawało, gdy od imiesłowów tych utworzone zostały rzeczowniki słowne (substantiva verbalia) jak: oczyszczyenye-oczyscienie [9], stsł. očistenije, oczisczyenya [10], wyczyszczianie [11], oczyszczenyv [12]. possyedzyenya-posiedzienia [13]. czcyeniu-czcieniu [14], stsł. čьtenije. kładzieniu [15]. widźenya-widzienia [16]. zaszczyczyenym-zaszczycienim [17]. niechczienia-niechcienia [18]. odpuszczyenye-odpuszcienie [19].

b) Na końcu wyrazów.

Tematy rzeczowników i przymiotników, należące do *ja*-deklinacyi, okazują miękkie *ć*, *dź*, w zakończeniu mianownika, które przez całą deklinacyę pozostają: puszczya-puszcia [20], stsł. pustyni, pustъ. Z tem porównać można podobne utwory małoruskiego języka: vivća, pšenića [21]. myeszczye-mieście [22], stsł. mêsto. (czeladź) starosczya, (mocz) starosczya-starościa od *starosta* utworzony przymiotnik [23]. woyewodza-wojewodzia r. ż. od *wojewoda* [24]. mayączya mająсia [25] r. ż. imiesłowu cz. teraźń. czyn., stsł. imiejąštaja. na puszczyǫ́-puszcią [26]. spycyǫ́-spicią [27], niem. Spitze. rdzyǫ́-rdzią [28], stsł. rъžda. na

---

[1] (*Rt. M.*) Roty przysiąg sąd. wyd. Maciejowskiego. 14. [2] Bl. Szar. 80, a, b. [3] Łask. 94. [4] (*Pozdr.*) Pozdrowienie członków P. Jez. Kraków 1533. E, 3b. [5] Ag. III, b. [6] (*RAp.*) Apocalipsis z r. 1565 90, b; 175, b. [7] Pozdr. G, 6. [8] Przykłady zob. w historyi języka polsk. str. 380 nast. i 386 nast. [9] (*Modl.*) Książka do naboż. Jadw. ks. pols. 152; Ks. Ust. 155, 156; (*Nar. Tac.*) Tacyt w tłom. Naruszewicza wyd. 1783. III. 289. [10] Bl. Szar. 256, b; Dod. 82. [11] (*Krsc.*) Crescentyna, księgi tłom. Trzecieskiego z 1549, 57. [12] Stsł. 8; St. W. 60; Ks. Ust. 65. [13] MRoż. 9. [14] Bl. Szar. 311, b. [15] St. M. 214. [16] Bl. Szar. 117, b. [17] Bl. Szar. 16, a. [18] Łask. 115. [19] Ag. 13, a. [20] Bl. Szar. 58, a. [21] Zob. Ogonowski: Studien auf dem Gebiete der ruthen. Sprache, str. 71. [22] Dod. 134. [23] Ks. Ust. 164. [24] Stsł. 55. [25] Stsł. 28. [26] Bl. Szar. 49, b; 60, b; 61, a; 64, a; 65; a. [27] Bl. Szar. 183, b. [28] Bl. Szar. 149. a.

myeszczyu-mieściu [1]. Jesu Chrisczye-Jezu Chryscie woł. l. poj. [2]. Forma ta jest regularnie utworzoną podobnie jak np.: Marchołcie [3], Benedykcie [4], podczas gdy aż do dzisiaj używana *Jezu Chryste* i inne jej odpowiednie poszły za modłą języka łacińskiego [5]. Nie można zaś tego powiedzieć o następnym przykładzie: obiecie [6], które pod wpływem poprzedzającego przymiotnika *szive*-żywe zamiast obiety, obiaty, stsł. obêty, powstało.

Imiesłów czasu teraźń. czyn.: wszechmogaczie-wszechmogącie [7], woł. l. poj. prawuyącye szą-prawujące się [8]. Przy deklinacyi złożonej przymiotników z twardem zakończeniem tematowem wpływała analogija miękkich tematów, podług których twarde tak często się stósowały, jak znów z drugiej strony przeciwny zachodził stosunek: rozliczicze-rozliczycie ciało [9]. yscigo-iscigo zam. isciego z istego [10]. wogewodzego-wojewodziego [11], zaimkowa forma od wojewoda, podobnie jak *sędziego* itp. od *sędzia*. mlodzymy-młodzimi [12], porówn. młódź, zamiast młodymi, czemu odpowiada vodzy-wodzi zamiast wody [13].

Słowa, należące do III, 2, IV i V, 2 klasy, t. j. takie, które czas teraźniejszy i na nim opierające się formy konjugacyjne tworzą za pomocą *ja* sufiksu, przemieniają zębowe dźwięki w zakończeniu tematowem przed sufiksem *ja* w *ć*, *dź*: puszczyǫ-puścią [14], przepuszczyǫ [15], spuszczyǫ [16], stsł. pustiti, l. os. poj. puštą. ocziscyǫ-oczyscią [17], stsł. očištą. uccią [18], stsł. čьštą. chczye-chcie [19], stsł. hoštetъ. klekczye.-klekcie [20], stsł. klekъštetъ. 3 os. l. mn.: pprzedadzyǫ-(po)przedadzią [21], stsł. prodadętъ. chcziąchcią [22], stsł. hotętъ ale l. os. poj. hoštą, odpowiednio do tego został utworzony imiesłów czasu teraźń. czyn. chcyąncz-chciąc [23]

---

[1] Dod. 146. [2] Dod. 102; *(Ancd.)* Anecdota palaeo-polonica z 1544 i spowiedź powsz. z XV. w. 26. [3] *(Mrch.)* Marchołt. 4. [4] RAp. 169. [5] Zob. Hist. języka polsk. str. 66. [6] Bl. Szar. 336, b. [7] Modl. Wacł. 67, a. [8] Stsł. 23 (2 r.) [9] Ps. Fl. 34, a. [10] Stsł. 37. [11] Stsł. 17. [12] Ps. Fl. 88, b; Ks. Ust. 154. [13] *(Zab.)* Zabytek daw. mowy polsk. wyd. Działyńskiego. Poznań 1857, 20. [14] Bl. Szar. 37, b; 48, b; 51, a, b. [15] Bl. Szar. 52, b; 61, a. [16] Bl. Szar. 47, a. [17] Bl. Szar. 196, b. [18] *(Pat.)* Jana z Szamotuł Paterkiem zwanego kazania, 181. [19] *(Zab.)* 3 zab. jęz. pols. podał J. Szujski, 47; Ks. Ust. 92. [20] Zab. Sz. 47. [21] Bl. Szar. 93, a. [22] St. M. 190. [23] Stsł. 24, 26.

chczyącz [1], nyechczyącz [2], z czem porównać można formę stsł. hoštąštim zam. hotęštimъ [3]. Jeżeli słowa z III. i IV. klasy przechodziły do V. dla wyrażenia pojęcia częstotliwości, wówczas tematowa spółgłoska w zakończeniu pozostawała taką przed przyrostkiem klasowym *a*, jaką była w poprzednich klasach, jak: othpowyedzacz-otpowiedziać, lub otpowiedzać [4] od odpowiedzieć. sádzacz-siadziać [5], w znaczeniu częstotliwem: siadać, siadywać od siedzieć. oczyśćiać [6]. Od takich form infinitiwnych pochodzą następujące utwory: wzgardzyal-wzgardział [7], od *wzgardzić*. opuscyale domi-opusciałe [8], dobra opusczialie [9], opuszczyaley-opuściałej [10], od *opuścić*.

II. Syczące spółgłoski *c*, *s*, *z*, przemieniają się tak przed miękkiemi, jako też przed jotowanemi samogłoskami bez względu na kategorye gramatyczne, na odpowiednie im miękkie: *ć*, *ś*, *ź*.

a) W środku wyrazów: syercze-sierce [11], stsł. srьdьce; syercza [12], zresztą szercza, siercza [13], syerczu [14], w syerczy [15], szyerczem [16], szyerdeczne-sierdeczne [17]. siądzia [18], stsł. sądij; szyądzyemu [19]. vilazyóczili-wyłaziącili [20] od łazęka, łazęga obok: vilazóczili [21]. wviązienie zamiast wwiązanie [22]. w czyerekwi-w cierekwi [23], stsł. crъky. pokosyenyv-pokosieniu [24].

---

[1] Stsł. 29. [2] Stsł. 26, 27. [3] Zob. Łamanskij: O nêkotoryhъ slavjanskihъ rukopisjahъ vъ Bêlgradê, Zagrebê i Vênê. Priloženije kъ VI-mu tomu zapisokъ imp. Akademii naukъ SPetbrg. 1864, str. 5. [4] MRoż. 3. [5] Bl. Szar. 114, b. [6] (*Op.*) Żywot Pana Jesu Krystá. Kraków 1538, 158; (*Bl. Radz.*) Biblia Święta, tłóm. wyd. w Wilnie 1563. 49 v, b; (*Bdn.*) Budny: Stary Testament, w Nieświeżu 1570. Ex. 30; 10; (*Modrz.*) And. Modrzewskiego: o poprawie Rzeczypospolitey 1577, 102; (*Skrg.*) Skargi kazania z 1595, 71, b; (*Wj.*) Nowy Test. tłom. J. Wuyka 1593, 34. [7] Bl. Szar. 67, b. [8] Bl. Szar. 308, b. [9] Łask. 110. [10] Ps. Puł. 303, a. [11] Ps. Fl. 61, b. [12] Bl. Szar. 23, a; Żyw. Bł. 69, a; St. W. 114, 120, 144, 151, 159, 162, 180. [13] (*Ps. Św.*) Psalm 50. Podług rękopisu K. hr. Swidzińskiego, wyd. Maciejowski 41. (*Ps. Med.*) Tenże Psalm w rękopisie medyckim, wyd. tegoż 40 (2 r.); (*Pom.*) Pomniki jęz. i poezyi pols. wyd. tegoż, 372. [14] Ps. Fl. 49, b; 76, a; Bl. Szar. 259, a (reg.) [15] Ps. Fl. 71, b; 74, b; Żyw. Bł. 68, b; 197. [16] Bl. Szar. 170, b; Modl. Wacł. 72, a; 75, a; 76, a. [17] (*Amnd.*) Zab. jęz. pols. w żywocie O. Amandusa, opisał ks. Polkowski 25. [18] St. M. 223. [19] Dod. 146. [20] Bl. Szar. 164, a. [21] Bl. Szar. 251, b. [22] St. M. 261. [23] Ps. Fl. 51, a. [24] St. W. 42.

b) Na końcu wyrazów. Sufiksy stsł. -ьсь, -ьсе i -ьса okazują odpowiednią im polską formę -eć, -će, -ća, które pozostają przez całą deklinacyę: słonczye-słońcie [1], stsł. slъnьce. pofaczcya-pofaćcia [2], stsł. pohvatьca. oprawcya-oprawcia [3], stsł. opravьca. oczczyą-oćcia [4], stsł. otьca. czyelczya-cielcia [5], stsł. telьca. s oczczyem-z ociem [6]. dziedzicziach-dziedziciach [7]. zachoczczyamy-zachoćciami [8]. Tak samo ma się rzecz z zakończeniem -zię w wyrazie książę zamiast stsł. kъnęzь, stniem. chuning, które występuje jako: ksyąszyą-książią [9], ksyąsyą [10], kxązyączem [11], kszyąszyąta [12].

W konjugacyi słowa IV. i V. klasy, które czas teraźń. za pomocą sufiksu *ja* tworzą, mają w zakończeniu odpowiednie formacye z miękkiemi ś, ź: l. os. l. poj.: prosyą-prosią [13], stsł. prositi, prošą, prossyą [14], proszyą [15], prossyącz-prosią-ć [16], prosie-prosię [17]. 2 os. l. poj.: ukazyesz-ukaziesz [18], stsł. ukazati. opassye-opasie [19], stsł. opasati. kazyemy-kaziemy [20], stsł. kazati; kaszimi zam. kaziemy [21]. Tryb rozk.: ukazy-ukazi [22]. Podobnie ma się rzecz z prosy-prosi i innemi podobnemi formami imperatiwu. Imiesłów czasu teraźń. czyn.: lazyączey-łaziącej [23], stsł. laziti.

III. Do tej samej kategoryi należą także podniebienne spółgłoski *cz, sz, ż*, zamiast których tak przed miękkiemi, jakoteż jotowanemi samogłoskami bez względu na kategorye gramatyczne występują miękkie ć, ś, ź.

a) W środku wyrazów: czyekanye-ciekanie [24], stsł. čekati. poczyątek-pociątek [25], poczyąla [26], stsł. počęti. czyuczye-ciucie [27], stsł. čutije obok čjutije. czyusz, scilicet-ciuż [28]. czyaszky-ciaszki [29], stsł. čašьka; czyesszee-cieszé biern. l. mn. [30] od czesza canistrum [31]. czyapky-ciapki [32]. czyąszcz-ciąść [33], stsł. częstь, czyąszczy [34].

---

[1] *(Rkp. Kras.)* Zabyt. jęz. pol. z XV. w. Bibl. Krasińskich, 145. [2] Stsł. 17. [3] Stsł. 20. [4] Dod. 135. [5] Bl. Szar. 81, b. [6] MRoż. 21. [7] St. M. 246. [8] Stsł. 26. [9] Bl. Szar. 26, b. [10] Bl. Szar. 189, a. [11] Bl. Szar. 86, a. [12] Bl. Szar. 73, b. [13] Bl. Szar. 20, b; 104, a. [14] Bl. Szar. 26, b. [15] Bl. Szar. 50, a; 70, b. [16] Bl. Szar. 79, a. [17] Modl. Wacł. 61, a. [18] Modl. Wacł. 68, b. [19] Bl. Szar. 81, b. [20] Stsł. 40. [21] Ps. Fl. 42, a. [22] Amnd. 17. [23] Bl. Szar. 87, a. [24] Bl. Szar. 43, a. [25] Bl. Szar. 54, a. [26] Bl. Szar. 65, b. [27] Bl. Szar. 59, a. [28] Bl. Szar. 75, b. [29] Bl. Szar. 76, a. [30] Bl. Szar. 76. a. [31] Rkp. XV. w. Rozpr. Akad. N. I. 44. [32] Bl. Szar. 81, b. [33] Bl. Szar. 79, b; 80, a. [34] Bl. Szar. 16, b.

poczyornyone-pociornione [1], stsł. počrъniti, porówn. rus. černyj. cziczy-ćci [2], cziczil-ćcił [3], stsł. čьstiti. cziudzokraynow-ciudzokrajnow [4], stsł. štuždь obok štjuždь, štjužь. czieliadniki-cieladniki [5], porówn. stsł. čeljadь. czyastho-ciąsto [6], stsł. čęsto. Proces ten wymiany *ć* zamiast *cz* ciągnie się przez całą dobę języka polskiego, jak z następujących przykładów można widzieć: czyesky-cieski zamiast czeskiej [7]. czyeszcy-cięsci [8]. Mecisław [9]. pośćiwa [10], które odpowiada stsł. počьstivъ; podściwej [11], śćił [12]. sczyąsczye-sciąscie [13], stsł. štęstije.

Syeszcz-sieść [14], stsł. šestь; szyeszczy [15], szyeszczą [16], szyosty-siosty [17]. wszyechmocznyego-wsiechmocniego [18], stsł. vьsemoštьnъ, wsiędzie [19], stsł. vьsądě.

Szyerdzy-zierdzi [20], stsł. žrъdь. zyǫ́cz-ziąć [21], stsł. žęti. zyalobną-ziałobną [22], stsł. žalovati. zyądaly-ziądali [23], stsł. žędati. przezyegnanye-przeziegnanie [24]. nizyǫ́dni-niziadny t. j. żaden [25]. Jednakowoż możebnem jest, że w znaku nosowym ǫ tkwi rzeczywiście dźwięk nosowy i forma ta jako *niżądny* istniała w języku, jak to mamy jeszcze niżądny [26]. Wówczas między *niżądny* a *niżadny* zachodziłby ten sam stosunek, jak pomiędzy stsł. *žędati* a *žьdati*, które naprowadza na pierwotniejsze *žêd*-ati, z czego *žadati* powstało. Tu dotąd zaliczyć także wypada formę *zóny* [26], stsł. żena, gdzie znak nad *o* położony, oznacza miękkość samogłoski, jak inne przykłady w tej części tegoż zabytku to potwierdzają. Na to naprowadzają także tak częste formy celownika i miejscownika w stpol. języku: zenye t. j. zienie, z czego za pośrednictwem powyższego *ziony* dzisiejsze *żony, żonie* powstało.

Do tej kategoryi załączyć także trzeba takie przykłady, w których dźwięk *rz* z *r* powstały, w tych samych warunkach

---

[1] Ks. Ust. 166. [2] Stsł. 28. [3] Dod. 93. [4] Bl. Szar. 308, b. [5] Łask. 101. [6] Rkp. Kraś. 143. [7] Chw. I. 29. [8] Chw. I. 95. [9] (*Grcz.*) Garczyński Stefan: Anatomia Rzeczyposp. 322. [10] (*Rzew. Natr.*) Natręt, kom. Rzewuskiego D, 1, b. [11] (*Kraś. Dośw.*) Krasicki: Przyp. Doświadczyńskiego 278. [12] Rzew. Natr. D, 2. [13] Ag. 68, a. [14] Bl. Szar. 71, b. [15] Bl. Szar. 77, b. [16] (*Ort. M.*) Ortylie Magdeburskie wyd. Wiszniewskiego, 220. [17] Bl. Szar. 62, b. [18] Dod. 120. [19] Blsk. 157, b. [20] Bl. Szar. 75, b. [21] Bl. Szar. 83, b; 89, b; 92, a. [22] Stsł. 37. [23] Stsł. 49. [24] Modl. Wacł. 73, a. [25] Bl. Szar. 143 a. [26] Bl. Szar. 22, b; 168, a. [27] Bl. Szar. 134, a.

przechodził w łagodniejszy, aniżeli nim jest dzisiejszy *rz*. Okoliczność ta, jakoteż znachodzące się przykłady w stpolskich zabytkach pomięszania dźwięków *rz* i *ż*, przemawiają za tem, że dźwięk *rz* w dawniejszej epoce języka polskiego wymawiał się w sposób zbliżony do *ż*. Podobny stosunek można i po dziś dzień dostrzedz w narzeczach polskich, z których np. wielkopolskie dźwięk ten całkiem jak *ż* wymawia, podczas gdy galicyjskie, szczególnie w wschodniej części jakby złożony z *r-ż* lub *rsz:* brzyǫ́cze-brzące [1], stsł. brękati. grzyechy-grziechy [2], stsł. grěхъ. trzyescz-trzieść [3], stsł. trъstь. wszdzirzyecz-wździrzieć [4], stsł. drъžati. wskrzyeszy-wskrziesi [5], stsł. vъskrěsiti. szrzyodę-śrziodę [6], stsł. srěda. przye litis-przie [7], stsł. pria. Sząndomyrzyu-Sandomirziu [8]. nyenazrzyącze-nienazrzące [9], stsł. nazrěti. Właściwość tę fonetyczną znajdujemy w niektórych zabytkach stpolskich, jak np. w artykułach prawa magdeburskiego, wydanych w VII. tomie Rozpraw Akad. Um., tak konsekwentnie przeprowadzoną, że nie można jej uważać za pewien rodzaj ortograficzny wyrażenia w ten sposób podniebiennego dźwięku *rz*, gdyż taki środek tłómaczenia objawów językowych chociaż nader dogodny, nie może zasługiwać na uwagę, a tem mniej służyć za przykład do naśladowania.

b) Na końcu wyrazów.

Zamiast sufiksów, odpowiadających stsłowiańskim *-ča*, *-ša*, *(-ža)*, napotykamy *-ća*, *-śa*, *-źa*, które przez całą pozostają deklinacyą: tarczya-tarcia [10], stsł. tarča. dusyǫ́-dusią [11], stsł. duša. Również stsł. sufiksy -čь, šь występują w postaci *-ć*, *-ś*: myeczya-miecia [12], stsł. mьčь, myeczyem [13], myeczye [14]. gednaczyowye-jednaciowie [15]. naszyǫ́-nasią [16], stsł. našь. thowarzysie-towarzysie [17]. oblyczye-oblicie [18], stsł. obličije. polyczyek-policiek [19]. Sufiksy stopnia wyższego przymiotników na r. m. *-szy*, r. ż. *-sza*, r. n. *-sze* przedstawiają formę odnośną w postaci *-si*, *-śa*, *-śe*: starsyǫ́-

---

[1] Bl. Szar. 89, b. [2] Dod. 65. [3] Ps. Fl. 60, b. [4] Stsł. 41. [5] Ps. Puł. 85, b. [6] Ps. Puł. 260, b. [7] *(Ced.)* Ceduła, czyli zapis na sądy boże z r. 1511. wyd. Strończyński. 89. [8] Dod. 139. [9] Ps. Puł. 89, b. [10] Ort. W. 402. [11] Zab. 32. [12] Bl. Szar. 64, a. [13] Bl. Szar. 30, b; 34, b. [14] Bl. Szar. 39, b. [15] Bl. Szar. 68, a. [16] Bl. Szar. 71, a. [17] Łask. 108. [18] Rkp. Kraś. 145. [19] Rkp. Kraś. 145.

starsią [1], mlodsyǫ-młodsią [2], wyǫczsyǫ-wiączsią [3], richleysie-rychlejsie [4]. Tak samo imiesłów czynny czasu przeszłego: rozquetlsyǫ-rozkwietłsią biern. 1. poj. r. ż. [5]. Zamiast przyrostka *-że*, dodawanego do zaimkowych tematów, mamy *-źe*: thayszye-tajzie [6], stsł. taže; theyzye [7], genzie-jenzie [8], yenzies [9], ienzies [10], w geyzye [11], przeszyen-przezień [12].

W formach słownych przedstawia się ten sam stosunek, jak w poprzednich imionowych: polyczyayǫcz-policiając [13], stsł. ličiti; polyczyoni [14], nalyczyone [15]. powyszszyenyv-powyszsieniu [16], stsł. povyšenije. pomnyeyszyǫcz-pomniejsiąć [17], stsł. pomьnьšati. przybliźiła sie [18], stsł. približiti sę.

IV. Eksystencya miękkich dźwięków *ć, ś, ź* w stpolskim języku zamiast odpowiednich im podniebiennych *cz, sz, ż* dzisiejszego języka, jest tylko powtórzeniem procesu, któremu podległy w tych samych warunkach gardłowe spółgłoski. Na miejsce bowiem dzisiejszych podniebiennych dźwięków, w które przed miękkiemi samogłoskami gardłowe *k, ch, g* przechodzą, napotykamy w najstarszej dobie języka polskiego te same przemiany, które przy tamtych poznaliśmy, t. j. *ć, ś, ź*. Przykłady te są następujące:

a) W środku wyrazów: othpoczynienie-otpoćnienie [19], skr. śī jacere, cubare, gr. κεῖμαι, łać. quies, lit. pa-kajus, słow. po-koj; odpoczinǫla [20], odpoczinǫczi [21], i tak częściej pisze się w zabytkach. Jednakowoż dźwięk *y* w tych przykładach mógłby mieć fonetyczne znaczenie pełnej samogłoski *i*, która na miejsce stsł. ь przez postąpienie powstała. obiczyaya-obyciaja [22], stsł. obyčaj od obyk-ati zam. ob-vyk-ati, pol. zwyknąć; obiczyaynǫ [23]. dobitczyǫ-dobytcią [24], porówn. stsł. dobytъkъ; dobidczyǫ [25], dobitczyǫǫ [26], dobitczyǫczya [27], dobidczyǫta [28]. Przed sufiksem *-enije*, pol. *enie*

---

[1] Bl. Szar. 33, a. [2] Bl. Szar. 33, a. [3] Bl. Szar. 139, a. [4] (*Arist.*) Problemata Aristotelis z r. 1535, wyd. A. Glaber. B, 6, b. [5] Bl. Szar. 109, a. [6] Modl. 140. [7] Stsł. 31. [8] Modl. Wacł. 73, b; 74, b; 75, a, b. [9] Modl. Wacł. 76, b. [10] Pozdr. J, 7. [11] Stsł. 42. [12] Stsł. 30. [13] Bl. Szar. 77, b. [14] Bl. Szar. 77, b. [15] Ks. Ust. 165. [16] Stsł. 45. [17] Bl. Szar. 45, a. [18] (*Ekl.*) Xiegi Jesusa syna Syrach. tłóm. Poznańczyka H, 3, b. [19] Zab. Sz. 42; Wigilie za umarłe ludzie 135. [20] Ps. Fl. 43, a. [21] Bl. Szar. 135, b. [22] Bl. Szar. 67, b. [23] Bl. Szar. 45, a. [24] Bl. Szar. 65, b. [25] Bl. Szar. 55, a; 66 b. [26] Bl. Szar. 68, b. [27] Bl. Szar. 54, b; 80, b. [28] Bl. Szar. 51, a.

poprzedzające zakończenia tematowe mienią się w równy sposób jak w zgłoskach rdzennych: uczyenye-ucienie [1], stsł. učenije od pierw. *uk*, pol. *na-uka*; nauczyenya [2]. powleczyenyu-powlecieniu [3] od vlêk. zaszyenya, posszyenya-zazienia zam. zaźzienia przez asymilacyą z *zażzienia, pożzienia* ściągnięte [4]. wspomozyenna zamiast zyenya-wspomozienia [5] od *mog*.

Ten sam zachodzi stan rzeczy przy tematach przymiotników połączonych z zaimkowem zakończeniem w formę złożoną: czlowyeczye-człowiecie r. n. l. poj. [6], dopełn. czlowyeczyego, czlowyeczyey [7]. bozyǫ-bozią biern. r. ż. [8], od *bog;* boszye [9], bozie [10], bozye rany [11].

Za właściwość zaś narzeczową uważać trzeba wymianę gardłowego *g* przed następnemi miękkiemi samogłoskami w *dz*, w zabytku Dział., który okazuje wiele wspólności językowych z narzeczem kaszubskiem, używającem w tych razach podobnych formacyi głosowych [12].

b) Na końcu wyrazów.

Gardłowe spółgłoski w zakończeniu tematów ulegają przed miękkiemi samogłoskami sufiksów przypadkowych tej samej przemianie jak w środku wyrazów. Przed *e* w wołaczu l. poj.: bozye-bozie [13], bóg. voczeszye-wociesie [14], od wociech. W miejscowniku l. p. przed zakończeniem *-ê*: łaska: w lasczye-w łascie [15]. Wieliczka: w wyelyczczye-w wieliczcie [16]. Tu dotąd zaliczyć także trzeba niezrozumiałe *wczyeszyą* w Pieśni Bogar. rkp. częst., które czytać należy: w ciesie od *cech*. W miejsc. l. mn.: w roczyech-rociech [17] od *rok*. Dopełn. l. podw. oczyu-ociu [18], stsł. očiju od *oko*.

W konjugacyi.

1. os. l. poj. *pospiech:* pospyesyǫ-pospiesią [19]. 3. os. l. poj.: *ciek:* uczyeczye-uciecie [20]. *rzek:* rzeczye-rzecie [21]. *wlêk:* przewleczye-przewlecie [22], obleczye [23]. *strzeg:* strzezie [24]. Tryb bezok.

---

[1] Bl. Szar. 81, b. [2] Bl. Szar. 73, b. [3] Bl. Szar. 76, b. [4] Stsł. 40. [5] Modl. Wacł. 66, a. [6] Ps. Fl. 60, a; Bl. Szar. 57, a.; Modl. Wacł. 66, a. [7] Bl. Szar. 10, b. [8] Bl. Szar. 83, b. [9] Ps. Fl. 59, b; 70, b. [10] Modl. Wacł. 73, a. [11] Dod. 137. [12] Przykłady zob. w hist. jęz. pol. str. 303 i nast. [13] Modl. Wacł. 63, b; 67, a, b; 75, a. [14] Pom. 365. [15] Dod. 137. [16] Stsł. 24. [17] Bl. Szar. 66, b. [18] Bl. Szar. 53, a. [19] Bl. Szar. 116, a. [20] Bl. Szar. 17, b; Ks. Ust. 167. [21] Bl. Szar. 41, b; 52, a; 83. a (2 r.) [22] Bl. Szar. 75. a, b. [23] Bl. Szar. 81, b, (2 r.) [24] Modl. Wacł. 73, b.

milk: mylczyecz-milcieć [1]. Imiesł. przeszł. czyn. *klęk:* klyęczyal-klęciał [2].

W zbiorze powyższym zostały tylko te przykłady uwzględnione, w których miękkość dźwięku *wyraźnie* oznaczoną jest za pomocą znaku piśmiennego *y* lub *i*. Jednakowoż zwyczaj ten ortograficzny nie został ściśle przeprowadzony przez stpolskich pisarzy i, jak wyżej nadmieniłem, chwycono się jego dopiero w późniejszym czasie, podczas gdy poprzednio miękkość dźwięków wcale nie była odróżnianą. Zatem trzeba przypuścić, że przy konsekwentnie zastósowanem prawidle ortograficznem pisania miękkich dźwięków przez osobne znaki, liczba ta musiałaby o wiele się pomnożyć, co także powiedzieć trzeba o poprzedniej epoce ortograficznej, w której w tej mierze żadnej nie robiono różnicy. Przecież i te przykłady, które w rozmaitych powtarzają się najstarszych zabytkach polskich, sięgających wiekiem aż do drugiej połowy XV. wieku, a sporadycznie przechodząc nawet do XVI., pokazują nam dostatecznie, że w języku stpolskim nie istniała *żadna* różnica pomiędzy tak zwanemi jotowanemi a miękkiemi samogłoskami pod względem ich wpływu na poprzedzające spółgłoski. Również jako *drugi fakt* językowy zaznaczyć trzeba, że natura fizyologiczna dźwięków tych nie była zależną od miejsca ich egzystencyi w wyrazach, lecz pozostawała tą samą i ten sam zatem wpływ wywierała na swoje otoczenie dźwięków spółgłoskowych, czy zachodziły one w zgłoskach rdzennych, czy też w sufiksach, lub w zakończeniach deklinacyjnych i konjugacyjnych.

Dalsza różnica pomiędzy językiem stpolskim a dzisiejszym, odnosząca się do tej kwestyi, polega na rozmaitej przemianie, jakiej spółgłoskowe dźwięki przed następnemi miękkiemi samogłoskami w jednej i drugiej dobie ulegały. Natura dźwięków stpolskich nie może być stawianą na równi z dzisiejszemi, jak to powszechnie się czyni, ponieważ język podlega ustawicznej przemianie, która w równej mierze rozciąga się na głosową stronę jego. Różnica ta, jaką w zasadzie już możnaby przyjąć dla każdego żyjącego języka jako nieodzowną, skoro język każdy posiada swoją historyę, uwydatnioną jest wyraźnie w przytoczonych

[1] Bl. Szar. 58, b. [2] Bl. Szar. 37, b.

przykładach przez pisownią. Tej zaś lekceważyć nie można, ani też uciekać się do tego tak często jeszcze powtarzanego środka, nazywając ją błędną dla tego, że w dzisiejszym języku napotykamy na odnośnem miejscu inne utwory. W taki sposób bowiem naukowe traktowanie języka w historycznym jego rozwoju staje się dowolnem tłómaczeniem jego objawów, nie mającem żadnej podstawy w nim samym, tylko w subjektywnem mniemaniu piszącego.

1. Co się tyczy najpierw zębowych spółgłosek *t*, *d*, takowe przechodzą przed następnemi miękkiemi samogłoskami, do których także jotowane należą, w *ć*, *dź* bez względu na ich miejsce i funkcyą, jaką pełnią w wyrazach. Proces ten jest tylko dalszym rozwojem upodobnienia pierwotnych *t*, *d*, z miękkiemi samogłoskami w t', d', które np. jeszcze w języku serbskim istnieją i innych na równym z nim zostających stopniu. Przez zamianę zębowych *t*, *d* na *ć*, *dź*, postąpił język polski najdalej ze wszystkich innych słowiańskich, wskutek czego praca ta wyróżnia go od innych siostrzyc językowych z wyjątkiem obydwu łużyckich, w których podobne zmiękczenie tych dźwięków nastąpiło. Z tego wynika, że proces ten nastąpił w epoce, w której język polski z obydwoma łużyckiemi odszczepiły się od reszty języków słowiańskich i stanowiły przez czas niejaki jednę całość-grupę lechicką. Po rozpadnięciu się wreszcie tej grupy na pojedyńcze odrębne języki, przemiana ta odbywała się dalej w każdym z nich odpowiednio do ustroju całego organizmu językowego i przybrała po dziś dzień istniejącą postać.

Jednakowoż proces ten nie może uważać się za wyłączną własność epoki lechickiej, lecz zarody jego sięgają jeszcze w odleglejszą dobę historyi języków słowiańskich. To dotyczy mianowicie tych przypadków, w których dźwięki te i w innych językach słow. ulegają przemianie. Ta zaś ma miejsce tylko przy połączeniach dźwięków *t*, *d* z następnemi dwugłoskami, których pierwszy składnik stanowi *i*, przechodzący zwykle w podniebienną spółgłoskę *j*: *ja*, *jo*, *ju* itp. z *ia*, *io*, *iu*, podczas gdy przed pojedyńczemi samogłoskami *i*, *e* itd., dźwięki te zostały niezmienione. Przyczyna zaś, dla czego przed dwugłoskowem *i* (*ia* itd.) zębowe spółgłoski uległy przemianie, podczas gdy przed poje-

dyńczem ocalały, leżała w nierównej intonacyi dwugłoskowych elementów, która padała na drugi składnik, wskutek czego pierwszy *i* zesłabnął w krótkie *i*, dalej w *j*, które zlało się w poprzedniej spółgłosce. Przy pojedyńczem zaś *i* akcent, który każdy dźwięk samogłoskowy jako nieodzowny warunek swojej intonacyi posiada, padający na nie, obronił je przed zagładą, przez co połączenie z poprzedzającą spółgłoską stało się mniej ścisłem, czyli jak się w fizyologii głosu mówić zwykło w sposób idyferentny.

Okoliczność ta, że wszystkie języki słowiańskie przemieniły zębowe *t, d* przed dwugłoskowemi dźwiękami, przemawia za tem, że początek tego procesu pochodzi z doby wspólności słowiańskiej, podczas gdy dalszy rozwój jego przypada na późniejszą epokę, w której język prasłowiański rozpadł się na pomniejsze grupy. Większe, lub mniejsze pokrewieństwo, jakie zachodzi pod względem przemiany tych dźwięków w namienionych warunkach pomiędzy pojedyńczemi słow. językami, spaja ściślejszym węzłem powinowactwa odnośne języki. Różnica, jaka przy procesie tym głosowym odbiła się na ustroju języków słow. w dwojaki sposób, dała powód do podziału tychże na dwie grupy, których jednę stanowił język polski razem z czeskim i łużyckiemi. W tej grupie zachodnio-słowiańskiej kombinacye *tj, dj,* uległy jednakowej przemianie, której refleksem jest w polsk. i słowackim języku *c, dz,* w czeskim i obydwu łużyckich *c, z*. Nie ulega wątpliwości, że polskie kombinacye *c, dz*, stanowią punkt oparcia dla *c, z,* pod względem dźwięku *z*, który z *dz* się wytworzył. Z tego względu polskie wytwory głosowe *c, dz,* powstałe przed następnemi diftongami samogłoskowemi z *t, d,* należą do dawniejszej epoki, gdyż sięgają jeszcze do czasu, w którym czesko-łużycko-polskie plemiona stanowiły jednę całość, podczas gdy przemiana tychże dźwięków przed pojedyńczemi samogłoskami miękkiemi pochodzi z łużycko-polskiej wzajemności.

Różnica przemiany dźwięków *t, d,* która w powyższych warunkach pod względem chronologicznym nastąpiła, uwydatnia się także na samym procesie fonologicznym. Gdy bowiem w dzisiejszym stanie językowym dźwięki *t, d,* przed pojedyńczemi samogłoskami miękkiemi przechodzą w *ć, dź,* przed dwugłoskami zamiana ta w odmiennej uwydatnia się formie, t. j. jako *c, dz.*

Z tego możnaby wnosić, że dźwięki *c, dz,* jako pochodzące z dawniejszej epoki, są starsze, aniżeli *ć, dź,* czyli, że w nich mamy pierwotną przemianę. Jednakowoż stan zabytków staropolskich, jak najoczywiściej świadczy przeciwko temu mniemaniu a natomiast przemawia za tem, że dźwięki *t, d,* przed dwugłoskami ulegały tym samym przemianom jak przed pojedyńczemi miękkiemi, czyli, że dzisiejsze *c, dz* są drugorzędną formacyą na miejsce dawniejszych *ć, dź.* Za tem przemawia także język czeski, którego dzisiejsze *c, z,* na miejsce polskich *c, dz,* staropolskich *ć, dź,* są również późniejszym wytworem z starszych *ć, ź,* a niekiedy *dź* [1].

Proces, podług którego w języku staropolskim, a nawet i w całej zachodnio-słowiańskiej grupie *t, d,* przed dwugłoskami pierwotnie przechodziły w *ć, dź,* znajduje także poparcie w późniejszym jego okazie, t. j. w zamianie tych samych dźwięków przed pojedyńczemi miękkiemi samogłoskami w *ć, dź.* W języku bowiem zachodzi ten sam stosunek, jak w świecie przyrody, że młodsze przemiany stosują się podług pokrewnych im starszych. Egzystencya miękkich *ć, dź* przed dwugłoskami, co szczególnie na końcu wyrazów miało miejsce, stała się powodem do zastósowania tego samego prawidła i w rdzennych zgłoskach, co tem łatwiej stać się mogło, ponieważ natura fizyologiczna dwugłoskowych i pojedyńczych miękkich dźwięków była podobna, a zatem ten sam wpływ musiała wywierać. Mając więc język proces ten gotowy w jednym punkcie, zastósował go także i na drugi, tamtemu podobny, t. j. przemienił również przed miękkiemi samogłoskami *t, d* w *ć, dź.* To samo powiedzieć trzeba o językach obu łużyckich, w których późniejsza przemiana *t, d,* przed miękkiemi samogłoskami w odmienny odbyła się sposób, jak przed dwugłoskami, t. j., że dźwięki te przechodzą w górnołużyckim w *ć, dż,* zamiast starszego *dź,* w dolnołużyckim zaś w *ś, ź,* które znów na dawniejsze *ć, dź,* naprowadzają. Zatem i w tych

[1] Zob. Gebauer: Hláskoslovi jazyka českého, §. 109 i tegoż: Přispěvky k historii českého pravopisu a výslovnosti staročeské w Sbornik vědecký musea král. česk. Odbor. hist. filol. a filos. IV. na odnośnych miejscach; tegoż: Ueber die weichen *e*-Silben im Altboehmischen w Sitzber. d. Akad. d. Wiss. phil. hist. Cl. Wien. t. 89 str. 317 następ.; o významu jotace v rukopisach staročeských w Listy filol. a paedagg. V. 183—217.

językach dzisiejsze twarde *c, z,* przed dwugłoskami, odpowiadające polskim *c, dz,* miały w dawniejszej epoce odpowiednie miękkie *ć, ź,* podobnie jak to w czeskim języku było, a te, sądząc z egzystencyi górnołużyckich *ć, dż (dź)* i niektórych narzeczy czeskich, posiadających również dzwięk *dz,* mają wspólne źródło *ć, dź,* które w stpolskim języku się zachowało. Zachodzące zatem przykłady w górnołużyckim języku dźwięków *ć, dż* zamiast *c, z,* podobnie jak w dolnołużyckim *ś, ź,* zamiast *c, z,* stoją na równi pod względem historycznej wartości z stpolskiemi *ć, dź* na miejsce dzisiejszych *c, dz,* t. j. że w przykładach tych zachowały się dawniejsze ślady egzystencyi miękkich dźwięków odpowiednich w tych językach, które łączą ścisłym węzłem pojedyńcze te objawy głosowe, okazując je jako przetwory wspólnej niegdyś własności językowej.

Przeciwko temu wywodowi indukcyjnemu, według którego przemiana *t, d,* przed miękkiemi samogłoskami sięga jeszcze czasów, w których lechicka gałęź językowa nie rozpadła się była na odrębne latorośli, ale okazywała większą spójność, mianowicie pomiędzy polsko-łużyckiemi plemionami, zdają się przemawiać przykłady polskiego języka, zachodzące w łacińskich dokumentach, które proces ten przedstawiają jako w historycznej dopiero dobie języka polskiego się odbywający t. j. w XII., lub XIII. wieku[1]. Jednakowoż okoliczność ta, że alfabet łaciński został żywcem przyjęty dla wyrażenia dźwięków języka polskiego i że w najstarszej epoce ortografii stpolskiej za pomocą jednego znaku oddawano kilka dźwięków, najbardziej artykulacyą fonetyczną do siebie zbliżonych, a zatem przez *ti,* lub *ty,* tak twardy dźwięk *t,* jako też miękki *ć* mógł był być wyrażony, podobnie jak to w łacińskim języku się dzieje, a zapewne i wówczas się działo, czyni twierdzenie to o przemianie dźwięków *t, d* w *ć, dź,* w pomienionym czasie więcej niż iluzorycznem. Tem samem prawem trzebaby opierając się li tylko na ortografii najstarszych zabytków polskich, odmówić językowi polskiemu w najstarszej jego dobie miękkich samogłosek, ponieważ te w równy jak twarde ozna-

[1] Zob. Baudouin de Courtenay: O drevne-polskomъ jazykê do XIV-go stolêtija, str. 47.

czone są sposób. Oznaczenie miękkich *ć, dź* przez proste znaki *t, d*, podobnie jak miękkiego *e* (je) przez *e* i tylu innych dźwięków, pochodzi z najstarszej epoki ortografii polskiej, posługującej się niewolniczo jednym znakiem łacińskiego alfabetu na wyrażenie kilku dźwięków polskich, podczas gdy użycie na miejsce tego znaków składanych, lub pewnych tylko, przeznaczonych na oddanie jakiego dźwięku, okazuje system ortografii polskiej w poprawniejszej formie.

Na podstawie tego wywodu okazuje się następujący stosunek pod względem chronologicznej przemiany dźwięków *t, d*, w odpowiednie miękkie *ć, dź*, w zachodnio-słowiańskiej grupie językowej. Jako najstarszy proces, pochodzący z czasu zachodnio-słowiańskiej wspólności, występują *ć, dź*, przed dwugłoskami, szczególnie w sufiksach i zakończeniach deklinacyjnych i konjugacyjnych; w rdzennych zgłoskach i przed pojedyńczemi miękkiemi samogłoskami dźwięki *t, d*, miękczyły się tylko w *t', d'* Na tym stopniu pozostał język połabski i niektóre odłamy języka czeskiego. Następnie miękkie *t', d'* uległy dalszemu zmiękczeniu przechodząc w *ć, dź* co w polskim, niektórych narzeczach czeskich i obydwu łużyckich się zachowało, podczas gdy czeski język przez ten proces nie został dotknięty. W zamian tego przemieniły się *ć, dź* przed dwugłoskami w języku czeskim w *ć, ź*, co także przelało się i na obydwa łużyckie. Wreszcie nastąpiło twardnięcie dźwięków tych poczynając od zakończenia, przez co *ć, ź*, i polskie *dź* przeszły w *c, z, dz*, a w dodatku w górnołużyckim języku *dź*, przed miękkiemi samogłoskami przeszło w *dż*, a w dolnołużyckiem *ć* w *ś*. Z tego pokazuje się, że przemiany te głosowe odbywały się w różnych czasach w równy sposób, czyli że młodszy objaw stósował się podług modły starszego, i powtóre żaden z tych procesów nie zawładnął równocześnie całym obszarem językowym, lecz przeciwnie powstawszy na pewnem miejscu, postępował w jednym kierunku niezawodnie party koniecznością jeograficznych warunków, podczas gdy obok niego na innych kończynach językowego terytoryum mogło inne wytwarzać się życie, lub też panował spokój w języku, rządzącym się dawniejszemi prawami. (Dok. nast.)

Dr. Kalina.

Z WYPRAW PODBIEGUNOWYCH.

1. *The voyage of the Jeannette. The Ship and Joe journals of George de Long edited by his wife. London. Kegan Paul. 2. Schwatka's search, stedging in the Arctic in quest of the Franklin Records* New York C. Scribner.

Niedawno zdawaliśmy sprawę z podbojów dokonanych wytrwałością śmiałych podróżników w tajemniczem łonie środkowej Afryki. Wszelako owe sfinksowe wnętrze, najmniej znanej dotąd części świata, nie zaprząta wyłącznie ciekawości geografów, nie ściąga ku sobie wszystkich ich usiłowań. Inny punkt kuli ziemskiej magnetycznie działa na umysły dzielnych pionierów nauki. Naprzeciw równikowych podróży, pod żarem afrykańskiego słońca dokonywanych, postawić należy wyprawy podbiegunowe, które rozwijają przed nami chwalebne roczniki, gdzie i martyrologium osobne się znalazło. W Afryce mnożą się niebezpieczeństwa od ludzi i od słońca, ale przynajmniej są ludzie, jest słońce. Cóż powiedzieć o krainie zamarłej, skąd życie uciekło, a słońce na całe znika miesiące; prawdziwe to dantejskie dno piekła *doloroso regno,* złożone z lodowisk i cieniów śmierci. Jest coś tragicznego i zagadkowego w prądzie naukowych wypraw, które ostatniemi laty tyle ofiar wywiozły na północ. Afrykańskie podróże przynoszą z sobą obfity plon naukowy, rozszerzają znajomości botaniczne i zoologiczne, otwierają drogi handlowe dla prawdziwych skarbów bogatej a niewyczerpanej krainy, prostując ścieżki dla niosących tam wydziedziczonym ludom światło prawdy ewangielicznej. Żadna z tych korzyści nie błyska przed okiem północnego żeglarza. Stosunkowo niewielkiego spodziewa się on plonu, nawet dla nauki, spodziewane

zdobycze wiedzy nie wzbogacą znacznie ogólnego zasobu ludzkości, oświata nie zwalczy srogiego klimatu, nie wyorze sobie zagonów wśrod lodowisk podbiegunowych. Cóż tedy nęci tych śmiałków, niosących ochotnie życie swe w ofierze? zapewne — rzetelne przedewszystkiem zamiłowanie nauki, może nieco dumy, aby tam stanąć, gdzie nigdy ludzka nie postała noga, może nareszcie jakieś chorobliwe tęsknoty, przyrodzone człowieczeństwu ku wszystkiemu, co się w pewną tajemniczość oblekło.

Może to niezbyt stósownie, w sprawozdaniu z poważnych publikacyj wspominać imię szarlatana geografii i nowej nauki, Jules Verne'a, ale bodaj w najlepszym tworze swej bujnej wyobraźni, znalazł on całkiem szekspirowskie rozwiązanie przydłuższej opowieści. Szczęśliwszy od swych poprzedników, kapitan Hatteras, po niesłychanych trudach osięga biegun północny, zatyka własnoręcznie sztandar angielski na wulkanie stanowiącym oś ziemi, ale jeśli nie życiem, to utratą rozumu przepłaca podjęte wysilenia. Towarzysze odwożą go do Anglii w stanie zupełnego obłąkania. Głównym symptomem choroby jest u niego ustawiczne przechadzanie się w ciasnych granicach domu zdrowia, z twarzą i krokami stale zwróconemi ku północy.

Alieniści w jego obłąkaniu upatrują nowy zupełnie kształt umysłowego zaćmienia, zowią je szałem biegunowym, *folie polaire*. Fantazya dowcipnego autora tu głębsze znalazła natchnienie, a rozczytując się w zapiskach podróżników borealnych z lat ostatnich, mimo woli nasuwa się na pamięć kapitan Hatteras i rzekome z nim pokrewieństwo tych dzielnych wędrowców, którzy tą samą szli drogą i nigdy nie dotarli celu. Nazwiska Weyprechta i Payera, Nordenskjölda, kapitanów Ross i Parry, związały się nierozłącznie z biegunem północnym. Atoli tragiczny koniec dwóch wypraw, sir Johna Franklina w 1845 roku, i kapitana de Long w 1881, osobną smętną sławą opromienia ich imiona, a właśnie dwie świeże publikacye dozwalają nam połączyć w jednych ramach pamięć szlachetnych ofiar, które o trzydzieści kilka lat odstępu, zginęły niepowrotnie pod śniegiem i lodem północy.

Zbliżeń nie braknie, choć ludzie inni i strony dalekie: Sir John Franklin wyjechał w maju 1845 r. na podbiegunową wyprawę, a gdy po dwóch latach żadnej o nim nie było wieści,

żona, lady Franklin, poruszyła wszystkie sprężyny, poświęciła znaczny majątek, aby śpieszyć z pomocą, a przynajmniej odnaleźć zwłoki zginionych. W świeżych wspomnieniach rozbicia *Jeannetty*, bo tak nazwaną została katastrofa, która kosztowała życie kapitanowi de Long i jego załodze, ręka kobieca wije znów dla małżonka wieniec nieśmiertelny. Po wielu już opisach i publikacyach, odnoszących się do tej fatalnej wyprawy, żona głównej ofiary, Emma de Long w dwóch tomach zbiera wszystkie zapiski męża, wszystkie szczegóły podróży, piękny dla jego pamięci wznosząc pomnik i nie ustępując lady Franklin w zagrobowej miłości i poświęceniu. Jakaś fatalność zda się z góry ciężyć nad obu wyprawami. Złowrogie miana okrętów usprawiedliwiają pewne zabobonne do nazwisk uprzedzenia. *Erebus* i *Terror* wiodą sir John'a Franklina ku zagładzie, de Long chcąc usunąć niemiłe miano *Pandory*, które statek jego przyrównywa do mitologicznej skrzynki, skąd uleciała nadzieja, daremnie próbuje go przechrzcić na pospolitą *Jeannettę*, nie zaciera złowrogiego zaklęcia. Przejdźmyż do szczegółów tej ostatniej wyprawy, jak się ona wychyla z dwutomowej pracy pani Emmy de Long, p. t.: *The voyage of the Jeannette*, 1879—1881. London, Kegan Paul. Mówić o niej w tej chwili, należy może do aktualności, skoro przed kilkoma zaledwie tygodniami, w ciągu lutego b. r., okręt *Fryzya* przybił do wybrzeży Ameryki i wysadził na ląd w Nowym Jorku szczątki komendanta de Long i najbliższych towarzyszów jego.

Nigdy może żadna biegunowa wyprawa pod tak szczęśliwą nie rozpoczynała się gwiazdą, jak ta właśnie, której przewodniczył kapitan de Long. Charakter przywódzcy, umiejętne dobranie załogi, wyborne zaopatrzenie statku na wszystkie możliwe potrzeby i przygody — wszystko to najlepsze rokowało nadzieje. Okręt wypłynął z San Francisco 8 lipca 1879 r., a już w d w a miesiące później ścisnęły go lody w nieprzeparte kleszcze, aby przez dwadzieścia jeden miesięcy oblegać skazany na ostateczną zagładę statek. Trudno sobie wystawić całą grozę położenia uwięzionych żeglarzy. Nacisk gór lodowych bywał straszny, mianowicie podczas zimowych orkanów. Dowódzca wyprawy pisze w dzienniku okrętowym pod datą 14 listopada 1879 r.: „To ciągłe wytężenie myśli i uwagi jest prawdziwie okropnem. Po-

zornie nie mamy ani chwili bezpieczeństwa, a nie widzimy żadnego środka, aby się ubezpieczyć. Katastrofa może co sekunda nastąpić, tyle tylko, że co rana dziękujemy Bogu, iż noc spokojnie minęła, co wieczór, że dzień bez szwanku upłynął. Życie nasze porównać chyba można z mieszkaniem nad prochownią, której wybuchu i wysadzenia w powietrze każdej chwili obawiać się można".

Raz po raz ogólne położenie ulega zmianom i nowym komplikacyom. W styczniu 1880 r. np. otwiera się na dnie okrętu szczelina, i tylko ciągłą bacznością, trudem i umiejętnymi środkami załoga ratuje statek od przybierania wody i zatopienia się niezwłocznego. Innym razem lody nagle się rozchodzą, i oswobodzony okręt kołysze się chwilowo na wolnej wód przestrzeni. Zaledwie atoli sternik próbuje zapuścić się w otworzony przed sobą kanał, aliści góry lodowe na nowo się poruszają, gonią swą zdobycz, żelaznym okalają pierścieniem, wśród trzasku belek, skrzypienia masztów, pękania i zarywania się lodów, słowem huku, który dla nieszczęśliwych marynarzy przynosi złudzenie, że już chyba dzień sądu na ziemi się rozpoczął. W podobnych chwilach trzymano się zawsze w pogotowiu na idącą katastrofę. Każdy chwytał zawiniątko, sanki spakowane czekały hasła, łódki odczepione, broń, amunicya, lekarstwa, narzędzia różne, wszystko znajdowało się pod ręką. Nadzwyczajne przymioty dowódzcy uwydatniły się w owych dniach próby. O wszystkiem myślał, nad wszystkimi czuwał. Potrafił utrzymać w załodze usposobienie wesołe i swobodne. Pomoc lekarska była niemniej praktycznie zastósowana i stan sanitarny nie przestał być zadowalniającym; z wyjątkiem kilku wypadków strucia się ołowiem puszek, w których znajdowały się konserwy, nie zaznaczono zwykłych północnych chorób i niedomagań, szkorbut wcale się nie pojawił. Ale dla samego de Long'a, człowieka pełnego energii i zapału, doznany zawód i utrwalone zapory w dalszem prowadzeniu swej wyprawy, uwięzienie w lodach i bezczynność przymusowa, straszną były próbą. Po siedmnastu miesiącach poniewolnego w lodach zamknięcia, zapisuje on w swym dzienniku: „Jednostajność naszego życia coraz dotkliwszą się staje, i samo życie jest nam ciężarem. Konieczność najmniejszego zajęcia już przyniosłaby

z sobą ulgę, a i tej się doczekać nie można. Nie zrobiliśmy dotąd nic, nic nie zrobimy, a po ludzku sądząc, nie ma widoku, abyśmy cokolwiekbądź zrobić jeszcze mogli. Zjadamy nasze zapasy żywności, zużywamy naszą odzież, bez żadnej korzyści z wyłożonych pieniędzy".

Wszelako zwątpienie przywódzcy zbyt czarno nieczynność członków wyprawy malowało, korzyści naukowe wcale nie były tak obojętne, aczkolwiek geograficznych podbojów nie dokonano, zgłębiono morze, rozpoznano układ wysp podbiegunowych w tej nieznanej dotąd strefie, zwiększył się zasób meteorologicznych spostrzeżeń, historya naturalna ciekawe zebrała plony; istota i działanie lodowisk doczekały się wyczerpującego studyum. Przekonano się, że powietrzna żegluga nie dałaby się zastósować do podbiegunowych krain, ogrom balonów, zasób potrzebnego węgla i zaopatrzenia, wymagałyby osobnych statków objuczonych ciężarem.

Nareszcie po tylu miesiącach walki i uwięzienia; okręt *Jeannette*, party lodami w coraz to innym kierunku, uległ ostatecznemu zniszczeniu na dniu 13 czerwca 1881. Zwarły się lody, skruszyły w kawałki opierający się dotąd ich naciskowi statek, który niebawem poszedł na dno morza. Na ocalonych sankach i łodziach załoga rozdzielona na trzy oddziały, już z dniem 18 czerwca puściła się w drogę. Przez pierwsze trzy miesiące wspólnemi posuwali się siły, to płynąc po wolnem morzu, to sunąc po zamarzłych przestrzeniach, to ostrożnie przemykając się na ledwo trzymających się razem krach i odłamach lodu. Burze, mgły, zawieruchy, utrudniały pochód. Orkan z d. 12 września rozłączył płynące dotąd pospołu łodzie, i jedna z nich, pod dowództwem porucznika Chipp, niepowrotnie zaginęła. Oficer dowodzący drugą łodzią, p. Melville, dotarł szczęśliwie do sybirskich wybrzeży przy ujściu rzeki Leny. I trzecia łódź z samymże kapitanem wyprawy de Long, także opodal przybiła do stałego lądu. Atoli zmylony niedokładnemi mapami, zamiast skierować swe kroki ku niedaleko stamtąd położonej wiejskiej osadzie w wschodnim kierunku, de Long ruszył ku południowi, zamykając swą nieszczęśliwą wyprawę najsmutniejszym i najstraszniejszym pochodem przez dolinę cieniów śmierci, bo trudno inaczej

nazwać to przedłużone konanie. Dzieje wypraw podbiegunowych, aczkolwiek grozy pełne, nie mają tragiczniejszego rozdziału. Słusznie zauważono, iż wszystkie bóle, trwogi, smutki, które w ciągu ostatnich czterech wieków nękały po kolei jednego lub drugiego pioniera Północy, zbiegły się wszystkie, aby przemódz siły i znękać ducha dzielnego de Long i towarzyszów jego. Zrazu dzienniczek podróży szerszy podaje odgłos doznanych cierpień, upamiętnia katusze głodu i zimna, brak zasobów, ogrzewanie się odwarem kory brzozowej zaprawionym resztą gliceryny. Ostatnia data 30 października 1881 r. 140-ty dzień wędrówki, od zatopienia się okrętu, podaje tylko żałobne wiadomości: „Boyd i Goertz umarli tej nocy, Collius dogorywa". Z oddziału trzeciej łodzi, zostawali już tylko przy życiu, sam kapitan de Long, dr. Ambler i kucharz okrętowy, Chińczyk, Ceh Sam. Z ruchu i postawy zamarłych i zamarzłych członków tej mężnej garstki, odnalezionej niebawem przez nadchodzącą zbyt późno niestety odsiecz, odgadnąć przyszło, iż ostatnią troską ginących było ubezpieczenie ksiąg i dzienników okrętowych przed roztopem wiosennym. Wyraźnie przed zgonem próbowali je złożyć na jakiem wyższem miejscu. Z całego oddziału de Longa ocalało jedynie dwóch marynarzy, wysłanych naprzód dla wołania pomocy. Od nich to trzeci przywódzca, Melville, posłyszał o opłakanem położeniu swego komendanta, i rozpaczliwie pospieszył z ratunkiem. Jeśli mu się nie udało przyjść na czas i zachować życie ginącym, jego to bohaterskiemu poświęceniu zawdzięczamy przynajmniej ocalenie cennych dokumentów, które fala wiosenna byłaby uniosła ku niepowrotnej zatracie.

Nikt tych kartek nie zdoła przerzucić bez uznania podziwu dla całej załogi, która tak heroicznie, z taką miłością wzajemną, do końca znosiła ciężkie próby. Każdy też odniesie z nich wrażenie o staranności, roztropności i mierze, z jakiemi pani de Long dokonała swej pracy. Oto jak określa ona dwutomowe swe wydawnictwo: „Jestto wspomnienie wyprawy rozpoczętej z dobrą nadzieją, zakończonej zawodami i śmiercią. Jestto opowieść doznanych przez ludzi srogich prób, większych aniżeli te, jakich ze strony żywiołów doświadczył ich statek. Okręt uległ burzy, ludzie zwalczali przeszkody, i do końca za-

chowali męstwo i nadzieję niewzruszoną. Jestto przedewszystkiem biografia przywódzcy, który wstąpił w służbę, gdzie miał zginąć z szlachetnie wytkniętym celem i z wyższych pobudek; zawody znosił z nieugiętą cierpliwością, poczuwał się sumiennie do odpowiedzialności za powierzone sobie życie swych towarzyszów, i w końcu padł na swoim posterunku z nienaruszoną wiarą w Boga, którego kochał i któremu wiernie służył". W tych słowach brzmi poniekąd oddźwięk mężnego ducha, innej wiernej towarzyszki podbiegunowego męczennika. Podobnież odzywała się przed dwudziestoma laty wdowa dzielnego Franklina, a do jej wspomnień i imienia odnosi się wyprawa polarna, z której chcemy parę szczegółów czytelnikom naszym udzielić.

Ani sercu żony, ani nauce nie wystarczyły świadectwa, że Franklin zginął; powtarzające się poszukiwania następnych wypraw odnajdywały już tylko po kolei, to zbielałe kościotrupy, to szczątki odzieży, to inne pamiątki, po członkach załogi statków *Erebus* i *Terror*. Nikt jednak dokładnie nie przebiegł ani nie zbadał wszystkich stacyj ich bolesnej drogi, nie odnalazł śladów trzechletniego zimowania rozbitków w tej lodowatej strefie, nie pogrzebał rozrzuconych kości towarzyszów Franklina. Zadanie i zaszczyt odnalezienia szczątków po Franklinie przypadły w udziale p. Frydrykowi Szwatce, amerykaninowi polskiego pochodzenia, który wespół z innym słowiańskim współplemieńcem Czechem p. Kluczakiem całe dwa lata spędził u Eskimosów, żyjąc na ich sposób, rozliczne znosząc trudy, niedostatki, przykrości byle skrzętnie zgromadzić wszystkie zachowane wiadomości o dawno minionej katastrofie. W każdej osadzie p. Szwatka zatrzymywał się, pytał, badał, śledził. W jednem miejscu krajowcy mu opowiadali, że kiedyś istotnie znaleziono rozbitą łódkę, parę szkieletów, zegarków, narzędzi, papierów i książek. Rozdzielono sobie pozostałość nieboszczyków, dzieci podarły owe księgi, za któremi tyle z kolei wypraw europejskich goniło! Nieco dalej p. Kluczak odszukał szkielet kapitana Croziera, który objął był dowództwo po śmierci Franklina. Coraz ściślejsze śledztwo pozwalało odbudować poniekąd zatracone pisane świadectwa. Tu nieszczęśliwi jeszcze mieli trochę nadziei, tam dalej ją stracili; tu szli jeszcze w po-

rządku, pod jednym dowódzcą, tu się rozbili, skłóceni rozpaczą, tam bodaj czy nie istotnie, wedle zapewnień Eskimosów, z głodu zaczęli się wzajemnie pożerać.

A odnajdując tak odyssyę Franklinowskiej wyprawy pp. Szwatka i Kluczak spisywali własne, nader ciekawe spostrzeżenia i doświadczenia. Rybackie i myśliwskie zabawy osładzały im jedyną rozrywką jednostajność podbiegunowego pobytu. Samych reniferów zabili 522, nie licząc innej zwierzyny; foki i psy morskie były podstawą ich kuchni, unosili się nad smakiem delikatnym skóry młodego wieloryba. Ciężkie to zresztą były zimy, termometr znaczył na przemian to 51, to 55 stopni centygr. Burze śnieżne srożyły się ustawicznie, głodne wilki napadały wędrowców. Ale przynajmniej zdrowie im służyło, a jakby udowodnieniem dobrych skutków nowoczesnego leczenia piersiowych słabości w zimnych stacyach klimatycznych, i nasi podróżni nie zaznali tam kaszlu, kataru, bólu gardła. Ale za to smutek właściwy strefom ich ogarniał. Są uprzywilejowane krainy, gdzie sama natura do ludzi się śmieje. W północnych strefach przyroda milczy, człowiek posępnieje, nikt się nawet na blady nie zdobędzie uśmiech. Ludzie czują nad sobą siłę żywiołów, która wciąż im grozi zagładą. A jednak Eskimosy kochają swą wydziedziczoną ojczyznę, więdną z tęsknoty gdy się od niej oddalą, znoszą nieskończoną noc jednej pory i równie nieskończony dzień drugiej bez tego rozstroju nerwów, który zdaje się udziałem europejskich podróżnych. Społeczne stosunki Eskimosów z natury rzeczy muszą zostać w formie zupełnie pierwotnej. Ustrój to patryarchalny pojedynczych gromad, wśród których górują zręczniejsi myśliwi i roztropniejsi w radzie. Kobiety zepchnięte są do roli zupełnie podrzędnej, religia ogranicza się na grubym feteszyzmie, cywilizacya pozostała na najniższym stopniu i z latami nie podnosi się wiele. Z natury swej jednak, plemię to posiada rodzinne przymioty, gościnność, serdeczność, ścisłe przestrzeganie prawdy, wierność w dotrzymaniu danego słowa.

Śnieżne chaty Eskimosa stanowią jedyną ochronę przeciw zimie i zimnu. Wyglądają jak kopce, misternie zasklepione, otwór w nich tak bywa mały, że zaledwie po czworakach można się dostać do wnętrza. Worki ze skór reniferowych służą za posłanie

i nocną odzież. Im więcej mieszkańców w jednej sypialni spoczywa, tem cieplej, ale wtedy nowe zagraża niebezpieczeństwo, bo sklepienie nagle tając zączyna i gęste krople na śpiących padają. Niekiedy jaka uczta gromadzi Eskimosów, którzy w ogóle trzymają się zasady aby jeść póki starczy, nie oglądając się na jutro. Przy tych ucztach panuje wrzawa nie do opisania, wszyscy naraz krzyczą, spierają się o różne kwestye, w których najczęściej, jak się ostatecznie wykazuje, od początku jednakiego byli zdania.

Nasi podróżni niejednej w swej wyprawie doznali niespodzianki. To ich zdumiewał śpiew małżonek i cór Eskimosów, zawodzących po swojemu smętne pieśni. To znów wśród podbiegunowej ciszy, przerywanej zaledwie wyciem wilków, szczekaniem fok, wrzaskiem sępów lub goelandów, słyszeli nad sobą wesoły poświst ptaszka z gatunku bekasów, którego piosnka przypomniała im śpiew wiosenny skowronka. Nareszcie po długiej nocy zimowej, o pierwszych promieniach słońca, wśród zaśnieżonych mchów, odkryli raz blado czerwone kwiatki i bezwonne fiołki, które pośpiesznie wychylały się z mroźnej powłoki ziemi, aby choć przez chwilę zakwitnąć i rozjaśnić smutną północną przyrodę; jest to jakby obraz przeznaczeń ludzkich, gdzie zawsze, mimo najprzeciwniejszych losów, przy dobrej woli odszukać można nieco kwiecia.

Na tem zamkniemy nasze wypisy z najświeższych ksiąg podbiegunowych. Przynoszą one z sobą smutne odgłosy ale i hartowne pobudki, bo każda walka z wrogiem czy z trudem, z charakterem własnym, czy z żywiołami, ma w sobie jakąś moc promieniejącą na zewnątrz, aby szeroko nieść ukrzepienie słabnącym w powszednich życia zapasach. Woń ofiary podjętej dla wiary czy nauki, jest zawsze najpiękniejszem ziemi kadzidłem, a płynie ona obficie z roczników wypraw podbiegunowych, które stąd przysparzają czytelnikom zdrowego i hartownego pokarmu.

M.

DOKUMENTA.

Listy kardynała di Como do O. Antoniego Possewina T. J.

(Ciąg dalszy).

XVI.

26 febraro 1583.

Molto Reverendo in Christo Padre. Le ultime lettere che ho di V. R. sono di 7, 10 et 13 del passato, con le quali erano i duplicati d'alcune antecedenti, che già si erano ricevute et risposto. Del negocio de la compositione non ho da dir altro, se non che essendosi visto quanto passava per le scritture mandate in volta quali si sono havute con lettere di V. R. et di Mons. Nunzio Cesareo si aspetta hora di saper l' ultime risolutioni che si sarà presa da

26 lutego 1583 r.

Wielebny Ojcze. Otrzymałem ostatnie listy W. T. z 7, 10 i 13-go zeszłego miesiąca, oraz duplikaty kilku poprzednich listów na które już odpowiedziałem. W sprawie załatwienia sporów[1] nie mam nic innego do powiedzenia, jak tylko zrozumiawszy rzecz z dokumentów przysłanych razem z listem W. T. J. ks. Nuncyusza przy dworze cesarskim, teraz będziemy czekać na ostateczne postanowienia jednej i drugiej strony. Co do zdania sprawy z tych układów kar-

[1] Spory te toczyły się między królem polskim Batorym a cesarzem Rudolfem o komitat Szatmarski (107 mil□ 200.000 mieszkańców), który jeszcze Maksymilian II. zwyciężywszy Zapolią do korony węgierskiej przyłączył. Praw swoich gotów był Batory dochodzić wojną. Possewin, bawiący podówczas w Polsce jako poseł papieski, ofiarował pośrednictwo Stolicy św. (Teka Naruszewicza vol. 90. dok. 130—32, bibl. Czartoryskich). Ostatecznie załatwił te spory biskup Rozrażewski, poseł polski w Wiedniu, przy pomocy Possewina i nuncyusza polskiego Bolognetti.

l' una et l' altra parte, et quanto al dar conto di questo negotiato al' Illmo Farnese et al S. Ambasciator Cesareo, Sua Santità, farà quel che giudichèrà convenire al servitio del negotio.

Nostro Signore ha havuta la lettera del Re sopra il nominato di Premislia del quale scrissi con l' ultima a V. R., che si farebbe nova consideratione sopra quella scrittura, che fù mandata di costà et però come sarà risoluto quel che si possa fare, se ne darà avviso et si risponderà a la lettera de la Maestá Sua.

Non dispiace a la Santita Sua quello che V. R. scrive d'haver concluso con la Maestà del Re circa il far un corpo solo de li dui seminarii di Transilvania, si per le ragioni considerate et addotte da V. R. et si anco perchè da ciò apparirà meglio la buona intelligenza et vera unione degli animi di Nostro Signore et de la Maestá Sua verso il servitio di Dio et beneficio publico et de la confirmatione per XV. anni V. R. non ha da dubitare.

Si è contentata Sua Beatitudine di far gratia de la dispensa a quel frate Franciscano, bigamo il cui memoriale è stato mandato et racomandato da V. R. et le n'ordinerà la speditione.

dynałowi Farnese i posłowi cesarskiemu, to Ojciec św. uczyni to, co uzna za pożyteczne w tej rzeczy.

Ojciec św. otrzymał list króla o nominacie z Przemyśla[1]. Pisałem W. T. w ostatnim liście, że na nowo weźmie się pod rozwagę list stamtąd nadesłany, zatem skoro tylko zostanie rozstrzygnięte to, co można uczynić, oznajmiemy o tem i odpowiemy na list J. K. Mości.

Podoba się Ojcu św. to, co W. T. donosisz: że wraz z królem postanowiliście połączyć w jedno obydwa seminarya w Siedmiogrodzie[2], a to zarówno z przyczyn, jakie W. T. przytoczyłeś, jak dla tego, że tym sposobem uwydatni się zgodność i prawdziwa łączność zamiarów Ojca św. i króla ku chwale Bożej i dobru ogólnemu i niech W. T. nie wątpi o potwierdzeniu na lat piętnaście.

Ojciec św. raczył udzielić dyspenzy za dwużeństwo owemu bratu franciszkańskiemu, którego podanie W. T. mi przysłałeś i poleciłeś i każemy ją wysłać.

---

[1] Po śmierci biskupa przemyskiego Ługowskiego zawakowało dostatnie probostwo miechowskie. Król nadał je synowcowi swemu Jędrzejowi Batoremu (Teka Naruszewicza v. 90. d. 11. 26). W notach do listu V i VI mylnie nazwano Jędrzeja „siostrzeńcem“ króla; był on synem brata królewskiego Jędrzeja z Somlio (Przyp. Red.).

[2] Kolegium Klaudiopolskie fundacyi Batorego i seminaryum papieskie fundacyi Grzegorza XIII.

De li cento fiorini l'anno impetrati de la liberalità del Re per li medesimi Frati Francescani si scrive a Mons. Nunzio cherenda le debite gratie a la Maestà sua et dia lode al S. Cancelliero poichè V. R. l'ha adoprato per mezzo et in oltre che raccomandi i detti religiosi in ogni loro occorrenza.

Circa li caratteri in piombo de la lingua Ruttenica et Moscovita, quali desidera V. R. che si mandino costà per stampar catechismi, io ho da trattarne col S. Cardinale di Santa Severina per veder quel che si possa fare et con le prime darò la risolutione.

Mandai la lettera del Padre Varsavitio al Padre Generale, il quale se verrà a parlarmi di quelle cose che V. R. gli scrivè, l' ascoltero moltò volontieri. Ch'è quanto per hora m'occorre con offerirmi a lei di buon core et pregarle continua gratia del Signore. — Di Roma.

Poleciliśmy J. Ks. Nuncyuszowi aby podziękował J. K. Mości za 100 zł. rocznie, które wyprosili od niego ciż bracia Franciszkanie, oraz aby pochwalił przed królem kanclerza, którego pośrednictwa W. T. używałeś i aby opiekował się owymi zakonnikami w każdej potrzebie [1].

Co do czcionek ołowianych języka rusińskiego i rosyjskiego, o których przysłanie W. T. prosisz, aby módz wydrukować katechizmy, muszę pomówić z kardynałem Santa Severina, a dowiedziawszy się co się da w tej mierze zrobić, przyszlę odpowiedź przy pierwszej sposobności.

Posłałem list Ojca Warszewickiego ks. jenerałowi, który jeźli przyjdzie pomówić ze mną o tem co W. T. mu piszesz, z przyjemnością go posłucham [2]. Oto wszystko co na razie mam donieść, polecam się więc pamięci i proszę Boga o łaskę dla Ciebie. — Rzym.

XVII.

12 marzo 1583.

Molto Reverendo in Christo Padre. La settimana passata ricevei le due lettere di V. R. di 26 et 29 di Genaro et perchè nel principio de la prima lei faceva mentione bensi di passagio de la nuova nominatione di Premislia rimetendosi a Mons. Nunzio (le cui lettere non sono

12 marca 1583.

Wielebny Ojcze. W zeszłym tygodniu otrzymałem dwa listy od W. T. z 26 i 29 stycznia, a ponieważ w pierwszym wspomniałeś mimochodem o nowej nominacyi w Przemyślu, spuszczając się na J. Ks. Nuncyusza (którego list dopiero w tym tygodniu otrzymaliśmy), już wtenczas zro-

[1] Od r. 1580—83 reformował Franciszkanów konwentualnych O. Kamil Tachetti, weronenczyk. Król i kanclerz popierali dzieło O. Kamila, a jego samego pragnęli zatrzymać w Polsce (Teka Narusz. v. 90, dok. 81).

[2] O. Warszewicki bawił pod ten czas na dworze szwedzkim.

venute prima di questa settimana) io compresi fin d' all' hora quel che dipoi ho inteso più chiaramente, come Dio Signor nostro per sua bontà et misericordia haveva trovato la strada di cavarci dal labirinto, in che eravamo posti per tal conto, di che habbiamo da sentire tanto maggior piacere, quanto che il novo nominato è, come s'intende, di qualità convenienti per tal carico, et che la Prepositura di Micovia servirà per ingresso a la vita ecclesiastica del S. Andrea Batori, d'onde l'altre risolutioni circa la legatione, et altre cose potranno pigliar buon indirizzo.

É stata buona posta quella che V. R. scrive d'haver saldata con la Maestà del Re de li mille talleri l'anno sopra la detta Prepositura et Nostro Signore n'ha sentito molto piacere.

Quanto al mandar Sacerdoti Ungheri in Transilvania perchè io so, che a li Vescovi d'Ungheria ne mancano più presto che n'avanzino, et che di là difficilmente si puo sperar d'haver cosa a proposito, ho pensato a questi che sono qui in Collegio Germanico et ne ho parlato col Rettore, si come ho

zumiałem, o czem później szczegółowiej się dowiedziałem, jak Bóg nas łaskawie wyprowadził z labiryntu, w którym się znajdowaliśmy. Powinniśmy się z tego tem bardziej cieszyć, że nominat jest, jak wiadomo godnym tego urzędu i że probostwo miechowskie będzie wstępem w zawodzie kościelnym dla Jędrzeja Batorego, co dla zamierzonego poselstwa i innych spraw może być z korzyścią[1].

To co W. T. piszesz, że ułoży on się z Królem o 1000 talarów rocznie za rzeczone probostwo, dobrą jest nowiną i Ojciec św. bardzo się tem ucieszył.

Co do przysłania księży węgierskich do Siedmiogrodu, to wiedząc o tem, że biskupom węgierskim raczej ich braknie jak na nich zbywa, i że ztamtąd trudno będzie dostać odpowiednich kapłanów, pomyślałem o tych, którzy są tutaj w kolegium Germanicum i mówiłem o tem z rektorem, jako też w spra-

[1] Nominacyi Jędrzeja na probostwo miechowskie opierali się Bożogrobcy, nuncyusz zaś i bisk. krak. Myszkowski obstawali za nią (Teka Narusz. vol. 90 d. 26). Wnet po urządzeniu probostwa miechowskiego (30 list. 1583) udał się Jędrzej z woli króla a pod opieką sekretarza królewskiego kan. Reszki do Rzymu, gdzie w rok potem został kardynałem. Między listami rekomendacyjnymi do kardynałów, dał król Jędrzejowi list do jenerała Jezuitów Aquaviva, pod d. 7 wrześn. 1583, gdzie czytam: „omnimo Nobis persuadebamus futurum, ut in consvetudine Paternitatis Vestrae, et cui nunc illa praeesset Sanctae Societatis Jesu, non doctior modo, verum etiam melior in dies fieret“ (Teka Narusz. v. 90, d. 121).

fatto anco per conto d' haver schiavoni per qualle città sassoniche et vederemo ciò che si potrá fare.

Per proveder al presente bisogno de la medesima Provincia di Transilvania, circa la collatione degli ordini sacri et decisione di cause matrimoniali si è considerato, ch'il mandar di quà uno, porterebbe seco molto tempo et che con difficoltà si trovarebbe persona a proposito, ma che sarà più espediente di far opera col Re, che vi si mandi qualche Vescovo Pollaco di quei piu vicini, il qual supplisca a l'urgente necesità almeno circa gli ordini sacri, et intanto si solleciti caldamente l'erettione del Vescovato sopra di che piace a Sua Santità la mira che ha la Maestà sua al S. Andrea et d' aggiongerli il Rescio. Onde non si può far cosa più santa, che di dar fretta a l' espeditione di questo negotio per sovvenir quanto prima a quella Provincia, che per la grandezza et fetilità sua, et per l' opportunità del sito è stimata da Sua Santità quanto merita per se stessa et anco qualche cosa di più per il rispetto di Sua Maestà.

Ho ricevuto la scatola et datola a Nostro Signore: cosi n'havessimo noi una montagna, poichè non haveressimo il rispetto et paura che si ha costi.

Circa l'haver huomini di quà, per far una piccola colonia in Derpat, io non vedo come si possa satisfare al desiderio

wie misyonarzy dla miast saksońskich i zobaczymy co będzie można zrobić.

Ażeby zaradzić potrzebom tejże prowincyi Siedmiogrodu co do udzielania święceń i rozstrzygnięcia sporów małżeńskich, niepodobna wysyłać stąd kogoś, gdyżby to dużo czasu zabrało i z trudnością wynalazłoby się osobę odpowiednią, lepiej więc będzie, ułożywszy się z Królem, wysłać tam którego z sąsiednich biskupów polskich, któryby się przynajmniej tak niezbędnej rzeczy, jak udzielenie święceń podjął, tymczasem zaś należy gorąco nalegać na ustanowienie biskupstwa, i w tej mierze podoba się Ojcu św. zamiar J. K. Mości co do księcia Jędrzeja z dodaniem mu Resciusza. Nie można zatem nic lepszego uczynić, jak przyspieszyć załatwienie tej sprawy, aby co prędzej poratować ten kraj, który wysoko ceni Ojciec św. dla jego obszaru, urodzajności i dobrego położenia, a tem bardziej przez cześć dla J. K. Mości[1].

Otrzymałem szkatułkę i dałem ją Ojcu św., żebyśmy takich całą górę mieli, nie bylibyśmy w takim strachu[2].

Co do założenia małej kolonii w Dorpacie z tutejszych ludzi, nie wiem jak będzie można zadośćuczynić życzeniu królewskie-

[1] Batory nosił się z myślą przywrócenia siedmiogrodzkiego biskupstwa i osadzenia na niem swego synowca Jędrzeja.

[2] Zapewne szkatułkę z pieniądzmi na wojnę turecką.

di Sua Maestà, perchè questi tali non vorranno partirsi da le sue case per andar tanto lontano massime sensa esser prima sicuri di quello che siano per havere quando saranno là Onde io credo, che sia meglio procurare di Baviera, come V. R. ha pensato.

Quel che V. R. scrive de la grandezza d'animo del Re verso il ben publico di Christianità ha dato a Nostro Signore grandissimo contento et ne fa Sua Santità quel capitale che V. R. sa, sperando che non sia molto lontano il tempo, nel quale si potrà metter l'animo più fisso a tali pensieri, già che continevano et crescono tuttavia le nove de le percosse, che dà il Persiano al Turco, et le cose di Fiandra monstrano di dover pigliar buon verso. Onde se piacerà a Dio di sbrigar il Re catholico degli intrichi, che ha al presente, sii che possa impiegar le sue forze a beneficio universale, non si perderà l' occasione, et all' hora sarà anco tempo di far animo al Persiano non con parole solamente ma con fatti ancora, come è di bisogno, per haver credito, già che essendo stato fatto tal ufficio con parole dieci anni fà, il rinovarlo adesso

mu, bo ci ludzie nie zechcą rozdzielić się od swoich i pójść tak daleko, nie będąc pewni, co tam mieć będą. Myślę więc, że lepiej będzie z Bawaryi ich sprowadzić, jak tego W. T. doradzasz[1].

To co W. T. o wielkich zamiarach Króla dla dobra chrześcijaństwa wspomina, bardzo ucieszyło Ojca św., który jak to W. T. wiadomo, wielką wagę na to kładzie, spodziewając się, że niedaleką jest chwila, w której można będzie skuteczniej o tem pomyśleć, ponieważ powtarzają się i mnożą wiadomości o klęskach, jakie Persya Turcyi zadaje i w Flandryi zdają się być rzeczy na dobrej drodze[2]. Jeżeli zatem Bóg zechce oswobodzić króla katolickiego z obecnych kłopotów tak, aby mógł sił swoich użyć dla dobra powszechnego, wtenczas korzystając z sposobności, będzie jeszcze czas wesprzeć Persyą nietylko słowem ale i czynem; czynów bowiem potrzeba, ażeby zyskać zaufanie, obietnice już 10 lat temu miały miejsce; powtórzenie ich, bez dania rzeczywistej pomocy, mogłoby raczej zaszkodzić naszym zamiarom.

---

[1] W skutek wieloletniej wojny, miasta inflanckie zostały wyludnione, król Batory pragnął je zaludnić kolonistami włoskimi. Dotyczący dokument wydał król w Niepołomicach 29 stycz. 1583 r. (Teka Narusz. vol. 90. dok. 14).

[2] Hasłem polityki ówczesnej Grzegorza XIII. było: „spokój na Zachodzie, wojna na Wschodzie". Pragnął i Batory tego, ale wojnę na Wschodzie rozumiał inaczej jak Papież. Orężem albo układami zlać Rosyę i Polskę w jedno państwo, podać rękę Persom i tak dopiero uderzyć na Turcyą i zgnieść ją zupełnie, oto były jego wojenne plany (Revue de Quest. hist. 1884. I. 178—180).

senza aggionger cosa di sostanza, partorirebbe forse effetto contrario a l'intention nostro.

Nostro Signore ha sentito molto piacere sì del consenso dato da la Città di Cracovia, perchè la Compagnia v'habbi suna chiesa, et sì ancora del susidio, promesso dal Re per edificar la Chiesa et le schuole in Lublino.

Ho riferito a la Santita Sua quanto V. R. scrive intorno a i dodici sacerdoti i quali erano destinati per Livonia, di ehe è restata satisfatta et cha commesso che se li faccino pagare li ducento fiorini, quali furono presi da quei Padri in Colonia, et tanto sarà esseguito.

Già scrissi a V. R. che Sua Santità si contentava, che lei si valesse dei denari raccolti costì per gl'Inglesi a conto de le sue provisioni et il medesimo hora le confermo per risposta di quanto mi scrive in questa materia.

Ho impetrato da Nostro Signore il breve di raccomandazione per il S. Varsevicio a Sua Maestà et si manda a Mons. Nunzio acciò lo presenti, credendo che V. R. sarà lontana de la Corte.

Ojciec św. bardzo się ucieszył pozwoleniem miasta Krakowa danem Towarzystwu na posiadanie własnego kościoła [1] jakoteż obiecaną pomocą Króla na wybudowanie kościoła i szkoły w Lublinie [2].

Doniosłem Ojcu św. to, co W. T. piszesz o dwunastu kapłanach przeznaczonych do Inflant, z czego był zadowolony i zalecił, aby im wypłacono owe 200 zł. wziętych od Jezuitów kolońskich, co zostanie wykonanem [3].

Już pisałem W. T., że Ojciec św. pozwala byś użył pieniędzy zebranych tam dla Anglików na rachunek swej pensyi i to samo teraz potwierdzam, odpowiadając na zapytanie W. T.

Otrzymałem od Ojca św. breve polecające dla O. Warszewickiego do J. Kr. Mości, które wysyłam do J. Ks. Nuncyusza, aby wręczył takowe, bo W. T. zapewne daleko będziesz od dworu [4].

---

[1] Mowa tu o kościele św. Barbary w Krakowie, który w tym roku 1583 król oddał Jezuitom nie bez długich rokowań z Akademią i biskupem krakowskim (Wielewicki Hist. domu ś. Barbary l. 56. 57).

[2] Fundatorami lubelskiego kolegium byli bisk. krak. Bernard Maciejowski i Mikołaj Zebrzydowski (Wielewicki l. 25).

[3] Po zajęciu Inflant król Batory nadał Jezuitom kolegia w Dorpacie i Rydze, na których zaludnienie sprowadzono 12 Jezuitów z Kolonii (Wielewicki pod r. 1583. I. 41).

[4] Ks. Warszewicki przybywał ze Szwecyi do króla w sprawach kolegium lubelskiego świeżo przez Mikołaja Zebrzydowskiego założonego (Wielewicki. Hist. dom. S. Barbarae l. 56).

Si manda con questa il breve in raccomandazione del S. Lorichio diretto al Re cattolico, qual s'è rinovato secondo il ricordo che V. R. ne lasciò, a la quale per fine mi offero di core et prego il cumulo d'ogni vera gratia. — Di Roma.

Posyłam ponownie z tym listem Breve polecające dla pana Lorichiusza do króla katolickiego[1], jak to przypomniałeś W. T., której się polecam, prosząc o wszelkie łaski dla niej. — Rzym.

XVIII.

19 marzo 1583.

Molto Reverendo in Christo Padre. Con la lettera di V. R. de li 2 del passato ho havuto i duplicati di quelle di 26 et 29 di Genaro, quali mi trovano già haver ricevuto et risposto secondo che vedrà dal' incluso duplicato de la risposta, qual le mando a cautela, già che vedo che le lettere hanno cosi dif ficile ricapito, scrivendomi essa non haver ancor ricevuta alcuna mia et pur ho scritto più volte. Onde tanto più si conosce esser necessario di sollecitar quel negotio de la posta, perche altrimenti non si provederà mai a questo disordine.

Da la copia de la lettera di V. R. scritta a Mous. Nunzio sotto li 2 del passato, s'è inteso quel che lei haveva trattato con la Maestà del Re in diverse materie, et in particolare circa il Padre Maldonado, et altri Padri de le Compagnia detti per mandare in Transilvania, di che la Maestà sua ha parimente scritto a Nostro Signore. Ma V. R. havrà di poi

19 marca 1583 r.

Wielebny Ojcze. Z listami W. T. z zeszłego miesiąca, otrzymałem duplikaty listów z 26 i 29 stycznia, na które jużem był odpowiedział, jak się o tem przekona W. T. z duplikatu załączonego, który posyłam z ostrożności, widząc, że listy tak trudno dochodzą, kiedy W. T. piszesz, żeś żadnego dotąd odemnie nie otrzymał, chociaż kilka razy już pisałem. Z czego tem bardziej poznajemy potrzebę popierania urządzenia poczty, bo inaczej nigdy się nie zaradzi tym nieporządkom.

Z kopii listu, który W. T. napisałeś do J. X. Nuncyusza 2-go zeszłego miesiąca, dowiedzieliśmy się o tem, o co W. T. z J. K. Mością w różnych materyach układałeś się, a w szczególności o wysłaniu Ojca Maldonato i innych uczonych Ojców Towarzystwa do Siedmiogrodu, o czem J. K. M. również do Ojca św. pisał[2]. Ale zapewne W. T. słyszałeś później, że O.

[1] Poseł króla Jana Wazy na dwór hiszpański.

[2] W Klausenburgu założył Batory kolegium jezuickie z szkołami, kursem filozofii i teologii czyli akademią jak podówczas nazywano. O. Maldonato był sławnym teologiem. (Wielewicki l. 84.)

inteso come il Padre Maldonado morse circa due mesi sono quì in Roma, con dispiacer infinito di tutti i buoni, havendosi fatta gran perdita ne la persona sua. Quanto agli altri Padri per Transilvania, se n' á trattato col Padre Generale, et se ne trattará di nuovo per veder quel che si potrà fare, acciò la Maestà sua venga satisfatta di quanto ricerca con pio et santo proposito.

Nostro Signore mi ha commesso di ricordar a la R. V. che poich' ella si trova in coteste Regioni non lontane da Moscovia, gli parebbe, che non si dovesse intermettere la tela incominciata per introdur la religion catholica in quelle parti, ma che tuttavia si andasse facendo qualche cosa, et tenendo viva la prattica con lettere et con altri mezzi, almeno perchè quel Principe conosca che non habbiamo deposto il pensiero, nè la cura di lui, et de le cose sue, et anco acciò si tenga aperto la porta a quel bene che si eèhavuto inanzi gli occhi, et per oggetto, et speranza del quale V. R. ha preso tante fatiche et travagli. Nel resto non havendo da dire altro, prego Dio che conservi et prosperi. V. R. si come io ne l'offero con tutto l'animo. — Di Roma.

Maldonato umarł przed mniej więcej dwoma miesiącami tutaj w Rzymie ku wielkiemu zmartwieniu wszystkich dobrych ludzi, opłakujących tak wielką stratę. Co do innych Ojców, mających być wysłanych do Siedmiogrodu, mówiliśmy o tem z Ojcem jenerałem i jeszcze pomówimy, bacząc na to, co można uczynić, ażeby zadowolnić J. K. M. w jego pobożnych życzeniach.

Ojciec św. polecił mi przypomnieć W. T., że zdaje mu się, iż nie powinieneś przerywać rozpoczętych prac nad wprowadzeniem religii katolickiej w państwie moskiewskiem, zwłaszcza, że się znajdujesz w kraju pobliskim, ale żebyś się starał dalej iść w tym kierunku, utrzymując listowne i inne stosunki, ażeby przynajmniej w. książe wiedział, że nie porzuciliśmy myśli i pieczy o nim i o jego interesach, a zarazem, ażeby mieć zawsze drogę otwartą dla sprawy, do której dążyliśmy i dla której W. T. tyle trudów i pracy poniosłeś[1]. Nie mając nic innego do powiedzenia, proszę Boga, by W. T. zachowywał w pomyślności, jak ci tego z całego serca życzę. — Rzym.

(C. d. n.)

[1] Na tej podstawie Possewin podjął się powtórnego pośrednictwa między królem a posłami w. księcia Fiedora w Warszawie w lutym 1585 r. (Revue des Quest. hist. I. 190. 191).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Н. Любовичъ. Исторія Реформаціи въ Польшѣ. Кальвинисты и Антитринитаріи (по неизданнымъ источникамъ) въ Варшавѣ 1883.
N. Lubowicz. **Historya Reformacyi w Polsce.** Kalwiniści i Antitrynitarze (według źródeł nie wydanych w Warszawie 1883.

Pierwszy tom dobrze wróży o całości dzieła, bo chociaż to niewykończony jeszcze obraz ruchu reformacyjnego w Małopolsce, to jednak z wielu względów zasługuje na uznanie surowej nawet krytyki. Prawda, że spotkać się tu można z niezupełnie trafnym poglądem, z świadectwem czerpanem ze źródeł podejrzanej czystości, lecz są to usterki, które złożyć wypada na karb okoliczności, w jakich znajdował się autor. Zresztą sumienność, ścisłość i pewna samodzielność w zapatrywaniach wynagradza te niedostatki. Cel swojej pracy wykazuje p. L. w przedmowie: „Inne przyczyny, mówi on, inny rozwój reformacyi był w Polsce, jak w Europie zachodniej. Zagadkowym i sprzecznym pozornie jest bystry jej wzrost i szybki upadek. Wyjaśnić te pozorne sprzeczności w historyi polskiej reformacyi, iść krok w krok za jej rozwojem i wykazać nieuniknioną konieczność jej zupełnego niepowodzenia, to cel mojej pracy".

W pierwszym zaraz rozdziale sięga p. L. w przeszłość dziejów naszych i tam szuka źródeł przyszłego różnowierstwa, źródeł, które z biegiem lat rosły i potężniały, aż wreszcie w skutek

napływu nowinkarzy z Zachodu, zrywając ostatnie tamy bystrym potoczyły się prądem przeciw Kościołowi i jego przedstawicielom. Jak zwykle pod płaszczykiem ruchu religijnego inne kryją się cele, tak i w historyi polskiej reformacyi pobudki religijne podrzędną odgrywały tu rolę. W XIV. w. wzmaga się możnowładztwo, a w XV. cała szlachta dąży do zagarnięcia władzy politycznej; już bowiem od pokoju Toruńskiego w r. 1466 straciła swój rycerski charakter i odtąd innych szuka ideałów. Przez zetknięcie się z Zachodem niknie prostota obyczajów, zbytek się wkrada, rosną wydatki, a z nimi budzi się potrzeba większych dochodów. Cudzoziemcy ubiegają się o tron polski; magnaci więc, chcąc wybór króla od siebie zawisłym uczynić, wchodzą w bliższe stosunki ze szlachtą, rozszerzają jej swobody i wpływ polityczny. Ale, by wszystkie przywileje dla siebie zagarnąć, trzeba było ukrócić wolności kmieciów, mieszczan i duchowieństwa. Stąd, gdy w końcu XV. w. włościanie małopolscy zaczęli przesiedlać się na Podole, szlachta zwiększa pańszczyznę, ogranicza nawet prawa mieszczan, i rozpoczyna długoletnie spory z duchowieństwem. Przyczyny więc i cechy czyli znamiona tego starcia były czysto ekonomiczne. Takim jest pogląd p. L. na dalsze przyczyny polskiej reformacyi; pogląd to zdrowy, godny historyka a doszedł on do niego nie tyle może własnym instynktem i sądem, jak rozmową i zapoznaniem się bliższem z niektórymi uczonymi Polakami w Krakowie, gdzie przez kilka miesięcy przygotowawczym do swej pracy studyom się oddawał. Dalej wykazuje autor, że wielu pisarzy niesłusznie stawia protestantyzm polski XVI. w. w genetycznym związku z husytyzmem. Bezpośrednią przyczyną wzrostu reformacyi w Małopolsce, było mieszczaństwo niemieckie, otwarty wstęp do kraju dla kupców i zbiegów, wreszcie zagraniczne uniwersytety, gdzie młodzież polska przejmowała się ideami Zachodu. Następnie przebiega p. L. sejmy koronne, procesy heretyków, kreśli stan duchowieństwa, rozwój kalwinizmu i wewnętrzne jego stosunki, przedstawia Łaskiego jako organizatora małopolskich zborów, wykazuje statystycznie niemoc i nieliczność wyznawców nowej sekty, która od chwili odłączenia się antytrynitarzy nie robi już dalszych postępów, popada w stagnacyą i powolny rozkład.

Oto krótki przebieg pracy p. L. w jej głównych a dodatnich zarysach. Ujemne jej strony upatrujemy w charakterystyce społeczeństwa naszego, często jednostronnej lub niedokładnej, oraz w ślepem poleganiu autora na świadectwach takich ludzi jak Kalwin, Wergeryusz, Utenhof, Kuyper lub Łaski [1].

Możnowładczy kierunek magnatów naszych uwydatnia się istotnie już z końcem XIV. w. i odtąd rośnie coraz bardziej podsycany zbytkiem i zniewieściałością — lecz nie są to przyczyny pierwszorzędne: bo początkiem, źródłem i dźwignią tego prądu politycznego był wpływ obcy, postronny, była nieroztropna dobroć i wspaniałomyślność wszystkich prawie Jagiellonów. Pierwsze zarody samowolnej władzy magnatów zaczynają kiełkować pod niedbałym a samolubnym Ludwikiem, który opierając powagę tronu swego na Toporczykach, Grzymalitach, Porajach, rzucił nasiona prywaty, ambicyi i niezgód domowych, a skończył swe dzieło koszycką frymarką. Władysław Jagiełło i jego synowie [2], rozrzucając bez wyboru między szlachtę majątki i urzędy, wzmocnili tak dalece stanowisko możnowładców, że już Jan Olbracht zachwiać go nie potrafił, a w kilkanaście lat po nim wołał Zygmunt I.: „Mam tylko imię króla, bo nie jestem mocen działać; nie ja też bezrozumnemi prawami związany odpowiem Bogu i ludziom“ [3]. Rosły majątki panów, lecz nikt nie myślał o ich oszacowaniu i opodatkowaniu; stąd nierówny rozkład ciężarów budził swary i zawiść wzajemną. Machiawelowska polityka cesarza Zygmunta, a później pycha i przebiegłość Bony podnieca szlachtę przeciwko królowi [4]. Próżna a chytra kobieta przekup-

---

[1] Jak niebezpieczną jest rzeczą opierać się na takich źródłach, tego dowodem, że nawet katoliccy pisarze, którzy im zanadto ufali, popadają w historyczne błędy; tak np. Alzog twierdzi mylnie: „Zu Petrikau (1555) wurde ein polnisches *Nationalconcil* unter dem Vorsitze des Königs gehalten“. Universalgesch. der christl. Kirche. Mainz 1855. pag. 767.

[2] „Donationes enormes faciebat... quo quidem ingenio ef filios suos dum apud Polonos summa rerum potiti erant, constat usos fuisse“. Długosz t. IV. p. 535.

[3] Acta Tomic. II. 70.

[4] Regina vero Bona fons et caput harum turbarum... Regi irata Acherunta movere coepit... haec autem omnia mala pernicio-

stwem i forytowaniem zauszników dąży do władzy, niweczy sejm krakowski (1536), po którym szlachta zniechęcona do najlepszego króla, choć tak była silną, że całą Azyą podbićby mogła [1], kończy swój zjazd pod Lwowem (1537) na przetrząsaniu statutów i sromotnej wojnie kokoszej. Tak więc frymark Ludwika, rozrzutność Jagiellonów, zdrady Luksemburczyka i intrygi Bony niemały wpływ wywarły na ten zgubny kierunek możnowładztwa. W ślad za bogactwem postępowała miękkość obyczajów, wstręt do trudu, walki i pracy, a chęć i żądza dominowania, której ofiarą padły przywileje mieszczan i kmieci. Rycerskość zaciera się w szlachcie z końcem XV. w., a natomiast panoszy się zbytek i jakiś szał hulaszczy, który nie tyle może był skutkiem bogactw i dobrobytu, jak raczej psychologicznem następstwem gwałtownych wstrząśnień i klęsk w całym tym wieku na kraj spadających [2]. Jednak wśród tej zniewieściałości i zbytku odzywają się głosy ostrzegające o niebezpieczeństwie, karcące możnowładców: Jan z Dąbrówki broni wyższości zasługi nad urodzeniem, Ostroróg podaje memoryał „de reformanda Republica“, Krzycki pisze: „Nagrobek Rzeczypospolitej“.

Walka też z duchowieństwem i ucisk włościan nie bez obcego wpływu zjawiły się u nas. Jeszcze w XIII. wieku z dziesięcin kościelnych najsumienniej uiszczała się szlachta [3], bo cześć i uległość dla duchowieństwa wypływały u nas z pobudek nadprzyrodzonych, z motywów żywej wiary. „Najpierwsi są w senacie, mówi prawo polskie, arcybiskupi i biskupi, którym dla wiary ten honor uczyniony i świeccy z tej przyczyny dobrowolnie im ustąpili [4]. Wprawdzie w r. 1506 według Kro-

sis practicis suis conflavit... ita inquietum hoc animal fuit“. Script. Rer. Pol. Collectan. ex Archiv. Coll. Hist. t. I. p. 5.

[1] Ibid. p. 73.

[2] Wojna z Zakonem pochłonęła 15 miljon. cz. zł., 300 000 ludzi padło tylko od oręża, a 18 000 wsi pruskich zniszczyły pożogi (Morawsk. t. 2. p. 179). Trzęsienia ziemi, głód, szarańcza, posucha, zarazy, złowróżbne komety etc. Długosz t. IV. i V. passim.

[3] „Vielleicht nirgends ist das Zehntrecht der Kirche in solcher Ausdehnung wirklich in Anspruch genommen und durchgesetzt als in Polen“. Stenzel. „Urkunden zur Gesch. des Bisth. Breslau“. Szajnocha „Jadwiga i Jag.“ t. 2. str. 20.

[4] Prawo posp. król. polsk. rozdz. V. §. 1.

mera i Bielskiego dopominają się świeccy, by senatorowie duchowni ustąpili im krzeseł po jednej stronie tronu, lecz król Aleksander stanowczo się temu oparł. Z drugiej jednak strony zniemczałe książątka, zapatrując się na przykład cesarzów wrogich papieżom, już w XIII. w. nieprzyjaźnie występować zaczęły przeciw duchowieństwu. Króla Ludwika, który się kochał w Niemcach, nazywano gnębicielem klasztorów, zdziercą biskupów polskich [1], a przykład z góry jest zaraźliwym, *exempla trahunt*. Przytem żyzne a wolne od podatków dobra kościelne budziły mimowolną zawiść wśród szlachty, stąd też szczególniej za Jagiellończyka spotykamy się nieraz z grabieżą w opackich lub biskupich włościach. Niemiecka kolonizacya zgubną też była i dla kmieci. Prawda, że i szlachta targnęła się na włościańskie swobody, lecz wprzód materyalny ich dobrobyt pochłonęły niemieckie kolonie, szerząc wśród ludu pijaństwo dawniej mu nieznane [2]. Wraz z pijaństwem upada przemysł i rolnictwo, mnoży się liczba włościan służebnych i włóczęgów, i wtedy dopiero panowie stopniowo biorą na siebie ich sądownictwo, zmuszają do sprzedaży majątków i wprowadzają pańszczyznę. „Jak wiele innego złego, mówi Morawski, wdziera się do kraju, ucisk ze stron obu: od Niemców i z Rusi, gdzie jeszcze od Jarosława wprowadzona była niewola“ [3]. Niewłaściwie p. L., mówiąc o stanie włościan polskich XVI. w., używa wyrazu: „закрѣпощеніе“ (str. 8) oznaczającego stan niewolniczy, który w Polsce nigdy nie istniał.

Wyraz ten datuje się od Fiodora Joanowicza, a raczej Borysa Godunowa, który ustanowił niewolnicze poddaństwo włościan. Na mocy tej ustawy wolno było bezpośrednio przed uwłaszczeniem kupować i sprzedawać chłopów po 100 rbs. za duszę. W Polsce prawdziwe „крѣпостное право“ zaprowadziła dopiero Katarzyna i to tylko w t. z. kraju zabranym. W XVI. zaś wieku, wieśniak nie był u nas zepchnięty do stanu zupełnego poddaństwa, bo jeszcze w r. 1507 Zygmunt I. ustanowił osobny urząd referendarzy, czyli patronów ubóstwa, którzy skargi ludu przedstawiać mieli królowi i kanclerzom [4].

[1] Szajnocha Jadw. i Jag. str. 24.
[2] Ibid. str. 105.
[3] Morawski Hist. t. II. str. 319.
[4] Morawski Hist. t. II. p. 283.

Zresztą o stanie włościan ówczesnych wspomnieliśmy już w poprzedniej recenzyi.

O Kościele katolickim w Polsce z XIV. i XV. w. twierdzi p. L., że go można nazwać narodowym, bo papież nie kieruje jego sprawami z tak nieograniczoną władzą, jak w innych zachodnio-europejskich państwach, a król samowolnie rozporządza polskiemi biskupstwami. „Jeśli kapituła pozwoliła sobie wybrać biskupa bez wiedzy króla lub wbrew jego woli, to królowi udawało się zawsze unieważnić te wybory i przeprowadzić swego kandydata“ (str. 11, 12). Na dowód tego przytacza spory o nominacye biskupów między Papieżami a Ludwikiem, Władysławem II., Kaźmierzem Jag. i Zygmuntem I. (str. 13 sq.). Pomijamy niewłaściwą co najmniej w katolicyzmie nazwę „narodowego Kościoła, ale zaznaczamy, że ani Kościół polski nie był tak niezależnym od Papieży, ani tak podległym królowi, jak to na innem miejscu (str. 43) p. L. wyraźniej jeszcze powtarza, a owe kilkakrotne spory królów naszych z papieżami dowodzą właśnie zależności polskiego Kościoła od głowy katolicyzmu; bez potwierdzenia bowiem papieża żaden nominat nie mógł być i rzeczywiście nigdy też nie był konsekrowanym, owszem według polskich statutów, biskupom przez Rzym niepotwierdzonym wzbroniony był wstęp do senatu [1]. Jagiełło i jego następcy próbowali uzyskać dla siebie prawo nominacyi na kościelne dostojeństwa, a prawo to częściowo nadał Mikołaj V. Kaźmierzowi Jagiellończykowi [2]. Mięszali się królowie nieraz i do kapitularnych wyborów, ale nierównie częściej kapituły samodzielnie a nawet mimo oporu króla przeprowadzili swe wybory. Czyż to nie wyborem kapituł lub Papieży wyniesieni byli na biskupstwo bez wpływu króla, a nawet wbrew jego woli Wincenty Kot [3], Andrzej Bryński [4], Paweł Giżycki [5], Wincenty Kiełbasa [6], Marcin Krzeczowicz [7],

[1] Prawo posp. król. polsk. rozd. V. §. 4.

[2] Długosz t. V. str. 50. „Legatus Pontificis praesentavit Casimiro R. bullam super 90 nominationibus“...

[3] Długosz Hist. t. IV. p. 576. A. D. 1436.

[4] Ib. p. 603. A. D. 1438.

[5] Ib. p. 615. A. D. 1440.

[6] Ib. t. V. p. 488. A. D. 1467.

[7] Ib. p. 487. A. D. 1467. (Edit. Lips. Krzeszowski).

Jan Rzeszowski [1] i Bernard Lwowianin [2]. Owszem królowie nasi ze czcią zawsze uznawali nad sobą nietylko zwierzchnictwo głowy całego Kościoła, ale i własnych biskupów. Wszak przy każdem wstąpieniu na Stolicę Apostolską nowego Papieża królowie polscy przez swego posła składają mu hołd posłuszeństwa. Pomimo przychylności Rzymu dla Krzyżaków, poddają się sądowi papieskich legatów, przyjmują na ich rozkaz warunki pokoju, z pokorą proszą o zdjęcie klątwy niesłusznie na ich ziemie rzuconej [3]. Wszak Jagiełło pisał do Marcina V., że jedno to umie pochwalać co on pochwala, potępiać co potępione przez niego. Nawzajem też Papieże umieli ocenić to posłuszeństwo królów naszych dla głowy Kościoła. Marcin V. wstawia się za Jagiełłą pojmanym przez Świdrygiełłę, temuż Jagielle jako najgorliwszemu królowi powierza sprawę nawrócenia husyckich Czechów [4]. Kazimierz Jag. otrzymuje od Mikołaja V. czapkę, miecz i złotą różę, Władysław III. tąż samą oznaką odszczególniony, jako najwierniejszy obrońca Kościoła, a Zygmunta I. stawia Paweł III. za wzór do naśladowania. Stosunek królów naszych do wyższego duchowieństwa niemniej dobitnie świadczy o niezależności Kościoła polskiego od władzy świeckiej. Znaną jest powaga i znaczenie biskupów w senacie, znane ich podatkowe przywileje, znane i stanowisko w królestwie gnieźnieńskiego arcybiskupa, któremu według ustaw krajowych wolno było upominać króla i wglądać w jego postępowanie. W r. 1431 Zbigniew Oleśnicki bisk. krak. surowo i przy świadkach karci Jagiełłę, a z jakąż pokorą przyjmuje król te wymówki [5]. W r. 1456 Tomasz Strzępiński rzuca

[1] Ib. p. 563. A. D. 1471.

[2] Akta grodz. i ziems. z Archiw. bernard. we Lwowie t. IX. p. 221.

[3] Obłudny Zakon umiał się maskować wobec Europy, a wpływ cesarzów i własne jego intrygi zjednały mu u Stolicy św. opinią szlachetnego rycerstwa walczącego w obronie swych praw i dla pożytku wiary. Stąd przychylność Papieży dla Zakonu — przekupstwo zaś, o które jeden z najnowszych historyków polskich obwinia Marcina V., oczywistym jest fałszem.

[4] Martinus V. Regi Wladislao II.: „Tu fundator ecclesiarum plurimarum contra eversores earum, tu propagator religionis christianae... Tu Rex Catholicus... Długosz t. IV. A. D. 1429. p. 379.

[5] Ib. p. 465.

klątwę na urzędników królewskich i królewską stolicę, i nie wprzód ją zdejmuje aż Kaźmierz Jagiellończyk do prośb się uniżył [1]. Gdzież więc w obec takich faktów owa podległość Kościoła głowie świeckiej? Mylnie też twierdzi p. L., że w Polsce XIV. i XV. w. władza papieska nie była tak nieograniczoną jak na Zachodzie. Z natury rzeczy i praw kanonicznych wynika, że biskup w swej dyecezyi musi mieć pewną swobodę działania i pewną niezależną zwierzchność nad podwładnem mu duchowieństwem. Pod tym względem takie same były stosunki u nas jak i na całym katolickim świecie. Jednak na dowód bezpośredniej zawisłości polskiego duchowieństwa od głowy Kościoła, to tylko wspomnimy, że Papieże częstokroć rozkazywali jednej lub kilku dyecezyom złożyć królowi pewną sumę pieniędzy na koszta wojenne [2], polecali biskupom roztrząsać i przyspieszać sprawy sądowe, lub zatrzymywali sobie w danym przypadku rzucenie interdyktu na osoby świeckie [3]. Jeśli zaś p. L. chodzi o wpływ Papieży na kapituły, to oni wpływu tego prawie w żadnem państwie nie mieli, gdyż wolność kapituł, zagwarantowana kanonicznem prawem. We Francyi, a pod Filipem II. i w Neapolu, królom przysługiwało prawo nominacyi biskupów; w Hiszpanii kapituły stanowczo i z zupełnym skutkiem bronią swej samodzielności, w Niemczech albo są niezawisłe, albo ulegają wpływowi książąt i cesarza. Gdzież więc na Zachodzie widzi p. L. tę nieograniczoną władzę Rzymu?

Niedosyć sprawiedliwie ocenił p. L. stan duchowieństwa polskiego w połowie XVI w. t. j. w chwili największego upadku moralności. Maciejowskiemu przyznaje wprawdzie szlachetność charakteru, dobroć i życie wzorowe; jednak zarzuca mu podobnie jak całemu duchowieństwu polskiemu brak przekonania o słuszności swej sprawy. Chodzi tu o sprawę celibatu. Maciejowski w liście do Orzechowskiego oświadcza (oczywiście aby go pocieszyć i ułagodzić), że sam byłby za zniesieniem celibatu dla kleru, gdyby Kościół zechciał to uchwalić. Lecz póki to nie na-

[1] Ib. t. V. p. 220.

[2] Mikołaj V. w r. 1448. Długosz t. V. p. 50.

[3] Pius II. w r. 1460. Akt. grodz. i ziem. z arch. lwowskiego t. IX. p. 82, 83.

stąpi przyrzeka surowo karać wszelkie wykroczenia w tym względzie. Nie chodzi nam tu o osobiste zapatrywanie się Maciejowskiego na pożyteczność celibatu dla Kościoła. Bo celibat nie jest „dogmatem wiary katolickiej“, jak twierdzi p. L. (str. 91 i 122). Są rzeczy, których Kościół zakazuje dla tego, że są złe, inne znów dla tego są złe, że zakazane. Do tych ostatnich celibat zaliczyć należy. Jeśli więc Maciejowski przyrzekał bronić celibatu tak długo, dopóki Kościół tego domagać się będzie, był istotnie głęboko przekonany o słuszności swej sprawy, bo tą sprawą niebyła rzecz nakazana, lecz posłuszeństwo winne Kościołowi. Mylnie więc utrzymuje p. L., „że trudno gorliwie walczyć przeciw temu, co głos wewnętrzny za dobre i słuszne uważa“ (str. 88). Mylnym jest ten sąd o Maciejowskim, bo on walczył przeciw temu, co jego głos wewnętrzny za złe i niesłuszne uważał, a walczył najskuteczniej i najgorliwiej ze wszystkich [1]. Ale wglądnijmy w usposobienie reszty ówczesnego duchowieństwa.

Na synodzie Piotrkowskim r. 1551, deputaci kapituły Gantkowski i Kijewski wyliczają kolejno występki biskupów i wzywają wszystkich począwszy od prymasa do złożenia przysięgi i wyznania wiary. P. L. przyznaje, że nigdy jeszcze duchowieństwo nie zdobyło się na takie publiczne biczowanie własnych zdrożności, chwali energią kapituły, lecz w końcu niesłuszną robi uwagę, że wszystkie jej usiłowania spełzły na niczem (str. 209). A przecież odtąd Zebrzydowski przynajmniej na zewnątrz gorąco występuje w obronie wiary, tak, że w r. 1557 odbiera już pochwałę i uznanie swych zasług od kapituły krakowskiej [2]. Podobnie i Noskowski po tym synodzie, skarby skąpstwem i lichwą zebrane obrócił na publiczne cele [3]. Zresztą takie wystąpienie kapituły, musiało też korzystnie wpłynąć i na niższe duchowieństwo, a już samo przez się świadczy o żywotnej sile i duchu

[1] „Plures jam Sacerdotes a Samuelis (Maciejowski) episcopi morte, uxores duxere... Tantum videlicet momenti ad rerum mutationem unius episcopi immaturus attulit obitus“. Dyaryusz sejmów kor. List Z. Herbensteina z d. 5 maja 1551 z archiw. wied.

[2] Koresp. Zebrzyd. Capitulum Cracov. A. Zebrzidovio n. 867.

[3] Ibid. p. 509.

religijności w narodzie. To też zarzut zepsucia i indyferentyzmu ówczesnego kleru nieco sprostować musimy, bo z biskupów Małopolski i Rusi nietylko jeden Dziaduski wolny był od podejrzeń, ale i kilku innych, o czem wyraźnie mówi instrukcya kapituły krakowskiej [1]. Nadto zapomniał p. L. o klasztorach, w których powszechnie kwitła karność zakonna i życie przykładne [2].

Bardziej jeszcze razi pogląd p. L. na stan religijny w Polsce w czasach przedreformacyjnych, i na przyczyny fanatyzmu protestantów w ogóle. Z końcem XV. i początkiem XVI. w. widzi p. L. w naszym kraju pewien brak religijności, który choć nie był może włoskim indyferentyzmem, więcej jednak czuć się dawał u nas niźli w Niemczech. „Brakiem tej żywej religijności i niepodleganiem uciskowi władzy papieskiej (отсутствіемъ гнета папской власти) tłumaczy się to zjawisko, że w polskim reformacyjnym ruchu nie widać takiego fanatyzmu, jaki w innych krajach towarzyszył zwykle reformacyi. Temi samemi przyczynami tłumaczy się zarazem bezsilność (вялость) partyi protestanckiej w Polsce“ (str. 43). Zbyt mało mamy dotychczas świadectw historycznych o stanie religijnym w owych kilkudziesięciu latach. Jednak wiek XV. był u nas wiekiem świętych, wiekiem najgorętszej czci ku Najśw. Pannie, wiekiem, w którym duchowieństwo przeważnie było przykładnem [3]. W Niemczech podówczas daleko gorzej się działo. Z tak bliskiej więc przeszłości logicznie wnosić nam wolno, że ta żywa i głęboka pobożność, mimo wpływu humanizmu, nie mogła tak nagle wystygnąć w narodzie, tembardziej, że na tronie polskim siedział król, którego Hozyusz „świętym“ nazwać się nie wahał [4]. Trudno pojąć na jakiej zasadzie p. L. jako przyczynę fanatyzmu reformacyi na Zachodzie podaje ucisk wywierany przez Rzymską Stolicę, kiedy polityczna jej władza już od czasów wielkiej schizmy papieskiej (r. 1378—1417)

---

[1] Ibid. p. 480.

[2] „Apud mendicantes viget disciplina regularis... excessus si qui fiunt, rigide castigant... monasteria vigent ac florent“. Ibid. p. 485.

[3] Długosz t. IV. i V. possim.

[4] „Mortuus ita sancte ut vixit Rex noster sanctus“. Act. hist. t. IV. n. 282. Hosius Dantisco.

była tylko cieniem dawnej potęgi. Czy nepotyzm i bezowocne wojny Juliusza II., lub sztuki piękne Leona X. tak bardzo gnębiły Europę? Mylność sądu p. L. o wpływie Papieży na państwa jaśniej pokazuje się z pochwał oddanych mowie Ossolińskiego mianej na sejmie w r. 1558. Ossoliński podał wniosek o wykluczenie biskupów przy elekcyi króla z tych przyczyn, że oni przysięgając wierność Papieżowi donoszą o tajemnicach państwa, szkodzą krajowi i otwierają drogę cudzoziemskim wpływom. „Dowody, mówi p. L. (str. 251) i fakta rozliczne na potwierdzenie tego, zestawił Ossoliński po mistrzowsku". Inaczej sądzi historya wszystkich wieków i wszystkich narodów o wpływie Kościoła na stosunki państwowe [1]. Napróżno też stara się p. L. zasłonić przed czytelnikiem fanatyzm polskich protestantów. W stosunku do ich siły liczebnej objawił się on u nas aż nazbyt jaskrawo. Dowodem tego świętokradztwa i morderstwa opisane choćby tylko w listach kapituły krakowskiej [2]. Lecz nic dziwnego, że p. L. milczeniem pomija tak liczne objawy nowatorskiej zaciekłości, bo zbyt on polega na powadze świadectw protestanckich. A przecież pisma takiego Wergeryusza lub Kalwina pełne są jadu nienawiści i potwarzy, pełne obłudy i fałszu [3]. Pomijamy zbrodnie zarzucane Lipomaniemu (str. 167 i 173), bo dowody ich opierają się na dokumentach sfałszowanych przez Wergeryusza. Z tegoż samego źródła zaczerpnął p. L. wiadomość o przychylności Tarnowskiego dla protestantyzmu (str. 179); tymczasem nawet katolicy zarzucają mu zbytnią surowość względem heretyków [4]. Pomijamy te i inne fakta jako zarzuty mniejszej doniosłości, lecz zaprzeczyć musimy plotkom Kalwina i Kuypera o Zygmuncie Auguście, które p. L. chce sprzedać za dobrą monetę. „Król mówi on (str. 228), bojąc się jawnie okazać swą sympatyą dla protestantyzmu, kazał Łaskiemu oznajmić przez innych, że on, król wkrótce pokaże, iż Bóg dlań więcej znaczy niż ludzie, nateraz zachęca Łaskiego, by dźwigał dalej dzieło religii. Na dru-

[1] Balmes. El Protestantismo comparado con el Catolicismo. 5. Edic. t. II. p. 140 sq.

[2] Korresp. Zebrzyd. nn. 867, 876, 877.

[3] Cantu t. IX. p. 294 i 296. Alzog Kirchengesch. p. 758.

[4] Koresp. Zebrzyd. n. 837. Orationes Consiliariorum Regni.

giej audyencyi r. 1557 król przez podkanclerza Przerembskiego oświadczył Łaskiemu, że chce wytrwać w wierze swych przodków. Co do wezwania Łaskiego przez szlachtę oznajmił, że tylko królowi przysługuje prawo wezwać kogokolwiek do reformowania Kościoła, nie zaś szlachcie. Łaski jednak był już przedtem uprzedzony, by nie zważał na tę odpowiedź wicekanclerza. W dwa dni potem król wezwał go na prywatną audyencyą i obiecał, że po wojnie inflanckiej, skoro nie będzie już miał rąk związanych weźmie się do reformy" (str. 229 i 230). Fałsz i obłuda była obcą szlachetnemu charakterowi Zygmunta. Czacki, który znał korespondencyą Łaskiego z Zygmuntem i wierne relacye ówczesnych nuncyuszów, zbija te zarzuty [1], a Szujski mówi o królu, „że rolę prawodawcy religijnego odpychał ze zgrozą, która pięknie świadczy o jego głębokości duchowej" [2]. Przytoczony przez p. L. list Zebrzydowskiego [3] i Instrukcya królewska dana Maciejowskiemu w poselstwie do Pawła IV., chociaż świadczy o spaczonych nieco pojęciach Zygmunta, nie dowodzi jednak chęci wyłamania się z pod zwierzchnictwa Rzymu lub wprowadzania reform na własną rękę, co jednak twierdzi p. L. na zasadzie protestanckich źródeł (str. 135, 7, 8). W Instrukcyi Maciejowskiego król prosi Papieża o przyspieszenie koncylium Trydenckiego, lub o pozwolenie na sobór narodowy, na którymby jednak przewodniczył legat papieski i rozstrzygał kwestye sporne [4]. Czyż na podstawie tej warunkowej prośby można obwiniać Zygmunta o protestanckie tendencye? Wszak Karol V. Augsburgskiem Interim (r. 1548) bez wiedzy Papieża dozwolił protestantom przyjmować komunią *sub utraque specie*, ich księżom zatrzymać żony i nieprawnie zagarnięte kościelne majątki. A któż go obwinia choćby o chwiejność tylko w katolickiej wierze?

Wreszcie p. L. pod wpływem tychże samych pism protestanckich, zbyt pobłażliwy sąd wydaje o polskiej reformacyi i jej koryfeuszach. Tak Antytrynitarzów nazywa „śmiałymi myślicie-

---

[1] Wiśniewski Pomniki hist. i lit. Rozprawy Czackiego t. IX. p. 17. ust. 33 i 37.

[2] Dyaryusze sejmów kor. z r. 1548, 1553 i 1570. Przedm. p. XIV.

[3] Koresp. Zebrzyd. n. 794.

[4] Dyuryusze sejm. kor. z r. 1548 etc. pag. 104—111.

lami“ (str. 211); biskupom zarzuca oszczerstwa rzucane na Jana Łaskiego, którego postępowanie nacechowane być miało „godnością i taktem“ (str. 228). Wrzekome potwarze biskupów były sprawiedliwem tylko oskarżeniem go w obec króla, że jako nominat wesprymski ożenił się (r. 1542) i jawnie już przeszedł do obozu heretyków. Trudno też dopatrzyć się godności i taktu w człowieku, który zaparł się swej wiary i narodowości[1]. Przecenia także p. L. wewnętrzną wartość helweckiego kościoła, tłómacząc konieczność jego upadku brakiem organizatora i środków materyalnych, oraz niepohamowaną arrogancyą szlachecką (str. 293). Przyczyna upadku kalwinizmu tkwi głębiej, bo w samem rdzeniu jego doktryny, której nieuniknionem następstwem musiał być rozkład i zgnilizna. Protestantyzm czy kalwinizm nigdzie się nie ostał swoją własną siłą, chyba, że go świecka władza za narzędzie polityczne użyła, jak to miało miejsce w Brandenburgii i indziej, a wtenczas przestrajał się w religią państwową, przestając być Kościołem w rzetelnem pojęciu tego słowa. Katolicki Kościół przeciwnie. On pomimo walk z potęgą cesarzów, mimo przekupstwa i skażenia obyczajów w IX., X. i XV. wieku, mimo takich niekiedy sterników jak Stefan VI., lub 18-letni Jan XII. pomimo niewoli Awinionskiej i schizm papieskich, pomimo herezyi, które tyle razy płomieniami swymi go ogarniały, nic nie uronił ze skarbów swej nauki, nie zachwiał się, w narzędzie zamienić się nie dał, lecz wyszedł czystszy jeszcze i silniejszy z tych nawałnic i gromów, co przez dziewiętnaście wieków wstrząsały jego posadami. Fakt ten uwzględnićby powinni ci, którzy jak p. L. religijne życie narodów opisują.

Bronisław Jasieńczyk.

---

[1] Dopiero po wygnaniu z Anglii i Niemiec pomyślał Łaski o powrocie do kraju, a umierając nawet modlił się po niemiecku.

Pesch. S. J. Die grossen **Welträthsel. Philosophie der Natur.** Erster Band str. 872. Herder Freiburg in Breisgau, 1883. 12 marek. *Institutiones philosophiae naturalis secundum principia S. Thomae Aquinatis* str. 752.

Od czasu do czasu pojawiają się dzieła, których sława naukowa rozszerza się daleko poza granice rodzinnej ziemi autora. Takie książki wychodziły niegdyś w języku łacińskim, a język ten czynił je wspólną własnością wszystkich narodów. Lecz gdy ta ustąpić musiała nowożytnym językom, stało się, że najcenniejsze dzieła tylko w kraju, w którym są wydane, pilnie bywają czytane, podczas gdy w krajach innych, dla trudności językowych, są mało tylko albo zgoła nieznane. Zapobiegając tej niedogodności ks. Pesch, ogłosił z pewnemi zmianami także po łacinie dzieło, o którem mówić chcemy. Pewne grupy zadań i problematów w naturze stały się dla współczesnych zagadnieniami, t. j. pytaniami, które wymagają raczej odgadywania, aniżeli ścisłego badania. Podnosi z nich te co najważniejsze, i zaraz na początku zaciekawia czytelnika. Punktem wyjścia jest dla niego filozofia scholastyczna, tyle osławiona przez dzisiejszą większość wykształconego świata! Mamy jednak nadzieję, że książka ks. Pescha zrehabilituje system filozofii, na którym kształciły się przez pół tysiąca lat całe pokolenia.

Ponieważ Kościół pielęgnowanie umiejętności zawsze za swoje uważał zadanie, przeto nie wyrzeka się i teraz żywego interesowania się niemi, choćby one pozornie od fundamentalnych kwestyj żywotnych i religijnych oddalały się. Interes ten bardziej jeszcze rośnie, gdy wyniosły duch XIX. wieku, walcząc przeciwko prawdzie, szuka w jednostronnie traktowanej umiejętności najgłówniejszych podwalin i niestety po części je znajduje. Kościół na ziemi jest wojującym. Z końcem XVIII. a w początkach XIX. wieku wystąpiła z nim do walki filozofia. Lecz gdy świat wykształcony tworami wyobraźni niemieckich myślicieli już się przesycił, wzięły obecnie nauki przyrodnicze przewagę. Zmieniono broń i pole walki, ale nie taktykę. Jak przedtem nadużywano filozofii, tak się teraz dzieje z naukami przyrodniczemi. To jednak nie powinno być powodem, abyśmy zamykali oczy na zdobycze rzetelnej wiedzy, do jakiej wielu sumiennych badaczów przy-

rody dojść potrafiło, gdyż najprostszy wywód fizykalny bez porównania większej jest wagi, aniżeli mnóstwo bez objektywnej treści zacofanych mrzonek filozoficznych, które swą nieudolnością na prawdziwą filozofią niesłuszną ściągnęły wzgardę. To też, nie bez pociechy widzimy, jak w ostatnich latach, pomimo nader nieprzyjaznych warunków, filozofia chrześcijańska postępuje naprzód, korzystając wiernie z rozwoju nauk przyrodniczych. Mężowie czysto chrześcijańskich zasad zasłynęli w rozmaitych gałęziach nauk przyrodniczych jako pierwszorzędne powagi. Znakomite dzieła w tym kierunku pojawiły się pod hasłem chrześcijańskich zapatrywań.

W niniejszem dziele zwraca autor uwagę czytelnika nie tyle na pewny oznaczony kierunek badań przyrody, jak raczej na loiczne wnioski, które ze znanych już badań przyrody koniecznie wyprowadzić należy, a które się po nad ten widomy świat przyrody daleko unoszą. Duch człowieka żądny wiedzy, nigdy się nie zaspokoi tem, co pod zmysły podpada, lecz szuka tego, co idealne. Nigdy nie zadowolni go szczegół, bo duch pragnie z uzyskanych rezultatów na cały wszechświat pogląd sobie wyrobić. Więcej aniżeli w poprzednich dziesiątkach lat uwydatnia się ta dążność znowu teraz, chociaż jeszcze nie wszyscy badacze przyrody i filozofowie potrafili się od zgubnego wpływu senzualistycznego prądu czasu zupełnie uwolnić. Nieraz już usiłowano wydrzeć ludzkości świat bytu nadzmysłowego, a świat ducha, jako rozumowi ludzkiemu nieprzystępny lub też jako wcale nieistniejący ogłosić. Niektórzy jednak badacze przyrody zrozumieli, że materyalistów mechanicznie poruszana materya nie jest zdolna rozwiązać kwestyi o naturze i znaczeniu wszechświata. Dlatego chwycili się idealistycznych mrzonek niemieckiej spekulacyi, a mianowicie Schellinga i Schopenhauera i sądzili, że pod zasłoną świata zjawisk odkryją myślącą monadę jaką. Empiryzm, materyalizm, monizm, oto trzy kierunki nowej filozofii.

Inaczej rzecz się ma z filozofią dawniejszą scholastyczną. Ona oceniwszy w człowieku całą wartość władzy poznawania, uważa widzialny ten, zmysłami dostrzegalny świat przyrody tylko za punkt wyjścia do badań, rozumowań i wniosków przekraczających granicę zmysłów, a sięgających do odkrycia najgłębszych przyczyn

rzeczywistego świata. W ten sposób wprowadził on ludzkość w świat metafizyki t. j. w świat nadzmysłowy; z postępem umiejętności przyrodniczych filozofia chrześcijańska utrwala się coraz bardziej, jako jedynie prawdziwa; ona bowiem tylko jest zdolną wszelkim wymaganiom myślącego ducha zadośćuczynić i wszelką sprzeczność pozorną usunąć. Tak więc ścisłe badanie przyrody, którem się słusznie wiek nasz chlubi, przyczynia się niepomału, mimo woli albo wbrew nawet woli samychże uczonych przyrodników do rehabilitacyi perypatetyczno-scholastycznej filozofii. Oto punkt zasadniczy niniejszego dzieła, to twierdzenie, którego się autor dowieść podejmuje.

Chcąc dowód swój przeprowadzić, musiał najpierw wykazać możliwość filozofii naturalnej (str. 10—158). Potem dopiero mógł rozprawiać o punktach stycznych pomiędzy filozofią naturalną a umiejętnościami przyrodniczemi i wskazać nam te fazy, jakiemi to, co zmysłami dostrzegalne, przeprowadza nas w świat nadzmysłowy (metafizyczny). W drugiej części swej pracy zajmuje się autor czterema zasadniczemi pojęciami umiejętności przyrodniczej: materyą, siłą, koniecznością i celowością. Część trzecia udowadnia niedostateczności nowszych systemów (mechanizmu i dynamizmu), zwraca także uwagę na anatomizm, który wcale nie jest systemem pewną przedstawiającym jedność. Następnie stawia autor system dawnej filozofii naturalnej, nad którą w czwartej części obszernie się rozwodzi. Na wyjaśnieniu praw przyrody, opiera pojęcie świata, które zamierza dopiero w drugim tomie bliżej rozwinąć.

Bogactwo źródeł naukowych, z których czerpał autor, świadczy o sumienności, z jaką usiłował przedstawić czytelnikowi stan kwestyj, aby mu jasny dać pogląd na słuszność i prawidłowość wyciągniętych wniosków. Kto miał sposobność słuchania kursów filozoficznych na jednym z niemieckich uniwersytetów, ten łatwo się przekona, że autor cytuje wiernie mnóstwo dzieł zupełnie w tym sensie, jaki piszący mieli na myśli. Chwalimy zwykle zbiorową pilność Niemców, lecz tu widzimy prawdziwie pracę olbrzymią, która dziesiątków lat wymagała. Bez żadnej niechęci dla zwolenników przeciwnej opinii, przedstawia autor rzecz całą przedmiotowo w nader jasnej formie, a wszechstronnej

jego erudycyi odpowiada bystrość i trafność sądu i nieprzeparta siła dowodów. Dzieło Jansena *Die Geschichte des deutschen Volkes* nazwano niezwykłem zjawiskiem; niniejsze ks. Pesch'a dzieło filozoficzne nie mniej jest godnem tej nazwy.

Wspomnieliśmy wyżej o drugiem dziele autora, o którem słów kilka tu załączamy. Są to:

Institutiones Philosophiae Naturalis secundum principia S. Thomae Aquinatis — str. 752, 7½ mark. Jak w XVIII. w. wirceburscy teologowie Towarzystwa Jezusowego wydali ośmiotomową teologią dogmatyczną, tak teraz postanowili dawni profesorowie kolegium w Maria-Lach wydać stosownie do encykliki Ojca św. z d. 7 sierpnia 1879 r. filozofią w 6 tomach. Każdy tom tworzy dla siebie osobną całość. Tom pierwszy, pióra ks. Pesch'a, znalazł we wszystkich krajach jak najżyczliwsze przyjęcie. Objętość jego pokazuje, że w szkole można go używać tylko pod kierunkiem profesora, któryby umiał oddzielić to co ważne i konieczne od tego co mniej niezbędne. W prywatnem zaś studyum ustępy większym i mniejszym odróżnione drukiem mogą służyć za wskazówkę, co bezwarunkowo jest potrzebnem, a co głębszym badaniom pozostawić można. Głównem staraniem autora jest udowodnienie, że nawet najnowsze zdobycze wiedzy służą do wzmocnienia starych sasad filozoficznych. Filozofia naturalna, jest wedle O. Pesch'a „umiejętnością traktującą o rzeczach przyrody wedle zasad metafizycznych", stąd dla lepszego rzeczy zrozumienia wprowadza autor w tok dowodów pewne kwestye z ontologii (str. 271, 357, 453, 474). Główne zasady kosmologii występują w formie t e z y. Argumenta podaje autor krótko i jasno w syllogizmach, tak, że wedle prawideł dyalektyki, może każdy sam badać ich siłę i łatwo sobie takowe przyswoić. Każdą tezę poprzedzają wedle metody scholastycznej św. Tomasza, t. z. *objectiones*, zarzuty, które stan kwestyi lepiej nieraz objaśniają, aniżeli długie wywody. Rozwiązanie zaś trudności, następuje dopiero w końcu tezy. Tak umiał połączyć O. Pesch metodę scholastyczną z ulubionym przez nowszych filozofów sposobem czysto wykładowym. Styl dalekim jest od wyszukanej elegancyi jak i od zaniedbania. Przedmiot podzielony na cztery księgi. Pierwsza o istocie ciał zawiera 6 rozpraw (str. 14—376); druga traktuje o własnościach

ciał w przyrodzie (do str. 540) w 7 rozprawach; w trzeciej księdze traktuje autor o tworzeniu się i niszczeniu świata przyrodzonego, a dając pogląd na nowe kosmogenetyczne teorye, a szczególniej na darwinizm (najlepiej obrobiona część tej księgi), wyjaśnia obszernie początek i stworzenie świata. W czwartej księdze rozwodzi się obszernie nad prawami przyrody w ogólności. Dodajmy do tego, że każda rozprawa (disputatio), składa się z podziałów czyli sekcyj, te zaś z paragrafów, a możemy mieć pojęcie o wybornie uporządkowanem i opracowanem dziele. Obszerny przegląd systemów filozofii naturalnej wszystkich czasów, począwszy od Sankhya i La-o-tse, aż do Helmholtza, i dokładny spis rzeczy (str. 730—752) zaleca książkę podwójnie.

Jeżeli następne tomy będą podobne pierwszemu, całe dzieło zajmie w literaturze filozoficznej bezwątpienia niepoślednie miejsce.

X. A. Arndt.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

Rozmyślania majowe o tajemnicach Różańca N. M. P. napisał *Ks. Józef Krukowski* D. S. T. etc.

Przedmiotem tych czytań, jak to sam tytuł wskazuje, są tajemnice Różańca św., którego nabożeństwo w ostatnim roku Ojciec św. tak gorąco światu katolickiemu zalecił. Zasłużony autor nie ograniczył się jednak na samym wytłómaczeniu tajemnic i poszczególnych cnót, jakie się w każdej z nich głównie przebijają, ale zwracając uwagę na stosunki i potrzeby czasów w których żyjemy, rozsiał w całej książeczce pełno zdrowego ziarna, praktycznych wniosków i nauk, które nietylko uczą cnoty, ale i zachęcają do niej, nietylko wskazują błędy, ale i przekonują, jak to nabożeństwo Różańca św., które niegdyś tak zbawiennie społeczeństwo chrześcijańskie odrodziło, i dziś je uleczyć może. Do każdego rozmyślania dodał autor krótki przykład, zachęcający do nabożeństwa różańcowego, wybrany z czasów nam najbliższych, interesujący a często nawet rzewny, jak np. ów o różańcu jako tajemnicy, albo o żołnierzu z różańcem. To wszystko czyni tę książeczkę nader pożyteczną, a oraz miłą do czytania. Szkoda tylko,

że rozrywają umysł czytającego dość częste błędy drukarskie i niezwyczajne, a przeto niezrozumiałe skracenia jak: *Xn.* zamiast chrześcijanin, *Xtus,* zamiast Chrystus, *NN.* zamiast Najmilsi i *M.* zamiast Marya i t. p. Jedno i drugie usunięte zostało w drugiem wydaniu, które dopiero co opuściło prasę.

Die Pflanzenwelt als Schmuck des Heiligthumes und Frohnleichnamsfestes, von *Rütter.* Mit 53 Abbildungen. 152 str. Regensburg, Pustet. 1883. 1 marka i 40 fen.

Katolicyzm wyróżnia się od protestantyzmu w zewnętrznych zwyczajach tem przedewszystkiem, że podając podnietę zmysłom człowieka wznosi jego serce do Boga. Dlatego wydał Kościół przepisy co do przystrajania kwiatami ołtarzy (rozd. 6.). Przepisów takich nie ma wiele, ale za to jest w nich wybór tego, co najpiękniejsze i co najwznioślejsze tak, że każde od nich zboczenie jest obrazą uczucia i zmysłu piękna.

Autor w pierwszych rozdziałach rozbiera i historycznie wyświeca pogląd na rośliny o których wspomina pismo święte, zastanawia się nad symboliką świata roślinnego, nad mową kwiatów, nad stosownością ozdabiania nimi świątyń, w następnych zaś rozdziałach daje praktyczne wskazówki. W drugiej części wchodzi w szczegóły, a opisując ważniejsze rośliny, o których wspominał, mówi też o ich pielęgnowaniu, aby w pewnych świętach roku kościelnego można je użyć do ozdoby. Polecamy tę książkę wszystkim proboszczom jako najlepszy poradnik w tym względzie.

Leben der Ehrwürdigen Mutter Magdalena Sophia Barat und Gründung der Gesellschaft des heiligsten Herzens Jesu, von *Baunard.* Regensburg. Pustet. 735 str. 4 marki 60 fen. 2. nakład. 1884.

Lepiej aniżeli jakakolwiek krytyka z naszej strony przemawiają za niniejszem dziełem listy polecające i pochwalne jednego kardynała i trzynastu biskupów. Angielskie, hiszpańskie i włoskie tłómaczenia doczekały się już wielu wydań; do polskiego przekładu, niestety dotąd jeszcze nie przyszło, lubo, jak to wiemy na pewne, rękopis przekładu skończony, ale nie wykończony jeszcze, niedostaje mu ostatniej ręki. Osobistość, jaką rzadko narody i wieki oglądają, występuje tu na scenę w skromnej sukni zakonnej. W dniach wielkiej rewolucyi powstaje zakon poświęcony czci najświętszego Serca Jezusa. Założycielka jego jest uboga wieśniaczka ur. 1779 w Ivigny w Francyi, ale przez brata swego, który się stanowi duchownemu poświęcił, wysoce w naukach i cnocie wykształcona. Początki ascetycznego życia odebrała w Paryżu, przy pomocy najprzód swego brata, a potem Ojców wiary (Pères de la Foi), złożyła wraz z kilku innemi towarzyszkami pierwsze śluby zakonne 1800 r. Obok czci najsł. Serca Zbawiciela Pana, obok własnego uświątobliwienia, ma zgromadzenie to na celu kształcenie panienek nietylko z domów zamożnych ale i uboższych

na zasadach katolickich. R. 1818 założono pierwsze domy w Ameryce, dzisiaj zgromadzenie to liczy blisko 5.000 osób w różnych częściach świata. Wna Matka Barat aż do chwili swej śmierci (1865 r.) była duszą zgromadzenia, na ośmiu generalnych kongregacyach zakonu ułożyła i sformułowała wybornie regułę i przepisy dla niego. Zupełne zapomnienie o sobie, zaparcie siebie a oddanie i wylanie się na służbę Bogu i pomoc bliźnim, oto duch ożywiający tę regułę. Prałat Baunard w francuskiej swej biografii o Matce Barat dotknął tylko z lekka historyi domów zakonnych w Niemczech i na ziemiach polskich, w niemieckim przekładzie uzupełniono w części te braki.

Leichtfassliche Predigten auf alle Sonn- und Festtage des Herrn, von *Dr. J. Riedl*, Protonot. Apost. Erster Band 1 fl. 80 kr. Moser (Meierhoff) Graz. 1884.

Gazeta ludowa w Gorycyi nazywa autora zmarłego dopiero w r. 1876 kolumną kościoła Sekawskiego. Tom pierwszy tego dzieła zawiera kazania niedzielne częścią moralne, częścią dogmatyczne, w których rozbiera gruntownie artykuły wiary i odpowiada trafnie na zarzuty naszego wieku. Rozkład jest wszędzie jasny, przeprowadzenie rzeczy tak dla wykształconych, jak i dla mniej umiejętnych zajmujące. Każde zdanie zmierza do wytkniętego celu, żadne nie wychodzi poza obręb założenia. Autor pomimo zakroju racyonalnego w swych kazaniach przytacza pismo święte często a zawsze stosownie do rzeczy; kończy zaś kazania zręcznie, lecz z wielką rozmaitością, nie życząc zawsze na końcu żywota wiecznego.

Twierdzenie autora w kazaniu na 18 niedzielę po Świątkach (zobacz str. 114): „Nieodzownym warunkiem do odpuszczenia winy w spowiedzi, jest poprawa życia“; nie zdaje nam się być dogmatycznie pewne — stąd też druga część tego kazania, która udowadnia to zdanie, powinnaby być przerobioną. (Porównaj św. Tomasza III. qu. 84 a. 10 ad 4. i *Gury, Theolog. moral.* II. pag. 604 w VII rzymskiem wyd. Nota O. Ballerini ego.

Zresztą kazania te możemy sumiennie zalecić i spodziewamy się wkrótce ujrzeć ich dalsze tomy.

Liberalismus in der Theologie und Geschichte von Prof. *Dr. Schroeder*. Trier. Paulinusdruckerei 1883. 2 marki.

Dzieło to daje wyborną krytykę często używanego podręcznika historyi kościelnej profesora Dra Krausa. Również pełnymi wartości są na wyrokach Papieży oparte wywody o stosunku historyi kościelnej do dogmatu w studyum teologii. Dla tych właśnie wywodów polecamy to dzieło także tym, którzy mniej może są obznajomieni z historyczną szkołą Döllingera.

Z dzieł historycznych.

Materyały historyczne z archiwum kijowskiego gubernialnego Zarządu. Zebrał i ułożył *Al. Andrejewskij*. Kijów. Zeszyty IV. i V. 1882 i 1883 r.

Z kijowskiego archiwum gubernialnego wyszło już pięć zeszytów aktów i dokumentów tam się znajdujących. Wydawca stara się w każdym zeszycie grupować materyał pokrewny sobie treścią. 4-ty zeszyt zawiera wszelkie spory i sprawy pograniczne pomiędzy Polską i Rosyą w drugiej połowie w. XVIIIgo. Pierwsze miejsce w tym dziale zajmuje sprawa rozgraniczenia Polski od Rosyi w latach 1782—84. Są tam rozmaite doniesienia, raporty, sprawozdania komisarzy rosyjskich, jakoteż opis granicy polsko-rosyjskiej od ujścia Taśminu do Dniepru, aż po granicę gubernii białoruskiej przy ujściu Soży do Dniepru, koło miasteczka Łojewa. W drugiej swej części zeszyt 4ty zawiera sprawy „Komisyi pogranicznej“, złożonej z komisarzy tak polskich jak i rosyjskich, rozstrzygających wszelkie spory, zażalenia i krzywdy obustronnych poddanych.

W liczbie spraw rozbieranych przez „Komisyą pograniczną“, jest skarga metropolity kijowskiego Tymoteusza Szczerbackiego, przeciwko ks. Lubomirskiemu, z powodu zaboru mienia kościelnego i klasztornego monasteru lebedyńskiego. Komisya w sprawie tej odbywała swe posiedzenia w miasteczku Motowiłowce w latach 1732—58.

Prawie połowę zeszytu 5tego, zajmują sprawy wynikłe z powodu napadów hajdamackich w r. 1751—52, a następnie idzie dalszy ciąg czynności „Komisyi pogranicznej“. Wyprawy hajdamackie organizowały się zwykle na terytoryum rosyjskiem, w okolicach Kijowa, a posuwały się niekiedy daleko w głąb krajów polskich, najczęściej na Polesie wołyńskie. Najgłośniejszą była wyprawa hajdamaki Bazylego Sieraho, której towarzyszyli kozacy siczowi. Banda jego staczała kompletne walki z oddziałami wojska polskiego, zabierała ogromne łupy z ekonomij królewskich, a w końcu szczęśliwie wracała z nimi w stepy. Na uwagę zasługują również dokumenta dotyczące tych Polaków, którzy w ciągu w. XVIII. przyjmowali poddaństwo rosyjskie lub przynajmniej udawali się do Rosyi, celem szukania tamże korzystnych posad. *Sulima.*

Metropolita kijowski Piotr Mohyła. Przez *S. P. Gołubiewa*. T. Iszy. Kijów 1883.

Jak tytuł powyższy wskazuje, praca ta — obejmująca obszerny tom o 1225 str., których połowę zapełnia materyał historyczny — jest poświęconą jednemu z najżarliwszych obrońców dyzunii w ziemiach ruskich i najzasłużeńszemu około kościoła wschodniego metropolicie kijowskiemu. Tom Iszy tego dzieła obejmuje stosunkowo nieznaczny okres działalności Piotra Mohyły — do otrzymania godności metropolitalnej włącznie. Tom 2gi obejmie i zakończy jego działalność na tem najwyższem stanowisku w Kościele ruskim. Autor gromadził źródła historyczne do tego okresu

i do jego najwybitniejszego przedstawiciela wśród Rusi dyzunickiej: Petersburgu, Moskwie, Warszawie, Lwowie i Krakowie.

Najwięcej zajęcia zdolne obudzić ustępy, poświęcone stanowi oświaty na Rusi w końcu XVI. wieku, stosunkom religijno-moralnym społeczeństwa ruskiego w chwili wystąpienia P. Mohyły na widownię dziejową, dalej usiłowaniom pojednania unitów z dyzunitami i pracom soborów: dwóch kijowskich z r. 1627 i 28, grodeckiego z r. 1628 i lwowskiego z r. 1629.

Pan Gołubiew przyznaje niezmiernie wielkie znaczenie i wpływ metropolicie na dzieje narodowości ruskiej i dyzunii pod berłem polskiem, jako to: przywrócenie i potwierdzenie wielu dawniejszych praw i przywilejów kościoła wschodniego, uzyskanych jego staraniem; założenie w Kijowie wyższej szkoły, wywierającej następnie wielki wpływ na rozwój oświaty nietylko na Rusi, ale i w państwie moskiewskiem; dźwignięcie z ruin najstarożytniejszych cerkwi; poprawienie ksiąg liturgicznych, puryfikacya i zaprowadzenie pewnej jednostajności w obrządkach cerkiewnych; ułożenie słynnego trebnika i katechizmu. *Sulima.*

Historya cerkwi rosyjskiej przez *Makarego,* metropolitę moskiewskiego i kołomeńskiego. T. XII. i XIII. Petersburg 1883.

Tom XII i początek XIIIgo są rezultatem ogromnej pracy i wytrwałości wysokiego dostojnika cerkwi prawosławnej. Śmierć nie pozwoliła mu dokończenia tego dzieła doprowadzonego tylko do r. 1667. Tomy XII i XIII obejmują przeciąg czasu od r. 1652 do 1667, co może posłużyć za miarę obszernego traktowania przedmiotu. W nich najwięcej miejsca zajmuje reforma kościoła prawosławnego, dokonana przez patryarchę Nikona, i jej następstwa. Poprawienie bowiem tekstu ksiąg cerkiewnych sprowadziło t. z. rozkoł, czyli schyzmę w kościele państwowym. Autor starannie umie zużytkować źródła historyczne, ale nie sięga zbyt głęboko i nie odsłania w całej rozciągłości tła dziejowego, na którem mogły powstać i rozwinąć się tak ważne wypadki, jak np. rozbicie jedności kościelnej.

„Historya cerkwi rosyjskiej" zajmuje się również i stanem dyzunii na Rusi, pod panowaniem Polski. W chwili przejścia Ukrainy pod panowanie Aleksego, metropolita Makary nie widzi bynajmniej tej radości ani u duchowieństwa wyższego ani nawet niższego, jakiejby należało się spodziewać po połączeniu się z jednowierczą Rosyą. Owszem wszędzie uderza chwiejność i niepewność w sposobie myślenia. Tak n. p. metropolita kijowski, Sylwester Kossow, współcześnie prawie z krasomówczem powitaniem wojsk moskiewskich w Kijowie, przesłał protest do grodu łuckiego, w którym powiada, iż metropolita i całe duchowieństwo tylko przemocą zmuszeni, zdecydowali się na krok nieprawy i złożyli przysięgę carowi moskiewskiemu; że metropolita i całe duchowieństwo pragną widzieć swym panem nie kogo innego jeno tylko króla polskiego.

Podobne zachowanie się i usposobienie duchowieństwa, jako też

opór i zatargi metropolity z władzami moskiewskiemi, stara się autor wyjaśnić najpierw niepewnością o jutro i niewiarą w powodzenie oręża rosyjskiego; dalej obawą o utratę prawa elekcyi dostojeństw duchownych, które w Rosyi były rozdawane z woli carskiej; nareszcie wzmagającem się przekonaniem, że metropolia kijowska pierwej lub później przejdzie z pod zwierzchnictwa patryarchy konstantynopolitańskiego pod władzę patryarchy moskiewskiego, coby nietylko ograniczyło dotychczasową samoistność Cerkwi ruskiej, ale z czasem pociągnęłoby różne zmiany w zwyczajach i obrządkach kościelnych.

Sulima.

Antoni Zygmunt Helcel, przez *Henryka Lisickiego* Lwów 1882 t. I. str. X. i 390., t. II. str. 397.

W ciągu lat niewielu wzbogacił p. Lisicki literaturę naszą dwoma poważnemi treścią i objętością dziełami. Zaledwo czasu starczyło przeczytać czterotomową biografią margrabiego Wielopolskiego, a już dostał się do rąk dwutomowy życiorys ś. p. Antoniego Zygmunta Helcla. Niestety Dziennik i powieść wytrąca coraz bardziej z ręki czytającej publiczności poważną książkę. Życiorys Helcla pomimo że od lat dwóch opuścił prasę a cenzury rosyjskiej uzyskał aprobatę, zaledwo w stu kilkudziesięciu rozeszedł się egzemplarzach. Puścić jednak w niepamięć niegodzi się książek takich, jak biografia Helcla; dlatego przypomnieć ją chcemy czytelnikom naszym, tem bardziej, że tylko w kilku konserwatywnych pismach spotkać się można było z mniej lub więcej krytyczną wzmianką o niej. Ściśle rzecz biorąc, Antoni Zygmunt Helcel, zwłaszcza w pierwszej swej części, nie jest ani życiorysem ani monografią, jest to raczej pamiętnik ostatnich lat 50 życia narodowego pod obcymi rządami, pamiętnik tem ciekawszy, że niespisany przez naocznego świadka, który mógłby z poetą rzymskim powiedzieć: *quaeque ipse miserrima vidi, quorum pars magna fui* (Aeneidos lib. 2.), a jednak pamiętnik dosyć wierny, bo na autentycznych świadectwach współczesnych oparty. Zasługa to niepospolita p. Lisickiego, zwłaszcza w dobie naszej, gdzie nierzadko młode niedouczone umysły, którymby pióro należało zamienić na książkę, rwą się do autorstwa — że nie lenił się rozczytywać w źródłach i nie skąpił podać ich w swych dziełach. Podobnie jak życiorys, albo raczej apologia margr. Wielopolskiego, zamknięta w jednym tomie a trzy następne zawierają tylko same dokumenta i wyjaśnienia, tak życiorys Helcla prawie do połowy naszkicowany oryginalną korespondencyą i dokumentami. Inną równie piękną zasługą p. L. jest troskliwość o nadobność, wdzięk i poprawność stylu, rzecz, o którą wielu nawet sumiennych pisarzy nie troszczy się wcale. Nareszcie trzecia, zdaniem naszem, najwyższa zasługa, że miał odwagę cywilną wykazać jawnie, dowodnie i dosadnie całą polityczną niedorzeczność i moralną nicość a tem samem zgubność teoryj rewolucyjnych, którym hołdowali, albo się posługiwali nimi niemal wszyscy głośni w ojczyźnie ludzie od Lelewela aż do p. Jana Dobrzańskiego i jego

towarzyszy. Rzadka to u nas Polaków cnota, odwaga cywilna, prawie wszyscy, którzy się na nią zdobyli, narazili się na krzyki i krzywdzące sądy współczesnych i dopiero *sera posteritas* oddała im sprawiedliwość, ale oni już wtenczas w grobie spoczywali. Nie uszedł tych krzyków i sądów niezawsze sprawiedliwych i p. Lisicki, tem bardziej, że do tej cnotliwej odwagi cywilnej przymieszało się nieco goryczy, gryzącego sarkazmu i tej cierpkości, która chyba tylko drugich w cnocie ćwiczy, ale sama cnotliwą nie jest. „Brak miłości“ w pisaniu zarzucił mu najszlachetniejszy jego krytyk a podobno i przyjaciel p. Paweł Popiel, ten sam, który na czele swej krytyki wypisał mu najpochlebniejszą a dobrze zasłużoną pochwałę: „Książka, którą Henryk Lisicki pod godłem Zygmunta Helcla napisał, pozostanie nietylko jako zasługa w literaturze, ale jako czyn piękny i dla kraju użyteczny; aby taką książkę napisać, potrzeba zdrowego umysłu, czystego sumienia i cywilnej odwagi“. [1]

Bądźmy jednak wyrozumiałymi. Nawet obojętny i wcale nie nerwowo usposobiony czytelnik, rozpatrując się w źródłach i dokumentach przytoczonych przez p. L., prawie przy każdym nowym a wymownym dowodzie niesłychanej lekkomyślności i politycznej niezdarności wykrzyknąć musi; *difficile est satyram non scribere*, trudno nie pisać satyry, cóż dopiero autor, który nietylko długie miesiące rozczytywał się w onych niesławnych dokumentach, ale je przemedytować i przetrawić musiał, skoro z nich ułożyć chciał jednolitą a kształtną całość? Niepodobna prawie, po ludzku mówiąc, aby się w nim nie wyrobiła pewna dozis goryczy, która w gryzącym złośliwym dowcipie szukała upustu dla siebie. Wolelibyśmy, aby owa *charitas quae cooperit multitudinem peccatorum*, pokryła mnogość tej goryczy, ale znów nie myślimy stąd poczytywać autorowi wielki *crimen*, że czuł żywo co pisał, tem bardziej, że w onem drugiem dziele o A. Helclu ten „brak miłości“ nie występuje tak jaskrawo, jak w apologii margrabiego.

Na tem ograniczamy nasze ogólne uwagi, a teraz przystępujemy do streszczenia tej bądź co bądź szacownej pracy.

W skreśleniu żywota Helcla, postawił sobie autor za cel przedstawić jedną z nielicznych postaci „wyznawców myśli konserwatywnej polskiej, jednego z najpierwszych przodowników zachowawczej polityki w naszym narodzie“. Biografia Helcla miała być naturalnem dopełnieniem biografii przyjaciela jego i mistrza Wielopolskiego, do czego ten dążył na szerszej widowni, do tego samego dążył tamten pracą cichą ale niemniej wytrwałą a bodaj czy nie obfitszą w skutki. Podobnie jak postać margrabiego rysuje się na tle współczesnych nam dziejów, tak i postać Helcla uwydatnia się na tle obszernie skreślonych wypadków z 1846 i lat następnych.

W pierwszym rozdziale zaznajamia nas autor z dzieciństwem i młodemi latami Helcla. Skończywszy wcześnie uniwersyteckie

[1] Przegląd polski r. 1882.

studya, puścił się Helcel za granicę, lecz skoro tylko dowiedział się w Paryżu o powstaniu listopadowem, pośpieszył czemprędzej do Warszawy i jako prosty żołnierz zaciągnął się do szwadronu jazdy poznańskiej. Uczestniczył w bitwie pod Grochowem; w listopadzie 1831 r. wrócił do Krakowa, gdzie niebawem wszedł w związki małżeńskie. Kraków tworzył naówczas „wolną, niepodległą, ściśle neutralną“ rzeczpospolitą, biedną pod względem materyalnym, niewierzącą w siebie i w której trwałość mało kto wierzył. „Poeci polityczni“ wypracowali konstytucyą dla nowej rzeczypospolitej; komisarze dworów czuwać mieli, żeby się nie stała bezpieczną przystanią dla wszystkich spisków i spiskowców. Co najgorsza, przy samem już układaniu konstytucyi nie było zgody: sejm kłócił się z senatem, senat zanosił apellacye do cesarza Aleksandra. Zamięszanie panujące w całej rzeczypospolitej wkradło się i do Akademii, dbałej bardzo o swe przywileje i wpływy, ale mniej dbałej o postęp w umiejętnościach. Skoro Helcel rozpoczął starania o pozwolenie miewania prywatnych wykładów, dziekan wydziału prawnego zaproponował mu wykłady historyi prawa polskiego w języku francuskim, według innej wersyi, wykłady prawa francuskiego. Po roku docentury odebrano Helclowi katedrę. Natomiast zabrał się Helcel, wśród niezliczonych trudności, do wydawania Kwartalnika naukowego. Jednym z głównych celów Kwartalnika miało być rozpowszechnienie niemieckiej filozofii, którą, z wielką swoją szkodą, Helcel zbytnie przesiąkł, jak przesiąkł stylem i zwrotami niemieckimi. Po dwóch latach Kwartalnik przestał wychodzić dla braku piszących i czytających. Lżejszego pisma peryodycznego Radegast, wyszedł tylko ciekawy prospekt. Ważniejszą była praca: Rys postępów prawodawstwa karnego, którą Helcel wydał w własnej drukarni.

Po krótkiej niefortunnej próbie gospodarki, wrócił Helcel do rozpoczętego już dawniej zbierania starych dyplomów. Owocem tej pracy był Kodeks dyplomatyczny, wydawnictwo podjęte wespół z Leonem Łubieńskim, Rzyszczewskim i kilku innymi. Helcel dostarczył objaśnień do pierwszego tomu kodeksu i do części drugiego; dalszej pracy stanęła na przeszkodzie ciężka choroba, a przedewszystkiem wypadki r. 1846.

W następnych dwóch rozdziałach IV. i V, daje autor pogląd na propagandę rewolucyjną w Polsce i jej bezpośrednie następstwo: na demokratyczne rozruchy z r. 1846, których strasznym epizodem była rzeź galicyjska. Są to bezwątpienia dwa najlepsze ustępy z tej cennej pracy. Polska młodzież naśladowała zagranicznych wolnomularzy, bawiła się w spiski i emissaryuszów a paryskie „Towarzystwo demokratyczne“ wszczepiło jad zasad socyalistycznych w zdrowy dotychczas pod tym względem organizm polski. Wobec tych anarchicznych usiłowań, zwolna i pomału rozwijała się „konserwatywna myśl polska“ (rozdział VI), głównie pod tchnieniem Wielopolskiego i Helcla. Helcel stanąwszy na gruncie szczerze katolickim wychodził z zasady, że Polska upadła

w skutek nieporządku i nieposłuszeństwa prawom Bożym, i że tylko w bezwzględnej uległości tym prawom szukać należy ratunku. Gorączka r. 1848 nieowładnęła nim bynajmniej; żeby nie dać się porwać burzą wypracował wespół z Wielopolskim projekt konfederacyi dla osiągnięcia niepodległości dawnej Polski na drodze legalnej, projekt, który jak tyle innych wpadł w wodę wobec cisnących się tymczasem nowych wypadków: jak zbrojna poznańska ruchawka, rewolucya wiedeńska, bombardowanie Lwowa.

Ze zjazdu wrocławskiego wyniósł Helcel najsmutniejsze wrażenia; na zjeździe słowiańskim w Pradze budował wielkie nadzieje, a myśl federacyi słowiańskiej pod koroną Habsburgów, bardzo mu się uśmiechała. Wszystkie te nadzieje i plany zakończyły się rozwiązaniem sejmu kromierzyckiego, w którym uczestniczył Helcel, jako poseł krakowski. Ostateczny ten wynik „niechęci rządu i nieudolności sejmujących“ nie zdziwił Helcla, owszem przewidywał go już dawno. Odtąd na lat dziesięć usunął się zupełnie od życia publicznego, pracując natomiast wytrwale nad wydaniem Pomników prawodawstwa polskiego i zwracając pilną uwagę na wszystko, co mogło znowu popchnąć kraj na nieszczęsne tory rewolucyi. (Roz. X.)

Dziesięcioletnią tę ciszę przerwały następstwa wojny włoskiej. Monarsze rozporządzenia nadające pewną autonomię pojedynczym prowincyom istniały na papierze, ale żeby je „ogłosić i wykonać“ o to dopiero Polacy musieli mozolnie się dobijać. Pomiędzy innymi wystąpił i Helcel z broszurą „O kwestyi językowej“ i wypracował adres do ministra stanu Schmerlinga, który też w imieniu całego kraju został mu wręczony. Minister odpowiedział, że wyrażone w adresie życzenia zbada i uwzględni. Czy były zbadane, to trudno powiedzieć; co pewna, to, że uwzględnione nie zostały.

Mandat na sejm do Lwowa, przyjął Helcel z pewnem niedowierzaniem i nieufnością, przyjął jedynie dlatego, że uchylić się od tego obowiązku nie pozwalało mu sumienie. Tymczasem w Warszawie coraz to nowe konspiracye i demonstracye mąciły pojęcia, burzyły umysły. Helcel nie wiedząc dlaczego i jak Wielopolski przyszedł do władzy, bronił jednak przyjaciela a korzystając z pierwszej wolnej chwili popędził do Warszawy. Ale Wielopolski nie zwierzył się przed nim z niczem, a Helcel, z pewnem uczuciem żalu, tego samego jeszcze dnia odjechał do siebie z postanowieniem robienia co można, byle zapobiedz zgubnym ruchom. Dalsze wiadomości o warszawskich manifestacyach dochodziły go do Wiednia, dokąd pojechał w delegacyi do Rady Państwa, i „stały kością w gardle“. Margrabia chciał jeszcze ściągnąć przyjaciela do Warszawy i polecić mu organizacyą szkół i uniwersytetu, ale złamany na ciele a po części i na duchu Helcel odmówił. Dla pociechy, wśród coraz nieznośniejszego stanu rzeczy, zakopał się w pracy naukowej, obok której jednak nie przestawał zwracać bacznego oka na toczące się sprawy. W ostatnich

miesiącach 1865 wygotował na własną rękę dla hr. Belceredego, obszerny memoryał „O stosunkach i usposobieniach politycznych głównych klas ludności i ogółu“ w Galicyi. Był to ostatni większej wagi czyn polityczny Helcla.

Od wojny pruskiej i pamiętnego adresu sejmowego z r. 1866 Galicya weszła na drogę, na której Helcel zawsze pragnął ją widzieć. Lat jeszcze cztery pracował z młodzieńczym zapałem nad Pomnikami prawodawstwa polskiego i siłą ducha podtrzymywał coraz słabsze ciało. Ufał silnie, że Bóg nie zabierze go z tego świata, dopóki rozpoczętego dzieła nie skończy. Napady na krakowskie klasztory w 1869 wstrząsnęły nim i wlały nową siłę do działania. Na projekt adresu, domagającego się wypędzenia z Krakowa wszystkich zgromadzeń zakonnych, odpowiedział projektem „Protestacyi“ i założył stowarzyszenie pod nazwą „Warownia krzyża“, mające na celu obronę katolickich interesów w naszym kraju. Do stowarzyszenia przystąpiło niewielu i zaledwie przeżyło ono śmierć swego założyciela. Na kilka godzin przed śmiercią przeglądnął jeszcze ostatni arkusz druku Pomników. Umarł spokojnie, opatrzony pociechami religii, o której zwykł był powtarzać: „Wiele ksiąg przeczytałem, wielem rozmyślał i tylko w religii katolickiej znalazłem spokój i szczęście“.

W obszernym dodatku przy końcu drugiego tomu (str. 293 do 397) umieszczono mało dotychczas znane a cenne pismo Helcla z 1846. „Briefe eines polnischen Edelmannes an einen deutschen Publicisten über die jüngsten Ereignisse in Polen und die hauptsächlich bisher nur vom deutschem Standpunkte betrachtete polnische Frage“.

Oto treść dwutomowej biografii równie bogata jak pouczająca i dlatego zachęcić powinna do zapoznania się bliżej z samemże dziełem. *S. Z.*

Z dzieł literackich.

Mieczysław Romanowski. Poezye. Zebrał i ułożył *Jan Amborski*. Tom I—IV. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1883.

Poezye Romanowskiego z pierwszej epoki zawodu pisarskiego, umieszczane w *Nowinach*, *Dzienniku Literackim* i *Dzwonku*, pismach wychodzących we Lwowie, również w *Ruchu Literackim* i *Czasie*, należą do rodzaju tych pieśni, które z chwilą urodzenia przebrzmiały budząc zajęcie względne z niejednolitym wyrazem powodzenia. Jedni podziwiali w nich formę pełną zalet, drudzy prześcigali się w pochwałach co do wyrazu czucia prawdziwego, którego źródłem była czysta w religijnym rodziców domu zaprawiona młodość poety, wierząca w sny i ich urzeczywistnienie, piękna i zasobna w pomysły niedających się zrealizować ideałów. Znaleźli się i tacy, którzy wyszedłszy z krainy marzeń do przy-

bytków rozumu, a ci byli doradcami młodego poety — w sądzie swym okazali się dla niego mniej pobłażliwymi i uznając talent rzeczywisty, karcili pochopność zbytnią Romanowskiego do przetwarzania chwilowych wrażeń na nutę o jak najróżnorodniejszej skali tonu, czyli inaczej mówiąc, karcili uniwersalny kierunek i ów liberalizm w wyborze przedmiotowym. Sąd ten mentorów, do których Szajnocha należał, był dla młodego poety zanadto poważny, za surowy może. Romanowski był młodym, miał serce tkliwe, brzemienne uczuciem gorącem dla rodziny, dla kraju i jego losu, a w towarzystwie natchnienia również szczerego złożyło się ono na wiązankę poetyczną dość sporą, przeważnie w I. tomie zawartą; najistotniejszą jej krasą i zaletą jest prawda, którą poeta głosząc w pieśni, w życiu uczynkiem a na polu walki ofiarą życia własnego zatwierdził. W tym obfitym zbiorze pierwszych poety rymów znajdzież całą skalę uczuć ludzkich, serca najdrobniejsze ledwo dosłyszane tony, na przemian wesołe i tęskne, to marzące i pełne rezygnacyi i jak w kalejdoskopie przesuwają się blaski złudnych nadziei i wierzących marzeń, iż trudno uchwycić cechę charakteryzującą kierunek poety, któremu służył. Jestto talent wielostronny, lecz młody niekrępujący się z góry obmyślanym materyałem przedmiotowym, wolny jak ptak, co buja wśród przestworza niebacząc dokąd i za czem leci, nieoglądając się na towarzyszów, kieruje i oznacza drogę lotu sam bez względu na to, jaką obrali poprzednicy i koledzy po lutni. Romanowski jest przedewszystkiem oryginalnym, nie należy do żadnej szkoły literackiej, sam sobie był szkołą. Oryginalność ta obok talentu nie jest bez znaczenia i chociaż mu zbywa na precyzyi i wykończeniu plastycznem wytwarzanych ideałów, to jednak przyznać należy, iż w poezyach swoich wzrósł on ponad początki pokrewnych mu duchem pieśniarzy współczesnych, nabierając niepospolitej siły i prostoty wyrazu w poezyach większego zakroju, które tworzył później, a które wydawca w 2-gim tomie chronologicznie zebrał i zestawił.

Jego: *Skarb Watażki*, *Chorąży*, *Dziewczę z Sącza*, są to w rodzaju Pola z werwą i staroszlacheckiem zacięciem opowiedziane dzieje ludzi i ich przygód. Talent poety zmężniał, nabrał hartu i otrząsnąwszy się z chwilowych przelotnych marzeń, zakreślił sobie drogę szerszą, na której bujał samodzielnie pod wrażeniem uczuć czystej miłości swego kraju, nie mogąc i na chwilę zaprzestać czuć i myśleć o tych przeszłych dziejach i ich przedstawicielach. Te rycerskich przygód opowiadania były prologiem do pracy poważnej, na źródłach zamrocznych dziejów Polski osnutej. Mam tu na myśli *Popiela i Piasta*, tragedya w 5 aktach, która stała się właściwą podstawą znaczenia w świecie literackim i zamieniła owe półgłosy odzywające się z okazyi jego początkowych poezyj w przeciągły, jednobrzmiący wyraz uznania niepospolitego talentu dramatycznego i źródłowej znajomości ojczystych dziejów, w czem bezwątpienia najsilniejszym motorem i sędzią był Szajnocha, przepowiadający

nowemu szermierzowi sztuki dramatycznej wielką przyszłość.

Tom 4-ty zawiera również poezyę ulotne, okolicznościowe, dotychczas nieznane, z pośmiertnej teki wyjęte, albo od kolegów zmarłego zebrane, które dzięki umiejętnej i żmudnej pracy wydawcy, złożyły się na wianek dość bogaty, obfitujący obok nikłych, polnych kwiatów, w pełne, jasne i woniejące, które wabią oko widza i barwnością koloru i kształtem estetycznym zachwycają.

Z czterech fascykułów, zawierających każdy po kilka zeszytów czyli, jak się wydawca w przedmowie spowiada, książeczek z notatami, oraz wielką ilość luźnych kartek, świstków, ułożył p. Amborski całokształt w formie chronologicznej, w układzie jasnym i symetrycznym i zapoznał czytającą publiczność z postacią poety owianą miłością dla wszystkiego co zacne i wielkie, który niosąc talent swój w ofierze dla kraju, jakoby dla stwierdzenia prawdy głoszonej w poezyi swej — i życie swe młode dlań położył.

R. O.

Katalog rękopisów kapitulnych katedry krakowskiej. Część pierwsza. Kodeksa rękopiśmienne. 1—228. Opisał ks. *Ignacy Polkowski*. W Krakowie 1884.

Z wdzięcznością wzięliśmy do ręki tę księgę otwierającą przed nami podwoje do bogatego skarbca katedry krakowskiej, w którym złożone są płody ducha ludzkiego od chwili, kiedy światło wiary nad Polską zajaśniało. Bolejemy wraz z wydawcą nad stratami, jakie bogate to niegdyś archiwum przez złość i niedbałość ludzką, poniosło, i wdzięczni mu jesteśmy, że pracą swą nietylko ocalił resztkę drogich skarbów, ale cennemi wskazówkami ułatwił niezmiernie przyszłym badaczom korzystanie z tych rękopisów. W tomie tym opisał wydawca 228 kodeksów rękopiśmiennych, które podzielił na ośm działów. W sześciu pierwszych umieścił dzieła treści kościelnej (mszały, biblje, prawo kanoniczne, teologia, homilie), dział siódmy nazwał Długoszowym a w ostatnim pomieścił „Miscellanea“. Podział taki byłby bardzo wygodny, gdyby wydawca ułożył był na końcu tabelę, w którejby obok liczby bieżącej inwentarza zapisana była liczba, pod którą rękopis w drukowanym katalogu jest opisany; znając bowiem tylko numer inwentarza archiwalnego z cytat n. p. Wiszniewskiego, ks. Łętowskiego etc., musimy wszystkie przerzucać kartki w drukowanym katalogu, nim żądany rękopis znajdziemy. Zresztą jest to praca bardzo starannie wykonana. Autor nie ogranicza się na prostem wyliczaniu i opisywaniu rękopisów, ale śledzi za autorami, jeśli w rękopiśmie nie jest wymieniony, podaje rok i miejsce pierwszych wydań, jeśli rękopis był drukowany, bada nawet stosunek rękopisu kapitulnego do innych znanych rękopisów lub druków, (nr. 84, 140, 144, 206). — Jak wdzięczne otwiera się pole uczonym kapłanom polskim do badań naukowych nad księgami treści religijnej, wskazał autor w przedmowie do swojej pracy; pozwalamy sobie zwrócić jeszcze uwagę badaczy na nader zasobny materyał do historyi sztuki w

Polsce. Setki wspaniałych miniatur w większej części w Polsce i przez Polaków wykonanych, zdobią rękopisy archiwum kapitulnego. Obok scen z historyi biblijnej (nr. 4, 18, 19, 35, 36, 42, 43, 47, 48, 49, 57, 65, 67, 143, 144, 177), znajdujemy tu portrety królów polskich i książąt kościoła (12, 19, 22, 42, 43, 44, 46, 47, 48, 50, 105, 208), sceny z życia codziennego (nr. 42, 63), pięknie wykonane herby, przepyszne obwódki i inicyały itd. W innych krajach sporo już wydano takich illustracyj i naukowo je zbadano, a u nas prawie nietknięte to pole. Zamiar wydania miniatur z kodeksu emmeramskiego (znajdującego się w archiwum kapitulnem) przez centralną komisyę wiedeńską, powinien być dla naszych badaczy sztuki zachętą do podjęcia takiej pracy, bo gotowi nas znowu wyprzedzić uczeni niemieccy (jak nas wyprzedzili z wydaniem roczników krakowkich w archiwum kapitulnem przechowywanych) i nie przestaną nam ciskać w oczy zarzut, iż nam przeszłość naszą zdobywają. (p. Zeisberg Geschichtsquellen str. 1).

Dr. Semkowicz.

VITAE ET MIRACULA sanctorum patrononum Adalberti et Stanislai. Wydał *Dr. Wojciech Kętrzyński.* Lwów, 1883.

Żywoty świętych polskich nie mogły być dotychczas przez historyków naszych w należyty zużytkowane sposób, albowiem znane były tylko z późniejszych przeróbek, z błędnych wydań lub też w nieprzystępnych spoczywały archiwach. Czwarty tom, *Pomników dziejowych Polski*, którego druk raźnie postępuje, zapełni lukę w historyografii naszej średniowiecznej, gdyż poda badaczom dziejów sporą wzmiankę *Żywotów świętych polskich*, krytycznie rozpoznanych i umiejętnie wydanych. Praca dr. Kętrzyńskiego jest odbitką z tego tomu i zawiera żywoty i cuda św. Wojciecha i Stanisława. Żywot św. Wojciecha nie tyle jest ważny z powodu swej treści, znanej zresztą z źródeł pierwotnych, ale z tego względu, że (jak wydawca przypuszcza), należy do najstarszych utworów literatury historycznej w Polsce, gdyż napisany został prawdopodobnie w Gnieźnie około r. 1248 i że jest źródłem innego cennego pomnika, wydanego w książce dr. Kętrzyńskiego p. t. *Miracula s. Adalberti.* Ale najważniejszym pomnikiem w zbiorze dra. Kętrzyńskiego, są dwa żywoty św. Stanisława, dotychczas niedrukowane, nazwane przez wydawcę *Vita minor i major.* Pierwszy żywot napisany został przed kanonizacyą św. Stanisława, około r. 1230 przez nieznanego bliżej kapłana, prawdopodobnie Dominikanina i był źródłem żywota obszerniejszego, napisanego według zgodnego zdania naszych badaczy, uzasadnionego przed kilku laty przez prof. Wojciechowskiego przez Wincentego z Kielc. W przedmiocie do tego pomnika dowodzi dr. Kętrzyński wbrew zapatrywaniu prof. Wojciechowskiego: 1) że żywot św. Stanisława wydany w r. 1824 przez Bandtkiego nie jest oryginalną pracą, ale skróceniem żywota w zbiorze naszym wydanego, że zatem niema żadnej wartości i nie zasługuje na ponowne wyda-

nie. 2) że autorem tego dzieła nie jest Wincenty z Kielc, jak dotychczas przypuszczano, ale inny, nieznany bliżej Wincenty. 3) że pomnik ten nie powstał współcześnie z aktem kanonizacyi, ale w r. 1260, lub 1261. 4) że nie może być uważanym za dzieło skończone, ale jest brulionem 5) że źródła ogólnikowo przez autora *Żywota* cytowane, dadzą się po większej części z łatwością wykazać, że zatem nie korzystał on z żadnego ważniejszego dzieła, któreby nie było nam znane. Nie potrzebujemy dodawać, że obaj uczeni z wielką gruntownością uzasadniają swoje teorye, a z tego powodu niepodobna nam w pobieżnej notatce bibliograficznej, kilkoma słowy na jedną lub drugą przechylić się stronę.

Dr. Semkowicz.

Jan Kochanowski. Opowiadanie z XVI. w. *Lucyan Tatomir.* Lwów, 1884.

Opowiadanie niniejsze przedstawia w stylu popularnym postać wielkiego poety, którego jubileusz obchodzimy w roku bieżącym. Stosownie do tego celu, nie zapuszczając się w kwestye sporne, nie zastanawiając się głębiej nad wzorami i wpływami, które kierowały poetą, roztacza autor główne piękności nieśmiertelnych utworów czarnolaskiego wieszcza i na tle tychże skreśla jego życiorys. Mówiąc o Kochanowskim, należało na wstępie umieścić ogólny obraz epoki odrodzenia. Autor podaje go, ale wielka szkoda, zwłaszcza dla popularnej i tak miłej dla oka i uczucia książeczki, że obraz ten nie jest dość jasny i przeźroczysty. Czytelnik nie wie, czy gniewać się na „napuszystość scholastyczną, na szkolną, kastową tajemniczość“, którą wyparła z nauki „trzeźwa, prosta mądrość starożytnych mędrców“ (str. 14, 15); czy przeciwnie oburzać się na ten humanizm, który „przynosił i do nas zarody przewrotów religijnych, moralnych i społecznych“, a w dodatku „przyćmił samorodną, narodową poezyą chrześcijańską, która zakwitła na niwach Prowancyi“. (str. 15). Bez wątpienia „Odnowienie“ miało swe dobre, miało i to w wyższym stopniu, swoje złe strony; autor prawdopodobnie tego samego jest zdania, ale dlaczego w popularnej rozprawie jaśniej zapatrywań swych nie wyraził?

Wczytując się w Kochanowskiego, którego zna dobrze i cytuje często, nie dziw, że autor ukochał swego bohatera. Ale i ta miłość nie tłómaczy zbyt przesadzonych pochwał (str. 132 i nast.), które w czytelniku wywołują wręcz przeciwne wrażenie. W cytacyach poezyi łacińskich, podaje autor tłómaczenia Brodzińskiego i Syrokomli, i nie odróżnia ich dosyć jasno od oryginalnych polskich poezyi Kochanowskiego. Styl w ogóle wdzięczny i gładki, stąd tem niemilej uderzają ucho takie zwroty, jak n. p. na str. 105, gdzie nie wiemy, kto to olśniewał pozorami wielkości, czy czasy ówczesne, czy Skarga? i kilka innych; jednakże drobne te usterki nie przeszkadzają, że całą tę rozprawkę czyta się z przyjemnością, a dla ogółu czytelników z pewnością nie jest ona bez korzyści.

B.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Petersburg. W czasopiśmie petersburgskiem, które wydaje Stowarzyszenie Słowiańskie pod tytułem: „Извѣстія С. Петербургскаго благотворительнаго Общества“, w zeszycie lutowym r. b. spotykamy artykuł p. Włodzimierza Sołowiewa o „Narodowości i narodowem działaniu Rosyi“. Autor kilku głównymi rysami kreśli przebieg dziejów swego państwa. Normandowie, przyzwani z północnego Zachodu, skupiają rozproszone plemiona słowiańskie, nadają im całość, jednolity kierunek, zakładają państwo. Piotr W. na Zachodzie szuka sprzymierzeńców, stamtąd ich sprowadza, by państwo, silne już fizycznie, podnieść umysłowo, zaszczepić kulturę. Czy wszystko już zrobiono? Czyż dzisiaj nie pozostaje nic więcej, jak tylko, idąc dalej wytkniętymi szlakami, utrwalać lub zwiększać siły fizyczne państwa, postępować na drodze oświaty? P. Sołowiew odpowiada na to pytanie spokojnie, bez frazeologii, a przytem wzniośle, z wyższego, prawdziwie chrześcijańskiego stanowiska. Dziś, gdy w postaci żelaznego męża i rozpasanej niewiasty stanęła na piedestale siła i materya, brutalnie depcząca same pojęcia prawd Boskich i ludzkich, gdy mało kto nie bije pokłonów lub nie schyla czoła przed nowem bóstwem, wśród złowrogich okrzyków nihilizmu, łun komuny i zdradzieckich zamachów dynamitowych, dziś, głos poważny uczonego męża z północnego Wschodu zadziwiającem jest objawem. Podnosi myśl, nie nową wprawdzie, ale zawsze świeżą i zdrową i jedynie żywotną. Podjęły ją i przeprowadziły inne wieki i ludy; na niej oparły ustrój społeczeństw i przez wiele wieków utrzymały go.

Początek przewrotów datuje od chwili, w której ta myśl przestaje być przewodnią; wprowadzenie jej napowrót w życie może powstrzymać nowożytne pogaństwo od rozstroju i zdziczenia. Światły patryotyzm p. Sołowiewa chciałby widzieć Rosyą na tych nowych torach. Podajemy wyjątki z tego artykułu:

„W narodzie chrześcijańskim ani siła państwowa, ani utwory literackie nie są dostateczne do wypełnienia życia. Cel Rosyi nie na tem polega, ale na daleko wznioślejszej i rozleglejszej służbie sprawie chrześcijaństwa, względem której tak państwowość jak i społeczna oświata są tylko środkami. Sądzimy że Rosya ma do spełnienia na świecie zadanie religijne. W tem leży jej posłannictwo, do tego przygotowała się i przez swój rozwój państwowy i przez rozwój sił wewnętrznych. Skoro zaś do tych przygotowawczych ludzkich spraw potrzeba było zdobyć się na moralne ofiary narodowego zaparcia się, daleko więcej takowych potrzeba dla naszej ostatecznej duchowej sprawy.

Porządek państwowy i społeczna oświata są niewątpliwie szczęściem dla narodu, i ci ludzie, którzy dostarczyli nam tych środków, byli prawdziwymi patryotami, lecz zarówno nie ulega wątpliwości, że nie w tem spoczywa najwyższe szczęście. Skoro bowiem honor narodowy i duma nie mogły nam dostarczyć owych dóbr niższego porządku, tem bardziej nie mogą być dla nas źródłem dobra wyższego. Dla narodu chrześcijańskiego najwyższem szczęściem jest wcielenie w życie chrystyanizmu, zbudowanie powszechnej chrześcijańskiej kultury. Służyć tej sprawie, jest naszym chrześcijańskim i zarówno patryotycznym obowiązkiem, albowiem prawdziwy patryotyzm powinien zmierzać do tego co stanowi główną naglącą potrzebę narodu. Obecnie naglącą potrzebą narodu naszego jest brak wyższego duchowego wpływu i kierownictwa, niedostateczne oddziaływanie chrześcijańskich zasad w życiu. Lecz czyż mogą zasady chrześcijańskie oddziaływać, gdy sama skarbnica takowych na świecie, Kościół chrześcijański, jest pozbawiony wewnętrznej jedności i zgody?

Wznowienie tej jedności i zgody, gruntowna reforma duchowa, oto nasza główna sprawa, również nagląca lecz o wiele ważniejsza, aniżeli sprawa państwowego porządku za czasów Ruryka i Olega, lub sprawa oświaty i reformy społecznej za czasów Piotra Wielkiego.

Bezwładność masy ludowej względem wszelkiej sprawy, względem każdego czynu, wymaga czynnej siły, ruchliwego zastępu, któryby dawał narodowi wodzów i kierowników.

Przywołanie Waragów dało nam tani państwowy zastęp. Reformy Piotra Wielkiego, wywoławszy z łona narodu tak zwaną intelligencyą, dały nam również zastęp kulturny nauczycieli i przewodników w sferze społecznego wykształcenia. Ta zaś wielka duchowa reforma, jakiej pragniemy i którą przewidujemy (zjednoczenie kościołów), dać nam powinna zastęp kościelny, powinna przeobrazić

nasze, pod wielu względami szanowne, lecz niestety nie dość mające powagi i nie dość czynne duchowieństwo w czynny, ruchliwy i wpływowy sojusz duchownych nauczycieli i kierowników życia narodowego, jakich pragnie i poszukuje nasz naród, nie zadawalniając się zgoła ani intelligencyą świecką, ani też obecnem duchowieństwem.

Ponieważ zaś te pierwsze dwie sprawy, zaprowadzenie porządku państwowego i wytworzenie oświaty, uskutecznione zostały tylko przez zrzeczenie się swej wyłączności narodowej i zasklepienia się, przez swobodne i szczere przywołanie sił obcych, mianowicie takich, które były odpowiednie danej sprawie, tak również i teraz dla duchowego przeobrażenia się Rosyi koniecznem jest wyrzeczenie się wyłączności cerkiewnej i zasklepienia się, niezbędnem jest swobodne i szczere łączenie się z duchowemi siłami katolickiego Zachodu.

Ani zdobywcy Normandcy, ani mistrze niemieccy i holenderscy nie stali się dla nas niebezpiecznymi; nie przygnębili ani nie pochłonęli naszej narodowości, przeciwnie, te obce żywioły użyźniły naszą narodową glebę, zbudowały państwo, wytworzyły oświatę naszą. Fałszywy patryotyzm lęka się sił obcych, prawdziwy korzysta z nich, przywłaszcza je i zasila się niemi. Skorzystaliśmy z sił obcych w sferze państwowego i społecznego rozwoju. Dla narodu jednak chrześcijańskiego zewnętrzna świecka kultura może kwiat tylko wydać życia lecz nie owoc jego. Ten ostatni ma się urobić bardziej głębokim i wszystko obejmującym duchownym czyli religijnym ustrojem (kulturą). Lecz w owej to wyższej sferze dotychczas pozostajemy zupełnie jałowi. Pomimo osobistej świątobliwości pojedyńczych ludzi, pomimo usposobienia religijnego całego narodu, w całem życiu Cerkwi najbardziej wydatnem i znaczącem cośmy wytworzyli — cerkiewny rozkół! Rozumie się, że przyczyna owej niepłodności religijnej nie może być przypisaną ani chrześcijańskiej zasadzie, która zawiera w sobie pełność wszelkiego duchowego życia, ani właściwościom charakteru narodowości rosyjskiej, która, przeciwnie jest najbardziej usposobioną do religijności, albowiem narodowość ta łączy w sobie kontemplacyą ludów wschodnich z dążnością żywotną, którą się odznaczają ludy zachodnie. Więc skoro w taki sposób religijna nasza jałowość nie wypływa ani z własności religii chrześcijańskiej, ani z wad narodowości rosyjskiej, jest zatem wynikiem zewnętrznych przyczyn nienormalnego stanu naszej cerkwi i przedewszystkiem jej odosobnienia i zasklepienia się, które nie dopuszczają dobroczynnego oddziaływania obcych sił religijnych. Przyjęte zasady chrześcijańskie są dobre, dobra także w znaczeniu religijnem i nasza narodowa gleba, lecz bez świeżego powietrza, w braku ustawicznego przypływu ciepła i światła, bez wczesnych i późnych dżdżów, najlepsze nasiona na najlepszej glebie nic dobrego nie wydadzą. Przyjęliśmy swobodny przypływ sił obcych dla państwowej i społecznej kultury, dzięki im mogliśmy spotęgować swoje własne siły w tej niższej sferze. Teraz również potrzebujemy podobnego dopływu sił obcych religijnych, potrzebujemy wejść w swo-

bodną łączność i wzajemne oddziaływanie, ażeby módz okazać i naszą religijną siłę, i spełnić nasze religijne posłannictwo. Dopóki zostawać będziemy w spokojnym stanie odosobnienia od katolickiego Zachodu, dopóty nie doczekamy się obfitego żniwa na własnej cerkiewnej niwie.

Dotychczas jeszcze zapatrujemy się na zachodni Kościół z taką wrogą nieufnością i uprzedzeniem, z jaką nasi przodkowie występowali niegdyś ku cywilizacyi zachodniej. Gdyby oni byli nie zwalczyli w sobie tego wstrętu i nie weszli w stosunki z oświeconą Europą, nie istniałaby obecnie Rosya jako historyczna siła, jako prawowity i poważny człon historycznej rodziny ludzkości; obecnie zaś jeżeli nie wyrzeczemy się naszej religijnej wyłączności i uprzedzeń, Rosya nie potrafi okazać się jako światowo-religijna siła dla służenia powszechnej sprawie chrześcijaństwa.

Mamy przed sobą nowe zadanie ducha narodowego. Sprawa ta wymaga podwójnego współdziałania tak ze strony nas samych, cerkiewnych i społecznych działaczy, jak też ze strony rządu. Od nas wymaga odmiennego moralnego usposobienia, bardziej chrześcijańskich poglądów, sprawiedliwszych względem katolickiego Zachodu. Od rządu domaga się przedewszystkiem aby stanowczo i zupełnie były uprzątnięte owe przeszkody i zawady, które pozbawiły cerkiew naszą dodatnych wpływów Kościoła zachodniego; domaga się aby religijnej prawdzie przywrócił wolność, bez której niemożliwem jest życie religijne.

Obawiamy się propagandy katolickiej. Lecz daleko zgubniejszem by było, gdyby owa religijna propaganda spotkała się u nas nie z religijnem, lecz tylko policyjnem przeciwdziałaniem, skoroby nasza religijna prawość (o ile jesteśmy prawi), nie znalazłaby lepszej broni, jak tylko kryminalny kodeks i cenzurę przymusową[1].

Obawiać się propagandy katolickiej, to znaczy nie wierzyć w siłę wewnętrzną naszej cerkwi; a więc, skoro takowa nie posiada tej wewnętrznej siły, to pocóż stawać w jej obronie?! Skoro zaś wierzymy w siłę ukrytą, wewnętrzną wschodniej cerkwi, i nie przypuszczamy nawet aby ta cerkiew mogła być zlatynizowaną, dlatego to właśnie, ażeby owa ukryta siła mogła się ujawnić, powinniśmy pragnąć otwartego, swobodnego i czynnego łączenia się z kościelnym światem Zachodu.

Prawdziwy patryotyzm nie lęka się katolickiej propagandy, jako się nie lękał potęgi normandzkiej, jako się nie lękał szkoły niemieckiej. Prawdziwa wiara nie zna bojaźni, prawdziwa miłość nie znosi nieczynności i zamarcia: wymaga ona istotnego i określonego czynu. W taki sposób, na początku naszego historycznego życia miłość ku ojczyźnie uosobiła się w zamiłowaniu

---

[1] Prawda, oprócz tego, u nas znajduje się nieco prac literackich oskarżających katolicyzm, lecz takowe służą tylko do zaspokojenia miłości własnej samych autorów, oskarżeni zaś nie posiadają równej swobody co do swej obrony.

porządku państwowego, który przedewszystkiem potrzebny był ojczyźnie; w czasach Piotra Wielkiego i Łomonorowa miłość ojczyzny objawiła się w zamiłowaniu oświaty, która tak bardzo potrzebną była naszej ojczyźnie. Obecnie zaś stan rozwoju narodu i narodowe potrzeby stawiają na pierwszym planie sprawę, która jest wyższą i ważniejszą aniżeli państwowy porządek i społeczna kultura — sprawę cerkiewnego porządku i duchownej kultury. W imię więc Rosyi, z miłości ku niej, t. j. dla wyższego uszczęśliwienia, powinniśmy być oddani nie rosyjskim (w zacieśnionem, egoistycznem pojęciu) interesom, lecz powszechnemu interesowi Kościoła — on stanowi najgłębszy, ostateczny interes Rosyi.

Przodkowie nasi pozostawili nam wznioślejszą część pracy. Im wypadało całkowicie poświęcać swe troski i prace dla zewnętrznego państwowego porządku, dla wewnętrznej społecznej oświaty, t. j. takim sprawom, które nie są złączone bezpośrednio z wyższym celem człowieka i narodu chrześcijańskiego. Tą swoją niższą pracą przygotowali i przekazali nam w spadku taką sprawę, w której prawdziwy narodowy interes wprost zlewa się z powszechnem interesem religijnym. W imię tedy narodowego uczucia, ze względu na uszczęśliwienie narodu wypada nam myśleć o tem wyższem szczęściu ogólno-ludzkiem, o którem Cerkiew nasza czyni wspomnienie w swojej liturgii, gdy prosi: „o spokój dla całego świata, o pomyślność świętych Bożych Kościołów i o zjednoczenie wszystkich".

Przytoczyliśmy myśli autora, oddając je w dosłownem tłómaczeniu. Nie robimy żadnych komentarzy, nie łudzimy się nadziejami co do bliskiego lub dalszego ich urzeczywistnienia, ani też nie bierzemy ich za wyraz objawu większości. P. Kirjejew nie potrzebował nas, zaraz w następującym artykule, oblewać zimną wodą; zarzuty, jakie czyni Kościołowi katolickiemu z niewczesnym szowinizmem i nieukrytą nienawiścią, ujeżdżonym są konikiem: ani historycznie, ani teologicznie nie są prawdziwymi, a p. Sołowiew odpowiedział na nie ubocznie w przypisku, który zamieściliśmy. Choćby zapatrywania p. Sołowiewa były tylko osobiste, wiemy jednak że tak nie jest, bylibyśmy je jeszcze w piśmie naszem zamieścili: pod każdym względem przynoszą mu zaszczyt i zasługują na rozpowszechnienie, sądzimy nadto że Słowianie zachodni i południowo-zachodni z braterskiem uczuciem zapiszą je w swych sercach. *W. Z.*

Z Berlina. (Rządowe reformy socyalne. Obecny stan sprawy kościelnej). Społeczeństwo niemieckie uznaje potrzebę gruntownych reform socyalnych teraz daleko bardziej aniżeli przed

kilku jeszcze laty, kiedy mała tylko liczba uczonych, publicystów i posłów sejmowych potrzebę tę rozumiała i nawoływała do uczynienia jej zadosyć. Rząd głosów tych nie słuchał, nie popierał tych dążeń, a konferencya przedstawicieli Austryi i Niemiec zebrana w r. 1872, celem obradowania nad kwestyami socyalnemi nie dokonała niczego. Ks. Bismark, który na kwestye socyalne zwykł się ze stanowiska ogólnej polityki zapatrywać — wysłał na tę konferencyę poufnego swojego doradzcę, Wagenera, moralnego twórcę ustawy wydalającej z Niemiec Jezuitów i pokrewne im zakony. Wagener nakłaniał kierownika polityki niemieckiej do reform socyalnych na podstawie zasad zachowawczych, doradzając pozyskanie katolików niemieckich. W tym celu radził nadać arcybiskupowi mogunckiemu ks. Kettelerowi godność prymasa Niemiec, z pewną niezawisłością od Rzymu, „większą aniżeli to przypuszczają katolickie pojęcia“. Ponieważ zaś w przeprowadzeniu tej myśli główną przeszkodę upatrywał Wagener w Jezuitach, przeto oni pierwsi padli ofiarą. Potwarczo zarzucał im i to, że pełnemi garściami sypią złoto dla naczelnika internacyonału Marxa.

Tymczasem ks. biskup Ketteler po ukończeniu wojny francusko-pruskiej przyczynił się dzielnie do utworzenia frakcyi centrum, której przez krótki czas był członkiem jako poseł do parlamentu niemieckiego. Gdy się wszczęło prześladowanie Kościoła, które przybrać miało charakter międzynarodowy i rozciągnąć się nawet na stosunki socyalne — wpływ Kościoła na ludność roboczą tak się okazał potężnym, a agitacye socyalistów tak bezsilnemi, że robotnik dzielił się ostatnim kawałkiem chleba z księdzem ściganym na mocy ustaw majowych. Wskutek tego zmieniono taktykę i klasę roboczą postanowiono pozyskać za pomocą wprowadzonych przez rząd reform socyalnych. Wagener z tą taktyką wcale się przed partyą nie tai: „Stronnictwo centrum wynoszące dziś potęgę papieża-socyalisty przekona się, że znaczenie cesarza-socyalisty (Social-Kaiser) potężniej jeszcze zaważy na szali, ponieważ jego państwo jest z tego świata. Cesarz jest w stanie poczynić dla klasy robotniczej ustępstwa zgodne z wymaganiami chwili obecnej, a przeszkodą do zbawienia nie będzie dla robotnika, bo sam jest mężem bogobojnym“. „Duchowień-

stwo katolickie karmi lud ideami socyalistycznemi, ponieważ tylko te idee są w stanie ogarnąć masy i zawładnąć niemi, za ich tylko pomocą można się stałym cieszyć na masy ludu wpływem. Gdyby cesarz i papież nie byli nieprzyjaciółmi — agitacya taka nie byłaby wcale niebezpieczną; ale wobec takiego stanu rzeczy, jaki dziś istnieje, zachodzi potrzeba złamania wpływu Kościoła katolickiego na robotnika, za pomocą socyalizmu państwowego. Kiedy socyalizm katolicki idzie ręka w rękę z stronnictwem Marxa, socyalizm państwowy niech poda dłoń partyi narodowej i monarchicznej, w myśl Lassalla“ [1]. Każdy wie, że wśród socyalistów niemieckich ani partyi monarchicznej, ani narodowej nie było i niema, tudzież, że Kościół katolicki nietylko się nie splamił sojuszem z Marxem, lecz walczy przeciw stronnictwom przewrotu na każdym kroku, ale wyznanie to Wagenera jest kluczem do zrozumienia projektowanych przez rząd, popieranych przez księcia Bismarka socyalnych reform. Pierwsza o nich wzmianka w orędziu cesarskiem z listopada 1881 r.

W zasadzie na program niesienia pomocy i ulgi warstwom niższym zgodziły się wszystkie frakcye izby. W parlamencie i prasie rozprawiano o „praktycznem chrześcijaństwie“, wysławiano program socyalny Bismarka, jakby nową ewangielią, a frazesy tłumionej prasy socyalistycznej zaczęły wchodzić do artykułów wstępnych gazet rządowych i zachowawczych. Katolicy zajmowali wyczekujące stanowisko, gdyż ich żądania, aby przedewszystkiem katolickiemu Kościołowi użyczono potrzebnej swobody i szerszego wpływu na umoralnienie ludności, dotychczas pozostały bez skutku. Gdy przed trzema laty projekt rządowy, ubezpieczający dolę rodziny robotnika na wypadek jego okaleczenia lub śmierci, roztrząśnięty i po części przekształcony przez parlament, przyszedł na stół obrad r a d y z w i ą z k o w e j (przedstawicieli rządów niemieckich), oparł mu się książe Bismark, głównie dlatego, że w swej osnowie rozkładał ciężary na przedsiębiorców, z wykluczeniem skarbu państwowego, kanclerz zaś pragnął, żeby robotnik widział w rządzie uosobnienie Opatrzności. Ułożono więc drugi projekt, mało się różniący od pierwszego

[1] *Bismarck nach dem Kriege.* Leipzig 1883.

projektu rządowego. I ten ugrząść musiał w komisyi parlamentarnej, ponieważ nie można się było spodziewać przyjęcia go w parlamencie. Znaczną za to większość głosów w Izbie i prędką sankcyą uzyskała ustawa dodatkowa, zaprowadzająca kasy robotnicze zasilane w dwóch trzecich częściach przez robotników, a w jednej trzeciej przez właścicieli fabryk i przemysłowców, zapewniające wszelkiego rodzaju robotnikom chorym pomoc lekarską i pewną zapomogę na przeciąg 13 tygodni. W jesieni r. z. polecił książe Bismark wypracować trzeci projekt ubezpieczenia robotników okaleczałych czyniąc pewne ustępstwa w myśl komisyi parlamentarnej, która za radą profesora monachijskiego br. Hertlinga członka centrum, przedstawiła rządowi przyczyny odrzucenia przez parlament dwóch pierwszych tej ustawy projektów. Ustępstwa kanclerza są dosyć ważne. Podług tego trzeciego projektu, państwo ma w wyjątkowych tylko wypadkach dostarczać kasom robotniczym zapomogi, t. j. wtedy, gdyby na pewną gałęź przemysłu miały wypaść tak znaczne wydatki na ubezpieczenie robotników kalek, że przedsiębiorcy nie byliby w stanie im podołać. To wyjątkowe wsparcie ze strony rządu, da się może jeszcze uniknąć w ten sposób, że wydatki rzeczone rozłożyć się dadzą na wszystkie razem gałęzie fabrycznego przemysłu. Projekt nowy wskrzesza do pewnego stopnia cechy, tworząc osobne stowarzyszenia przemysłowców zatrudniających ludzi w fabrykach chemicznych, górników, robotników w hutach żelaznych i t. d. Gdyby zaś zbyt wielka liczba robotników utrudniała zarząd nowych związków, wówczas utworzone być mają mniejsze związki prowincyonalne. Wszystkie związki będą miały zarząd autonomiczny, zaś najwyższy nad nimi nadzór wykonywać będzie nowo utworzona władza państwowa. Przeciwko tej władzy centralnej podniesiono teraz już opozycyą.

Ponieważ przedsiębiorcy sami mają ponosić koszta połączone z nową instytucyą, przeto też oni mieć mają wpływ przeważny w jej administracyi; robotnicy jednak wpływu tego nie będą zupełnie pozbawieni. Towarzystwa assekuracyjne prywatne mają być zupełnie zniesione, mianowicie towarzystwa akcyjne. Konserwatyści, centrum i Polacy domagali się tego zawsze, ponieważ towarzystwa prywatne, zwłaszcza akcyjne, nie dobro ro-

botników, lecz zysk akcyonaryuszów mają na celu. Na pokrycie kosztów nie będą ściągane coroczne premia, jak w towarzystwach asekuracyjnych, lecz w każdym roku tyle tylko zbierze się pieniędzy, ile na odszkodowanie robotników będzie potrzeba: funduszu zatem żelaznego wcale nie będzie. Dalej stanowi projekt, aby poczta dostarczała w każdym wypadku potrzebnej na cele stowarzyszeń sumy.

W połowie marca wniesiono projekt ten do parlamentu niemieckiego. Podnoszono ze wszystkich stron prawie tylko ujemne jego strony, tak iż ostatecznie niby z niego nie pozostało, gdyby wszystko, co zganiła krytyka parlamentarna, miało być wykreślonem. Zwolennicy szkoły manchesterskiej z góry odrzucili projekt cały, tylko nie mieli odwagi wypowiedzenia otwarcie tego, co myślą; jednę tylko ofiarę gotów był z swych przekonań uczynić najprzedniejszy przedstawiciel tego stronnictwa, żyd Bamberger, zgadza on się z przymusowem ubezpieczeniem, zresztą odrzuca wszystko lub żąda zmian zasadniczych. Wywody demokraty Sonnemanna (także żyda) grzeczniejsze co do formy nie bardzo różniły się co do treści od tego, co powiedział poseł Bamberger. Z większą stanowczością wystąpili przeciw projektowi członkowie stronnictwa postępowego, które bezpośrednio przed otwarciem parlamentu z liberalną opozycyą zlało się w nową frakcyą, pod nazwą *Deutsche freisinnige Partei.* Tu znowu zabrali głos dwaj żydzi, Loewe i Hirsch. Odrzucili oni utworzenie jakichkolwiek korporacyj przemysłowców, odrzucili wszelkie wsparcie kas asekuracyjnych z funduszu skarbu państwowego, żądając, aby towarzystwa akcyjne były dopuszczone do przyjmowania ubezpieczeń, podczas kiedy rząd wyklucza je zasadniczo. Podnosili i to, że wskutek zaprowadzenia ubezpieczenia tak ogromne potrzebne będą sumy (do 500 milionów), iż ostatecznie przemysł niemiecki ciężaru takiego ponosićby nie mógł a państwo byłoby znaglone walutę złotą zamienić na papierową. Śmielej nierównie wystąpili przeciw projektowi socyaliści. W imieniu ich Vokmar odrzucił z góry projekt cały jako niedołężny środek, niezdolny zagoić najbardziej jątrzących ran dzisiejszego społeczeństwa. Socyaliści nie bawią się w takie drobnostki; nie przyjmują częściowych dobrodziejstw, domagają się, aby każdy robotnik albo

pomocnik przemysłowca był z obowiązku ubezpieczany przeciwko wszelkim wypadkom, a pobierał daleko więcej niż przyobiecane teraz wsparcie. Vokmar natrząsał się z księcia Bismarka, że po sześcioletniej pracy nic uczynić nie zdołał dla polepszenia doli robotników i zaznaczył, że projekt obecny daleko skromniejszych jest rozmiarów jak pierwszy, a niedługo czekać, to kanclerz wobec samolubstwa wielkich przemysłowców zupełnie zwinie chorągiew. W imieniu stronnictwa narodowoliberalnego które niegdyś było wszechwładnem, a obecnie ani 50 członków nie liczy, przemówili posłowie Oechelhaeuser i Buhl, gotowi głosować za projektem, wszelako pod warunkiem, że prywatne towarzystwa ubezpieczeń robotników nie będą wykluczone. Ponieważ na to rząd nigdy się nie zgodzi, przeto i narodowoliberalnych policzyć należy do przeciwników ustawy. Stąd wynika, że jeżeli projekt ten ma być przyjęty, to chyba głosować za nim będą, centrum, konserwatyści, Polacy i Alzatczycy. Bardzo życzliwie wyraził się o projekcie wspomniany wyżej br. Hertling, jeden z najlepszych znawców w kwestyi socyalnej. Dziękował on rządowi za to, że uwzględnił w nowym projekcie niektóre dawniejsze życzenia stronnictwa centrum i zachowawców, ale nie mniej wytknął pozostałe w nim ujemne strony, do których zalicza przedewszystkiem zbytnią centralizacyą nowej instytucyi, uciążliwą a politycznie niebezpieczną.

Cóż na to ks. Bismark? W przeszło godzinnej mowie wystąpił on przeciw socyalistom i liberalnej opozycyi, którzy jak wspomniałem, zasadniczo sprzeciwiają się zamiarom kanclerza. Wie on doskonale o tem, jakie niebezpieczeństwa grożą jego projektowi; nie rozporządzając bowiem stałą w parlamencte większością, przewidzieć musiał, że prace parlamentarne doprowadzić mogą do innych, jak on sobie życzy, rezultatów, że więc możliwą jest rzeczą, iż w razie rozwiązania parlamentu z gołemi rękoma stanąć mu przyjdzie wobec wyborców. Przemówienie jego wymierzone jest nie tyle do parlamentu, jak raczej do kraju całego, wobec którego podnosi obecnie formalne oskarżenie, że opozycya wszystkie, nawet najszlachetniejsze zamiary jego w niwecz obraca. Zakres reform zamierzonych przez rząd nie zmniejszył się bynajmniej. Pierwszy projekt był wprawdzie daleko ob-

szerniejszy niż obecny, ale parlament oparł się uporczywie urzeczywistnieniu wielkich reform; przeto trzeba było niejedno odłożyć na przyszłość. Jeżeli parlament zajmie i teraz podobne stanowisko, to rząd wytknie sobie jeszcze drobniejszy cel, aż ostatecznie znajdzie punkt, w którym zejdą się zapatrywania jego ze zdaniem parlamentu. Na tem kanclerz nie myśli jednakże poprzestać, będzie to owszem dla niego punkt wyjścia do utorowania drogi dalszym reformom. Widzi on liczne ujemne strony w ustroju społecznym, widzi nadużycia, które ranią społeczeństwo i jątrzą rany zadane zwłaszcza warstwom roboczym, poczuwa się więc do obowiązku usunięcia złego najjaskrawszego, jak tego żąda obecny projekt. Łatwo zrozumieć, dlaczego przywódcy socyalistów odrzucają projekt; nie chodzi im o uśmierzenie ludności, lecz o ustawiczne rozbudzanie namiętności, a w tym celu pożądane im jest wszystko, co niepokoi ludność. Zaprowadzenie ulg, a mianowicie odszkodowanie okaleczałych powinno być i jest życzeniem gorącem robotników; rządowi bardzo wiele na tem zależy, aby życzenia robotników poznał jak najdokładniej i powoli je uwzględnił wszystkie. Robotnicy wiedzą dobrze o tem, że parlament względem reform rządowych odgrywa zbyt często rolę hamulca; ostatecznie zużyje się ten hamulec, i nastąpić to musi, bo prasa i walki stronnictw w parlamencie doprowadzą wreszcie do takiego rozprzężenia, że cesarstwo niemieckie rozpadnie się nawet bez wszelkiej wojny. Parlament nie powinien ograniczyć się na jałowej negacyi, lecz poprawić projekt obecny, oczywiście na podstawie zasad przez rząd wytkniętych. Jeżeli się znowu nic nie osięgnie, trzeba będzie wobec kraju zaznaczyć, iż parlament temu winien i zadaniem rządu pozostanie, aby wszyscy robotnicy otoczeni byli dostateczną opieką.

Z wielką stanowczością wystąpił kanclerz przeciwko konkurencyi prywatnych towarzystw akcyjnych. Wypadki nieszczęścia nie powinny posłużyć kapitalistom jako pole do operacyj finansowych, aby otrzymać jak najwyższe odsetki i dywidendy. Niektóre towarzystwa ubezpieczenia przeciwko pożarom rozdzielają obecnie dywidendy po 38 do 50 złr. Asekuracya powinna być jak najtańsza, ażeby robotnicy z niej mieli prawdziwe dobrodziejstwo; państwo jedynie zdoła utworzyć zakłady jak najtańsze. Państwo nie po-

winno też pozostawiać tego przypadkowi, czy utworzą się towarzystwa asekuracyjne; z pewnością bowiem nie zawiążą się takowe tam, gdzie zyski nie pewne i nie znaczne. Powinno tedy państwo podjąć się roli opiekuna nieszczęśliwych. Kanclerz oświadczył, że nie dba o to, czy to kto nazwie socyalizmem. Czyż opieka nad ubogimi, która w Niemczech istnieje, nie jest podobnym socyalizmem? W Francyi nie ma takiej opieki obowiązkowej z strony gminy; każdy obywatel ma tam prawo zejść z tego świata śmiercią głodową, a państwo nie ma obowiązku wdawać się w takie rzeczy. To nie są stosunki zdrowe, a Francya będzie musiała pomyśleć o tem, aby nieco więcej przejąć socyalizmu. Czy wywłaszczenie chłopów nie było także objawem socyalizmu? Kogoż tedy straszycie tym wyrazem? Jeżeli parlament odrzuci projekt rządowy, nie będzie to klęską dla rządu, lecz wtenczas sprawdzi się słowo, że *plectuntur Achivi*. Właśnie dlatego, że dotąd państwo nie dosyć zajmuje się socyalizmem, rozszerza się potęga socyalistów. Ideały socyalistów mogłyby być urzeczywistnione tylko na ogólnych międzynarodowych podwalinach; nie ma jednak widoków, żeby kiedykolwiek do tego przyszło, a w każdym razie wiele upłynie jeszcze czasu, nim się to stanie: tak długo zaś z rękoma założonemi nie możemy się przypatrywać wzrostowi stronnictw przewrotu. Zganiono sposób zbierania składek, pokrywających tylko wydatki każdego roku, gdyż z każdym rokiem wzrastać będzie liczba wspieranych chorych i kalek, a więc coraz większe sumy będą na to potrzebne, tak iż za lat kilkanaście przemysłowcy ogromne ciężary musieliby ponosić. Kanclerz przemawia za proponowanym przez rząd sposobem ściągania składek na razie dostatecznych i oświadcza, że rzeczoznawcy przedłożą czasu swego komisyi obrachunek, wykazujący korzystne strony tegoż systemu. W końcu powtórzył kanclerz, że nie poprzestanie pracować nad przywróceniem przyjaznych stosunków między chlebodawcami a robotnikami. Skoro się te stosunki poprawią, będzie też można usunąć ustawę wyjątkową przeciwko socyalistom.

Ostatnia uwaga dowodzi, że w bliskiej przyszłości nie można spodziewać się zniesienia ustawy wyjątkowej z roku 1878, która zakazując towarzystw, zgromadzeń i prasy socyalistycznej, zmusiła stronnictwo przewrotu do agitacyi ukrytej. Obecnie rząd domaga

się po raz drugi przedłużenia tej ustawy a to na przeciąg dwóch lat; łatwo przewidzieć, że po dwóch latach zupełnie na tym samym punkcie znajdziemy się co dzisiaj, zwłaszcza że rząd otwarcie przyznał, że w Berlinie, w Hamburgu i w Lipsku, gdzie jest ogłoszony stan oblężenia, ruch socyalistyczny wzmógł się znacznie. Czy ustawa wyjątkowa przyniosła rzeczywistą korzyść, o tem różnią się zdania. Pomimo prośby samego księcia Bismarka aby w pełnej izbie powzięto odrazu uchwałę, o przedłużenie tej ustawy albo nie, przekazał parlament projekt ten komisyi, która rozbiera, czy nie należy złagodzić obecnej ustawy lub znieść ją, a obostrzyć powszechny kodeks karny, aby surowsze kary były wymierzane za pogwałcenie porządku publicznego i podburzanie mas.

Po stronie rządu stoją zachowawcy, liberalno-konserwatywni i narodowo-liberalni; przeciw ustawie są postępowcy, znaczna część opozycyi liberalnej, koło polskie, Alzatczycy, Duńczycy, demokraci i socyaliści. Centrum jest rozdzielone; przed 4 laty głosowało 14 członków frakcyi za rządem, przeważna większość zaś przeciwko ustawie wyjątkowej, po której pomyślnych skutków nie spodziewają się. Podczas ostatnich rozpraw rozwodził się Windhorst wymownie nad potrzebą, aby Kościołowi w Prusiech przywróconą została konieczna swoboda, gdyż wtenczas tylko Kościół rozwinąć mógłby należytą energią w walce przeciwko prądom rewolucyjnym. Z zimną krwią odparł na to żelazny książe, że nie przypisuje religii katolickiej szczególniejszej siły odpornej przeciwko rewolucyi; Bismark chciał w tym celu odwołać się do dziejów, nawet do dziejów Polski: zarzuty jego zostały oczywiście jako błędne odparte nietylko w parlamencie, lecz także w prasie. Z tej wycieczki księcia Bismarka najlepiej jednakże poznać, jaką bronią walczy przeciwko rewolucyi i jakie ma widoki, że jej w Niemczech zaradzi.

Ważą się tedy losy projektu o ubezpieczeniu robotników okaleczałych i ustawy antisocyalistycznej w osobnych komisyach; od postawy większości parlamentu względem ostatniej kwestyi zależeć będzie podług powszechnego zdania bliskie rozwiązanie parlamentu.

Z dziedziny kościelno-politycznej prawie żadnych pomyśl-

nych faktów zaznaczyć nie można. Niejedna przykra wiadomość zraniła boleśnie serca ludności katolickiej. W styczniowym zeszycie *Przeglądu* (str. 141) rozwodziłem się nad tem, którzy z księży wyświęconych po wyjściu ustaw majowych potrzebują dyspensy ministeryalnej, aby módz bezkarnie wypełniać obowiązki kapłańskie. Zrobiłem wtenczas uwagę następującą: „Nie jesteśmy wolni od obaw. Pamiętamy bowiem, że minister Falk zabronił kandydatom do stanu duchownego uczęszczać do zakładów naukowych, zostających pod zarządem Jezuitów; pamiętamy także wywody ministra Puttkamera przeciw Collegium Germanicum w Rzymie i wiemy, że jeszcze na wiosnę roku 1883 pewna agitacya usiłowała zohydzić naukę prawa wykładaną w temże Collegium. To wszystko ma pewną doniosłość, mianowicie dla nas Polaków, gdyż pewna liczba księży z archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej na początku prześladowania religijnego kształciła się na uniwersytecie w Insbruku, gdzie nauczają Jezuici". Obawy te były niestety bardzo słuszne. Minister Gossler odmówił stanowczo dyspensy wszystkim kapłanom, którzy w zakładach wspomnianych po wyjściu pierwszej ustawy majowej przebywali choćby przez czas krótki. Takich księży jest 179, mianowicie z archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej 28, z kolońskiej 39, z monasterskiej dyecezyi 30, z trewirskiej 23, z paderbornskiej 20, z chełmińskiej 11, z wrocławskiej 3 i t. d. Liczba dyspensowanych wynosi na całe Prusy 1225. W 39 wypadkach nie nadeszło jeszcze rozstrzygnięcie ministeryalne. Przypominam, że Ojciec św. zezwolił tylko na ten raz jeden na wystosowanie prośby o dyspensę. Na 130 młodych księżach cięży jeszcze banicya i liczne czekają ich wyroki sądowe. Wysłaną została prośba, aby przeszkody te usunięte zostały, gdyż inaczej ciż księża z wygnania powrócić nie mogą [1].

Przy rozprawach nad wnioskiem Reichenspergera dawał minister Gossler do zrozumienia, że wskutek podania próśb o dyspensę sędziwy biskup limburski wrócił z wygnania, że niebawem powróci także biskup monasterski i że w związku z tą

[1] Na prośbę tę nie nadeszła jeszcze odpowiedź. Między tymi kapłanami jest 32 Poznańczyków.

sprawą zostaje także wypłata pensyj rządowych duchowieństwu w dyecezyach warmińskiej, chełmińskiej i hildesheimskiej. W rzeczy samej powrócił niedługo potem ks. biskup Brinkmann do Monasteru, gdzie z niewysłowioną radością został przyjęty, chociaż ludność wie o tem, iż obecnie w Prusiech każdy biskup jest niejako *in vinculis*, krępowany nieszczęsnem ustawodawstwem. Równocześnie poczęto wypłacać duchowieństwu monasterskiemu prestacye skarbowe. Ponieważ tedy ustawa obroczna ciężyła tylko jeszcze na archidyecezyach gnieźnieńsko-poznańskiej i kolońskiej a prośby o dyspensę z nich także zostały wysłane do ministra, przeto zażądała frakcya katolicka wraz z kołem polskiem formalnego zniesienia owej ustawy, aby także duchowieństwo poznańskie i kolońskie pobierało, co mu się z tytułu prawnego należy. Rząd odrzucił te żądania, nie podając atoli powodów postępowania swego. Minister Gossler oświadczył przytem, że rząd wytknął sobie jako cel zaprowadzenie stosunków pokojowych, że zamyśla dojść do tegoż celu drogą z góry obliczoną, i że z toru zbić się nie da żadnymi względami. Izba odrzuciła żądanie frakcyi centrum 210 głosami przeciwko 152; za nami głosowało 18 zachowawców, 2 liberalnych i 20 postępowców. Trzy tygodnie potem rozporządził rząd wypłatę prestacyi w archidyecezyi kolońskiej. Ponieważ z dniem 1 kwietnia miała utracić swą moc ustawa o władzy dyskrecyonalnej rządu, przeto koło polskie wystósowało w sprawie gnieźnieńsko-poznańskiej interpelacyą w Izbie. Dnia 31 marca minister Gossler przeczytał po przemówieniu ks. dr. Jażdżewskiego krótkie oświadczenie, że w Poznańskiem wypłata nie nastąpi i że rząd nie poda powodów takiego postępowania. Szorstkość rządu oburzyła koło polskie i centrum do żywego. Uczuciu temu dali znakomity wyraz ks. dr. Stablewski, baron Schorlemer-Alst i Windthorst. Poseł Schorlemer oświadczył uroczyście, że katolicy Niemcy zupełnie solidaryzują się z ludnością polską, żądając, aby im była wymierzona sprawiedliwość. Dr. Windthorst zwrócił się wprost do Rzymu, upominając doradców Ojca św., aby pamiętali o tem, że ustępstwami nic się od rządu pruskiego nie osiągnie, że lud katolicki gotów jeszcze drugi lat dziesiątek ponosić cierpienia wszelkie, aby się dobić swobody Kościoła. Z powodu rozpraw ostatnich traktuje prasa

rządowa Polaków, mianowicie szlachtę i duchowieństwo, jako stronnictwo rewolucyjne a centrum jako wrogów cesarstwa niemieckiego.

Wspomniałem o nowych godnościach, które otrzymał nasz Kardynał. Inaczej postępują sobie względem niego władze pruskie. W lutym puszczono za dostojnym wyznawcą ponownie listy gończe; ks. arcybiskup gnieźnieńsko-poznański ściągnął bowiem na siebie liczne kary więzienne i pieniężne energicznem wystąpieniem przeciwko intruzom, którzy opuściwszy własne posady duchowne przywłaszczyli sobie z ramienia rządu tłuste probostwa. Dzienniki obliczyły, że kary te wynoszą 35,000 marek lub blisko 7 lat więzienia; zdaje mi się, że liczby te jeszcze są za nisko podane. W związku z wyniesieniem ks. kardynała do godności sekretarza memoryałów zostaje wiadomość, że w tych dniach ma opuścić dotychczasowe schronienie w Watykanie, aby się przenieść do pałacu Antici Mattei. Wiadomo, że Pius IX. udzielił dostojnemu wygnańcowi przytułku w Watykanie, ponieważ obawiano się, iż rząd włoski wyda go władzom pruskim. Domyślają się tedy, że rząd pruski w ostatnim czasie uspokoił pod tym względem Stolicę Apostolską.

Położenie Ojca św. w Rzymie (15 kwietnia). Sprawa Propagandy urosła do rozmiarów, jakich rząd włoski zapewnie nie przewidywał: Włochy straciły Propagandę, a nadto zagrożone są niebezpieczeństwem utracenia papiestwa.

Po zaborze Rzymu, gdy już nie było co grabić z doczesnego państwa Kościoła, spodziewano się, że Włochy zjednoczone uczynią, co tylko będzie w ich mocy dla „zaaklimatyzowania Papiestwa“ w tych nowych warunkach i otoczą jego duchowną władzę opieką, względami i wszelkimi warunkami wolności. Nakazywała im to najprostsza polityka, żądał tego dobrze zrozumiany patryotyzm, gdyż wszyscy wiedzą, a sami Włosi najlepiej, że bez papiestwa znaczenie Włoch zmalałoby do zera. Zniszczyć papiestwo albo wyprzeć je z Włoch, to myśl, co może chwilami uśmiecha się kilku zaciętym sekciarzom, w których nienawiść Chrystusa wszelkie inne uczucia przygłuszyła, ale nie mieści się w głowie ani sercu prawdziwego Włocha. Jeżeli Włosi przywią-

zują najwyższą cenę do zabytków swej sztuki — i słusznie, bo nią więcej znaczą w świecie niż dyplomacyą i potęgą militarną — o ile więcej cenić muszą tę stolicę Piotrową, około której grupuje się cała ich historya, z której płynie cały rozwój ich cywilizacyi, która im dawała zawsze i dotąd daje to stanowisko wyjątkowe między narodami: że u nich jest centrum grawitacyi serc i umysłów najprzód katolików a pośrednio całego świata. Niewarto nawet wspominać o korzyściach materyalnych takiego stanowiska dla kraju, kiedy moc i wielkość duchowa, jaką stąd czerpie, każdemu w oczy wpada.

Ale *noblesse oblige;* chcąc być ojczyzną papiestwa, centrum ludzkości, świecznikiem duchowej pochodni świata, trzeba umieć tak gościć tron Piotrowy, żeby i on się czuł u siebie panem, i cały świat katolicki cieszył się godnym i niezawisłym stanowiskiem swojej najwyższej głowy. Pod tym warunkiem Włochy mogą się cieszyć wiecznie tym wyjątkowym darem Opatrzności, które im zapewnia na zawsze, bez względu na polityczne i ekonomiczne odmiany, znaczenie pierwszorzędnego narodu; inaczej *transferetur a nobis regnum Dei.*

Włochy, mówią nam, uczuły w tym stuleciu potrzebę zjednoczenia się, skonsolidowania się w naród, któryby zaważył na szali losów Europy. Nie roztrząsam obecnie sprawy (dosyć już zresztą wyjaśnionej), czy w istocie to poczucie powstało we Włoszech, jako wnętrzne uczucie potrzeby, czy też sztucznymi i niecnymi środkami wpajanem było; nie wchodzę też w kwestyą, o ile to zjednoczenie było w gruncie rzeczy korzystnem dla Włochów, o ile szczęśliwszymi są narody, które opłacają krwią i pieniądzmi godność państw pierwszorzędnych, od tych, co stanowią państwa drugorzędne i neutralne. Ale kiedy się już chciało zjednoczenia, to przed zgnieceniem Włoch w jednolite państwo, trzeba było myśleć o zjednoczeniu federacyjnem, trzeba było choć spróbować federacyi. Tysiącletnia historya tego kraju do tej formy bytu usposobiała; Pius IX. do niej wzywał i dla niej pracował jeszcze przed Cavourem. Silnie zorganizowana federacya mogła z jednej strony uszanować historyą i prawo, wyzyskać dla całości siły organiczne, które wieki w rozmaitych częściach wytworzyły, a zdrugiej strony zbudować potęgę Włoch

materyalną i duchową o jakiej się marzyło. Wszak pierwsze dziś potęgi obu światów, Niemcy i Stany Zjednoczone, są federacyami.

Jeżeli wreszcie zdawało się, że tradycye państewek włoskich niezgodne są i pogodzić się nie dadzą z duchem czasu, jeżeli już godziwym czy niegodziwym sposobem zgruchotało się te wszystkie trony, to jeszcze rozsądek, honor i interes włoskiej ojczyzny nakazywał bezwarunkowo zatrzymać się przed *Porta Pia*. Tu już nie szło o przewrócenie jednego tronu więcej, o pogwałcenie jednego prawa więcej, ale szło o najistotniejszą kwestyą życia dla Włoch. Włochy mogły sobie być jednolitem państwem ze stolicą we Florencyi, z wyłączeniem Rzymu, jak i w Niemczech i indziej bywają wolne miasta wyłączone z ogólnego zarządu państwa. Gdyby Papież miał swoją stolicę, swój port w Civita Vecchia i przezeń wolny stosunek ze światem, wówczas Włochy mogłyby się spodziewać jakiegoś *modus vivendi* z papiestwem, bo choćby prawa władzy doczesnej były w wielkiej części pogwałcone, jednak władza duchowna nie znajdowałaby się w ciągłym stanie gwałtu, posiadając jakąkolwiek podstawę niezawisłości terrytoryalnej. Krzyczano wówczas w niebogłosy, że Rzym jest naturalną stolicą Włoch, a zapomniano, że w nierównie prawdziwszem znaczeniu papiestwo jest naturalnie sercem, siłą i życiem Włoch; że kwestya czy król włoski będzie mieszkał w Rzymie jest dla Włoch, po ziemsku rzecz biorąc, nierównie podrzędniejszą od kwestyi, czy tam będzie mieszkał Papież i czy Papież będzie w zgodzie z Włochami.

Nie pytając o to, poszło się niebacznie naprzód; Wieczne Miasto siłą zostało zdobytem. W tej chwili nie miano dosyć słów, żeby zagwarantować światu niezawisłość osoby i władzy duchownej Papieża, wotowano prawa *guarentigie*, zapewniano urzędownie wszystkie gabinety, że się uznaje sprawę papieską za międzynarodową, że rząd włoski jako depozytaryusz tego skarbu, należącego do wszystkich narodów, uznaje się wobec nich odpowiedzialnym za jego nietykalność, wolność i t. d. Wierzę, że ze strony wielkiej części wspólników tego zamachu zapewnienia te były szczere i musiały być takiemi. Powiedzieliśmy już, że myśl obalenia lub wyparcia papiestwa nie mogła się mieścić w umysłach synów Italii. Tymczasem fakt dokonany za-

twierdził się z tą brutalną mocą, jaką mu dopiero nasz wiek przyznał. Zgodzono się z nim nietylko w sferach politycznych, ale też w tych szerokich sferach myśli, którym wiara nie dosyć przyświeca. Uwierzono że Włochy w swoim interesie dotrzymają obietnicy względem władzy duchownej, że czas złagodzi żale Papieża i katolików, że *modus vivendi* chcąc nie chcąc się wyrobi. Zwracano nawet uwagę, że władza duchowna zamiast stracić na tem upośledzeniu doczesnem, zyskała nowy urok i nową siłę. Prawda, że pod ciosem tego prześladowania majestat papiestwa urósł do niebywałej dotąd wielkości, uprzytomnił się całemu światu i rozniecił więcej niż kiedykolwiek poświęcenie i ofiarność katolików. Ale to zamiast ubezpieczać tych polityków, powinnoby im dać do zrozumienia, że walczą z potęgą nieśmiertelną i że oni tem mniej mają przyszłości, im więcej rośnie ten duch papiestwa, co jich potępia i głosem, któremu historya nigdy kłamu nie zadała, zapowiada, że się z nimi nigdy nie pogodzi.

W gruncie rzeczy obecny stan w Rzymie nie może się ustalić, ani wytworzyć żadnego *modus vivendi* dla dwóch przyczyn: Najprzód, jak już wspomnieliśmy w marcowym numerze „Przeglądu", ponad, albo właściwiej p o p o d narodowemi i politycznemi ideami, które wlokły rydwan Nowej Italii z Turynu do Florencyi a z Florencyi do Rzymu, działały inne, skrytsze, sekciarskie sprężyny, mierzące poza zjednoczeniem Włoch, poza obaleniem władzy doczesnej, aż do zniszczenia papiestwa do szczętu. Tym zapewnie nielicznym, ale potężnym działaczom nie Italia w głowie, nie „wolny Papież we wolnych Włoszech", ale przedewszystkiem i nadewszystko sekciarska nienawiść religii Chrystusowej. A ci bez wątpienia nie zatrzymają się i nie pozwolą temu ruchowi włoskiemu zatrzymać się w pół drogi. Zdobywszy szaniec władzy doczesnej, na słowo Mazziniego, że to jest przedmurze duchownej papiestwa potęgi, już i do tej twierdzy szturmy przypuszczają i przeć będą coraz dalej ku swojemu celowi.

Po drugie jest w obecnym stanie rzeczy wnętrzna sprzeczność, która mu żadną miarą nie da się ustalić. Logika faktów, mocniejsza od ludzi, nie pozwala i nigdy nie pozwoli Włochom utrzymać się na tem sztucznem rozgraniczeniu władzy duchownej od świeckiej, co jest podstawą praw *guarentigie*. Jedno z dwojga:

albo Papież staje się prostym biskupem włoskim, pod ogólnym strychulcem prawa krajowego i pod ramieniem rządu, a wtedy nie może być Papieżem, biskupem świata — albo zostaje Papieżem, choćby takim, jakim go prawa *guarentigie* uznają, a wtedy wychyla się z konieczności rzeczy ponad pojęcie nowożytnego państwa, staje się anomalią, będącą w ciągłych a nieuniknionych kolizyach z atrybucyami tak pojętego państwa. Te kolizye mogą być jakiś czas znoszone, ale zatrzeć się nie mogą, bo leżą w naturze rzeczy i skończyć się muszą zgubą jednej strony, tej, która zginąć może. Roku 1870 dowodzono tego rozumowaniem; dziś dosyć rzucić okiem na fakta z tych kilkunastu lat.

Czy kwestya niezawisłości osoby i władzy duchownej Papieża jest sprawą międzynarodową, jak to Włosi ogłaszali w 1870, czy też sprawą wewnętrzną włoską, jak dziś głoszą? Arcyniewygodnem jest dla państwa, żeby obce mocarstwa miały prawo doglądać, co ono w swej stolicy robi; a znowu niedorzecznością jest, żeby niezależność duchownego zwierzchnika wszystkich narodów nie miało ich wszystkich zarówno obchodzić?

Czy dyplomatyczne stosunki rządów z Papieżem mają ustać, skoro tenże przestał być panującym, jak na to wciąż nalega rząd włoski — czy mimo to Papież powinien mieć akredytowanych nuncyuszów i być otoczony ambasadorami mocarstw, jak tego potrzebę coraz więcej uznają nawet państwa innowiercze?

Czy Papież ma posiadać fundusze przeznaczone na funkcye swej duchownej władzy i zawiadywać niemi niezależnie, jak oczywistość wymaga — czy przeciwnie wszelkie takie fundusze i instytucye papieskie podlegają zaborom, konwersyom i wszelkim widzi mi się rządu i parlamentu włoskiego? Czy inne narody katolickie mają składać kapitały na to żeby je rząd włoski do woli winkulował i konwertował — czy też z ustaniem tej daniny mają ustać misye, nuncyatury, poselstwa papieskie i t. d?

Czy Ojciec św. ma wiecznie zostawać w murach Watykanu jako więzień najezdniczego rządu — czy też ma występować z majestatem sobie należnym, odbierać hołdy obraźliwe dla króla włoskiego, albo obelgi, którychby nie miał władzy poskromić? Obelg mieliśmy próbę przy przeniesieniu zwłok Piusa IX. a co hołdów, gdy przed parą laty na Wielkanoc Leon XIII. chciał dać bło-

gosławieństwo z zewnętrznego ganku św. Piotra, wiadomość ta wywołała w mieście takie uniesienie radości, że wysłannik od ministerstwa przybiegł prosić Ojca św., żeby tego zaniechał, bo w takim razie władze nie mogłyby odpowiadać za porządek.

W końcu kto ma być pierwszą osobą w Rzymie? Kto ma pierwsze odwiedziny obcych książąt i najwyższe hołdy miejscowych mieszkańców odbierać? Czy ten, którego katoliccy monarchowie w rękę całują i za Ojca i Mistrza uznają, czy ten, który nosi koronę włoską?

Słowem, co krok to dylemat nierozwiązalny, co krok to nowy dowód, że obecny stan rzeczy w Rzymie zawiera nieuniknioną sprzeczność. I w rzeczy samej od 14 lat, co ten stan trwa, mimo pozornej ciszy, która czasem Rzym otaczała, nic się nie wyrobiło, nie ułagodziło: owszem, pod wpływem tej logiki faktów, coraz więcej stosunki się naprężały, państwo włoskie coraz więcej doznawało przykrości i upokorzeń, z powodu fałszywej sytuacyi, w jaką weszło, a zarazem coraz dalej się posuwało w krzywdach władzy duchownej Papieża zadawanych. Zacząwszy, zaraz po ogłoszeniu praw *guaretigie*, od zamachów na zakony, duchowne pułki ruchome Stolicy św. i na Uniwersytet Gregoryański, siedlisko wzorowej nauki katolickiej, pod Jej okiem wykładanej, doszło się szeregiem podobnych krzywd i gwałtów aż do bezkarnego znieważenia zwłok Piusa i do świeżego zaboru majątku Propagandy.

Ten ostatni fakt, nie własnym tylko ciężarem, ale dorzuceniem do innych, dopełnił miary i dlatego szala losów Rzymu chwiać się poczyna.

Pierwszym następstwem tego kroku jest zdecentralizowanie Propagandy. List okólny kardynała Simeoni, z d. 15 marca b. r.; ogłasza światu: „że siedlisko zarządu Propagandy przenosi się po za Włochy“, i że ustanawiają się filialne prokuratury w 23 głównych miastach po świecie. Propaganda, choć prawnie całemu światu katolickiemu wspólna, jednak póki była zcentralizowana w Rzymie i rządzona przez Włochów, miała — jak i samo papiestwo — charakter włoski i jako najszczytniejsze dzieło cywilizacyjne, była chlubą narodową Italii. Ale podobno sami Włosi nie wiedzieli, jak dalece była dla nich narodową potęgą. Dziś dopiero, gdy już zapóźno, ich mężowie stanu zwracają na to uwagę.

Między innymi hr. Józef Grabiński — podobno Włoch z polskiego pochodzenia, który wiele na Wschodzie podróżował i zna wybornie tameczne włoskie interesa — w listach drukowanych w bolońskiem piśmie *Stella d'Italia*, wykazuje im na dłoni, jaką szkodę nawet materyalną wyrządzają sobie zatargiem z Propagandą. Na Wschodzie, mówi im, nie popłaca wolnomyślność, ale pierwsze miejsce ma religia, najwięcej znaczy, kto ma poparcie duchowieństwa, tem zaś duchowieństwem rządzi Propaganda. Francya do dziś dnia niezmiernie wiele czyni dla rozkwitu misyj katolickich w całym oryencie. Sam Gambetta głosi potrzebę „zachowania katolickiej klienteli Francyi na Wschodzie". Rząd republiki stara się, żeby Francuzów obierano na godności patryarchy Jerozolimskiego, arcyb. Smyrneńskiego i delegatów Apostolskich w Konstantynopolu i w Syryi. Stolica św. dotąd się oparła tym żądaniom i zachowała te wpływowe stanowiska Włochom z Propagandy wychodzącym. Ale co będzie teraz, kiedy Włochy się tak źle wywdzięczają i kiedy Propaganda już nie będzie miała nic wspólnego z Włochami? Każdy klasztór, każda misya na Wschodzie jest centrem promieniejącem na całą okolicę wpływem swego języka i swej narodowości. Wszyscy się do niego garną po radę, po wsparcie, po lekarstwo, po książkę i podlegają temu wpływowi. Przy ubóstwie kolonizacyi włoskiej na Wschodzie, gdyby nie missye przez Propagandę rozsiane, uroczy język Danta nie brzmiałby wcale w tych stronach i niktby o Włoszech nie wiedział. Wojna więc, mówi dalej Grabiński, którą prowadzicie z Propagandą, jest ruiną waszego wpływu politycznego i waszych interesów ekonomicznych w Oryencie. Kończy znakomity autor nawoływaniem swego rządu do naprawy popełnionego błędu. Ale już zapóźno; dziś już Włochy nie mogą się Propagandą szczycić.

Nie dosyć na tem. Prócz tej domowej szkody i wyrzutów od swoich, natrafił jeszcze rząd włoski na zewnętrzny nacisk, wcale niemiły. Wiadomo, że po fatalnym wyroku sądu kasacyjnego z 29 stycznia, kardynał Sekretarz Stanu okólnikiem dyplomatycznym protestował w imieniu Stolicy św. przeciwko temu gwałtowi. Rząd włoski starał się znów drugim okólnikiem sparaliżować wpływ tego protestu, tłumacząc naiwnie, że ta konwer-

sya jest li tylko dla dobra Propagandy skierowana; poczem Mancini ogłosił w parlamencie tonem tryumfatora, że dyplomacya zagraniczna nie wmieszała się w tę sprawę, i że Włochy nie mogłyby w żadnym razie ścierpieć obcej interwencyi w kwestyi tak wyłącznie wewnętrznej. Tymczasem nietylko papieskie gazety podały stanowczo wiadomość, że dyplomacya (która ma tyle dróg!) znalazła sposób interweniowania po za urzędową drogą; ale też liberalne pisma tak włoskie, jak innych krajów zdradziły się skargami i sarkaniem na mieszanie się obcych gabinetów w nieswoją rzecz. *Neue Freie Presse* (dnia 29 marca) wyraziwszy swe powątpiewanie o szczerości zapewnień Manciniego: że państwa katolickie obojętnemi wobec sprawy Propagandy zostaną, dodaje znacząco: „Są wpływy, co się odczuć dają poza normalną drogą ministrów i ambasadorów“, i nad tą ślepotą wypuszcza *Neue Freie Presse* krokodylową łezkę. Jeszcze wyraźniej mówi półurzędowa *Politische Korespondenz*: „Utrzymują pewne gazety, że mocarstwa nie uwzględniły wcale noty kardynała Sekretarza Stanu. Jeżeli ci panowie temu wierzą, to są istotnie bardzo źle poinformowani“.

„Już przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, pisze korespondent rzymski do *Indépendance Belge*, uczynił u p. Manciniego ustne zastrzeżenia względem majątku kolegium amerykańskiego, należącego do Propagandy... Dowiaduję się, że i przedstawiciele Niemiec, Austro-Węgier i Anglii podobne zrobili zastrzeżenia; i co tym krokom nadaje szczególną wagę to, że pochodzą podobno z uprzedniego porozumienia się mocarstw. Jeśli więc pewne obce rządy nie chciały rozstrząsać w teoryi prawa sądownictwa włoskiego do wyrokowania o sprawach z kościelnymi interesami powiązanych, to jednak faktem jest, że te same rządy pod inną formą dyskutują wyroki naszych najwyższych trybunałów i skłonnymi się pokazują do przeciwstawienia im dyplomatycznych wpływów. Bolesną jest to rzeczą; lepiej jednak skonstatować ten fakt, aniżeli zataić sobie jego istnienie“.

Innemi słowy: Kiedy Mancini oświadczył, że Włochy nie mogłyby znieść obcej interwencyi w tej sprawie, to znaczyło, że znieść muszą to, co się nie zgadza z ich godnością i niezależnością. Że zaś dotąd wyrok sądu kasacyjnego nie został wykonany, to

świadczy wymownie, że pressya obcej dyplomacyi nie została dotąd pokonaną. A choć w końcu dyplomacya ustąpi, to jednak zatwierdziła się raz więcej nienormalność bytu państwa włoskiego.

Atoli to dopiero *initia dolorum*. W parę dni po dekrecie przeniesienia zarządu Propagandy rozchodzi się po świecie wieść, z inicyatywy dobrze informowanych gazet, o możliwym wyjeździe Ojca św. z Rzymu. Na razie pewne gazety przesadzały tę wiadomość i głosiły, że Ojciec św. stanowczo wyjazd zapowiedział; inne ją lekceważyły, jako czczą pogłoskę lub dyplomatyczny manewr. Ale gdy sobie przypomniano, że przed dwoma laty po znieważeniu zwłok Piusa IX. czyniono faktycznie w Watykanie przygotowania do wyjazdu; gdy takie pisma, jak *Moniteur de Rome* i *Osservatore*, zaczęły raz po raz o tym wyjeździe wspominać; gdy doszła wieść, że spisuje się w Watykanie inwentarz dzieł sztuki i innych kosztowności, mających zostać pod opieką obcych państw, zajęły się tem żywo opinia, prasa i sfery polityczne Europy. Niektóre gazety katolickie, jak *Univers*, przemawiały silnie za wyjazdem Ojca św. Inne, jak *Figaro* w głośnym artykule „*Saint Père ne partez pas*“, zaklinały Papieża, żeby nie opuszczał swej stolicy. Gazety zaś wszelkich odcieni, choć różnie oceniały korzyści lub niekorzyści tego wyjazdu dla papiestwa, jednogłośnie jednak twierdziły, że zmiana wstrząsnęłaby Europą a najdotkliwszy cios zadałaby Włochom. „Włosi, mówi półurzędowy organ *Le Paris*, tak monarchiści jak republikanie, niczego się tak nie lękają, jak wyjazdu Papieża z Rzymu. Rząd zrobi raczej wszelkie koncessye, niż do tego wyjazdu dopuści“. *Neue Freie Presse* mówi, że wyrok rzymskiego trybunału kasacyjnego zadał ostatni cios illuzyi tych, co się spodziewali znaleźć sposób pogodzenia Kwirynału z Watykanem. *Times* ubolewa, że ten trybunał nie potrafił znaleźć powodów do wyjęcia dóbr Propagandy z pod ogólnego prawa, coby Włochy od wielu kłopotów uwolniło. *Algemeine Zeitung, Kölnische Volkszeitung* i inne niemieckie pisma mówią, że rząd włoski nie przewidział skutków swego niebacznego kroku, że popełnił błąd, którego skutki odczytuje. *Reichszeitung* zapowiada rewolucyą i republikę we Włoszech, jako skutek wyjazdu Papieża.

Wreszcie 24 marca, w allukucyi konsystoryalnej przemówił Ojciec św.

Pierwszy to raz słyszano z ust Leona XIII. słowa takiego żalu i oraz tak surowego napiętnowania niegodziwych knowań wrogów Stolicy św., którzy ścieśniają go, jak sam mówi, coraz bardziej w jego więzieniu i coraz więcej krępują jego nadziemską władzę i misyą. Jako ostatnie ogniwo w szeregu tych krzywd, wymienia Ojciec św. świeżo zadany gwałt instytucyi, która najwidoczniej do celów duchownych zmierza i do Najwyższego Duszpasterstwa należy, kończy zaś temi słowy:

„Bolesnem jest to wszystko, ale jeszcze boleśniejsze rzeczy przewidujemy i do przecierpienia ich gotowi jesteśmy. Wiemy bowiem, że wrogowie postanowili póty Papiestwo krzywdzić i niem poniewierać, aż trudności zewsząd napiętrzone zmuszą je, jeśli być może, do ostateczności.

Niecny to i szalony zamiar, odpowiedni dla niewolników sekty... ale żadną miarą dla tych, co prawdziwie ojczyznę kochają... i wiedzą, jak dalece moc i majestat Papiestwa dobroczynnemi są dla wszystkich narodów, a nadewszystko dla Włochów".

Ostateczność, o której mówi Ojciec św., jest opuszczenie Rzymu: wynika to z całego toku mowy, z okoliczności czasu, wśród których została wypowiedzianą i z wyraźnego jej komentarza, który nazajutrz ukazał się w *Moniteur de Rome.*, z pióra widocznie inspirowanego. Cała zaś sytuacya jest jasno w tych słowach papieskich określona: Ojciec św. jeszcze nie opuszcza Rzymu; opuścić go nie pragnie; przewiduje wszelako, że go niebawem z konieczności rzeczy opuści: bo sekciarskie knowania czynią mu pobyt coraz niemożebniejszy, a nie zatrzymają się w pół drogi.

Otóż więc do czegośmy doszli. „Kwestya rzymska" jest bliska rozwiązania: ale nie tego, jakiego oczekiwali patryoci włoscy, t. j. pogodzenia papiestwa wyzutego z państwem włoskiem, ani też tego, jakiego się spodziewali sekciarze, t. j. powolnego zgaśnięcia światła władzy duchownej, wskutek obalenia świecznika władzy świeckiej, ale tego, który Opatrzność boska chciała i przygotowała: Papież wyzuty z swego państwa, opuszczony od

władzców świata, przez lat kilkanaście ciemiężony i uciskany, a jednak większy w sercach katolików, potężniejszy nawet w polityce, groźniejszy dla wrogów Kościoła niż kiedykolwiek, idzie ku jednemu z tych dwóch zwycięstw: albo państwo włoskie cudem jakim opamiętuje się i cofa, albo on chwilowo Rzym opuszcza, a niebawem rewolucya toruje mu drogę do tryumfalnego powrotu.

Wyjazd Papieża, mówi z głęboką prawdą *Reichszeitung* z 4 kwietnia, byłby stratą dla Rzymu, gdyż Wieczne Miasto zostałoby bez głowy; byłby nieszczęściem dla Włoch, gdyż wprowadziłby niechybnie rzeczpospolitą; byłby klęską dla całej Europy, boby przyspieszył ogólny postęp rewolucyi. Inna zaś z inspirowanych gazet niemieckich dodaje, że po wyjściu Papieża z Rzymu wyszedłby niebawem i król włoski; ale Papieża odprowadzi do Rzymu duch katolicyzmu; trudno zaś dopatrzyć, coby króla włoskiego przywrócić miało.

Dokądże pojedzie Papież, jak Rzym opuści? pytają liberalne pisma włoskie; gdzie znajdzie tyle swobody zasobów i godności, ile mu jeszcze w Rzymie pozostaje? To istotnie podrzędna kwestya. Dokądkolwiek się uda Papież, nieść będzie w swej osobie centrum moralnej grawitacyi świata: *Ubi Petrus, ibi Ecclesia;* ale nowej stolicy szukać nie będzie, ani w Jerozolimie, jak podobno projektował ks. Bismark, ani na Malcie, ani indziej się nie osiedli. Dokądkolwiek się uda, tam tylko namiot pielgrzyma rozbije. Rzym zaś pozostanie zawsze jego miastem, jego stolicą, nietylko tytularnie, ale tym realnym węzłem wzajemnej atrakcyi, potrzeby i prawa, na który 20 wieków się składało, a którego większe siły niż dzisiejszych Włochów rozerwać nie mogły.

Od wygnania i śmierci Klemensa św. w Taurydzie do ucieczki Piusa IX. do Gaety, kilkadziesiąt razy papiestwo ustępowało z Rzymu przed przemocą, a zawsze zwycięsko wracało — i tym razem, w razie wygnania, pewnem jest prędkiego i świetnego powrotu.

Kiedy tak jest, czemuż więc Papież dziś nie wyjeżdża? Czemuż nie przecina wreszcie tym ciosem nazbyt już zawikłanej sytuacyi? Nie byłożby to pożyteczniejszem dla jego sprawy i dla dobra Kościoła? Nie brak pism katolickich, jakiem wspomniał,

co tak sądzą i wzywają Papieża do wyjazdu. Ale pamiętać trzeba, że Ojciec św. jest Włochem, biskupem Rzymu; więc ciężko mu powziąść decyzyą, któraby na Rzym i Włochy sprowadziła klęski, jakie nietylko on sam przewiduje, ale nawet taka *Reichszeitung* zapowiada. Wzgląd ten w samej jego allokucyi przebija: „Wśród gróźb i anatemów, mówi o niej *Moniteur*, jakie mu wyrywa postępowanie wrogów, niewygasła miłość dla Włoch dyktuje mu jeszcze jakieś wyższe zastrzeżenie".

Te względy muszą przemawiać do serca Leona XIII., ale też muszą mieć swą granicę, bo pierwszy na świecie interes jest interes Kościoła katolickiego i on w każdym przypadku przechyli szalę postanowień Papieża.

Niech Ojciec św. jedzie na wygnanie, albo niech czeka dalej w uświęconem więzieniu Watykańskiem; wszędzie i w każdym razie kierować nim będzie Duch św., a towarzyszyć mu będą serca nasze; wszędzie i w każdym razie służyć mu będą na skinienie wszystkie duchowe i materyalne siły katolickiego świata, których dziś jest władzcą więcej i widoczniej niż kiedykolwiek, a osłaniać go będzie moc Tego, który powiedział: „Ufajcie, Jam świat zwyciężył". *X. M. Morawski.*

Z Warszawy. *Prasa codzienna.* Ci, którzy z zestawień liczb lubią wyprowadzać wnioski o stanie moralnym lub cywilizacyjnym rozwoju danego społeczeństwa, powinniby zwrócić swe studya do obliczeń wychodzących dzienników i czasopism. Doszlibyśmy może tą drogą do statystyki przekonań i stronnictw, które lubo pod innemi nazwami *mutatis mutandis* z pewnemi modyfikacyami, odmianami i stopniowaniem dzielą dziś świat cały cywilizowany na dwa obozy: obóz chrześcijański i tę wielką ruchawkę przeciwników zdążających pod różnemi godłami, ale w wspólnym celu negacyi.

Walka ta nigdzie nie występuje z większą namiętnością a bardziej systematycznym celem, niż właśnie w arenie dziennikarstwa różnych krajów europejskich. Dwie zwłaszcza pokrewne potęgi, judaizm i sekciarstwo podają sobie tu ręce, aby w ścisłym sojuszu zawładnąć nad tem szóstem, jak go przezwano, mocarstwem europejskiem. Kto wątpi o wpływie sekt wolnomularskich w dzi-

siejszych czasach, ten niech wniknie w arkana t. z. liberalnej prasy we Francyi, Belgii, Włoszech, Niemczech, a wnet przekona się, jak na tem polu narzucania i fabrykowania opinii czynną, zręczną, solidarną i karną jest ta falanga. Do wyjątków niemal należą większe zwłaszcza dzienniki polityczne w stolicach europejskich, które zachowały swoją niezależność wobec sekty. Niemniej przeważnym wpływ judaizmu w tej dziedzinie dziennikarstwa.

U nas tak źle jeszcze nie jest a przynajmniej równoważą się szale publicystyki katolickiej z organami przeciwnego kierunku. Nasz liberalizm dziennikarski, miewający zapędy anarchiczne lub pociągi do skrajnych teoryj, bywa często naiwnem narzędziem wpływów obcych, którym ulega bezwiednie, lub też różne jego odcienia i gatunki od umiarkowanych do skrajnych bywają tylko małpowaniem i modą. Nie śmielibyśmy atoli twierdzić, aby pewna część tej prasy nie słuchała także sekciarskich *mots d'ordre,* inne zaś zwłaszcza w Warszawie pozostają w zawisłości materyalnej od sfer semickich.

Dziennikarstwo polskie, mające cztery ogniska: Warszawę, Kraków, Lwów i Poznań, różni się wielce według odmiennych warunków lokalnych i bardzo sprzecznym ulega wpływom, a zwolna rozprzęga tę jedność myśli i uczuć, która w podzielonem utrzymywała się społeczeństwie, dopokąd książka nad dziennikiem miała przewagę. Literatura, ten wielki łącznik życia duchowego, lubo u nas nie abdykuje, owszem, nowem tryska życiem i w świeże przyodziewa się szaty, mimo to jednak zostaje w pewnej zależności od prasy. Coraz mniej książki mają czytelników i nabywców, a skutkiem tego i nakładców; rozpowszechnienie zaś dzienników wzmaga się ustawicznie. Ten ogólny zresztą objaw sprawia, że autorowie grupować się muszą koło dzienników, i chcąc nie chcąc przyjmować ich sztandary. Stąd i literatura przybiera publicystyczny charakter, przemawia powieścią w feiletonie, zapełnia poważniejszemi rozprawami przeglądy, powstają nietylko szkoły, ale stronnictwa literackie. Indywidualizm piszących zaciera się w tem grupowaniu kół redakcyjnych. Nazwy stronnictw, lub ich przezwiska bywają często udziałem jednego miasta, i tak Kraków tylko miał Stańczyków, Lwów tromta-

dratów, Warszawa młodych lub pozytywistów. Po za złośliwą lub żartobliwą nazwą ukrywa się często rzecz bardzo poważna lub objaw sięgający głęboko.

Warszawa trzyma prym pod względem ilości pism i mnogości prenumeratorów. Okrom tego bowiem, że sama ma już cechę europejskiej stolicy, że leży w samem centrum kraju, jest jedynem niemal ogniskiem, którego promienie obejmują Litwę, Wołyń, Podole, Ukrainę, Białoruś i sięgają dalej do Petersburga, gdzie kolonia Polska liczy 30.000 stałych mieszkańców, Kijowa, Odessy i w głąb cesarstwa rosyjskiego, gdziekolwiek rozrzuceni Polacy. Powiększa to niezmiernie odpowiedzialność, obowiązki i zadania prasy warszawskiej, ale także potęguje i zapewnia warunki materyalne. Stosunek prenumeraty pism warszawskich do pism galicyjskich, przedstawia się jak 1—10 a niekiedy 1—20. Liczba abonentów wszystkich dzienników krakowskich i lwowskich razem wziętych nie przechodzi 10.000, w Warszawie na 6 codziennych gazet niema jednej, którąby miała niżej 4000 abonentów, a *Kuryer warszawski*, ma ich 20.000. Mimo tego, jak nas zapewniają, z wyjątkiem *Kuryera*, *Gazety warszawskiej*, *Wieku* i dwóch pism illustrowanych, wszystkie dzienniki i przeglądy warszawskie nie obywają się bez subwencyi swych protektorów niekiedy bardzo wysokiej. Wymaga tego sama już konkurencya, drogość warunków życia i podnosząca się ustawicznie stopa wynagrodzenia pracy dziennikarskiej i literackiej. Konkurencya dzienników politycznych w Warszawie nie da się wytłómaczyć potrzebą polityczną lub ścisłym rozdziałem stronnictw. Z natury stosunków miejscowych wypływa, że dzienniki muszą mieć przeważnie charakter sprawozdawczy i nowinarski, gdy pole inicyatywy politycznej akcyi ścieśnione lub zgoła zamknięte.

Była chwila, kiedy utrzymywanie własnego organu należało do tych zbytkowych wydatków, jak świetny ekwipaż lub wspaniały apartament, których często w świecie plutokracyi wymaga reputacya i interes firmy. Kilka dzienników zawdzięczało swoje istnienie tej ambicyi i tej emulacyi. Odbiło się to na kierunku tych pism, jak w ogóle w całym ruchu literackim Warszawy daje się silnie uczuwać merkantylizm księgarski.

Z drugiej atoli strony nie brak ofiarności obywatelskiej

i szlachetnych usiłowań piszących, aby stworzyć i utrzymać organa dla obrony zasad i przekonań. I tu znów widzimy ów rozdział na obóz konserwatywno-katolicki i postępowo-pozytywny, bo tak zowie się dzisiaj w Warszawie szkoła i stronnictwo, które niesie z sobą same zaprzeczenia i cofa się wstecz w drodze, którą kraj od wieków szedł naprzód. Jeden i drugi kierunek ma nietylko zdolnych i śmiałych szermierzy, ale także hojnych protektorów, i co rzecz wyjątkowa, konserwatyści nie ustępują w ofiarach i gorliwości swoim przeciwnikom, owszem przewyższają ich, skoro z tych samych kieszeń kilka pism otrzymuje stałe subwencye, a co ważniejsza doznaje moralnego poparcia poważnego zastępu mężów.

Publicystyka warszawska mimo odcieni, ma pewien wspólny nastrój, przymioty i wady sobie właściwe. Z wyjątkiem dwóch pism skrajnych, pozostających pod redakcyą p. Świętochoskiego, które wniosły tam od lat kilku zamęt, wypierając się wszystkiego, co ogół naszej społeczności czci, wyznaje i kocha, kolportując pozytywizm francuski, materyalizm niemiecki a skłaniając się ku dążeniom asymilacyi szczepowej, wszystkie inne organa jeśli nie w duchu i treści, to w formie zachowały przyzwoitość i umiarkowanie. Jakaś tradycya salonu literackiego ochroniła dziennikarstwo stołeczne od tego zawadyactwa, skorego do paszkwilu, potwarzy i brutalnej polemiki właściwego tym, których szkołą towarzyską była tylko kawiarnia. Po za tą ogładą, wśród licznej rzeszy dziennikarskiej, ukrywa się może wiele zawiści, małostek i wiele mierności, ale utrzymało się jedno wyższe poczucie pewnej moralnej solidarności, gdy chodzi o dobro publiczne wobec obcych żywiołów. Na dobrą wolę dziennikarstwa, bez względu na barwę, mógł w Warszawie liczyć każdy, kto coś pożytecznego podejmował. Owszem prasa warszawska bardziej skora do pochwał i reklam niż do paszkwilów, niezawsze odznacza się duchem krytyki, ale przeważnie cechuje ją dobra wola.

Zarzucano niejednokrotnie prasie warszawskiej pewną płytkość i powierzchowność poglądów przy biegłości niemal rzemieślniczej. Cech dziennikarski liczny, a najdawniejszy ze wszystkich miast polskich, nie wydał nigdy mistrza, któryby zapisał swe imię na zawsze w literaturze publicystycznej, lub w życiu publicznem

wywarł wpływ stanowczy. Ta ogólna mierność da się wytłómaczyć trudnymi warunkami krępującymi prasę, a zużywającymi siły.

Lecz przystąpmy do krótkiego przeglądu pism, zaczynając od codziennych.

Najstarsza wiekiem *Gazeta warszawska*, która już przeżyła kilka przewrotów politycznych, jest wiecznie młodą duchem, który ją ożywia i do chwytania każdej skłania nowości. Godząc dawną rutynę i tę siłę, jaką zapewnia przyzwyczajenie czytelników z ponętą liberalizmu, cieszy się ona zawsze dobrem zdrowiem i powodzeniem a i dobrą sławą u ludzi.

Nie z jakiejś doktryny obcej lub też zawisłości sekciarskiej dostała się ona na tory europejskiego liberalizmu, chwaląc wszystko co na czerwono zabarwione, ale z naśladownictwa i pewnej metody, wyrobionej w warunkach cenzury. Przywykła omawiać pod figurami, przez analogię to, co wprost wypowiedzieć było trudno; stworzyła ku temu odrębny język, który czytelnik na prowincyi wybornie rozumie, zapuszczając się w domysły i kombinacye polityczne. Nie inny był powód entuzyazmu dla odradzających się Włoch i dla ich bohatera w czerwonej bluzie, dla republikanizmu francuskiego i jego trybuna, lub też sympatye dla żelaznego kanclerza, do którego tajemnych zamiarów posiada *Gazeta* osobne klucze, jak posiadała dar odgadywania planów Napoleona III. Wszystko to są antitezy, analogie lub aluzye, ale które nie mało przyczyniły się do rozbałamucenia i skrzywienia opinii w kraju. Jest pewna misterna wprawa i zręczność w tej metodzie; wpływ jednak zawsze szkodliwy, zwłaszcza, że pod względem polityki zagranicznej najlepiej to redagowany dziennik, obfitujący w korespondencye, oryentujący się z łatwością, a stąd nader wzięty i innym stawiany za przykład. Grzechami *Gazety* było to, że rozpowszechniła po szlacheckich dworkach i w sferach mieszczańskich kult Garibaldego i Gambettty, że wprowadziła nomenklaturę liberalizmu, który wszystko co katolickie zowie klerykalnem i lęka się widma ultramontanizmu i wszelkiego rodzaju reakcyi. Nadto przyzwyczaiła ona oddawna, przed wszystkiemi katastrofami, publiczność czytającą do tej polityki wyglądania oknem na horoskopy zbliżających się burz, z optymistyczną zawsze wróżbą.

Obok tych nałogowych grzechów, zaprzeczyć *Gazecie warszawskiej* nie można pewnych cnót obywatelskich, któremi zaszczytnie się różni od swych koleżanek we Lwowie lub Krakowie pokrewnych duchem. Choć sposób patrzenia się na świat bardzo zbliżony, nie ma ona jednak na sumieniu, aby szerzyła wewnątrz społeczeństwa jakiś rozbrat, aby skrzywdziła kogoś na sławie, lub z umysłu przeszkodziła jakiejś pożytecznej rzeczy i odtrąciła myśl dodatnią dlatego jedynie, że inicyatywa tej rzeczy, lub jej kierunek, wychodzi od ludzi przeciwnego obozu. Owszem, w ciągu długiego swego żywota *Gazeta warszawska* nie bawiła się nigdy w opozyę przeciw swoim. Szanuje ona duchowieństwo w kraju, choć walczy z klerykalizmem rzymskim, uznaje arystokracyi zasługi, choć sympatyzuje z europejską demokracyą, kocha szlachtę i mieszczaństwo, wierzy w obywatelskość żydów a jest właściwie organem średnich wartsw.

Gazeta warszawska stoi o własnych nogach, lubo nie wzbogaciła redaktora, odznaczającego się niepospolitym talentem dziennikarskim i niezmordowaną pracą. P. Kenig, Krakowianin z rodu, za młodu przeniósłszy się do Warszawy, wyrabiał się w fachu dziennikarskim pod kierunkiem poprzedniego właściciela *Gazety* Lesznowskiego. Po śmierci swego szefa, dał dowód szlachetnej bezinteresowności, podjął się bowiem trudów wydawnictwa, wyrzekając się korzyści na rzecz wdowy i sierót swego dawnego pryncypała. Zdolny ten publicysta, osobiście wzbudzający powszechne sympatye, osłaniał firmą swego imienia dziennik, któremu poświęcił się całkowicie, ale nie zawsze był szczęśliwy w wyborze współpracowników. Głównie współudział jednego wykolejonego księdza oraz korespondencye rzymskie, pochodzące ze znanej fabryki p. Kulczyckiego, nadały *Gazecie warszawskiej* barwę wrogą Kościołowi i wykoleiły ją oddawna z toru zdrowych zasad. Przyznać atoli wypada, że *Gazeta warsz,* w ostatnich czasach znacznie zmodyfikowała się w tych zapędach a to pod wpływem dwóch przyczyn. Z jednej strony oddziałała konkurencya pism o wydatnie katolickim kierunku, z drugiej zaś skrajność tych młodych organów, które stanowią ostrzeżenie dla opinii warszawskiej, że gdy się zrywa z Kościołem, to w konsekwencyi przychodzi zerwać także z tradycyami narodowemi.

Współzawodniczka *Gazety warszawskiej, Gazeta polska,* o wiele młodsza od swej koleżanki, liczy jednak przeszło 20 lat istnienia i przebywała różne fazy. Pierwotnie powstała ona z pisma założonego przez grono konserwatystów umiarkowanych, czyli t. z. białych i nosiła nazwę *Kroniki.* Kierunek redakcyi powierzonym był wtenczas Henrykowi Rzewuskiemu i Julianowi Bartoszewiczowi. Po ustąpieniu Rzewuskiego weszli młodzi ludzie do redakcyi *Kroniki,* którzy dziś zaszczytne zajmują stanowiska na innem polu: Leon Zbyszewski i Konstanty Górski. Kiedy zapanował prąd bratania się ze społecznością starozakonną i demonstracyi mających świadczyć o tym sojuszu stronnictwa białych z potęgami świata finansowego, Leopold Kronenberg nabył *Kronikę,* dał jej nazwę *Gazety polskiej* i powołał do jej kierownictwa J. I. Kraszewskiego, przebywającego podówczas na Wołyniu. Kraszewski, wyrwany ze świata wyobraźni właściwego powieściopisarzowi i postawiony u steru opinii, nerwowością swej natury nie mało się przyczynił do zwiększenia gorączki i chaosu wyobrażeń, jaki zapanował w Warszawie w r. 1861, jednego dnia broniąc, drugiego podkopując politykę margr. Wielopolskiego; a dziennik stworzony w intencyach zachowawczych, redagowany przez ludzi katolickiej barwy, jak Rzewuski i Bartoszewicz, stępował zwolna na tory liberalizmu, głównie dlatego, aby nie odstraszyć „braci wyznania mojżeszowego". Od dziesięciu lat *Gazeta polska* pozostaje pod redakcyą szwagra p. Kronenberga, który jest jej właścicielem, dr. Edwarda Leo. Organ ten redagowany z miarą i taktem, odznacza się dobrą dziennikarską fakturą, ale jest dość berbarwny. Tradycya domu, którego jest własnością, sprawia, że *Gazeta* w rzeczach dotyczących ekonomicznych interesów oddaje krajowi dobre usługi, ma ona pewien konserwatyzm materyalistyczny, zasad żadnych nie zatwierdza, ani im nie przeczy, nie naraża się nikomu, jest więc przedsiębiorstwem nieszkodliwem, ale bez wydatnego charakteru i wyższej racyi bytu. Obszerne korespondencye z Galicyi, lubo zajmujące i wyczerpujące, nie zawsze bywają bezstronne, jak w ogóle obie powyższe *Gazety* służą często za echo krzykliwych tendencyj publicystyki galicyjskiej.

Kuryer warszawski powstał za rządów księcia Paskiewicza, jako brukowe pisemko w rodzaju niemieckich *Anzeigerów,* a tak

odpowiadał potrzebie wielkiego ruchu stołecznego miasta, że zdobył sobie szerokie wzięcie i stworzył osobny styl kuryerkowy za redakcyi ś. p. Kucza, styl wysoki i wzniosły, gdy mówił o rzeczach drobnych i codziennych. Przeszedłszy na własność p. Wacława Szymanowskiego, porzucił dawną napuszystość, choć rozszerzył swój zakres i obok nowiniarstwa podaje także przeglądy polityczne, rozbiory literackie i artystyczne, zajmujące feiletony, a nawet i polemiczne rozprawy.

Nie zapuszczając się w głębokie kombinacye, bywa często najlepiej informowany. Z brukowego pisemka *Kuryer* stał się dziś organem wielkiego wpływu na opinią miasta i kraju, a zawsze idzie za najlepszem natchnieniem. Jest tu pewne podobieństwo z paryskim *Figaro;* ale lekkość dowcipu w anegdotach lub pogadankach feiletonowych nigdy nie przechodzi w swawolę wątpliwej moralności i przyzwoitości. Niema wprawdzie artykułów Saint Genesta, ale niema także powieści ze szkoły Zoli. Nie szczędzi pochwał dla tego, co pochwały godne, ale broni reklamy używa bezinteresownie. Jest to niewatpliwie regulator opinii warszawskiej; wieje z niego poczciwość i dobry humor, który odznacza sympatycznego redaktora, dosiadającego z równą łatwością pegaza w dramatach i komedyach, jak władającego piórem dziennikarskim z wprawą i bystrością. Poczciwe też na dnie są tu przekonania i uczucia. Stała rubryka wszelkich nabożeństw w mieście daje cechę katolicką pismu. Popularność i rozpowszechnienie *Kuryera* jest niezmierne, a stąd i wpływ szeroki: od straganu przekupki warszawskiej, aż do najwykwintniejszego salonu nikt się bez *Kuryera* obejść nie może. Jedyne też to pismo polskie, które używa stereotypów. Organizacya redakcyi jest też oryginalną, składa się bowiem z całej rzeszy raporterów, nad którą stoi dyktatura właściciela i głównego redaktora.

Kuryer codzienny mniej o wiele rozpowszechniony, jest też mniej znaczącym. *Kuryer świąteczny,* jest przedsiębiorstwem bez wartości.

W ostatnich latach konkurencya dziennikarska się wzmogła, jakby w oczekiwaniu zmian, które dozwolą naznaczenia się bardziej wyraźnego stronnictw i kierunków, podejmowania nowych zadań i inicyatywy. Kolejno występowały nowe dzienniki: *Wiek, Echo,*

Słowo i *Nowiny;* trzy pierwsze z dążnością zachowawczą i pod sztandarem katolickim, *Nowiny* zaś pod sztandarem jednej z najpotężniejszych firm bankierskich.

Nowiny, własność p. Blocha, pomimo tak potężnej protekcyi a redakcyi zdolnego feiletonisty, Bolesława Prusa (Głowackiego), nie przetrwały dwóch kwartałów. Hiperprodukcya ta dziennikarska stała się także powodem, że brakło sił żywotnych dziennikowi *Echo,* najlepszemi ożywionemu chęciami a redagowanemu przez młodego krakowianina, p. Zygmunta Przybylskiego. *Echo* skutkiem ugody ucichło, połączywszy się ze *Słowem.*

(C. d. n.)

Kraków. — *Z wystawy obrazów.*

— Byłeś na wystawie obrazów?

— Nie.

— To idź.

— Cóż tam jest?

— Dawno nie była tak ciekawa. Jest najprzód: nowy Malczewski; jest śliczny obrazek Pochwalskiego, doskonała akwarela Fałata, chwytający za oczy widoczek morski nieznanego mi dotąd jakiegoś monachijskiego impresyonisty Wiewiórskiego. Jest dobry bardzo rodzajowy obrazek Bieszczada i wiele jeszcze drobniejszych a ciekawych rzeczy.

Zaczynam od obrazka Pochwalskiego, bo ten pokazuje nam nie powiem nowy talent, wszyscy bowiem patrzyliśmy przeszłego roku z prawdziwą radością na portret w polskim stroju tego samego artysty, ale dlatego, że pokazuje nam ten talent z innej i dużo głębszej strony. W spokojnym kącie przedmiejskiego szynku, siedzi przy stole przy lampkach wina trzech ludzi, opowiadający coś żywo starzec z siwą brodą, inwalid czy żebrak a pewno jedno i drugie, bo o kuli i z krzyżem zasługi a w podartych sukniach, i dwóch młodziutkich żołnierzy, którzy go słuchają. Za nimi stoi służąca szynkowni, która widać od chwili, gdy przyniosła wino i usłyszała kilka słów opowiadającego, już się oderwać nie może i dalej słucha. To natężone słuchanie tych

trzech istot z duszą zda się zawieszoną na ustach starca jest oddane z takim mistrzowstwem, szczególnie w postaciach dwóch żołnierzy prawda uchwycona jest tak żywo i tak bezpośrednio rzucona na płótno, że nas zdumiewa i do obrazka przykuwa. Dziś zaś, gdy tak świeżo mamy w pamięci twarze młodych chłopców wsłuchanych w głośno czytane „Ogniem i mieczem", gdyśmy tyle razy mogli śledzić na nich zachwyt i boleść i radość i zdziwienie, a na dnie tego jakieś smutne poczucie niemocy i żal, że ten świat dzisiejszy tak zupełnie niepodobny do dawnego, dziś obrazek ten jest czemś więcej niż prostem *genre*, a ów kot w głębi, który patrzy chciwie na szereg kiełbas powieszonych za wysoko, świadczy, że i artysta chciał aby był czemś więcej. A jednak jest tam coś, co nie zupełnie zadawalnia. Głowa starca zbyt mało żołnierska, zbyt zwykła, przypomina zanadto wszystkich idealnych lirników i żebraków, jakich kiedykolwiek malowano, i chociaż z całej postawy jego i ruchu (szczególnie ręki) znać, że opowiada, patrząc na słuchających dziwić się przychodzi, że opowiada tak zajmująco. Ani te rysy twarzy, ani ten wyraz tego nie obiecują. I w tem jest pewien dysonans i brak pewien, ale obrazek zawsze niepospolity i bardzośmy zań panu Pochwalskiemu wdzięczni.

Nowy obraz Malczewskiego jest trzecim z rzędu ze sybiryjskich stosunków. Sceny z Anhelego bowiem nie liczę, mogłaby ona co najwięcej być tytułową kartą cyklusu, którego główną cechą jest pewnego rodzaju krzyczący realizm. Patrząc na trzy obrazy: Śmierć wygnaki — Spoczynek skazańców — i trzeci dzisiejszy, mamy przed sobą coś nakształt Wagnerowskiej „*Unendliche Melodey*", ten sam motyw powtórzony z odmienną instrumentacyą w coraz wyższym tonie. Jest i w tem podobieństwo, że te obrazy, tak jak i owa muzyka pełna uczucia i bogata w piękno, działają przedewszystkiem na nerwy i trzeba pracy i wysiłku umysłu i woli by po za tem silnem nerwowem wrażeniem owe elementa piękna odszukać i owe głębie uczucia zrozumieć. Obrazy Malczewskiego ciągną nas ku sobie i przeszkadzają nam byśmy w nie nie weszli — i w tem może właśnie jest ich niezwykły urok, zupełnie dla nas nowy. Ostatni obraz przedstawia znowu tych samych nieszczęśliwych skazańców, którym urzędnik

pocztowy, przynosi listy z kraju, pełne wiadomości o nowych i coraz to większych nieszczęściach. Jest w tem więc podwojenie, a raczej jakieś bezgraniczne spotęgowanie boleści i cierpienia, które pochłonęło wszystkich i wszystko, obok którego nic nie zostało, chyba w dali sołdat na warcie, a na pierwszym planie ów urzędnik z twarzą obojętną, a wobec otoczenia dziwnie bezczelną, która kontrastem swoim wrażenie boleści jeszcze potęguje. Jeżeli nad śmiercią wygnanki chciałoby się cicho zapłakać, przy wypoczynku skazańców szlochać z żalu, to tu przychodzi chyba ryczeć z boleści, taka tu bezdeń nieszczęścia! — Nieraz gdy za granicą była mowa o naszym kraju, gdy mnie wypytywano o położenie nasze, o prześladowanie... czułem, jak tego co mówiłem nikt nie rozumiał, jak wszystkie słowa moje przystosowywano do stosunków europejskich i jak w tem ich znaczeniu mało robiły wrażenia, i czułem także jak na to, by wypowiedzieć c o j e s t, nie było słów na świecie. Czy pendzel będzie szczęśliwszy? Grottgier rzucał w świat obrazki pełne poezyi i grozy, kupowane przez chciwych wrażeń Anglików, ale niezrozumiane zupełnie. W Malczewskim jest więcej realizmu, więcej krwi i nerwów i duszy więcej, ale przekonany jestem, że i ich prawdziwe znaczenie będzie dla cudzoziemców księgą zapieczętowaną na zawsze siedmioma pieczęciami, że je zrozumiemy tylko my — a oby wszyscy!

Po Malczewskim trudno patrzeć na cokolwiek, trudno o czemkolwiek mówić, a jednak są na wystawie jeszcze obrazy ciekawe, których pominąć nie można. Rodzajowy obrazek Bieszczada udał się bardzo. Do biednej izdebki szewca, przyszły dwie panienki wracające z książkami ze szkoły. Jedna, mniejsza, siedzi na krzesełku i ma jednę nogę bez bucika. Druga, starsza jej siostra, stoi przy niej i patrzy z pewną obawą w twarz szewca, który trzyma w ręku ów zdjęty bucik, straszliwie podarty, i wpatruje się weń z pewnem niedowierzaniem czy da się jeszcze ocalić. Szczególną zaletą tego obrazu jest bardzo sumienne studyum i pełne talentu odgadnięcie natury. Żaden szczegół nie jest lekceważony, wszystko układa się do harmonii i do wypowiedzenia tego, co artysta chciał wypowiedzieć. Ubiór panienek staranny ale wyszarzany, paltociki widocznie niejednokrotnie przerabiane, kapelusiki stare,

choć usiłowano ubraniem dać im cechę świeżości, widać tu troskliwą rękę, po za którą odgaduje się nędzę bez wyjścia. Widać, że sprawa trzewika nie jest drobna, bo jeśli naprawić się nieda, nowego niema za co kupić. i panienka przestanie chodzić do szkoły. Zdaje się, że i szewc poczciwy to rozumie, bo widać mu z twarzy jak pragnie biedzie zaradzić, i ufa się, że przecież zaradzi.

Ten obrazek ma swoją stronę, która się patrzącemu mimowolnie nasuwa i która jest może główną przyczyną głębszego wrażenia jakiego się doznaje. Wszędzie obrazek ten byłby ceniony bardzo, ale gdy gdzieindziej byłby jednym z wielu podobnych rodzajowych obrazków, u nas jest nadto wymownym wyrazem naszej nędzy, nędzy galicyjskiej, która niema podobnej na świecie. Gdy zatoczymy najbliższe koło: Podole i Wołyń, Królestwo i Poznańskie, Szląsk i Morawa i Czechy i Austrya i Węgry i Siedmiogród i Bukowina i Besarabia nawet, wszystko to są wobec Galicyi kraje kwitnące. U nas zacząwszy od panienek chodzących do szkoły i studentów niemających lekcyi, ani co jeść ani czem zaświecić, aż do owych większych właścicieli ziemskich, których wszystkie usiłowania skupiają się w tem, by się wymigać od sekwestracyi za procenta bankowe lub podatki.... wszystko nędza. To oś, około której kręci się wszystko, to ostateczny argument ludzi nauki starających się o posady, rzemieślników szukających pracy, a nawet malarzy mających swe obrazy na sprzedarz. Nędza, żebranina pełna goryczy i miłosierdzie pełne złego humoru, oto nasze główne czynniki społeczne. Człowiekowi znającemu te opłakane stosunki nasze cały szereg obrazów tej gniotącej nas nędzy wysuwa się jakby wywołany różczką czarodziejską przez ową straszliwą dziurę z trzewiczka biednej panienki Bieszczada.

Widoczek morski Wiewiórskiego — to znowu zupełnie coś innego. Jest to dzieło głębokiej znajomości efektów natury i efektów malarskich, świetnego kolorytu nieba, morza i ziemi; nie ma treści, a nęci tylko uciechą jaką oku sprawia. Ale uciecha to wielka, i chciałoby się mieć ten obrazek zawsze w swoim pokoju, by módz w chwilach smutnych popatrzeć nań i rozweselić swą duszę.

Byłoby jeszcze wiele do pisania, a szczególnie chciałoby się wylać żółć swoją na mnogie płótna mierne a nawet liche lub wstrętne. Ale to innym razem, by nie odciągać ciekawych od wystawy, którą zawsze widzieć warto.

X. Eustachy Skrochowski.

Druk ukończony dnia 24 kwietnia 1884.

ŚW. TOMASZ Z AKWINU
i dzisiejsza filozofia.

II.

Rozpatrując się w treści Encykliki, której główne zarysy wiernie staraliśmy się nakreślić, mimowoli budzi się w nas to przekonanie, że mamy przed sobą dzieło prawdziwie papieskie, akt katolickiej t. j. powszechnej doniosłości. Tendencya Encykliki odpowiada najzupełniej wzniosłemu zadaniu Namiestnika Chrystusowego na ziemi. Zbawienie dusz, to cel, który wywołał ów objaw pasterskiej troskliwości; zabłąkanie się dusz w labiryncie błędnych zasad i wynikająca stąd zguba tak dla jednostek jak i dla społeczeństwa, to przedmiot troski i obawy Ojca św., nauka wreszcie anielskiego Doktora, oto zaradczy środek przeciw obłędom i zamętowi pojęć.

Zapatrując się na tę odezwę papieską ze stanowiska naukowego, koniecznem następstwem logiki, dwa nasuwające się nam pytania rozwiązać musimy. Naprzód, czy stosunki dzisiejsze właśnie pod względem zasad istotnie tak są niebezpieczne; powtóre, czy środek podany, do zamierzonego celu doprowadzić zdoła? Obydwa te pytania stanowią przedmiot, w którym bliżej rozpatrzyć się nam wypada.

Niedziw, że Encyklika Leona XIII., mimo najlepszych zamiarów, nie znalazła wśród świata przyjaznego przyjęcia, na jakie niewątpliwie zasługiwała. Bo przecież świat nasz z niczego tak się nie pyszni, jak właśnie ze swych zasad i filozofii, na której te zasady bezpośrednio się opierają. Dlatego wiek nasz szumnem ochrzczono mianem wieku oświaty i postępu. Jest to więc

pewnem upokorzeniem dla dzisiejszego świata słyszeć, że właśnie w jego filozofii i wynikach z niej wypływających leży niebezpieczeństwo zguby, zarodek upadku. Z tej to przyczyny podniósł się z wielu stron okrzyk oburzenia i stokrotnem echem rozbrzmiał po świecie, skoro ów słynny Syllabus spadł nań jak piorun z pogodnego nieba. Że Pius IX. taki pocisk przeciw światu rzucić potrafił, to łatwiej jeszcze sobie tłómaczono jego charakterem, ale żeby Leon XIII., „człowiek tak umiarkowany, taktowny, tak głęboko wykształcony, mógł w podobny sposób występować, to rzecz niepojęta, niezrozumiała!“ [1] Czyliż więc może Leon XIII. istotnie nie umiał przeniknąć ducha czasu i źle go zrozumiał? Zobaczymy.

Badajmy dzieje filozofii w dwóch ostatnich stuleciach, a odsłonią się naraz z niezaprzeczoną jasnością następujące fakta, wyświecające początek, rozwój i ostateczne wykończenie filozoficznego stanowiska dzisiejszego świata. W Kościele katolickim, aż do czasów t. z. Reformacyi, utrzymała się tak na polu wiary jak i w zakresie rozumowych badań zgodna, jednolita filozofia. Była to spuścizna po Ojcach Kościoła, ukształcona na wzór Stagiryty, wykończona trudem genialnych umysłów, któremi Opatrzność rozjaśniała ową osławioną ciemnotę wieków średnich. Filozofia w sojuszu z wiarą, w niej światło czerpała, blask swój własny w zamian jej oddając. A choć i w niej istniała rozmaitość systemów, lecz były to tylko odmienne harmonizacye tejże samej pieśni, różne formy tych samych zasadniczych pojęć, stanowiących wspólną ojcowiznę wszystkich katolickich myślicieli. Odszczepieńcy filozofii byli też zawsze odszczepieńcami we wierze — i na odwrót, herezya dogmatyczna wiązała się zawsze z filozoficzną herezyą. Stosunek ten miał się zmienić z pojawieniem się na świat humanizmu i wybuchem religijnej rewolucyi [1].

W dwuwiekowej prawie walce o jedynowładztwo między Nominalizmem a starą Scholastyką, czysta i jasna nauka Tomasza z Akwinu, coraz to więcej szła w zapomnienie. Nawet zwolennikom Doktora anielskiego, subtelność i niezrozumiała zawiłość dziwną zjednały powagę. Liczba technicznych wyrazów szkolnych

[1] Gazzetta di Torino.

rosła w nieskończoność, a wprowadzano je z takiem zaniedbaniem i pogardą wszelkich form językowych, że słownik filozoficzny podobniejszym się zdawał do jakichś zaklęć czarnoksięskich, niż do zwierciadła myśli, w którem światło i prawda ludziom ukazać się miała. Tym sposobem złoty rdzeń dawnej Scholastyki powlokła gruba warstwa ciemnych formułek, ostroumnych dystynkcyi, czczych a bezcelowych zagadnień, z pod których trudno było wygrzebać jakieś ziarnko prawdy.

W tych to czasach odmładzająca się Europa znalazła na nowo otwarty przystęp do dzieł starożytnych klasyków. Z młodzieńczym zapałem zaczęto się w nich rozczytywać, odkrywając coraz to świeższe wdzięki piękna i poloru, coraz wspanialsze wykończenie stylu, coraz milszą giętkość języka. Jakże rażąco odbijać się musiała ówczesna Scholastyka w barbarzyńskiej swej szacie od tych bogactw wskrzeszonego świata klasycznego! Różnica to była jak dzień do nocy! Nic więc dziwnego, że ten kontrast wpłynął stanowczo na niekorzyść prawdziwej filozofii. Jak uwielbienie starożytnego klasycyzmu zakrawało na cześć bałwochwalstwa, tak i wzgarda okazywana filozofii scholastycznej nie mniej dochodziła do ostateczności, i nie mniejszą też grzeszyła przesadą.

Co jednak najzgubniejszego było w tem entuzyastycznem hołdzie, to, że nie przestano na podziwianiu i naśladowaniu form, których wzorem mogła być starożytność, ale posunięto się aż do treści i przyswojono ją sobie, nie uwzględniając zmian wprowadzonych przez Ojców Kościoła, którzy z pomocą tego samego klasycyzmu do takiej wielkości wznieść się umieli. Nadto treść ta nie kryła się tak jak w scholastycznej filozofii, pod twardą powłoką nieokrzesanych i niezrozumiałych wyrazów; owszem, filozoficzne teorye klasycznego świata nęciły więcej jeszcze fantazyę aniżeli sam rozum. To właśnie w szczególniejszy zachwyt wprawiało estetyczne umysły epoki odrodzenia, i jakby magiczną nicią je ociągało za sobą, oplatając w czarodziejskiem kole pogańskich na świat zapatrywań. Pod wpływem tego zapału dla starożytności wydobyto z kurzu zapomnienia wszystkich dawnych mędrców Grecyi i Rzymu, podając ich w nowej a ponętnej szacie chrześcijańskiemu światu, jako skończony zbiór wszelkiej mądrości i wiedzy.

Wprawdzie i Ojcowie Kościoła kształcili się w szkołach greckich filozofów, a nawet dawniejsza Scholastyka doktryny ich szeroko umiała zastosować. Ojcowie szli śladami Platona, Scholastyka zaś obrała swym mistrzem Arystotelesa, który wzniosłe myśli Platona ujął w architektoniczną całość naukowego systemu. Ale zarówno Ojcowie jak i Scholastycy, przyswajając sobie te zabytki pogańskiej mądrości, wystawili je wprzód na działanie światła chrześcijańskiej wiary; a jasny jej promień odłączył stare błędy, zapełnił niedostatki, rozwiązał wątpliwości, utwierdził chwiejne poglądy, słowem, najlepszą z filozofii pogańskich, przemienił w chrześcijańską. Zaś Humaniści epoki odrodzenia, zaniechali już użyć światła wiary dla oddzielenia naleciałości błędów od złota szczerej prawdy, ale przeciwnie całą tę rudę przyjęli za złoto, dlatego jedynie, że ją pokrywała powabna pleśń starożytności. A choć wiara głośno protestowała przeciw temu, to jednak ci, dla których ona nie straciła jeszcze swej powagi, zasłaniali się nielogicznem, choć aż nazbyt często powtarzanem zdaniem, że to co mylnem jest ze stanowiska wiary, ze stanowiska filozofii może być prawdziwem. Zmartwychwstały więc na nowo systemy Pytagorasa i Platona, zakwitły szkoły nowych Stoików, szerzył się nowy Epikureizm i nowy Pirrenizm.

Potężne, gorączkowe wrzenie umysłów pod wpływem filozofii było cechą tego stulecia, a praktycznym rezultatem takiego nastroju była bezwzględna pogarda wszystkiego co do Scholastyki należało, a to oczywiście ze strony wszystkich czcicieli i hołdowników starożytności. Nie tak prędko jednak filozofia scholastyczna ustąpiła z widowni, bo czuła w sobie pod zepsutą łupiną niepożytecznych spekulacyj zdrowe jądro prawdy, a po za sobą miała świetną, kilkowiekową przeszłość, której ostatnie ogniwo wiązało się w łańcuch z tysiącoletnią filozofią Ojców Kościoła. Przytem musiała ona władać po mistrzowsku ostrzem dyalektyki i godzić w najsłabsze strony ubóstwionego Klasycyzmu, a nieubłagana jej krytyka nieraz ciężką zadała klęskę neofitom pogańskiej filozofii. Stąd do pogardy ku Schlastyce dodawała ona pewną zawiść, a na kłujące żądło jej dyalektyki najwięcej wylało się żółci.

Taki był stan rzeczy pod względem filozoficznych zatargów,

kiedy wybuchła rewolucya kościelna XV. wieku. Jeszcze fale Humanizmu groźnie się wzdymały, kiedy groźniejsza jeszcze przeciwko filozofii chrześcijańskiej zerwała się burza. Samo się przez się rozumie, że filozofia ta nie mogła przypaść do smaku reformatorów. Mimo pasożyty i porosty na jej powierzchni, zostawała na zawsze na wskróś przesiąkłą duchem Katolicyzmu. A jak dla humanistów niebezpieczną była rywalką, tak względem Reformacyi jeszcze groźniejsze zajęła stanowisko. Każdą omyłkę naukową, każdy brak konsekwencyi, każdy błąd, choć zasłonięty tysiącznymi pozorami uczoności, tak zręcznie umiała pochwycić, tak do naga odsłonić i z tak niezmordowaną wytrwałością szermować stalą swej logiki, że uniknąć tych ciosów było niepodobna.

To też zawziętość Lutra przeciw Scholastykom, a głównie przeciw ich dyalektyce nie znała granic. Aby więc radykalnie pozbyć się filozofii, targnął się na powagę samego rozumu i wyrzucił go z obrębu wiary, jako pierwiastek z gruntu wierze przeciwny. Dziwna zaiste sprzeczność! bo przecież przeobrażenie całej wiary w racyonalizm jest własnem jego dziełem. *In quo quis peccavit in hoc et punietur* [1].

Wszelako inwektywy przeciw scholastycznej filozofii, lubo były wygodnym środkiem obrony, nie miały żadnej wartości u ludzi poważnie myślących. Każdy trzeźwo patrzący w przyszłość rozumiał, że bez filozofii obejść się nie podobna. Potrzeba jej była widoczną — częścią dlatego, aby uzasadnić nową teoryę, częścią zaś, aby walczyć odpornie przeciw pociskom dotychcza-

[1] Luter oddając naukę wiary w ręce swych wyznawców *ad examen privatum*, aby każdy na podstawie Pisma św. budował sobie prawdy dogmatyczne, pragnął jednak dowolnemu temu wkładowi i wynikającym stąd następstwom wyższy jakiś nadać charakter. Wezwał więc na pomoc namaszczenie Ducha św. I rzeczywiście pierwsi naśladowcy Lutra czuli w sobie taką obfitość sankcyi nadprzyrodzonej, że szalone wybryki tych niespokojnych duchów (Schwarmgeister), samego ich mistrza niepokoić zaczęły. Ale obłąd fanatyzmu prędko wyszumiał, następni zwolennicy Lutra coraz rzadziej już czuli w sobie natchnienie; wreszcie został im tylko dowolny wykład pisma na podstawie rozumu. Ten rozum niegdyś wzgardzony, wziął górę i z czasem miał obrócić w perzynę całe dzieło chrześcijańskiej wiary. Dziś wyznanie Lutra doszło już do bezwzględnej negacyi wszystkich prawd chrześcijańskich.

sowej filozofii. Ostatnia ta pobudka tem więcej nagliła, że dla Scholastyków zabłysła właśnie epoka nowej świetności. W zapasach z Reformacyą otrząsła się ona z starego kurzu swych naleciałości i nietylko ukazała światu dawne swe złoto, ale owszem nowym jeszcze nabytkiem wzbogaciła drogi ten zasób, aby zadość uczynić wymaganiom czasu. Od piętnastu już wieków czerpano prawdy wiary z tych samych źródeł. Źródłami temi było pismo św., tradycya, postanowienia papieży i soborów. Wartość tych źródeł miała powszechne uznanie; powaga ich była już ustaloną przez Ojców Kościoła, ale ani w patrologii, ani w scholastycznych dziełach nie było żadnej filozoficznej, umiejętnie opracowanej rozprawy o tym cennym materyale źródłowym. Na tym to punkcie podniosła się nowa Scholastyka. Uczony Dominikanin Melchior Canus w swem dziele *De locis theologicis* otworzył prawdziwą zbrojownię, która następnie wzbogacona i wydoskonalona w dzisiejszych nawet czasach dostarcza najsilniejszej broni przeciw niedowiarstwu i błędom. Obecnie znanem jest to dzieło po większej części pod nazwą teologii zasadniczej *(Theologia fundamentalis)* [1]. Reformacya zatem potrzebowała niezbędnie i niezwłocznie mieć jakąś filozofię; dawnej spożytkować nie mogła, więc odtąd hasłem jej było, bądź co bądź stworzyć nową filozofię.

W tem nieprzepartem dążeniu do nowej filozofii, którąby już nie wesprzeć się na wierze, ale przeciw niej bunt podnieść i bunt ten usprawiedliwić mogła, należy szukać zawiązku filozofii naszego stulecia. Dwojaki

[1] Postęp na tym punkcie popchnął Scholastyków do postępu w innym też kierunku, choć ściśle teologicznym. Luter utrzymywał, że w 3-cim lub 4-tym wieku zaginęła prawdziwa wiara Chrystusowa, a dopiero on podniósł ją z prochu i błota. Teraz więc było zadaniem katolickich teologów, ze źródeł objawionej nauki wydobyć świadectwa, dowodzące, że wiara podówczas panująca, była tą samą wiarą, którą głosiły wieki uprzednie aż do czasów apostolskich, lubo nie zawsze z tą samą jasnością. Potrzeby takich dowodów nie czuła Scholastyka dawniejsza. W pokoju niczem niezamąconym przechowując depozyt wiary, wystarczające mieli dowody na poparcie dogmatów w słowach Pisma św. lub krótkiej cytacie Ojców Kościoła. Zresztą mogli bezpiecznie zagłębiać się w spekulatywnych badaniach. Wykończenie więc t. z. teologii pozytywnej, to drugi owoc postępu nowej Scholastyki.

więc charakter miał być cechą tej nowej upragnionej filozofii: zerwanie z dawną filozofią i odstępstwo filozofii od wiary.

Przypatrzmy się teraz bliżej stopniowemu rozwojowi tego dążenia do nowej filozofii, zobaczmy jak wygląda to dziecię zrodzone wśród obawy i złości ku dawnej filozofii.

Nie tak łatwo było wydać na świat to pożądane niemowlę. Już Melanchton, przyjaciel i uczeń Lutra, próbował stworzyć nowy filozoficzny system. Ale ta próba nie powiodła się zupełnie. Jął się on wprawdzie Arystotelesa, ale nie owionął go tak jak Scholastycy, duchem chrystyanizmu, tylko powplatał weń zdania innych filozofów pogańskich, nagiął go do zasad Nominalizmu i według tych zaasd wykończył. Nie były to więc rzeczy nowe, ale dawno już spowszedniałe i w pismach scholastycznych między objekcyami odparte i rozwiązane. Nie z lepszym też skutkiem pracował w tym kierunku bazylejski profesor Mikołaj Taurellus. Starał się on wprawdzie na innym gruncie, po za Arystotelesem stanąć, ale i jego filozofia nie była też nową. Na każdem prawie miejscu spotykamy tam zdania filozofii pogańskiej, które już Scholastyka częścią zwalczyła, częścią sobie przyswoiła. Zawistni zaś jej przeciwnicy żądali takiej tylko filozofii, którąby innemi idąc drogami nie spotykała się ani z metafizyką szkoły scholastycznej, ani z jej logiką. Nakoniec po długiem, bo stuletnim rodzeniu, wyszła na świat nowa filozofia w postaci dwojga bliźniąt: empiryzmu i racyonalizmu.

W czasie gdy tak protestantyzm rodził, w katolickich szkołach kwitła jeszcze Scholastyka. Ale głosy o nową filozofię i w umysłach katolickich odbiły się echem. Zapomniano, jaką była właściwa przyczyna i pierwotne źródło tego żądania; powoli zaczęło się wyradzać to przekonanie, że nienawiść ku dawnej filozofii musiała mieć przecież słuszną jakąś podstawę, że więc pora na miejsce znienawidzonej scholastyki nowy system wprowadzić. Tak więc i katoliccy uczeni wyczekiwali nowej odmiennej filozofii, i niestety szczery katolik, mimo swej prawowierności, stał się ojcem racyonalistycznego idealizmu. Równocześnie angielski kanclerz Bakon z Werulamu nie chcąc i nie przeczuwając nawet tego, położył podwaliny empiryzmu.

Tu widzimy jak duch czasu, wiejący od protestantyzmu na

Europę, rozpoczyna dzieło zniszczenia. Zewsząd słychać było przemowy głoszące, że narody doszedłszy do pełnoletności nie potrzebują już dać się prowadzić na pasku kościelnej powagi, — jak gdyby prawda od Boga podana a jego pieczy powierzona jest prawdą dla wszystkich wieków i stanów ludzkości. Stąd bezwzględne zerwanie ze spuścizną tylu wieków. Gorączka budowania byle co nowego, w nowy sposób o własnych siłach. Stąd miotanie nietylko na Arystotelesa, ale i na takich mężów jak Augustyn, Grzegorz, Hieronim i cały ów zastęp najznakomitszych mędrców aż do Alberta W. i Tomasza z Akwinu. Zamiast poprawiać i uzupełniać gmach przeszłości, burzono go do szczętu, by na jego zgliszczach z nowa budować. Była to pycha w zakresie wiedzy; a że wszelka pycha kończy się poniżeniem, i tu więc spotkał ją ten los. Odtąd bowiem, to smutny tylko obraz upadku ducha ludzkiego w najszerszym i najszczytniejszym jego zakresie. A upadek ten razi nas tem boleśniej, im bardziej bogactwa doświadczeń zdobytych na polu badań materyalnych, usprawiedliwiały najśmielsze nawet nadzieje dźwignięcia i rozwoju filozofii. Czegożby nie dokazali Arystoteles, Albert W. i Tomasz z Akwinu, mając w ręku doświadczenia dni naszych! A jakżeż z nich nie skorzystała nowa filozofia. Krótko mówiąc pochód jej był ciągłem zapadaniem się w przepaść.

W Anglii, jak już wspomnieliśmy, ukazał się pierwszy wielki odnowiciel filozofii Bakon z Werulamu, który tytułem dzieła swego *Instauratio magna* sam tę godność sobie przypisał. Za podstawę filozoficznych badań, przyjął on spostrzeżenia wzięte z natury. W tym jednostronnym przycisku położonym na empiryę krył się już zarodek, z którego wkrótce zaczęła kiełkować najwstrętniejsza z wszystkich filozofii, jeśli godzi się przyznać jej to miano. Metodę indukcyi i doświadczenia, którą Bakon dla samej filozofii natury postawił, rozciągnięto na cały obszar wiedzy. Nawet w dziedzinie etyki i polityki klasyfikowano po prostu postrzeżenia, aby tym sposobem wynaleźć ogólne prawa, podług których wszystko porusza się i żyje. W tem właśnie, mówiono, główny był błąd Scholastyki, że wychodząc wprawdzie z tychże zasad spostrzegawczych szła dalej drogą wnioskowania, drogą dedukcyi; ze zjawisk przechodziła do przyczyn

i to do przyczyn najwyższych; stąd dalsze wyciągając wnioski, syllogistycznym wywodem coraz nowe stawiała twierdzenia. Tu właśnie pokazuje się opaczna jej metoda. Filozofia scholastyczna to pająk wszystko ze siebie snujący, prawdziwej zaś filozofii wzorem być powinna pszczoła co z zewnątrz słodycz wysysa, gromadzi ją i przerabia. Celem filozofii jest panowanie człowieka nad całą naturą; zawładnąć siłami przyrody, kierować nią podług praw ukrytych w tych siłach, zmusić je do pracy i coraz nowy owoc z nich wydobywać, to ostateczny wynik filozoficznej umiejętności.

Na taką to drogę wstąpił Empiryzm i olbrzymim krokiem posuwał się dalej. Tomasz Hobbes (którego pisma wychodziły od r. 1651—1668) do takich już doszedł rezultatów, że wszelką wartość wiedzy odbierał, ceniąc wyłącznie samo tylko doświadczenie. A do jakichże zasad tą drogą przyszedł? Oto że człowiek jest tylko ciałem, bez duchowego, nieśmiertelnego pierwiastka, dla tej prostej przyczyny, że w ciele ludzkiem niepodobna znaleźć duszy skalpelem anatoma. Wszelkie poznawanie jest tylko zmysłowem, jako skutek samych tylko materyalnych czynników. Rozum i wyobraźnia to jedno. Zwierzęta pod względem rozumu, niedostatkiem mowy tylko różnią się od ludzi. Podobnie też wszystkie psychiczne zjawiska jak radość i cierpienie, wstręt i żądza, chęć albo niechęć, są to tylko rozmaite wstrząśnienia materyalnych organów. Zatem też wolności woli być nie może, a co my wolnością nazywamy, to po prostu brak przeszkód, tamujących władz naszych działanie. Dobrobyt, to najwyższe dobro człowieka, tak jak i każdej innej istoty; stąd więc co tylko prowadzi do tego celu jest dobrem, złem zaś cokolwiek osiągnięciu jego stawia przeszkody. Cnota jest tylko mechaniczna zręczność czyli wprawa organów do pewnych czynności, jaką n. p. widzimy u szewców lub krawców.

Tę etyczną filozofię zastosowuje też Hobbes według spostrzeżeń empirycznych i do ekonomii politycznej. Dążność zachowawcza i własny dobrobyt są miarą wszystkich spraw ludzkich; stąd ludzie i państwa mają prawo nieograniczone do wszystkiego cokolwiek im jest pożyteczne, stąd też wszystko jest godziwe przez co jakąbądź korzyść można odnieść dla siebie, bez żadnego

względu na straty drugiego. Tak więc właściwym, naturalnym stanem społeczeństwa jest walka wszystkich przeciwko wszystkim, walka w której słuszność po stronie mocniejszego. Ale ponieważ taki bój powszechny sprzeciwiał by się interesom każdego z osobna, więc z samej natury rzeczy wypływa, jako środek zaradczy, zobopólna ugoda, mocą której tworzy się państwo. Każdy jasno widzi, że wojna wszystkich przeciw niemu musi szczęściu jego przeszkodzić; każdy więc stara się konsekwentnie zawrzeć pokój z ogółem i stąd wszyscy jednoczą się w tem wspólnem pragnieniu. Aby zaś pragnienie to urzeczywistnić, aby przyodziać je w kształty widome, dotykalne, zawiązują społeczeństwo, w którem każdy wszystkich swych nieograniczonych praw naturalnych zrzeka się na korzyść całości, aby od niej otrzymać wymiar tego co mu słusznie się należy.

Ponieważ jednak zbiorowa czyli wspólna wola wszystkich nie mogłaby rozwinąć swej działalności, jeśliby nie miała przedstawiciela swego *in concreto*, któryby spełniał wszystkie jej funkcye; dlatego stworzyć go należało ugodą poddania się. Przedstawicielem tym jest najwyższa głowa państwa, z rąk której państwo odbiera konstytucye. Najwyższy ten urząd państwowy ma nieograniczoną władzę i takąż moc prawodawczą. Naród w państwie i jednostki w narodzie żadnych zupełnie praw nie posiadają, bo każdy przelać musiał swe prawa na społeczeństwo. Reprezentantem zaś zbiorowej woli społeczeństwa jest najwyższa głowa państwa, a zatem w niej jednej zawiera się wszelkie prawo i wszelka władza. Jednostkom zaś o tyle tylko jakiekolwiek prawo przysługiwać może, o ile im najwyższa głowa udzielić go zechce. Tak więc państwo jest źródłem wszelkiego prawa. Dobro lub zło: słuszność czy niesłuszność uprzednio nieistnieje, byt swój zawdzięcza dopiero prawu państwowemu, które jest wyrazem najwyższej zwierzchności, głosem przedstawiciela woli zbiorowej. Zwierzchnictwo ludu i absolutyzm państwowy zlały się w jedną całość. Bo źródłem władzy państwa jest wola ludu — nie Bóg nadaje jej prawomocność ale naród zrzekając się własnej swej woli. Stąd przedstawiciel państwa jest wszechwładnym, a zwierzchniczy naród wobec przedstawiciela swojej woli wszelkich praw zupełnie wyzutym.

W ten to sposób wytłómaczył Hobbes naturę i drogą empirycznych spostrzeżeń do takiej doszedł filozofii. Tu już nie trudno spostrzedz zawiązki owych teoryj, które w naszym wieku zatruty owoc wydały.

Filozofia ta w Anglii i we Francyi szła naprzód wielkimi krokami po raz zaczętej drodze. Jeden czynnik po drugim, który jeszcze starą wiarę przypominał i w starej szkole filozofii znajdował pokrewne echo, odrzucano, jak zawsze, tylko dlatego, że empiryczne spostrzeżenia za nim nie przemawiały. Najprzód odłączono zupełnie etykę od religii, przerabiając ją na jakąś filozofię przystojności, która jako cel jedyny ukazywała szczęście na ziemi. Nad tem poniżeniem filozofii pracował Athony Ashley Cooper (1671—1713), Manuel Clarke (1675—1729), William Wollaston (1659—1724), Adam Ferguson (1724—1816) i wielu innych. Niezadługo filozofia ta zaczęła wstrząsać posadami chrześcijańskiej wiary. Tajemnice, cuda zostały odrzucone jako formalne niepodobieństwo, wyśmiane jak nierozumne marzenia, bo nieempiryczne. Miejsce chrystyanizmu miała zastąpić religia naturalna, deizmem nazwana. Chciano Boga zostawić jeszcze ludzkości na czas niejaki, ale cóż to był za Bóg! Odjęto mu nawet opatrzność i zarząd świata. Tak uczyli: John Tolland († 1722), Anthony Colius (1729), Thomas Woolston (1731) i Thomas Chubb (1747), oczywiście na zasadzie bezwzględnego empiryzmu.

Rzecz to godna zastanowienia, choć konsekwentnie z całej teoryi wynikająca, że ci właśnie myśliciele na drodze empirycznego badania zjawisk natury, samą naturę z oczu tracić zaczęli. Według Jerzego Berkeley'a (1684—1733) nie ma przedmiotowej natury, materya nie istnieje, a cały świat, to tylko zbiór idei w nas samych, szereg zjawisk czysto podmiotowych. Dawid Hume taki sam wynik osiąga, z tą jednak różnicą, że nie zaprzecza kategorycznie zewnętrznego świata materyi, ale tylko byt jego rzeczywisty w wątpliwość podaje, choć przez to wątpienie otwiera swą filozofią wrota dla bezgranicznego sceptycyzmu.

Z Anglii przeniósł się empiryzm do Francyi i znalazł wśród lekkomyślnego narodu nietylko zwolenników ale i krzewicieli. Condillac (1715—1780) przerobił go na czysty senzualizm. Teorya ta nie uznaje żadnych władz duchowych, wszystko jest

tylko senzacyą, czyli skombinowanem i przeobrażonem wrażeniem zmysłów. Na co wymyślać jakieś duchowe jestestwo, kiedy analizą materyi wszystkiego dojść można, kiedy t. z. psychiczne zjawiska są tylko wrażeniem materyalnych zmysłów? Tą drogą szli dalej Encyklopedyści usuwając wszelki duchowy pierwiastek i logicznie zaszli do skrajnego materyalizmu. Diderot, d'Alembert, de la Mettrie zrobili z człowieka bezduszną maszynę; myśli i uczucia, to tylko czynności mózgowe. Większa lub mniejsza ilość mózgu stanowi różnicę między człowiekiem a zwierzęciem. Wszystko jest po prostu materyą i nic więcej. O Bogu w takim świecie materyi mowy być nie może. Sama wiara w niego jest nieszczęściem ludzkości. Rozkosz jest najwyższym celem człowieka, a dążnością wszystkich cnót i wszystkich zasad moralnych, winne być zaspokojenie tego wewnętrznego pragnienia rozkoszy. Poskramianie popędów, które namiętnościami zowiemy, to głupstwo i nieludzkość. Kodeks karny i wyroki sądowe nie mają wcale znaczenia moralnego, ale tylko fizyczne; kara jest tamą rzuconą przeciw prądowi, aby go nieszkodliwym uczynić.

Ten wylew senzualizmu i materyalizmu uniósł i Woltera ze sobą. Krytyk waha się do jakiej kategoryi go zaliczyć, jaki sąd wydać o jego teoryi. Jakoż zważywszy brak spójni i wyraźną niezgodność w jego poglądach, źle pokryte blichtrem dowcipu, odmówionoby mu zapewne nazwy filozofa, gdyby jej nie był sobie skądinąd zaskarbił tą walną zasadą, że najwyższym celem filozofii jest wyszydzić Boga i świat i wszystko co dla człowieka świętem i wzniosłem się wydaje. Bo jakiż to może być Bóg, którego on niby uznaje a drwić z niego się nie waha, jaka moralność, którą sam depcze cynicznym uśmiechem lekceważenia? Na cóż przyda się zresztą Bóg lub prawo moralne, jeśli dusza ludzka jest tylko *une abstraction réalisée*. (Czyliż w tych słowach nie ma wyraźnej sprzeczności?).

Jan Jakób Rousseau idzie w ślady Hobbesa. Zostawia nam jeszcze duszę i sumienie i nawet jakiegoś Boga; ale to już nie Bóg wiary, bo Stwórca wiary i objawienie jest jego zdaniem ludzkim wymysłem — chimerą. Szczególnie ważną jest polityczna teorya Russa. Ogół systemu wyjęty z Hobbesa, ale jeden punkt główny, a najzgubniejszy dla potomności, samodzielnie przez

nie go opracowany. Według Hobbesa, skoro lud obrał przedstawiciela swej woli i złożył w jego ręce pierwotne swe prawa, ta głowa państwa staje się rzeczywistą zwierzchnością; według Russa zaś lud nie wyrzeka się nigdy swego zwierzchnictwa, a najwyższy przedstawiciel władzy jest tylko pierwszym urzędnikiem panującego ludu. Lud zachowuje moc prawodawczą dla siebie; urzędnikowi zaś powierza tylko władzę wykonawczą swej woli. Stąd więc tylko naród może być prawodawcą. Stąd też naród w każdej chwili może odebrać władzę najwyższemu reprezentantowi swemu, lub podług zachcenia ścieśnić ją albo rozszerzyć. Przypomnijmy sobie, że cały ten filozoficzny system opiera się na niedorzecznej Hobbesa, o walce wszystkich przeciwko wszystkim i wrzekomej ugodzie, co miała tę walkę ukończyć — to jedno, mówię, przypomnijmy sobie, a cały ten system, odarty z błyskotek, ukaże się nam w swej rzeczywistej wartości.

Tu zatrzymajmy się na chwilę. Nowa filozofia na drodze fenomenalnego badania natury zaszła szczęśliwie aż do absolutnego materyalizmu, i oto mamy przed sobą szczyt tej nowej struktury, wzniesionej na gruzach starego gmachu.

Przypatrzmy się teraz drugiemu kierunkowi nowej filozofii, drugiemu z owych bliźniąt przez protestantyzm zrodzonych. Jest niem racyonalistyczny idealizm. Pierwszy swój początek zawdzięcza on Kartezyuszowi. Nie mówię bynajmniej, że Kartezyusz mógł kiedykolwiek przypuszczać, że dzieło jego stanie się okazyą następstw tak smutnych. Nie myślę też twierdzić, że wszystkie systemy późniejszych racyonalistów rozwinęły się na tle jego teoryi, chcę tylko powiedzieć, że Descartes dał pochop do nowego ruchu, który nietylko dla wiary ale i dla filozofii zgubnie się zakończył.

W filozofii jego trzy rzeczy należy rozróżnić. Najprzód stanowcze zerwanie ze starą filozofią, powtóre nową podstawę, na której zamierzał ugruntować filozoficzną spekulacyę, po trzecie, właściwy ustrój teoryi na tej podstawie wzniesiony. Ten ostatni, by o nim najprzód parę słów powiedzieć, nie był szczęśliwy. Gmach tego systemu nie ostał się wobec sądu bliskiej przyszłości i dawno już rozsypał się w gruzy. Doktryny, które światu pozytywnie jako nowość podawał, na przeciwstawienie i odparcie da-

wnej nauki, następcy jego, wszystkie bez wyjątku odrzucili. To też znaczenie i wpływ Kartezyusza nie jest dziełem pozytywnej jego teoryi, ale wlanego w nią ducha i wytkniętego kierunku. Wiek ówczesny przejął się tem duchem i poszedł wskazanym mu torem. Z łatwością dał się nakłonić do głośnej już wtedy reakcyi przeciwko przeszłości, nie domyślając się nawet jak niekatolickie było źródło tej reakcyi. W najlepszej wierze jął się Kartezyusz z entuzyazmem myśli stworzenia nowej filozofii, staremu systemowi z gruntu przeciwnej.

W tym celu nietylko rozpoczął wojnę zaczepną przeciw tezom scholastyki, lecz chciał także wykazać, że cała dawna filozofia aż do jego czasów nie miała ani stałego punktu oparcia, na którym rozum mógłby spocząć bezpiecznie, ani drogi, jaką filozofia obrać sobie powinna.

Punktem wyjścia filozofii podług niego, może być tylko świadomość własnego istnienia: gdyż ona jedna nie podlega żadnej wątpliwości, i niczem zachwiać się nie da. Bo aby wątpić, oczywiście wprzód istnieć potrzeba. Droga, na którą się wstępuje, wyszedłszy z tego punktu, jest to metodyczne wątpienie. Chcąc wzbogacić naszą wiedzę nowemi prawdami zasadniczemi, należy o każdej z osobna wątpić tak długo, aż poznana jej jasność nie stanie się dla nas tak niewzruszonym pewnikiem, jak świadomość własnego istnienia. Duch więc, w jakim Descartes dochodził prawd wszystkich, był to duch wątpienia o wszystkiem. Myśl ta za jego czasów przyjętą była z upodobaniem, bo i wiara wtedy chwiała się między ludźmi. Jednak to wątpienie Kartezyusza, według jego własnego wyznania, przynajmniej odnośnie do Boga i prawd objawionych, nie było rzeczywiste ale tylko pozorne. Nie myślał on wcale prawdy zachwiać, lecz owszem podać środek głębszego jej uzasadnienia. Ale wiek Kartezyusza nie wdawał się już w te oderwane dystynkcye i dla uzasadnienia filozofii wątpić tylko pozornie, zwątpił rzeczywiście — o wszystkiem. Starły się wszystkie pewniki i ukazała się *tabula rasa*, która nowemi prawdami miała być zapełnioną. Filozofią tę przyjęli szczególnie protestanci z otwartemi ramiony; bo już od stu lat próbowali oni taką właśnie metodę zastósować do prawd teologicznych. Czemże bowiem ów dowolny wykład protestancki różni się od prawdziwego wąt-

p nia? Wszakże ich *freie Forschung* znaczy to samo, co wyrzec się najprzód wszelkich prawd objawionych i nie pierwej do nich powracać, aż rozum każdą z osobna w piśmie św. wynajdzie i odbuduje na nowo. Takie zaś tymczasowe zrzeczenie się jest co najmniej rzeczywistem wątpieniem: a do zupełnej negacyi jeden krok tylko zostaje.

We filozofii jednak ta swoboda badania zdawała się więcej uprawnioną niż we wierze i pociągała za sobą wielu katolików tą ponętą, jaką wabi zwykle każdy pozór wolności. Że jednak wolność ta, nie była prawdziwą wolnością, to jasno się pokazało ze zgubnych jej owoców. Malebranche w duchu Kartezyusza i na jego zasadach rozwinął system przejściowy do panteizmu. Bóg występuje tu już nietylko jako pierwsza i najwyższa przyczyna, ale co więcej jako j e d y n y działacz i motor wszystkiego co się dzieje. On sam wszystko czyni, a rzeczy stworzone, choć zdają się istnieć i działać, w istocie są tylko okazyą działania bożego. Spinoza idąc za Kartezyuszem i Malebranchem, tylko o jeden krok posunął się dalej, mówiąc, że Bóg nietylko wszystko czyni, ale jest wszystkiem. Panteizm ten w najprostszej, nieokrzesanej formie, to pierwszy dojrzały owoc racyonalistycznego idealizmu. Sceptyczny ten racyonalizm znalazł w Niemczech grunt urodzajny i stworzył t. zw. „epokę oświaty“ *die Aufklärung*. Reimar, Lessing, Herder, to twórcy jej i koryfeusze, a dziwną była doprawdy ta „germańska oświata“. Upadła wszelka pewność o prawdach, które dotąd za przystępne dla rozumu uważano. Hyper krytyka zniszczyła tę pewność, dowodząc, że wszelka wiedza naturalna błędem jest i ułudą. Przypuszczano jeszcze co najwięcej jakąś wiedzę o świecie materyalnym; ale czego tylko nie można było dotykalnie uchwycić, tam już wszelki grunt pewności z pod nóg się usuwał. Oczywiście przy takich zasadachtrzeba było przedewszystkiem podkopać pewność wiedzy nadprzyrodzonej, a w końcu odrzucić ją jako wymysł ludzki.

Tak więc nowa filozofia dwiema różnemi drogami doszła do jednego celu: od Bakona przez stopnie empiryzmu, sensualizmu i materyalizmu do zupełnego zwątpienia o wszelkiej prawdzie; od Kartezyusza drogą idealizmu do tego samego przekonania, że wszelka prawda chwiejną jest i ułudną. Nie brakło wprawdzie

ludzi, dla których sam ten rezultat nowej filozofii starczył za wyrok jej potępienia. Ale jak dojść do innego systemu? Kant przekonany, że żaden z dwóch przyjętych kierunków nie może być prawdziwym, usiłował inną puścić się drogą. Samo doświadczenie nie ugruntowało filozofii, a rozum też nie wysnuł z siebie szukanej prawdy. Musiała więc być koniecznie jakaś droga pośrednia między empiryzmem a idealizmem. Dwuwiekowa, głęboko wkorzeniona pogarda ku scholastyki nie dozwalała filozofom szukać w dawnej szkole rzeczywistej drogi pośredniej. Kant nie miał o tem pojęcia, żeby to, czego szukał, mogło się znaleść właśnie w katolickiej filozofii. Dlatego też usiłowania jego, jakkolwiek szlachetne, musiały spełznąć na niczem. (C. d. n.)

X. A. Langer.

WOJENNE PLANY STEFANA BATOREGO

w latach 1583—1586.

Do niedawna jeszcze historycy ze szkoły Bandtkiego, a za nimi mnogi tłum patryotycznych polityków, uważali pokój między królem Batorym a w. ks. mosk. Iwanem Groźnym w styczniu 1582 zawarty za prawdziwe nieszczęście, sprowadzone na Polskę przez Papieża i Jezuitów. Gdyby nie ten nieszczęsny pokój, twierdzili ci politycy, Batory byłby dokonał podboju Rosyi; dalsze następstwa tego dziejowego faktu biją same przez się w oczy. A świeżo jeden z głośniejszych pisarzy historycznych twierdził z dziwną pewnością siebie, że lubo „pokój ten był na razie korzystny dla Polski... to w rzeczywistości w dalszych swoich następstwach był krokiem nadzwyczaj szkodliwym... Trudno nie widzieć, właśnie Jezuici i Stolica Ap. najwięcej wzmacniali narzekania szlachty, dające się słyszeć wśród toczącej się wojny, że wywołali je lekkomyślnem zawiązaniem rokowań z Iwanem. Pokój Zapolski wzmocnił żywioły anarchii, od których złamania cała nasza zależała przyszłość“ [1].

Nie tak daleko zapędzili się w swych rozumowaniach poważniejsi historycy jak: Szujski, Morawski. Pierwszy z nich uważał jednak pośrednictwo Possewina za wynik „lekkomyślnych mrzonek Grzegorza XIII., które zwyciężyły nad interesem prawdziwym Polski i katolicyzmu“ [2] a jeszcze w lat 14 potem pisał: „pośrednictwo papieskie ułatwiło odwrót (Batorego) od wielkiego przedsięwzięcia t. j. od pokonania północnego współzawodnika“ [3].

[1] Bobrzyński. Dzieje Polski str. 319, 320.
[2] Szujski. Dzieje Polski III. 66.
[3] Hist. pol. ksiąg XII. str. 216.

Drugi twierdzi niemal to samo: „połysk nadziei przystąpienia do unii (Iwana) z Kościołem rzymskim, oszukał Grzegorza XIII. jak poprzedników jego“[1]. Znaleźli się i tacy, którzy, jak prof. Zakrzewski, podjęli się obrony polityki papieskiej i Possewina: „Wiedział Ojciec św. jaka była rzeczywista przyczyna tego poselstwa od Iwana, że jedynie klęski moskiewskie obecnie takowe sprowadziły: czy jednak nie miano skorzystać ze sposobności której tak dawno poszukiwano? czyż nie należało teraz wysłać do Moskwy na wezwanie W. Księcia, skoro kilkakrotnie bez tego nawet wysyłać chciano? Stolica ap. nie miała na pewno żadnych wątpliwości co do tego... boć skoro od początku wojny myślano przy układach o pokój zyskać jakiś punkt wyjścia dla negocyacyi o religią, to teraz najlepsza do tego nadawała się sposobność... Niesłusznie robiono zarzut Possewinowi, że dał się oszukać przez Iwana, a zawierzał jego obietnicom, a potem, gdy mu usłużył, został zawiedzonym... W tym punkcie żeby miał Iwana pozyskać dla katolicyzmu, Possewin się żadnemi iluzyami nie łudził. Owszem, o bezzasadności takich złudzeń sam się przekonał i mógł sprawić swemi pismami, że się takie illuzye w Rzymie żywione rozwiały... Pomimo dosyć rozpowszechnionego mniemania, że ten pokój był dla Polski wielkiem nieszczęściem, że pośrednictwo Stolicy ap. wytrąciło z rąk Stefana zwycięski oręż, który byłby zgubę ostatnią Moskwie zgotował, nie wahamy się twierdzić stanowczo, że owszem w obecnych warunkach i przy obecnym stanie rzeczy, pokój w Zapolskim Jamie zawarty, był dla króla Stefana i armii polskiej pod Pskowem prawdziwem dobrodziejstwem“[2]. Najlepiej pojął i najtrafniej ze wszystkich ocenił poselstwo Possewina rosyjski Jezuita Pierling, opierając sąd swój na watykańskich dokumentach: „Pomimo stronniczości legalnej Grzegorza XIII. dla Batorego, był w tej legacyi cel wyższy do osiągnięcia: przygotować z d a l e k a (w dalszym planie) ligę anti-otomańską i unię Rosyan z Rzymem na podstawie koncylium florenckiego; n a r a z i e z a ś (w pierwszym planie) przywrócić nietylko pokój między Iwanem a Batorym, ale nadto ura-

[1] Morawski. Dzieje narodu polskiego. III. 85.
[2] Stosunki Stolicy ap. z Iwanem Groźnym. Str. 98, 135, 163.

tować sprawę wiary w Inflantach. Tym sposobem tłómaczy się różnica sądów historyków polskich i rosyjskich o Possewinie. Prawdą jest to, że Possewin pogodził, jak umiał najlepiej, sprawy Rosyan ze sprawami Polski na to, ażeby jedne i drugie podporządkować pod cel daleko wyższy“ [1].

Pomimo różnicy tych zapatrywań i sądów, wszyscy zgadzają się na to, że Batory żywił dalsze plany zawojowania Rosyi: „Po śmierci Iwana ułożył sobie król Stefan zawojować Moskwę a przeto i Turkom dalszą założyć tamę“, powiada Bandtke [2]. „Batory snuł wielkie plany: unii z Moskwą i powszechnej na Turków wyprawy“, twierdzi Szujski [3]. „Stefan gotów był o b u r ą c z pochwycić sposobność, a złączywszy Polskę z Moskwą, albo na korzyść chrześcijaństwa przeistoczywszy, na czele zjednoczonych sił chrześcijańskich, odnowić zapasy chrześcijaństwa z Islamizmem, pójść do Stambułu... Zakładał on sobie wszystkie ludy słowiańskie i chrześcijańskie z jarzma wyswobodzić“ [4], dowodzi Morawski. *Jam rex Stephanus totus erat in expeditione Moscovitica,* pisze pobożny kronikarz domu św. Barbary, Wielewicki. „Król Stefan cały był zajęty wyprawą moskiewską i sejm na styczeń roku następnego zwołał, i już odbywały się w tym celu sejmiki po województwach i pomoc pieniężna od Sykstusa V. Papieża na wojnę moskiewską była naznaczoną; na wszystkich też sejmikach umysły szlachty skłaniały się do popierania króla w tej wojnie. Ale to wszystko Bóg udaremnił i ukryte sądy Jego i grzechy ludzkie stanęły snać temu na przeszkodzie“ [5].

Czy takie były rzeczywiście zamysły Batorego? Jeżeli takie, przez jakie koleje i fazy one przechodziły? w jaki sposób wyrabiał się ten proces myśli i planów, nadziei i obaw, silnych postanowień i zawahań się w potężnym umyśle wojennego króla przez trzy ostatnie lata jego życia? O tem jeżeli niezupełnie dokładne, bo król nie łatwo zwierzał się z tajników swych myśli,

[1] Revue des quest. hist. 1883 t. IV. artykuł: *Grégoire XIII. et Ivan le terrible.*

[2] Dzieje król pol. II. 193.

[3] Hist. pol. lekcyj XII., str. 318.

[4] Morawski. Dzieje Polski III 102.

[5] Hist. diar. dom. ad s. Barbaram str. 97.

to zawsze nader zajmujące szczegóły podaje nam wspomniany wyżej rosyjski Jezuita ks. Pierling w starannie na nieznanych dotąd dokumentach watykańskich opracowanej rozprawie: Polska, Stolica św. i Rosya, umieszczonej w paryskim Przeglądzie historycznym[1].

Głównym zamiarem autora było wykazać swoim rodakom, wbrew twierdzeniom niektórych historyków rosyjskich, że ani Grzegorz XIII., ani Sykstus V. nie nastawali na zgubę Rosyi, chociaż do tego wyborna nadawała się sposobność. Nam o to nie chodzi, acz zrozumieć i ocenić umiemy moralną wartość powyższego zamiaru; nas interesuje głównie, niemal jedynie w rzetelnem świetle naszkicowany obraz tych planów dotąd nie dosyć wiernie przez historyków naszych skreślony; postaramy się wykonać go, posługując się pracą ks. Pierlinga i własnemi poszukiwaniami; zyszcze na tem niewątpliwie sąd historyi i o polityce Papieży i o Possewinie.

I.

Jeżeli kiedy, to w epoce, o której mówimy, nadarzała się sposobna chwila „zgnieść wroga chrześcijaństwa". Po rozpustnym Selimie II. wstąpił na tron padyszachów, rozpustniejszy od niego ale też i niedołężniejszy od niego, syn Amurat III. Podczas gdy rozkoszował w seraju, lub po pijanemu srożył się jak zwierz dziki i mordował własnych poddanych, to wodzowie jego wiedli kosztowne, hałaśliwe ale nie zwycięskie boje z Persyą, która już pod Mahmetem III. stawiła się hardo Turcyi a niebawem (1587) pod Abazą Wielkim zaćmić miała na chwilę i zachwiać jej potęgą. Właśnie w tej epoce kłopotliwych dla Turcyi wojen perskich, nieuwieńczonych żadną korzyścią, oprócz zaboru Tauryki, podnosi Grzegorz XIII. hasło: spokój na Zachodzie, wojna z księżycem na Wschodzie, i w kilka zaledwie miesięcy po traktacie Zapolskim, wyprawia w pacyfikacyjnej legacyi do książąt Europy, świadomego dobrze stosunków i ludzi Jezuitę Possewina. Celem ostatecznym tej missyi, skojarzenie ligi przeciw Turkom. Na Za-

[1] *La Pologne, le St. Siége et la Russie.* Revue des questions historiques. Janvier 1884, p. 167—215.

chodzie tymczasem, jakby na przekorę Papieżowi, wikłały się interesa dynastyczne książąt, kotłowały namiętności religijne stronnictw i ludów; wisiała w powietrzu raczej wielka wojna europejska jak spokój trwały. W Francyi zanosi się na ósmą wojnę domową trzech Henryków (1585—89), a po za plecami katolickiej partyi francuskiej układa plany Filip II. hiszpański i długą ręką sięga po koronę św. Ludwika. Walka o niepodległość Niderlandów zaostrza się, rozdział między katolickimi a protestanckimi obywatelami kraju, coraz namiętniejszy, znajduje sankcyą w Unii utrechtskiej, która nowej, długiej wojny staje się zarzewiem. Szwecya rości sobie prawa do niektórych zamków inflanckich podstępnie podczas oblężenia Pskowa zajętych, gotowa każdej chwili stanąć po stronie nieprzyjaciół Polski. W Niemczech „uczony astronom ale słaby monarcha“ Rudolf II. uciera się z rozzuchwalonymi za rządów jego ojca Maksymiliana II. protestantami, a w dodatku toczy spory uparte z jedynym wielkim królem-żołnierzem tej epoki Batorym. Spory te usunąć, trwałą zgodę i przyjaźń między cesarzem a królem polskim zapośredniczyć, oto pierwsze zadanie Possewina.

Jeszcze w kwietniu 1582, rozmawiając z królem Batorym w Rydze, zmiarkował Possewin, że król z jakiemiś planami wojennemi się nosi. Przyparłszy go do muru, wydobył z niego, że król ma żal do cesarza za oderwanie od Siedmiogrodu komitatu szatmarskiego (107□ mil, koło 200.000 ludności), którą to ziemię jeszcze Maksymilian II., pokonawszy Jana Zapolskiego 1567 r. do korony węgierskiej przyłączył; że praw swoich i honoru swego gotów mieczem dochodzić, jeżeli droga układów zawiedzie. Wtenczas upewnił go Possewin, że już to Papieża rzeczą będzie spór ten zgodnie z honorem króla załatwić. Batory przyjął pośrednictwo papieskie. Wywiązując się z niego, stanął Possewin w listopadzie 1582 w Warszawie i przez cały r. 1583 pracował nad umorzeniem sporu, ale bezskutecznie. Jeszcze bowiem w styczniu 1584, pisząc doń Batory, przytacza w dopisku słowa swe do cesarza: „wyborny to sposób uskutecznienia pokoju, to wszystko tobie dam, tylko upadając pokłoń mi się: mogłeś W. C. M. raczej wprost odmówić, jak aż dotąd się posunąć i tak zakoń-

czyć“ [1]. Ostatecznie załagodził spory te poseł polski w Wiedniu, biskup Rozrażewski przy pomocy Possewina i nuncyusza Bollognetti.

Zwłoka ta nie tamowała w niczem właściwych wojennych planów Batorego. Possewin pewny, że do wojny z cesarzem o Szatmar nigdy nie przyjdzie, roztaczał w grudniu 1582 przed Batorym swoje plany względem Turcyi. Wyspowiadał się on z nich już przed dożą i radą rzpltej weneckiej w sierpniu 1582 i zdawało mu się, że przyjęto je tam dobrze. Niedosyć jest, dowodził Possewin, uspokoić Europę, należy się zabezpieczyć przed możliwym napadem Turcyi, która się już do Węgier po rzekę Raabę dobierała. W tym celu utworzyć wypada wspólną kasę, do którejby wszyscy monarchowie i książęta w terminach oznaczonych pewną sumę na potrzeby ligi składali, równocześnie zaś założyć należy, na wzór seminaryów duchownych, kilka szkół wojskowych, skądby zdolni oficerowie do zaciężnych pułków wychodzili. Mając pieniądze i ludzi, można spokojnie Turkom patrzeć w oczy, a każdej chwili do zaczepnej wystąpić akcyi. Słysząc to Batory zawołał: *o opus bonum, o opus bonum, utinam antea id in rem perductum fuisset!* co za pomysł wyborny — oby go już dawniej w czyn wprowadzono! [2].

W styczniu 1583 miał Possewin rozmowę z Batorym na ten sam temat. Król rozgoryczony przebiegiem październikowego sejmu 1582 — który rozwiał jego zbawienne zamiary względem zmiany elekcyi tronu, „nie pozdrowił nawet wojska po świetnej wyprawie, nie powinszował krajowi spokoju a królowi zwycięstwa“, bo go posłowie „zwlekli wszystek, a co było potrzebnego nie postanowili“ [3] — okazał się nader przystępny wysoko-chrześcijańskim wywodom Possewina o innej lepszej bo nieśmiertelnej chwale i nagrodzie za prace podjęte dla sprawy chrześcijaństwa. Chciał on jej służyć poczciwie, a w miarę im więcej niewdzięczności doznawał od narodu, którego był królem, rosło i potęgowało się jego pragnienie posunięcia zwycięskich swych orłów aż pod

[1] Archiw. Watyk. cytat ks. Pierlinga. Bibl. Czartor. Teka Naruszewicza vol. 90 dok. 130—132.

[2] Archiw Watyk. Germania. 93 str. 515 (cytat ks. Pierlinga).

[3] Morawski. Dzieje Polski III. 94.

mury Konstantynopola i wyparcia Turcyi z Europy. Te same były zamysły Grzegorza XIII. i jego legata, ale co do sposobu ich wykonania panowała różnica zdań. Podczas kiedy Possewin w myśl rzymskiej Kuryi pragnął je przeprowadzić w sojuszu z wielkiem księstwem moskiewskiem, to Batory był głęboko przekonany, że taki sojusz niemożliwy, że wpierw należy dokonać podboju Rosyi, ubezwładnić ją na to, aby powoławszy do życia resztki jej sił, spożytkować je pod egidą polskiego króla na rzecz sprawy chrześcijaństwa. Wyborna po temu nadarzała się sposobność. Dnia 18 marca 1584 umarł Iwan Groźny. „Zgasła gwiazda, świeca jarzącego wosku.... wielkość Moskwy zgasnąć mogła w ostatnim dziesiątku XVI. wieku", woła rosyjski historyograf Karamzin. „Miłościwy królu, pisał z Moskwy poseł polski, Lew Sapieha, łatwo odgadniesz w jakim stanie jest ta ziemia. Ogarnęła ją zawiść i niezgoda. Nigdy nie było lepszej pogody do jej podbicia. Jawno nawet słyszeć, że WKM. nie omieszkasz tej sposobności. Sama Moskwa w myśli swojej przyłącza ci już Siewierz i Smoleńsk... czeka cię w stolicy swojej"[1]. A do nuncyusza Bollegnetti donosi tenże poseł polski pod d. 10 czerwca 1584: „Postanowiono, abym w niedzielę 8 lipca z nimi (posłami rosyjsk. do Polski) się ułożył, a na wtorek, najdalej zaś na czwartek, ze wszystkiem był gotów. Przeszkodziły temu niezgody i ustawiczne sprzeczki nie mające tu końca; dzisiaj właśnie, jak słyszałem, powstały między nimi (bojarami) wielkie kłótnie, o mało że nie przyszło do zabójstw i krwi rozlewu. Książę ich nie jest w stanie temu zaradzić albo zapobiedz"[2].

Czy było tak rzeczywiście? Posłuchajmy rosyjskiego Jezuity Pierlinga: „Śmierć Iwana stała się hasłem niezgody. Miał on trzech synów: najstarszy padł ofiarą ojcowskiego okrucieństwa, najmłodszy, skoro tylko ojciec oczy zamknął, poszedł na wygnanie; tron przypadł w udziale synowi średniemu Fiedorowi. Oligarchia bojarów nastąpiła po tyranii samodzierżcy. Fiedor bowiem był zupełnie niesposobny do samoistnych rządów. Z natury

---

[1] Morawski. Dzieje Polski III. 102. Karamzin ks. X. Pamiętniki Mılerowe.

[2] Turgenjew. *Hist. Russiae monumenta* II. 3.

równie poczciwy jak słaby na rozumie; przyjemności domowego życia, odwiedzanie kościołów i pobożne pielgrzymki pochłaniały go zupełnie: jeżeli wierzyć Possewinowi, który zebrał swoje informacye na miejscu, słabość jego umysłu graniczyła z idyotyzmem, jeżeli nie z waryactwem. Faktem jest, że pomimo usilnych nalegań, Iwan nigdy nie chciał pozwolić Jezuicie na rozmowę z Fiedorem, nie chciano snać obcokrajowca przypuścić do tajemnicy dobrze już znanej domownikom. Rząd państwa przeszedł do rady bojarów, był to rodzaj regencyi ustanowionej przez Iwana krótko przed śmiercią. Na początku nowego rządu nie obeszło się bez zamieszek, zaszły rozruchy uliczne, wpływowych mężów wydano na pastwę nienawiści gminu. Najrozmaitsze wieści krążyły o przyczynach tych rozruchów. Skoro pokój przywrócono, inny wypadek zwrócił uwagę wszystkich. Fiedor był ożeniony z Maryą Godunówną, która na męża swego wywierała wpływ nieograniczony, sama zaś ulegała wpływom brata swego Borysa. Zbieg okoliczności i związki krwi postawiły go zanadto blisko tronu. Fiedor nie miał dzieci, nędzne jego zdrowie zapowiadało bliski koniec; w takim razie Dymitr, dziecię wygnane, pozostawał jedynym potomkiem starej linii Ruryków. I najmniej domyślni słusznie się zapytywali, ażali, na wypadek śmierci Fiedora, Borys nie pokusi się poświęcić ofiarę swej ambicyi i nie pójdzie na tron po drodze uścielonej trupami, zroszonej krwią niewinną. W Polsce wiedziano lepiej, jak wszędzie indziej, o tych nagłych zmianach. Sapieha był ich naocznym świadkiem, układał on w Moskwie wymianę jeńców (z wojen 1579—82) i donosił (Batoremu) o podwójnem poselstwie rosyjskiem: jednem od Fiedora, drugiem od Bojarów, które miały utrwalić, a jeżeliby tego była potrzeba, odnowić dziesięcioletnie zawieszenie broni z 1582[1].

Possewin bawił pod ten czas w Pradze, gdy mu kanclerz

[1] Str. 177. 178. Dokładniej maluje nam postać Fiedora, relacya Lwa Sapiehy do nuncyusza Bolegnetti z d. 10 czerwca 1584: „Wielki książe Fiedor małego jest wzrostu, a całym układem podobny do p. sędziego brzeskiego.... Głos jego cichy i bardzo brzydki, rozumu albo ma bardzo mało albo nic, jak o tem wiem od innych i z własnego bacznego spostrzeżenia. Siedząc (na tronie) wpatrywał się dziwnie w berło i jabłko i śmiał się ustawicznie.

Zamojski doniósł o wypadkach w Moskwie, listem z Krakowa datowanym 29 maja 1584. „Przybyło teraz poselstwo od nich (z Moskwy) do króla JM. prosząc o pokój, jedno od księcia szalonego *(altera principis furiosi)*, drugie od kuratorów w jego imieniu; sądzę, że król JM. nic na nie nie odpowie teraz, jak to, że on także do nich swych posłów wyprawi“ [1]. W zmyślnej i przemyślnej swej głowie wnet miał Possewin plan gotowy. W przekonaniu jego, sprawa chrześcijaństwa tylko zyskać może na tej zmianie dekoracyi na kremleńskim dworze. Należy wysłać co prędzej papieskie listy do Fiedora i do bojarów: wyraz współczucia z powodu śmierci Iwana, upewnienie o życzliwości Stolicy św. dla W. Księcia i jego narodu, nadzieja trwałej przyjaźni, oto tło, na którem osnute być miały te *brevia*. Jakoż niebawem wyszły z kancelaryi papieskiej pod d. 11 sierpnia 1583 dwa listy *ad Theodorum Dominum Russiae* i *ad gubernatores Ducatus Moscorum* według szkicu Possewina, ogłoszone drukiem w Monumentach Rosyi Turgenjewa [2]. Były one zarazem zapowiedzią przybycia Possewina do Moskwy i jego listami kredencyonalnymi. Tymczasem na wezwanie Batorego pospieszył Possewin do Lublina. Król czekał nań niecierpliwie. Nowe plany kiełkowały w jego głowie, aby zgnieść Turków i posiąść Byzancyum, marzył on o zdobyciu Moskwy. „Pokój z 1582 uważano za zerwany śmiercią Iwana, chciwi i niebezpieczni sąsiedzi otaczali zewsząd w. księstwo, król polski miał w swem przekonaniu najwięcej praw i nie chciał się dać ubiedz przez innych. W ciągu trzech lat, mniemał, że zdobędzie Rosyą, poda potem rękę zwycięską Gieorginianom, Czerkiesom i Persom i tak wtłoczy Turków w koło żelaza i ognia, poczem jedno bohaterskie wysilenie wystarczy, aby zatknąć chorągiew polską nad brzegiem Bosforu. Program ten widocznie był przeciwny projektowi papieskiemu. W Polsce wojenne zamiary Batorego uważają jeszcze teraz za pomysł genialny, lecz jakakolwiek jego wartość idealna, czy mógł on stać się czynem“ [3]? Batory nie ukrywał przed sobą trudności olbrzymiego

[1] Archiw. Wat. Svetia 95. str. 195 (cytat oryginalny).
[2] Hist. Ros. mon. t. II. 35.
[3] Revue des questions hist. str. 178—179.

planu, potrzeba było przedewszystkiem pieniędzy. Skąd ich dostać? Naród niechętny wojnie, jeszcze na sejmie 1581 r. pomimo świetnych zwycięstw nalegał, według słów Heidensteina: *operam dare rex velit ut hac expeditione bellum finiat*, a teraz po „hukach“ za ścięcie Zborowskiego, po gwałtownych inkryminacyach króla, że na wolność nastaje, a bratanka swego na tron polski forytuje, czy można się było spodziewać zawotowania znacznych na taką wyprawę podatków? Szukać więc tych pieniędzy należało za granicą, ale u kogo? Projektowana przez Possewina kasa ligi była jeszcze tylko *pium desiderium*, ani cesarz, ani tem mniej stojąca na wulkanie wojny domowej Francya, ani gotujący się do wojny o koronę francuską Filip II. tych pieniędzy nie dostarczą, jedna Wenecya a Florencya druga coś może dadzą, ale i do nich inaczej trafić nie można jak przez Papieża, w nim cała nadzieja.

Mamy o całej tej sprawie arcyciekawą relacyą Possewina do kardynała di Còmo po d. 29 sierpnia 1584 r. „Król mi oznajmił, że pragnie zwierzyć mi się z rzeczą nadzwyczaj wielkiej wagi i objawił życzenie, abym nietylko w tej sprawie napisał do Rzymu, ale też żebym osobiście, jeżeli tego będzie potrzeba, przystąpił do układów z niektórymi książętami. Gdyby król mógł liczyć na pomoc kilku książąt, to spodziewa się, że, korzystając z obecnego stanu państwa moskiewskiego, w trzech latach mógłby ujarzmić całą Moskwę, odjąć Tatarom i Turkom możność zajęcia Astrachanu i złączyć go z chrześcijaństwem. W ten sposób, mówi król, Turek musiałby zaniechać swych planów przeciw chrześcijaństwu w Europie, nie mówiąc już o przymierzu z Czerkiesami, Georgianami i porozumieniu się z Persyą. Dodał i to, że chociażby królestwo polskie nie zgodziło się na sejmie na udzielenie odpowiednich posiłków, to on przecież znalazłby sposób na urzeczywistnienie swej myśli. Pod tym względem okazał daleko większą stanowczość, aniżeli kiedykolwiek przedtem, gdy bądź z innymi, bądź ze mną o tem rozprawiał. Ażeby mi okazać, że nie po pierwszy raz nad tą sprawą się zastanawiał, opowiedział mi nadto, że mieszkańcy Kandyi prosili marszałka litewskiego (Krzysztofa Mik. Radziwiłła), kiedy tenże wracał z Jerozolimy, aby nakłonił króla do wyprawy mającej na celu uwolnienie chrześcijaństwa na Wschodzie, zważywszy zwłaszcza na słabe siły

tureckie i na pomoc, którą dałaby w takim razie ta wyspa (za zupełną zgodą Wenecyan) trzysta tysięcy skudów rocznie. Następnie powiedział mi, że dniem przedtem nadeszły listy z Moskwy i aby mię tembardziej zachęcić do działania, obiecał mi je dać w oryginale; to też wraz z tym listem je przesyłam. Wiele innych okoliczności jako to: śmierć bezwątpienia opatrznościowa dwóch książąt moskiewskich (syna Iwanowego i Iwana IV.) w przeciągu dwóch lat po zdobyciu Inflant, strach przed królem zakorzeniony w umysłach moskiewskich, stan Moskwy osłabionej w rozterce i z głupią głową (księciem Fiedorem), o którego śmierci, jak mi wczoraj mówił kanclerz, rozeszły się jakieś wieści; wszystko to doda bodźca temu królowi, aby nie dozwolił innym akatolickim królom, jak np. Duńczykowi i Szwedowi, albo Turkom i Tatarom, opanować tego państwa“ [1].

Opanowany temi wojennemi planami wydał król Batory natychmiast listy kredencyjne dla Possewina, do Papieża, do weneckiego doży i do w. księcia Toskany.

Possewin znalazł się teraz w sprzeczności sam z sobą. Tradycyami lgnął do rzymskiej myśli utrzymania pokoju między panami chrześcijańskimi, to znów wielkie wojenne plany Batorego porywały, zachwycały jego pobożny umysł, widział on już w duchu katolickie kościoły rozrzucone po olbrzymich przestrzeniach wschodniej Europy, aż po Kaspijskie morze i Euxyn — i dalej jeszcze, bo aż do Iranu. W dopisku do tego memoryału wspomina Possewin o prawdopodobnym napadzie Turków i Tatarów na Moskwę. W takim razie nie kto inny tylko Batory uratować może Rosyę, a wtenczas nie będzie potrzeba podboju, samym zbiegiem okoliczności osiągnie się to, do czego zmierzają wojenne plany króla. Wszystkie swe obawy i nadzieje, wszystkie plany i żądania spisał wiernie i przesłał z Lublina pod dniem 29 sierpnia kardynałowi di Cômo.

Łatwo sobie wystawić, że wieści te były w Rzymie przyjęte jak piorun z pogodnego nieba. Grzegorz XIII., pochylony wiekiem, znękany zawikłaniami we Francyi i niepokojami we własnem państwie, a do tego ogołocony z grosza, niczego nie pragnął

[1] Archiw. Watyk. Svetia 95. str. 216 (Cytat oryginalny).

jak spokoju chrześcijańskich książąt. Sama myśl Possewina, acz niedosyć wyraźnie wypowiedziana, przychylając się do planów Batorego, umniejszyła nieco jego kredyt w Rzymie. Memoryał Possewina z d. 29 sierpnia doszedł 28 września do rąk kardynała di Cômo, który, naradziwszy się zaraz z Papieżem, taką pod d. 29 września dał Possewinowi odpowiedź:

„Wiedzieć Ci trzeba, że Ojciec św. nie dał się nigdy zwyciężyć w szczerej chęci oddania usługi J. K. Mci., którego propozycyi, przez wzgląd na to, co W. T. pisze o Moskwie, chętnie wysłuchał, i jest gotów uczynić to wszystko co osądzi, że w tej mierze pomocnem być może. Lecz że teraz J. Ś. ma na uwadze różne względy, dla których nie sądzi aby była pora brać się do tego, o czem była mowa z W. T. (do wojny z Rosyą), powiada przeto, abyś dlatego nie puszczał się w drogę w tamte strony (do Włoch) lecz pozostał na miejscu (w Polsce), aż dopóki nie zobaczymy pomyślnego obrotu niektórych rzeczy wielkiej wagi, zostających jeszcze w zawieszeniu (jak nawrócenie Szwecyi, zamieszki w Francyi, postawa Filipa II. w Hiszpanii), od których zależy decyzya pochodzącej stamtąd propozycyi; tem bardziej, że ci, na których W. T. liczyłeś, t. j. Maritimi (Wenecyanie) szczupłą bardzo chcą udzielić pomoc, podobnie jak Alpini (Florenczycy); nie można też spodziewać się wiele od Stolicy Apostolskiej, która istotnie nie ma z czego datkować, a teraz tak jest obciążona różnymi wydatkami, jak nigdy przedtem. Kiedy więc będzie sejm zwołany, kiedy zaciągniemy w tej mierze skądinąd wiadomości i gdy J. Ś., który zna więcej rzeczy od nas, upatrzy stosowną porę działania, nie omieszka tem się zająć, a tymczasem przybędzie tam J. W. Bolognetti z którym JKM. będzie mógł traktować w tym interesie i dlatego teraz nic więcej o nim nie powiem“ [1].

Takie odłożenie sprawy *ad graecas calendas*, równało się odmowie. Subsydyów pieniężnych, o które najwięcej chodziło Batoremu, nie przyobiecano nawet. Zrozumiał to Possewin, w liście

[1] Relacye nuncyuszów w Polsce. I. 452. Rykaczewski mylnie przeczytał, a mylniej jeszcze przetłómaczył *Maritimi* i *Alpini* na *PP. Martini* i *PP. Arpini*.

jednak do króla, datowanym z Lublina 5 list. 1584, podaje wielce łagodzącą parafrazę odpowiedzi rzymskiej i konkluduje z otuchą: „*omnimo vero sat magna istius negotii fundamenta jacta sunt*, z pewnością dosyć wielkie fundamenta tej sprawy położono... nie ulega wątpliwości, że Ojciec św., skoro rozważy wszystko co do tej sprawy się odnosi, to poweźmie lepsze o niej mniemanie i w jakikolwiek sposób uzna, że można ją poprzeć, to poprze ją z pewnością“[1].

Niedługo po odesłaniu tego listu do króla, otrzymał Possewin drugi list od kardynała di Cômo, datowany 20 października tej treści:

„Wraz z listem Wielebności Twojej z Lublina z 31 sierp. otrzymałem duplikat listu z 29 tegoż miesiąca i własnoręczny list króla do Ojca św. Chociaż zaś poprzednio, kiedy otrzymałem oryginał listu z 29 sierpnia, Ojciec św. kazał mi Wielebności Twojej tak odpowiedzieć co do spraw moskiewskich, jak to uczyniłem; to jednak teraz Ojciec św. zważając, że król J. Mość pisał do niego własnoręcznie, uważniej i pilniej nad tem się zastanowił, i przyszedł ostatecznie do wniosku, który tu w streszczeniu podaję. Ojciec św. nie chce pod żadnym względem ani doradzać królowi wypełnienia swego zamiaru, ani mu go odradzać, ale zostawić to jego rozwadze, wiedząc dobrze, że roztropność jego wynajdzie i postanowi to, co uważać będzie za najodpowiedniejsze obecnym stosunkom i samejże osobie sułtana i cesarza. Również nie wydaje się stosownem aby W. T. udał się obecnie do Wenecyan lub do W. księcia Toskańskiego z prośbą o zasiłki pieniężne, których król żąda; nie życzy też sobie Ojciec św., aby W. T. przybył tutaj z tą prośbą w imieniu królewskiem, bo pragnie aby nikt domyślić się nie mógł, że to się dzieje za podnietą Jego Świątobliwości. Ale mówi, że J. K. Mość może wysłać jaką osobę zaufaną a niezwracającą uwagi na siebie (senza apparenza), któraby w wielkiej tajemnicy zawiązała stosunki z temi państwami, a że skoro uzyska u nich wsparcie, wtedy J. Świątobliwość nie odmówi swej pomocy. Niechaj W. T. doniesie o tem wszystkiem samemu tylko królowi i niechaj mu dozwoli, aby zde-

[1] Archiw. Watyk. Svetia 95, str. 263 (Cytat ks. Pierlinga).

cydował się na to, czem go Bóg natchnie. Nie potrzeba bynajmniej abyś W. T. przyjeżdżał w tej sprawie do Rzymu, lub do Włoch, co byłoby przeciw woli i rozkazowi Jego Świątobliwości“ [1].

Possewin spełnił niezwłocznie polecenia kardynała listem do Batorego, datowanym 17 listop. 1584. Jakby jednak na usprawiedliwienie swoje i króla, wysłał równocześnie do Rzymu list kanclerza Zamojskiego, pisany do niego z Zamościa, pod datą 5 paźdz. 1584. Była to właściwie odpowiedź na trudności, jakie nasuwały się Possewinowi w wykonaniu królewskich zamysłów.

„Należy mi wspomnieć jeszcze, pisał kanclerz do Jezuity, o zamiarach i usposobieniu króla i właściwym celu tej wojny (z Rosyą). Mogę to uczynić w niewielu słowach, albowiem W. T. mogłeś dostatecznie zrozumieć, jak o tem przekonany jestem, że w tem przedsięwzięciu król miał szczególnie na celu ocalenie i korzyści chrześcijaństwa, chociaż zamierzał przy tem odzyskać coś z tego co dawniej do jego państwa należało (non nihil rerum quae ad ditiones suas pertinuerunt) i opatrzeć obronę swego królestwa przeciw poganom. Bo jeżeli kiedy, to teraz właśnie pora, jeżeli już nie złamać potęgę turecką, to przynajmniej uzbroić się przeciwko niej i odwrócić jej siły od chrześcijaństwa. Łatwo mógłbym wykazać, że to właśnie wyborna sposobność (wojna z Moskwą), ażeby potem nałożyć wędzidło Turkom samym; lecz zdaniem mojem rzeczy doszły do tego, że tu już nie chodzi o uzbrojenie potęgi chrześcijańskiej przeciw poganom, ale raczej o to, abyśmy sami uniknęli niebezpieczeństwa i nie zostali opadnięci przez tamtych — od czego strzeż Boże — albowiem gdyby Turcy przyłączyli do swoich dzierżaw olbrzymie państwo, do którego jak się zdaje roszczą sobie prawo spadku, gdyby opanowali Scytią i Moskwę, gdyby się zbliżyli z dwóch stron do Polski, któżby ich był w stanie powstrzymać od napadu na Polskę samą i na Niemcy i od przerzucenia na chrześcijaństwo wszystkich sił swoich, powstrzymywanych dotąd raczej trudnościami zwycięstwa, jak traktatami? Tak więc na widok niebezpieczeństwa grożącego Rzeczypospolitej chrześcijańskiej i z obawy, ażeby poganie nie

[1] Gratiani De scriptis invita Minerva I. 318 w nocie.

skorzystali z naszego snu i nie zgnietli nas zupełnie, jeżeli, jak to dotąd prawie zawsze bywało, wypuścimy z rąk tę wyborną sposobność, mniemał król, że z miłości raczej publicznego dobra jak dla własnej korzyści należy mu podjąć tę myśl (wojny z Moskwą), gdyż on zawsze jest gotów dać swoją krew i życie dla chwały i imienia chrześcijańskiego, i złoży tego dowód w wojnie, jeżeli przyjdzie do jej wypowiedzenia, wszystkim w ogóle, a w szczególności Ojcu św.“ [1].

Przystępując do trudności jakie się nasunęły Possewinowi przy bliższym rozbiorze królewskiego planu: czy wewnętrzny stan Polski pozwoli Batoremu zająć się wojną na zewnątrz, czy sąsiedzi, korzystając z sposobności, nie wypowiedzą Polsce wojny, czy, co najważniejsza, sejm uchwali potrzebne podatki — na to wszystko odpowiada kanclerz uspokajająco. Sejmy w Polsce były nawet za Zygmunta I. burzliwe i krzykliwe; rząd zawsze ma dosyć siły, a większość obywateli dosyć patryotyzmu, aby wbrew kilku krzykaczom zażegnać niebezpieczeństwo. O tron Batorego nikt się nie pokusi, ani sedycyi podczas niebytności króla nikt nie wznieci; spory z cesarzem łatwo się ułożą, Dania zadowoli się małą sumą, Szwecya ruszyć się nie może, bo ma kłopotów dosyć u siebie, a Turcy, ci sprzyjać będą wojnie przeciw Moskwie; wszak Sułtan Selim ofiarował niegdyś Zygmuntowi Augustowi 30,000 wojska, byle tylko wojował z w. księciem Moskwy. Co do pieniędzy, to gdyby nawet sejm poboru odmówił, to znajdzie je król w własnej, i panów polskich i chrześcijańskich książąt szkatule. Zamojski bowiem tak wiele liczył na zręczność Possewina, że snuł nawet plany, coby zrobić należało z subsidyami Papieża, Wenecyan i książąt, w razie gdyby Rosya dobrowolnie odstąpiła żądanych przez króla prowincyj, albo na unię i zlanie się z Polską przystała.

Długi ten memoryał kanclerza odsłania nam wojenne plany i polityczne rachuby króla Batorego w zupełności; był on przecie jego powiernikiem, przyjacielem od serca, a przyznać należy, że tej polityce nie można odmówić zręczności. Ideą przewodnią Papieży: wojna z półksiężycem; Batory wysuwa tę wojnę na plan

[1] Archiw. Watyk. Svetia. 95. str. 242 (Cytat ks. Pierlinga).

pierwszy, a jako niezawodny środek wskazuje wojnę z w. księstwem Moskwy. Leży ona teraz bezsilna w rozstroju i rozterce domowej. Dosyć po nią się schylić, aby coś z niej urwać albo zabrać całą; należy uprzedzić sąsiadów innych, mianowicie Turczyna, i albo drogą układów albo siłą miecza połączyć, zlać w jedno z Polską. Trzy lata czasu na to wystarczą. Pomnożona tym sposobem potęga Rzeczypospolitej, rzucić się może śmiało na potęgę turecką i zgnieść ją w swem gnieździe. Tak więc kwestya wojny z w. księstwem Moskwy jest kwestyą chrześcijaństwa; słuszna więc, ażeby Papież i Wenecya, cesarz i książęta rzeszy, katolicki Filip II. i katolicka Francya dostarczyły, nie ludzi, bo tych król polski znajdzie dosyć u siebie i indziej, ale tego co jest *nervus rerum*, pieniędzy. Zamojski nie wiedząc snać jeszcze o odmownej odpowiedzi z Rzymu, liczył na zręczność Possewina, że on tych pieniędzy wydobędzie, choćby z pod ziemi, i dlatego rozwodzi się tak obszernie nad wybiciem mu z głowy wszelkich niedowierzań w praktyczność i skuteczność królewskich planów i rachub, pragnie go formalnie nawrócić do wiary w polityczny rozum króla. Possewinowi był ten memoryał bardzo na rękę, bo uwalniał go od dania w Rzymie wyjaśnień, które dać przyszłoby mu z niesłychaną trudnością, i dlatego przesłał go co prędzej sekretarzowi stanu. Nie zmieniło to jednak w niczem usposobień rzymskich.

Rozpatrzmy się teraz, jakie przyjęcie znalazły plany królewskie w narodzie polskim.

II.

Wiemy, że już r. 1581 w chwili świetnych zwycięstw domagał się naród na sejmie spiesznego zakończenia wojny; teraz ten wstręt anti-wojenny spotęgował się jeszcze. W. książe Fiedor bowiem, po objęciu swych rządów, wyprawił w kwietniu 1584 r. do króla polskiego urzędnika swego Andrzeja Izmajłowa, donosząc o swem na tron moskiewski wstąpieniu, za pośrednictwem polskiego posła księcia Lwa Sapiehy zawarł dziesięciomiesięczne przedłużenie pokoju, a co więcej, spełniając ostatnią wolę swego ojca, udarował wolnością 900 jeńców wojennych. Sapieha opuścił

Moskwę 28 lipca 1584 r., a prawie równocześnie z nim wyjechał do Polski poseł książęcy dworzanin Isleniow, donosząc o uwolnieniu jeńców litewskich [1]. Uprzejmość ta tembardziej uderzająca, że Sapieha za wykup jeńców moskiewskich domagał się 120.000 zł. usposobiła jeszcze bardziej pokojowo senatorów i szlachtę polską. Świadczy o tem list nuncyusza Bolognetti do kardynała di Cômo d. 6 sierpnia 1584. „Sądzą tutaj, że senatorzy niechętnie dowiedzieliby się o wojnie, tembardziej, że jak to poprzednio pisałem, młody książe (Fiedor) wypuścił na wolność wszystkich jeńców z tego królestwa, zatrzymanych w tamtych stronach. Jedynastu z tych jeńców przybyło już do Grodna i pobudzeni może dobrodziejstwem uwolnienia z niewoli, zdali jak najlepszą relacyę o tym księciu i chociaż rozszerzyło się powszechne mniemanie o jego głupocie, wysławiają go jako daleko mędrszego od ojca. Bądź co bądź wydaje mi się, że grzeczność wyświadczona przez tego posła moskiewskiego, była bardzo roztropną i przezorną i pełną uprzejmości, mając wzgląd na objawione pragnienie pokoju i zgody z tem królestwem. Uczyniwszy bowiem temu królestwu dar zupełny z wszystkich jeńców w liczbie 1100, prosił króla (Batorego), aby okazał równą grzeczność względem jeńców moskiewskich, których miał 306, i dodał, że gdyby król nie chciał tego uczynić bezinteresownie, to prosi go przynajmniej, aby wypuścił jeńców za wyznaczoną odpowiednią cenę. Taki sposób postępowania był bardzo na miejscu i musiał usposobić przychylnie umysły wszystkich senatorów. Przynajmniej takie tu czynią wnioski“ [2].

Senatorów tych zwołał król Stefan na 20 sierpnia 1584 r. na walną radę do Lublina, „ponieważ takie sprawy przypadły, które zwłoki żadnej niecierpią, ani do sejmu odłożyć się ich godzi“ [3], oraz dla przygotowania materyału do obrad sejmowych. „Zebrali się oni dosyć licznie, chociaż niemało ich naumyślnie

[1] Karamzin X. str. 28. Nota 57 i 58. List króla do Krzysztofa Radziwiłła (pisany po rusku) pod d. 30 sierp. 1584 wymienia innego jeszcze posła Daniła Niepliciewa, który snać przed Isleniowem o tem samem doniósł królowi (Ms. bibl. Kurnickiej).

[2] Monum. Ross. Turgenew. II. str. 4.

[3] List króla do Kromera. Teka Narusz. 91.

w domu pozostało“ [1]. Obok sprawy Zborowskich, która na sejmie sądzoną być miała i zabezpieczenia granic przed Turcyą i Tatarami, zaprzątnęła umysły i sprawa rosyjska, tak dalece, że według świadectwa nuncyusza, podówczas już kardynała, Bolognetti, „zwołano sejm przyszły (na styczeń 1585 r.) pod pozorem wojny z Moskwą. Zdaje się, że będą się toczyć rozprawy nad żądaniem zwrotu całego obwodu siewierskiego, który należał do tego królestwa (Polski) i stanowił część dyecezyi kijowskiej. Pod tym obwodem zaś rozumie się również Smoleńsk i Mozaisk, który leży 30 mil dalej i jest miejscem wsławionem cerkwią św. Mikołaja“ [2]. Na radzie senatu odczytano, z rozkazu króla, list ks. Sapiehy z Moskwy; kanclerz i wielu biskupów, jak kardynał Radziwiłł, którym na ten zjazd przybyć polecił jak najliczniej nuncyusz, zajmowali się szczerze sprawą rosyjską [3]. Instrukcya królewska na sejmiki przedsejmowe brzmiała: „Co do Moskwy... nie brak jak widzicie czasu i korzystnych okoliczności, ażeby wszelkie możliwe

[1] Heidenstein Rerum Polonicarum lib. 7. str. 226.

[2] Turgenew. Hist. Monum. Rossiae. II. 6.

[3] Oto co pisze w tej mierze kard. Bolognetti do kard. di Cômo z Lublina pod d. 24 sierp. 1584. „JKM. udzielił mi również niektórych szczegółów o Moskwie, zawartych w przysłanej mi od w. kanclerza i tu dołączonej kopii listu Sapiehy, posła tego królestwa u tamtego księcia, i jest to ten sam list, który JKM. rozkazał odczytać w senacie, aby wykazać, jak łatwem do wykonania byłoby to przedsięwzięcie. Podobne sprawozdanie, ale z kilku nowymi szczegółami, otrzymał w tej sprawie kardynał Radziwiłł, od niejakiego Jana Ailoffa, doktora, Flamandczyka, człowieka dość bogatego, który przez długi czas był lekarzem u zmarłego księcia moskiewskiego, a teraz uwolniony z tej służby, przybył do Inflant. Opowiada on, że obecnie panujący książe liczy 24 lat i usposobienia bardzo łagodnego. Nie jest skłonny do wojny, przeciwnie kocha pokój i nabożeństwo; czasami cały dzień przebywa w kościele; czterej gubernatorowie pozostawieni przez ojca, żyją z sobą w ustawicznej niezgodzie i często wobec samego księcia i bez najmniejszego uszanowania spierają się ze sobą o pierwsze miejsce. Opowiadał dalej, że znajduje się tam niejaki Megislawsky (Mścisławski), bardzo przywiązany do króla polskiego, i że gdyby umarł niejaki Mikita Romanowic, należący do przeciwnego stronnictwa, ale ciężko chory, i który dlatego długo już pożyć nie może: to JKM. liczyłby wielu zwolenników w tych stronach, bo już przesycili się tym rządem, a o JKM. mają jak najlepsze wyobrażenie... (Turgenew. Hist. Russ. Monum. II. 7).

niebezpieczeństwa grożące waszemu narodowi oddalić, i zebrać siły większe z znaczniejszemi zasobami wojennemi w celu odparcia ataków potężniejszych nieprzyjaciół, i należy strzedz się wielce, ażeby tej tak dogodnej sposobności wam kto inny wpierw nie odjął. Ten bowiem, który po zmarłym ojcu nastąpił (Fiedor) nie zupełnie jest przy zmysłach, sami też senatorowie i bojarzy bardzo się nie zgadzają z sobą, i w takiej są rozterce, że o mało do jawnego tumultu nie doszło, chociaż już nie mało się wzajemnej krwi przelało. JKM. nie ma zamiaru nad wytłumaczeniem wam tej sprawy dłużej się zatrzymywać, lecz ponieważ świętość i wierność złożonej przysięgi po nim tego się domaga, aby utracone prowincye odzyskał, i granice królestwa, jeżeli to może, rozszerzać nie przestawał; i także dlatego, aby nie mniemano, że złamany niewdzięcznością niektórych i obrażony, Grodno sobie dla wypoczynku i ukrycia się wybrał — przeto ofiaruje dobrowolnie wszelką pracę i usilność swoją, o ileby tego zwyczaje i względy Rzpltej wymagały, aby snać nie powiedziano, że tak wybornej sposobności zaniedbał, i nie wzdryga się przed niczem, coby dla pożytku i korzyści Rzpltej posłużyć mogło. Nie możecie niewiedzieć, jakie korzyści najprzód za łaską bożą, a potem za mądrą radą KJM. na Rzpltę spłynęły, a chociaż dla nich wy także kilka razy podatki daliście, to je JKM. nie na swoje obrócił potrzeby, ale przeciwnie, ze swego dołożył wiele, o czem w swoim czasie i miejscu jawno wszystkim się stanie. Całą więc tę sprawę zostawia JKM. was wszystkich zdaniu i chęci, i nie nalega ani na jedno ani na drugie, jeno wam rzecz samą, tak jak się ma, przedkłada“ [1]. W tym samym duchu ułożone były zapowiednie listy królewskie przedsejmowe do senatorów. Położono w nich nacisk na opłakane stosunki w Moskwie, z których koniecznie korzystać należy, nie wypowiedziano wszelako właściwej myśli królewskiej [2].

Niestety, umysły sejmikującej na całej przestrzeni Rzpltej szlachty, zajęte były więcej wrzekomą obroną wolności szla-

[1] Annales Eccl. Theineri III. 562.

[2] Kilka tych listów, niemniej jak pozew przeciw Krzysztofowi w Tece Naruszewicza vol. 91.

checkiej, pogwałconej ścięciem Samuela Zborowskiego i zapozwaniem przed sąd sejmowy brata jego Krzysztofa. Zamiast pomyśleć o zabezpieczeniu granic od Turków, o odzyskaniu dawnych ziem od Moskwy i skorzystania z obecnych jej trudnych okoliczności, jak tego nakazywał zdrowy rozsądek i król się domagał, układano na sejmiku sandomirskim punkta do przedłożenia królowi Stefanowi, punkta oskarżające i upominające króla, a (9-ty) wymierzony głównie przeciw Zamojskiemu, domagał się *poenas suae temeritatis*, kary za jego zuchwalstwo w ścięciu Samuela[1].

W takich nieprzyjaznych dla króla warunkach zebrał się sejm 15 stycznia 1585 r.

Zagajając obrady, kanclerz Zamojski w mowie od tronu tak się odezwał: „Jest też i Moskwa trzeci nieprzyjaciel korony tej, od której teraz podaje się nam wielka okazya, (którą *pictores* malują *fronte capillata, post haec ocasio calva)* i do pozbycia prędkiego nieprzyjaciela tego, *et ad recuperanda nostra propria et ad ea quae sunt regno Poloniae confinia sive contermina amplificanda atque augenda,* bo i niezgoda między nimi samymi wielka i sam *princeps valetudinarius* (chyrlak) *sine ratione et consilio.* Moskwicin też jeden jest u króla JM., który o tem wszystkiem dostateczną sprawę daje, i twierdzi taką tego być okazyą, że jej Polska nigdy nie miała. Pan Sapieha także, który od króla JM. tamże do Moskwy posłan był, każdemu z WMPanów lepiej i dostateczniej może to rozważyć i rozpowiedzieć. Do czego też króla JM. *conscientia* i przysięga wiedzie, w której się to inkluduje, iż król JM. *Regni fines amplificare et dominia ejus dilatare* ma“[2].

Wbrew zwyczajowi po mowie kanclerza przemówił po łacinie Batory, jak na chrześcijańskiego pana przystało, krótko ale gorąco, po bożemu, zachęcając przedewszystkiem do zgody i do obrad „rozumnych“, najprzód nad „usunięciem domowego złego, ażeby błogosławiony ten pokój, który wszystkich dobrze uorganizowanych społeczeństw największem jest szczęściem, został za-

[1] Ms. bibl. Kurnickiej. Heidenstein. lib. 7. str. 228.
[2] Teka Narusz. v. 91. dok. 51.

chowany. Dokonawszy tego, rzekł, nierównie łatwiej przy pomocy bożej zewnętrznem niebezpieczeństwom za wspólną zgodą i usiłowaniem oprzeć się zdołamy. Wierzcie mi panowie, że oczy wielu zwrócone na pomyślny przebieg tego sejmu, choćby dlatego tylko, że pragną aby się coś zrobiło ponad spodziewanie w tem królestwie, które uważano zawsze za mur chrześcijaństwa“ [1]. „Ale o tem wszystkiem, dodaje komentator tej mowy, t. j. ani o opatrzeniu granic od Turków i Tatarów, ani o urządzeniu Inflant, ani o tem, jakby w tak dogodnej porze z Moskwą postąpić należało, nic zgoła nie postanowiono. Był to za krótkiego panowania Stefana Batorego trzeci już sejm, który spełzł na niczem, bo sprawa Zborowskich cały czas sejmu zabrała. Skarb pozostał bez grosza, wojsko, jeżeli jakie było, bez żołdu, niezaprzeczone długi Rzpltej acz nie wielkie z krzywdą króla szwedzkiego, książąt pomorskich i wielu osób prywatnych nieopłacone, a co gorsza, niezgoda między możnemi domami ścięciem Samuela i potępieniem Krzysztofa Zborowskich rozniecona, doszła do najwyższego stopnia, zapalczywości i rozjątrzenia. Jakaś ślepota i zapamiętałość opanowała umysły. *Devenerunt in reprobum sensum*“ [2].

Podczas sejmu, dnia 8 lutego, przybyli do Warszawy posłowie od w. księcia Fiedora, książę Troijekurow i Beznin, aby ułożyć ostateczne warunki wieczystego pokoju [3]. Pierwszem zadaniem ich było sparaliżować potężny wpływ „znakomitego urzędnika“ moskiewskiego Michała Hołowina, który wraz z Szujskimi, Worotyńskimi i Howinami, wplątany w spisek na życie wszechwładnego Borysa Godunowa, widząc, że spisek odkryty, a towarzysze jego częścią osadzeni w więzieniach i monasterach, częścią wywiezieni na Sybir, uciekł do Litwy i oddawszy się pod opiekę polskiego króla, podtrzymywał jego nadzieje łatwego podboju Rosyi, przedstawiając przesadnie jej nieszczęśliwe stosunki. Znosił się ten „hospodarski zmiennik“ z litewskimi pany, a spro-

[1] Teka Narusz. v. 92. Mylnie tam podano, że mowę tę miał król na sejmie 1578.

[2] Część dyariuszu tego sejmu znajduje się w tece ks. Polkowskiego, obejmującej akta do panowania króla Batorego, które niebawem zostaną drukiem ogłoszone.

[3] Wyjechali z Moskwy 22 listop. 1584.

wadzony przez króla na sejm do Warszawy, dowodził senatorom, że w teraźniejszym stanie Moskwy, pod rządem niedołężnego kniazia i niezgodnych z sobą jego opiekunów, skoroby się król zbliżył choć z nielicznem wojskiem, wiele ludzi przeszłoby na jego stronę, a o 20.000 jazdy głową ręczy“ [1]. Batory wierzył relacyom, które zresztą dosyć zgodne się wydawały z tem co Sapieha i przyboczny niegdyś Iwanowy lekarz Jan Ailoff donosił i przyjąwszy bardzo zimno posłów w. księcia oświadczył im lakonicznie, że z łaski swej pozwoli na dziesięcioletni rozejm, pod warunkiem, że Nowogrod, Pskow, Wielkie Łuki, Smoleńsk i Siewiersk zwrócone zostaną Litwie; dodał przy tem: „Ojciec Fiedora nie chciał mnie znać, lecz poznał, z synem będzie to samo“ [2]. Niestety, zawieranie przymierzy należało nie do króla, ale do sejmu. Wiedzieli o tem posłowie w. księcia, zbywszy więc w milczeniu propozycyą królewską, postanowili najprzód zniweczyć bardzo niedogodną sobie propagandę Hołowina, choćby użyć potrzeba było podstępu iście machiawelskiego. Dworzanin rosyjskiego poselstwa, Andrzej Dedewszyn, zaprzyjaźnił się w tym celu z przystawem polskim, Mikołajem Fanelim, a pojmując przyjaźń „po słowiańsku“ raczył go częstemi kielichami. Kiedy już przystawowi ćmiło się w głowie, odkrył mu w wielkiej tajemnicy, zaręczonej przysięgą, że ów Hołowin nie jest wcale politycznym wychodźcą, ale zwyczajnym szpiegiem w. księcia; przekonany bowiem o wielką kradzież i utraciwszy przez to książęcą łaskę, chcąc ją odzyskać, ofiarował się na tę niezaszczytną usługę. Pieniądze, któremi dosyć hojnie szafuje Hołowin, są pieniądzmi ze skarbu w. księcia. Fanel wytrzeźwiwszy, nie miał nic pilniejszego, jak rozpuścić te baśń wśród posłów sejmowych [3]. Wiemy, jak niechętny był wszelkiej wojnie sejm styczniowy, to też baśń Dedewszyna znalazła prędką wiarę, kredyt Hołowina upadł zupełnie. Dokazawszy tego zgodzili się rosyjscy posłowie do sejmu z projektem przymierza przeciw Tatarom krymskim. Projekt ten przypadł dziwnie do smaku niewojennemu sejmowi

[1] Annales Theineri III. 823 Karamzin X. 30, 31.
[2] Karamzin. Tamże.
[3] Karamzin X. nota 67.

mianowicie Litwinom, którzy na napady Tatarów krymskich najwięcej byli narażani; ani nawet nie wzięto pod rozwagę propozycyi królewskiej „wzgardzono nią prawie“, jak skarżył się król z goryczą w liście do Kromera [1]. Napróżno niektórzy senatorowie domagali się, jak o tem donosi Possewin nuncyuszowi w Wiedniu pod d. 27 lutego, zwrotu przynajmniej Smoleńska — wszystkie te wnioski odrzucono, i przyjęto przedłużenie rozejmu na dwa lata, na podstawie *statu quo ante*.

Po za plecami jednak sejmu rozmawiano z posłami w innym nieco tonie. Najprzód Possewin idąc w myśl kuryi rzymskiej, która chciała zachować przyjazne relacye z w. księciem Moskwy, nawiązał za wiedzą i wolą króla stosunki z posłami moskiewskimi, wręczył im breve papieskie datowane jeszcze 30 lipca 1584 do w. księcia Fiedora, w którem czytamy: „Poleciliśmy Antoniemu (Possewinowi) ażeby... udał się do Polski i stamtąd postarał się o doręczenie Tobie listu tego i aby się tak zachował iżbyś mógł zrozumieć, iż niczego tak nie pragniemy, jak, ażeby pomoc Boża, nasza i tej św. Stolicy jak największe dobrodziejstwa Dostojności Twojej przyniosła. Ponieważ zaś niepodobna wyrazić wszystkiego w tym liście, przeto będzie nam bardzo miłem, jeżeli słowom Antoniego, albo gdyby do ciebie przyjść nie mógł, listom i posłom jego zupełną dasz wiarę“ [2].

Na podstawie tego pełnomocnictwa, Possewin zajął powtórnie rolę pośrednika między posłami w. księcia Moskwy a królem polskim. Posłowie przyjęli go nader uprzejmie; prosili, aby wpływem swym nakłonił króla do przedłużenia rozejmu, a chociaż szczegółowy przebieg tej medyacyi nie jest dotąd znany, musiał on jednak wypaść przynajmniej na pozór w myśl Possewina, skoro ten pod d. 5 marca pisał bo senatu weneckiego: „Wasza prześwietna Dostojność wie zresztą, że w Moskwie zanosi się na zmiany, i że jest dosyć ugruntowana nadzieja połączenia jej z tem królestwem (Polską), a w skutek tego otwarłaby się brama do dostania się w samo serce Azyi“ [3]. Na czem właściwie opierał

[1] Teka Narusz. v. 91.
[2] Turgenew. Hist. Russiae monum. II., str. 3.
[3] Archiw. Watyk. Svetia 95. str. 334. (Cytat ks. Pierlinga).

Possewin te różowe nadzieje, trudno powiedzieć. Batory stawiał zrazu alternatywę: albo wojna, a król szwedzki ofiarował mu swe przymierze, albo odebranie dawnych prowincyj.

Wiemy, że te plany rozbiły się o nieużytość sejmu. Pomimo to jednak zaraz po przedłużeniu rozejmu w lutym 1585 dano posłom w. księcia do zrozumienia, że pomyślny obrót sprawy zawdzięczają pośrednictwu papieża, i zaproszono ich na rozmowę do kanclerza Zamojskiego.

Mamy o tem nader ciekawą relacyą Possewina do kardynała di Cômo. „Ponieważ otrzymałem polecenie, ażebym za pośrednictwem W. Eminencyi jedynie tylko Ojca św. uwiadomił o tajemnych układach prowadzonych z rozkazu królewskiego z moskiewskimi posłami: nie omieszkam o tem donieść, chociaż może już innemi drogami rzecz cała stała się wiadomą. Dniem przed spotkaniem się kanclerza z tymi posłami, uwiadomił ich wojewoda bracławski, z którym byłem w Moskwie umawiać się o pokój [1], że król przedłuży rozejm w. księciu moskiewskiemu przez wzgląd na Ojca św. Kanclerz w. przemówił do nich następnemi słowy: Wiecie panowie, jakie prawo ma to królestwo do w. księstwa Nowogrodzkiego, Pskowskiego i Smoleńskiego, i że obecnie, po upływie rozejmu, moglibyśmy słusznie zażądać ich zwrotu. Wszelako, ponieważ należy przekładać działanie pokojowe nad działanie gwałtowne, starajcie się, aby wasz w. książe zgodził się na niektóre warunki, a tak nietylko unikniemy wszelkiego gwałtu, ale na wieki się zjednoczymy. Widzicie sami, że wasz w. książe jest dosyć niezdrów, nie możecie więc spodziewać się ani potomstwa po nim, ani wielkiego bezpieczeństwa, chociaż istotnie pragnęlibyśmy, aby i jemu i innym książętom nie zabrakło na potomstwie, bo i ono jest szczególnym darem bożym. Ale, kiedy rzeczy znajdują się w takim stanie i łatwo można przewidzieć, że jeśli zostaniecie bez głowy, staniecie się łupem Turka, Tatarów i innych, pytamy was, czy nie chcielibyście na przypadek, gdyby wasz w. książe umarł, nie zostawiwszy następców, połączyć się z królestwem Polskiem, jak poprzednio złączyło się

[1] Książe Janusz Zbaraski jeden z komisarzy królewskich, którzy układali pokój zapolski 1582 r.

z niem w. księstwo Litewskie. Sąsiedztwo granic, język zrozumiały obydwom narodom i to, że jak wiecie, w królestwie naszem jest swobodne wykonywanie obrządku ruskiego, i że jak widzicie, tworzymy zupełną jedność z Litwinami, i że w dawnych czasach nad wszystkimi tymi krajami panowali trzej bracia: Lech, Rus i jeszcze jeden — wszystko to dostateczną jest przyczyną, abyście się dobrze namyślili nad tem, co chcecie uczynić, tembardziej, że jeślibyście się chcieli złączyć bądźto z naszymi nieprzyjaciołmi, bądźto z kim innym, to możecie być przekonani, że rąk nie opuścimy". Posłowie moskiewscy odpowiedzieli z wielkiemi oznakami pokory w sposób następujący: „Wiecie Panowie, jaki jest przyjęty u nas sposób postępowania t. j. że nie wolno nam traktować o niczem innem, jak tylko o tych sprawach, które nam poruczono. Pomimo tego, jeżeli król Stefan zechce wysłać swych posłów do naszego w. księcia, to w. książe chętnie ich wysłucha. A co się tyczy życzeń waszych, aby nasz w. książe był żyw i zdrów, to w tem postępujecie sobie jak przystoi na chrześcijan". Tak więc przedłużono rozejm na mniej więcej dwa lata, aby dalsze układy w tym względzie mogły mieć miejsce, a skoro tym posłom dozwolono znosić się ze wszystkiemi, aby tak mogli sprzedawać swe towary i futra wedle swego obyczaju, wyjechali co prędzej. Jakto już doniosłem, dałem im nietylko brewe Ojca św., ale i kilka moich listów do ich księcia, jako tego sobie życzyli" [1].

A więc i w. kanclerza hazardowna nieco polityka i Possewina zręczność rozbiła się o prostaczą, ale tą razą dziwnie mądrą służbistość moskiewskich posłów. (Dok. nast.)

X. Stanisław Załęski.

---

[1] Arch. Watyk. Teka Theinera, (Cytat oryginalny). List ten bez daty najpewniej pisany był w lutym 1585 r.

O MIĘKKICH ZGŁOSKACH

w języku staropolskim.

II.

Kiedy język polski tak przed dwugłoskami, jakoteż miękkiemi pojedyńczemi samogłoskami przemienił *t, d* w *ć, dź*, nastała wśród jego ustroju reakcya, która się na tem zasadzała, że starsze utwory *ć, dź* przed dwugłoskowemi kombinacyami począł przemieniać w *c, dz*. Proces ten stoi w ścisłym związku z ogólnym prądem nietylko polskiego, ale w ogóle wszystkich słow. języków — zatraty miękkich zgłosek. Dotknął on najpierw w polskim języku owe dźwięki starszego pochodzenia, do czego niezawodnie ich pozycya i funkcya w sufiksach i zakończeniach była powodem. Straciwszy bowiem język poczucie etymologicznego znaczenia pojedyńczych dźwięków, poddał je prawu konieczności, jakiego mechanizm mowny wymaga. Ten zaś począł oddziaływać w ten sposób, że przeniósł artykulacyą dźwięków tych z miejsca ich dawniejszego od podniebiennej części ku przednim zębom, przez co z podniebiennych miękkich *ć, dź* powstały *c, dz*. Prawo to, które zastósował język do dźwięków *ć, dź* z starszej epoki, podczas gdy młodsze wyjął z pod jego wpływu, pokazuje jasno świadomość języka różnicy, jaka pomiędzy niemi tak w historycznym, jakoteż fizyologicznym zachodziła względzie.

Jednakowoż proces, dotyczący stwardnięcia *ć, dź* przed dwugłoskami, może tylko w książkowym języku uważać się za skończony; w żywym ludowym toczy on się dalej w całej pełni, a w książkowym przekroczył nawet granicę pierwotną i począł w zakres swój wciągać i te przemiany dźwięków *t, d,* które

przed miękkiemi samogłoskami w późniejszej nastąpiły dobie. Konsekwentnie postępując, powinien język odpowiednio do przemiany starszych *ć, dź* w *c, dz*, także i młodsze *ć, dź* poddać temu samemu procesowi i zamienić je w *c, dz*. Tak też postąpił sobie w następnych formacyach: miejsce, stsł. mêsto, które z mêstije w ten sam sposób powstało, jak odpowiednie mu formy: świadectwie obok świadectwo, ziele obok zioło itd.[1] Stpolska forma: *mieście*, odpowiadałaby dzisiejszym takim utworom jak: *wyjście* od *id*, inf. iść, *bicie* od *bi*, inf. bić itp., podczas gdy obecnie używane: *miejsce* świadczyłoby o stwardnięciu *ć* w *c*. Jednakowoż pol. *miejsce* mogło także powstać z *mêstьce* przez asymilacyą i kontrakcyą, jak też rzeczywiście w tej formie zachodzi: miestce[2]. Podobnej zasady trzymał się język przy wyrazie *rycerz*, zamiast dawniejszej *rycierz*, dalej w imiesłowie biernym czasu przeszłego od słów I, 1 klasy, w którym dawniejsze *ć, dź* stwardniały w *c, dz*[3] i w trybie rozk. 2. os. l. poj.[4].

Podczas gdy w przytoczonych razach język konsekwentnie przekształcił miękkie *ć, dź* w twarde *c, dz*, w następnych przypadkach odstąpił on od tego, a natomiast chwycił się innego środka. Tak przed miękkiem *e*, odpowiadającem stsłowiańskiemu ь, poprzedzające *ć, dź* nie stwardniały w *c, dz*, lecz przeszły w pierwotne *t, d: teść, teściowy*, stpol. cieść, ćciowy, stsł. tьstь; *rozterk*, stpol. rościerk, stsł. rastrьkъ; *wszytek, wszystek*, stpol. wszyciek; *jeden*, stsł. jedьnъ. Podobny zachodzi stosunek, gdy pomiędzy zębową spółgłoską a następną miękką samogłoską znajduje się powiewne *w: twardy, potwierdzić*, stpol. poćwirdzić; *łatwy, łatwie*, stp. łaćwie; *polędwica*, stp. polędźwica; *drzwi*, stp. dźwirze. Na tej samej podstawie powrotu do pierwotnego stanu miękkich *ć, dź* przed *e* = ь zasadzają się te przykłady, w których po ustąpieniu dźwięku *e* poprzedzające *ć, dź* przechodzą w *t, d: smutny, pamiętny*, stp. smucien, smącien, pamiącien; *dzień*, dopełn. dnia; *ciąć*, l. os. l. p. tnę itp.

W ten sam sposób tłómaczą się także i takie formy jak

---

[1] Zob. Hist. jęz. polsk. str. 115. [2] Śtsł. 9; Arist. C, 5, b.; Łask. 105; Op. 92. [3] Zob. Hist. jęz. polsk. str. 381. [4] Zob. tamże str. 446.

dzisiejsze *siadać* zamiast stp. siadziać od *siedzieć*, stsł. sêdêti; *otpowiadać*, stp. otpowiedziać, jak znów z drugiej strony dawniejsza polska forma *oszczędać* w obec dzisiaj używanej: oszczędzać ma swoje uzasadnienie: oszcządaiąci [1], oszcządaniu [2] ossządaią [3].

Proces ten idzie coraz dalej i ogarnia spółgłoski te w rdzennych zgłoskach przed następnemi miękkiemi samogłoskami. Tak istnieją obok siebie po dziś dzień w języku: *cierń, ciernie* obok tarń, tarnie. *ściek* od ciec, *tek*, obok stek. *ciesać* obok tesak, tesarz. *ścięgno* obok stęgno. *ścieg* obok ludowego stegnować. *ciągnąć* obok wstęga. *Szczepan*, stpol. *Ściepan* obok Stefan. W ludowym języku *cygrys* obok tygrys, *dura* obok dziura.

Przytoczone przykłady pokazują nam, że proces twardnięcia miękkich zgłosek odbywa się ustawicznie wśród ustroju języka polskiego, przyczem ten zachodni stosunek, że w zakończeniach słownych i sufiksach, dodanych do tematu, twardnięcie miękkich *ć, dź* postępuje podług analogii starszych wzorów, przechodząc w *c, dz*, podczas gdy w zgłoskach rdzennych na miejsce ich wracają pierwotne twarde *t, d*. Postępowanie takie nierówne języka w obec jednych i tych samych dźwięków, wśród tych samych znajdujących się warunków, rzuca ważne światło na psychologiczny ten objaw językowy, którego obraz, przed naszemi roztaczający się oczami, posłużyć może za wskazówkę do zrozumienia innych jego objawów, sięgających dalekiej przeszłości. Jeżeli język zmuszony jest pod wpływem praw fizyologicznych przemienić dźwięk jaki w inny z odrębną artykulacyą, a gdy warunki składające się na tę przemianę zmieniają się w ten sposób, że wracają pierwotnie działające, i wówczas język ten przywraca pierwotny dźwięk do swego znaczenia: działalność ta świadczy o świadomości języka, jaką ma o łączności pomiędzy pierwotną a późniejszą zmienioną formą wyrazu. Gdy zaś na miejsce tego zwrotu do dawniejszego stanu język pozwala jakiemu procesowi dalej się rozwijać podług innych prawideł, to dowodzi znów, że świadomość dawniejszego stanu odnośnej formy język zatracił, albo też zamierza go zastąpić przez inny. Te dwa

---

[1] Arist. M. 5. [2] *(Lor.)* Lorichiusa księgi o wychowaniu. Tłom. S. Koszuczki 1555. 103. [3] Lor. 115, b.

psychologiczne momenta wpływały na przemianę miękkich *ć*, *dź* raz na *t*, *d*, drugi raz na *c*, *dz*. W sufiksach i zakończeniach, których znaczenia pierwotnego język już nie rozumiał, poszedł o tyle tylko za ogólnym prądem twardnięcia miękkich dźwięków, że dźwięki te przeniósł z miejsca środkowego kanału gębowego ku przedniej części jego, przez co z *ć*, *dź* powstały *c*, *dz*, podczas gdy w tematach, gdzie i znaczenie i nie tak dawny wiek przemiany pierwotnych *t*, *d* w *ć*, *dź* wchodziły w rachubę, na tej samej drodze postąpił aż do ostatniego kresu, t. j. przywrócił wyrazowi ten kształt, który przed przemianą posiadał.

2. Z powyższego wywodu łatwo zrozumie każdy, że z syczących dźwięków *c*, *z*, *s* dźwięk *c* polskiego języka, zachodzący w zachodnio-słowiańskiej grupie, może być wymianą pierwotnego *t*, lub też, jak zaraz dodamy, gardłowego *k*. Jeżeli zaś zachodzi on i po za tą granicą, t. j. we wszystkich językach słowiańskich, wówczas nie może pochodzić z *t*, ponieważ w tej drugiej grupie słow. języków dźwięk *t* nie podlega takiej przemianie. Z porównania języków słow. z innemi indoeuropejskiemi pokazuje się, że *c* jest słow. wytworem na miejsce *k* innych języków. Przemiana ta musiała odbyć się w prajęzyku słowiańskim, ponieważ wszystkie słow. języki dźwięk ten jako spadek po swym praojcu odziedziczyły, np. stsł. *crъky*, pol. cerkiew, rus. cerkovь itd., niem. kirche, stgniem. chiricha. stsł. *cêsarь*, pol. cesarz itd., got. kaisar. Tem się też tłómaczy, że dźwięk *c* równe przechodzi przemiany z dźwiękiem *k*.

Inna jest sprawa z dźwiękiem *s*, który należy do własności indoeuropejskiej, np. od pierwiastku *as* brzmi 3. os. l. poj. stsł. jestъ, germ. ist, łać. est, gr. ἐστί, skr. ásti; stsł. *slъnьce*, pol. słońce, got. sauil, skr. sūras itp. Oprócz tego słowiańskie *s* powstało z dawniejszego *k*, podobnie jak w innych jeszcze językach indoeuropejskich, np. słow. *desętь*, lit. dešimtis, stbaktr. dasan, skr. daśan, ale greckie δέκα, łać. decem. słow. *osmь*, gr. ὀκτώ itd.[1]. Jeszcze jest trzecie *s*, które w skutek przemiany

[1] Zob. Fick: Die ehemalige Spracheinheit der Indogermanen Europas, Goettingen 1873, str. 62 nast. i Fr. Müller: Die Guttural laute der indogerm. Sprachen w Sitzungsber. d. Akad. d. Wiss. phil. hist. Cl. t. 89, str. 3 nast.

w obrębie słow. języków z *ch* powstaje np. *Stach*: Stasiek; stsł. aor. byhъ, 2. os. l. mn. byste.

Również i dźwięk *z* jako odpowiedni miękki twardego *s*, dzieli z nim równe koleje. Zdaje się być prawdopodobnem, że stanowi on wspólną własność indoeurop. języków [1]. Drugi rodzaj dźwięku tego opiera się na pierwotnem *g*, z którego w słow. języku podobnie jak jeszcze w niektórych innych powstał, np. stsł. *azъ*, lit. aš zam. až, prus. es zam. ez, stbaktr. azem, ale gr. ἐγώ, łać. ego [2]. Trzecie *z* jest wyłączną własnością słowiańską, wytworzoną przed miękkiemi samogłoskami z *g*; stsł. *bogъ*, mian. l. mn. bozi.

Dźwięki *c, s, z,* które z odpowiednich gardłowych *k, ch, g,* wśród każdego z słow. języków powstają, spadają tem samem pod rubrykę przemian gardłowych spółgłosek. Jako pierwotne mogą tylko te być uważane, które należą lub to do indoeuropejskiej epoki *(s, z),* lub też wśród prasłowiańskiej jedności się wytworzyły *(c).* Naturalną jest rzeczą, że artykulacya fizyologiczna dźwięków zakładnych *k, g,* które z jednej strony pozostały w swej pierwotnej czystości w całej rodzinie indoeuropejskiej, z drugiej strony zaś uległy przemianie, musiała być nierówną, czyli, że oprócz takich *k, g,* które nie podlegały żadnej przemianie, istniały jeszcze i takie, które do takowej zdolne były, a które oznacza się dla odróżnienia od tamtych przez k^1, g^1.

Zachodzi teraz pytanie, w jakim stosunku stoją wszystkie te dźwięki, równe sobie pod względem fizyologicznym, ale nierówne co się tyczy czasu i powstania. Weźmy najpierw pod rozwagę *s, z* jako najstarsze, będące własnością całej grupy indoeuropejskiej. Na początku w rdzennych zgłoskach zachodzi *s* np. w takich wyrazach: stsł. sêjati, pol. siać, lit. sêti, got. saian, łać. serere, skr. sasja, zboże od $\sqrt{sā}$.

stsł. *sěšti*, l. os. sêką, pol. siec, siekę, łać. secare, stgniem. saga, sega, Säge, pierw. *sak.*

---

[1] Zob. Osthoff: Spuren eines ursprachlichen tönenden zischlautes w Kuhn's Ztschft f. vrgl. Sprachf. 23, str. 87 nast. i F. Kluge: Indogermanisches *zd* und verwandtes tamże, t. 25, str. 313.

[2] Zob. przykłady w Miklosicha Vrgl. Gram. I², str. 267 nast.

stsł. sêdêti, pol. siedzieć, got. sitan, łać. sedere, skr. sad, sadāmi.
stsł. srъpъ, pol. sierp, łać. sarp-io, sarmen, pierw. sarp.
stsł. selo fundus, pol. sioło, łać. solum, pierw. sal.
stsł. sito, pol. sito, lit. sijoti, gr. σάω zam. σjαjω, pierw. si, sjā.
stsł. sestra, pol. siostra, got. svistar, skr. svesar.

We wszystkich przykładach nagłosowe *s* zarówno się zachowało w całej grupie indoeuropejskiej, przez co dokumentuje pierwotne swoje pochodzenie. W pol. języku przed miękkiemi samogłoskami występuje jako pieszczotliwe *ś*, co także i wówczas zachodzi, kiedy pomiędzy niem a następną miękką samogłoską stoi jaka powiewna, lub płynna spółgłoska, np. stsł. svinija, pol. świnia, got. svein itd., pierw. sū.
stsł. svętъ, pol. święty, got. svinths.
stsł. slêmę, pol. ślemię, agsas. sealma, gr. σέλμα, pierw. salman.
stsł. smrъdêti, pol. śmierdzieć, lit. smirdas, pierw. smarda.
stsł. snêgъ, pol. śnieg, got. snaivs, lit. snigti, pierw. sningh.

Że i w języku stpolskim dźwięk ten również był miękkim, to pokazuje nam pisownia stpolskich zabytków, w których te i tym podobne wyrazy z wyraźnie oznaczonym przez znak miękczący dźwiękiem *s* na tem samem miejscu się używają. Tak w najstarszym zabytku polskim, żeby pominąć inne, piszą się wyrazy te przez znak miękczący *i*, *y*, przy nagłosowem *s*, jak następujące: seyyǫ zam. syeyǫ-sieją [1], oszyądzye-osiądzie [2], sywatświat [3], syemǫ-siemią [4], syano-siano [5], sywatloscz-światłość [6]. Jeżeli obok tego przeważnie zachodzi dźwięk ten bez oznaczenia miękkości, to trzeba złożyć na karb zwyczaju ortograficznego, który subtelność tę dopiero w diakrytycznej epoce konsekwentnie przeprowadził, podczas gdy w dawniejszych pozostawiał wymówienie znaków piśmiennych jako miękkich znajomości czytającego. Przeciwko możliwemu przypuszczeniu zaś, jakoby w czasie, z którego pochodzą najstarsze zabytki polskie, miękkość tego dźwięku się dopiero wytworzyła i w tym charakterze pozostała aż do dnia dzisiejszego, podczas gdy w epoce dawniejszej, sięgającej przed wiek XIV., w tych samych warunkach twardo się

[1] Ps. 125, b. [2] Ps. 24, 14 z kodeksu biblioteki Krasickich. [3] Ps. 89, 8. [4] Ps. 68, 42. [5] Ps. 71, 16. [6] Ps. 89, 19.

dźwięk ten wymawiał, świadczy analogia innych objawów języka, podobnych temu, które stanowczo temu się sprzeciwiają.

W sufiksach trudno oznaczyć na końcu wyrazów, jak dźwięk *ś* się wymawiał, ponieważ pisownia przez *sz*, *ss* itp. mogła także wyrażać twardość jego. Sądząc jednakowoż z dzisiejszego języka, który proces ten w kierunku twardnięcia dawniejszych miękkich dźwięków rozwija, można na pewne przyjąć, że końcowe *s* tematu przed sufiksem ь, który w polskim języku z poprzednią spółgłoską spłynął, jako *ś* się wymawiało. Zatem formy dzisiejsze jak: *gęś*, stsł. гąсь, niem. gans, lit. žasis, skr. hansi; *ryś*, stsł. рысь itp. miały w zakończeniu w języku stpolskim również miękkie *ś*. Podobnie rzecz się miała przed sufiksami, zaczynającemi się od miękkich samogłosek ь, *e*, przed któremi dźwięk ten również tej samej ulegał przemianie: *osieł*, stsł. осьлъ, got. asilus, łać. asinus; *jesień*, stsł. јесень, got. asans; *gąsior* itp., *pokosyenyv*-pokosieniu, kosa, kosić[1]. Jeżeli stan ten miękkiego *ś* poprzednich przykładów porównamy z następującemi: *osła, gąska* itp., widzimy, w jakim kierunku proces ten postępował. Podobnie przedstawia się sprawa w nagłosie, jak np. to pokazuje forma *siąg*, która od *sięgnąć*, stsł. сęгnąti, skr. sandž-, w pierwotnej występuje postaci, podczas gdy *sążeń* jako nowszy utwor z stwardniętem *s* się okazuje. Zatem dźwięk *s* przedstawia nam podobny proces jak zębowe *t*, *d*, że przed miękkiemi samogłoskami przechodzi w miękkie *ś*, a wraca napowrót do pierwotnego stanu, jeżeli warunki składające się na jego miękkość się zmieniają, t. j. zgłoska staje się twardą.

Oprócz tego indoeuropejskiego *s* posiadają języki słowiańskie drugie *s*, które powstało z pierwotnego *k*. Ponieważ przemiana ta dźwięku *k* nastąpiła również w językach litewskim w š, armeńskim w *s*, stbaktryckim w *s* i sanskryckim w *ś*, podczas gdy w reszcie języków indoeuropejskich nie została przeprowadzoną: wniosek naturalny, że proces ten nie może uważać się za własność wyłącznie słowiańską, ale sięga w przedsłowiańską dobę. Okoliczność ta dała powód *Boppowi* do mniemania, że języki litewsko-słowiańskie później odszczepiły się od azyatyckiej grupy,

[1] St. W. 42.

jak reszta języków europejskich ale wcześniej, aniżeli azyatycka grupa rozpadła się na indyjską i medo-perską gałęź językową [1]. Czy zjawisko to fonologiczne, powtarzające się w odnośnych językach, może posłużyć za dowód bliższego powinowactwa pomiędzy niemi, czyli też za mało posiada siły dowodowej, to może stanowić punkt sporny; jednakowoż nie można zaprzeczyć faktu, który zachodzi pomiędzy indoeurop. językami, że syczącemu dźwiękowi po jednej stronie stoi naprzeciw gardłowe *k* po drugiej. Fakt ten językowy, który *Bopp* i *Schleicher* [2] już w głównych poznali zarysach, został dopiero przez *Ficka* [3] w swojej istotnej naturze zbadany. Właściwość ta języków indoeuropejskich, dzieląca je ze względu na odmienny proces w obrębie gardłowego *k* na dwie części, posiada źródło swoje w różnej naturze fizyologicznej dźwięku *k* w najstarszej już dobie indoeuropejskiej. Tylko wówczas różnice, jakie zachodzą w pojedyńczych indoeurop. językach pod względem ich stosunku do przemiany dźwięku *k* na syczące i gardłowe *k*, znajdują należyte wytłómaczenie, jeżeli przemiany te uznamy za naturalny wypływ odmiennej wartości fizyologicznej zakładowego dźwięku. Przez tę dedukcyą przychodzimy do przekonania, że w pierwotnym stanie indoeurop. języka istniały, jak już wspomniałem, dwa rozmaite *k*, z których jedno w przytoczonych językach w *s* przeszło, podczas gdy w reszcie pozostało jako *k*, drugie zaś w indoerańskich językach pozostało *k*, na którego miejsce później dźwięk podniebienny występuje, w europejskich zaś występuje w postaci k^v, zamiast czego w litewsko-słowiańskich *k* zachodzi. W południowo-europejskich i germańskich językach dźwięk k^v traci niekiedy swoją składową część a przechodzi w obręb czystego *k* [4]. Formuła, dotycząca natury dwojakiego indoeurop. *k* i przemiany jego w językach indoeurop., wygląda w ten sposób:

indoeurop. *k* = indoeran. *k*, č, europ. k^v *(k)*, lit. sł. *k*.
indoeurop. k^1 = indoeran. *ś*, europ. *k*, sł. *s*, lit. *sz*.

---

[1] Zob. Sprache der alten Preussen, str. 4 i Vergleichende Grammatik, I[3]. str. XIX. [2] Formenlehre d. Kirch. slav. Spr. str. 97 nast.; Beiträge z. vrgl. Sprf. I, 110 nast. [3] Die ehemalige Sprachеinheit der Indogrm. Europas, str. 2—34. [4] Zob. Fick. o. m.; H. Collitz: die Entstehung der indoiranischen palatalreihe w Bezzenbergera Beiträge zur Kunde der indg. Sprachen III., str. 185.

Ponieważ dźwięk słow. *s* jest refleksem odpowiedniej natury fizyologicznej pierwotnego k^1, a więc jako taki dostał się językowi polskiemu, zatem tylko te przypadki mogą wchodzić w rachubę wśród obrębu tego języka, w których dźwięk $s = k^1$ uledz musi jakiejkolwiek przemianie. Przykłady te zaś mogą tylko dotyczyć połączenia jego z miękkiemi samogłoskami, lub z dwugłoskami, w których to razach napotykamy następujący stan rzeczy. W nagłosie: *sierce*, stsł. сръдьце, lit. širdis, gr. καρδία, łać. cord- [1].

siara, siarka, saró [2], sulphur, od pierwiastku k^1ira, oznaczającego kolor żółty, szary; stsł. sêra sulfur, sêrъ glaucus; skr. śīra hellgelb, śāra bläulich, Fick, gr. κιρρός, łać. caeruleus.

siny zamiast sini, stsł. sinъ, skr. śyena biały, od tematu k^1ina, który rozszerzonym jest utworem pierwotnego k^1i, oznaczającego świecić, palić, suszyć. Od pierwiastku tego pochodzi pol. *sia-no*, stsł. sê-no, stpol. syeno [3], syano [4], lit. šėnas, skr. śyāna ususzony; stsł. sijati świecić, skr. śyāte palić, gr. καίνυμαι, got. hais pochodnia. Przez dodanie sufiksu *-va* do tego samego pierwiastka, powstały formy: stsł. sivъ, pol. siwy, lit. šivas canus, skr. śyāva ciemny.

dziesięć, dzessyǫcz [5], stsł. desętь, lit. dešimtis, skr. daśan, armeń. tasn, natomiast got. taihun, łać. decem, gr. δέκα.

Zaimek wskazujący, stsł. sь zachował się w polskim języku w takich połączeniach, jak: *dziś*, *latoś* itp., dopełn. siego [6], dzisiego czasu [7]. Pierwiastkiem jego jest k^1i, który występuje w lit. šis hic, armeń. sa, germ. hi, got. celown. himma itd., łać. -ce ci-s, ci-tra, gr. κεῖ-νος.

Miękczenie nagłosowego $s = k^1$ w równy odbywa się sposób, chociaż dźwięk ten rozdziela powiewna, lub płynna spółgłoska od następnej miękkiej samogłoski. W stpolskich zabytkach oznaczenie przez pismo miękkości dźwięku tego nie jest wyraźnie uwydatnione. Sądząc jednakowoż z późniejszego stanu językowego, w którym za pomocą znaku diakrytycznego wartość fonetyczna

---

[1] Przykłady zob. wyżej str. 229. [2] Ps. Fl. 10, 7. [3] Ps. Fl. 105, 21. [4] Ps. Fl. 101, 5; 102, 14; 103, 15. [5] Bl. Szar. 21, a. [6] Zab. 36. [7] Bl. Szar. 17, a; 171, b.

dźwięku tego w takich kombinacyach jako miękkiego została wyrażoną i opierając się na kilku przykładach, wyżej przytoczonych, z oznaczonem przez dodanie znaku piśmiennego *y* miękkiem *s* przed następnem *w*, lub *l* i miękką samogłoską: trzeba przypuścić, że kombinacye te głosowe wymawiały się miękko, a zaniechanie oznaczenia ich przez pismo, opiera się na zwyczaju ortograficznym. Zatem przykłady takie, nierówne pod względem pisowni, jak następujące, pod względem wartości fonetycznej miały równe znaczenie: *sywat*[1] obok swat[2] -świat, stsł. svêtъ lux, svitati — pol. świtać, svêšta — pol. świeca, lit. švisti, skr. švit, švetate splendere, od pierwiastka *k*[1]*vit* błyszczeć, bieleć.

swȩt, swęti — święty[3], stsł. svętъ, lit. šventas, skr. švātra ofiara, got. hun-sla.

W zakończeniu tematów:

ośm, ludowe osiem, oszym[4], osm[5], stsł. osmь, lit. aštoni, zd. astan, łać. octo, gr. ὀκτώ.

nies, tr. bezok. nieść, stsł. nesti, lit. nešti, skr. naś, naśati osięgnąć, łać. nac-: nanc-iscor, nac-tus sum, gr. νεκ-: ἐ-νεγκ εῖν. niesion[6], wniesion[7].

pas należy niezawodnie odnieść do skr. pāśa węzeł, zd. paśaiti wiązać, łać. pac- w pac-iscor, gr. πήγ-σω zamiast πηκ-jω od pierw. *pak*[1].

prosię, stsł. prasę, lit. paršas, łać. porcus.

prosić, stsł. prositi, lit. prašīti, skr. praśna pytanie, łać. precari, got. fraihnan, od pierwiastka *prak*[1].

wiesioł, stsł. veselъ, wyeszyol[8], wyesyely[9] (mian. l. mn.), wyesyele[10], wyesyelya[11], wyeszyelye[12], wyeschyelicz syan[13], uwyesyelyl syȩ[14], skr. vaś volo, desidero, gr. ἑκών, od pierwiastka *vak*[1], *vek*[1]*ala*.

wieś, stsł. vьsь, lit. vêšpats dominus, skr. veśa domus, łać. vicus, gr. οἶκος.

---

[1] Ps. Fl. 89, 8. [2] Ps. Fl. 9, 8. [3] Ps. Fl. 17, 28. [4] Ort. M. 85. [5] Bl. Szar. 124. b. [6] NTest. 47; 120. [7] St. M. 181. [8] Bl. Szar. 64, a. [9] Bl. Szar. 259, a; MRoż. 25. [10] Bl. Szar. 207, b; 311, b; Zab. Sz. 42; Żyw. Bł. 200. [11] Bl. Szar. 247, a. [12] Ps. Par. w Nehringa Iter Florian. 40. [13] MRoż. 22. [14] Bl. Szar. 212, b.

Jeżeli porównamy przykłady powyższe z dźwiękiem $s = k^1$ z temi, w których dźwięk ten jako wspólna indoeuropejska własność występuje, widzimy, że tak w jednych jako i drugich przed miękkiemi samogłoskami dźwięk ten przechodzi w *ś*.

Podobnej przemianie ulega $s = k^1$ przed dwugłoskami: l. os. l. poj. prosią, prosię; 3 os. l. poj. opasie, stsł. opasati [1].

Słabą syczącą spółgłoską, odpowiadającą mocnemu *s*, jest dźwięk *z*, który zatem równe z nim musi dzielić koleje. Przykłady indoeuropejskiego *z* są dotychczas w skromnej nader liczbie znane, które z czasem niewątpliwie się pomnożą. Podobnie jak dwojakie *k* w indoeurop. języku się rozróżnia, z których w pojedynczych językach z jednej strony syczące, z drugiej gardłowe dźwięki się wytworzyły, tak samo i słaby gardłowy dźwięk *g* i aspirowany *gh*, tę samę posiadać musiały w swoim zarodzie nierówną artykulacyą, która jako *g*, *gh* i g^1 gh^1 w analogiczny sposób oznaczoną być może. Pierwsze *g*, *gh* pozostają przy swej gardłowej artykulacyi w skr. języku jako *g*, *gh*, słow.-lit. *g*, gr. γ, χ, łać. *gu*, *h*, grm. *gv*, *g*, obok których występują w każdym języku jeszcze drugorzędne formacye, drugie zaś g^1, gh^1 zmieniają takową, przechodząc w skr. w *j* (t. j. ž), *h*, słow. w *z*, w lit. w *ž*, w gr. zaś w γ, χ, podobnie w łać. *g*, *h*, germ. *k*, g^2. Również i dźwięk *z*, wytworzony z dawniejszego g^1, nie może się uważać za wyłącznie słow. własność językową, ale sięga jego przedhistorycznych czasów, będąc tylko odpowiednim wypływem fizyologicznej natury zakładnego dźwięku g^1. Język polski więc odziedziczył go w gotowej postaci i postępował z nim jako z pierwotnym, poddając go wszelkim możliwym przemianom. Takowe zaś odbywają się przed miękkiemi samogłoskami w ten sposób, że *z* przechodzi w pieszczone *ź*:

W nagłosie:

zielony, stsł. zelenъ, lit. želti virere, łać. helvus, gr. χλωρός, skr. hari, harita.

ziemia, zyema [3], stsł. zemlja, lit. žemê, łać. humus, gr. χαμαί, zd. zão-zem, skr. zaś gam i jam, dopełn. jmás.

---

[1] Zob. str. 230. [2] Zob. Collitz w Bezz. Beitr. III, 194. [3] Ps. Fl. 114, 7.

zięć, stsł. zętь, lit. žentas, skr. jan, janati nasci, zd. zan, armeń. tsananil, an-tsin nie narodzony, łać. gigno, gr. γίγνομαι.

ziewać, stsł. zijati, zinąti, lit. žioti, žioju, zd. zā, skr. hā, łać. hi-sco, hi-o, gr. χαίνω, χάσκω.

zima, stsł. zima, lit. žema, zd. zyāo-zyam, skr. himas nix, hēmantas zima, gr. χιών śnieg, χειμών zima, łać. hiems.

ziębnąć, stsł. zębsti, zębą frigere i dilacerare, zd. zafan, zafra gęba, skr. jabh, lit. žebėti.

ziarno, stsł. zrъno, zьrno ostrom., lit. žirnis, łać. granum, got. kaurn.

Miękczenie dźwięku *z* ma miejsce, chociaż rozdziela go od następnej miękkiej samogłoski inny dźwięk powiewny, lub płynny: *do-źrzeć*, dojrzeć, stsł. zrêti, zrěją, skr. jar starzeć się, zd. zaurvā starość, osset. zarond starzec, armeń. tser, gr. γέ-ρων.

W zakończeniu tematów:

wiezę, wiozę, 2. os. wieziesz, stsł. vezą, lit. vežu, skr. vah, zd. vaz, armeń. vaz-el, gr. ὄχος, łać. veho, got. vēgos (l. mn.) wóz.

wiązać, więzić, więzienie itp. równego pochodzenia jak przymiotnik *wązki*, stsł. ązъkъ, skr. anhus, gr. ἄγχω, łać. ango, got. aggvus.

Przed dwugłoską następną mamy podobne zmiękczenie dźwięku *z* w *zwąziona* [1], wwiązienie [2].

Obydwie kategorye dźwięków, tak $s = k^1$, jakoteż odpowiedni mu słaby $z = g^1$, w tych samych warunkach podlegają temu samemu procesowi, t. j. przechodzą przed miękkiemi i diftongowemi samogłoskami w *ś*, *ź*. Jeżeli zaś warunki te się zmieniają w ten sposób, że następne miękkie samogłoski twardnieją, wówczas z pieszczonych *ś*, *ź* stają się napowrót *s*, *z*, przez co dźwięki te przybierają pierwotną swoję naturę. W skutek takiej przemiany, spowodowanej zatratą miękkich zgłosek w pol. języku, powstały z powyżej przytoczonych miękkich form następujące twarde: *sierce-serce, siny-syny*, które w wyrazie *synogarlica* występuje, *osiem-osmy, niesie-niosę, pas, pasa* ale w *pasie, wiesioł-wesoł, wieś-wioska, wieziesz-wiozę, więzić-wiązać*. Natura dźwięków tych

---

[1] Sekl. 26, b. [2] St. M. 261.

stwardniałych równa się takim, które pierwotnie przed twardemi stały samogłoskami, lub też spółgłoskami w twardych zgłoskach jak:

sarna, stsł. srъna, pochodzi od pierwiastka k^1ar, k^1arna, róg, łać. cornus, od którego przez dodanie sufiksu *-va* powstały: łać. cervus, gr. κε-ραός zam. κεραFος, niem. hiruta, zd. śrva rogowy. Słow. *krawa*, pol. krowa, które Fick [1] pod jedną z poprzedniemi stawia rubrykę, należy odnieść do innego źródła.

słuch od pierw. $k^1lu + s$, zd. śrusti, skr. śrushti, celt. clúas, łać. cluens, cliens, gr. κλύω.

ząb, stsł. ząbъ, łot. zobas, lit. žamba, zd. zafra paszcza, skr. jambha [2].

zowę, zowię, stsł. zową, skr. hu, havate, zd. zu, armeń. n-zov-kh przekleństwo.

Okoliczność ta, że pierwotne k^1, g^1 tak przed miękkiemi, jakoteż twardemi samogłoskami w słow. języku przeszły w syczące *s*, *z*, podobnie jak w skr. zd. lit. przemawia za tem, że proces ten odbył się bez zewnętrznych wpływów, czyli że źródło jego spoczywa w naturze samych dźwięków, które w jednej części indoeurop. języków w syczące przeszły spółgłoski, w drugiej zaś zachowały gardłową artykulacyą. Natura fizyologiczna tych dźwięków może negatywnie być oznaczoną w ten sposób, że różniła ona się od tych gardłowych *k*, *g*, które w odnośnych językach pozostały w swej postaci czystej, w łać. i germ. zaś przyjęły jeszcze wargowy oddźwięk: k^v = łać. *qu*, germ. *hv*, g^v = łać. *gu*, germ. *q*, *gv*. Powszechnie przeważa dzisiaj zdanie na tę stronę, która za zakładowy dźwięk dla azyatyckich i słow.-bałtyckich syczących dźwięków przyjmuje *k*, *g*, dla gardłowych zaś *k*, *g* tych języków i *qu* południowo-europejskich i germańskich języków jako zasadniczy dźwięk *kv*, *gv*. W ten sposób powstają dwa rzędy dla gardłowych i ich wytworów w indoeuropejskich językach:

---

[1] Spracheinht. str. 119. [2] Zob. KZ. 25, 88, uw. 2.

I.				II.			
	k^v,	g^v,	gh^v	k,	g,	gh	
łać.	qu	gu	gu, h	c	g	h,	g
germ:	hv	q	gv	h	k	g	
indoeran.	k	g	gh	$ś$	j, z	h,	z
słow. lit.	k	g	g	s, sz	z, $ż$	z,	$ż$ [1]

Jakikolwiek początek przyjmiemy dla I. rzędu, czy ten, jaki powyżej przytoczony został, czyli też inny, jaki J. Schmidt [2] na miejsce tego proponuje: dla drugiego rzędu artykulacya zasadniczych gardłowych musiała znacznie być posuniętą ku przedniej części kanału mownego w stronę podniebienia twardego, w skutek czego natura ich ustąpiła miejsca podniebiennym syczącym. Analogiczne procesy głosowe powtarzają się po dziś dzień jeszcze np. w narzeczu Kurpi, w którem gardłowe *k*, *g* przed miękkiemi samogłoskami z oddźwiękiem syczącym jako *kś, gź* bywają wymawiane: *wielkśi, takśi, długźi, takśie, długźie.* Podobny objaw zachodzi w mazurskiem narzeczu po wargowych, gdzie również syczące dźwięki się wtrącają jak: *wzino* = wino, *wziecor* = wiecor, z czego wreszcie po odpadnięciu nagłosowego *w* powstały: *zino, ziecor, ziór* = wiór [3]. Na tej samej zasadzie opiera się właściwość języków słow. wtrącania po wargowych syczącego *s* u słów, należących do I, 3 klasy, przed zakończeniem trybu bezok. *ti*, pol. *ć*, stsł. *greb-s-ti*, pol. *grześć* z *grzeb-ś-ć*. Na podstawie tego zjawiska fonetycznego możnaby przypuścić, że k^1, g^1 pierwotnie przeszły w prajęzyku słow. podobnie jak i w innych, w których ten sam proces się odbył, w pieszczone *ś, ź*, które przed miękkiemi samogłoskami pozostały w swej naturze, przed twardemi zaś w *s, z* przeszły. W każdym razie język polski zachowawszy do obecnej chwili dwa rzędy syczących: jeden w postaci *ś, ź* przed miękkiemi samogłoskami, drugi *s, z* przed twardemi, przedstawia nam proces ten dla drugiego rzędu gardłowych spółgłosek w taki sposób, który warunkom fizyologicznym czyni zadosyć i jako przeciwległy objaw językowy do tych, które wśród

[1] Zob. Collitz o. m. str. 189 nast. [2] Zwei arische *a*- laute und die palatalen w KZ. 25, str. 123, porówn. str. 134. [3] Zobacz Kętrzyński: O Mazurach. Poznań 1872, str. 13.

pierwszego rzędu nastąpiły, pożądane podaje wyjaśnienie. Zatem dział ten przedstawia się dla języka polskiego w porównaniu z temi, w których podobna przemiana gardłowych ma miejsce, w następujący sposób:

pierwotne	skr.	zd.	lit.	stsł.	pol.
k g gh					s, z
k^1 g^1 gh^1	ś, j, h	ś, z	š, ž	s, z	ś, ź.

Chodzi o to, czy język polski sam tylko z pośród innych słowiańskich zachował miękkie *ś, ź* przed miękkiemi samogłoskami, zamiast czego inne jego siostry na czele stsłowiański *s, z* przedstawiają, czyli też przeciwnie objaw ten języka polsk. jest jego późniejszym wytworem, zamiast dawniejszej wspólnej słow. własności *s, z?* Pytanie to, stojące w ścisłym związku z kwestyą miękkich zgłosek języków słowiańskich, dla naszego celu wystarcza, jeżeli na podstawie najstarszych zabytków może być dowiedzione, gdyż od tego zawisło także drugie, dotyczące przemiany gardłowych spółgłosek w podniebienne. Trudność cała odnośnie tego pytania polega w ortografii, w której dźwięki *s, z* przed *i* jako *ś, ź* mogły być wymawiane, lub też, jak to po dziś dzień w południowo-słow. językach się dzieje, jako *s, z*. Inaczej się przedstawia sprawa przed *e*, które oznaczać może tak twardy dźwięk jakoteż miękki. Jeżeli więc mamy wyraźnie oznaczoną jego miękkość, a przed niem stojący który z tych dźwięków, wówczas musimy przyjąć odpowiednią wymowę ich jak polskich *ś, ź*. Taki stan napotykamy w następujących przykładach[1]: ѣсѣ = vѣsja[2], вс'ѣ[3], ѣсѣкъ, ѣсѣкѫ[4]. W ten sam sposób pisze się przeważnie w tym i innych zabytkach: ѣсѣкого[5], ѣсіѫ[6], w psałterzu słuckim wyd. Sreznevskiego[7] в'сѣкоѧ[8], всѣкого[9], ѣсѣкъ[10], ѣсѣкого[11], ѣсѣкомъ[12], всѣѵѣскыѧ[13], всѣ[14].

---

[1] Ewangel. Zograph. wyd. Jagić. [2] Matth. IV, 9. [3] Tamże IV, 23. [4] Tamże IV, 23. [5] Glagolita Clozianus wyd. Kopitar str. 2. [6] Ewangel Asseman. wyd. Rački str. 139, 1; 180, 26 itd. [7] Древніе славянскіе памятники юсоваго письма Спб. 1868. [8] Tamże 160, 176. [9] Tamże 161, 186. [10] Tamże 161, 193. [11] Codex supraślski wyd. Srezniewski tamże 227. [12] Tamże 183. [13] W psałterzu bolońskim starobułgarskim, wyd. Srezn.: 242. [14] Tamże 242, 355, 357, 358.

Jeżeli obok tego w tych samych zabytkach napotykamy wyraz ten w odpowiednich formach pisany przez znak twardej samogłoski, to trzeba złożyć na karb zwyczaju ortograficznego, według którego miękkie i twarde samogłoski przez jeden znak były wyrażane: вьсе [1], вьсемоу [2], вьса [3], всѫ [4], всакѫ, вса [5], вьса [6], вьсѫ [7], всако [8] itd. Konsekwentnie zatem postępując, trzeba albo obydwa rodzaje oznaczenia wartości fonetycznej w równy czytać sposób jako miękką, albo też przypuścić, że miękkość dźwięku *s* poczęła zanikać z powodu zatraty miękkich zgłosek. Taki sam stosunek zachodzi odnośnie innych przykładów, dotyczących użycia dźwięku *s* w stsł. zabytkach: оба на десѧте [9], obok оба на десѧте [10], десѧть [11], вєсєлиє = вѣсѣлиє [12], obok: къзвєсєлитєса [13], сѧное, które czytane być musi jako: sianoje, na co dodane ѣ ponad wyrazem przez późniejszą rękę wskazuje [14]. W skutek zaginięcia nosowego oddźwięku w ѧ nastało pomięszanie znaku tego z ѣ, oznaczającym lub to *ja*, lub też *je*: сѣдѣштемъ [15], сѣдѣте [16]. Tak i po dziś dzień jeszcze mówi się w niektórych narzeczach chorwackiego języka: *desjet*, *četrdesjet*, *šestdesjet*, gdzie *j* jest oznaką miękkości dźwięku *e* zamiast dawniejszego *je* a nie wtrąconym dodatkiem, jak utrzymuje Geitler [17].

Na tej samej zasadzie podniebiennej wymowy dźwięku *s* jako *ś* przed następnem *e* opiera się pomięszanie tak często samogłoski tej z ѣ, w którem, jakakolwiek była jego wartość fonetyczna, czy jako *je*, *ja*, lub *ea*, tkwiała bezwątpienia natura podniebiennego *i*, które w skład jego z inną samogłoską *(e, a)*, wchodziło. W ten sposób otrzymują należyte wytłómaczenie owe duplikaty ortograficzne z *e* i ѣ, które polegają na miękkości dźwięku *e*, przed którym poprzedzające spółgłoski miękko wymawiać się musiały: *sed-* obok *sêd-*, *sekyra* ob. *sêkyra*, *sem* ob. *sêm*, *sêverъ* ob. *severъ*, *sêmija* ob. *semьja*, *senь* ob. *sênь*, *sêtiti sę* ob.

---

[1] Zogr. Joan. XXI, 17. [2] Zogr. Joan. XXI, 25. [3] Glag. Cloz. 7. [4] Ewang. Assem. 179, 13. [5] Ewang. Sav. Srezn. 3, 4. [6] Cod. suprasl. 233, 234, 235. [7] Cod. suprasl. 233, 235. [8] Psłt. słuck. 136, 21. [9] Zograph. Marc. X, 32. [10] Tamże IX, 35. [11] Asseman. 107, 1. [12] Psłt. boloń. 243. [13] Tamże 243. [14] Zograph. Matth. XIII, 22. [15] Matth. XI, 16. Cod. Marianus wyd. Jagić. [16] Luc. XXIV, 49; Marc. VIII, 25. [17] Rad. jugoslav. akad. tom 58, str. 197.

setiti sę, *setьnъ* ob. *sêtьnъ*, *sek-* ob. *sêk-*. Tak samo rozumieć należy owe przykłady, w których *a* = ѣ zachodzi, w czem unaocznioną jest natura dźwięku ѣ jako *ja*: *sêdalo* ob. *sadalo*, *sêmo* ob. *samo*. Podobny trzeba przyjąć stosunek w tych przypadkach, w których obok ь zachodzi w tych samych zabytkach i w tych samych przykładach bardzo często *e*. Jeżeli w dźwięku, wyrażonym przez znak piśmienny ь przyjmujemy miękką artykulacyą, wówczas i w *e* tę samę przyjąć trzeba, gdyż w przeciwnym razie pomięszanie to byłoby niezrozumiałem. Zatem i w takich przykładach jak sь obok *se*, *sьga* ob. *sega*, *sьmtębrъ* ob. *septębrъ*, *sьrebro*, pol. śrebro, ob. *srebro*, pol. srebro itp. nagłosowe *s* miało charakter podniebienny. Przyjąwszy wartość fonetyczną dźwięku *e* jako *je*, zamiast czego ѣ tak często się pisze, zrozumiemy wówczas stosunek, jaki z jednej strony pomiędzy *e* i *ê*, a z drugiej pomiędzy *e* i *i* zachodzi, który na tej samej opiera się zasadzie, jak przemiana dźwięku *je* w niektórych narzeczach polskich w *i*. W ten sposób do tej samej kategoryi należą i takie formy, jak *sêtь*, pol. sieć a *sitije*, *silivestrъ* a *seluvestrъ*.

Przy słabem syczącem *z* powtarzają się te same właściwości, jak przy *s*, które o odpowiedniej jego miękkiej naturze przed miękkiemi samogłoskami świadczą: *zenica* ob. *zênica*, *zêlo* ob. *zalo*, *zъdanije* ob. *zъdanije*, *zьrêti* ob. *zrêti*, *zêjati* ob. *zijati*. Jeżeli uwzględniemy rozmaity zwyczaj ortograficzny, jaki w rozmaitych zabytkach panuje, a który zasadza się na tem, że miękkość samogłosek albo wyraźnie oznaczano za pomocą jotacyi, albo też przez znaki diakrytyczne, które bardzo często się puszczają, wówczas liczbę przykładów tych znacznie możnaby pomnożyć. Zatem trzeba przyjąć, że ten sam stosunek, jak w języku polskim, zachodził w najstarszych zabytkach słowiańskich pod względem użycia *s*, *z* w miękkich i twardych zgłoskach. W skutek zatraty miękkich zgłosek przeszły miękkie *ś*, *ź* w *s*, *z*, przez co oba rzędy zrównały się w tych językach, które w obecnym swym stanie tylko twarde *s*, *z* posiadają.

Dr. Kalina.

GDZIE SPOCZYWAJĄ SZCZĘTY STANISŁAWA LESZCZYŃSKIEGO?

W podeszłym wieku będąc, ulegać się musi nieraz dziwnemu zdumieniu, a nawet boleści, widząc, jak fakta, w których się odegrywało pewną rolę, a dobrze znane większości przynajmniej ogółu, zacierają się w pamięci ludzkiej, mozolnie odszukują się na nowo, a w końcu stają przed oczyma do niepoznania przekształcone. Dobrze, jeżeli pewien fakt może być we właściwym czasie dokładnie opisany i drukiem ogłoszony; lecz u nas, szczególnie dawniej, nie zawsze to mogło mieć miejsce, gdy tymczasem świadkowie wymierają, inni, których rzecz mniej interesowała, zapominają o szczegółach, i oto nowo powstający fakt przybiera monstrualne kształty, niezgodne z istotą rzeczy, a ogłoszony w pismach staje się aktem, który historya zapisze na swych kartach i w błąd wprowadzać będzie przyszłe pokolenia. Tak się to nieraz tworzą historyczne fałsze, mające za sobą wszelkie pozory prawdy!

Coś podobnego dzieje się obecnie z faktem, gdzie spoczywają szczęty króla Stanisława Leszczyńskiego? Artykuł w nr. 15 „Kraju“ ogłoszony p. t. „Zwłoki dwóch Piastów“, podaje nam szczegóły i ostateczne wyniki w tej kwestyi. Szanowny autor, nie mało zadał sobie pracy, ażeby rzecz tę wyświetlić należycie. Opierając się na pamiętnikach jenerała Wybranowskiego, który wspomina, że część zwłok króla Stanisława oddano im, t. j. polskim legionom (pułk Sokolnickiego), w naczyniu srebrnem przez mieszkańców Nancy, a które następnie jenerał Sokolnicki złożył w Towarzystwie Przyjaciół nauk w Warszawie; dalej mając na względzie śmierć króla, wskutek zapalenia się jedwabnego

szlafroka przy kominku, autor przyszedł do przekonania, że owa część zwłok, o której mówi Wybranowski, to było wszystko, co po Leszczyńskiem zostało i że ową to część Sokolnicki otrzymał dla przeniesienia ich do ojczyzny, a zatem, dodaje autor, że Leszczyński od r. 1814 nie leży już w Nancy. Co jest dziwniejsza, że, jak twierdzi autor, Nancyjczycy, którzy jakoby sami oddali szczęty królewskie Sokolnickiemu, i dziś chlubią się, że Leszczyński u nich leży.

Szlachetna gorliwość autora i brak pewniejszych źródeł, zawiodła go, rzecz zaś przez niego przedstawiona, a która jużby zajęła poczesne miejsce w historyi, wymaga głębszego zbadania i sprostowania.

Uważam za stosowne najpierw opowiedzieć fakt, którego osobiście byłem świadkiem, a który przed 27 laty dobrze był znany wielu Polakom w Petersburgu i mocno interesował mieszkańców Wilna.

W r. 1857 dłuższy czas bawiłem w Petersburgu. Byłem korespondentem honorowym ces. Biblioteki publicznej, a zwiedzając ją prawie codzień dla wyciągów z bogatego zbioru rękopismów, postrzegłem w pierwszej sali (gdzie bióro sekretarza biblioteki) pod oknem stojący na podłodze maleńki kuferek zamknięty i opieczętowany. Najbliżsi moi znajomi, bibliotekarze Sobolszczykow i Iwanowski nie umieli mię objaśnić, skąd pochodził ten kuferek i co zawierał. Starsi wiekiem urzędnicy widzieli go na tem miejscu od lat wielu, ale żadnych szczegółów dać nie mogli. Właśnie w owym czasie szukałem posążku bogini, w Kownie znalezionego przez członka magistratu miejscowego Sokołowskiego, w r. 1818, w domu starożytnym, który najfałszywiej do dziś dnia u ludu słynie pod nazwą świątyni Perkunasa (później był tu teatr). Bogini ta z bronzu, 2 cali wysoka, trzymała w ręku trzy rybki, skąd powstał domysł, że mogła to być opiekunka Kowna, gdyż ryby mogły oznaczać trzy rzeki kowieńskie: Niemen, Wilią i Niewiażę. Hr. Michał Kossakowski zabrał ten zabytek i w r. 1820 darował Towarzystwu Przyjaciół nauk w Warszawie [1], skąd w r. 1834 z innemi zbiorami przewieziony został

[1] Ob. o tem rocznik Tow. Przyj. Nauk, t. XIV., 1821, str. 284.

do Petersburga. Lecz napróżno go szukałem w bogatym zbiorze tego rodzaju zabytków w ermitażu cesarskim. Wpadłem więc na myśl, ażali ten kuferek nie pochodzi z Warszawy i czy nie zawiera poszukiwanej przezemnie bogini? Ówczesny dyrektor biblioteki, baron (później hrabia) Modest Korf, któremu ten zakład winien zupełne przeobrażenie i świetne urządzenie, był na mnie łaskaw, a zawsze chętny do popierania wszelkich naukowych badań. Opowiedziałem mu więc o moich kłopotach z tą boginią, a zarazem zwróciłem uwagę na ów tajemniczy kuferek. Zainteresowany tem p. dyrektor kazał otworzyć w swojej obecności kuferek; ze zdziwieniem ujrzeliśmy we środku trumienkę maluczką amarantowym aksamitem wybitą z cyfrą S. L. i koroną królewską. W trumience, na białej atłasowej wypłowiałej poduszeczce leżały dwie kostki: część szczęki i palec (dziś już nie mogę z pewnością określić od nogi, czy od ręki). Ówczesny pomocnik, a dzisiaj dyrektor biblioteki, uczony akademik, radzca tajny Byczkow, przypomniał sobie, że ten kuferek przywieziony z Warszawy i że bliższe szczegóły o nim może dostarczyć pewny dygnitarz w ś. Synodzie (którego nazwiska już dziś nie pamiętam), a który w roku 1834 właśnie jeździł do Warszawy i stamtąd przywiózł bibliotekę, wraz z rękopismami i rozmaitemi zabytkami. Kilkakrotnie byłem sam u tego dygnitarza, w bardzo już podeszłym wieku, ale jeszcze krzepkiego. Przypomniał on sobie ten kuferek, i w kilka dni potem odszukał w notatach swoich szczegółową wzmiankę, z której udzielił odpis, a która wyraźnie świadczyła, że były to kości króla Leszczyńskiego, złożone w Towarzystwie Przyjaciół nauk w Warszawie, tylko, że nie przez Sokolnickiego, ale przez I. H. Dąbrowskiego. Wtedy to zrodziła się może i niewczesna myśl, że ponieważ to nie były całkowite szczątki królewskie, tylko dwie kosteczki pamiątkowe; że ponieważ były ofiarowane Towarzystwu Przyjaciół nauk, które już nie istnieje, a więc, ażeby ten pamiątkowy zabytek złożyć w muzeum wileńskiem. Baron Korf przychylnie spojrzał na ten projekt. Doniosłem o tem prezesowi Towarzystwa archeologicznego, Eustachemu hr. Tyszkiewiczowi. Wieść szybko rozbiegła się po mieście. Cieszono się w Wilnie. Zaraz plany, projekta, jak godnie przyjąć, umieścić drogie szczęty. Zakrawało to na demonstracyę.

Bodaj, że to zmieniło usposobienie w Petersburgu. Baron Korf otrzymał odmowną odpowiedź: rozkazano ów kuferek z trumienką i dwoma kostkami złożyć w grobowym sklepie króla Stanisława Augusta, w kościele dominikańskim św. Katarzyny w Petersburgu, co też i dopełnionem zostało. Ówczesny asesor kollegium, prałat kapituły wileńskiej, ks. A. S. Krasiński (następnie biskup wileński) wspólnie z dyrektorem departamentu wyznań hr. Siewersem spisali stosowny akt po łacinie, który wraz z opieczętowaną trumienką złożyli w sklepie, w obecności metropolity ks. Wacława Żylińskiego, oraz przeora Dominikanów ks. Staniewskiego (następnie biskupa). Akt ten opatrzony podpisami metropolity, prałata Krasińskiego, hr. Siewersa i ks. Staniewskiego.

Stwierdzam więc faktyczną stronę: że był mały kuferek, w nim maluczka trumienka, a w tej ostatniej dwie kostki, a to wszystko ustawiono w kościele św. Katarzyny we wspomnianym sklepie grobowym [1].

Nigdzie, w żadnych czasopismach krajowych o tym wypadku nie było ani słowa. Dopiero później ukazały się wspomnienia w niektórych pismach. Ja po raz pierwszy podałem wiadomość o tych cząstkach szczętów króla Leszczyńskiego, mówiąc o re-

---

[1] Autor opisu Kościoła św. Katarzyny w Petersburgu, S. J. Siennicki twierdzi, jakoby były trzy trumienki (dla dwóch kosteczek!). W tejże monografii p. Siennickiego (Warszawa, 1872), jest wspomnienie o grobie Stanisława Augusta z rysunkiem zamykającego go kamienia i napisem. Eustachy zaś hrabia Tyszkiewicz daje ten sam napis i poprawia błędne odczytanie przez Siennickiego w Bibliotece Warszawskiej w t. IV., zesz. X. str. 154, r. 1872. Daleko wcześniej, bo jeszcze w r. 1846 mówiłem o tym grobowcu w Atheneum (t. IV str. 211, w artykule p. t. „Wrażenia Petersburga"). Oprócz pięknego opisu L. Siemieńskiego pogrzebu króla Stanisława Augusta (Ostatni rok życia tego króla, Kraków, 1862), znajdzie czytelnik ciekawe szczegóły o tym pogrzebie naocznego świadka, Tadeusza Bułharyna, w jego „Wspomnieniach, po rosyjsku, t. I., 292. Siemieńskiego też był krótki artykuł o Nancy i wzmianka o szczętach Stanisława Leszczyńskiego, w „Czasie", Nr 168, 1875 r. Szczegółowe artykuły o szczętach Leszczyńskiego zamieszczono w „Przeglądzie Poznańskim", w t. XXX., 74—80, Koźmiana, oraz w „Czasie" 1866. N. N. 158 i 191, prof. Łepkowskiego.

stauracyi grobów królewskich na Wawelu, w Dzienniku Poznańskim, w Nr. 76, 4 kwietnia 1875 r.[1]

---

[1] Może nie od rzeczy będzie przypomnieć na tem miejscu o szczętach królów i ich rodzin, gdzie kto spoczywa. I tak, w Krakowie, w katedrze na Wawelu, w samym kościele pod własnemi sarkofagami: Władysław Łokietek, Kazimierz Wielki, Władysław Jagiełło, królowa Jadwiga, królowa Zofia Holszańska (Sonka), królowa Elżbieta Pilecka, Jan Olbracht, Kazimierz Jagiellończyk i kardynał Ferdynand. W krypcie św. Leonarda i w pięciu sklepach grobowych pod kościołem: Zygmunt stary, Zygmunt August, Stefan Batory, Zygmunt III, Władysław IV. Jan Kazimierz, Michał Korybut Wiśniowiecki, Jan III. Sobieski, August II., Barbara Zapolska, Anna Jagiellonka, Anna i Konstancya Austryaczki, Aleksander Karol syn Zygmunta III., Cecylia Renata, Marya Kazimira, Marya Anna Izabella córka Władysława IV., Zygmunt Kazimierz, syn Władysława IV., Jan Albert kardynał, Jan Zygmunt syn Jana Kazimierza, Ludwika Marya Gonzaga, Karol Ferdynand syn Zygmunta III., w końcu książe Józef Poniatowski i Tadeusz Kościuszko. Tak więc na Wawelu spoczywają zwłoki panujących rodzin 32 osób i dzielnego Kościuszki. A oprócz tego w Krakowie u Franciszkanów spoczywa Bolesław Wstydliwy i u Dominikanów Leszek Czarny. A ileż to jeszcze rozpierzchło się zwłoków królów, królowych i ich potomstwa po całym świecie. Wskażmy tu przynajmniej ważniejsze miejsca: W Wilnie oprócz wielu książąt litewskich, oprócz sławnego i wiekopomnego Witolda, spoczywają: Kazimierz św.. syn Kazimierza Jagiellończyka, król Aleksander Jagiellończyk, jego małżonka królowa Helena, córka Jana III. moskiewskiego, żony Zygmunta Augusta: Elżbieta Rakuska i Barbara Radziwiłłówna, serce Władysława IV. W Gnieźnie: Dąbrówka. W Poznaniu: Mieczysław I., Bolesław Chrobry, Kazimierz Mnich, Przemysław. W Płocku: Władysław Herman, Krzywousty. W Kaliszu: Mieczysław stary. W Sandomierzu: księżniczka Adelaida. We Wrocławiu: Henryk Łagodny. W Starym Sączu: Kunegunda. W Barze (we Włoszech): królowa Bona. W Warnie: Władysław Warneńczyk. W Paryżu: Henryk Walezy. W Dreźnie: August III. W Ossyaku: (w Karyntyi) Bolesław Śmiały. W Białogrodzie: Ludwik Węgierski. W Pradze: Wacław czeski. W Kolonii: Ryksa. W Linz: Katarzyna królowa, małżonka Zygmunta Augusta. W Dijon: Władysław Biały książę Gniewkowski. W Nancy: Stanisław Leszczyński. W Petersburgu: Stanisław August Poniatowski i dwie kostki Stanisława Leszczyńskiego. Stanisław August w roku 1788 przeznaczając kaplicę (kryptę) podziemną św. Leonarda w katedrze krakowskiej na Wawelu na grób dla Sobieskiego, którego zwłoki tam umieścił, oświadczył, że i sam w tej kaplicy spoczywać pragnie. Losy inaczej rozrządziły, legł w Petersburgu, a w grobie zastąpił go Tadeusz Kościuszko. Ciekawych, dla głębszych studyów

Pierwéj nim przystąpimy do dalszych badań w tej kwestyi, wspomnieć musimy, że redakcya „Kraju“ już w Nr. 17 pośpieszyła ogłosić artykuł zupełnie w innem świetle rzecz przedstawiający. Jest to korespondencya z Krakowa osoby zajmującej, jak powiada redakcya, wybitne stanowisko w piśmiennictwie. Autor podaje prawdziwą istotę rzeczy, mianowicie, że zwłok Leszczyńskiego, nikt ani do Petersburga, ani do Warszawy nie przewoził; że i dziś w Nancy spoczywają. Szanowny autor jednak mylnie był poinformowany, gdy mówi, że jakoby bibliotekarz Antoni Iwanowski rozpakowując leżące oddawna w pakach książki Towarzystwa Przyjaciół Nauk znalazł skrzyneczkę i w niej maleńką kosteczkę. — Nie. — Kuferek ten, czy skrzyneczka, jak już powiedziałem, stał oddawna pod oknem w pierwszej od wejścia sali i Iwanowski nic zgoła nie wiedział co zawiera. Stwierdzają to listy jego, które u mnie ocalały; bo Iwanowski pośredniczył w uzyskaniu zezwolenia na przewiezienie tego kuferka do Wilna, bywał często u barona Korfa, a stąd i korespondencya nieustanna ze mną, chociaż obaj byliśmy w stolicy.

Mylnie też twierdzi przezacny autor, że była jedna tylko kosteczka; nie jedna, ale d w i e.

Autentyczność tych cząstek szczętów królewskich, które przypadkowo trafiły do grobowca Poniatowskiego, wymaga sprawdzenia na podstawie badań. Tembardziej to potrzebne, że jak sam autor artykułu „Zwłoki dwóch Piastów“ powiada, mieszkańcy Nancy i dziś są tego przekonania, że drogie szczęty ukochanego przez nich króla, u nich spoczywają. Czy tak jest rzeczywiście, nadto, czy te cząstki, które złożono w kościele św. Katarzyny w Petersburgu, rzeczywiście wzięte zostały z grobu króla? Jenerał Wybranowski, na którego autor powołuje się, zbyt ogólnikowo o tem mówi. Szukajmy innych źródeł. Oto, w zbiorach profesora Łepkowskiego znaleźliśmy mowę jenerała Sokolnickiego, mianą d. 5 sierpnia 1814 r. w Poznaniu na obchodzie p o g r z e b o w y m w kościele katedralnym. Była to odbitka z G a z e t y P o z n a ń s k i e j z d. 10 sierpnia 1814 r. Nr. 64, w której znaj-

w tym przedmiocie odsyłamy do dzieł Stachowicza, Czackiego, Grabowskiego, Płonczyńskiego, ks. biskupa Łętowskiego, Aleks. hr. Przeździeckiego, Łepkowskiego i innych.

dujemy bardzo szczegółowy opis obrzędu pogrzebowego szczątek króla Stanisława Leszczyńskiego w katedrze poznańskiej. Urządzono wspaniały katafalk, na ołtarzu złożono insygnije królewskie, ordery, rękopisma (?) i przywiezione szczątki. Po nad tem unoszący się geniusz trzymał napis: „zwłoki filozofa dobroczynnego". Nabożeństwo żałobne celebrował biskup Gorzeński; kazanie miał ks. kanonik Kawiecki. Po mszy św. i *Castrum doloris* jenerał Sokolnicki miał mowę, po której licznie zgromadzonym osobom pokazywał sztandar przez siebie przywieziony i szanowne szczątki króla Leszczyńskiego, „których znakomitą cząstkę złożył obok popiołów Chrobrych i Mieczysławów w tej świątyni, która odtąd zaszczycać się będzie trzech królów polskich śmiertelnemi ostatkami". Ks. Kawiecki opowiedział życie króla, a w załączonej w dalszym ciągu mowie, jenerał Sokolnicki górnym, napuszonym stylem powiada, że Lotaryńczycy „w dowód ku nam braterskiej miłości, zrobili z nami podział najdroższych odrobin ciała uwielbianego ich Pana". Dalej, że z tych autentycznie w poznańskim kapitularzu udowodnionych szczętów „powolny wezwaniu prześwietnej Rady Departamentu Waszego, oddzielam z nich ułamki wnętrzności czcigodnego męża, ś. p. Stanisława Leszczyńskiego króla. Niechaj dołączone będą do zwłoków tu spoczywających Mieczysława wiarodawcy i Bolesława Chrobrego sławotwórcy". Następnie zapowiada, że „palec nieskazitelny, co do historycznych zbiorów należy, będzie tłumaczył Sybilli Polskiej te rysy, które sam kreślił dla wzoru swych naśladowców itd." Zatem „szczękę, jako członek główny i narzędzie prawd, które w każdej dobie życia Stanisława z niepoównaną odwagą i czułością głosiła: ze czcią należytą i za wysokiem wspaniałego Aleksandra (cesarza) dozwoleniem między grobami królów w Krakowie złożona będzie". Jest jeszcze długa mowa o chorągwi, którą przeznacza na użytek przyszłości.

Widzimy zatem, że oprócz palca i szczęki, były jeszcze wnętrzności królewskie. Czy rzeczywiście złożone zostały w katedrze poznańskiej i czy dziś są — nie wiemy; wyświecą to zapewne pisma czasowe poznańskie. Po najściślejszem zaś zbadaniu rzeczy na miejscu w Krakowie, pokazało się, że palca Leszczyńskiego nigdy w Sybilli Puławskiej nie było i dziś w zbio-

rach ks. Czartoryskich przewiezionych do Krakowa niema. Tak samo i szczęki w grobach królewskich nie było i niema. A więc zamiaru swojego jenerał Sokolnicki do skutku nie doprowadził, lub doprowadzić nie mógł. Prawdopodobnie więc, że szczęka i palec stały się własnością Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, skąd następnie przewiezione do Petersburga.

Przenieśmy się teraz do Nancy.

W wydanem przez nas „Piśmie Zbiorowem Wileńskiem“ na rok 1862 zamieściliśmy artykuł Konstantego hr. Tyszkiewicza p. t.: „Notaty z podróży“ (Nancy, 1860 r.). Autor dłuższy czas bawił w Nancy, zwiedzał muzea, archiwum, głównie interesując się Leszczyńskim i tem wszystkiem co po nim pozostało. Notaty jego są dla nas tem ważniejsze, że był nadzwyczaj sumienny, i trzeźwo na rzeczy patrzącym.

„W sklepie familijnym rodziny królewskiej, powiada Tyszkiewicz, trumna zawierająca zwłoki króla, stosownie do woli jego, postawioną była w samym końcu kościelnej nawy, pod statuą cudami słynącej Matki Boskiej de Bon-Secours, do której król za życia szczególnie modlić się lubił. Obok trumny królewskiej, złożonem zostało serce jego Maryny (córki, królowej francuskiej, małżonki Ludwika XV). U lewej ściany stało ciało królowej, a za niem dwie trumny Ossolińskich“.

„W r. 1793, kiedy lud rozhukany w swej wściekłości, pastwił się nad wszystkiem, co mu władzę królewską przypominało, popioły króla Stanisława, sprofanowane zostały. Mieszkańcy Lotaryngii, zapomniawszy iż to są szczątki ich dobroczyńcy, połączywszy się z Marsylczykami, prochy króla z trumny wyrzucili i któryś z wyrobników, gdy rydlem żelaznym czaszkę królewską potrącił, zostawił na niej kresę“.

Korona i berło króla przez lud zabrane, zaginęły. Sześć historycznych sztandarów, które były ukryte w klasztorze księży Minorytów, szczęśliwie ocalały, między niemi i chorągiew przybocznej straży króla, którą potem, na krótko przed rewolucyą lipcową, Karol X. posłał w darze cesarzowi rossyjskiemu.

„Poruszenie zwłok Stanisława Leszczyńskiego, mówi dalej Tyszkiewicz, było tak wielkiem świętokradztwem, iż oburzyło całą Lotaryngię. Stąd, gdy zaledwo porządek przywróconym zo-

stał, natychmiast komissya, złożona z mera i urzędników municypalności miasta Nancy, zstąpiła do grobów królewskich i po obejrzeniu zwłok Leszczyńskiego, na powrót w całości do trumny włożonych, spisała z tego akt urzędowy; ażeby zaś uniknąć na przyszłość podobnej zniewagi, postanowiono sklep zawierający prochy króla i królowej, nazawsze zamurować. Akt ten, świadczący o całości zwłok, opatrzony podpisami ówczesnych urzędników, zachowanym jest w księgach municypalności miasta Nancy.

Ale oto mamy i szczegółową relacyę o pobycie Sokolnickiego w Nancy. 11 czerwca 1814 r. u grobu Stanisława (a więc grób, raczej sklep grobowy był odmurowany), zgromadziła się cała inteligencya Nancy. Mszę żałobną celebrował biskup Nancy d' Osmond. Przy końcu nabożeństwa jenerał Sokolnicki przy grobie króla wyrzekł piękną mowę, w której dziękował za wszystkie dowody czci, jakie mieszkańcy Nancy oddawali stale pamięci Stanisława Leszczyńskiego. Odpowiedział na tę mowę prefekt Migno. Po nabożeństwie, Sokolnicki ofiarował duży srebrny kielich ze stosownym napisem, który dotąd w skarbcu katedralnym przechowuje się. Za to władze miasta Nancy na żądanie jenerała Sokolnickiego zgodziły się ofiarować mu znajdującą się w kościele w Bon-Secours chorągiew, którą miasto Gdańsk złożyło Stanisławowi Leszczyńskiemu. Ale nie tę jedną pamiątkę wywiózł jenerał Sokolnicki z Nancy. Tyszkiewicz przytacza ustęp z przemówienia p. Blan wyrzeczonego w akademii nauk w Nancy, z powodu proponowanej składki na odnowienie pomników grobowych króla i królowej. Blan powiada: „podczas pobytu w naszem mieście, jenerał Sokolnicki starał się zebrać wszystko, cokolwiek stanowiło pamiątkę po królu, z którym był on spokrewnionym. Tablica czarnego marmuru z kominka, w którym on się był opalił, szmatek jego szlafroka opalony; szanowny szczątek jego kości; ułamek marmurowy od berła z jego pomnika, chorągiew jego gwardyi; blaszany wzór trumny królewskiej, znajdującej się w sklepach w Bon-Secours — oto były wywiezione przedmioty, których autentyczność stwierdzają zeznania świadków. Miał zamiar Sokolnicki uświęcić takowe złożeniem ich pomiędzy grobami królów w swej ojczyźnie".

A więc jak świadczy Blan, wywiózł szczątek kości

Stanisława. Mowa tu tylko o jednym szczątku, a i ten, jak dalej wyjaśnia Tyszkiewicz, pochodził nie z grobu królewskiego.

„Gdy na obiedzie, mówi Tyszkiewicz, danym z okoliczności tych egzekwij przez panią Bourgogne, mieszkającą w Nancy, dla oficerów polskich i dla pierwszych władz miasta, jenerał Sokolnicki uskarżał się, że nie może stąd wydobyć cząstki zwłok Leszczyńskiego, powiedziano mu wówczas, iż na przedmieściu znajdował się niejaki ogrodnik, u którego przechowało się pół szczęki królewskiej, zachowanej jakoby od tej daty, gdy w r. 1793 w rewolucyi, ciało jego wyrzucono. Sokolnicki zaten kawałek mniemanej szczęki króla sowicie ogrodnikowi zapłacił; rozkazał natychmiast trumienkę z blachy wyrobić na podobieństwo trumny Stanisława Leszczyńskiego i tę w skrzynce dębowej umieścił".

Skrzynka ta, mówi dalej, miała być złożoną jakoby przez Sokolnickiego w zbiorach Towarzystwa przyjaciół nauk. Monitor francuski w Paryżu ogłosił opisanie owej ceremonii żałobnego nabożeństwa w Poznaniu[1], a wymieniając pamiątki jakie Sokolnicki wywiózł z Nancy, wspomniał i o szczęce nabytej od ogrodnika, dodał, że Sokolnicki był bardzo szczęśliwy z nabycia zwłok królewskich, a zapewne przez omyłkę, zamiast powiedzieć *des dépouilles*, t. j.: małą ich cząstkę, wyraził się: *les dépouilles*. Dało to powód do procesu. Municypalność miata Nancy zapozwała o to p. Sandeau, głównego redaktora Monitora, wysłany był nawet adwokat od miasta, który stawał w obronie sprawy zwłok Leszczyńskiego, a w skutek tego redakcya sądownie zmuszoną była do publicznego odwołania swej pomyłki. Z tego też powodu odbyto nową urzędową rewizyę zwłok, znowu otworzono grób i spisano akt o jego nietykalności.

W r. 1857 *Journal de la Meurthe* podał wiadomość, że część zwłok króla Stanisława Leszczyńskiego znalazła się w Petersburgu i została złożoną w sklepie, gdzie spoczywa ciało króla Stanisława Augusta. Proboszcz w Bon-Secours, ks. Morel, wielbiciel cnót i przymiotów króla Leszczyńskiego, a prawdziwy stróż szacownego grobu królewskiego, jego pieczy powierzonego, obu-

[1] Tyszkiewicz mylnie powiedział, że w Bon Secours.

rzony na gazetę z powodu tego artykułu, ogłosił drukiem obronę, w której zebrał wszystkie dowody dla przekonania ogółu, iż grób Stanisława Leszczyńskiego jest nieporuszonym, a kości owe, odkryte w Petersburgu, są fałszywemi szczątkami tego króla.

Tyle Tyszkiewicz. Był on w Nancy i podał przywiedzione szczegóły w r. 1860. Lecz oto mamy przed sobą późniejsze dziełko, temuż przedmiotowi poświęcone, wydał je p. Henryk Lepage, prezes towarzystwa archeologicznego Lotaryńskiego i archiwista departamentu, w Nancy, r. 1868 (str. 64). Dziełko to, ozdobione widokami grobowców króla, królowej, kościoła Matki Boskiej de Bon Secours, oraz herbami, jakie się w tym kościele znajdują, nosi tytuł: *Les Caveaux De Notre-Dame de Bon Secours procés-verbaux de 1803 et 1814 relatifs a la conservation des restes mortels de Stanislas, par Henri Lepage, suivis D'une petite notice sur l'église.*

Sumienny autor zgromadził tu wszystko, co tylko było można, dla udowodnienia, że zwłoki królewskie są nietykalne. Powtarzają się tu niemal wszystkie szczegóły, podane już przez hr. Tyszkiewicza z nader małą zmianą. I tak podług p. Lepage jeden z rewolucyonistów r. 1793 zupełnie odciął głowę króla i prawdopodobnie on, lub który inny, rozpłatał ją na dwie połowy, krzycząc, że o t o t e n j e s z c z e n i e b y ł g i l j o t y n o w a n y. Wszystkie droższe sprzęty zostały zrabowane, ciała z trumien wyrzucone, a ołów z trumien użyto na kule. Wtedy to, jak się domyślają, nie ogrodnik, jak mówi Tyszkiewicz, ale mularz (w innem miejscu nazywa kamieniarzem), nazwiskiem Leopold La Marche mógł pochwycić kawał z dolnej szczęki królewskiej, którą później za grube pieniądze sprzedał Sokolnickiemu.

Drogie szczęty królewskie były zebrane, uporządkowane i do nowej trumny złożone (w miesiącu *Ventose*, szósty miesiąc republikański, roku XI.) przez p. Ventose, młodego urzędnika. Dlatego to zapewne jemu właśnie, wraz z pp. Drout i Vidil, urzędnikami magistratu, polecono rozpoznanie i sprawdzenie (w r. 1814) w grobowcu królewskim, co gdy dopełnionem zostało, spisany protokół udowodnił, że szczęty królewskie nienaruszone.

Magistrat miasta Nancy, dowiedziawszy się z dzienników, że jenerał Sokolnicki miał wywieść zwłoki Stanisława króla,

uchwalił na posiedzeniu nadzwyczajnem, że należy koniecznie obalić podobne twierdzenie, i zebrawszy się w całym komplecie, w otoczeniu ludzi fachowych i licznej publiczności, obejrzał stan miejsca, gdzie spoczywają popioły królewskie i znalazł wszystko tak, jak było w r. 1803, kiedy te szczęty zostały zebrane i złożone autentycznie w grobowcu kościoła de Bon Secours. Po spisaniu zatem protokołu, magistrat Nancy zaprotestował przeciwko faktowi podanemu przez jenerała Sokolnickiego, oświadczając, że nigdy mu nie oddawał zwłok króla Stanisława, że te zwłoki nie są w jego ręku, że miasto Nancy ma szczęście posiadać je jak przedtem i opłakiwać codzień.

Całe zaś to zajście wynikło, jak już o tem wspomniał Tyszkiewicz z powodu artykułu Monitora 6 października 1814 r., w którym przez omyłkę wydrukowano, że Sokolnicki w liście swoim opisującym uroczystość w Poznaniu 5 sierpnia, wyraził się: część szczątek śmiertelnych w druku zaś, przez omyłkę, powiedziano szczątki śmiertelne.

Powtórne zaniepokojenie w Nancy nastąpiło w r. 1857, gdy doszła wiadomość, że część zwłok królewskich złożono w kościele św. Katarzyny w Petersburgu, co, jak wiemy, spowodowało protest ze strony proboszcza miejscowego, ks. Morela. Magistrat sądził, że w kuferku złożonym w Petersburgu mogły się znajdywać pamiątki, wywiezione przez Sokolnickiego, ale nie szczęty.

Ciekawy jest ustęp w szacownem dziełku p. Lepage: „Polacy płacząc żegnali zwłoki królewskie, a więc sami stwierdzili, że zwłoki te pozostały w Nancy".

Nakoniec, dla zupełnego wyświetlenia wszystkich kwestyj, tyczących się szczętów króla Stanisława, zwracamy jeszcze uwagę, że czcigodny autor korespondencyi z Krakowa do „Kraju" (Nr. 17), o której już wspomnieliśmy, powiada, że za jego wskazaniem bibliotekarz Antoni Iwanowski wyszukał mowę jenerała Sokolnickiego, in 4to, którą miał przy ofiarowaniu tych relikwij (t. j. dwóch kostek) Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Napróżno szukaliśmy tej mowy w rocznikach Towarzystwa, a nawet żadnej wzmianki o darze Sokolnickiego w 17 pierwszych tomach roczników nie znaleźliśmy. Sumiennie rzeczy biorąc, za faktyczność tego twierdzenia nie podajemy, bo może przeoczyliśmy. Znamy

dwie tylko hałaśliwe mowy tego jenerała: jedną mianą w Nancy 11 czerwca 1814, drugą w Poznaniu w kościele katedralnym 5 sierpnia 1814. Być może, że Iwanowski tę ostatnią odszukał, gdyż jest ona także in 4to, jako odbitka z gazety poznańskiej.

Oto i wszystko cośmy zdołali wyczerpać ze źródeł dla nas przystępnych w danej kwestyi. Sądzimy wszakże, że szanowny autor artykułu „Zwłoki dwóch Piastów", który narobił tyle hałasu w prasie polskiej, mógł dostatecznie przekonać się: że 1) szacowne szczęty króla Stanisława Leszczyńskiego spokojnie spoczywają nie w Petersburgu, ale w Nancy, pod szczególną i troskliwą opieką municypalności tego miasta;

że 2) w Petersburgu, w sklepie króla Stanisława Augusta leżą dwie małe kostki, czy rzeczywiście jako cząstki szczętów Leszczyńskiego, tego sumiennie i krytycznie biorąc rzeczy, twierdzić nie można.

Bo jeżeli kawał dolnej szczęki nabytej od mularza, czy kamieniarza Leopolda La Marche, jednego z rewolucyonistów 1793 r., który ją skradł z grobu, może być autentyczny, to jakimże sposobem zostały nabyte palec, a szczególnie wnętrzności królewskie? Jakie świadectwo, że zostały wywiezione z Nancy? Wszak wnętrzności, jak to się zwykle dzieje, musiały być w spirytusie, w osobnem naczyniu. Municypalność Nancy nie ofiarowała ich Sokolnickiemu, skądże je więc wziął?

Fakta stwierdzają jedyny wypadek, że municypalność ofiarowała jenerałowi chorągiew królewską, którą złożyło królowi miasto Gdańsk. Inne pamiątki, mniej znaczące, mógł nabyć, lub też zostały mu podarowane. O szczęce istnieje gawęda, podanie, ależ o palcu, o wnętrznościach, nikt ani nie wspomina w Nancy? A więc tak uroczyste twierdzenie jenerała w mowie mianej w Poznaniu, że „Lotaryńczycy w dowód ku nam braterskiej miłości zrobili z nami podział najdroższych odrobin ciała uwielbianego ich Pana" nie ma zupełnej prawdy za sobą.

Co się stało z chorągwią, powiedzieć nie umiemy. Może złożoną została w katedrze poznańskiej? Słyszeliśmy, że rodzina jenerała robi starania o odnalezienie tego w każdym razie drogocennego zabytku i zamierza ofiarować go Muzeum Narodowemu w Krakowie, gdzie byłoby dla niej najwłaściwsze miejsce.

A. H. Kirkor.

DOKUMENTA.

Listy kardynała di Como do O. Antoniego Possewina T. J.

(Ciąg dalszy).

XIX.

9 aprile 1583

Molto Reverendo in Christo Padre. A la lettera che hebbi di V. R. scritta in Cracovia de li 13 febraro, rispondo con questa la quale si manda in mano di M. Cesare de l'Arena, perche andando, come scrisse di voler fare, a la Dieta d' Ungaria, gli la di ao in altro modo gli la facci havere, caso che la Dieta si diferisse, come alcuni dubitano. Cominciando adunq dal negotio di sovventione per qual personaggio grande, le dico, che fù concluso con somma assai notabile, et con molta satisffattione di chi l' aspettava come credo che V. R. haverà dipoi da qualche banda inteso; et lascio di scriver i particulari per il dubio che ho dal presto, et sicuro racapito.

9 kwietnia 1583.

Wielebny Ojcze! Na list W. T. z 13 lutego z Krakowa odpowiadam pisząc na ręce M. Cezara de l'Arena, ażeby jadąc, jak nam pisał, na sejm węgierski, W. T. go oddał albo wręczył w inny sposób gdyby sejm został odłożony, co niektórzy przewidują[1]. Teraz zaczynając od sprawy użyczenia wsparcia dla owej wielkiej osobistości donoszę W. T., że postanowiono je dać w dosyć znacznej sumie ku wielkiemu zadowoleniu tego, który się tego spodziewał, jak myślę, że W. T. się o tem już dowiedziałeś, i nie będę ci szczegółów donosił, wątpiąc o pewnem i prędkiem dojściu tego listu.

[1] Possewin dla załagodzenia sporu o Szatmar przebywał w r. 1583 na kilka nawrotów w Węgrzech. Teka Narusz. v. 90.

Si è fatto l' assegnamento de li dugento scudi l' anno per la sostentatione de poveri scholari in Praga, et il Procurator che riscuote per li Collegii, si è stato sollecito, non dubito che haverà havuti et rimessi anco i denari a qual Rettore.

S' è havuta la patente regia et visto in essa l' assegnamento de li 1200 ducati ungari per il Collegio di Transilvania per lo quale si stabilizanno qui ancora li 1200 scudi per XV. anni, quali Nostro Signore vuole, che di qua si contribuiscono a la medesima opera et un' altra simile espeditione per XV. anni si farà per quallo di Vilna, sequitando la forma già prescritta in simile materia, per il che convorrà, che il Padre Generale presso del quale deve esser questa sorte di scrittura, dia la cura di ciò al sollecitater de la Compagnia, si come anco converrà, che egli faccia per l' approbatione et confirmatione del possesso de la Chiesa di s. Barbara in Cracovia, il che tutto ha ordinato che sia fatto intender a Sua Paternità et come venga da me, io anco gliene dirò.

Quanto al desiderio del Sermo Re di Polonia di haver un Padre de la Compagnia dotto presso di se, poiche non si puo piu designar nel P. Maldonado, io ne ho parlato a longo col P. Generale, et vedo che ha carestia di soggetti di quella qualità, ma dice però, che per adesso le pare che il P. Varsevitio potrà supplire, essendo molto safficiente et havendo havuto ordine di fermarsi dove sarà la Maestà sua come anco scrire V. R. che egli era per fare.

Wyznaczono po 200 zł. rocznie na utrzymanie biednych uczniów w Pradze i prokurator, który pobiera płacę na rzecz kolegiów jeżeli dbał o to, niewątpię, że odebrał te pieniądze i oddał je rektorowi.

Odebraliśmy reskrypt królewski, w którym jak to widzieliśmy wyznacza sumę 1200 dukatów węgierskich na kolegium w Siedmiogrodzie, na które i tutaj wyznaczy się 1200 skudów na 15 lat, aby podług woli Ojca św. i stąd przyczyniono się do tego dzieła. Tak też i dla kolegium w Wilnie wyznaczy się równą sumę na 15 lat według formy w takich razach przyjętej, dlatego też wypada, żeby Ojciec jenerał, u którego powinien ten akt się znajdować, powierzył pieczę o tem prokuratorowi zakonu, jak również powinien to samo uczynić w sprawie potwierdzenia kościoła św. Barbary w Krakowie, co wszystko kazałem donieść Ojcu jenerałowi, a jak przyjdzie do mnie, to mu sam powiem.

Co do życzenia króla polskiego, żeby mieć przy swej osobie uczonego Ojca z Towarzystwa, ponieważ nie można było wyznaczyć O. Maldonoto, mówiłem długo o tem z O. jenerałem, i widzę, że mało ma osób zdatnych do tego, ale mówi, że na ten czas może go O. Warszewicki zastąpić, ma bowiem do tego wszelkie warunki i odebrał rozkaz zatrzymania się tam gdzie będzie JKMość, co też on jak W. T. piszesz, zamierzył uczynić.

E stata opera degna di V. R. l' haver efficacemente et in voce et in scritto mostrato à la Maestà del Re, che non deve pensar in modo alcuno a conferenza per conto di religione con gli heretici et oltre le vive et gagliarde ragioni addotte ne la scrittura, non è dubbio che gli esempi freschi haveranno fatto tal impressione nel' animo di Sua Maestà che conginto questo con lo soda pietà sua, potremo stare assai securi che non lascerà introdurre alcuna novità.

Godnym czynem W. T. było, żeś tak jasno pisemnie i ustnie dowiódł JKMości, że nie powinien myśleć o dyspucie w kwestyach religijnych z heretykami i nie wątpimy, że ważne i przekonywujące powody podane na piśmie, a świeże przykłady wywrą dobre wrażenie na umysł króla tak, że możemy być spokojni, bacząc zwłaszcza na jego prawdziwą pobożność, że niepozwoli wprowadzać żadnych nowości.

Certa cosa è, che il condur qualche colonia di Tedeschi et d' Italiani in Transilvania et in Livonia, sarebbe mero opportunissimo et sicurissimo a far molti beni et per accrepimento de la santa religione et per stabilimento de lo stato temporale, ma una tale impresa con gli Italiani ha qualche difficoltà di piu per la lontananza et però con tedeschi, massime Bavari, pare piu riuscibile et chi volesse pur tentar d' haver manuali et artefici Italiani, bisognerebbe che fosse qui o altrove in Italia qualche persona, la quale havesse commissione dal Re di trattar con loro et darli qualle sicurezze et satisfationi, che vogliono cosi fatte genti inanzi che si lascino levar di casa per andar in paesi tanto lontani.

Osadzenie kolonij niemieckich i włoskich w Siedmiogrodzie i Inflantach byłoby zapewne doskonałym i pewnym sposobem ustalenia religii i ukrzepienia rządów państwa świeckiego, ale z Włochami takie przedsięwzięcie przedstawia większe trudności z powodu odległości. Prędzejby się udało z Niemcami, a w szczególności z Bawarami; gdyby jednak chciano sprowadzić rzemieślników i robotników włoskich, to należy tu, albo gdzieindziej we Włoszech wyznaczyć osobę upoważnioną od króla do układów z nimi i dać im tym sposobem pewne zabezpieczenie i poręczenie, którego ci ludzie wymagają zanim domy swoje opuszczą dla krajów tak dalekich.

De la Prepositura di Micovia si sono viste le difficoltà ch' erano nate et la risolutione c' havera presa Sua Maestà di rimetter ogni cosa al giudicio et a l' autorità di Nostro Signore di che pero fin qui non s' è inteso altro per parte de la Mae-

Widzieliśmy trudności powstałe w sprawie probostwa w Miechowie, oraz postanowienie JKMości oddania całej tej rzeczy pod sąd i powagę Ojca św. ale dotąd nic więcej nie słyszeliśmy ze strony króla. Polecając się dobroci serca W. T.

stà tua. Con che resto offerendomi a V. R. di buon core et pregandole dal Signor Dio il cumulo d' ogni vera gratia.

Di Roma.

proszę Boga o wszelkie łaski dla W. T.

Rzym.

XX.

7 di maggio 1583.

Molto Reverendo in Christo Padre. In poco spatio di tempo ho ricevuto due mani di lettere di V. R. scritte d' Alba Giulia, da Bruna et da Vienna, sotto li 6 di marzo, 17 et 19 del passato, dale quali Nostro Signore con molto piacere ha inteso la grata acco glienza et buon trattamento fattoli da quel Principe di Transilvania, l' inclimatione grande a la pietà et il senso che mostra sopra l' età sua, il che S. Santità ha anco compreso da la lettera di lui scritta in risposta del breve. Onde si conosce ch' è degna pianta da coltivare et da sperarne gran frutto in aumento de la gloria di Dio.

De la fondatione del seminario in Claudiopoli et del sussidio impetrato dal Re per le cove di Varadino, Sua Santità ha sentito molta consolatione.

Del desiderio di Sua Maestà che sia una residenza di qualli de la Compagnia nel' ultima frontiera de l' Ungheria, si trattarà col Padre Generale, al qual V. R. dice haver scritto, et poichè il pensiero è buono et santo si cercherà di promuover l' effetto quanto sarà possibile.

Nel' altro negotio molto impor-

7 maja 1586 r.

Wielebny Ojcze! W krótkim przeciągu czasu otrzymałem dwie paczki listów W. T. pisanych z Weisenburgu, z Berna i z Wiednia pod d. 6 marca, 17, i 19 zeszłego miesiąca, z których Ojciec św. z przyjemnością dowiedział się o przyjaznem i gościnnem przyjęciu W. T. przez księcia Siedmiogrodu [1] jakoteż o przywiązaniu jego i pobożności i rozumie nad wiek, co i z listu jego w odpowiedzi na breve Ojciec św. poznał. Z tego sądzić można, że jest to drzewko godne pielęgnowania, z którego wielkiego owocu i chwały Boga spodziewać się można.

Ojciec św. ucieszył się bardzo z założenia seminaryum w Klaudiopolu i z pomocy jaką dał król dla Waradyna [2].

Pomówię z Ojcem generałem o życzeniu Króla założenia rezydencyi Ojców Towarzystwa na ostatnich granicach Węgier, o czem W. T. donosisz, żeś do niego pisał, a ponieważ myśl ta jest dobrą i świętą, będziemy się starali poprzeć jej uskutecznienie jak tylko będzie można.

Co do drugiej bardzo ważnej

[1] Był nim Zygmunt Batory.

[2] Chodziło tu o ufortyfikowanie Waradynu. Teka Nar. v. 91.

tamente per la Moldavia et Vallachia, certo io vedo che la providenza di Dio ha destinata la R. V. ancora a qella fattione, poiche i nostri pensieri si sono incontrati; imperoche già sono alcune settimane, che questo negotio era stato mosso qui et proposto a Nostro Signore il quale n' haveva sentito particolar gusto, et si era percio deliberato di scriver a V. R., già che si era accostato tanto a quei paesi che andasse piu oltre; quando è sopragionta la sua lettera scritta a Sua Beatitudine in questa materia. Per tanto essendo la Santità dispotissima a tutto ciò che sara di bisogno, dice che come V. R. si sarà sbrigata del negotio di Zatchmar, et da altre cose che havera designato di fare, vada disponendo le cose sue per transferirsi a la volta di quelle Provincie di Moldavia et Vallachia, et oltra quello che ha scritto de la provisione di sacerdoti, aggionga se altra cosa riputerà necessaria a tal cura, perche la provedremo d' ogni cosa per quanto si potrà.

Siano avvisati da persona assai prattica di quelle parti, che Pietro Vaivoda di Moldavia è huomo di gran volere, vede con buon occhio li Catholici et ragiona seco volentieri de le cose de la religion nostra. L' altro Michan Vaivoda di Vallachia, s' intende ch' è assai giovanetto et sta sotto la tutela de la Ma-

sprawy, dotyczącej Mołdawii i Wołoszczyzny, widzę, że Bóg i tutaj W. T. obrał za narzędzie, skoro myśli nasze spotkały się razem, gdyż już przed kilkoma tygodniami omawiano tu tę sprawę, i przedłożono ją Ojcu św. Podobała mu się ona, i właśnie mieliśmy pisać do W. T., ażebyś będąc już tak blisko tych krajów posuuął się jeszcze dalej, gdy w tem otrzymaliśmy list W. T. w tym przedmiocie. Ponieważ Ojciec św. gotów wszystko co potrzeba uczynić, przeto chce, ażeby W. T. przysposobił się do przesiedlenia się do Mołdawii i Wołoszczyzny, skoro tylko załatwisz sprawę szatmarską, oraz żeby W. T. wymienił, co uważasz jeszcze za potrzebne, oprócz tego co już pisałeś o dostarczeniu księży, bo zaopatrzy się W. T. we wszystko, co można [1].

Dowiadujemy się od osoby znającej tamte strony, że Piotr wojewoda mołdawski jest mężem silnej woli, przyjazny katolikom i rad z nimi rozmawia o religii naszej. Michał zaś, wojewoda wołoski, jest podobno bardzo młody i znajduje się pod opieką matki, chrześcijanki rodem z Galatu, która dla braku

[1] Podwójny był cel missyi Possewina do tych księstw, raz aby ich wtajemniczyć i pozyskać dla planów ligi chrześć. przeciw Turkom; powtóre aby ich dla wiary katolickiej pozyskać. Piotr książe mołdawski wygnany z swego księstwa szukał r. 1579 pomocy u papieża, który orędownicze listy za nim wysłał do króla Francyi i do cesarza (Annal. Eccl. Theineri III. 453, 454).

dre, la quale è nato christiana in Galata, et per difetto dè sacerdoti catholici vive insieme col figliuolo secondo il rito greco, ina se fossero ajutati si sperarebbe che potessero ridursi facilmente al rito Romano. A questi dui Principi et a la Madre si pensarà di scriver brevi di visita et credentiali in V. R. et si mandaranno quanto prima in mano di M. Cesare de l' Arena, perche glie l' indrizzi dove soprà ch' ella si trovi, overo si manderanno in Baviera poiche dice voler ridursi là nel ritorno di Sassonia.

Quanto a la compositione tra l' Imperatore et il Re di Polonia Nostro Signore spera che V. R. l' haverà presto risoluta et conclusa trovandosi già l' Imperatore obligato con la parola sua a l' Ambasciatore il però circa questo Sua Santità ne sta con l' animo assai quieto.

De la risolutione fatta de la Maestà del Re di Polonia circa il distribuir li Palatinati et capitanati da qui inanri a soli catholici, Nostro Signore ha sentito contentezza mirabile poiche vede la Maestà sua non minor pietà che prudenza tender a quello che può esser unico rimedio a tanti mali del Regno, et oltra a ciò però servir ad accrescer e stabilir l' autorità sua regia con i popoli, et acquistar maggior merito presso il Re del cielo. V. R. darà a la Maestà sua in nome di Nostro Signore quelle lodi che merita cosi santo proposito pregandola à star con-

katolickich księży żyje z synem w wierze greckiej, ale gdyby jej dano pomoc, możnaby mieć nadzieję pozyskania jej dla wiary rzymskiej. Wyprawimy do tych książąt i do matki breve i listy polecające W. T. i conajprędzej wyszlemy je na ręce M. Cesara de l' Arena, aby je wysłał tam, gdzie się W. T. znajdować może, albo poszlemy do Bawaryi, skoro W. T. piszesz, że tam się udasz wracając z Saksonii[1].

Co do doprowadzenia do zgody z królem polskim, to Ojciec św. spodziewa się, że W. T. wnet to załatwi, skoro cesarz już związany słowem danem posłowi, co do tego więc Ojciec św. jest zupełnie spokojny[2].

Wielce ucieszył się Ojciec św., że JM. król polski postanowił nie oddawać województw i starostw, jak tylko katolikom. Z tego wnosi Ojciec św., że król z równą pobożnością jak mądrością dąży do tego co może być jedynem lekarstwem na tak wielkie wady tego królestwa, a oprócz tego dąży do ustalenia i zwiększenia powagi swojej królewskiej w narodzie i pozyskania zasług u króla niebios. Oświadcz W. T. w imieniu Ojca św. JKMości pochwały na jakie zasługują tak święte zamiary, prosząc go o stałość w ich wykonaniu, jako też i kanclerzowi niech W. T.

[1] Brewia te w Anałach Theinera. III. 453, 454.
[2] Zgoda to doszła dopiero 1584. Heidenstein ks. VII.

stante nel' essecutione et non lascierà ancora di mostrar al S. Cancelliere quanta parte del merito di tal opra, sia per attribuissi al buon consiglio, et gran virtù sua.

Circa la venuta del S. Andrea Battori in Roma et la dimora per alcun tempo presso il S. Cardinale Borromeo, Nostro Signore si rimette a tutto quel che piu piacerà a la Maestà del Re, et quando verra, sarà il ben venuto, et ben visto de la Santita Sua. Non par già espediente a Sua Beatitudine V. R. ritorni per adesso a Roma per non perder tempo a l' audata di Moldavia et Vallachia.

Per quello che si possa trattare in Sassonia nel particolar di Colonia io non scrivo cosa alcuna, si per dubittar che cio non sarebbe a tempo et si ancora perche mi par superfluo, atteso che V. R. trovandosi come sul fatto et sentendo quei che passa, sopra molto ben indirizzar gli officii, et ragionamenti suoi a quel fine et scopo, che sa convenirsi a ministri de la Santita Sua.

A Sua Santita è dispiacento il disordine occorso in Olmuz per difetto di quel Visitatore Carthasiano, et di cio si scrinie omieszka objawić jak znaczną część zasług należy przypisać jego radom i staraniu.

Co do przyjazdu Andrzeja Batorego do Rzymu i pobytu przez jakiś czas u kardynała Boromeo, Ojciec św. zostawia to do woli JKMości. W razie przyjazdu dozna on uprzejmego przyjęcia u Stolicy Apostolskiej. Ojciec św. nie uważa za potrzebny przyjazd W. T. do Rzymu, boby to opóźniło podróż do Mołdawii i Wołoszczyzny.

Nie piszę o tem jakby należało postąpić w Saksonii w kwestyi kolońskiej, raz dlatego, że wątpię czy już to będzie na czasie, a drugie, że mi się to zbytecznem wydaje, gdyż wiem, że W. T. będąc tam na miejscu obecnym i znając stan rzeczy, zrozumiesz najlepiej jak należy zmierzać do końca i celu jaki przystoi posłom Stolicy Apostolskiej[1].

Ojciec św. niezadowolony jest nieporządkami w Ołomuńcu które się stały z winy owego wizytatora kartuzyańskiego i o tem z

[1] Arcyb. koloń. Gebhard br. Walpurgh odstąpił od wiary i mieszkał publicznie z Agnieszką Mansfeld, z którą w grudniu 1583 wziął ślub protestancki. Papież po wielu bezskutecznych swoich, cesarza i innych książąt i dygnitarzy upomnieniach kazał go wykląć. W skutek tego wybuchły w Kolonii zamieszki, gdyż apostata znalazł silne poparcie u protestantów. Zażegnać to rozdwojenie tak utrudniające dojście do ligi chrześć. było zadaniem Possewina w Kolonii; niewiele jednak dokazał bo w 1584 wybuchła formalna wojna domowa. Annales Theineri III. 489—500.

verà efficacemente, come V. R. ricorda, al loro Priore de la Certosa.

Quanto a li denari del semestre per V. R. credo che siano pagati li 400 ducati in cambio di quelli che V. R. scrisse di haver ricevuti in Polonia per il collegio Inglese, et gli altri 200 si faranno pagar a ogni richiesta del Padre Generale. Et a lei senz altro mi offero di core, et prego di ogni aumento de la divina gratia. — Di Roma.

naciskiem napiszemy do przełożonego klasztoru Kartuzów, tak jak tego W. T. pragniesz [1].

Co do półrocznej płacy W. T., sądzę, że już masz wypłacone owe 400 dukatow z tych pieniędzy, które jak W. T. pisałeś, otrzymałeś w Polsce na kolegium angielskie, a innych 200 każemy zapłacić na pierwsze żądanie O. jenerała. Polecam się serdecznie W. T. i życzę jej pomnożenia wszelkich łask.

Rzym.

XXI.

14 di maggio 1583.

Molto Reverendo in Christo Padre. Scrissi a V. R. a li 7 del presente in risposta de le sue che havero, et principalmente circa l' andar in Moldavia et Vallachia, et hora se li mandano li brevi per quei Principi, et per la Madre del... et anco altri brevi che potranno servir per consiglieri et persone simili, a quali farà lei il soprascritto secendo il bisogno, et aggiongerà il nome proprio a quello de la Madre, quel non si è posto, non secondo qui chi lo sapesse di certo. Si è pensato che questa occasione potrà servire a l' introduttione del non Calendario in quelle parti, ove si spera che sarà facilmente ricevuto, massime allegandosi l' essempio degli altri Principi christiani,

14 maja 1583.

Wielebny Ojcze. Pisałem do W. T. 7 t. m. odpowiadając na list W. T., w szczególności zaś w sprawie podróży do Mołdawii i Wołoszczyzny a teraz posełam W. T. breve dla tych książąt i dla matki i inne breve mogące służyć dla doradzców i dla innych osób. W. T. położysz na nie adresy według potrzeby i dodasz także imię chrzestne na breve do matki, bo tu nikt na pewno je nie wie. Myśleliśmy o tem, czy ta sposobność nie posłuży do wprowadzenia nowego kalendarza w tamtych stronach, spodziewamy się, że go tam łatwo przyjmą, zwłaszcza gdy się im przedstawi przykład innych książąt chrześcijańskich, którzy to już uczynili oraz nadzieję jaką mamy, że

[1] Prior kartuzyański w Ołomuńcu założył seminaryum, które po śmierci jego zostało zwinięte. Wizytator zakonu zaniedbał tej sprawy. Z tej przyczyny Papież upomniał jenerała zakonu kartuzyańskiego listem z d. 14 maja 1583 i polecił mu wyprawić ponownie tam wizytatora i dwóch księży, którzyby seminaryum na nowo otworzyli. Annal. Eccl. Theineri III. 414.

quali hanno messo in essecutione et la ferma speranza che si ha, che il Patriarca di Constantinopoli habbi fatto il medesimo se ben sarà meglio non far mentione alcuna del Patriarca, ma solo andur l' esempio degli altri Principi Christiani. Però si è ordinato di far stampar alcuni Calendarii in linqua greca, li quali potendosi haver a tempo, si manderanno con questa atrimenti s' indrizzeranno a Mons. Nunzio in Polonia, perche siano mandati a lei fedelmente. Fara V. R. in questa materia qual che potrà con soavità, per indur quei Principi a la publicatione et osservatione di esso Calendario, et quando veda gran difficoltà per rispetto del Turco, non farà altra instantia, ma gli darà tempo di considerarvi sopra et pigliar buon risolutione, benche questo non è negotio nel quale il Turco habbi interesse alcuno, poiche li Turchi non regolano l' anno come noi, et il loro compito non ha che far col nostro.

Quanto al promover la santa religione, et al mandar per ciò, operarii di quà, non si mancherà d' ogni diligentia necessaria et possibile, ma prima che si venga a questo, bisognerà aspettar che V. R. sia stata là, et habbi visto ciò che si puo sperar di quei Principi et popoli, et la qualità et quantità de li operarii che si harezanno da mandare, et tal credo che sià, stata l' intentione di V. R. quando si è volto il pensiero a quella parte.

Da Constantinopoli è stato scritto a questi giorni, che il gran Turco per sospetto che patryarcha konstantynopolitański tak samo postąpi, chociaż może lepiej będzie nie wspominać wcale o patryarsze, tylko o innych książętach chrześcijańskich. Kazaliśmy zatem wydrukować kilka kalendarzy w greckim języku, które jeżeli na czas będą gotowe poszlemy z tym listem, w przeciwnym razie wyszlemy je do J. ks. Nuncyusza w Polsce, ażeby je W. T. oddano. W. T. uczynisz wszystko co będzie można rozsądnie uczynić, ażeby nakłonić tych książąt do ogłoszenia i zachowywania tego kalendarza, a jeżeli W. T. zobaczysz, że zajdą wielkie przeszkody ze względu na Turcyą, to nie nalegaj, ale zostawisz im czas do namysłu i postanowienia, chociaż Turcya w tej sprawie nie jest wcale interesowaną, gdyż nie dzielą tam rokn tak jak my, a ich kalendarz zupełnie jest różny od naszego.

Co do wspierania religii św., i posłania tam misyonarzy stąd od nas, to będziemy się o to usilnie starać, ale zanim do tego przyjdzie, to należy zaczekać, dopóki W. T. tam nie staniesz i nie zobaczysz czego się można spodziewać po tych książętach i tym ludzie, oraz ilu i jakich należałoby posłać misyonarzy. Sądzę, że W. T. tak myślałeś, gdy się tą rzeczą zająłeś.

Z Konstantynopola pisano nam w tych dniach, że sułtan podejrzywając, że W. T. nie w in-

V. R. sia andato attorno non con altro fine che di lega, n' ha fatto rissentimento co'l Bailo Veneto, il che s' è vero, doverà esser a V. R. per avvertimento d' andar piu cauta et con manco apparenza et romore che potrà verso quei paesi di Moldavia et Vallacchia, ove il Turco è tanto obedito et per ovvier a simili pericoli non siarà forse male di portar lettere del Re di Polonia et anco eel Imperatore, in che mi rimetto a la prudenza de la V. R. Et per fine prego Dio Nostro Signore che la conservi ne la santa gratia et protettion sua — Di Roma.

nym jak w celu zawiązania ligi pojechałeś, objawił swoje niezadowolenie sędziemu weneckiemu, co jeżeli jest prawdą, to niech to będzie ostrzeżeniem dla W. T. żebyś ostróżniej i z jak najmniejszą ostentacyą i rozgłosem udał się do Mołdawii i Wołoszczyzny, gdzie Turcya takie ma wpływy. Dla uniknięcia podobnych niebezpieczeństw, dobrze będzie mieć z sobą listy króla polskiego i cesarza, co zostawiam zdaniu W. T. Kończę prosząc Boga, żeby W. T. zachował w swej łasce i opiece.

Rzym.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Ogniem i Mieczem. Powieść z lat dawnych p. Henryka Sienkiewicza.

I.

Piętnaście lat temu odezwał się z katedry wszechnicy Jagiellońskiej po raz pierwszy głos „otwierający kurs historyi polskiej“[1], głos w dosłownem brzmieniu prawie już dzisiaj zapomniany, ale treścią swoją niemniej przeto żyjący w głębi serca naszego pokolenia, w powszechnem poczuciu oświeconej części społeczeństwa polskiego w obecnej jego chwili dziejowej. Powiedziano wówczas, że nauka dziejów naszej przeszłości, powinna się stać „przedmiotem powszechnego zajęcia i roztrząsania“... „pożywiołem dla krytycznego i twórczego ducha w narodzie“... „a to nie przez samą tylko analizę upadku, ale i przez unaocznienie sobie naszej dawnej świetności i potęgi“.

Wspaniały ten program dzielnie spełniało najnowsze dziejopisarstwo nasze, ale przeważnie, — tylko do połowy.

Było ono dotąd wyłącznie prawie „pożywiołem krytycznego“ a nie „twórczego ducha w narodzie“, zajmowało się prawie „samą analizą upadku“. Rzucało skołatanej społeczności naszej w oczy żywem przypomnieniem ciężkich win dawnych i późniejszych, ale nie umiało przytem „elektryzować nas sumą dobrego, dodatniego żywiołu przeszłości naszej“.

Nie przeczę, że ten dzisiejszy, krytyczny kierunek dziejopisarstwa naszego zwrócony przeważnie ku ujemnym stronom na-

[1] Wstępna prelekcya otwierająca kurs hist. polsk. Józefa Szujskiego z dnia 24 listopada 1869.

szego charakteru narodowego, był i jest konieczną reakcyą, odpowiedzią na poprzednie bezwzględne i bezkrytyczne apoteozowanie naszej przeszłości i teraźniejszości, na owe nieszczęsne „Chrystusowanie“ Polski jako narodu wybranego po nad wszystkie. Zwątpić by trzeba zupełnie o zdrowym instynkcie narodu, gdyby przeciw tak fałszywej i zgubnej historyozoficznej tezie mesyańskiego fatalizmu nie odezwała się antiteza, t. j. głośne ujawnienie i surowa krytyka błędów i win przeszłości i teraźniejszości, nie licujących wcale z rzekomem mesyanicznem wybraństwem naszego narodu. Niemniej także i samobójcza doktryna „o nieprzerwalności powstania“ musiała z konieczności spotkać się ze surowszą jeszcze krytyką naszych dziejów porozbiorowych. Ale z drugiej strony, cóżby się stało ze społeczeństwem, gdyby i nadal cała zdrowo myśląca część jego tę chwilowo konieczną, krytyczną antitezę naszego najnowszego dziejopisarstwa, przeciw bieżącym fałszywym historyozoficznym i politycznym teoryom skierowaną i zwróconą przeważnie ku zgłębieniu, osądzeniu i napiętnowaniu tragicznej, własnej winy narodu w jego upadku, wzięła za ostateczną syntezę swojej dziejowej mądrości? Cóżby się stało z biednem społeczeństwem naszem, a nadewszystko z młodem pokoleniem, gdyby także i w dziejach bliższych nam ostatnich wieków naszej niepodległości, nie nauczono go czerpać żadnej innej nauki, żadnego pokarmu, oprócz wielkiego: *dies irae et calamitatis!* nad „zepsutym do szpiku kości, do gruntu rozstrojonym“ i ciężko pokaranym narodem?

Dawne źródło natchnień romantyczno-patryotycznych wyschło, gdy pokazało się, że sam „zapał“ tylko „szałem rozumny“, nie jest tym, co „tworzy cudy“, i że hasło: „mierz siłą na zamiary, nie zamiar według sił“ wprost do zguby wiedzie, do niechybnej zagłady. Osądzono, potępiono, napiętnowano wszelkie nasze nierozważne i niewczesne porywy do niepodległości, płynące z chronicznej, zachodnią rewolucyą żywionej gorączki spiskowania. I wywieszono sztandar nowy, dano hasło: „otwartej, jawnej pracy organicznej“.

Ale doszło już prawie do tego, że społeczeństwo nasze nie miało ideałów, żywych, rodzimych, obleczonych w rodzime ciała

z krwią ze krwi i kością z kości naszych. Dawne ideały, z ostatniego rozkwitu poezyi naszej już się przeżyły, i dobrze nawet, że się przeżyły Wallenrody, Kordyany, Henryki... ale gdzież znaleźć nowe? skoro w przeszłości najnowsza krytyka historyczna dopatrzeć ich nie może, i każe nam sięgać po nie chyba aż do odległych bardzo średnich wieków, po piętnaste i szesnaste stulecie.

To też zdawało się, że dla ducha naszego chyba niema już nic, na czem by spoczął, czemby się pokrzepił, natchnął, zagrzał, zapalił, jak to niegdyś, choć i w złych czasach bywało. Wszystko zamknęło się dla nas w zimnej a twardej codzienności, w najbliższych obowiązkach i interesach ciężkiej walki o byt powszedni, i można było mniemać, że istotnie na długo, jeśli nie na zawsze, zapanowała mierność i jałowość wielka, w naszej pięknej literaturze.

Ale dzięki Bogu inaczej się stało! Słusznie wołał Szujski: „Wierzajcie mi, że nie stracimy na tem dążeniu do jak największej przedmiotowości w historyi, na tem zajrzeniu jej oko w oko, nie z uczuciem li tylko tęsknego syna, bolejącego na grobie ojca, nie z goryczą spadkobiercy, któremu tylko krew i łzy padły udziałem, ale z poczuciem potomka, wielkiego i wspaniałego domu, który patrząc na ruinę, odgaduje jej dawne kształty, bada co było siłą a co słabością wielkiego, politycznego budynku i duchem twórczym, przyswajając sobie siły, słabości potępia na zawsze“ [1].

Prawdziwie przepowiedział Szujski, że „krytyczne badanie dziejów naszych, jeśli nie jedną poetyczną rozbije illuzyę, zastąpi ją sowicie klejnotami czystej wody, i wyższej wartości“ [2]. I rzeczywiście, skrzętna i umiejętna, na wszelkie uznanie zasługująca praca źródłowa, archiwalna, naszej nowej szkoły historycznej, choć z natury swojej nie może olśniewać mas narodu, a w ogólniejszych pracach swoich z powodów wyż nadmienionych, jest przeważnie ujemnie krytyczną, odsłania nam jednakże przeszłość naszą coraz bardziej, coraz wyraźniej i żywiej tak, że każdy

[1] Szujski. Wstępna prelekcya.
[2] Ibid.

teraz łatwiej może gdy chce, „zajrzeć jej oko w oko“, a temsamem przysposobiono świeży i nowy grunt, już nie tylko dla krytycznego lecz i dla twórczego ducha w narodzie tak, że nareszcie wielki talent mógł już na tym świeżo zdobytym gruncie przeszłości, wypielęgnować nowe, zdrowe ideały, nowy płód wielkiej sztuki w naszej poetyckiej literaturze. I właśnie pierwszym, odrazu świetnym tego dowodem i przykładem a daj Boże i zadatkiem na przyszłość jest owa „Powieść z lat dawnych“, która tak żywe i powszechne wzbudziła zajęcie we wszystkich warstwach naszej społeczności, od najwyższych, najoświeceńszych i półoświeconych aż do sług i dzieci.

Czego nie dała nam nauka, dała sztuka w pełnej mierze jak z rogu obfitości, bo znalazł się artysta, który gdy z pomocą nowszych prac historycznych i dawnych źródeł z największą przedmiotowością „zajrzał oko w oko“ w straszne tajniki jednej okropnej chwili przełomu w naszych dziejach, umiał jednak przedstawić nam ją „nie z uczuciem li tylko tęsknego syna bolejącego nad grobem matki, ani z goryczą spadkobiercy, któremu tylko krew i łzy padły udziałem, ale iście z poczuciem potomka wielkiego i wspaniałego domu! który patrząc na ruinę“ — „ruiną“ nazwał lud ukraiński bunt Chmielnickiego — odgadł jej dawne kształty i dał nam ją jakoby przeżyć po raz wtóry, a duchem twórczym i z tej „ruiny“ umiał wydobyć na wierzch i przyswoić sobie i nam wszystkim najżywsze, świetne a wcale niekłamane dowody i przykłady wielkiej siły, żywotności, i bohaterstwa obywateli „dawnego politycznego gmachu naszej Rzeczypospolitej“.

Nawiązał on na nowo tradycye zgubione z tajemnicami naszej dawnej wielkości i kazał nam „uczcić ją wszędzie, gdzie się i do późniejszych dni dochowała i zbliżył ku życiu, co było życiem nawet pośród rozkładu“ i wszystkich nas olśnił, podniósł, podbił i pocieszył, a nadewszystko „zelektryzował społeczeństwo sumą dobrego i dodatniego żywiołu“, którą umiał wykłuć w całej pełni nawet z tak nieszczęsnej a niemniej przeto wielkiej chwili dziejowej, jak czasy wojen kozackich i dokazał tego, że dzisiaj to my raczej, my mądrzy i surowi sędziowie dawnych wieków naszej niepodległości, czujemy się karłami wobec bohaterów z pod Konstantynowa, Zbaraża i Beresteczka, pomimo, że równocześnie

z autorem razem tak żywo przeboleliśmy na nowo i Żółte wody i klęskę Korsuńską i Bar wzięty i gorszy od wszystkiego srom Pilawiecki!

Naukowe badania nad przeszłością naszą dawały nam, co dać mogły, dały nam fakta, ich analizę, wyprowadzały wnioski, stawiały tezy mniej lub więcej usprawiedliwione, ale sztuka „wielka sztuka", która, jak słusznie mówi filozof[1], jest „czemś bardziej filozoficznem niż historyografia", sztuka prawdziwa dała nam pierwszy przykład s y n t e z y jednej przynajmniej chwili dziejowej, z jasnowidzeniem przeszłości w dotykalnej prawdzie i rzeczywistych jej barwach, chociaż bogato opromienionej czarującym blaskiem poezyi. I tak mamy dziś wreszcie i w słowie, w powieści to samo, co od ćwierć wieku inna sztuka przez wielkiego mistrza roztacza przed naszemi oczyma w coraz wspanialszych obrazach, których treścią zawsze ta sama: t r a g i c z n a w i e l k o ś ć n a s z e j p r z e s z ł o ś c i.

W potężnych dziełach Matejki witaliśmy nową na naszej ziemi sztukę odrazu w najpełniejszym rozkwicie, w tej zaś „powieści z lat dawnych" święcimy i witamy zatracony już prawie w ciężkiej doli, a dziś na nowo odzyskany Ideał w naszej poetyckiej literaturze.

Jest więc dla nas ta powieść, przedewszystkiem innem najpiękniejszym przykładem, jak nawet pośród surowego rachunku sumienia narodowego, który jest dziś na porządku dziennym, pomimo najszczerszego *mea culpa,* z całem poczuciem ciężkich win, nie zasłaniając żadnej hańby, nie upiększając żadnego grzechu, można przecież pomimo wszystkiego, miłosnem spojrzeniem obejmować dawną przeszłość naszą, nawet w najmniej szczęśliwych jej chwilach i znaleść w nich jeszcze pokrzepienie i wzmocnienie ducha w smutnej teraźniejszości.

Bo trzeba raz już przyjść do tego przekonania, że dziejów naszych przedrozbiorowych z tem co się stało po rozbiorach jedną miarą mierzyć i sądzić nie można. Pocóż za dzisiejszą bezdeń cierpień naszych pociągać niejako do odpowiedzialności aż praojców i prapraojców naszych z odległej przeszłości, kiedy

[1] Arystoteles, Poetyka cap. 9.

doprawdy, że dzisiejszy nieszczęsny stan Polski przedewszystkiem dziewiętnastego wieku jest dziełem.

A kiedy ten wiek XIX. tyle ma win własnych na sumieniu, względem naszej przyszłości i teraźniejszości, gdy stosunkowo stokroć więcej zmarnował, zrujnował, aniżeli kiedykolwiek u nas zmarnowano i zrujnowano, bo dawniej więcej było do stracenia, gdy ten sam wiek XIX. popełnił tyle tak nieszczęsnych nierozważnych i w następstwach tak bezdennie strasznych grzechów politycznych, to czyż my, dzieci tegoż wieku, gdy się tych grzechów teraz głośno wyrzekamy i przynajmniej duchowo odrodzić się pragniemy, czyż my dlatego samego nie z tem większą oględnością, wyrozumiałością i miłością patrzeć winniśmy w naszą przeszłość przedrozbiorową?

Sufficit diei malities sua! pocóż więc na złości dzisiejszej piętrzyć jeszcze i złości wszystkich ubiegłych stuleci, pocóż przy roztrząsaniu przeszłości karmić się samą żółcią tam, gdzie nawet w morzu klęsk i nieszczęść można jeszcze znaleść tak wiele zdrowego pokarmu, tyle skarbów i pociechy, jak to pokazała nam właśnie ta „powieść z dawnych lat“, która nas tu zajmuje.

I w tem właśnie widzimy najdonioślejszą dla nas, praktyczną wartość tego nowego dzieła sztuki, że jak niegdyś, według świadectwa filozofa[1] w tragedyi osnutej na dziejach własnych bogów i heroów znajdował Grek „chwilowe oczyszczenie cierpień i namiętności“ tak i my dziś wynieść możemy z tej powieści, każdy, kto tylko zechce, niezawodne, chociaż chwilowe oczyszczenie, uśmierzenie i uspokojenie, ową klasyczną τῶν παθημάτων κάθαρσιν naszych narodowych cierpień i namiętności nurtujących dzisiaj nasze społeczeństwo. Gdy się wczytać w tę powieść prostą i plastyczną jak homerowska epopeja, a silną w charakterystyce postaci i żywą w akcyi jak dramata Szekspira, przerażającą nieraz okropnością scen i obrazów jak Niebelungi, to znów rzewną i czułą w bezpośredniem poczuciu natury jak dumka ruska, zadziwiającą oryginalnością, a przytem wszystkiem na wskróś rodzimą, zdrową, rycerską, religijną, staropolską i to pod wra-

[1] Arystoteles. Poetyka cap. 6.

żeniem tych czarów poezyi wszystkie powszednie bóle i zwątpienia nasze toną chwilowo w jakiemś błogiem uczuciu pomięszanem z niewymowną wdzięcznością dla autora za to, żeśmy dzięki jemu znowu:

Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jako przodkowie nasi — niegdyś całe życie.

II.

Chwila dziejowa do powieści historycznej we wielkim stylu jak najtrafniej wybrana, przez najnowszych dziejopisarzy wyraźnie wskazana. „Całe panowanie Władysława IV., dopóki go historya w całej prawdzie nie odsłoni, pozostanie wdzięcznym tematem dla poezyi“, pisał niedawno Bobrzyński [1], a wielkość i tajemniczość zamysłów królewskich, wmięszanie w nie Kozaków... i nagła ruina wszystkiego, czynią zwłaszcza sam koniec jego panowania i następne najbliższe wypadki czemś niezmiernie drastycznem. Bo też „rzadko w dziejach, mówi Szujski [2], graniczą tak o miedzę świetne, spokojne, i chlubnemi zwycięzkiemi wojnami oświecone czasy, z obrazem gwałtownego kataklizmu, jak się to spotyka w dziejach Polski na rozdrożu rządów Władysława IV., i jego następcy“. Jest to rzeczywiście chwila zwrotna w terytoryalnem i cywilizacyjnym zapędzie całych dziejów Polski na drodze na Wschód, bo właśnie od nagłej a niespodziewanej katastrofy buntu Chmielnickiego, dalej pomimo heroicznych walk XVII. wieku już tylko same spustoszenia i coraz nowe umniejszenia terytoryalne aż do ostatecznych podziałów Polskę spotykają.

Chwila ta znęcić mogła do artystycznego jej opracowania także i bogactwem otwartych i łatwo przystępnych źródeł; dokumentów historycznych i dyplomatycznych, listów, współczesnych

[1] Dzieje Polski w zarysie. Tom II., str. 272.

[2] Historyi Polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście str. 268.

dzieł historycznych i pomników literackich i pamiętniczych, które jasne i bezpośrednie światło na epokę rzucają. Do tego nadzwyczajna obfitość świeżo i z wielkim talentem opracowanych monografii, szkiców i. t. d., do jakich te czasy szczególne miały szczęście, przysposabiły je jakby umyślnie jako wdzięczny bardzo materyał *ad usum* artysty.

Autor, nim się jął dzieła swego, widocznie rozprawił się na seryo z całym tym materyałem[1], a prócz znanych

---

[1] Główne źródła, z których autor widocznie korzystał bezpośrednio lub pośrednio, jako też nowe opracowania czasów wojen kozackich:

Źródła: Jakuba Michałowskiego: Księga pamiętnicza wyd. Helcla Tow. nauk Krak. z r. 1864 i Źródła, bardzo obfite przypiski jako dodatki do Szajnochy: Dwa lata z dziejów naszych, Tom VIII., IX. i X. dzieł jego. Warszawa 1877.

Źródła dziejowe. Tom V. Instrukcya królewszczyzn ziem ruskich: Wołynia, Podola Ukrainy z pierwszej połowy XVII. wieku. Wydał A. Jabłonowski Warszawa 1877.

Archiw jugo zapadnoj Rossii. Część III. tom I. Iszledowanie o Kozaczestwie W. Antoniewicza. Kijów 1864.

Pastorius. Flos Polonicus ed. Gdańska 1678.

Grondski. Historia belli Cosaco-Polonici, wyd. w r. 1789.

Kochowski Annales. Tłom. polskie p. t. Historya panowania Jana Kazimierza wyd. Ed. Raczyńskiego. Poznań, 1840.

Rudawski. Historya polska od śmiersi Władysława IV., aż do pokoju oliwskiego z r. 1660. Tłom. z łać. Wł. Spasowicz. Petersburg 1835.

Jeremiego Wiśniowieckiego. Compendyum rad kanclerza i panegiryk na cześć tegoż: Pochodnia sławy.

Wieliczko Letopiś sobitij w juhozapadnoj Rossji z XVII. wieku. Kiew, 1848.

Jerlicz. Latopisiec z rękopisu wyd. Wojcicki Warszawa, 1853.

Maszkiewicza Dyaryusz, w zbiorze pam. o dawnej Polsce. I. U. Niemcewicza. Tom V.

Oświęcima Dyarusz w rękopisie. Bibl. Ossol.

Kemeny autobiografia.

Linage de Vauciennes l' origine véritable de soulèvement des Cosaques contre la Pologne. Paris, 1674.

Pierre Chevalier. Histoire de la guerre des Cosaques contre la Pologne 1663.

Beauplan. Opis Ukrainy, w zbiorze Pam. o dawnej Polsce. I. M. Niemcewicza.

Samuela ze Skrzypny Twardowskiego współczesny poemat: Woyna Domowa z Kozaki y Tatary.

rzeczy miał podobno pod ręką także i niewydane jakieś pamiętniki czy listy odnośne do rodziny Wiśniowieckich i wojen kozackich. To też historya nie jest tu tylko motywem, tłem do powieści, kanwą dla fantazyi autora, jak to zwykle, a nawet zawsze dotąd bywało w powieściach historycznych, lecz cała ta powieść jest w gruncie rzeczy udramatyzowaną historyą, prawdziwą historyą w dzieło sztuki przetopioną tak, że się w oczach naszych dzieje, w naszej odbywa wyobraźni pobudzonej genialnym artyzmem przedstawienia rzeczy. Osiągnął zaś autor ten efekt zdaniem mojem, głównie przez to, że nie dał nam uczuć zwykłego w takich powieściach rozdziału między postaciami i wypadkami historycznemi a nie historycznemi figurami, typami i zdarzeniami fabuły powieściowej, lecz wciągnął bardzo umiejętnie swą powieść bezpośrednio w wir historyi, a historyę zrobił naturalnym czynnikiem wikłającym i posuwającym naprzód osnowę romansu.

Główne tu postacie historyczne: Chmielnicki i Jeremi Wiśniowiecki, prócz tego, że są wprowadzone w całej swej historycznej roli i doniosłości, są zarazem koniecznemi czynnikami ruchu fabuły powieściowej, a tak samo i inne mniejsze figury z historycznemi nazwiskami, traktowane są zawsze według tradycyi historycznej a z żywością typów powieściowych, i na odwrót wszystkie postacie grające główne lub podrzędne role w romansie powieściowym, i występujące przedewszystkiem w ogólnie ludzkim charakterze, przedstawione są zarazem jako ważne i znaczące czynniki historyi swych czasów.

Skrzetuski i Bohun, wybrani na głównych bohaterów ro-

Opracowania:

Dr L. Kubala. Szkice historyczne (Oblężenie Lwowa w. r. 1648. Oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem. Bitwa pod Beresteczkiem). Lwów, 1880, i Jerzy Ossoliński. Lwów, 1883.

Kulisz. Istorija wozsrjedinienija Rusi. Petersburg, 1874.

Szajnocha: Dwa lata z dziejów naszych i opowiadania o królu Janie III. op. I. Mściciel, dużo ciekawych szczegółów o Chmielnieckim.

Antoniego J. Zameczki podolskie i Niewiasty kresowe.

Dubieckiego. Monografia o Kudaku.

Drzewieckiego. Sceny dramatyczne z XVIII. wieku itd.

mansu, jakoteż przyjaciele Skrzetuskiego, Zagłoba, Wołodyjowski, Podbipięta itd. bezpośrednio wpływają na bieg wypadków dziejowych, i to albo w ramach pozostałej po nich tradycyi historycznej, jak dwaj pierwsi (Bohun i Skrzetuski) albo, jak inne z mniej historycznemi nazwiskami, w ogólnym charakterze indywidualnej dzielności ówczesnych rycerzy. A prócz tego i wszystkie inne figury, któremi roi się ta powieść tak żywo, aż do najmniej znaczących, choćby raz tylko przez pole naszej wyobraźni pobieżnie przesuniętych, grają przecież rolę historyczną, bo każda na swój sposób, z jakiejś strony, choćby w najdrobniejszym rysie, odźwierciedla nam prawdę historyczną ówczesnej epoki, jeśli nie polityczną i społeczną, to przynajmniej obyczajową. Cały zaś przebieg romansu stosuje się tu bezwzględnie do rzeczywistych momentów, do prawdziwego rytmu w przebiegu dziejów, nie jak to się zwykle dotychczas działo w powieściach historycznych, że fakta historyczne naciągano do fabuły romansu, przez co ten rodzaj literatury stał się nam dzieciom XIX. wieku docierającym wszędzie do gruntu prawdy historycznej, tak bardzo niemiłym swoją konwencyonalnością.

Ze zmianą pojęć dawnych o tem co jest historyczne, co należy do historyi i do dziejopisarstwa, musiały zmienić się i wymagania co do powieści historycznych. Jeśli w Chinach do dziś dnia za jedyne postacie godne kronik historycznych uchodzą tylko panujący Syn Słońca i kilku mandarynów, to i u nas nie tak dawno jeszcze należało do historyi głównie tylko to co się działo na dworach i w gabinetach ministrów i dyplomatów. Ale dziś, w powszechnem pojęciu rzeczy, wszystko co było co minęło tem samem już jest dla nas historycznem i w pewnem znaczeniu godnem historyi i uwagi historyków, od którego wymaga się dziś pewnego rodzaju wszechwiedzy o epoce, którą chce nam przedstawić. Dziś zadanie historyka stawia się doprawdy gigantycznie wobec jednostki, która chce być dziejopisem wyższej miary. Musi on być niejako prorokiem wstecz i na podstawie pewnej, prawda ludzkiej, względnej, ale zawsze niezmiernej wszechwiedzy zabytków pewnej epoki, którą się zajmuje, odtwarzać rzecz swoją realnie, przedmiotowo, całkowicie i szczegółowo pod względem polityki, kultury, uspołecznienia i uobyczajenia i t. d. Takiego

zaś wszechstronnego, a przecież ile możności jasnego i przeźroczystego przedstawienia rzeczy nie dokaże nikt, kto nie ma w sobie choć trochę artystycznego pierwiastku, to też niemasz dziś znakomitego historyka bez artyzmu, bez osobnego kunsztu, sama nauka tu sobie nieporadzi.

A jeśli od historyka większej miary dzisiejsza epoka realistyczna żąda artyzmu, to w równej mierze, od artysty, który się puszcza na historyczną powieść z jakiejś epoki wymagać musi, żeby był także historykiem i to nie na żarty, żeby czasy swej powieści znał sumiennie i umiejętnie, i żeby tę historyczną wiedzę swoją, nie z niej nie uroniwszy, jednak przyrodzonym prawom kreacyi artystycznej, ideałowi sztuki podporządkować umiał. Widocznie tak też pojął zadanie swoje autor powieści „Ogniem i mieczem“ i jeśli mamy utworowi jego naznaczyć miejsce w historyi pięknej literatury tak naszej jak i powszechnej, powiemy, że jest to pierwsza, a z małemi wyjątkami, (o których później) świetnie nad wszelki wyraz, udana próba historycznej powieści jako dzieła sztuki opartego na nauce według nowożytnych wymagań. Znamienity talent autora, znalazł tu poraz pierwszy na tem polu historycznej powieści drogę wyjścia między Scyllą a Charybdą, między pedantyzmem nauki a prawdziwym polotem poetyckiej wyobraźni w granicach praw sztuki, a znalazł ją o tyle, o ile sam własnej, widocznie panującej w jego dziele zasadzie tworzenia pozostał wiernym.

Cała przeszłość literacka autora świadczy wymownie, że niema dlań nic piękniejszego nad r z e c z y w i s t o ś ć, jeśli się ją tylko w całej jej prawdzie i piękności należycie, po ludzku, z żywem współczuciem ująć i odtlać umie. Stąd w tej powieści h i s t o r y c z n e j góruje u autora ponad wszystkiem uszanowanie bez granic dla rzeczywistej tradycyi historycznej, dla tego co nam źródła dziejowe przekazały, że się rzeczywiście działo i nie wątpliwie stało. Dopiero na tym gruncie faktów, co jak mur stoi, o ile go na podstawie źródeł i tradycyj dzisiaj sprawdzić było można, zaczęła się właściwa, wolna kreacya artysty, zaczęła się praca intuicyjna poety i to częścią w odtwarzaniu postaci historyą przekazanych w jak najprawdziwszym ich charakterze i w przetwarzaniu ich na żywych powieściowych bohaterów, nie obniżając

przez to w niczem ich dziejowego stanowiska, częścią zaś w tworzeniu nowych typów powieściowych, wyraźną tradycyą historyi nieprzekazanych, a jednak przez wniknięcie w psychologiczną treść narodu i epoki w duchu i w prawdzie poczętych, i dlatego zawsze jakąś istotnie historyczną stronę owych czasów nam odzwierciedlających.

Historya nie jest więc tu czemś wyższem, jakiemś *fatum* po nad powieścią, ale jest żywo w samą akcyę powieści wprowadzoną; potrzebnego zaś tła do całego obrazu dostarcza to, co jest zawsze naturalnem a cudownem tłem ludzkiego życia: przyroda! do głębi odczuta, nie tyle opisywana, ile jakby sama za siebie mówiąca ziemia kresowa, step, dzikie pola, pośród których rozgrywa się powieść i dramat dziejowy. Ale natura jest tu spotęgowana jeszcze światem dziwów i czarów, duchów i upiorów, i występuje tak jak jak ją ówczesna żywa wyobraźnia ludu pojmowała, a wszystko razem spotęgowane raz jeszcze nawałą czerni wzburzonej, jak rozhukany żywioł wszystko niszczczący. Przyroda, świat wyobraźni ówczesnej i czerń rozpasana, wszystko po mistrzowsku kreślone i wprowadzane w różnych chwilach powieści, oto jej tło właściwe, niby trzy chóry w tragedyi co towarzyszą jej na przemian lub wszystkie trzy razem, nigdy za nadto a zawsze w porę brzmiące i do głębi nas przejmujące, dodając niesłychanego uroku całemu utworowi i podnosząc niezmiernie jego wartość jako poematu.

Lecz i w tem jak i we wszystkiem daje ton u autora jego dziwny zmysł rzeczywistości. *Le sens du réel!* nowożytne hasło romansu eksperymentalnego, dane we Francyi, w Paryżu, ale najwstrętniej tamże nadużyte, zastosował tu autor genialnie wstecz do odległych czasów, mocą intuicyi historycznej, odtwarzając nam przeszłość, dlatego tak żywo, że przedstawia nam ją tak jak ją odczuwali lub odczuwać mogli współcześni, jako swą bezpośrednią teraźniejszość. Mocą tego zmysłu rzeczywistości w przeszłość zapatrzonego z miłością prawdy w pięknie i piękna w prawdzie dzieje się to, że wszystkie postacie powieściowe są tu zarazem historyczne i tworzą ten dziwnie piękny świat dusz odzwierciedlających swój czas i siebie nawzajem w swej prawdzie przez samo naturalne ze sobą zetknięcie. Jest to jakby ów świat **monad** w czarującym poemacie metafizycznym Leibnitza dla

księcia Eugeniusza Sabaudzkiego spisanym, w którym każda monada, dusza, duszyczka mniej lub więcej samowiedna albo i bezsamowiedna, choć każda inna, każda w sobie wszystko w około w jakiś żywy sposób odzwierciadla a wszystkie razem własnem działaniem, ruchem i oddziaływaniem na się, nawzajem się uwydatniają, składając całość uroczą.

Z powyżej podniesionej zasady: powieściowości wszystkich postaci historycznych a historyczności wszystkich typów powieściowych, którą się autor według mniemania naszego bądź samowiednie bądź bezsamowiednie w artystycznem tworzeniu swojem przeważnie kierował, wypłynęły największe piękności jego dzieła, jak znowu wszystkie wady jego w jego budowie jako całości wszystko co krytyka zarzucić może, stąd pochodzą, że autor powyższej zasadzie panującej w jego utworze czasem się sprzeniewierza. A dzieje się to niekiedy, nie przez to wcale, żeby która z postaci powieściowych nie była dosyć historyczną, tem autor nigdy nie grzeszy, bo wszystkie jego typy bez wyjątku są na wskróś dziećmi swego czasu, lecz przeciwnie przez to, że niektóre wprowadzone żywcem w powieść osobistości historyczne pierwszorzędnego w swym czasie znaczenia, jak Czarniecki, król Jan Kazimierz, kanclerz Ossoliński, Radziejowski nie są wcale przetopieni na postacie powieściowe, nie są w całość powieści organicznie wcieleni tak, jak się to stało z Chmielnickim, Wiśniowieckim, Kisielem w najwyższym stopniu i w czem właśnie największy jest autora tryumf. Są to luźnie tylko na chwilę do powieści przyczepione figury jakby z innego świata co stanowi wyraźną niejednolitość kompozycyi i wprowadza w całość utworu pewną dysharmonię.

Taki Czarniecki n. p. jeśli, choćby tylko epizodycznie, w swojej osobie w powieści miał wystąpić, jeśli po klęsce pod Żółtemi wodami w niewoli „ślub czynił nad stygnącem ciałem (Stefana Potockiego), że dali mu Bóg wolność odzyskać, a potokami krwi śmierć przyjaciela i hańbę klęski obmyje“ i „miast desperacyi się poddawać“, pierwszy krzepił Skrzetuskiego, swoją wiarą w Rzeczypospolitej „siłę niespożytą“, „bo to był rycerz żelazny, człowiek żadnem nieszczęściem nieugięty“, taki Czarniecki zaraz w I-szym tomie wprowadzony powinien był i później jakoś w po-

wieści być zużytym, albo przynajmniej powinien nam go był autor pokazać trochę wyraźniej w Epilogu kiedy ślub spełnił, tymczasem znajdujemy tam o nim tylko prostą notatkę historyczną jako między innymi „był tam (pod Beresteczkiem) i półkownik Stefan Czarniecki późniejszy szwedzkiego króla Karola Gustawa pogromca".

Ale gorsza jeszcze sprawa z królem. Osobista obecność króla była konieczną w samej koncepcyi powieści, w której głównym bohaterem romansu miał być Skrzetuski, w historyi tem właśnie zapisany, że z narażeniem życia po heroicznej przeprawie, dał znać królowi o tem co się dzieje w Zbarażu. Skrzetuski musiał swój list w naszych oczach oddać królowi, bez tej sceny powieść nawet pomyśleć się nie daje. Dlatego też trzeba nam było tego króla, skoro musiał kiedyś się zjawić, już pierwej jakoś z powieścią osobiście związać, już pierwej wprowadzić go w zetknięcie z głównemi postaciami powieści. Była do tego sposobność podczas sejmu elekcyjnego, kiedy całe Łubnie bawiły w Warszawie. Wprowadzony zaś po raz pierwszy dopiero na samym końcu powieści król, jak *Deus ex Machina* musi robić wrażenie luźnie tylko do powieści przyczepionego figuranta, — rola, dla króla w tak szeroko założonej powieści historycznej, jaką jest Ogniem i Mieczem, wcale niestosowna. A tak samo rzecz się ma z Ossolińskim i Radziejowskim. Jeśli autor chciał ich osobiście w powieść wprowadzić, choćby nawet na samym końcu w Toporowie, to jednak trzeba nas było zapoznać z temi senatorami nieco bliżej już przedtem, choćby pośrednio przez usta innych. Stało się to nawet po części z Ossolińskim, o którym jest parę wzmianek. I tak: w tomie 2-gim n. p. (str. 212), wie o tem Chmielnicki, że „kanclerz i wielu panów z królem na czele, radziby wzrost olbrzymich fortun na Ukrainie powstrzymać, z Kozaków siłę dla rąk królewskich stworzyć, wieczysty pokój z niemi zawrzeć, i one tysiące zebrane do postronnej wojny użyć"; a w pierwszej połowie drugiego tomu, mówi Wierszułł, opowiadając klęskę pod Pilawcami, jako „w wojsku poczęto mówić, że k a n c l e r z zakazał ks. Dominikowi bitwy staczać", ale to wszystko za mało do tego, żeby postać kanclerza w biegu wypadków historycznych objętych powieścią tyle znacząca, nie była nam obcą.

Do zapoznania nas z kanclerzem i z Radziejowskim, który także na szali ówczesnych wypadków mocno zaważył (on to bowiem polecił królowi Władysławowi IV. Chmielnickiego do tajemnych układów), do bliższego więc scharakteryzowania już pierwej tych obydwóch ministrów przynajmniej przez usta i wrażenia innych figur powieści, była najlepsza sposobność z początku, w ekspozycyi powieści, w owej rozmowie Barabasza i Zaćwilichowskiego ze Skrzetuskim w Czechrynie (str. 48), gdy tenże na sicz jechał. Barabasz znał dobrze Ossolińskiego i Radziejowskiego z tajnych układów z nimi w Warszawie na pokojach królewskich i na Ukrainie, w których razem z Chmielnickim, Eliaszeńką i Nestoreńką osobisty brał udział, mógł nam więc w owej poufnej pogadance w kwaterze Zaćwilichowskiego, przy półgarncówce miodu, coś więcej opowiedzieć o tych dygnitarzach koronnych, tak żebyśmy ich już potem w Toporowie witali jako dawnych znajomych przynajmniej *vom hören sagen*. Nie moja rzecz zresztą uczyć autora z tak wysoką zdolnością inwencyi, jak to zrobić należało, ale że tego brakuje, wskazuje dzieło samo, gdyż przez to właśnie ani król, ani Ossoliński, ani Radziejowski nie robią wrażenia postaci naturalnie i konsekwentnie spojonych z całym organizmem powieści, lecz raczej uderza nas w nich, jakby coś obcego. A błąd ten mści się jeszcze i tem, że pociąga za sobą błąd drugi. Powyższe postacie nie charakteryzują się same działając, albo odzwierciedlając się w umysłach współczesnych, lecz autor musi sam, chcąc nie chcąc, o nich głos zabierać, by nam je bliżej określić, a w tej samej chwili, gdy to robi, schodzi z wyżyny poety na poziom historyka, autora sylwetek historycznych. Poeta, jak trafnie mówi filozof[1] stawiając za przykład Homera, powinien sam od siebie, jak tylko może najmniej głos zabierać, bo gdy to robi, już tem samem nie tworzy poematu, nie odtwarza czynów, działania, (ὡς πράττοντας καὶ ἐνεργοῦντας), co jest właściwą cechą epopei lub dramatu w przeciwieństwie do historyografii, lecz tylko opisuje coś, lub opowiada poprostu co się kiedyś stało lub stać mogło, a wtedy już nie różni się niczem od historyka.

Im więcej zaś nasz Autor złożył nam dowodów, do jakiego

[1] Arystoteles, Poetyka cap. III. i cap. IX.

stopnia właśnie umie być poetą w „odtwarzaniu czynów i działań“ tak, iż się w oczach naszej wyobraźni dzieją i najżywszem przejmują nas współczuciem; tembardziej też wpadają w oko swoim kontrastem z całością utworu te miejsca końcowe powieści w których brakuje nam znamion tej pięknej jego twórczości. Jeszcze całe oblężenie Zbaraża tak wiernie, a tak żywo, jakby różczką czarodziejską ze suchych dyaryuszów ręką mistrza wydobyte, i także śmierć Podbipięty i przeprawa Skrzetuskiego, są prawdziwemi klejnotami poezyi. Ale od początku sceny w Toporowie wszystko nagle krzywi się, przewraca, historya idzie na wierzch, powieść na głowę upada i nie rozwiązuje się sama z siebie organicznie, nie jest artystycznie do końca dosnutą, lecz tylko spiesznie, pobieżnie, w skróceniu nam dopowiedzianą. A w epilogu historya już zupełnie przestaje być powieściową a powieść historyczna przestaje być sobą i staje się po prostu historyą; utopił *ją Autor w strumieniu dziejów, a raczej w parafrazie szkicu historycznego p. Kubali p. t.: „Bitwa pod Beresteczkiem“.

Habent sua fata libelli! nietylko gdy już w świat puszczone, ale zanim jeszcze do końca są doprowadzone. Wiemy, że *fata* wiszące nad autorem, jak miecz Damoklesa, właśnie gdy kończył swe dzieło, aż nadto tłomaczą braki tegoż końca. Recenzent jednakże z obowiązku swego, tylko rzecz samą w sobie sądzić musi, a zmniejszyło by to, wartość (jeśli jest jaka) naszego sądu co do prawdziwych zalet dzieła, i co do wielkiego znaczenia tej „Powieści z lat dawnych“ w naszej literaturze i w dzisiejszej chwili, gdybyśmy olśnieni samą pięknością, oczywistych braków nie widzieli i nie umieli wskazać głównej ich przyczyny. Ale też zdaje mi się, że wyczerpałem już wszystkie główne zarzuty, jakie tu krytyka robić może, a w końcu dodać muszę, że nawet i to końcowe utopienie powieści w historyi, chociaż pod estetycznym względem dziełu niewątpliwie szkodzi, ma w praktycznem oddziaływaniu jego na społeczeństwo nasze swoją dobrą stronę. Tem żywiej bowiem przez to, po zamknięciu książki, rodzi się w każdym czytelniku pytanie: a cóż dalej było po Beresteczku? I dalsze szkice Kubali: „Krwawe swaty“, „Czarna śmierć“, „Wyprawa Żwaniecka“ albo szkic Szajnochy, „Domna Rozanda“ i wiele innych rzeczy odnośnych do tych czasów, teraz tak żywo nowym

oświeconych blaskiem, czyta się niemal z tak gorączkową ciekawością, jakby to był dalszy ciąg „Ogniem i Mieczem“. Pobudzona, powiedzmy nawet wykształcona przez Sienkiewicza wyobraźnia nasza, pod wrażeniem tej powieści „ z lat dawnych“ wszystko w tych „latach dawnych“, jakoś lepiej widzi i pojmuje i coraz bliżej poznać pragnie. A nietylko że z nowem zajęciem śledzi się wypadki naprzód i współczesne z treścią powieści, ale i wstecz co było przed tym „dziwnym rokiem“, który powieść rozpoczyna każdy na nowo żywo przypomnieć sobie pragnie. I tak w ten sposób ta powieść ma wielkiej doniosłości skutek, jakiego nie mogło osiągnąć w równym stopniu samo dziejopisarstwo nasze, że robi historyę polską przedmiotem powszechnego zajęcia, nietylko w ciaśniejszych kołach zajmujących się nauką, lecz i we wszystkich warstwach, które tylko książki czytają, pomagając wszystkim do spoufalenia się z prawdą dziejową z naszej przeszłości płynącą.

Mianowicie cofnięcie się wstecz poza początek powieści „Ogniem i Mieczem“, niedaleko, bo tylko po rok 1646, niezmiernie jest zajmującem i nauczającem. A łatwiej dziś to przyjdzie każdemu, kto zechce przeczytać choćby tylko tom drugi dzieła p. Kubali p. t.: „Jerzy Ossoliński“. Jeśli szkic „Bitwa pod Beresteczkiem“ tegoż autora dostarczył epilogu, to niemniej ten drugi tom „Ossolińskiego“ śmiało służyć nam może za prolog bardzo pomocny do głębszego zrozumienia samej powieści i przetrawienia *in succum et sanguinem* istotnej historycznej treści i doniosłości wypadków, objętych dziełem Sienkiewicza. Dlatego też zamiast tutaj, jak się to zwykło robić w recenzyach, opowiadać treść powieści, którą i tak wszyscy znają lub poznają, myślę, że lepiej przysłużę się łaskawym Czytelnikom, jeśli choć na chwilę za przewodem Kubali, Szajnochy itd. przeniesiemy się w atmosferę zdarzeń bezpośrednio uprzedzających tragiczny przedmiot naszej powieści — poczem zakończymy rzecz naszą bliższem rozpatrzeniem się w szczegółach piękności całego utworu.

(Dok. nast.)

Dr. Ignacy Skrochowski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

NAUKI KATECHIZMOWE o prawdach wiary i obyczajów katolickiego Kościoła, według średniego katechizmu Deharba, przez *Ks. J. Stagraczyńskiego*. Tom II. o przykazaniach i o grzechach głównych. Poznań 1884. str. 479.

Prasa katolicka i duchowieństwo tak dobrze przyjęło pierwszy tom tych katechizmowych nauk, że autor zachęcony powodzeniem, rozszerzył swój plan pierwotny i zamiast w trzech, postanowił dzieło swe zamknąć w czterech do pięciu tomach. Będzie więc to bodaj jeden z najobszerniejszych katechizmów w języku polskim, a co ważniejsza, jeden z najpraktyczniejszych. Forma nauk, którą autor nadał swemu katechizmowi, ma bez wątpienia swoje niedogodności: pewną rozwlekłość, zastanawianie się nad stosunkami nie dość i nie zawsze powszechnymi, za częste może moralizowanie, zwłaszcza jak na książkę mającą być podręcznikiem dla katechizujących kapłanów. Z drugiej jednak strony przyznać należy, że forma ta nastręczyła autorowi sposobność jaśniejszego i żywszego wykazania, jak wiara ma całem życiem kierować, jak powinna przeniknąć wszystkie myśli nasze i uczynki. Do praktyki wiary zachęca przykład Chrystusa, Apostołów i ich następców: autor na przykłady te szczególną zwraca uwagę a nadto gęsto sieje ciekawymi i budującymi przykładami, wyjętymi z żywotów późniejszych świętych i dziejów Kościoła. Wyborny to system, boć właśnie przykłady nietylko uczą, ale i „pociągają“ do dobrego.

Co nie mało przyczyni się do korzystania z „Nauk“ to przejrzysty rozkład i porządek. W nauce 20. wolelibyśmy, żeby raczej autor nie przytaczał całkiem trzech zarzutów przywiedzionych przez św. Tomasza, lub przynajmniej odpowiedział na nie obszerniej i dokładniej. Nie zupełnie też jest prawdziwem, że kto „rzeźki, zdrowy i silny“, ten i po sześćdziesiątym roku życia pościć powinien“. (str. 312). Św. Alfons Liguori uwalnia nawet zdrowych, ale 60-letnich starców od obowiązku poszczenia i opiera się na „powszechniejszem“ zdaniu moralistów, co więcej uwalnia od postu nie tylko sześćdziesiątletnie, ale nawet pięćdziesięcioletnie kobiety i to bezwzględnie na stan ich zdrowia. Styl pozostawia nieco więcej do życzenia. Wyrazy i zwroty jak: „zadania śmierci“, „złorzeczeństwa“, (np. str. 152), „proceśnicy“ (str. 193), „pogorszenie“ zamiast „zgorszenie“ nie polskie konstrukcye, mianowicie częste używanie formy biernej i zdań względnych, tak przeciwne naturze polskiego języka, jak np. str. 136: „Dopóki jesteśmy wzruszeni od gniewu, nie powinniśmy tykać tego, który ma nas słuchać“.

Są to wszelakc drobne usterki, od których i mistrzom słowa ustrzedz się trudno, które nie zmniejszają w niczem wartości dzieła. Nietylko kaznodzieje i katecheci, ale ojcowie i matki rodzin, rozczytywać się w nich powinny i poddaną sobie dziatwę i czeladkę domową do wspólnego czytania, jak to dawniej po domach polskich bywało, zachęcać, bo nieznajomość katechizmu staje się wśród nas z dniem każdym straszniejsza. *B.*

Sekwencya mszy św. „Veni Sancte Spiritus“ „Przybądź Duchu przenajświętszy“, w dwudziestu czterech rozmyślaniach. Podług manuskryptu angielskiego z XVIII. wieku, opracował *Ks. Dr. Zardetti*, a na język polski przerobił za pozwoleniem nakładcy Ks. F. Konopiński. Poznań, w komisie księgarni katolickiej. 1884. (Cena 1.60 M.)

Rozmyślania te ujęte we formę modlitwy, są parafrazą wzniosłego hymnu kościelnego *Veni Sancte Spiritus*. Autorem ich, jak powiada tłumacz w przedmowie, jest W. Ryszard Johnson zmarły w opinii świątobliwości, roku 1687 w Louvain, gdzie pełnił obowiązki ojca duchowego Augustyanek św. Moniki. Głęboka pobożność i pokora serca, a przytem szczytne myśli, śmiałe i podniosłe uczucia, jakie przebijają się w tych rozmyślaniach, są wyrazem wysokiego daru modlitwy, jakim autor jaśnieć musiał. Z drugiej strony zalecają się one jasnością, prostotą i tą rzewnością uczucia, ktora zdolna jest duszę najbardziej oschłą i zbolałą podźwignąć i pocieszyć. W końcu dodany jest hymn *Veni Creator Spiritus*, litania o Duchu św., i i niektóre modlitwy do Ducha św. Jestto więc książeczka godna ze wszech miar zalecenia. Nabyć ją można w księgarni katolickiej w Poznaniu.

Die Lehre von der Verwaltung des heiligen Bussacramentes, von *Dr. Fr. Lorinser*, zweite Aufl. Breslau 1883. S. 432.

Całość składa się z trzech ksiąg. Księga pierwsza traktuje o ministrze, podmiocie, żywiole dalszym i bliższym i o formie sakramentu pokuty (str. 10—98); ks. druga o moralności, o grzechu w ogólności i o grzechach szczegółowych (str. 99—415); trzecia zaś o obowiązkach i przymiotach spowiednika (str. 416—431). Dzieło to ma na celu z praktycznej strony przedstawić sprawowanie sakramentu pokuty; ale ani nie jest dosyć gruntowne, ani samodzielnie opracowane. Żałować przychodzi braku wskazówek, jak postępować z penitentami ze względu na ich wiek, stan, charakter, usposobienie i t. d. Trudniejsze zagadnienia, o jakich w takiem dziele wspomnieć należało, są opuszczone; inne zaś zbyt ogólnikowo obrobione bez przytoczenia powag. Niektóre zato twierdzenia autora są zbyt surowe, wypowiedziane z pewnem lekceważeniem teologów wielkiego imienia, dlatego, że innego jak on byli zdania. Tak n. p. twierdzenie Suareza, Busenbauma, Antonina, iż tylko ten, kto poczuwa się do grzechu śmiertelnego, obowiązany jest kanonem 107. Laterańskiego IV. „Omnis utriusque“ do corocznej spowiedzi, krótko piętnuje słowy: „Die Ansicht iener ist falsch und

verwerflich“ (str. 76); chociaż to twierdzenie jest ogólne i prawdopodobniejsze. *Dr. K.*

L' Atheisme. es la France par *M. l'abbé Lagoutte.* (Paris. opuscule in 18).

Książka ta ma głównie na celu zbijanie fałszywych teoryj, które zgubnie wpływają na ogół. Jasno i zwięźle wykazuje autor nicość tej nauki, która pod imieniem materyalizmu, panteizmu, deizmu, występuje do walki z prawdą. Na koniec nie zaniedbał on także wyjaśnić sposobem prawdziwie filozoficznym głównych błędów nowoczesnego liberalizmu, błędów, w które wiele umysłów nie dosyć z bliska badających prawdę, popada. *W. B.*

Conferences sur la théologie de Saint *Thomas d'Aquin* par le R. P. Lady, des Fréres Prêcheurs. (Paris, Gervais. 1884 in 12).

Celem konferencyj Ojca Lady jest, aby filozofię Ś-go Tomasza uczynić przystępniejszą dla tych, którzy nie są obeznani z nauką teologii. Pierwszy tom konferencyj o filozofii doktora Anielskiego traktuje o najwyższej Istocie i odpowiada pierwszym artykułom Sumy, w następnych zaś jasno i przystępnie mówi autor o doskonałości, dobroci i odwieczności Bożej, dalej o nieskończoności i obecności Stwórcy w świecie, wreszcie o konieczności wyższej wiedzy nad wiedzę ludzką.

Berthold von Regensburg, von *Karl Unkel.* Köln.

Przed niespełna 10 laty, katolicy niemieccy obchodzili stoletnią rocznicę urodzin Józefa Görresa uczonego publicysty, który porywającą wymową pism swoich, bronił prawdziwej wolności, najprzód przeciwko Napoleonowi, a później przeciw biurokratom.

Jubileusz Görresa przypadł na chwilę najcięższej kulturnej walki. Na uczczenie pamięci wielkiego męża katolicy Niemiec założyli towarzystwo imienia Görresa, którego celem jest wydawnictwo gruntownie opracowanych rozpraw (od 100—300 stron druku w formacie wielkiej 8-ki) omawiających kwestye sporne z dziedziny teologii, filozofii, historyi i literatury. Rozprawa wytrzymująca konkurs odbiera nagrodę 1000 marek. Trzy takie rozprawy wychodzi corocznie. W szeregu autorów spotykamy znakomite imiona: kard. Hergeröthera, oryentalistę Dra Kaulena, Hettingera, Gallanda Baumstarka i wielu innych.

W przededniu jubileuszu Lutra właśnie za staraniem tego towarzystwa wyszło na świat dzieło, którego recenzyę podajemy. Przedstawia ono obraz i działalność reformatora katolickiego, brata Bertholda z Ratyzbony, franciszkanina, który szukał i znajdował lekarstwo na wszelkie zepsucie w duchowieństwie i ludzie katolickim grasujące nie gdzieindziej, jak w żywotnej sile i instytucyach tegoż Kościoła.

Brat Berthold przebiegał opowiadając słowo boże, Niemcy, Czechy, Szląsk i Morawę, a tłumy ludu zewsząd zbiegały się na jego nauki.

Autor rozbieranego przez nas dzieła właśnie na zasadzie niemieckich kazań Bertholda, przez nieodżałowanego Albana Stolza wydanych, żywemi barwami maluje życie swego bohatera, jego po-

glądy, jego walki z błędami czasu i wprowadza go mówącego swem oryginalnym a jędrnym językiem. „Strzeżcie się, mówi brat Berthold, małych morderczych siekierek, które są połowicznemi kacerstwami t. j. zabobonów..... Ci, którzy pielgrzymują do Rzymu, a powróciwszy do domu szachrują po dawnemu, lepiejby zrobili pozostając w domu. Jeśli kto niema prawdziwego powołania do stanu kapłańskiego, niech raczej zostanie krawcem lub szewcem. Kaznodzieje, którzy nie tłumaczą należycie czem są odpusty a myślą tylko o napełnieniu własnych worków, są mordercami dusz i fałszerzami listów papieskich".

Co do kwestyi socyalnej tak przemawia: „Nietylko robotnicy względem panów lecz i panowie względem robotników mają obowiązki. Niech panowie nie żałują jedzenia i pamiętają, że stawiają miski dla ludzi a nie dla kotów. W niedziele i święta nietylko słudzy ale same nawet bydlęta odpocząć powinne".

Kazania Bertholda nietylko narówni z pracami innych franciszkańskich kaznodziejów przyczyniły się znakomicie do urobienia niemieckiej prozy, lecz nadto dokładnie nas zaznajamiają z życiem domowem i społecznem połudn. Niemiec w XIII. w. Ludowy kaznodzieja przeprowadził nas kolejno przez kramy, rzemieślnicze warsztaty, izby sądowe, i kościółek wiejski. Poznajemy w malowniczo nakreślonych obrazach ówczesne obyczaje, zabawy, kary kościelne i cywilne, pojęcia kosmiczne i filozoficzne wieku. P. Unkel podaje w streszczeniu w całej ich żywotności najwydatniejsze ustępy tych kazań.

Ta praca p. Unkla, jest wyborną antitezą i zarazem krytyką szumnych panegiryków protestanckich, na cześć wrzekomego reformatora Lutra wygłoszonych.

A. Arndt.

Z dzieł historycznych.

UN NONCE DU PAPE EN MOSCOVIE, préliminaires de la trêve de 1582. par le *P. Pierling*. S. J. Paris 1884. IV. 217.

Paryski księgarz Ernest Leroux (Paris, rue Bonaparte 28) wydaje od lat kilku *Bibliotheque slave elzévirienne* bibliotekę słowiańską drukowaną czcionkami elzewirinami w formacie dwunastkowym nader starannie i ozdobnie. Wyszło dotąd sześć tomików: I. *Religion et moeurs des Russes par le p. Gagarin*. II. *La mort d'Ivan le Terrible par le comte Tolstoy*. III. *La Sorbonne et la Russie par le P. Pierling*. IV. *Antonii Possevini Missio Moscovitica*. V. *Rome et Moscou* (1547—1579) *par le P. Pierling* i wreszcie tomik VI. będący dalszym ciągiem t. V-go o którym obecnie mówić chcemy: *Un nonce du Pape en Moscovie*.

Poselstwo Possewina do Rosyi było już przedmiotem tylu i tak różnorodnych opracowań, że trudno w tej mierze powiedzieć coś nowego, tem bardziej, że sam Possewin zostawił nam dokładny

opis swej misyi w *Moscovia*. Ale O. Pierling mając sposobność rozpatrzyć się dokładnie w „zżółkłych rękopisach“ tajnego archiwum watykańskiego, mógł ztamtąd zaczerpnąć wiele nowych a ciekawych szczegółów, które choć nie zmieniają dotychczasowego punktu widzenia na pośrednictwo Possewina, rzucają nań nieraz nowe a ciekawe światło. Iwan Groźny potrzebował pokoju, ale nie mniej, zdaniem autora, potrzebował go Batory. „Nie ustąpię ani na włos“, mówił król polski, ale pomimo tego bacznie śledził każdy krok wysłańca Iwana do Rzymu Szewrygina i przemyśliwał, jak najlepiej pogodzić możliwe interesa Kościoła katolickiego i Polski. W Rzymie nie robiono sobie wielkich illuzyj co do nawrócenia Moskwy. Grzegorz XIII. pragnął przedewszystkiem zapewnić tryumf wiary w Inflantach, zawrzeć ligę z Moskwą przeciw Turcyi i utorować drogę do powolnego a dobrowolnego nawrócenia Moskwy przez wejście z nią w ściślejsze stosunki. Właściwa ta myśl papieska przebija wyraźnie w sekretnych instrukcyach danych Possewinowi. Gdyby z jego poselstwa miało wyniknąć choćby tylko zewnętrzne zbliżenie się Rosyi do Rzymu, to i to już byłoby niemałą korzyścią i zadatkiem lepszej przyszłości.

Jak zamiary papieskie w sekretnych instrukcyach, tak zamysły i nadzieje Batorego uwydatniły się w poufnej rozmowie z Possewinem, na której przepędził cały wieczór 20 lipca 1581 r. W razie potrzeby król gotów był przezimować w Moskwie, chyba że Iwan zechce przyjąć wyzwanie na pojedynek, któryby odrazu rozstrzygnął długą wojnę obu narodów. Dnia następnego, 21 lipca Batory wyruszył z swem wojskiem pod Psków, a Possewin z dwoma kapłanami i dwoma braciszkami jezuickimi skierował się ku Moskwie. Stanął tam 20 sierpnia.

Po urzędowej audyencyi i wspaniałej uczcie, rozpoczęły się właściwe, żmudne układy, tem żmudniejsze, że prowadzone z całym ceremonialnym przyborem kremlińskiego dworu. Possewin zmierzał głównie do zawarcia ligi przeciw Turkom; Iwan do zatrzymania choć kawałka zagarniętych Inflant. Jeźli liga, dowodził Possewin Iwanowi, opierać się ma na trwałych fundamentach, to cerkiew rosyjska przystąpić musi koniecznie do unii z kościołem rzymskim, tem bardziej, że sam Iwan zgłosił się pierwszy do interwencyi papieskiej. W. Książę odpowiadał wymijająco: do krucyaty przeciw Turkom okazywał pozorną gotowość, pewny, że w danym razie będzie się mógł wycofać z niejasnych pół-obietnic; co zaś do kwestyj czysto religijnych, to będzie dość na nie czasu po zawarciu trwałego pokoju z Polską. Pokój a właściwie kilkoletni rozejm z Polską, oto wszystko, czego chciał i do czego dążył Iwan. W depeszach do kardynała di Cômo, datowanych z pod Pskowa, Possewin donosi, że pokój jest również gorącem życzeniem króla i wojska polskiego. Tak więc pośrednik papieski mile był widziany w obydwóch obozach; rozchodziło się o to, aby z przyjaznych tych okoliczności skorzystać jak najwięcej dla dobra całego chrześcijaństwa. O ile dobre chęci Posse-

wina zostały urzeczywistnione, obiecuje O. Pierling opowiedzieć w osobnem studyum nad pokojem w Kiwerowej Horce.

W obszernym „Dodatku“ załącza autor kilka niewydanych dotąd dokumentów, na których oparł swe opowiadanie. Bardzo ważne są relacye Possewina do kardynała di Cômo o poufnej rozmowie z Batorym 16 czerwca, 21 października i 9 listopada 1581 i relacya kupca florenckiego Tedaldiego, który trzy lata bawił w Moskwie i dosyć dokładnie był obznajomiony z tamtejszym stanem rzeczy.

Wiele szczegółów zawartych w niniejszem dziełku ogłosił O. Pierling w rozprawie: Gregoire XIII. et Ivan le Terrible w *Revue des questions historiques*. T. IV. r. 1883. *B.*

Rosyjska biblioteka historyczna, wydawana staraniem *Komisyi archeograficznej*. T. VII. Petersburg.

Tom wyżej wymieniony „Ros. biblioteki hist.“ wyszedł pod redakcyą Gildebrandta, a zawiera dziewięć prac treści polemiczno-religijnej z końca XVIgo i początków XVII wieku. Były one wprawdzie drukowane, ale niektóre należą do rzadkości bibliograficznych. Prace te pochodzą bądź z pod pióra katolików obu obrządków, bądź wyznawców kościoła wschodniego. Z pomiędzy prac polemicznych katolickich, zostały w tem wydawnictwie umieszczone przedewszystkiem dzieła Skargi: „O jedności Kościoła Bożego“, „O rządzie i jedności Kościoła Bożego“ z roku 1590, „Synod brzeski“; dalej praca jezuity Benedykta Herbesta: „Wiary Kościoła rzymskiego wywody“. Powyższe dzieła przedrukowano w „Ros. bibliot. hist.“ po polsku.

Z prac autorów unickich tam umieszczonych zasługują na uwagę: „Unia albo wykład przedniejszych artykułów ku zjednoczeniu Greków z Kościołem rzymskim, należących“ (po rusku), przypisywana Hipacemu Pociejowi. Przedruku dokonano podług wydania wileńskiego z r. 1595-go, którego jedyny egzemplarz znajduje się w Moskwie, w bibliotece imienia Czertkowa. Druga praca tegoż autora: „Harmonia albo zgoda wiary“, pisana na przemian po polsku i po rusku.

Z dzieł poświęconych obronie dyzunii pierwsze miejsce należy się t. z. „Apokrisis“, pióra Krzysztofa Filaleta, będącej odpowiedzią na „Synod brzeski“ Piotra Skargi. Przedrukowano ją w oryginale polskim i współczesnem tłomaczeniu ruskiem. Wszystkie przedruki zostały dokonane podług najdawniejszych a częstokroć nader rzadkich wydań. Niezmiernie zajmującemi są uwagi, porobione na marginesach najdawniejszych wydań, przez każdorazowych posiadaczy. Znalazły i one miejsce w odcinku „Ros. biblioteki historycznej“. *Sulima.*

Akta wydawane przez *Komisyę archeograficzną wileńską*. T. XII. Akta Trybunału litewskiego. Wilno. 1883.

W skład tego tomu weszło 136 dokumentów, z pomiędzy których 99 odnosi się wyłącznie do stosunków kościelnych unickich i dyzunickich; 23 do historyi protestantyzmu, a pozostałe są testamentami osób prywatnych. Dokumenta powyższe mogą znacznie

się przyczynić do wyjaśnienia stosunków prawnych i ekonomicznych różnorodnych instytucyj kościelnych, jak n. p. klasztorów, szkół, szpitali, zakładów dobroczynnych i t. d. Sprawy te budzą interes nietylko historyka, ale i prawnika.

Wiele poważnego materyału zawiera t. XII. do historyi stosunków katolików i protestantów w samem Wilnie. Ponieważ przeważną część znajdujących się w tym tomie dokumentów, mających związek ze sprawami unitów i dyzunitów, należy wyłącznie do w. XVIII-go, więc na nich można szczególniej śledzić za szybkim rozwojem Unii w tym wieku, o czem świadczą liczne nadania i darowizny na jej korzyść. Do tej ostatniej kategoryi odnosi się około 20 dokumentów. *Sulima.*

ZBIÓR TRAKTATÓW I KONWENCYJ, zawartych przez Rosyą z ościennemi mocarstwami. Ułożył *Martens*. T. VI. Traktaty z Niemcami 1762—1880. Petersburg 1883.

Rosyjskie ministeryum spraw zagranicznych powierzyło przed laty dziesięciu Martensowi, profesorowi Uniwersytetu petersburgskiego, gruntownemu znawcy prawa międzynarodowego, wydanie wszystkich aktów i dokumentów rządowych, odnoszących się do stosunków Rosyi z zagranicą. Praca ta zaczęła wychodzić w roku 1874 pod tytułem wyżej przytoczonym. Tom I-szy obejmował traktaty z Austryą od r. 1648 do 1762. Trzy następujące po sobie tomy, wydane w latach: 1875, 76 i 78, zawierały ciąg dalszy traktatów, z temże mocarstwem, odnoszących się do roku 1772, 1808, 1815, 1849 i 78. W tomie V. wydanym w r. 1880, znalazły miejsce traktaty z Prusami od r. 1656—1762. Tom VI. jest zatem dalszym ciągiem V-go pod względem treści i porządku chronologicznego. Jak tomy poprzednie tak i ten ostatni wyszedł w języku francuskim i rosyjskim, po dwie kolumny na każdej stronnicy. Praca ta, jak i inne tegoż autora, wyszczególniają się sumiennością i naukową dokładnością. Przed każdym dokumentem umieścił wydawca rodzaj wstępu, wyjaśniającego powody jego powstania i ułożenia, jego znaczenie; przytem krótki rys układów dyplomatycznych poprzedzających zawarcie traktatu.

Tom szósty powinien przedewszystkiem zwrócić uwagę naszych historyków, ponieważ w przeważnej części zawiera źródła historyczne do rozbioru Polski, a ostatnia jego część odnosi się do układów, poprzedzających koalicye przeciwko Francyi rewolucyjnej i cesarskiej. Ażeby dać wyobrażenie o sumienności i bezstronności p. Martensa, dosyć powiedzieć, że w wstępnem omówieniu nazywa rozbiór Polski nietylko zbrodnią polityczną, ale i największym błędem historycznym. *Sulima.*

ADOLF PAWIŃSKI. *Jana Ostroroga* żywot i pismo o naprawie Rzeczypospolitej. Warszawa 1884.

Polemizując z wydaną w tymże przedmiocie rozprawą prof. Cara jest autor względniejszym wielbicielem Ostroroga od niemieckiego historyka. Na wstępie zaznacza autor wewnętrzny ustrój państwowy Wielkopolski w XV. wieku i na tle tegoż określa nam

znakomitą, rozrosłą familię Ostrorogów, ubolewając nad tym smutnym wypadkiem, iż gniazdo tego orlego rodu opustoszałe i wymarłe, będące trzy z górą wieki w najświetniejszym rozkwicie, dziś niestety do tradycyi należy. Ród wielkiej rodziny zgasł równocześnie z egzystencyą narodu całego, — dziwna analogia blasku i chwały Ostrorogów przypadająca na też wieki co i świetność Polski w wieku XV, XVI i początek XVII. Ten jednak ustęp rozprawy p. P. wywołał żywe zaprzeczenie ze strony żyjącej jeszcze rodziny. Hr. Zygmunt Gorzeński-Ostrorog ze Smietowa w artykule nadesłanym do „Przeglądu polskiego“ (r. 18 z. 8) wykazuje mylność twierdzenia, jakoby Ostrorogowie (wieku XV, XVI, XVIII) „nie poświęcali się zupełnie służbie kościelnej“ i zachowywali „nieprzyjazne zaczepne względem Rzymu stanowisko“. Zaprzecza faktami jakoby w nich „uśpiony był duch rycerski“ albo że „gniazdo Ostrorogów wymarło zupełnie“ żyją bowiem dotąd trzej potomkowie tego Jana w prostej linii, „a dwóch z nich ożenionych cieszy się synami“. Pomimo to utrzymują niektórzy (w Księstwie Poznańskiem), że jest to rodzina inna, a nie ta, która od Jana Ostroroga ród swój wywodzi. Dodana tablica genealogiczna familii Ostrorogów, tudzież kilka podobizn podpisu własnoręcznego autora rozgłośnego na swój wiek traktatu o naprawie Rzeczypospospolitej, podnoszą wartość tej pracy historyczno-politycznej.

Żywot Ojca Amandusa (bł. Henryka Suzo) zakonu św. Dominika. Z kodeksu XVI. wieku, wydał *Ks. Ignacy Polkowski.* Kraków 1884.

Feliks Faber kapłan zakonu św. Dominika w Ulmie przetłómaczył około r. 1480 niemiecką autobiografią Henryka Suzo (znanego pod klasztornem imieniem Amandusa) na język łaciński. Praca Fabera nie wydana a nawet nieznana dotychczas przetłómaczoną została przez nieznanego pisarza na początku XVI. w. na język polski. Przez porównanie tekstu tego tłómaczenia z tłómaczeniem łacińskiem Suriusa, niemieckiem Diepenbrocka i włoskiem Ignacego del Nente, starał się wydawca udowodnić, że tłómaczenie polskie dokonanem zostało z autografii lub z odpisu pracy Fabera. Wobec wyraźnego wyznania polskiego tłumacza, że pracę Fabera przetłómaczył, oraz wobec faktu, że praca ta nigdy drukowaną nie była, sądzę że porównanie powyższe niczego nie dowodzi i zupełnie jest zbytecznem. Nierównie ważniejszą byłoby rzeczą przekonać się, które z tych tłómaczeń tak bardzo między sobą się różniących najbardziej zbliżonem jest do oryginalnego żywota i w jakim stosunku do tegoż zostaje praca Fabera, z której polskie tłómaczenie dokonanem zostało. Pod względem językowym zapewne kto inny oceni ten pomnik, którego wydanie wymagało olbrzymiej pracy i cierpliwości. Sądzimy, że czytelnicy wdzięczniby byli zacnemu wydawcy, gdyby choć w jednym względzie odstąpił od chwalebnej zresztą pedanteryi w wydaniu. Wiadomo, że w pomnikach średniowiecznych głoskę y (i, j, y) zawsze prawie kryskowano; za-

miast więc tę zasadę w przedruku zastosowywać a tem samem nużyć czytelnika pstrokaciznę niemiłą dla oka i utrudniającą czytanie, należało zdaniem naszem wyjaśnić w przedmowie znaczenie głoski ij, w przedruku zaś zastąpić ją zwykłem y.

Dr. Semkowicz.

Z dzieł pedagogicznych.

ESSAI DES DROITS et devoirs de la famille et de l'état en matière d'enseignement et d'éducation, par *l'abbé Crozat*. Ouvrage couronné par l'académie des sciences morales et politiques. 1 vol. in 8-o XV. 554 pag.

Prawa i obowiązki rodziny, państwa i kościoła w dziedzinie wychowania, obejmują mnóstwo kwestyj wszechstronnej doniosłości, wielce żywotnych, wielekroć nader trafnie przez wyższe umysły rozwięzywanych i wielekroć też we mgle zapomnienia i niewiadomości zagrzebanych.

W dziedzinie wychowania spotykają się naraz ze sobą prawo naturalne, polityka, historya i teologia.

Otóż ks. Crozat w swem sporem dziele zajmująco i gruntownie ten przedmiot traktuje. Daje dokładne pojęcie o rzeczy i wyraża się czystym a niekiedy wykwintnym językiem. Dzieli się ono na 4 księgi. W pierwszej księdze (110 str.), znajdujemy historyę wychowania, począwszy od najdawniejszych czasów. Poznajemy, że starożytność przedchrześcijańska, z wyłączeniem chyba Persów, szanowała wolność wychowania i święte prawa rodziców. Po rozproszeniu ciemności pogańskich Kościół coraz wyłączniej i samodzielniej aż do XIV. w. całą dziedzinę wychowania w posiadanie zabiera. Od wieku XIV. aż do XVIII. włącznie następuje przewrót, władze państwowe a następnie wespół z nią uniwersytety wydzierają Kościołowi jedne po drugich wychowawcze swobody, bez naruszenia wszelako praw rodzicielskich. Autor wykazuje dokładnie następujące raz po raz zamachy rewolucyi na te prawa na całym świecie. Wśród zamętu jedna tylko Anglia zachowuje wolność wychowania.

Druga księga, (110—170 str.), określa dokładnie i praktycznie obowiązki i prawa rodziców, pod względem harmonijnego rozwoju sił ciała i wszystkich poszczególnie władz ducha. Kładzie wielki nacisk na poddanie rozumowi żądz ciała i na wychowanie religijne, będące podstawą dzieła.

Trzecia księga obejmuje udział państwa w sprawie wychowania. Na wstępie znajdujemy jasne pojęcie o państwie. Państwo jest dla człowieka a nie człowiek dla państwa; stąd też państwo powinno udoskonalać a nie pochłaniać; powinno popierać zagrożone prawa rodziców i dzieci. Należy się jemu jeszcze pewien do-

zór nad wychowaniem, lecz nie posiada monopolu wychowania jak tego domaga się dlań cezaryzm.

Przedmiot ostatniej księgi stanowią prawa Kościoła. Kościół jestto społeczeństwo dusz, całkiem niezależne, założone przez J. Chrystusa, które w dziedzinie nadprzyrodzonej sprawuje względem młodych pokoleń podwójne posłannictwo państwa i rodziny; ponieważ więc Kościół sam wyłącznie daje duszy nadprzyrodzone życie łaski, sam przeto wyłącznie z natury rzeczy i w moc boskiego posłannictwa ma prawo i najściślejszy obowiązek, za pośrednictwem wychowania religijnego zachowywać i rozwijać to życie. Co do innych gałęzi umiejętności praw swych wychowawczych używać może według upodobania. W rzeczach odnoszących się do wiary i celów nadprzyrodzonych, narody i państwa koniecznie powinny się poddać jego nieomylnej nauczającej powadze.

Oto jest krótki zarys zasadniczych idei, które ks. Crozat w swem dziele rozwija. *X.*

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Stolicy świętej.

Encyklika o Masonach — przyjęcie jej przez prasę, rządy i Masonów. — Projekt międzynarodowego związku katolików. — Dalsze protesta w sprawie Propagandy. — Ważniejsze artykuły kilku dzienników.

Jak św. Leon I., kiedy hordy Attili do serca chrześcijaństwa docierały, wyszedł sam na ich spotkanie i potęgą słowa odparł tę lawinę dziczy, tak dziś, gdy inne potęgi gorszą jeszcze chrystyanizmowi i społeczeństwu grożą zagładą, Leon XIII. sam stawia im czoło i tem samem papieskiem słowem rozgramia ich zamachy.

Już wystąpienie przeciwko socyalistom, potęgi z dniem każdym rosnącej i która może jutro, jak ta zgraja Hunów w zwycięskim a niszczącym pochodzie świat opanuje, było ze strony Głowy Kościoła bardzo śmiałym i po ludzku niepolitycznym krokiem; ale cóż powiedzieć o tem świeżem ugodzeniu w twarz Masoneryi, potęgi dnia dzisiejszego, która, jakeśmy powiedzieli w zeszycie marcowym, zwyciężyła przez rewolucyą francuską, przeprowadziła swój program polityczny i państwowy pod nazwą „zasad roku 1789“, rozgościła się w sferach rządzących, która jawnie zalicza do swoich całą hierarchię rządową i samego cesarza tych Niemiec, co dziś światem trzęsą; do której jawnie należą, i prezydent Francyi Grévy i Royer prezydent parlamentu i Ferry, prezes ministrów i t. d. Tym wszystkim dzisiejszym panom świata powiedzieć w oczy, że sekta do której należą jest w gruncie przewrotna, niemoralna,

zgubna dla społeczeństwa, winna wielu zbrodni, nie jestże to zanadto śmiało?.

I w jakiejże chwili odważa się Papież na takie wystąpienie? Kiedy w Niemczech leniwo toczą się układy, kiedy we Francyi Kościół doznaje strasznych ciosów a zagrożonym jest jeszcze straszniejszymi, kiedy we Włoszech stanowisko Papieża, jak sam wyznaje, jest nie do zniesienia i lada dzień będzie się widział w konieczności szukania gdzieś na obczyźnie przytułku; słowem, kiedy podług ziemskiej roztropności należało jak najciszej się zachować i nie drażnić śpiącego tygrysa. To też pierwszym wrażeniem prasy wolnomularskiej po tym piorunie z jasnego nieba było osłupienie na tę śmiałość. *Rassegna* nazwała Leona XIII. upiorem z średniowiecza, co niespodzianie powstał w XIX. wieku. Chciała powiedzieć, że Leon XIII. nie zna naszego wieku, lecz oraz wyjawiła w tem słowie, że go się przelękła jak upioru. Papież zna swój wiek, ale go nie mierzy miarą z tego wieku wziętą, lecz pewną miarą, która dzisiejszym ludziom wydaje się średniowieczną, a w istocie jest bezwzględną i po nad zmianami wieków — jak wieczność.

Jego kodeksem etycznym i socyalnym, nie mniej jak dogmatycznym jest Ewanielia. Z wyżyny na której go Bóg postawił, patrzy on, o ile wiek obecny od tej modły odstąpił i mówi mu śmiało, że o tyle błądzi i grzeszy. Polityką jego jest przedewszystkiem wiara w Opatrzność i ufność, że im mężniej swój urząd pasterski spełni, tem obficiej sobie pomoc Opatrzności zjedna; i przeto gdy przychodzą złe czasy, nakazuje więcej po świecie modlitw i sam gęściej i odważniej przemawia, ucząc prawdy a gromiąc zło i fałsz.

Ale przed oceną wrażeń jakie Encyklika *Humanum genus* wywołała, wglądnijmy w jej treść.

Już poprzedni Papieże, począwszy od Klemensa XII. r. 1738, potępiali wogóle tajne towarzystwa i pod klątwą zakazywali brać w nich udział. Pius IX. w Encyklice *Etsi multa* z r. 1873, kreśląc obraz ówczesnego prześladowania Kościoła po całym świecie i upatrując w nim jednolicie obmyślany plan i jednakie wszędzie środki z konsekwencyą przeprowadzone, wnosi, że sprężyną tego prześladowania musi być jedno pod ziemią rozgałęzione sprzysiężenie.

„Ktokolwiek, mówi, zbadał naturę, dążności i cel sekt, czy to masoneryą czy też inaczej zwanych i zestawił je z właściwą cechą, przebiegiem i rozległością tej walki, która się po całym niemal świecie przeciw Kościołowi toczy, ten wątpić o tem nie może, że niniejsze nieszczęścia przeważnie chytrości i knowaniom tychże sekt przypisać należy".

Tę samą myśl podejmuje Leon XIII., ale wyczerpuje ją do głębi i swoim sposobem sprowadza do najwyższych zasad. Zaczyna od obrazu tej wiekuistej walki, która już od buntu Lucypera toczy się między królestwem Bożem, i królestwem złego, i zaznacza, że w naszych czasach Masonerya jest głównem narzędziem tego drugiego królestwa. Dlatego też, mówi, Papieże najwyżsi stróże prawdy, cnoty i porządku, zawczasu przestrzegali ludy i panujących; niektóre też rządy zrozumiały niebezpieczeństwo, zakazały lożę; ale nie wytrwano, nie użyto środków skutecznych; sekta się rozwielmożyła — i przestrogi papieskie ziściły się, z nieocenioną szkodą społeczeństwa.

Ojciec św. widzi więc, że na niego kolej ponownie i jaśniej niż kiedykolwiek prawdę wypowiedzieć. Od dawna mówiono o jakiejś tajemnicy Masonów, o ich skrytych obrzędach, o ich celu przewrotnym, o strasznych przysięgach, nawet o skrytobójstwach. Pisano o tem wiele. Niektórych wyobraźnia nad miarę straszydło powiększała, inni zaliczali wszystko do bajek z tysiąca i jednej nocy; sami Masoni zasłaniali się firmą towarzystwa filantropijnego... Otóż teraz po raz pierwszy słyszymy o tem wszystkiem papieskie słowo. Masoneria jest stowarzyszeniem tajnem, i jakkolwiek dzisiaj wydaje publiczne pisma, miewa (gdzie władza polityczna nie broni) otwarte zebrania, to tylko blichtr jawności, na to obliczony, by tem pewniej utaić główne sekreta loży: mianowicie ostatnie zamiary, najwyższy zarząd, najskrytsze zebrania, plany i środki postanowione, sekreta, które się najstaranniej tają nietylko wobec profanów, ale nawet wobec największej części członków: *quae non externos solum sed gregales etiam bene multos exquisitissima diligentia celari lex est.*

Na to ma Masoneria liczne stopnie i godności, żeby stopniowo tylko i najodpowiedniejszych do świadomości właściwych swoich celów i środków przypuszczać.

Filantropia, wesołe zebrania, braterska pomoc, szerzenie oświaty, to także błyskotki dla zamydlenia oczu świata i prostego gminu Masonów, który o tem tylko wie, a jednak liczbą, pieniądzmi i poczciwem imieniem swojem służy bezwiednie zbrodniczym celom sekty.

Ci, którzy w istocie są wtajemniczeni, wiążą się zbrodniczą przysięgą, a w razie jej niedotrzymania padają niekiedy ofiarą skrytobójstwa, do czego w rocie przysięgi dają na siebie prawo. Jest więc w tym całym ustroju coś moralnie potwornego i naturze wstrętnego: *immanitas quaedam est, quam rerum natura non patitur.*

Właściwym tedy celem Massoneryi (i pokrewnych jej stowarzyszeń) jest zburzenie Kościoła i państwa po chrześcijańsku pojętego, a oparcie społeczeństwa na zasadach naturalizmu. Nie wszyscy, jak się rzekło, którzy się Masonami mienią, nie wszyscy nawet, którzy tytuły wysokich godności loży noszą, zarówno tego celu i zbrodniczych środków są świadomi. Nie wszyscy więc zarówno winni. Lecz, abstrahując nawet od zbrodniczych czynów Masoneryi, dosyć roztrząsnąć zasady naturalistyczne jakie głosi, ażeby się przekonać, czem ona jest i do jakiego przewrotu dąży.

Tu Ojciec św. z właściwą sobie głębokością myśli i jędrnością słowa, wykłada zasady naturalizmu, t. j. doktryny odrzucającej Boga i wszelki pierwiastek nadziemski, wywodzi z tych zasad konkluzye etyczne i społeczne, pokazuje jak wyglądać musi społeczeństwo na takich posadach zbudowane, do czego przyjść musi jego wiara, jego moralność, karność i polityczny ustrój — a zestawiając to wszystko z doktrynami Masoneryi, pokazuje wszędzie identyczność. To co Masonerya głosi i to do czego skrycie dąży, i środki jakich używa, to tylko logiczne wyniki naturalistycznych zasad.

Nie wdajemy się w szczegółowy rozbiór tego mistrzowskiego wywodu, raz dlatego, że już jakieś pojęcie tego naturalistycznego ustroju społeczeństwa naszkicowaliśmy w artykule: Sojusz monarchiczny przeciw socyalistycznej anarchii[1]; a po

[1] Przegląd Powszechny. Zeszyt marcowy.

drugie dla tego że na przyszły miesiąc spodziewamy się rozbioru tej Encykliki z godniejszego pióra. Obecnie tylko zaznaczamy, że temi dwiema rzeczami wyróżnia się Encyklika Leona XIII. od dawniejszych wystąpień Papieży przeciw masoneryi: tem że jak powiedziałem, Leon XIII. pierwszy wypowiada otwarcie i szczegółowo jej tajne grzechy — i tem, że gdy inni papieże zwracali uwagę na jej knowania w sferze religijno-politycznej, to on sięga aż do zasad i pokazuje, że stare doktryny masońskie są identyczne z teoryami przewrotu, które dziś bezkarnie grasują i z których wszystko dzisiejsze złe wynika.

Nakoniec przekłada Ojciec św. pewne środki, którymi katolicy, pod przewództwem Biskupów, zwalczać powinni zgubny wpływ Masonerii. Środki te są godne uwagi.

Najprzód, zdzierać Masoneryi maskę: oświecać o niej publiczność, światła bowiem znieść nie może.

Po drugie, uczyć gruntownie religii, pisać, szerzyć dzieła ludowe i naukowe, któreby prawdę bożą nietylko sercu ale i rozumowi podawały: *ut mentes hominum eruditione sanentur et contra multiplices errorum formas et varia incitamenta vitiorum muniantur.*

Po trzecie, stowarzyszenia katolickie i ascetyczne, jak trzeci zakon św. Franciszka, i humanitarne, jak te towarzystwa rzemieślników i robotników, które tyle wydały owoców a na które Ojciec św. szczególny kładzie nacisk.

Po czwarte katolickie wychowanie młodzieży, zakładanie i popieranie szkół podległych zbawiennemu wpływowi Kościoła, a odciętych od trujących wpływów sekty i naturalizmu.

Taka jest treść Encykliki *Humanum genus*, danej dnia 20 kwietnia b. r. Jakież było jej przyjęcie? Dla katolików, zwłaszcza tych, co jak w Belgii i we Francyi walczą na ostre z masoneryą był to istny tryumf. Prasa ich ozwała się chórem radośnym i dziękczynnym, bo czuli, że słowo papieskie jest nietylko nauką, ale mieczem, który ugodził ich wroga *in gladio verbi*. Niektóre z tych pism podały już wyborne omówienia Encykliki. Tak *Defense nationale* dowodzi jak wielki wpływ ma loża w polityce, wyliczając olbrzymi poczet ministrów i innych dzisiejszych figur politycznych, którzy do Masoneryi należą, a żadnego nie doznaje

zaprzeczenia. *Monde* mówi słusznie że najlepszym dowodem czego chce Masonerya, jest to co się obecnie robi we Francyi, pod rządem niemal wyłącznie z Masonów złożonym: zakonnice wygnane, klucze kościołów wujtom oddane, umierającym w szpitalach pomoc księdza odmówiona, krzyże ze szkółek wiejskich wyrzucone, katechizm bezwyznaniowości Pawła Bertha wprowadzony i t. d., i t. d. Dowód niezaprzeczenie trafny.

Ale jakżeż Encyklikę przyjęła prasa liberalna? jak ją przyjęły rządy? co powiedziała sama Masonerya? Pisma liberalne nie próbowały taktyki przemilczenia; wobec słów papieskich nie było to łatwem. Zrobiły więc i robią jeszcze wielką wrzawę, ale jak przed trybunałem Kajfasza, nie zgadzają się ich zarzuty, owszem zbijają się nawzajem: *Non erat consentiens testimonium eorum.* Jedne widzą w tem wystąpieniu papieskiem, ubliżenie i wypowiedzenie wojny rządom i monarchom, którzy po wielkiej części do loży należą; drugie przeciwnie (mianowicie niemieckie!) upatrują w niem polityczne schlebianie mónarchom i ofiarowanie im pomocy Kościoła. Te ostatnie jednak, a w szczególności *National Zeitung*, wymawiają lożę od zarzutu tendencyi przewrotu, i śmią twierdzić, że „ona właśnie jest najpewniejszą tronów podporą". Z drugiej strony rozumie się, demokratyczne pisma francuskie wysławiają za to Masoneryę, że ona trony pokruszyła i głowy królewskie ścięła.

Znów, gdy te gazety uwydatniają polityczne znaczenie i wpływ Masoneryi, inne jak *Temps*, *Berliner Tagblatt* itd. dowodzą, że to niewinne, czysto filantropijne towarzystwo, żadnej zgoła politycznej myśli nie mające. Jedne żadnego nie uznają związku między Masoneryą a dzisiejszym stanem świata, drugie za to właśnie wielbią Masoneryę, że kierowała gabinetami a w szczególności że jedność Włoską przeprowadziła. Jedna i ta sama *Rassegna* raz dowodzi długo i szeroko, że Papież nie miał po co głosu podnosić, drugi raz pisze, że „Masonerya mimo Encyklik nie upadła, lecz wzmogła się do tego stopnia że przeraża społeczeństwo chrześciańskie".

Oprócz tych ciągłych sprzeczności i to uwagi godne, że żadne z pism liberalnych nie zaprzeczyło i nie tknęło nawet głównego punktu Encykliki, to jest, kwestyi doktryn, na której Pa-

pież wszystko buduje. To milczenie dowodzi aż nadto niemożebności zaprzeczenia.

Nie brakło wszakże i takich pism liberalnych, co uznały przynajmniej, że Papież ze swego stanowiska ma słuszność, że tendencye Masoneryi są przeciwne dążeniom Kościoła, że ona bez wątpienia zrujnowała władzę doczesną papiestwa i dotąd „jest główną urzędowych Włoch podporą"; że więc naczelnik Kościoła pełni swój obowiązek, gdy ją potępia i katolików przestrzega. Tak się wyrażają między innemi w Niemczech *National-Zeitung* we Francyi *Journal des Debats*. „Jest to manifest, pisze ta ostatnia gazeta, wydany z powodu wojny religijnej, jaka się niemal wszędzie toczy. Stolica św. jest w przekonaniu, że istnieje pewien anti-kościół, mający swoją teologię nie różną od materyalizmu, a używający wszelkich sił swoich na zburzenie chrystyanizmu w ogóle, a Kościoła katolickiego w szczególności. Przyznać trzeba, że fakta, na które patrzemy, przemawiają za tem przypuszczeniem".

„Nie da się zaprzeczyć, że tajne towarzystwa odegrały i dotąd odgrywają przeważną rolę we Włoszech. O ile zaś takowe stanowią jedno ciało, dążące do jednego wytkniętego a sekretnego celu, tego ja nie wiem. Nie zdaje mi się jednak, żeby Papież miał walczyć z wiatrakami".

Co się tyczy zapatrywania rządów na Encyklikę, jest ono przychylniejsze, niż się można było spodziewać. Pisma inspirowane omawiają ją nadzwyczaj oględnie i w ogóle tłumaczą jako dowód dobrych chęci Stolicy św. względem rządów i publicznego porządku. „Mianowicie w Niemczech i w Austryi, tak piszą z Rzymu do *Journal de Bruxelles*, Encyklika znalazła dobre przyjęcie, zwłaszcza w wysokich sferach rządowych". Widać, że dziś najwyższe sfery nie są już tak ślepemi na właściwe dążności Masoneryi, a stosunki jakie z nią zachowują może nie koniecznie są z przekonania.

Najciekawszem jest zachowanie się samej Masoneryi wobec Encykliki. Na razie milczenie; po kilku dniach pogłoska w niemieckich gazetach, że loże niemieckie wydadzą zbiorową odpowiedź na inkryminacye Papieża. W istocie odpowiedziećby powinny. Póki ten i ów prywatny autor ich oskarżał, mogli go

zbywać milczeniem pogardy (i książki jego wykupywać i niszczyć). Ale jak Papież przemawia tym głosem, który cały świat słyszy, jak ich oskarża o przewrotne zasady, zgubne cele i niecne środki, to już milczenie nie może uchodzić za lekceważenie. Na takie głośne i uroczyste oskarżenie odpowiada się równie głośno, uroczyście, urzędowo — jeśli się ma coś do odpowiedzenia.

Odpowiedź byle jaka łatwoby się znalazła; możnaby zawsze z wytartem czołem przeczyć. Ale na to zaprzeczenie posypałyby się znów dowody ze strony katolików, wywiązałaby się głośna polemika o istocie Masoneryi. A do tego Masonerya ma najwyższy wstręt. Dotąd wolała wszystkie zarzuty w milczeniu znosić, niż kwestyę o sobie na światło wywlekać. Sekret jest jej hasłem, jej warunkiem bytu. Znajduje się więc teraz w nader przykrej alternatywie. Bądź co bądź, dotąd urzędowa odpowiedź loży nie pojawiła się. Doniósł nam tylko *Diritto*, że Wielki Orient włoski wydał jakiś okólnik do wszystkich lóż świata o tej sprawie i cytuje z niego parę wodnistych ustępów, lecz i ten okólnik ogłoszonym nie został. Możemy więc jeszcze czekać — ale najprawdopodobniej niczego się nie doczekamy; bo instynkt Masoneryi niczego się tak nie chroni jak światła. *In fronte ejus nomen scriptum: Mysterium: Babilon magna, mater abominationum terrae* [1].

W tydzień po Encyklice *Humanum genus*, pojawiła się w *Moniteur de Rome*, gazecie inspirowanej z Watykanu, myśl międzynarodowego związku katolików. Już na ostatnim kongresie katolików w Düsseldorfie Windhorst poruszył podobny pomysł. Ale *Moniteur de Rome* w artykule *L' Encyclique de Léon XIII. et l' union catholique universelle* z 29 kwiet., wyprowadza myśl takiego związku powszechnego ze samej Encykliki papieskiej. Mówi, że już poprzednie odezwy Leona XIII. do pojedyńczych monarchów i państw świadczą, że unia katolików to jego myśl ulubiona, jego ideał. Najpewniejszą strażnicę Kościoła upatrywał on zawsze w harmonii dusz katolickich, w jednobrzmiennym nastroju rozumów i serc.

[1] Apokal. XVII.

Dziś kosmopolityczną masoneryę zamierza Papież zwalczyć powszechnym związkiem ludzi odważnych i przedsiębiorczych, i w tym celu wzywa świat katolicki do łączenia się w świętą ligę na obronę prawdy, powołuje do krucyaty przeciw wrogom Chrystusa niszczącym wszelką religię. Jedność koncentrującą się w osobie Papieża, jedność celu i środków, jedność nauki i wiary nie była nigdy czczem tylko godłem, ale żywym czynnikiem, działającym od początku ery chrześcijańskiej. Jednak w obecnych stosunkach, ta jedność religijna nie wystarcza, dziś trzeba, w myśl Leona XIII., unii katolickiej na gruncie czynności socyalnej. Trudno z góry określić ustrój zewnętrzny takiego związku, trudno oznaczyć formę w jakiej on wystąpić powinien. Pod naciskiem samych okoliczności, forma ta z początku luźna, skrystalizuje się w chwili gdy poczucie koniecznej obrony najdroższych świętości wiary, ojczyzny i rodziny żywiej i potężniej do serc katolickich zakołata.

Jakkolwiek wielkie trudności mogą stanąć na przeszkodzie tej unii powszechnej, jednak trudności te przełamać się dadzą. Jak każda strefa ma inne rośliny, które pod wpływem jej klimatu bujniej się rozwijają i stanowią wybitną właściwość tej strefy, tak i Kościół w każdym kraju rozwija i doskonali na rodzinnej glebie szczególną jakąś dążność moralną, jakiś typ narodowych zalet. Niemcy celują w organizacyi rękodzielnych stowarzyszeń, Francya przoduje miłością bliźniego, hojnością w datkach pieniężnych, Belgia w zakładach wychowawczych i wszelkich instytucyach naukowych. Nie trudno narodom zbliżyć się do siebie, poznać się nawzajem i w tych wytkniętych kierunkach spotęgować całą swą energię przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Przykład takiej solidarności międzynarodowej, przykład, który w zdumienie wprawił prasę liberalną, widzieliśmy niedawno, przy zgwałceniu praw i grabieży dochodów Propagandy. Zresztą pierwsze zasadnicze ogniwa powszechnej koalicyi, istnieją już w owych corocznych kongresach katolickich, na których ostatniemi laty występowali reprezentanci nietylko Belgii, Austryi i innych państw katolickich, ale i Hollandyi, Anglii a nawet Ameryki. Na takim kongresie tworzą się pierwsze zawiązki stowarzyszeń i kółek katolickich; tu urządza się bilans dzieł miłosierdzia, pism publicznych, nauk i wychowania; z tego korzenia każda gałąź pracy socyalnej wy-

rasta, każda dążność do dobra ludzkości zagrzewa się przy tem ognisku, w tem źródle czerpie posiłek i ochłodę. Czyżby kongresów tych nie można rozszerzyć, ściślej powiązać ze sobą, i otworzyć im rozleglejsze pole do działania?

Jako pierwsze ogniwo takiego związku, wystarczyłoby peryodyczne porozumiewanie się wybitniejszych osobistości każdego narodu. Pierwszem ich zadaniem byłoby zapoznać się z sobą, poglądy swe nawzajem sobie udzielać, roztrząsać kwestye socyalne, obmyślać środki ku zwalczeniu wspólnych przeszkód i trudności. To zaś grono wybranych mężów wyrosłoby z czasem i spotężniało w powszechną unię synów katolickiego Kościoła.

Tak się rysuje w rzymskim *Moniteur* ten śmiały projekt. Zrozumiały odrazu całą doniosłość sprawy gazety katolickie Belgii, Francyi, Niemiec, Węgier, Hiszpanii etc. i domagają się raz po raz dokładniejszego nakreślenia planu zamierzonej unii. Na to wezwanie odpowiedział *Moniteur* 7 maja, że uczyni to chętnie, lecz oczekiwać musi, aż opinia publiczna dojrzeje i bardziej stanowczo wyrazi się w tym względzie. Wreszcie na zarzut gazety karlistowskiej *La Fé*, że taki związek nie może przyjść do skutku, ponieważ katolicy są zanadto podzieleni politycznie, odpowiada *Moniteur* 13-go maja, że właśnie o to idzie, żeby katolicy po za kwestyami politycznemi łączyli się w obronie spraw religijnych i społecznych, które wszyscy jednakowo pojmują.

Oczekujemy więc z upragnieniem dojrzenia tej myśli i mamy nadzieję, że wrazie jej przyjścia do skutku, nie ostatnie w tym związku zajmiemy miejsce.

Trzeci uwagi godny objaw z ubiegłego miesiąca, jest nieustannie ponawiający się protest katolików wszelkich krajów przeciwko zamachowi rządu włoskiego ma majątek Propagandy.

W ostatnich znów tygodniach wydały o tem adresy i protestacye:

Austryacki *Volksverein*.

Politischer Verein na Morawii.

Szwajcarscy biskupi w zbiorowym liście.

Szwajcarski *Pius-Verein* przyłączył się do protestacyi biskupów, w imieniu 20,000 członków.

W Holandyi katolickie koło z Maëstricht.

W Belgii *Union nationale Belge pour le redressement des griefs*.

Z Nowej Szkocyi przyszedł adres biskupów do królowej angielskiej, żądający jej interwencyi.

W New-Yorku katolicy podpisali protest, którego tekst podaje tameczna *Catholic Review* i t. p.

Dziś, kiedy wrażenia wypadków, wśród zgiełku coraz nowych wiadomości, tak prędko się zacierają, to trwanie i potęgowanie się tego protestu katolickiego świata przeciwko krzywdzie Propagandzie i Stolicy św. wyrządzonej ma wyjątkowe znaczenie. W sferach politycznych nie są na to ślepymi.

Moniteur de Rome z 7 maja donosi, że Stolica św. rozesłała do nuncyuszów drugą notę w sprawie Propagandy, uwydatniając ponownie doznaną krzywdę, zwracając uwagę na reklamacye katolików całego świata i odpierając układy jakie jej rząd włoski insynuuje.

Wreszcie *Grenzboten*, gazeta inspirowana przez ks. Bismarka umieszcza w tych dniach uderzający artykuł o kwestyi rzymskiej, w którym podnosząc te same powody, jakieśmy podawali w artykule o Stolicy św. (zesz. majowy), dowodzi, że dwie stolice nie mogą się w Rzymie pogodzić i radzi Włochom powrót do Florencyi, a powrót spieszny, bo każdy rok zwłoki pomnoży tylko trudności.

Na zakończenie, przytaczamy jeszcze głośny artykuł wiedeńskiej *Politische Correspondenz* (z którego „Czas“ pewien ustęp umieścił), i prosimy o zestawienie go z tem, cośmy pisali w artykule wstępnym zeszytu marcowego.

„Zachowanie się obecne różnych mężów stanu w Europie, wobec świeżych manifestacyj i wystąpień dziennikarstwa, pozwala prawie na pewno wnioskować, że obecna polityka zaczyna przybierać charakter przeważnie konserwatywny. Zdaje się, że rządy i panujący nabrali przekonania, iż podstawy, któremi się dotąd rządziła nowoczesna polityka, nie są w stanie dać państwu stałą podporę i dostateczną rękojmię. Widziano mianowicie ostatniemi czasy, urzeczywistnianie się dążności, które i najobojętniejszym każą się lękać niebezpieczeństwa zachwiania się ustroju polityczno-socyalnego i zbli-

żania się katastrofy nieobliczonej w swoich rozmiarach i następstwach.

Wobec tych objawów, ludzie rozumni i myślący zadali sobie pytanie, czy nie byłoby zbawiennem, nawet koniecznem powstrzymanie tego niebezpiecznego prądu, zanimby szał socyalistyczny, któryby można uważać za chroniczną febrę dzisiejszego społeczeństwa, nie przybrał kształtów namacalnych i nie zachwiał instytucyi państwa. Odpowiedzią na to pytanie było zbliżenie się do siebie mocarstw, przedstawiających więcej niżeli inne państwa zasadę władzy. Jakież będą skutki tego moralnego sojuszu i jaka ich trwałość? O tem przekona dopiero czas. Zbyteczną byłcby śmiałością chcieć nad podobną kwestyą robić przypuszczenia. To jedno nie ulega wątpliwości, że usiłowania mocarstw uwieńczoneby były skutkiem, gdyby się powodowały odwiecznemi zasadami, które Stolica Apostolska po wszystkie czasy przechowywała i których broniła. Niebawem ukaże się encyklika papieska [1], świetne dająca świadectwo mądrości, jaką w każdej rzeczy kieruje się Stolica święta. Niepospolity Papież rządzący dziś losami Kościoła rzymskiego, jak doświadczony i pewny lekarz dotyka się rany, na którą cierpi społeczeństwo w Europie i wskazuje mu zarazem środki, za pomocą których, mogłoby uzyskać szybkie i zupełne uzdrowienie.

Jeżeli mocarstwa żywią szczere pragnienie, aby sprawa porządku społecznego i zdrowe zasady zwyciężyły w Europie, to niechże wezmą do serca słowa Ojca św. i niech sobie powiedzą, że wielkie cele, do których zmierzają szlachetne ich usiłowania, nie mogą być inaczej osiągnionymi, jak z bezpośredniem współdziałaniem papiestwa. Byłby już czas aby wszystkie rządy przejęły się wreszcie przekonaniem, że Kościół katolicki i jego Głowa, nietylko nieprzyjaznymi nie są zasadzie władzy w społeczeństwie, ale są przeciwnie, jedyną pewną podporą, na którą ta władza liczyć może.

Znaczenie Stolicy świętej zaznacza się coraz więcej wobec rządów. Poselstwa przy Stolicy świętej pomnażają się raczej niż się zmniejszają, jakby tego wielu pragnęło. I tak, jedna z najznaczniejszych republik w Ameryce południowej, zawiązała po długiej przerwie na nowo stosunki dyplomatyczne z Kuryą rzymską i wysłała do niej swego reprezentanta. Widać w tem coraz więcej zwyciężającą prawdę, że Stolica święta ma nietylko dla religii, ale także i w polityce znaczenie i władzę, z któremi liczyć się trzeba".

X. M. Morawski.

[1] Encyklika o Masonach, która wydaną została po tym artykule, 20 kwietnia.

Prasa warszawska.

(Dokończenie.)

Wiek, Słowo, Przegląd tygodniowy, Prawda, Kraj, Ateneum, Biblioteka Warszawska, Niwa, Rola, Gazeta handlowa, Przegląd katolicki, Tygodnik ilustrowany, Kłosy, Kronika rodzinna, Bluszcz, Kółko rodzinne, Świt.

Wiek i *Słowo* pozostały na placu boju, stanowiąc w dziennikarstwie warszawskiem zachowawczą prawicę. *Wiek* starszy o lat kilka, ma więcej doświadczenia i wprawy i więcej może jedności, bo mniej skomplikowanemu ulega kierownictwu. Właściciel jest głównym redaktorem, jedynie przed publicznością odpowiedzialnym, a czego w pełni wypowiedzieć nie może w dzienniku, to rozwija w swych komedyach politycznych. Ostatnia *Górą nasi!* jest jakby wyznaniem wiary i programem publicysty warszawskiego. Poznajemy z niej śmiałe stanowisko wobec przewagi potentatów giełdy i jasne zrozumienie, jak nas wiele kosztować może owo mniemane zbratanie się z żydami. Pomiędzy niebezpiecznym antisemityzmem grasującym w Rosyi i w Węgrzech, a tą idyliczną polityką, jaką stworzyła przed 20 laty Warszawa demonstracyami ani znoszącemi różnice między Kościołem a synagogą, leży wielki przedział. Niewolne pod tym względem od złudzeń są nawet arystokratyczne i konserwatywne sfery warszawskie, a wyjątkowe warunki tłómaczą je poniekąd, że poszły za daleko w tym przymierzu. Zaprzeczyć się bowiem nieda, że w czasach najtrudniejszych, przymierze to z potęgami giełdowemi chroniło poniekąd kraj od ruiny i dało początek wielu przedsiębiorstwom. Usługi te atoli nie zostały bez wynagrodzenia, a judaizm dochodząc do przewagi, oplątał wyższą społeczność stolicy w solidarność interesów, w publicystyce zaś i ruchu wydawnictw narzucał nieraz swoje wpływy i warunki.

Autor komedyi *Górą nasi!* i redaktor *Wieku* z wielką prawdą a miarą przedstawił zgubne następstwa tej przewagi, która równie w życiu towarzyskiem, jak w publicystyce i życiu społecznem występuje na jaw. *Wiek* pod kierunkiem p. Kazimierza Zalewskiego, a za współpracownictwem p. Gustawa Czernickiego, Sumińskiego i innych zdobył sobie pewną powagę i wziętość,

najbardziej zaś rozpowszechniony na prowincyi, zwłaszcza na Litwie, Podolu i Wołyniu. Staranność redakcyi części politycznej, rozmaitość kroniki, dobór dobrych powieści o zdrowej tendencyi w fejletonie, częste dodatki z artykułami literackiej i naukowej treści, stawiają *Wiek* w rzędzie wyborowych dzienników polskich.

W kołach konserwatywnych, powstała przed parą laty myśl utworzenia dziennika, któryby był organem stronnictwa. Układy z właścicielem *Wieku* nie doprowadziły do skutku, bo właściciel nie chciał podzielić z nikim odpowiedzialności za kierunek swego pisma. Z niemałą też ofiarą założono na akcye dziennik *Słowo*. Nie wiemy, czy chwila była szczęśliwie wybraną, aby *Słowo* mogło się od razu zaznaczyć jako organ stronnictwa, a raczej organ reprezentujący pewne powagi społeczne. Do tego bowiem potrzebaby było możności rozwinięcia inicyatywy, której brakło. Zrazu *Słowo* pod względem zasad nietylko ich dość jasno nie zatwierdziło, ale wywołało niezadowolenie i liczne zarzuty chwiejności i niejasności. Powoli jednak organ ten wyrabia się, zasilany nietylko pieniężnie, ale radą i informacyami. Świetną ma zaiste firmę, bo podpisuje go najznakomitszy powieściopisarz Henryk Sienkiewicz; częścią polityczną kieruje p. Antoni Zaleski dobrze ze sprawami austryackiemi i stosunkami rzymskiemi obeznany. *Słowo* wraz z *Wiekiem* stanowi korzystne zrównoważenie liberalizmu *Gazety warszawskiej* i indyferentyzmu *Gazety polskiej*. Jako organ pewnego stronnictwa, a przynajmniej poważnego koła obywateli, *Słowo* może przy danej sposobności wobec opinii kraju i wobec sfer rządzących stanowić wyraz rozsądnych dążeń, życzeń i zapatrywań. Czuć bowiem, że nie jest to tylko opinia piszącego, ale także ludzi, którzy za nim stoją.

O programach atoli jakiejkolwiek akcyi w tych warunkach nie może być mowy; wszystko się ogranicza na cieniowaniu opinii, lub podejmowaniu polemiki z pismami przeciwnego obozu, co też czyni *Słowo* coraz częściej.

Mimo takiej obfitości dzienników, wiele kwestyj bądź to zasadniczych, bądź praktycznych, pozostaje nieprzedyskutowanych, wiele błędnych pojęć, nie mówiąc już o skrajnościach reprezentowanych przez organa „młodych“, utrzymuje się z przywyknienia. Konserwatyzm warszawski bierze z drugiej ręki niektóre

rezultaty walk polemicznych, które od 20 lat toczyły się w Galicyi, i stawia je nieśmiało, z restrykcyami i ostrożnością, aby dobrej nie zepsuć harmonii. Powiedziećby można, że opinia w Warszawie jeszcze nie przebyła tego procesu, który stawia granice zasad religijnych, przekonań z historyi narodu lub naukowego badania wypływających na stosunki społeczne i polityczne.

W Warszawie sama przyzwoitość form łagodzi walkę, a zarazem stosunki tak wyjątkowe skłaniają do solidarności całą orkiestrę prasy, bez względu na odmienne tony różnych organów. W kraju niema akcyi politycznej, ale jest wiele pożytecznych robót ekonomicznej, filantropijnej, literackiej lub naukowej natury. Wiele też zależy mężom wprowadzającym w ruch te różne warsztaty pracy na tem, aby utrzymała się harmonia i solidarność dziennikarstwa stolicy, bezwzględu na odmienne barwy.

Walka zasadnicza nie toczy się tyle w codziennych gazetach politycznych, ile w czasopismach literackiej lub naukowej treści. Wystąpienie t. z. „młodych“, stanowiło epokę, bo było wstrząśnieniem. Reakcya krytyczna, która pojawiła się w Krakowie z góry, od t. z. Stańczyków, wystąpiła w Warszawie z dołu od „młodych“. Tu krytycyzm polityczny znajdował podstawę wiary, tam pozytywizm przemawiał doktrynami Darwinistów. Z zuchwałością przechodzącą w brutalstwo, cynizm i beszczelność rzucono się na ustalone powagi, nie szczędząc nikogo a metody krytycznej użyto, aby podkopać niezmienne prawdy. Z razu był to ferment, który przebywały także umysły głębsze i wyższe talenta. Dość powiedzieć, że dzisiejsza *Niwa,* która tak śmiało zatwierdza zasady chrześcijańskie, w pierwszej swej fazie była organem pozytywistów, wyłącznie oddającym się sprawom ekonomii politycznej. Co więcej, przez tę gorączkę przeszedł Litwos, dzieląc długo odpowiedzialność za redakcyę *Przeglądu tygodniowego.* Najwydatniejszym reprezentantem tej szkoły, jest redaktor dwóch pism p. Świętochowski. Fanatyzm, nienawiść do chrześcijaństwa, cechuje tego pisarza, któremu nie można zaprzeczyć talentu.

Zdaniem naszem, zbyt wielką przywięzywano wagę do pseudo-naukowych występów i publicystycznych szermierek t. z. „szkoły młodych“. Pod względem naukowym nie zasługują oni na nazwę

jakiejkolwiek szkoły; kilka tłomaczeń Buckla, Spenzera, Darwina i Büchnera i kilka broszur z zapożyczoną z różnych sklepów nomenklaturą i frazeologią pseudo-umiejętną, tego tytułu jeszcze nie usprawiedliwia. Ani jedną bowiem samodzielną pracą naukową zastęp ten nie zaznaczył się w naszej literaturze; trudno by nawet było zdefiniować za jakim idzie on mistrzem i prądem; używając bowiem tytułu pozytywistów, nie trzymają się ludzie tej szkoły owej zasady Littrégo lub pozytywistów angielskich, która wymaga, aby się zajmować tylko faktami świata materyalnego, a w kwestyach nadzmysłowych jak istnienie Boga, duszy nieśmiertelnej i prawdy objawienia, nie przeczy, tylko je ignoruje i niemi się nie zajmuje. Wręcz przeciwnie gronko pozytywistów warszawskich bardzo mało zajmuje się naukami ścisłemi, a ustawicznie snuje tą tanią metafizykę i teologię ciągłych zaprzeczeń i bluźnierstw, i tem też zbliża się raczej do propagatorów skrajnego materyalizmu w Niemczech. Paszkwil w Warszawie przemawia z trójnogu nowej, pozytywnej mądrości, która nietylko miota bluźnierstwa przeciw religii, ale bierze otwarcie rozbrat z narodowością i historycznemi tradycyami.

Główny tej szkoły przywódca, kierujący redakcyą *Przeglądu tygodniowego* i *Prawdy*, łączy ze zdolnością zuchwałego polemisty niejakie zalety belletrystyczne, których używa w dwóch kierunkach, antychrześcijańskim i antinarodowym. Pierwszy dramat Okońskiego (pseudonim belletrystyczny Świętochowskiego). „Niewinni“ był rozprowadzeniem owej etyki pozytywizmu, która, zdejmuje odpowiedzialność moralną za popełnione zbrodnie z indywiduów a rozkłada ją na całą społeczność. Dramat „Ojciec Makary“ był tak rażącym paszkwilem przeciw duchowieństwu, że nie znalazła się ani jedna dyrekcya teatru, któraby paszkwil ten wystawić chciała, a przecież pod tym względem o zbytek surowości i ortodoksyi nikt nie podejrzywa dyrekcyi teatru. W powieściach zaś wziął sobie autor za zadanie przedstawić, że społeczność polska jest prześladowczynią, a za ofiary obrał sobie: Prusaka, żydówkę i kacapa. Metoda podobna przewracania wszystkiego do góry nogami, jest jednem ze znamion tej nowej szkoły, której błędnie przypisują t. z. naturalizm Emila Zoli i jego naśladowców.

Słusznie kierunek ten w Warszawie uznano za apostazyą, a dziwić się nie można, że *Prawda* i *Przegląd tygodniowy* doznają pewnych względów i wyłącznej tolerancyi, która utrudnia walkę polemiczną, pismom nie używającym tych przywilejów. Smutnym jest tylko objawem, że mimo jawnego wyparcia się uczuć najsilniejszych do niedawna w naszem społeczeństwie, *Prawda* i *Przegląd tygodniowy* utrzymują się bez subwencyi, owszem coraz większem cieszą się powodzeniem wśród młodzieży i w średnich warstwach inteligencyi.

O wiele poważniejszym, głębszym i donioślejszym jest kierunek, którego organami są *Ateneum*, pismo miesięczne, starannie i naukowo redagowane w Warszawie od lat siedmiu, i tygodnik wychodzący od dwóch lat w Petersburgu p. t. *Kraj*.

Założyciel tych dwóch pism, p. Włodzimierz Spasowicz, należy do najwybitniejszych indywidualności politycznych i literackich obecnej doby. Litwin z rodu, prawosławny ze chrztu, studya i karyerę przebył świetnie w Petersburgu, Spasowicz wyszedł z grona pisarzy rosyjskich o liberalnych tendencyach pojednania zwycięzców ze zwyciężonymi w jedności szczepowej, którąby atoli grupowała ludy słowiańskie nie samą tylko siłą asymilacyjną ale klejem konstytucyjnym. Nie czas dziś wykazywać zachody i próby tego stronnictwa międzynarodowego, jego złudzenia, częściowe zasługi, i wielkie tego kierunku niebezpieczeństwa. Z profesorem Pepinem Spasowicz należał do wydawnictwa *Wiestnika Ewropy*, najpoważniejszego przeglądu rosyjskiego i brał udział w kilku dziennikach postępowej barwy, dążących bezskutecznie do zrównoważenia bezwzględności tego prądu opinii, który w *Moskiewskich Wiedomostach* ma naczelną komendę.

Wątpić należy, ażali zachody te z najlepszych zapewne płynące chęci; choć częściowe przynieść mogły korzyści. Byłoby jednak nader pożądaną rzeczą, aby ta akcya nie sięgała po za zakres realnej polityki, aby w braku warunków do wątpliwej wartości politycznego kompromisu, nie wysuwał się cały system filozoficzny, literacki i socyologiczny, wręcz przeciwny temu, na czem opiera się dotąd moralna społeczności naszej siła.

Autor broszury „Spadek polityczny Aleksandra Wielopolskiego“ nie odróżnia, że co innego jest w danych warunkach sta-

wiać most kompromisu politycznego nad przepaścią, a co innego zniwelować przepaść. Kto bowiem z jednej strony wyrównywa przepaść, ten przekonywa tylko stojących na przeciwnym brzegu, że most niepotrzebny. Między dwoma wręcz odmiennemi światami leży przedział wiary i tradycyi, kto ich nie czuje, nie uznaje, kto nad tym duchowym spadkiem ojców przechodzi do porządku dziennego, ten ma ułatwioną drogę do bezwarunkowej kapitulacyi, a do wszelkich rokowań lub kompromisów przystępuje rozbrojony i ubogi, bo się wyzbył moralnego kapitału.

Nic dziwnego, że głośny adwokat i publicysta petersburski gdy zwrócił swe pióro od przedmiotów ogólno słowiańskich do literatury ojczystej i kwestyi kraju dotyczących, przeniósł tu mimowolnie pojęcia tej szkoły, w jakiej wyrósł i tej atmosfery, w jakiej żył i działał; że z nim po raz pierwszy powstaje w naszym ruchu umysłowym i literackim prąd niosący wyobrażenia ze wschodu; ale dziwić się trzeba, że prąd ten się rozszerza i coraz silniej oddziaływa.

Kraj petersburski, o którym tu nawiasowo wspomnieć chcemy, odznacza się obfitością korespondencyi z różnych punktów kraju, zapisujących każdy choćby najlżejszy objaw życia i śmiałą polemiką z dziennikami rosyjskimi, ale ujemną jego stroną pesymistyczne poglądy na wszystko, co się robi w Galicyi i na wszystko, co się dzieje w Wielkopolsce. W poglądach a raczej w uprzedzeniach tych, nietylko, że się kieruje doktryną szczepowości, którą wyżej stawia niż rzetelne warunki cywilizacyi i swobody, ale nadto stawia po nad wszystko dobrobyt materyalny. Dodajmy do tego przyprawę liberalno-bezwyznaniową, doktryny socyologiczno-pozytywne podawane zręcznie, a już każdy łatwo osądzi, jaki wpływ wywiera na społeczeństwo nasze organ, który ma monopol mówienia o sprawach kraju, trudnych do poruszenia w Warszawie, krytyki organów rządu, polemiki z prasą rosyjską. *Kraj* stworzył w Petersburgu główne centrum spraw żywotnych budzących zajęcie, rozszerzył sieć korespondencyi i prenumeratorów na Litwę, Wołyń, Podole i Ukrainę. Założyciel bezpośrednio nie zajmuje się redakcyą, lubo jej nadaje kierunek, wyręcza go zdolny dziennikarz p. Pilz, który lubo dziś antagonista osobisty Świętochowskiego, niegdyś wyszedł z jego szkoły. W ostatnich cza-

sach w skład redakcyi wszedł powracający z Genewy p. Hodi Tokarzewicz, dawny redaktor *Gminy*, a dziś zawdzięczający swój powrót protekcyi p. Orżewskiego, pomocnika ministra policyi, który uznał, że „p. Tokarzewicz w kraju może pożytecznie pracować". Nabytek ten przechylił do reszty w ostatnich czasach petersburski organ na stronę panslawistyczno-demokratyczną. Objawiło się to zarówno w stanowisku, jakie *Kraj* zajął wobec procesu Hrabarowej we Lwowie i jego następstw, jak w systematycznem uderzaniu w surmy opozycyjnej krytyki, ilekroć chodzi o sprawy galicyjskie. Mimo tego rośnie wzięcie i znaczenie jedynego pisma, które jest dostępne dla głosów z prowincyj wschodnich.

Na lat kilka przed wydawnictwem *Kraju* założył p. Spasowicz (r. 1877) *Ateneum*, przegląd miesięczny, zostający obecnie pod redakcyą Piotra Chmielowskiego.

Redakcya tego pisma otwarła na rozcież swe podwoje dla pisarzy i uczonych, bez względu na ich barwę, byle zamieszczane prace nie naruszały kierunku zasad postępowych, naśladując w tem metodę p. Buloz, redaktora *Revue des deux Mondes*. W skutek tego spotkać tam można artykuły w przedmiotach obojętnych nawet katolickich pisarzy, ale tendencya pisma strzeżona bacznie nie jest chrześcijańską. Nie owi „młodzi" z *Przeglądu tygodniowego* i *Prawdy*, ale Spasowicz i Chmielowski tworzą szkołę pozytywizmu. Tutaj wsiąkły doktryny racyonalistyczne najnowszego stempla, tu spotykają się artykuły podające ostatnie rezultata bądź to darwinistów, bądź materyalistów, bądź też pesymistów w rodzaju Schopenhauera i Hartmana, lub też zreasumowanie całej nauki Renana o początkach chrześcijaństwa. Pióro Spasowicza jedno z najświetniejszych, jakie dziś posiada literatura polska, dziwnie giętkie, bo zarówno zdolne do analizy i krytyki literackiej, jak do politycznych lub historycznych rozpraw, albo prawniczych dysertacyi, ma zakrój filozoficzny. Osobny język tej filozofii pozytywnej inauguruje Spasowicz. Świetnie mu wtóruje Piotr Chmielowski, który porzuciwszy szajkę *Przeglądu tygodniowego* objął redakcyę *Ateneum*.

Pierwszem zadaniem jaki sobie wytknęli redaktorowie *Ateneum*, było uderzenie na poetów poprzedniej epoki. Za kozła

ofiarnego, Spasowicz wybrał najpierw Wincentego Pola, Chmielowski Syrokomlę i Odyńca, aby pośrednio mierzyć także i w Mickiewicza. Zachodzi atoli znaczna róznica pomiędzy rozbiorami literackimi tych dwóch pisarzy. Spasowicz więcej uczuciowy, bardziej syntetyczny i bardziej tendencyjny rozprawia się o ideje i zasady. Chmielowski anatom literacki, estetyk idący za Tainem i krytykami niemieckimi analizuje formę. Tamten odczuwa piękności, niespycha poetów z Parnasu, tylko walczy z ich duchem, bo w nim tkwi katolicka i historyczna przeszłość, z którą on bierze rozbrat. Dogmatyczność i tradycya, oto cel jego pocisków, a pomimo tego najbardziej religijny i najbardziej szlachecki Wincenty Pol ma dla Spasowicza urok, i nowe w nim odkrywa piękności. Chmielowski przeciwnie bierze na stół anatoma choćby arcydzieło, przykłada lupę, kraje nożem dopokąd nierozkroi wszystkiego aż do szkieletu. Taką operacyą odbywał on świeżo na powieści Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem", przypisując jej niezmierne powodzenie przemijającej modzie i wyrzucając autorowi stronniczość, że kreśli tylko rzezie kozackie, a nie maluje ucisków szlacheckich; niemoże zwłaszcza krytyk autorowi przebaczyć sceny modlitwy i wspaniałego monologu przed krzyżem kniazia Jaremy. Widzimy więc, że i najwspanialsza forma nie zadawalnia tego estetyka, jeśli treść nie odpowiada kosmopolityczno-liberalnej tendencyi.

System ścisłej krytyki, bezwzględnej analizy wspartej na gołych faktach, zastosowany do historyi i literatury, oddaje niekiedy prawdzie usługę i korzystnie oddziaływa przeciw nadużyciom idealizowania i apoteozowania wszystkiego, ale w gruncie dochodzi zawsze do scyptycyzmu i negacyi, jeżeli w swych studyach i badaniach nie powróci do tego co jest podstawą i źródłem wszelkiej prawdy.

Ateneum dodało bodźca poważnej, nieco pedantycznej a dawniej dość eklektycznej *Bibliotece Warszawskiej*. Najstarszą jest ona ze wszystkich istniejących przeglądów polskich, liczy lat blisko 40, wyprzedziła nieistniejące już: *Przegląd poznański*, *Dodatek do Czasu* i paryskie *Wiadomości polskie*. Za inicyatywą Aleksandra Przeździeckiego, Edwarda Rastawickiego i Leona Łubieńskiego wszystkie niemal ówczesne powagi społeczne, literackie i naukowe Warszawy i całego kraju wzięły udział w założeniu

tego pisma i w jego dalszym rozwoju. Powstał też zwyczaj bardzo chwalebny i godny naśladowania, że w częstych odstępach czasu, jeśli się nie mylimy, co miesiąc odbywały się sesye redakcyjne, na których zgromadzali się i naradzali okrom ludzi pióra, założyciele i przyjaciele *Biblioteki*. Sesye te przyczyniały się niezmiernie do wyjaśniania bieżących kwestyj, wyrobienia poważnej opinii, zainteresowania szerszych kół przedmiotami literackiemi i naukowemi i wzbudzenia pewnej łączności umysłów. Lubo ze zmianą stosunków sesye te w dawnej ustały formie, widzimy i dziś grono poważnych mężów popierających nietylko materyalnie ale także radą, wpływem i dyskusyą wydawnictwo *Biblioteki*.

Politycznego wpływu organ ten nigdy nie wywierał, bo polityczne a nawet socyalne kwestye nie wchodzą w jego zakres. Mimo to bywała pewna wspólność i nieodzowne oddziaływanie pomiędzy kierunkiem i dążeniami dawnego Towarzystwa rolniczego w Królestwie, a tym torem po jakim w sferze nauki, literatury i krytyki postępowała mieszanym krokiem *Biblioteka*. Do dziś dnia zachowała ona ton, metodę i barwę dawnego stronnictwa „białych".

Cechą zaś tego stronnictwa zarówno na polu politycznem, jak w rzeczach zasad moralnych, w kwestyach religii, filozofii i pojęć społecznych bywał wieczny kompromis, przesadne dążenie do jedności, misterne szukanie drogi pośredniej, ciągła obawa przed wszelką skrajnością. Cecha ta odbijała się zbyt długo i na Redakcyi *Biblioteki warszawskiej*. Jeśli gdzie to tutaj słowo moderantyzm dawało się całkowicie zastósować, ale bywały epoki, kiedy *Biblioteka* przesadzała umiarkowaniem, wyrozumiałością i duchem kompromisu, a stawała się po prostu zbiornikiem sprzeczności.

Skrzętny kompilator K. Wł. Wójcicki jako redaktor pisma wnosił obfity zasób erudycyi niedość krytycznej. Przerwę, jaka była powstała w ruchu filozoficznym, gdy uczniowie polscy Hegla zamilkli, zapełniał profesor Struve eklektyzmem Viktora Cousin z tendencyą idealistyczną, a Eleonora Ziemięcka w kierunku wydatniej chrześciańskim. Krytyką kierował Kassowski, przy tem niezmierny panował liberalizm i gościnność pod względem przyj-

mowania artykułów, a zwolna zacierał się zupełnie ślad wpływu i kierunku poważnych mężów, którzy byli założycielami, opiekunami *Biblioteki* i dzielili za nią odpowiedzialność.

Od kilku lat objął b. profesor szkoły głównej warszawskiej z czasów margrabiego p. Plebański redakcyę *Biblioteki.* Sesye redakcyjne, lubo w cieśniejszem kółku, wskrzeszono i zyskano poparcie nowych, dzielnych sił. Spotkać można w rocznikach Biblioteki cenne prace, a zwłaszcza obfite relacye i sprawozdania z ruchu naukowego za granicą. Coraz to nowe przedsiębiorstwa naukowe na wielkie rozmiary jak: Encyklopedya wychowawcza, Słownik geograficzny, wydanie pomnikowe Kochanowskiego, publikacye źródeł Pawińskiego, mają swój punkt środkowy niewątpliwie w *Bibliotece.*

W dziale literackim występują nowe nazwiska mało dotąd w Galicyi znane, gdzie tylko jedno imię Henryka Sienkiewicza tak słuszną zdobyło sobie sławę. W powieści współczesnej i obyczajowej, należałoby atoli zrobić wybór i rozdział, i tak nie bardzo się z sobą zgadzają w tem samem piśmie powieści. T. T. Jeża lub pani Orzeszkowej, z wręcz przeciwną tendencyą powieści Jeske Choińskiego, który w obrazach współczesnych „Za winy ojców", „Proletaryusz" dał dowody niepospolitego talentu i zdrowych społecznych dążności. Studya Jeske Choińskiego z literatury niemieckiej okazują naukę i talent krytyczny. Z przyjemnością czytaliśmy w *Bibliotece* rozbiór poezyi pani Konopnickiej, przez I. Gnatowskiego, którego pióro coraz bardziej się wyrabia, a dobry kierunek coraz więcej ustala.

Obok takich objawów zwrotu w poglądach, niezmiernie rażą takie n. p. korespondencye „z pod Wawelu" z podpisem No... które zamiast w poważnej *Bibliotece,* znalazłyby odpowiedniejsze miejsce w jednym z dzienników przechylających się ku skrajnej lewicy.

Niwa, wychodząca dwa razy na miesiąc, ma może mniej powagi ale więcej życia, ruchu i stanowczości. Chwyta nowe, żywotne kwestye z dziedziny spraw społecznych, ekonomicznych i moralnych, nie cofa się przed polemiką, owszem, z otwartą przyłbicą kruszy kopie w obronie zasad z zastępem „młodych". Nie jest to zbiór artykułów i prac przypadkiem się spotykających,

ale organ śmiało wytkniętych opinii. Grono redakcyi *Niwy* zaznacza odrębny i samodzielny kiernnek; zrazu był to organ młodych pisarzy, którzy przerywali monotonność prasy warszawskiej przywykłej do ciężkich warunków, krytycznym wnikaniem w stosunki ekonomiczne i społeczne. Nie uszli oni w tej młodzieńczej fazie zarzutu niejakiego powinowactwa z tak zwaną szkołą młodych, bo szukali nowej drogi, a zwracając uwagę wyłączną na sprawy dobrobytu i gospodarstwa krajowego, nie dali jeszcze poznać swych przekonań i dążności w odniesieniu do pytań moralnej natury. Był to atoli pozytywizm w dobrem znaczeniu tego słowa, pozytywizm poważnej pracy, niezadawalniający się frazesem, ale chcący zachować to, co pozostało z przeszłości dobytkiem. Spiesznie i stanowczo odbywał się postęp w tych umysłach i zwrot pisma, które dziś stoi nietylko w ścisłym sojuszu z wszystkiemi zachowawczemi żywiołami w kraju, ale pod pewnemi względami zdaje się prześcigać tradycyjny, zbyt oględny konserwatyzm białych. Redaktor *Niwy,* p. Mścisław Godlewski, zbliżywszy się w Krakowie do Józefa Szujskiego, przeniósł niektóre rezultaty z walki stoczonej przez Stańczyków i w granicach warszawskich stosunków stara się je przeprowadzić. Stąd powstało zbliżenie i pewne wspólnictwo z *Przeglądem polskim,* tak, że *Niwa* zwykła umieszczać równocześnie ważniejsze rozprawy Stanisława Tarnowskiego i innych współpracowników *Przeglądu.* Zasilają ją z Galicyi: Ludwik Dębicki, bracia Łozińscy, Kleczyński i inni. Gruntownością w rzeczach ekonomicznych lub społecznych, odznaczają się prace p. Rembowskiego; do współpracowników, należy wspomniany powieściopisarz p. Jeske Choiński, a polemikę prowadzi często bądź naczelny redaktor, bądź p. Jacek Soplica. Polemika przeważnie z organami p. Świętochowskiego, miewa miarę z siłą. *Niwa,* która jest w ciągłym rozwoju, zaprowadziła w ostatnich czasach zwyczaj artykułów wstępnych, w których już poruszyła kwestye hiperprodukcyi inteligencyi, za co wywołała wielką wrzawę; dalej szkodliwy wpływ życia kasynowego na rodzinę i obyczaje, kwestye oszczędności i wiele innych, zawsze zdrowo pojętych. Nie rzadko zaś spotkać w rocznikach *Niwy* prace programowego znaczenia dla całego kraju, a poparte głębokiem zbadaniem jego stanu i potrzeb. Dość tu wspomnieć szereg

artykułów o położeniu i zadaniach większej własności w królestwie Polskiem pióra Ludwika Górskiego. Artykuły te zebrane w osobną książkę, mogłyby się stać kodeksem dla obywatelstwa wiejskiego, jak bronić ojczystego zagonu, jak go uprawiać, aby kapitał ziemi utrzymać a jego wartość podnosić, i jak zamienić ten warsztat pracy na posterunek społecznego i cywilizacyjnego działania.

Od niedawna wychodzący tygodnik *Rola,* obrał sobie za specyalność badanie stosunków ludności żydowskiej do ludności chrześcijańskiej. Biorąc za punkt wyścia znane pisma ks. Dra Rohlinga i mnożące się w ostatnich czasach publikacye odnoszące się do tajemnic talmudu, do owych arkanów, zawartych w przepisach Miszny i Gemary, redakcya *Roli* występuje przeciw sentymentalizmowi, z jakim niemal cała prasa warszawska zapatrywała się dotąd na kwestyę semicką. Pismo to, jak spodziewać się można było, ściąga na siebie gromy dzienników zostających bądź w zależności, bądź też pod pośrednim wpływem sfer plutokracyi warszawskiej; wzbudza nawet pewne zaniepokojenie w tych kołach poważnych, które lękają się wywołania nowej a tak groźnej kwestyi spornej w społeczeństwie znękanem i pognębionem.

Gazeta handlowa, wychodzaca raz w tydzień, ma część polityczną i bellestrystyczną; rozpowszechniona zwłaszcza w kantorach kupieckich i mnożących się fabrykach. Powstają też specyalne pisma dla rozbudzonego ruchu przemysłowego, osobne dla techników, osobne dla rzemiosł. Specyalności atoli nie zawsze ściśle strzeżone od tendencyi wątpliwej wartości.

W obronie spraw Kościoła katolickiego staje *Przegląd katolicki* wychodzący od r. 1863 pod redakcyą X. Nowodworskiego, spełniając umiejętnie i wiernie podwójne zadanie obrony zasad i utrzymywania duchowieństwa w świadomości o całym ruchu katolickim. Jak nie podziwiać tej wytrwałej, pracy grona kapłanów, którzy w trudnych warunkach, rozwijali wielką działalność w literaturze kościelnej. Z tego grona wyszła pomnikowa publikacya Encyklopedyi kościelnej, a jej wydawca, główny redaktor *Przeglądu,* nie pominął żadnej kwestyi bieżącej, żadnego nowego błędu wdzierającego się do nas z Zachodu lub Wschodu, aby nie dać nań gruntownej odpowiedzi. Podobnież

w rocznikach *Przeglądu* znaleść można szereg prac głębszych a przystępnych, obok polemiki jasnej, spokojnej, poważnej z kierunkiem zwłaszcza inaugurowanym przez p. Świętochowskiego i p. Konopnicką. *Przegląd katolicki* wraz z wydawnictwem Encyklopedyi utrzymał poziom duchowieństwa na wyżynie umysłowej i przyczynił się wielce do uchronienia go od zupełnego rozbicia w ostatnich 20 latach.

W dziale belletrystycznym pierwsze miejsce zajmują pisma illustrowane, najwięcej rozpowszechnione. Nie odznacza ich atoli ani strona artystyczna, ani też wyższa wartość literacka. Illustracya jest niewątpliwie jednym z dzielnych środków pobudzenia w społeczności bądź to lepszego smaku, bądź zainteresowania do przedmiotów poważniejszych. Wytkniętego w tej dążności programu nie dostrzegamy w illustracyach warszawskich. Oryginalnych rysunków niewiele, najczęściej są to odbicia zagranicznych sztychów już zużytych. Dział portretów połączonych z życiorysami mógłby się stać przedmiotem ambicyi dla ludzi zasłużonych, ale zwykle spotykamy się tutaj z nazwiskami osób mniej znanych. Powieść stanowi zwykle główne danie w spisie potraw literackich, a powieść jaka się zdarzy, bez wyboru i kontroli dążeń. Pokłosia i pogadanki *de omnibus rebus et de quibusdam aliis*, wyrobiły w Warszawie osobny styl i osobny poziom. Przeważa tu zwykle pewna maniera powierzchowna a zabarwiona liberalnie. O wiele atoli wyżej stoi *Tygodnik illustrowany* pozostający pod kierunkiem p. Jenike od *Kłosów*, redagowanych przez p. Lewestama.

Osobną grupę stanowią pisma przeznaczone dla kobiet i po większej części pod redakcyą niewieścią.

Pierwsze tu miejsce zajmuje *Kronika rodzinna*. Zacne to pismo było pierwszym szańcem i placówką obrony przed szturmem pozytywizmu, liberalnej bezwyznaniowości i emancypacyjnych zapędów. Gdy jeszcze *Niwa* nie miała ustalonego kierunku, a *Biblioteka warszawska* oscylowała to na lewo to na prawo, *Kronika rodzinna* występowała nie tyle do walki polemicznej, ile wyjaśniała zasady zakwestyonowane. Nie rzadko tam spotkać można było odpowiedzi na hipotezy darwinizmu, staranne relacye z całego ruchu umysłowego w świecie katolickim, a wszystko podane przystępnie i z pewnym wdziękiem odpowiednim niewieściemu

auditoryum. Współpracownictwo Odyńca ozdobiło roczniki tego pisma szeregiem wspomnień mistrzowsko skreślonych. Odpowiadał mu niekiedy z za Atlantyku stary kolega Ignacy Domejko. Odświeżał dobrą tę tradycyę literacką z najświetniejszych czasów naszej poezyi, wydobyty z ukrycia jakiś wiersz lub list Zygmunta Krasińskiego; jakiś fragment nieznany Mickiewicza. Powieść Deotymy jak „Zwierciadlana zagadka“ przerastała zwykłą miarę warszawskiego powieściopisarstwa, lub fragment jej dramatów stanowiły tu także niemałą przynętę, oraz dobór rozpraw, nowelli, pamiętników. Zgoła pismo to wychodzące pod redakcyą zacnej autorki p. A. z Chomętowskich Borkowskiej, utrzymuje się stale na jednej wyżynie, wszystko tam zgodne, dobrane, nigdy przypadkowo zamieszczone, coby harmonią popsuć mogło. Szkoda tylko, że rozmiary tego znakomitego pisma zbyt szczupłe, nie dozwalają rozszerzyć działu sprawozdań literackich i artystycznych.

Bluszcz p. Maryi Ilnickiej, *Kółko rodzinne* i świeżo zapowiedziany *Świt* p. Konopnickiej, stanowią arenę dla amazonek pióra, walczących o równe z mężczyznami prawa, lub uderzających na ciemnotę i przesądy, w jakich zbyt długo kobieta polska była pogrążoną. Moda ta już nieco mija, choć zastęp amazonek znajduje nowe ochotniczki, harcujące świetnie na pegazach, lub odznaczające się zdolnością powieściopisarską. Pierwszym zaś dowodem tego zrównania, jest wzmagający się w tym zastępie autorek duch postępowy i racyonalistyczny.

Tradycya Klementyny Hofmanowej zaciera się. Wyjątek stanowiła Eleonora Ziemięcka, która do wiary doszła drogą filozoficznych studyów, Deotyma, która zwróciła się do krzyża i ołtarzy boleścią i poezyą; większość atoli literatek warszawskich, pod wodzą pani Orzeszkowej i pani Konopnickiej nowe zakreśla stanowisko dla kobiet w społeczeństwie i szuka go na manowcach racyonalizmu i wszelkiego postępu. Ta literatura kobieca bardzo rozwinięta wymagałaby także osobnego studyum. Ale studyum byłoby zbyt nużące, bo belletrystyka warszawska i ta publicystyka literacka żeńska grzęźnie w frazeologii i pływa w jakichś mglistych sferach. W wierszach przeważnie liryzm uderzający w struny już ograne, przy wprawie technicznej rymu brak treści, obrazów lub jasno postawionych myśli. W powieści typy także zużyte, usta-

wicznie kopiowane, a nie świeżo brane z natury, wszystko zaś w tonie tkliwej demokracyi i postępowości, ale wśród grona idealistek nie rzadko spotkać się także można *z bas bleux* używającą frazeologii pozytywistów.

W piśmiennym przeglądzie nie zdołaliśmy wyczerpnąć przedmiotu, i dotknęliśmy tylko ważniejszych cech publicystyki warszawskiej. Ilość nad jakością tu przeważa i nie zawsze zdać sobie można sprawę, dla czego zamiast skupić siły w kilku znakomitych pismach, rozprasza się je przez takie mnożenie drukowanego papieru.

Pod względem barwy i zasad, możnaby oznaczyć odcienia tych pism w następującym porządku:

Pisma radykalne, kosmopolityczno-pozytywne: *Przegląd tygodniowy, Prawda.*

Pisma racyonalistyczne: *Ateneum, Kraj* petersburski, *Świt.*

Pisma liberalne i postępowe: *Gazeta warszawska, Gazeta polska, Gazeta handlowa, Kłosy, Tygodnik illustrowany, Bluszcz, Kuryer codzienny.*

Pisma konserwatywne: *Kuryer warszawski, Wiek, Słowo, Rola, Biblioteka warszawska, Niwa, Kronika rodzinna, Przegląd katolicki.*

Bliski zachodzi stosunek między: *Słowem, Biblioteką, Niwą,* i *Kroniką rodzinną;* jest to jakby czworobok forteczny stronnictwa zachowawczego.

*X.

Z Górnego Szląska.

Przemysł górno-szląski. — Produkcya górnicza i hutnicza.

Kto przejeżdża przez tę dawną ziemię Piastowiczów, szczególnym uderzony jest widokiem. Wysokie kominy fabryczne, ziemia poryta, pozapadana, góry popiołu, żużli, kamieni, powietrze pełne dymu, pyłu, swędu, ludzie czarni, domy i drzewa nawet okopcone, wieczorem jakoby łuny pożarne albo olbrzymie iluminacye, pełno dróg i dróżek żelaznych, wielkich i małych lo-

komotyw. Taki widok przedstawiają okolice przemysłowe od Mysłowic do Gliwic wzdłuż granicy polskiej.

Przemysł i handel nadają dziś cechę i charakter naszemu wiekowi. Dawniej rolnictwo nietylko było podstawą społecznego życia, rozwoju, lecz pierwsze zajmowało miejsce. Para, machiny, węgle, żelazo zmieniły postać i wejrzenie świata. Dziś już dziedzic nie dorówna na zewnątrz bankierowi, fabrykantowi, właścicielowi kopalń, hut itd. chyba, że sam obok roli ma fabryki. Tylko tam, gdzie jeszcze para i machina nie doszła, tam jeszcze dziedzic stoi na najwyższym szczeblu bogactwa, kultury, nauki, wpływu i znaczenia.

Przemysł i handel mają w swym ręku kapitał w wielkich sumach, kapitał ruchomy podobny do armii wiecznie zmobilizowanej, z której codzień całe pułki i dywizye można przerzucać z miejsca na miejsce i niemi operować. Przemysł pieniądzmi opanował wszelkie stosunki, ma wpływ na politykę, publicystykę i opinię publiczną, na stosunki socyalne, prawodawstwo. Przemysł i handel, a jedno z drugiem nierozłącznie połączone, w lennictwo zaciągnął rolników, stanowi ceny zboża, uczynił z roli przedmiot handlowy.

Nic więc dziwnego, że rozwielmożniony przemysł nadaje i okolicom, prowincyom i krajom charakter, tem więcej, że już zewnętrznie wpada w oczy budowlami i przyrządami fabrycznemi, ruchem wielkim, ludnością zbitą na obszarach stosunkowo małych, z czego wynika znowu handel bardzo skoncentrowany. Liczne drogi i ogromny aparat komunikacyjny i przewozowy dopełniają silnego wrażenia, jakie wywierają okolice przemysłowe.

Węgiel kamienny i żelazo w przemyśle pierwsze zajmują miejsce, przynajmniej z wielu względów. Z tego wszystkiego pojmie każdy znaczenie G. Szląska, które odczuwa nawet podróżny, choć tylko z okna wagonu patrzący na tę ziemię.

Statystyka, cyfry oznaczające centnary węgla i żelaza produkowanego u nas, dopiero zadziwią myślącego człowieka i dadzą wyobrażenie o tem, czem jest G. Szląsk i przemysł jego.

Weźmy na rachubę tylko jeden zimowy kwartał r. 1883. W tymże czasie wydobyto ze ziemi węgli kamiennych beczek (po 1000 kil.) 3,184.208, z których sprzedano za 11,888.515 m.

Do wydobycia węgla było potrzeba, oprócz ogromnej siły machin parowych, 33.792 mężczyzn a 3124 kobiet.

Rudy żelaznej wydobyto w tymże kwartale beczek (po 1000 kilgr.) 160.507, z której sprzedano za 590.625 m. Robotników było przytem zajętych 3059 mężczyzn a 1890 kobiet.

Z kopalni cynku i ołowiu wydobyto w kwartale beczek (po 1000 kilgr.), licząc razem galman, błysz cynkowy i ołowiu, żelazo, siarczany szczesk 148.184, z których sprzedano za 1,637.648 m. Robotników przytem było zajętych 1151 mężczyzn a 2912 kobiet. Materyał żelaza i innych kruszców wydobyty ze ziemi g. szląskiej nie wystarcza hutom i piecom żelaznym, owszem sprowadzają żelazo i inne kruszce zewsząd: ze Szwecyi, Węgier i innych krajów.

W piecach hutniczych, w których palą koksem, przetopione rudy żelaza, ołowiu, cynku i t. p. beczek (po 1000 klg.) 105.509 a sprzedano za 3,027.199 m. Robotników było zajętych przy tego gatunku hutniczych piecach 2436 mężczyzn, a 684 kobiet.

W piecach węglami drzewnemi opalanych wyrobiono różnego kruszczu beczek 264, a sprzedano za 21.090 m. Robotników było przytem 31 mężczyzn a 4 kobiety.

W lejarniach żelaza wyrobiono beczek (po 1000 klg.) 5869, sprzedano za 870.454 m. Robotników pracowało tu 1583 mężczyzn.

We walcowniach żelaza wyrobiono towaru beczek (po 1000 klg.) 62.547. Sprzedano za 8,093.114 m. Robotników zatrudniano przytem 9399 mężczyzn, 410 kobiet.

W walcowniach stali przerobiono beczek (po 1000 klg.(6937, sprzedano za 963.100 m. Robotników zatrudniano 642 mężczyzn a 52 kobiet.

W fryszerkach przerobiono beczek 77, sprzedano za 12.895 m. Robotników miano 73.

Cynkownie g. szląskie są największe w kraju, a może nawet na kontynencie. Wyrobiły one przez kwartał beczek (po 1000 klg.) 17.610, sprzedano za 4,002.542 m. Zatrudniano przy pracy 4086 mężczyzn a 1244 kobiet.

Kruszczu do farb cynkowych wyrobiono beczek 936,

sprzedano za 215.007 m. Robotników zajęto przytem 62 mężczyzn a 7 kobiet.

Cynkowych i ołowianych blach wyrobiono przez kwartał beczek (po 1000 klg.) 6335, sprzedano za 1,708.089 m. Robotników pracowało przytem 451 mężczyzn a 10 kobiet.

W hutach ołowiu i błyszczu wyrobiono beczek 3667, sprzedano za 905.367 m. Robotników zatrudniano tu 480 mężczyzn, 7 kobiet.

Srebra wydobyto 2176 kilogr. przez kwartał, sprzedano za 326.680 m.

Oto główna produkcya górnicza i hutnicza na G. Szląsku w ciągu jednego kwartału. Oprócz tego jest tu mnóstwo innych fabryk, n. p. kotłów, wag do ciężarów wielkich, rur żelaznych, gwoździ, lin drucianych, machin różnych. Inne zwyczajniejsze fabryki (młyny, fabryki cygar, nawozów sztucznych, cegielnie, wapienniki i t. d.) są tu liczniejsze i większe, aniżeli indziej w pobliżu.

A więc kopalnie g. szląskie wydały przez kwartał jeden węgla i kruszcu beczek (jedna beczka po 1000 klg. t. j. 20 centnarów) 3,492.898, huty wyrobiły żelaza i stali beczek 81.265, cynku, ołowiu, srebra wydano beczek 28.551.

Sprzedano z tego za 34,266.915 m. Robotników i robotnic zatrudniano razem 71.399.

Te cyfry oznaczające produkcyę, pieniądze za produkta, ilość rąk zatrudnionych, zaiste jeszcze więcej imponują, aniżeli kominy fabryczne i zewnętrzny aparat przemysłu na G. Szląsku. Cyfry te wszystkie powiększają się od roku do roku. Wielkieby trzeba spisać też liczby, gdyby się można dowiedzieć, ile kapitału włożono na zakupno kopalń i gruntu, wybudowanie fabryk, sprowadzenie machin, utrzymanie całego aparatu w ruchu, na płacę dla robotników.

Kopalnie i huty należą do rządu, do towarzystw akcyjnych i do pojedyńczych magnatów i przemysłowców jako i całych rodzin. Przemysł ten górniczy i hutniczy g. szląski przeniósł się do Kongresówki, jako i węgle spodem granicę przekraczają bez względu na stosunki polityczne, zmieniające się na powierzchni ziemi. Widzimy i tam kopalnie i ogromne fabryki w ręku tych

samych przemysłowców, w których ręku znajdują się skarby ziemi g. szląskiej. Ci przemysłowcy albo już mają, albo nabywają wsie i rozległe dobra tu i po za kordonem, lecz dochody z rolnictwa niczem są w porównaniu z dochodami z przemysłu. Kraje i okolice tylko rolnicze żebrakami są wobec krajów i okolic przemysłowych.

Kończę statystyką (według prof. Trasenstera) produkcyi węgla w różnych krajach. Produkowały w 1882 r. milionów beczek w okrągłych liczbach: Anglia 158, Ameryka 88, Niemcy 65, Francya 20, Belgia 17, Austrya 18, Rosya 3, Hiszpania 1, Australia 2, Kanada 1, Indye 1, Chiny 3, Szwecya, Chili i Japonia niżej jednego miliona beczek.

Pokłady węgla Europy wschodniej wynoszą mil □ ang. 15.400, pokłady węgla w Rosyi wynoszą 19.300 mil □, w Indyach ang. 34.700 mil, w Ameryce 180.000, w Chinach 520.000 mil.

Z czasem Ameryka będzie wydawała najwięcej węgla i najtańszy, chociaż robotnikom płaci najlepiej, ponieważ inne stosunki produkcyjne i komunikacyjne są tam najkorzystniejsze.

X. Radziejewski.

OGŁOSZENIE KONKURSU.

Z powodu 300-letniej rocznicy śmierci św. Karola Boromeusza, Redakcya „Przeglądu powszechnego“ ogłasza konkurs na rozprawę następującej treści:

Wykazać zasługi św. Karola Boromeusza w zakładaniu seminaryów duchownych i wskazać sposób, w jaki należy urządzać i prowadzić te instytucye, aby odpowiadały myśli Soboru Trydenckiego i dzisiejszym potrzebom Kościoła.

Rozprawa ta powinna obejmować 2—4 arkuszy druku.

Utwór za najlepszy uznany otrzyma premię 500 franków. „Przegląd“ zastrzega sobie prawo pierwszego drukowania premiowanej rozprawy w swoich szpaltach.

Rozprawy należy odsyłać do redakcyi bezimiennie, załączając nazwisko autora z odpowiednim znakiem w osobnej zapieczętowanej kopercie.

O wartości rozpraw sądzić będą: Najp. ks. biskup Janiszewski, W. ks. Chotkowski, prof. hist. kość. na uniwersytecie krakowskim i O. H. Jackowski T. J.

Ostatni termin nadesłania rozpraw dzień 1 października b. r.

Uprasza się o czytelne pismo.

Pamiętniki Siemaszki.

Recenzyą tego ważnego dla historyi dzieła napisać raczył dla „Przeglądu powszechnego“ czcigodny autor, który Siemaszkę znał z bliska i z tego na co sam patrzył, mógłby ciekawymi szczegółami te pamiętniki illustrować: wolał jednak ograniczyć się na uwydatnieniu tej części prawdy, która w samych tych pamiętnikach przeziera, sądząc, że takowa wystarczy do ocenienia człowieka i sprawy.

(Od Redakcyi).

Записки Іосифа Митрополита литовскаго изданные Императорскою Академіею Наукъ по завѣщанію Автора. С. Петербургъ. 1883. 3 тома.

Pamiętniki Józefa Siemaszki metropolity litewskiego, wydane przez cesarską Akademią nauk, według testamentu autora. Petersburg 1883 r. 3 tomy.

W zbyt ciasnem i powierzchownem znaczeniu rozumiane bywają zwykle te słowa Pawła św.: „nie masz zwierzchności jedno od Boga“ (Rzym 13. 2.), a one oznaczają, że pierwiastkiem władzy jest Bóg, nie człowiek; a więc, że ona duchem Bożym kierować się powinna. Jako tedy z jednej strony wielka jest myśl, ażeby rządy, dla dobra narodów i ludzkości, kierowały się duchem Chrystusowym; tak z drugiej strony nic tak nie poniża religii jak używanie jej za narzędzie polityki. A chociaż duch wieku naszego, na ziemskiej tylko mądrości oparty, nie podniósł się jeszcze tak wysoko, ażeby tę chrześcijańską zasadę w życie wprowadził, ale nie można powiedzieć, żeby już jej zrozumieć nie potrafił i żeby się nie znalazł nie jeden mąż stanu, któryby wobec szerzącego się socyalizmu i nihilizmu nieraz głęboko się nad nią nie zastanowił.

Na tę myśl naprowadzają świeżo wydane pamiętniki prawosławnego metropolity Józefa Siemaszki, który z dwoma pomocnikami swymi Zubką i Łużyńskim, biskupami z unitów prawosławnymi, dokazali tego, że Unia w Rossyi została oderwana od Rzymu i półtora miliona unitów przyjęło prawosławie. Że Sie-

maszko działał w widokach rządu; że się mu ofiarował za narzędzie mające działać stanowczo i energicznie; że wskazał środki i dokonał dzieła systematycznie i z całą świadomością; i że religii używał za narzędzie polityki; to z tych jego pamiętników jak na na dłoni widać. Lepszych dowodów nie potrzeba nad własne jego słowa. Dosyć będzie zacytować tom i stronicę, ażeby każdy mógł łatwo przekonać się i sprawdzić. O czystości jego pobudek trudno coś pewnego powiedzieć: bo sam Bóg wie, co się w sercu człowieka dzieje. Po ludzku jednak sądząc, kto zważy, jak ten syn prostego wiejskiego parocha mając trzydzieści lat życia zostaje biskupem, jak jest obdarzany dochodami, orderami, pałacami; jak posuwa się na najwyższy w hierarchii cerkiewnej stopień metropolity, otrzymuje najwyższą ś. Andrzeja z brylantami gwiazdę; kto zważy, że w jego pamiętnikach nie przebija się nigdzie wielki duch pobożności i że w nich widać niesłychaną dumę (np. strona 214 tom I.), że w piśmie do ministra Perowskiego 1845 r. 5 lutego wyraźnie pisze: „Śmiem zapewnić, że myślami mojemi kierowała nie tyle religijna gorliwość, jak zamiar przeciwdziałania miejscowej politycznej partyi“ (tom 2 stron. 308); kto to wszystko zważy, czyż nie będzie mógł słusznie powątpiewać o czystości jego pobudek. Tembardziej, że Siemaszko skarży się, iż wyższe prawosławne duchowieństwo źle go uważało, i krzywo na niego patrzało; że samego oberprokuratora synodu hr. Protasowa obwinia o niekonsekwentność (tom. I. str. 115); że się boi, aby nie sądzono, iż on dla interesu działa (tom I. str. 31); że wyznaje, iż gdzie trzeba było, okazywał się panem i to jeszcze dumnym (tom I. str. 271); że nakoniec nietylko przeciw Unii, ale przeciw katolicyzmowi i narodowości polskiej otwarcie występuje, i to sobie za wielką wobec rządu poczytuje zasługę, której mu słusznie zaprzeczyć nie można. Pamiętniki te są naturalnie *oratio pro domo sua*. Zajmują one tylko trzecią część pierwszego tomu do stronnicy 274. Reszta składa się z dokumentów, korrespondencyi z ministrami, z synodem, z oberprokuratorem synodu [1], z rozmaitemi władzami, nareszcie

[1] Do samego Protasowa około 500 papierów urzędowych i poufnych tu się znajduje.

z rozporządzeń dyecezalnych. Są tu nawet ćwiczenia jego szkolne i akademickie po polsku i po łacinie; są kazania mawiane przy rozmaitych okolicznościach. Znajdują się też wyjątki historyczne z rozmaitych mianowicie rosyjskich autorów odnoszące się do Unii Brzeskiej. Między innemi wydrukowane jest w polskim języku pismo teologów Sorbońskich, podane Piotrowi W. w Paryżu o połączeniu kościoła rosyjskiego z rzymsko-katolickim, i odpowiedź na nie rosyjskiego duchowieństwa. Jest część dzieła moskiewskiego metropolity Filareta, tłómaczona na polski język przez samego Siemaszkę. A do ciekawych szczegółów może być zaliczony list, pisany do Siemaszki przez jego ojca po polsku, który języka rosyjskiego nie umiał, a znał tylko język małorosyjski i polski. Pamiętniki te stanowią zbiór dokumentów historycznych, którymi Siemaszko chciał swoję działalność w prawdziwem świetle wykazać. Rzecz naturalna, że środków jakich używał, nie nazywa prześladowaniem, ale tylko karą za nieposłuszeństwo zwierzchności; że prześladowaniu, jakie miało miejsce w Leonpolu, w Prozorowie, w Kleszczelach, w Dziernowiczach zaprzecza; chociaż żyją może jeszcze starzy ludzie, którzy jego świadkami, a może i uczestnikami byli. O Makrynie Mieczysławskiej twierdzi, że ona Bazylianką nie była, ani przełożoną: lecz że to była jakaś samozwanka, osoba złego prowadzenia się, której partya polska dla spotwarzenia go użyła (str. 185 tom I.) Przytacza jednak po francusku relacyą o niej wypisaną z gazet francuskich, a zbijając ją powiada, że Bazylianki przeniesione zostały z Minska do Miadzioła w r. 1834 (tom II. str. 595), że ucieczki zakonnic nigdy nie było i że Rzym zawiadomiony był o tem przez rosyjskie poselstwo (tom II. str. 596).

Fanatyzmu jednak w tych pamiętnikach nie widać. Występuje w nich wszędzie wierna służba rządowi, nie zaś duch religijny. Z nienawiścią do Polaków i katolików autor bynajmniej się nie tai: mówi owszem, że nią od dzieciństwa przejął się między ludnością wiejską, i że ją w szkołach niemirowskich rozdmuchała w nim parcyalność nauczycieli, którzy dla bogatszych uczniów więcej względów okazywali i że dla niego wyrażenie małorosyjskie „nehidnyj Lach“ (niegodny Lach) było typem czegoś wzgardzonego i nienawistnego.

Dzieła tego rozbierać nie mamy zamiaru, ale tylko treść jego jak najkrócej podać.

Syn i wnuk unickiego parocha, ze szlachty polskiej[1]. Józef Siemaszko urodził się na dwa lata przed końcem przeszłego wieku to jest w r. 1798 w gubernii kijowskiej w powiecie lipowieckim, we wsi Pawłówce. Ojciec jego miał trzech braci księży unickich i dwie siostry, które także były za parochami unickimi. Zacny starzec, dziad jego był po rozbiorze kraju usunięty od plebanii za to, że nie chciał przyjąć wiary błahoczestywej, jak wówczas nazywano (str. 2). Józef mówi o sobie, że od dzieciństwa rwał się do książek. Oddany do szkół do Niemirowa, należał do najlepszych uczniów, na co przytacza szkolne świadectwa. Jako przepowiednie jego przyszłego wyniesienia, wskazuje autor trzy horoskopy. Jeden, że się urodził 25 grudnia. Drugi, że ojciec jego miał sen proroczy, jakoby to dziecię wpuszczono do jakiegoś pałacu, do którego ojciec wejść nie mógł. Trzeci zaś, że kiedy już do Wilna z domu rodziców wyjeżdżał, wtenczas, jako dobra wróżba, deszczyk kropił (tom I. str. 7 i 11). Mówi, że rodzice jego byli skłonni do prawosławia. Za dowód czego przytacza, że letnią porą, kiedy się nabożeństwo odbywało w prawosławnej cerkwi odebranej od unitów za jego dziada, matka jego modliła się wtenczas w sadzie o kilkanaście tylko kroków od tej cerkwi odległym (str. 2). Skończył Siemaszko szkoły niemirowskie, jako pierwszy uczeń, i dziękuje Bogu, że mu się nie zdarzyło bywać w polskich domach, w których mógłby był nabrać uprzedzeń przeciw Rosyi i przeciw prawosławiu.

Za zgodą biskupa Martusewicza w r. 1816 Siemaszko przybył do Żydyczyna, rezydencyi biskupów unickich, o milę od Łucka, i obleczony w suknię duchowną wyprawiony został do głównego seminaryum do Wilna. Zakład ten otwarty w r. 1808 był całkiem oddzielny od seminaryum dyecezyalnego, stanowił fakultet teologiczny uniwersytetu wileńskiego i mieścił się w murach augustyańskich na ulicy Sawicz[2]. Liczba uczniów jego była 50, to jest: 34 kleryków rzymsko-katolickich i 16 unickich. Re-

[1] Na to przytacza dokumenta.

[2] Mury te w r. 1852 zabrano na szkołę prawosławną.

gensem, jakoteż profesorem teologii dogmatycznej i historyi kościelnej był wówczas człowiek wielkiej nauki, wielkiego charakteru i rozumu ks. Kłągiewicz, późniejszy biskup wileński. Kapelanem ks. Anioł Dowgird, profesorem teologii moralnej i pastoralnej ks. Jan Kanty Chodani, autor etyki chrześcijańskiej; profesorem prawa kanonicznego, świecki człowiek włoch Kapelli. Z najżywszem uczuciem wspomina Siemaszko profesora rosyjskiej literatury Czerniawskiego, który chociaż niczego nie uczył, ale wiele anegdot o Rosyi opowiadał, bo był to chodzący magazyn wiadomości. Kolegami Siemaszki w głównem seminaryum byli późniejsi biskupi, jego pomocnicy: Zubko, Łożyński i Hołubowicz. Po czterech latach pracy, ze stopniem magistra teologii opuścił ten zakład, a chociaż jak mówi, miał dobre przykłady, i chociaż z unickimi klerykami obchodzono się jak najlepiej, chociaż młodzież była dobrana, jednak wyjechał z Wilna źle usposobiony dla katolickiego Kościoła (str. 16). Po powrocie do Żydyczyna, przez biskupa Martusewicza naznaczony był asesorem konsystorza, i w dwudziestym trzecim roku życia wyświęcił go biskup nieżonatego na kapłana, a w 1822 roku naznaczył go asesorem w kolegium duchownem w Petersburgu. W następnym zaś roku podniósł go do godności kanonika, a we dwa lata później mianował prałatem.

Pod koniec 1827 rozpoczęła się jego działalność przeciw Unii, podaniem dyrektorowi obcych wyznań Kartaszewskiemu[1] obszernego memoryału o unitach, o ustanowieniu dla nich osobnych szkół, usunięciu z nich polskiego języka i zupełnem ich zreformowaniu, nie poruczając jednak tego biskupom unickim, bo na nich polegać nie można. Ówczesny minister oświecenia i obcych wyznań Szyszkow przedstawił ten memoryał cesarzowi Mikołajowi, a cesarz napisał własnoręcznie: „bardzo rad jestem, że mamy takie narzędzie“, i kazał Siemaszce swoje zadowolenie oświadczyć.

W miesiąc otrzymał Siemaszko brylantowy krzyż i dodatkowej pensyi po 1200 rubli ass., a w rok order św. Anny. W r. 1828 został ministrem wyznań Błudow, któremu Siemaszko zarzuca

[1] Późniejszemu kuratorowi Wydziału Białoruskiego.

brak gorliwości. W r. 1829 w auguście wyświęcony został Siemaszko na biskupa mścisławskiego[1] w kościele dominikańskim w Petersburgu, ale z myślą oderwania się od jedności kościelnej jeszcze się taił. Przedstawiając swoją gorliwość w obalaniu Unii, kreśli charakterystykę ówczesnej hierarchii unickiej. Oto główne jej rysy podług słów samego Siemaszki:

1) Metropolita Jozafat Bułhak 70-letni starzec, łagodnego i prawego charakteru, ale nie daleko widzący. Rodem ze szlachty polskiej, wstąpił do Bazylianów, wychowanie odebrał w Rzymie i przez protekcyą został biskupem, nie był on fanatykiem, ale z przekonania mocno się trzymał rzymskiego katolicyzmu (str. 53).

2) Arcybiskup Jan Krasowski, syn unickiego księdza, wychowany był w Wilnie w papieskim alumnacie. Z ducha był on ruskim, bronił niezależności unitów od katolików, ale dogmatycznie był on rzymski katolik (str. 53).

3) Biskup Jakób Martusewicz ze stanu duchownego, ale jezuicki uczeń, był w ciągłych z Jezuitami stosunkach, aż do ich wypędzenia z Rosyi. To wychowanie i te stosunki wycisnęły na jego najpiękniejszym charakterze wybitną pieczęć jezuityzmu. Był on fanatykiem, miał przewrotne, ale sumienne przekonania. W nienawiści u niego było wszystko co rosyjskie i prawosławne, i przy całej swojej łagodności, byłby nawet na męczeństwo gotów.

4) Biskup Sierociński sufragan dyecezyi łuckiej (unickiej), wychowaniec papieskiego alumnatu w Wilnie. Człowiek bez przesądów, ale nie łatwa była z nim sprawa.

Inne ważniejsze posady w unickim kościele zajmowali ludzie wychowani w papieskim alumnacie, albo w głównem seminaryum wileńskiem, a więc przywiązani do rzymskiego katolicyzmu i polonizmu (str. 54). Czyż ta charakterystyka zacnej ówczesnej unickiej hierarchii, skreślona przez samego Siemaszkę, nie wykazuje jak na dłoni, że unici ówcześni nie myśleli zrywać Unii, a tem samem, że dla przeprowadzenia ich na prawosławie, trzeba było użyć przymusu, podstępu, pozbawiania kawałka chleba zalewających się łzami parochów, mających żonę i dzieci; a gdy i to nie pomagało, to nawet grubej siły. Siemaszko nie cofnął się

[1] Przez omyłkę wydrukowano w dzienniku „Kraj“ mitawskiego.

przed niczem, i uznaje to za wyłączną swoją zasługę wobec rządu, któremu w swojej autobiografii wykazuje faktycznie, jak wielkie trudności miał do zwyciężenia, i jak wiele cierpień, łez, przekleństw wziął na swoje sumienie. Przejście jednak na inną wiarę było, jak mówi, rzeczą drażliwą (str. 30) i lękał się ażeby nie myślano, iż dla interesu przyłączył się do prawosławia (str. 31).

W 1832 r. w czerwcu Siemaszko podał notę ministrowi spraw wewnętrznych Błudowowi, ażeby bazyliańskie klasztory pokasować, a unickie kolegium poddać pod władzę prawosławnego synodu. Co jednak nie zaraz nastąpiło. Na początku następnego roku został mianowany biskupem litewskim a 15 maja 1833 r. podał prośbę do najświątobliwszego prawosławnego synodu o przyjęcie go osobiście do prawosławnej cerkwi. Z tej epoki przytacza Siemaszko swoje noty podane rządowi, które nigdzie dotąd ogłoszone nie były. Jedna, ażeby w Wilnie nie zakładać duchownej akademii, która jednak założona została, za co cesarz austryacki dziękował cesarzowi Mikołajowi; Siemaszko zaś projekt ustawy dla niej napisał. Druga o skasowaniu klasztorów katolickich, czemu chociaż Błudow był przeciwny, jednak skasowano około dwóchset klasztorów (str. 77). Siemaszki zdanie już w sferach rządowych nabrało niemało wagi. W tej właśnie epoce traktowano z Rzymem o skasowanie arcybiskupstwa mohylewskiego i przeniesienie go do Wilna. Przeciwko temu podał notę kardynał Bernetti. Siemaszko napisał dosyć obszerny wywód i zdanie jego utrzymało się. Podobnież kiedy w r. 1843 chciano przenieść stolicę biskupstwa łucko-żytomirskiego do Kijowa, Siemaszko napisał mocne przedstawienie, że to nie pójdzie na korzyść, ale prędzej na szkodę prawosławnej cerkwi, bo wówczas nietylko obywatelstwo, ale nawet ucząca się młodzież mogłaby się garnąć do biskupa katolickiego, przez co arcybiskup prawosławny mógłby niby w cieniu pozostać. A w jakimś tam Żytomierzu podobnego nic być nie może. Zdanie to również przeważyło (tom II str. 215).

Przy końcu roku 1833 Siemaszko przedstawił na biskupów: Łużyńskiego, Zarskiego i Zubkę, wziąwszy od nich podpiskę, że

w każdym czasie gotowi są przyjąć prawosławie[1]. W styczniu 1834 r. poświęcali ich: Bułhak, Siemaszko i katolicki biskup Pawłowski. W tymże roku rozesłano do wszystkich unickich cerkwi, prawosławne mszały, drukowane w moskiewskiej synodalnej drukarni, których półtora tysiąca egzemplarzy ofiarował na ten cel synod. Unickie zaś mszały w ciągu lat wielu nie bez trudności odbierano i palono. I nie prędzej jak w r. 1855 Siemaszko donosi synodowi, że już wszystkie unijackie mszały popalił. Samo się przez się rozumie, że w nowo rozesłanych mszałach o papieżu nie mogło być wzmianki; bo jako w prawosławnych wspominany był synod. Rzecz więc była obrachowana na to, żeby unickie duchowieństwo, a z nim cały lud ani się spostrzegł, jak zostanie oderwany od Unii. Był to krok dobrze obmyślany, ale go Siemaszko ukrywał przed ministrem Błudowem, a nawet, jak sam mówi, i hrabia Protasow, i synod, i nawet metropolita petersburski uważali go za zbyt śmiały. Siemaszko jednak na nic się nie oglądał i w środkach nie przebierał. Najpierwej jednak zaczął od pokasowania bazyliańskich szkół i klasztorów, wychowania duchowieństwa unickiego w duchu prawosławia i w osobno urządzonych dla niego szkołach, bo już w zapisce podanej dyrektorowi wyznań Kartaszewskiemu powiedział: byle przez wychowanie nadać odpowiedni kierunek duchowieństwu, które zajmuje 1500 parafij, a lud pójdzie drogą, jaką mu pasterze jego ukażą (str. 39).

Pokasowawszy tedy większą część klasztorów bazyliańskich i w urządzonych dla unitów osobnych szkołach przygotowawszy pewną ilość duchowieństwa wychowanego w duchu prawosławia, zrobił rozporządzenie, ażeby konsystorz i dziekani wymagali zobowiązania na piśmie od księży unickich, że przyjmują prawosławie; ktoby zaś tego zobowiązania dać nie chciał, ten ma być uważany jako niebłahonadieżny, a tem samem jako przestępca stanu. Takich wzywano do konsystorza dla namawiania, a gdy nie chcieli wiary swojej odstępować, nazywano to niebłahonadieżnością, to jest nieprzychylnością dla rządu, i za to usuwano od plebanij, wysyłano do klasztorów na posługaczy, zostawując

[1] Te ich podpiski przytacza w kopii autentycznej.

żony i dzieci bez chleba, a gdy i to nie pomagało, wysyłano ich na wygnanie do wielkorosyjskich gubernij. Dowodów tego mnóstwo znajduje się w pamiętnikach. Przytoczymy tylko niektóre:

Roku 1835, 10 czerwca daje Siemaszko rozporządzenie konsystorzowi: ażeby proboszczów nowogrodzkiego powiatu: Witorskiego, Sawicza, Marcinowskiego, Tomasza Juliana i Wiktora Horbaczewiczów, którzy nie chcieli przyjąć moskiewskich mszałów, jako nieunickich, i ośmielili się jeszcze rozumować, odsądzić od parafii i duchownej sukni i naznaczyć na posługaczy lub diaczków (Tom III. str. 174).

Tegoż roku 4 czerwca siedmiu parochów kamienieckiego dekanatu, jako to: Kunachowicz, Imszenik, Kulczycki, Miliński, Wierzbicki, Szołgini, Micewicz obróceni na diaczków i posłuszników za to, że nie chcieli przyjąć nieunickich mszałów. Przyczem dodano rozkaz, żeby ich do najgrubszych robót używać, a wygód żadnych nie dawać (Tom III. str. 175).

W r. 1838 pod d. 27 października pisze do hr. Protasowa, że czternastu księży białostockiego obwodu ufni w podaną prośbę do najjaśniejszego cesarza okazują się nieżyczliwymi dla prawosławia i zakamieniałymi w uporze. Dlatego żąda, aby ich przywódzców księdza Sosnowskiego i księdza Pańkowskiego jako niebłahonadieżnych, to jest podejrzanych rządowi, wysłać na wygnanie do wielkorosyjskich gubernij (Tom III. str. 398).

Tegoż roku pod d. 7 listopada zawiadamia biskupa Zubkę, iż mu oznajmił hr. Protasów o najwyższym rozkazie, ażeby gdy uzna za rzecz potrzebną wysłać którego z księży do wielkorosyjskich gubernij, pisał o tem do Protasowa: żeby tedy Zubko, gdy potrzeba będzie wysyłać niebłahonadieżnych księży lub zakonników, odnosił się do Siemaszki (Tom III. str. 402).

Po ogłoszeniu już urzędowego skasowania Unii 1839 roku d. 13 listopada pisze do Protasowa: Więcej niż stu zakonników nie dało podpiski w litewskiej dyecezyi na przyłączenie się do prawosławia. Z nich Wincenty Szumilewicz, Wincenty Pawłowski, Gerwazy Hryncewicz, Arseni Wokulski, Tytus Ilnicki osadzeni są w klasztorze, z zabronieniem odprawiania mszy świętej i naznaczeniem na utrzymanie po pół rubla na miesiąc. Żąda tedy, żeby ich wysłać do wielkorosyjskich gubernij. Pod

rokiem 1838 na str. 115 pisze: Podszczuwani przez łacinników i ośmielani patrzaniem przez szpary władz cywilnych, podejrzani rządowi (niebłagonamierennyje), albo wahający się duchowni z unitów, stawali się śmielszymi i zuchwalszymi, mianowicie w białoruskiej dyecezyi. Tu wielu księży wprost odmawiało posłuszeństwa biskupowi Łużyńskiemu, tak, iż w listopadzie nastąpił najwyższy rozkaz, żeby opornych księży wysyłać do wielkorosyjskich gubernij [1].

Na początku roku 1838 umarł metropolita unicki Józafat Bułhak i biskup Zarski, u którego po śmierci znaleziono na stole papier z oświadczeniem, że w sprawie unitów udziału nie miał. Takim sposobem sam czas usunął w hierarchii unickiej dwie przeszkody do połączenia Unii z prawosławiem. Pozostali tylko trzej działacze zupełnie błahonadieżni, t. j.: Siemaszko, Antoni Zubko i Bazyli Łużyński.

1-go grudnia 1838 r. Siemaszko podał notę i sposoby, ażeby sprawę Unii ostatecznie zakończyć i razem ułożony przez siebie projekt aktu podpisanego przez wyższe duchowieństwo unickie, o przyłączeniu unitów do prawosławnej cerkwi. Naznaczono Siemaszce udać się do Połocka, gdzie chociaż mówi, że miał wiele kłopotu z duchowieństwem zostającem w błędzie, (t. j. niechcącem zmieniać wiary), mimo to jednak 12 lutego w niedzielę prawosławia (t. j. pierwszą niedzielę postu), podpisany został przez trzech biskupów, t. j. Siemaszkę, Zubkę i Łużyńskiego, jakoteż przez starsze duchowieństwo w liczbie 24, akt przyłączenia Unii do prawosławnej cerkwi. Przytem przedstawione zostały podpiski dane przez duchowieństwo w liczbie 938 osób. Nie dało podpisek osób 603 (str. 119), ale o tych mówi Siemaszko: że po zniweczeniu byłej tu intrygi, i po wysłaniu z kraju hersztów, niewielu znajdzie się źle myślących.

Cesarz Mikołaj ten akt przedstawiony sobie przez synod zatwierdził słowami: „dziękuję Bogu i przyjmuję“, Siemaszko otrzymał tytuł arcybiskupa, a z rozkazu cesarza wybity został

[1] Roku 1840, 31 lipca Nr. 950 pisze do Protasowa, ażeby wysłać na wygnanie z Lubaru Bazylianów: Skalskiego, Fedorowicza i Danilewicza.

medal z napisem: tryumf prawosławija, i w złotym egzemplarzu Siemaszce przesłany został. Do tego roku jeszcze Siemaszko chociaż pokasował wszędzie, gdzie były organy i boczne ołtarze, pozaprowadzał ikonostasy, ale zachowywał pozory Unii, i ani sam nie nosił brody i odzienia używanego przez prawosławne duchowieństwo, ani też nakazywał tego księżom unickim. Że zaś w r. 1838 odebrał rozkaz w Petersburgu prezentowania się zawsze na paradach u dworu, przeto przedstawił hrabiemu Protasowemu, że mu strój księży unickich sprawia ambaras, a sam go zmienić nie wie w jaki sposób. W skutek czego w wielką sobotę Protasow przywiózł mu od cesarza rasę (wierzchnią suknię szeroką) i kłobuk biskupi, ażeby w tym stroju przedstawiał się u dworu. W Wilnie zaś fałszywie mówił Siemaszko w r. 1861, że mu cesarz bez jego wiedzy przysłał kłobuk i kazał albo w nim się stawić, albo na Sybir się wybierać [1]. Od tego czasu otwarcie już zrzucił odzież unicką i brodę zapuścił. Duchowieństwa zaś do tego nie zmuszał, ale tylko przykładem zachęcał, gdyż cesarz pod tym względem, jakoteż pod względem innych miejscowych zwyczajów, i używania pokarmów mięsnych ich dyspensował.

W r. 1845 do Wilna została przeniesiona stolica prawosławnej dyecezyi litewskiej, a Siemaszko jako gospodarz ogromnym kosztem wszystko urządzał. Wspaniały kościół św. Kazimierza pojezuicki przerobiono na katedrę prawosławną. Kupiono od hr. Mostowskiego na rezydencyę dla Siemaszki pałac Wańkowiczów i przy nim murowany dom Bärkmana, użyto około trzydziestu tysięcy rubli na jego urządzenie i połączenie z Soborem. Później zabrano klasztor karmelitański przy Ostrej bramie i klasztor z kościołem augustyańskim, gdzie niegdyś Siemaszko uczył się w głównem seminaryum i gdzie niegdyś mieściła się akademia duchowna rzymsko-katolicka. Oddano mu na letnie mieszkanie Trynopol, klasztor potrynitarski, położony w prześlicznem położeniu obok Werek, w widłach nad Wilią, i na przerobienie dano dwadzieścia kilka tysięcy rubli. Tam z murów potrynitarskich urządził sobie Siemaszko prześliczną willę z wielkim ogrodem, w którym przeszło dwa tysiące drzew owocowych zasadził. Opi-

[1] Od osoby, przed którą mówił.

suje w swoich pamiętnikach jak sam wszystkiego pilnował, i z jaką troskliwością ten mały raj sobie przyrządzał. W 1851 r. kiedy Hołowiński został metropolitą i kiedy mu cesarz Mikołaj sam wręczył palliusz, duma Siemaszki uczuła się obrażoną. Jemu się chciało zdeptać katolicyzm w Rosyi, a tu cesarz katolickiego metropolitę łaską swoją zaszczyca. Podaje tedy prośbę do cesarza o uwolnienie od dyecezyi, a rozdrażnienie swoje i gorycz wylewa w liście konfidencyonalnym do Protasowa: „JWHrabia nie możesz niewiedzieć w jakiem znajduję się położeniu w obec prawosławnych i innowierców z powodu tryumfu hierarchii katolickiej. Już od kilku lat czuję, że będę strącony przez intrygę, jeżeli mi się nie uda wyprosić się na życie spokojne, i że może wkrótce między wrogami prawosławia rozejdzie się radośna wiadomość, że mię wysłano z kraju, jak przed siedmiu laty rozeszła się pogłoska, że mnie sami prawosławni wygnali jak psa (wyrażenie dosłowne прогнали какъ собаку) (Tom I. str. 214). Nie jużli mam w milczeniu, pozwolić, żeby mnie podeptano? Nie jużli mam czekać, aż mnie sami ruscy prawosławni oddadzą na pohańbienie? Nie jużli mam czekać, ażeby nieprawe układy z wrogami prawosławia moim kosztem zawarte zostały?“ Hrabia Protasow odpowiedział mu, iż cesarz go nie uwalnia, ale zupełną w nim ufność pokłada. Gorliwość Siemaszki nie ograniczała się na sprawach cerkwi prawosławnej. On wglądał ciągle w sprawy Kościoła katolickiego i przeciw niemu pobudzać wyższe władze sekretnemi pismami usiłował. Za dowód tego niech posłuży kilka wybitniejszych faktów.

W roku 1838 uzyskał rozporządzenie wyższej władzy, ażeby nie wolno było budować kościołów i kaplic katolickich inaczej, jak za zgodzeniem się unickiej dyecezyalnej zwierzchności (Tom III. str. 381).

W tymże roku zaskarżył missyonarzy wileńskiej dyecezyi, że odbywają zwykłe misye bez pozwolenia władzy cywilnej, że na te misye uczęszczają unici, że na tych missyach sprzedają i bezpłatnie rozdają książeczki do nabożeństwa, w których powiedziano jest, że zbawionym być nikt nie może, kto nie jest katolikiem. Skargę tę jego synod odesłał do ministra spraw wewnętrznych, który zażądał objaśnień od rządzącego dyecezyą wi-

leńską biskupa Kłągiewicza (Tom III. str. 383). A chociaż Kłągiewicz dał kategoryczne i bardzo energiczne objaśnienie, nic to jednak nie pomogło, i odtąd zabroniono missyonarzom odbywać missye.

W r. 1845 pisał do ministra Perowskiego, aby znieść Ostrą bramę jako zawadzającą przejeżdżającym, albo przynajmniej żeby obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej przenieść do kościoła świętojańskiego lub karmelickiego, a karmelicki kościół zabrać na prawosławie. Co jednak pozostało bez skutku (Tom II. str. 307).

W 1845 r. pisał do tegoż Perowskiego:

1) Biskup Cywiński całkiem oddał się w ręce polskiej partyi, co tem jest szkodliwszem, że przy jego ograniczonych zdolnościach jest on tylko prawie materyalnem narzędziem.

2) Oficyał Bowkiewicz tak manewruje, że nie bardzo zasługuje na położone w nim zaufanie.

3) Wice-oficyał Markiewicz, prawdziwa trąba swojej partyi w Wilnie. Roznosi plotki po domach i upomnienia szkodliwie wpływające na mieszkańców.

4) Herburt wizytator klasztorów tem jest w dyecezyi, czem Markiewicz w Wilnie.

Radzi tedy poprzenosić ich do innych dyecezyj, prałata Kosowskiego do Wilna, a rządy dyecezyi wileńskiej z ramienia biskupa Dmochowskiego stale mieszkającego w Petersburgu, powierzyć prałatowi Żylińskiemu (Tom II. str. 304). Chcąc jednak żeby te przedstawienia zostały w sekrecie, posłał je do ministra przez hrabiego Protasowa (str. 310).

W kwietniu 1852 roku Siemaszko podniesiony został do godności metropolity, a we wrześniu podał przedstawienie do synodu, ażeby katolikom nie wolno było odtąd budować nowych kościołów i kaplic (str. 569).

W 1857 r. pisał do ministra dóbr państwa Murawiewa, ażeby w szkołach parafialnych nie uczono polskiego, ani żmudzkiego języka (str. 620). W ogólności co tylko może być na szkodę Kościoła katolickiego, lub narodowości polskiej, a nawet litewskiej, to on poczytuje za interes prawosławia. A uważając siebie za gorliwszego i rozumniejszego od wszystkich wileńskich

generał-gubernatorów, z którymi raczej grzeczne, niżeli szczere utrzymywał stosunki (tom I. str. 261), taką ich na karcie 262 pamiętników swoich kreśli charakterystykę:

1) „Książe Dołgorukow grał biegle rolę wielkiego pana i może przez to miał znaczny wpływ na łacińsko-polską partyą. Mógł przeto wiele zrobić dla prawosławija, ale był indyferentystą. Znane są jego słowa na śniadaniu u archimandryty, kiedy się wytoczył spór o łacinnikach i prawosławnych: „nie wiem czyja wiara lepsza; ale kuchnia ich lepsza od waszej", książe Dołgoruków nicby ważnego dokazać nie potrafił. Zdaje się, że on był przeciwny przeniesieniu do Wilna biskupa dyecezyalnego (prawosławnego)".

2) „Mirkowicz był człowiekiem uczciwym, pracowitym, rozsądnym ale dość bojaźliwym. Zdaje się, iż nie miał silnych pleców wyżej i bał się z jednej strony intrygi Polaków i Łacinników, a z drugiej bał się nie dogodzić prawosławiu. Jemu zdaje się czynownicy dawali uczuć, że on wobec mnie gaśnie. Z tem wszystkiem od niego można było wielu rzeczy dobić się, chociaż nie bez walki" (str. 262).

3) „Bibikow jak mówiono wybrany był przez cesarza Mikołaja, ażeby okiełznać Polaków i Łacinników. Jego energiczna natura była do tego stosowna, ale on nie miał ani potrzebnych wiadomości, ani charakteru. On wpadł w ręce ludzi krótko widzących, albo interesowanych i działał porywczo, dlatego we wszystkiem brakło harmonii, co tembardziej dawało się uczuć, iż on był razem kuratorem okręgu naukowego. Miałem wówczas mniej przedmiotów do walki, ale bez niej nie obchodziło się. Była ona ostra, choć niebezskuteczna, ale tylko na papierze".

4) „Nazimow naznaczony był przez cesarza Aleksandra II. z wyraźnym celem ułagodzenia Polaków i Łacinników nadziejami i dobrem obchodzeniem się. On w 1840 r. był w Wilnie na śledztwie o spiskowcach[1] i wywiózł stąd przesadzone pojęcia o swoim rozumie i wpływie na łacińsko-polską partyą. Ja z nim walki nie rozpoczynałem widząc, że on działa w widokach cesarza. Mnie tylko bolało to, żem widział jego nieroztropność, dwu-

[1] Pokazało się, że żadnego spisku nie było.

znaczność i pewny rodzaj obłudy. On udawał przed Polakami i Łacinnikami, że ich osłania przeciwko mnie i prawosławnym. Kłótni między nami nie było. On starał się, żeby nie być ze mną sam na sam. Nie wypadałoż mi przy wszystkich powiedzieć: „tyś filut i obłudnik“ (str. 263), a on był zawsze tak pełen uszanowania, tak uprzedzający, taki komplemencista. Zerwanie z nim byłoby skandalem, z któregoby tryumfowała łacińsko-polska partya. Ale co się w mojej duszy działo? Chciałbym żeby te rysy okazały się przesadzonymi“.

W r. 1855 Siemaszko podał pismo do Protasowa o elementach stanowiących litewskie gubernie i o tem, żeby Polaków i katolików usuwać od urzędów a zastępować ich prawosławnymi. Pismo to chociaż sekretne pojawiło się w „Kołokole“, za co winę Siemaszko zwala na Nazimowa. Przedstawienie to jednak pozostało bez skutku. Musiał tedy czekać sposobniejszej pory i doczekał się jej w 1859 r., w którym podał cesarzowi obszerną notę o potrzebie wytępienia polonizmu w Litwie, w której ledwie jakieś dwakroć sto tysięcy ludności mówi po polsku; jakoteż o użyciu takich „d i e j a t e l e j“, którzyby umiejętnie i energicznie działając, wytępili do szczętu usiłowania garstki, nazywającej się Polakami; o usuwaniu urzędników katolików a zastępowaniu ich prawosławnymi. Jest tam zabawna wiadomość historyczna, że Rosya zająwszy kraj po Bug i Niemen, nie tknęła nawet ziemi polskiej.

Kończą się pamiętniki z końcem 1860 roku reskryptami cesarskimi. Zaprzeczyć nie można Siemaszce ani rozumu, ani świadomości celów i środków, ani sprężystości w działaniu. Tam gdzie rząd oglądając się na cywilizacyą, albo się wahał, albo chciał działać powolnie, tam go Siemaszko skłonić umiał do działania energicznego. Czy w nim się kiedy odzywało sumienie, o tem wzmianki w pamiętnikach nie ma. Przytoczymy więc tylko na zakończenie, co jego pomocnikowi Zubce prosta, ale poczciwa matka staruszka po białorusku powtarzała za życia: „Ej biskup! będzie tobie na tamtym świecie!“

N. N.